ZDZISŁAW DĘBICKI

PISARZE POLSCY

I

B.D.W.
KŚW.

NAKŁADEM BIBL-DZIEŁ WYBOROWYCH W WARSZAWIE UL-SIENKIEWICZA 12 i KSIĘG-ŚW-WOJCIECHA W POZNANIU PL-WOLNOSCI

WARSZAWA - POZNAŃ

PISARZE POLSCY

ZDZISŁAW DĘBICKI

PISARZE POLSCY

TOM I

OD REJA DO SKARGI

WARSZAWA — POZNAŃ
NAKŁAD BIBLJOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU

Przedmowa.

Historja literatury polskiej w monografjach poszczególnych pisarzy ma na widoku zaspokojenie pilnej w naszem piśmiennictwie popularnem potrzeby zaznajomienia szerszego koła czytelników z najwybitniejszemi osobowościami twórczemi przeszłości i współczesności.

Powstaje ona w chwili, kiedy pierwszym obowiązkiem wszelkiej pracy kulturalnej musi być nawiązywanie nici, potarganych przez burze dziejowe i ustalenie ciągłości rozwojowej ducha narodowego.

Duch ten najpełniej, najdobitniej i najwyraźniej wypowiedział się na przestrzeni czterech z górą wieków w literaturze, gdzie, jak w skrzyni cedrowej, spoczęły najcenniejsze skarby myśli i uczucia polskiego. Czas wielki, ażeby te skarby, których strażnikami w okresie niewoli była szczupła garść ludzi nauki, udostępnić dzisiaj ogółowi czytającemu. Dotyczy to zwłaszcza przeszłości, która, odgrodzona od nas barjerą czasu i odmiennych, przez ten czas wytworzonych warunków, stała się dla wielu niezrozumiałą, a nawet obcą.

Tę niezrozumiałość trzeba usunąć, z tą obcością należy walczyć i przekonać ogół, że pisarze XVI-go, XVII-go i XVIII-go wieku są nam tak samo bliscy,

jak ci z pośród współczesnych, którzy »żyli, cierpieli i płakali z nami«.

Przekona się o tem z łatwością każdy, kto przeczyta z uwagą choćby tylko kilka urywków z nieśmiertelnych pism Jana Kochanowskiego czy Piotra Skargi, kto zetknie się z ich cudowną, po wszystkie czasy żywą polszczyzną, z ich gorącem umiłowaniem Ojczyzny i z ich nieustanną o nią troską.

Należy tylko do tego zetknięcia się zachęcić i przygotować, tak samo, jak należy również zachęcić i przygotować do głębszego, niż to się dzisiaj daje zauważyć u powszechności, obcowania z pisarzami XIX-go wieku i z całą literaturą współczesną, z nurtującemi ją prądami i ideami, które, wyprzedzając życie realne, prowadziły do odrodzenia narodu i zmartwychwstania Ojczyzny.

W odczuciu potrzeby służenia tej właśnie sprawie, autor wziął pióro do ręki, mimo że widział i oceniał wszystkie piętrzące się przed nim trudności.

Naprzód chwila dziejowa, pełna rosterki wewnętrznej i zamętu, nie sprzyja jeszcze spokojnej pracy literackiej.

Potem krótki termin, w jakim wydawnictwo ma być doprowadzone do końca i w jakim doprowadzone być musi, wywoła niewątpliwie pewne braki i niedopatrzenia w opracowaniu całości.

Zdając sobie z tego sprawę, autor nie wahał się jednak przystąpić do pracy, w rozumieniu, iż obowiązkiem jego jest na obywatelską inicjatywę wydawców odpowiedzieć równie obywatelską gotowością do wysiłku, skierowanego ku pożytkowi społeczeństwa, zwłaszcza ku

pożytkowi szerokich kół młodzieży polskiej we wszystkich dzielnicach, nie wyłączając Polski na wychodźtwie, która tak bardzo potrzebuje taniej, popularnej książki.

Całość wydawnictwa zamierzona jest na 40—50 zeszytów z tekstem historyczno-literackim i tyleż zeszytów z krótkiemi wyborami pism omawianych autorów, ilustrującemi ich działalność twórczą.

Całość ta po ukończeniu podzielona zostanie na pięć oddzielnych tomów, z których pierwszy obejmie literaturę złotego wieku, drugi — literaturę barokową, trzeci — czasy saskie i stanisławowskie, czwarty — romantyzm, wreszcie piąty — literaturę od r. 1863-go do chwili obecnej.

Oczywiście, nie mogą w tych szczupłych ramach zmieścić się wszyscy pisarze polscy. Poszczególne monografje będą więc poświęcone tylko pisarzom wybitnym o określonych indywidualnościach, którzy byli istotnie twórcami, to znaczy, wnieśli do literatury nowe wartości pod względem treści lub formy.

Obok tych, którzy są jak słupy wiorstowe przy gościńcu polskiej kultury, dzieje piśmiennictwa zarejestrowały długie szeregi nazwisk pisarzy o dużej niejednokrotnie zasłudze. O nich nie będzie tu mowy. Wolno nam jednak wyrazić nadzieję, że czytelnik, który spędzi jeden dzień z wybitnym pisarzem, należącym do tej lub innej epoki, zapragnie zczasem poznać tę epokę bliżej i sam już sięgnie do opracowań, które ukażą mu w całym blasku przeszłość lub teraźniejszość literatury ojczystej, rozszerzą lub uzupełnią jego wiadomości i uczynią go świadomym całej ogromnej pracy, której dokonały

pokolenia poprzednie w służbie Piękna i Prawdy. A wówczas dopiero oceni tę pracę należycie.

Gorąco pragnąc takiego wyniku dla jak najszerszego grona rodaków, oddajemy w ich ręce skromne, szare zeszyty „Pisarzy polskich“ w przeświadczeniu, że w domu czy w szkole spełnią one rolę przewodników dla tych, co przewodnika takiego potrzebują.

ZDZISŁAW DĘBICKI.

Spis rzeczy.

MIKOŁAJ REJ Z NAGŁOWIC.

(1505—1569.)

Językiem piśmiennictwa polskiego do wieku XVI-go była niemal wyłącznie łacina.

Przekazane nam przez średniowiecze polskie pieśni religijne i modlitewniki są zabytkami o charakterze raczej językowym niż literackim. Duch polski nie przemówił w nich, twórczość polska nie zaznaczyła tam swojej odrębności narodowej.

Inaczej być nie mogło. Naród młody, który na progu swojego życia państwowego rozstał się z rodzimą swoją cywilizacją, a przyjąwszy chrzest św., przyjął z nim razem w postaci gotowej starą, bo już bezmała tysiącletnią cywilizację chrześcijańską Zachodu, znalazł się odrazu pod tak przemożnym i przytłaczającym jej wpływem, że trzeba było pięciu wieków na to, aby mógł własną swoją duszę w sobie samym odnaleźć.

Oświecany przez Kościół, jako najwyższe wówczas a przez długi czas jedyne źródło światła, miał za nauczycieli duchownych, którzy, mocno związani z Rzymem, nie znali sami i nie używali w piśmie innego języka ponad język łaciński.

W tym języku powstały też pierwsze pomniki piśmiennictwa w Polsce. Po łacinie pisali nasi kronikarze, nie wyłączając ojca historyków polskich, Jana Długosza, po łacinie pisali także nasi poeci, których długi poczet świadczy o niemałym pochopie Polaków do pióra i o wysokim ich uzdolnieniu, że wymienimy tylko Klemensa

Janickiego (1516—1543), którego papież Paweł III uwieńczył, wedle przyjętego wówczas zwyczaju, wawrzynem poetyckim.

Język polski toczyć więc musiał długą i upartą walkę z wszechmocną łaciną, zanim zdołał zająć obok niej miejsce w piśmiennictwie. Współzawodnictwo było trudne, łacina bowiem górowała nad szorstką i niewyrobioną jeszcze polszczyzną swoim niedościgłym polorem, świetnością i giętkością stylu, wzorowanego na najpierwszych pisarzach starożytnych, poetach tej miary co Owidjusz, Wirgiljusz i Horacy, a prozaikach takich, jak Cicero i Titus Livius. Po łacinie można było nietylko wypowiedzieć wszystko, ale było się również przez wszystkich rozumianym, gdy rzecz, pisana po polsku, musiała być przeznaczona tylko dla szczupłego grona rodaków.

Nie kwapili się więc pisarze polscy, należący wówczas wyłącznie do stanu duchownego, do pisania po polsku. Urabiał się też język polski i nabierał form nie w piśmiennictwie właściwem, ale w modlitwach i pieśniach religijnych, układanych na użytek gminu i kobiet, nieznających łaciny.

Dopiero duch nowy, duch odrodzenia, który wionął na Polskę w pierwszej połowie XVI-go stulecia, i równocześnie z wzrostem jej potęgi mocarstwowej postawił ją w obliczu wszechstronnego rozkwitu narodowego, sprawił, że język polski nietylko wkroczył do piśmiennictwa, ale rychło zagarnął niemal wszystkie jego odłamy w swoje posiadanie.

Stało się to zwłaszcza z literaturą piękną, która od tej właśnie chwili ma w Polsce swój początek i w ciągu lat kilkudziesięciu wznosi się do szczytów, dorównywających najwyższym w Europie ówczesnej wzniesieniom natchnienia i kunsztu poetyckiego.

Okres ten nazywamy złotym okresem literatury polskiej. Zjawisko, wobec którego stoimy, jest olśniewające

i trudne do zrozumienia bez uwzględnienia dwóch, działających tu współrzędnie czynników.

Jednym z nich było wejście Polski za Zygmunta I-go w bezpośrednie i bliskie stosunki z Zachodem, co pociągnęło za sobą liczne wędrówki młodzieży akademickiej do uniwersytetów w Bazylei, Paryżu, Padwie i Bolonji, gdzie pęd do nowego życia przełamał był już zapory średniowiecza w postaci filozofji scholastycznej. Drugim — reformacja, która zużywszy dla swoich celów świeży jeszcze wówczas wynalazek druku, stworzyła wszędzie, a więc i w Polsce, bogate piśmiennictwo religijno-polemiczne, posługujące się językiem ojczystym, jako środkiem walki i obrony.

Na tem dopiero podłożu ogólnem mogły wyrastać i zarysowywać się wyraźnie osobowości twórcze, powołane do zakładania podwalin pod literaturę, już polską zarówno z języka, jak i z ducha, który ją ożywiał.

Pierwszym, któremu się w tym poczcie wyróżniające należy miejsce, był Mikołaj Rej z Nagłowic, słusznie zwany »ojcem piśmiennictwa polskiego«.

Urodzony w Żórawnie na Rusi Czerwonej, pod Haliczem, z ojca Stanisława i matki Barbary z Herburtów Żórawińskiej, był synem rodziny szlacheckiej, pieczętującej się herbem Oksza, a piszącej się »z Nagłowic« (w ziemi Krakowskiej).

Oddany w r. 1514-ym, jako 9-cioletni chłopiec, do szkoły w Skalmierzu, następnie po dwu latach do szkół we Lwowie (1516—1518), wreszcie do akademji krakowskiej (1518), tak dalece nie odznaczał się ani zdolnościami, ani zapałem do nauki, że rodzic, srodze tem stroskany, odebrał go z bursy jerozolimskiej w Krakowie i w roku 1519-ym z powrotem do Żórawna odwiózł.

Tam spędził Rej kilka lat na zupełnych wywczasach aż doszedł do wieku, kiedy wąs zaczął mu się sypać na wargach. Czas był wielki wiejskiej swawoli zaprzestać i nabyć jakiego takiego poloru, niezbędnego dla szlach-

1*

cica, który rychlej czy później o dwór królewski mógł się otrzeć a i o urząd pokwapić.

Mając to na względzie, ojciec oddał go w r. 1525-tym na dwór Andrzeja Tęczyńskiego, wojewody sandomierskiego.

Było wówczas we zwyczaju, że młodzież szlachecka na dworach wielkopańskich szukała dokształcenia i ogłady towarzyskiej. Przysłuchując się rozmowom, pisząc i rozwożąc listy, biorąc udział w liczniejszych zgromadzeniach i zabawach, wyrostek szlachecki, o ile miał oczy bystre i uszy chwytliwe, mógł istotnie odnieść korzyść niemałą z pobytu w środowisku, gdzie w wieku XVI-ym nie brak było ludzi, znających szerszy świat i oddychających powietrzem bujnego życia ówczesnego.

Życie to wydobywało się właśnie zwycięsko z krępujących je powijaków średniowiecznego ascetyzmu i, głodne »użycia«, szło z uśmiechem naprzeciw wszystkim rozkoszom, zarówno cielesnym, jak umysłowym.

Na biesiadach, częstych u wielkich panów, u dostojników świeckich i kościelnych, a i u zwykłej szlachty nierzadkich, stoły uginały się od obfitego jadła. Nie brak było także napojów. Rodzime, skromne piwo i miód coraz częściej zastępowało włoskim zwyczajem do codziennego wprowadzone użytku wino, które »przynosiło ulgę sercu i zaostrzało umysł«. Wesołe rozmowy i »trefne żarty« umilały czas biesiadnikom, przybranym w szaty kosztowne z drogich materyj zagranicznych, które szły do Polski przez Gdańsk, zbogacający się szybko od czasu powrotu swojego pod berło królów polskich (1457).

Czasu uczt, zwłaszcza na dworze królewskim, zaczynała się także odzywać lutnia, a pieściwym jej dźwiękom towarzyszyła melodyjna pieśń włoska, budząca w niejednej duszy słodkie wspomnienie młodości, spędzonej w akademji padewskiej lub bolońskiej na studjach humanistycznych.

Beztroska Horacego i jego zasada »korzystania z dnia« dawały folgę namiętnościom. Obyczaje, trzymane do niedawna w surowym rygorze przez Kościół, zaczynały się rozluźniać i psuć. Nawet duchowieństwo nie świeciło już przykładem, narażając się coraz częściej na słuszne zarzuty niewstrzemięźliwości w dążeniu do zdobywania ziemskich dostatków i rozkoszy.

Taka była atmosfera i taki był duch czasu.

Owionął on swoim gorącym tchem młodego Reja, który przybył na dwór wojewodziński Tęczyńskiego wprost z Żórawna, z kąta zabitego jeszcze deskami, napół okrzesany, niedouczony, a zgodnie z prawami swoich lat dwudziestu, chciwy wrażeń i łakomy życia.

Zetknięcie się z tym nowym, tak innym od żórawińskiego światem, nie mogło pozostać bez wpływu głębszego na umysł i na duszę młodzieńca.

Spotykając ludzi, których naukę, doświadczenie, dowcip i obejście musiał podziwiać, odczuł wszystkie swoje braki i całe swoje zaniedbanie szkolne.

Jak się wywiązał z powierzonych sobie przez wojewodę zadań naprzód sekretarza a potem komornika, tego nie wiemy. Musiał jednak, dzięki wrodzonej bystrości umysłu obowiązkom tym podołać, skoro całych lat pięć przetrwał w charakterze dworzanina u Tęczyńskiego i dopiero w roku 1530-ym prosił o odprawę. Wyjechał wówczas na wieś, do dziedzicznej Topoli w Krakowskiem. Pojąwszy za małżonkę Zofję Kosnównę (Kościeniównę), przeniósł się w Chełmskie i tam czas dłuższy przemieszkiwał w Siennicy, którą był wziął za żoną, siostrzenicą arcybiskupa Rożego. »Tamże to w tem m i e n i u (majątku) — mówi Andrzej Trzecieski, pierwszy jego biograf i »dobry towarzysz, który wiedział wszystkie sprawy jego« — założył był miasteczko niedaleko Chełma, przezwiskiem Rejowiec«.

Cisza i samotność wiejska nie mogły mu jednak wystarczyć. Przyzwyczajony do częstego obcowania z ludź-

mi, do gwaru towarzyskiego i wesołej kompanji, wyrywał się ze wsi do Krakowa, dokąd, jak szczerze wyjawia Trzecieski, »bardzo go zawsze przyrodzenie ciągnęło dla dworu, bo bez tego żyć nie mógł«.

Żadnego więc sejmu, zjazdu, ani żadnej koronnej sprawy »nie zamieszkał«.

»I był nań stary król bardzo łaskaw — czytamy u Trzecieskiego — także i królowa Bona, i dał mu był jurgielt i stację skarmierską i wieś [1]), także i wszyscy panowie barzo ji radzi widzieli i wiele mu dawali. Także potym od arcybiskupa Gamrata dzierzał Kurzelów i Biskupice. A urzędem żadnym ziemskim nigdy się nie chciał parać; powiadał, iż w zatrudnionym żywocie dwa co najszlachetniejsze klejnoty ciążone być muszą: wolność a sumienie, które, powiadał, iż w zabawionym (zajętym pracą) żywocie nigdy bezpieczne być nie może. A wszakoż, kiedy rozumiał, iż tego była potrzeba, bywał posłem [2]) i bardzo rad służył Rzeczypospolitej, bo już ze zwyczaju rozumiał i sprawy koronne i prawo pospolite. Ale się nie chciał żadną rzeczą bawić, tylko wolny a spokojny żywot sobie obierał. A z Polski też, jako żyw, za żadną granicę nie wyjechał, chyba w Księstwie Litewskim bywał i to barzo mało«.

Łaskawość, którą otaczał Reja Zygmunt Stary, nie wygasła z jego śmiercią. Przejął ją po ojcu Zygmunt August. Dzięki temu dostatek Reja rósł szybko i zapewniał mu życie bez troski.

Do dawnych jego majętności przybyły jeczcze Dziewiąciele, dar Zygmunta Augusta, miasto Oksza, które niedaleko Nagłowic założył i »niemało był mienia tam potym przykupił«, wreszcie »spuszczone« mu przez Pawła Bystrama Popkowice i Skorczyce w ziemi lubelskiej.

---

[1]) Temerowce w ziemi halickiej.

[2]) Posłował dwukrotnie, ale już na schyłku życia: na Sejm piotrkowski w r. 1558/9 i lubelski 1569 r.

Było więc na czem siać, orać i zbierać, aby, spławiwszy pszenicę na ładownej komiędze do Gdańska, mieć złota pod dostatkiem.

A złota tego dworzanin Zygmunta Starego, a później, za Zygmunta Augusta sekretarz królewski potrzebował niemało, albowiem (mówi Trzecieski) »panięta a ludzie młodzi zawżdy się około niego bawili, bo był człowiek poczciwy, zachowały, dworski«.

Nie były to zabawy wyszukane. Polegały głównie na rozkoszach zmysłowych, którym Rej, na równi z całą oświeconą współczesnością hołdował, mniej może tylko od innych mając umiarkowania w jadle i napoju, do czego od wczesnych lat młodzieńczych miał pociąg niemały.

Ten grzech swój jednak znał i sam go nawet piętnował.

»Nie bez przyczyny — mówi opat Wereszczyński — z tych niepomierników natrząsa się w pisaniu swem i ów polski poeta, Rej stary, który choć też sam rad dobrze pił i jadał, bo był Phegon (żarłok) prawy, tegom ja dobrze znał, bo często u podsędka chełmskiego, ojca mojego, dla używania myśliwstwa bywał... Albowiem zawżdy kiedy przyjechał, pudło śliw jako korzec krakowski, miodu praśnego pół rączki, ogórków surowych wielkie niecółki, grochu w strączkach cztery magierki, na każdy dzień na czczo to zawsze zjadał. A potem z chlebem garniec mleka zjadłszy, jabłek z kopę, a pół tryfusa gniłek spasłszy, do tego sztukę mięsa abo raczej cztery świeżego wezbrawszy, półmiskom kilkom czupryny zmiąwszy, kapustą kwaśną potem dorobił, mało już o żabki włoskie dbał. Potem gdy do ugaszenia pragnienia przyszło, gdybym o tem pisał szeroko, byłoby niejednemu śmieszno. Bo jak rad jadał potrawy trefne, także też nadto pijał piwo dobre, jedno gorzkie, kwaśne, na ostatek i mętne; a gdy trafił do kogo na łotrowskie piwo, to pił aż mu w karku trzeszczało: a też nieraz mu się trafiało, że to smaczne piwko, jako słodki wrzód z gardła mu się nazad

dobywało, a jeszcze sobie ust nie utarł, a przed się wołał, aby mu pełną inną nalano, i innych napominał, aby też spełnili, pana gospodarza nie przepomniano; to ono piwko znowu przed gośćmi i przed gospodarzem wychwalał i aż do nieba wynosił, nie wyjechał nigdy z domu tego, aż wypił z gośćmi i z gospodarzem wszystko, acz to było gościom, a najwięcej gospodarzowi brzydko. Acz tego nie wiem, jeśli gdzieindziej w pomiernem życiu się kochał, ale w ziemi chełmskiej wiele jadał i pijał«.

Kiedy się to świadectwo wiarogodnego pisarza czyta, aż dziw bierze na myśl, iż ten szlachcic tyle żarłoczny, który do lat dwudziestu »z rusznicą a z wędką biegając koło Dniestru, bąki strzelał« (Trzecieski), a potem, na dworze Tęczyńskiego »był zawżdy zabawion towarzystwem a muzyką tak z natury, że rzadziej której nie umiał«, któremu i tam »myślistwo też wiele przekazało« (Trzecieski), mógł »teksty dziwne a wirsze rozmaite, tak nic nie rozmyślając czynić«, a tyle tego za żywota nie nazbyt długiego dokonał, jakby do najpierwszych umysłów i do najpracowitszych w Polsce ówczesnej panów należał.

Zawdzięczał to Rej niewątpliwie wielkim darom przyrodzenia. Bystry jego umysł nadrabiał też, jak mógł, braki wykształcenia i czerpał od ludzi, z którymi obcował, to, co inni brali z książek.

Wojewoda Tęczyński, otrzymawszy ten surowy i nieokrzesany materjał, poznał się na nim rychło, a spostrzegłszy, iż »łacińskiego języka bardzo mało, abo nic nie umiał«, począł go »w listy polskie wprawować«.

Tak się Rej do pisania w języku ojczystym wzwyczaił, gdy wszyscy jeszcze po łacinie pisali.

Im jednak bardziej do dworu nawykał, tem dotkliwiej brak łaciny odczuwał. Chciał temu zaradzić, więc »z rozmów między pisarzmi, z czytania, a snać więcej z natury, jął się był przegryzować potrosze i łacińskiego pisma czytać, a czego nie rozumiał, tedy się pytał. Także potym z onego zwyczaju począł potrosze rozumieć, co

czytał, a Bóg a natura ostatka dodał, iż był przyszedł potem ad judicium (do rozeznania), iż wżdy już rozumiał, co czarno a co biało«. Reszty dokonały dwa w życiu jego przemożne czynniki: stosunek z oświeconymi dworami Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta, gdzie ostatecznie nabrał ogłady i reformacja, ktorej stał się gorącym zwolennikiem, a która umysł jego obudziła do walki i w wolę tej walki hojnie uposażyła.

To uczyniło z niego dopiero pisarza na miarę historyczną.

Przedtem »zabawiał« się raczej piórem.

Początek jego twórczości nie jest ustalony i ustalić się nigdy nie da.

Prawdopodobną jednak jest rzeczą, iż zaczął pisać wcześniej, niż to przypuszczają historycy literatury, tylko, że były to rzeczy ulotne, nietylko w druku, ale nawet w pamięci niczyjej nie utrwalone. Mogły to być rymy czasu biesiad, przy stole rzucane, ku rozweseleniu współziemian na prędce tworzone, co mu »ze zwyczaju a z natury tak snadnie przychodziło, że tego przez jednę noc napisał, co chciał, bo we dnie nie mógł, bo był barzo ludźmi zabawiony«.

Od Trzecieskiego wiemy, że pozatem, co nas doszło, napisał Rej także wiele rzeczy innych, na zawsze zaginionych, że między temi utworami była wielka ilość pieśni nabożnych i świeckich, »wierszów rozlicznych«, były także »Epitaphia ludziom poczciwym, także też na herby ich — to temu i liczby nie było«.

O tę całą twórczość swoją Rej zgoła nie dbał, jak nie miał też żadnej próżności autorskiej nawet wówczas, gdy imię jego już nabrało rozgłosu. Powiada Trzecieski, iż »na żadnem piśmie swem ani się podpisać ani swego imienia wspomnieć nie chciał«, mówiąc, »iż się tego wstydał, iż był nieuczony, a miotał się prawie jako z motyką na słońce«. Pomimo to jednak pisał, bo pisanie było jego potrzebą wewnętrzną.

Urodził się na pisarza. Nie na poetę, acz pierwszemi próbami jego pióra były rymowane pieśni nabożne.

Słabe to były rymy. »Z bogatego skarbca metrów i miar poezji ludu w Polsce — mówi Adam Mickiewicz w swojej »Literaturze słowiańskiej« — brał Rej kształty najuboższe, najciaśniejsze, najlichsze: gdy bowiem pieśń, właściwie tak zwaną, uważano jeszcze za rzecz zupełnie obcą literaturze, chcąc zjednać jej przyjęcie u literatów, odzierał ją ze wszystkiego, co stanowiło jej bogactwo i różnobarwność. Tak tedy zarobił sobie na szacunek uczonych, ale niczem się poezji nie zasłużył: jako poeta był bardzo mierny, zgoła nawet nie miał usposobienia poetycznego, porwany prądem swojego wieku nie mógł dosyć skupić ducha, żeby wydać utwór znakomity, celujący bądź myślą, bądź formą. Pieśni właściwe i pieśni, zachowane w kantyczkach, bez porównania więcej mają cechy dla poezji polskiej, niżeli rymotwórcze próby Reja. Uczynił on jednak bardzo wiele przez to, że pokazał ludziom książkowym, nauczycielom i poetom z profesji bytność literatury ludowej, obudził ich ciekawość do rozważania form poezji gminnej«.

Sąd ten, wydany ze szczytów poezji polskiej, jest najmiarodajniejszym sądem o Reju, jako o poecie. Nic do niego dodać ani nic z niego ująć nie można. Istotnie, Rej nie był poetą. Był natomiast pisarzem polskim w wielkim stylu, prozaikiem, pod którego piórem język polski rozrósł się i zmężniał i z języka, używanego dotąd przeważnie tylko w mowie potocznej, stał się językiem literackim, nietylko dojrzałym do wyrażania wszystkich myśli, pojęć i uczuć, ale nadto pociągającym błyskami nieznanego przedtem artyzmu.

Czy był jednak pierwszym, któremu przypada w udziale zasługa stworzenia prozy polskiej?

Pytanie to rozstrzyga Bronisław Chlebowski w swojem studjum o Reju, jako pisarzu, w sposób następujący:

— Przez długi czas — mówi — Górnicki uchodził za twórcę prozy polskiej. Jego »Dworzanin« w zestawieniu z późniejszym o trzy lata »Żywotem człowieka poczciwego« Reja przedstawiał istotnie wielką wyższość w wyrobieniu języka. Tymczasem okazało się, że uważany za łacińskiego wyłącznie pisarza Kromer na lat 14 przed »Dworzaninem« osiągnął w swym zapomnianym »Mnichu« takie mistrzostwo prozy polskiej, iż w porównaniu z nim Rej wydać się musi przewlekłym gawędziarzem, a zasługa Górnickiego maleje. Jeżeli jednak znowu cofniemy się o lat 15 i weźmiemy w rękę »Gadki Arystotelesa« w przekładzie Glabera z Kobylina (1536), to znajdziemy w nich taką swobodę, raźność i giętkość wysłowienia, że wobec tego nie dziwią nas ani wyborne próby polszczyzny Orzechowskiego z r. 1549-go, ani też przechowane w djarjum sejmu z r. 1548-go świetne mowy, świadczące, że rozwój języka wyprzedził zjawienie się pisarzów polskich.

W chwili więc, kiedy Rej wystąpił ze swym pierwszym znanym utworem (1543), język już istniał, rozwinięty przez szybko szerzącą się oświatę humanistyczną, ogładę obyczajową, życie polityczne, a nadewszystko przez potężny ruch religijny.

Reformacja, jak już mówiliśmy, odbiła się dodatnio na polskiem życiu narodowem i była jednym z czynników, którym literatura XVI-go wieku zawdzięcza swój rozwój.

Kiedy Rej zetknął się z »nowinkami religijnemi«, ściśle niewiadomo.

Prawdopodobnie jednak — przypuszcza Chlebowski — jeszcze na dworze Tęczyńskiego zaczął interesować się »pisemkami reformatorskiemi, które krytyką duchowieństwa zyskiwały sobie powodzenie wśród szlachty, mającej częste zatargi o dziesięciny, i wśród panów świeckich, niechętnie znoszących przewagę biskupów w senacie«.

Nie było to zainteresowanie powierzchowne i przemijające. Wywołało ono głęboką przemianę w duszy Reja

i uczyniło go jednym z najgorliwszych szerzycieli nauki Kalwina w Polsce.

Miarą tej jego żarliwości jest surowe potępienie, z jakiem spotkał się w obozie katolickim, który, jako przeciwnika, usiłował go zohydzić w oczach współobywateli.

Zapewne, jest dużo przesady w tych mianach, jakie mu nadawano: »szatana rozwiązanego«, »smoka z Okszy«, »Sardanapala nagłowskiego«, »marchołta«, »przechery«, »człowieka bez czci i wiary«, ale jest i trochę prawdy: walka szła na ostre i Rej poważnie musiał zadrzeć z duchowieństwem katolickiem. Wiadomo, że wypędzał kapłanów z kościołów parafjalnych i najeżdżał dobra klasztorne, o co biskup krakowski, Zebrzydowski, piśmiennie go napominał. Stąd nie dziw, że w duchowieństwie katolickiem miał zawziętych nieprzyjaciół. Obrażeni na niego duchowni katoliccy powiadają, że »jeździł po domach obywatelskich ze zgrają próżniaków, którzy wodzili z sobą wszetecznice i w czasie wielkiego postu wyprawiali maszkary«. (Michał Wiszniewski »Historja literatury polskiej«, tom VII, str. 23—24.)

Nie są to relacje bezstronne. Przeciwnie, czuć w nich wyraźną chęć pognębienia nieprzyjaciela, który, w dodatku, miał i dużo nawet słusznych powodów do swoich ataków na »tłumicieli słowa Bożego«, głoszących nie »szczerą« naukę Chrystusa, lecz przystosowaną do potrzeb i wygód własnych. Duchowieństwo katolickie nie było wówczas bez zarzutu, a jeżeli Rej w walce z niem w środkach nie przebierał, to i z drugiej strony nie używano ani słów aksamitnych, ani środków łagodnych i miękkich. W obu obozach stali naprzeciw siebie ludzie dość szorstcy i grubi, a szorstkość tę i grubość przyrodzoną podniecała jeszcze namiętność, tak nieodłączna od sporu, zwłaszcza religijnego, gdzie najgłębsze uczucia ludzkie w grę wchodziły.

Dla Reja ta walka, w którą go wciągnął czas, jako dojrzałego obywatela, oceniającego zdrowym »chłopskim rozumem« zjawiska życia, była najsilniejszą niewątpliwie

ostrogą, jaka go w zawodzie pisarskim uderzyła i do wysiłku popchnęła.

Reformacji też zawdzięczamy niewątpliwie fakt, że Rej z przygodnego »wierszoroba« stał się pisarzem prawdziwym i zawodowym, który w pismach swoich przekazał nam najdoskonalszy obraz życia i ludzi swojej epoki.

Już pierwszy z tych jego utworów, które do nas doszły, — »Krótka rozprawa między trzema osobami, panem, wójtem a plebanem«, wydana w Krakowie w roku 1543, pod pseudonimem Ambrożego Korczbok Rożka, jest wielkiej wagi dokumentem, rzucającym światło na stosunki wieku XVI-go. Prof. Brückner nazywa tę »rozprawę« pierwszą polską satyrą społeczną — i słusznie, w satyrycznem bowiem zwierciedle widzimy tam odbite oblicze nie trzech ludzi, ale trzech stanów: szlacheckiego, duchownego i kmiecego.

Z niemałą radością ówczesny ogół czytającego ziemiaństwa i mieszczaństwa, coraz mniej chętnem okiem patrzącego na łacinę i spragnionego druków polskich, czego świadectwa dość liczne mamy w przedmowach drukarzy-wydawców krakowskich z tej epoki, powitać musiał »Rozprawę« Reja.

Wprowadzała ona — mówi Chlebowski — do piśmiennictwa, w popularnej wówczas formie djalogu, zarówno trzy współczesne postaci (pan, wójt, pleban), jak i żywo ogół cały poruszające kwestje (obyczaje duchowieństwa, nadużycia sędziów i poborców, zbytek panów, ucisk kmieci, wady kobiet), wyrażone językiem, łączącym dworność z dosadnością, wierszem, chropawym co do rymów, lecz rwącym swym rytmem, odbijającym nastrój uczuciowy poety, ukazującym nam w oświetleniu ideału chrześcijańskiego całą ruchliwą rozmaitość postaci »szopki« ówczesnego życia, zacząwszy od księży i panów a skończywszy na biednych, od wszystkich skubanych kmiotkach i goniących za modnemi strojami wygadanych białogłowach.

Trzecieski powiada: »Pisał też zasię dla kmiotków, wójta z panem i plebanem, jako też zasię o swych doległościach rozmawiają«.

Możnaby stąd wnosić, co, zresztą, stwierdzają liczne ustępy utworu, że Rejowi chodziło o poprawę doli kmieci. »Krótka rozprawa«, istotnie, najwięcej miejsca poświęca odmalowaniu doli kmiecia, który »na robotę wszytką wydał swą prostotę — a to jego wszytka chciwość — mieć pokój i sprawiedliwość«. — Tymczasem jedyną ulgą w ciężkiej doli kmiecia jest łatwa śmierć.

Nie oszczędzając księży, sędziów, poborców, ziemian, satyra Reja omija zręcznie panów.

Utwór ten, jako całość, obok bogatej, wziętej z życia ówczesnego treści i ciekawego stanowiska, jakie zajmuje tu poeta wobec spraw społecznych, przedstawia pod względem literackim doniosłe, o trwałej wartości zjawisko.

Drugiem z kolei znaczniejszem dziełem Reja, które doszło do nas, jest wydany w dwa lata po »Rozprawie«, w r. 1545-ym u Unglerowej w Krakowie djalog p. t. »Żywot Jozepha z pokolenia żydowskiego, syna Jakubowego, rozdzielony w rozmowach person, który w sobie wiele cnót i dobrych obyczajów zamyka«.

Prof. Roman Pilat zauważa, iż pozostaje on w związku z współczesną literaturą zagraniczną, mianowicie niemiecką. W pierwszej połowie XVI-go wieku zajmowano się bardzo chętnie dramatyzowaniem opowieści biblijnych, a jednym z najulubieńszych tematów była znana historja o Józefie, synu patrjarchy Jakóba, którą przerabiano nadzwyczaj często, układając z niej djalogi, widowiska, dzieła dramatyczne w języku łacińskim lub niemieckim, przeznaczone nieraz do przedstawień teatralnych, dawanych przez Niemców. Ta literatura dramatyczna, o ile pisana była w języku łacińskim, dostawała się wraz z prądem reformacyjnym do Polski i pod jej wpływem utworzył Rej swój Żywot Józefa.

Poemat podzielony jest na 12 »spraw« czyli aktów (właściwie jest ich 13, gdyż trzecia sprawa powtarza się prawdopodobnie przez omyłką dwa razy).

Przedstawia tutaj Rej w formie djalogu historję Józefa od czasu młodości w domu rodzicielskim aż do chwili, w której zostaje rządcą Egiptu i sprowadza do siebie ojca i całą rodzinę. Poszczególne epizody tej historji traktowane są dość krótko, tylko epizod pobytu na dworze Putyfara, miłość Putyfarowej i kuszenie cnotliwego Józefa przedstawione są obszernie i szczegółowo i zajmują prawie tyle kart, ile reszta poematu.

Badania prof. Nehringa i Bruchnalskiego wykazały w wielu ustępach podobieństwo między dziełem Reja a jednym z najznakomitszych i najbardziej rozpowszechnionych współcześnie dramatów o Józefie, mianowicie łacińskim dramatem p. t. »Comedia sacra cui titulus Joseph«, napisanym przez Korneljusza Crocus'a, Jezuitę z Niderlandów, a wydanym w Kolonji w r. 1537. Djalog Reja, jako tego rodzaju utwór, jest bardzo jeszcze pierwotny, rozwlekły; dla dzisiejszego czytelnika nudny. Pomimo jednak tych wad, »Żywot Józefa« ma znaczenie duże w historji literatury.

Jest to — mówi prof. Pilat — nasamprzód pierwszy obszerniejszy poemat, pisany w języku polskim, a następnie znowu pierwsza poważniejsza próba na polu literatury dramatycznej. Przed Rejem były tylko średniowieczne djalogi pasyjne i wielkanocne, ale nie było utworu, odpowiadającego chociażby w części ówczesnemu rozwojowi poezji dramatycznej poza granicami Polski.

Tam, po opadnięciu więzów charakteru kościelnego i ludowego, w dramacie wysunęła się naprzód dążność moralizująca, zabarwiona duchem reformacyjnym epoki.

Takim utworem, w duchu współczesnych wyobrażeń dramatycznych napisanym był »Żywot Józefa« Reja.

Poza »Żywotem« Trzecieski wymienia jeszcze cztery inne — i to wcześniejsze — satyryczno-moralizujące

i etyczno-dydaktyczne djalogi Reja, a mianowicie: »Kostery z pijanicą«, »Warwasa z Dykasem«, »Lwa z kotem« i »Gęsi z kurem«. Wiemy, że były one wydane, dotychczas jednak nie udało się odnaleźć ani jednego egzemplarza drukowanego tych djalogów.

Natomiast szczęśliwie dochował się w dwóch, chociaż zdefektowanych egzemplarzach, wydany w roku 1545 lub 1546-ym Rejowskiego przekładania »Psałterz Dawidów, który snać jest prawy fundament pisma krześcijańskiego«. Jeden z tych egzemplarzy przechowuje się w bibljotece uniwersyteckiej w Warszawie, drugi w bibljotece Czartoryskich w Krakowie.

Psałterz ten, przedrukowany na podstawie obu egzemplarzy przez prof. Ptaszyckiego w »Pomnikach piśmiennictwa polskiego«, wydawanych przez Józefa Zakrzewskiego, wyszedł z druku w Petersburgu w r. 1901 i obalił ostatecznie przypuszczenie o istnieniu całkowitego przekładu Reja, dokonanego wierszem, mamy bowiem do czynienia tylko — i to z częściową — parafrazą prozą, z dodaniem modlitwy po każdym psalmie.

W tym samym mniej więcej czasie wydał Rej kilka jeszcze dziełek, napisanych przeważnie, jak przypuszcza prof. Korbut, w formie djalogowej. Wymienia je Trzecieski pod tytułami: »Spectrum albo nowy czyściec«, »Książki nadobne o potopie Noego«, »Kupiec, to jest kształt a podobieństwo Sądu Bożego ostatecznego« (w Królewcu pruskim, Miesiąca sierpnia A. D. 1549).

Do pierwszego okresu twórczości Reja należy jeszcze (nieustalonego autorstwa) djalog p. t.: »Rzeczpospolita chromiąc tuła się po światu, szukając pomocy a narzeka na swe pany, iż o nią nie dbają«, odnaleziony przez Józefa Korzeniowskiego.

Inne, pomniejsze zabytki, zwłaszcza, że część ich »uchodzi« tylko za pisma Reja, z konieczności musimy tu pominąć.

Przejdziemy natomiast do tych, które stanowią zręb zasługi literackiej Reja.

Należy tu przedewszystkiem pierwszy w Polsce, przeznaczony dla wszystkich, wykład moralny ewangelji p. t. »Świętych słów a spraw pańskich... Kronika albo Postilla, polskim językiem, a prostym wykładem też dla prostaków krótce uczyniona«. W Krakowie. M. Wierzbięta 1557.

O popularności tej książki świadczy fakt, że już w r. 1560-ym wyszła w drugiem wydaniu, w r. 1566-ym w trzeciem, w r. 1571-ym w czwartem, a w r. 1594-ym w piątem. Na ówczesny szczupły zastęp czytelników jest to sukces niebywały.

Postylla była zdecydowanym krokiem Reja w kierunku akatolicyzmu. W dziele tem, jak również w drugiem, wydanem w r. 1565 u tegoż Wierzbięty w Krakowie p. t. »Apocalypsis to jest dziwna sprawa skrytych tajemnic Pańskich, które Janowi Świętemu, gdy był wygnan przez wyznanie wiary świętej na wysep, który zwano Patmos, przez widzenia i przez Anioły rozlicznie zwiastowane były« — napadał Rej ostro na Kościół i bez ogródek wyszydzał duchowieństwo, chłoszcząc wady jego w sposób rubaszny i gwałtowny.

Okres, zawarty pomiędzy Postyllą a Apokalipsą był okresem największego rozwoju talentu pisarskiego Reja i najwrażliwszej pobudliwości twórczej. Pisał wówczas z niesłychaną łatwością i dużo. Świadczy o tem wydany przez niego w r. 1558, a więc w rok zaledwie po Postylli, najobszerniejszy jego utwór p. t. »Wizerunek własny żywota poczciwego, w którym jako we zwierciedle każdy swe sprawy oglądać może, zebrany i z filozofów i z różnych obyczajów świata tego«.

Jest to rozwlekły, bo 12,000 wierszy liczący poemat o charakterze moralnym, filozoficznym i dydaktycznym, pełen ciekawych alegoryj, przy których pomocy Rej chciał przedstawić nieustanną walkę człowieka z przeszkadzają-

cemi mu w drodze do cnoty namiętnościami i cnotę tę postawić jako cel dążeń ludzkich na ziemi. Pomysł »Wizerunku« nie jest własnym pomysłem polskiego poety. Zaczerpnął on go z popularnego wówczas w Polsce poematu Włocha, Palingeniusa (Pietro Angelo Manzolli'ego), wydanego w Bazylei w r. 1531-ym p. t. »Zodiacus vitae«. Zależność Reja od tego pierwowzoru jest bliska i ścisła, tak dalece, że miejscami nie może być mowy o twórczości oryginalnej, ale tylko o przeróbce. Z drugiej jednak strony nie brak i licznych wkładów własnych autora, dotyczących współczesnego domowego i społecznego życia polskiego, przez co »Wizerunek« nabiera cech lokalnych.

Główną osobą poematu jest młodzieniec, żądny prawdy. Aby tę prawdę posiąść, wędruje on po świecie i obchodzi kolejno rozmaitych mędrców greckich i proroków wschodnich, szukając w rozmowach z nimi odpowiedzi na pytanie, jakie są powinności prawego człowieka i jak należy »żyć poczciwie«. Rad i wskazówek udzielają mu: Hipokrates, Diogenes, Epikur, Anaksagoras, Sokrates, Teofrast, Solinus, Plato, Zoroaster, Ksenokrates, Solon, wreszcie — najbardziej trafiający mu do przekonania — boski Arystoteles, który wskazuje mu cnotę, jako jedyną drogę, po której w życiu iść należy.

Mniej nas obchodzą dzisiaj filozoficzne wywody Reja-Palingeniusa. Więcej te ustępy poematu, w których odbiło się życie polskie. Do takich należą: obraz żarłoka (rozdz. II.), obraz żarłoka i pijaka (rozdz. III.), ustęp o gospodarstwie, o ożenieniu się i rozkoszach małżeństwa (rozdz. V.), opis wizyty w sąsiedztwo i opis podróży młodzieży za granicę (rozdz. VI.), opis niesprawiedliwych sądów (rozdz. VIII.) i inne.

»Gdyby wykroić je z całości — mówi prof. Pilat — i traktować jako osobne utwory, możnaby je uważać za wyborne satyry lub obrazki opisowe, świadczące nietylko o wysokim darze spostrzegawczym autora, ale także o niezwykłym darze zmysłowego, plastycznego przedstawiania

rzeczy; słabą ich stroną jest obok przesadnej rubaszności forma zewnętrzna, niedość zaokrąglona i nieartystyczna. Ale nawet w połączeniu z niesmaczną i nudną treścią ogólną »Wizerunku«, utopione w prawdziwem morzu refleksji i wywodów filozoficzno-obyczajowych poematu, nie tracą one na wartości; one to, pomimo, że pozostają w sprzeczności z ogólnym kolorytem dzieła, nadają mu wiele samoistnej cechy, oryginalnego charakteru i w istocie rzeczy stanowią główną jego zaletę. Z powodu tej wielkiej liczby drobnych obrazków i opisów jest »Wizerunek« przynajmniej w części rzeczywistym wizerunkiem obyczajów i życia społeczeństwa polskiego w w. XVI-ym i zarazem nadzwyczaj cennem źródłem dla charakterystyki epoki i czasu. W zapatrywaniach religijnych, politycznych i społecznych, rozrzuconych po całym poemacie, wyziera co chwila szlachcic polski XVI-go wieku z czasów reformacyjnych, zacięty przeciwnik duchowieństwa i papizmu, zwolennik swobód szlacheckich, narzekający na nadużycia władzy urzędników koronnych, na możnych panów i na zdzierstwa mieszczaństwa«, lubujący się natomiast — mówiąc słowami Trzecieskiego — w »spokojnym a poczciwym« żywocie szlacheckim.

Wiersz »Wizerunku« jest trzynastozgłoskowy, układany w rymowane pary.

W pokrewieństwie pod względem obyczajowo-moralnym z »Wizerunkiem« znajduje się »Zwierzyniec, w którym rozmaitych stanów ludzi, zwierząt i ptaków kształty, przypadki i obyczaje są właśnie wypisane b. m.« Kraków, Mat. Wierzbięta. 1562.

Utwór ten należy do najciekawszych w puściźnie Reja. Nie ma on kompozycji jednolitej. Jest właściwie obszernym zbiorem epigramatów, połączonych tylko wspólną tendencją walki ze złem.

I tu twórczość polskiego poety oparła się o wzory obce. O jakie, tego jeszcze nie wyśledzono. Prof. Chrzanowski i Bruchnalski przypuszczają, że Rej korzystał tu

głównie ze sławnego dzieła Erazma Rotterdamskiego, wydanego w Bazylei, w r. 1531-ym p. t. Apophtegmata oraz z dzieła Włocha, Fulgosy, przetłómaczonego z języka łacińskiego i wydanego po raz pierwszy w roku 1541-ym.

Że jednak w ówczesnej literaturze były także inne, podobne zbiory, przeto możliwy jest jeszcze wpływ dzieł bliżej nam nieznanych. Tak czy inaczej w »Zwierzyńcu«, podobnie jak w »Wizerunku« obok naśladownictwa a nawet niewątpliwej parafrazy, mamy także i to dość obficie do czynienia z oryginalną twórczością Reja, z jego samorodnym polskim dowcipem i z jego, tak mu przyrodzoną satyrą, tam zwłaszcza, gdzie nie idzie o ludzi, ale o urzędy, stany i życie publiczne w Polsce.

Panom i szlachcie Rej narazić się w »Zwierzyńcu« nie chciał. Dość spojrzeć na rozdział II-gi, wypełniony charakterystycznemi sylwetami popularnych wówczas osób i rodzin. Nikt tu nie jest zganiony, przeciwnie, pełno na każdym kroku uznania i pochwał, nawet dla słynnego Gamrata, biskupa krakowskiego, co jest tem znamienniejsze, że niechęć Reja do duchowieństwa bynajmniej jeszcze wówczas nie osłabła, że w tym samym »Zwierzyńcu« nie brak ostrych bardzo epigramatów, boleśnie kłójących papieża, Rzym, biskupów, księży, opatów, mnichów i związki, a dalej mnóstwa także bardzo ciekawych uwag o życiu domowem i państwowem Rzeczypospolitej, gdzie »wszystko się miesza« a »szczęście jej wisi na cienkiej nici«.

Trudno oprzeć się tu podziwowi dla bystrego rozumu Reja, który widział jasno braki i niedomagania ustroju Polski, acz sam był fanatycznym tego ustroju zwolennikiem. Nie zamykał jednak oczu na »niedbałość polską«, na »marny nierząd«, na »zawikłane prawo«, na to, że w Sejmie »niezgodni słudzy« Rzeczypospolitej tak ją »rozciągają aż jej skóra trzeszczy«, że w »organach« (polskich) »różne piszczałki pięknie przepierują«, bo »te-

norowi we wszytkiem folgują«, w Rzeczypospolitej zaś nie zgadzają się na jeden głos ale »różno beczą«.

Są w tem już jakby pierwsze przeczucia późniejszego osłabienia, upadku i rozkładu Rzpltej, przeczucia, które dyktować mogła tylko głęboka troska o przyszłość. Niezależnie jednak od tego, widząc wszystkie wady swoich współczesnych i swoje własne, Rej jest nieodrodnym synem »droższej niźli złoto wolności« szlacheckiej i zawsze wyłącznie tylko tego stanu interesy ma na widoku. Roli mieszczaństwa i ludu w państwie zgoła nie rozumie, jak nie rozumiał ich nikt wówczas. Mieszczan poprostu wyśmiewa, nad chłopami lituje się, ale o poprawie ich losu nie myśli, w czem zresztą, nie różni się prawie wcale od dalekich swoich potomków, ziemian współczesnych.

Do najcenniejszych w »Zwierzyńcu« epigramatów należą te, w których jest mowa o ówczesnem życiu domowem i gospodarskiem, o zajęciach ziemianina, o ubiorze, sprzętach i drobnych sprawach życia codziennego. Są tu informacje bardzo cenne, dla historyka kultury i obyczajowości polskiej w wieku XVI-ym.

Dalszym niejako ciągiem »Zwierzyńca« jest osobno wydany zbiór pełnych swoistego humoru anegdot, facecyj i opowiadań wierszowanych p. t. »Powieści przypadłe, z których się może wiele rzeczy przestrzedz i zowią to Apophtegmata«.

»Powieści« te wyszły po raz drugi w r. 1570-ym pod bardziej znanym i popularnym do dzisiaj w Polsce tytułem: »Figliki albo rozlicznych ludzi przypadki dworskie, które sobie po zatrudnionych myślach dla krotofile wolny będąc czytać możesz«.

Rej stał się przez te swoje „Figliki" ojcem nowego rodzaju w literaturze polskiej i w ciągu dwu bezmała stuleci znalazł niemało naśladowców.

Syci, zadowoleni, szczęśliwi, spędzający połowę swojego życia przy stołach biesiadnych panowie i ziemianie

XVI-go wieku mieli żywe odczucie humoru, potrzebowali go i cenili.

Podobnie było zresztą i na całym Zachodzie ówczesnym, gdzie literatura »facecyjna« w tym okresie rozkwitła. Nie obce były Rejowi zbiory po łacinie pisanych średniowiecznych i renesansowych facecyj, anegdot, żartów i krótkich powiastek, zwłaszcza Poggia i Bebla. Na tych zbiorach zaprawiał się nasz poeta, acz, jak zwykle, nie był imitatorem bezindywidualnym, ale zaczerpnięty pomysł lokalizował, w szaty polskie przybierał, ślady obcego pochodzenia zacierał, w polskie stosunki wkorzeniał, barwą rodzimego, rubasznego żartu okraszał i tak przyprawiał do smaku swoich ziomków, że podniebienia ich literackie, rozkoszy niemałych doznając, ani wiedzieć chciały, że ten i ów figlik »szczerze polski« z obcych zrodzony jest rodziców.

»Figliki« Rejowskie z dzisiejszego stanowiska są humorystyką brutalną, niezgrabną, pozbawioną zupełnie finezji, która stanowi istotę dobrego żartu nowoczesnego, grzeszą rozbrajającą naiwnością obok wprost »niecenzuralności«.

Jakby w zrozumieniu tego, że »dworskie przygody«, opowiadane w »figlikach« są nie dla wszystkich uszu, Rej wydał wkrótce potem nowe Apophtegmata, różne od poprzednich, zawierające wiersze o treści poważniejszej, omawiające ludzi, ich przymioty i wady, a mocno podszyte wyraźną tendencją moralną, która w tej epoce życia Reja znalazła swój pełny wyraz w »Zwierciedle«, wydanem na rok przed śmiercią, w znanem pod nazwą »Żywot człowieka poczciwego« (1568). Dołączył do tego poeta jeszcze »Przemowę krótką do poczciwego polaka stanu rycerskiego«, oraz najpiękniejszy niewątpliwie swój utwór poetycki, jedyny w którym brzmi nuta prawdziwej poezji p. t. »Tenże to (poczciwy polak stanu rycerskiego) z światem, dobrym towarzyszem swoim i z jego ozdobnemi przypadki żegnając się, rozmawia krótkiemi słowy«

Wiersz ten świadczy także o przełomie wewnętrznym, jaki nastąpił w duszy Reja pod koniec jego życia, o wyraźnej jego skrusze i poprawie obyczajów.

Oto w jakich słowach poeta zwraca się do Boga:

»Ty też, mój miły panie, z nieba wysokości,
Przyym więc ducha mojego, ziemia niech ma kości,
Kiedy przydzie iuż onczas zawołania twego,
Raczysz mię sobie przyiąć za własnego swego.
Bo jeślim źle szafował tu żywotem swoim,
Zakryjże to mój panie miłosierdziem twoim«.

Br. Chlebowski tak charakteryzuje ten moment zwrotny w życiu i zawodzie pisarskim autora »Zwierciadła«:

»W ostatnich latach życia — pisze — ostyga w swojej zawziętości względem katolicyzmu pod wpływem potęgującej się anarchji w wierzeniach i występowania u Socynjanów coraz to śmielszej krytyki zasadniczych dogmatów chrześcijańskich (Trójcy św. i dobroci Chrystusa). To »harcowanie o Bodze« przerażało poetę, nie mogącego zrozumieć należycie podstaw i przebiegu namiętnych sporów teologicznych ówczesnych. Nowe zasady zakłócały mu spokój duchowy, oparty na przeświadczeniu o pewności ustalonych w jego duszy wierzeń, spokój, z którym chciałby harmonijnie połączyć w swych pragnieniach warunki materjalne i moralne cichego a wygodnego życia domowego, wiejskiego, odpowiedniego potrzebom nadchodzącej starości. Stąd to, ten niedawny, żarliwy propagator reformacji, niezmordowany w walce z duchowieństwem i obrządkami, wierzeniami katolickiemi, przejęty jest trwogą i oburzeniem na »zamieszanie, jakie w wierze mamy«, na »sprośne wymysły i swawolną mowę« tych, co »Krista Pana swego bóstwa odsądzili«, a »Boga w trzech staniech Panię duszką zową«, co twierdzą, iż »dusza nędzna z ciałem umiera pospołu«. Przerażony temi nowinami Rej woła: »albo mam żyć w Talmudzie, albo

w Alkoranie« i przyznaje, że »zbłądzilić papieżnicy, lecz wżdy nie tak srodze, jak dziś Aryanie harcują o Bodze«.

W takim nastroju duszy poeta porzuca swe apostolstwo wyznaniowe i walkę z katolicyzmem, a w ostatniem swem dziele występuje jedynie w roli moralisty, zalecającego stanowi ziemiańskiemu ideał, będący odbiciem zarówno doświadczenia życiowego, jak i specjalnych potrzeb i pragnień własnej starości.

Dziełem tem jest »Zwierciadło«. Ten ogólny tytuł obejmuje zbiór różnych pism prozą i wierszem, wśród których główne zajmuje miejsce »Żywot człowieka poczciwego« w trzech częściach, poczem następuje »Spólne narzekanie na niedbałość naszą«, praca w 8-iu rozdziałach. Wreszcie idą wspomniane już przedtem nowe Apophtegmata, »Przemowa krótka do pocciwego polaka« i »Żegnanie ze światem«. Ostatnim w zbiorze utworem jest »Zbroja pewna każdego rycerza krześcijańskiego«.

Najpoważniejszą częścią zbioru jest, jak już powiedzieliśmy, »Żywot człowieka poczciwego«, spopularyzowany u nas przez trzy przedruki w ciągu wieku XIX-go i, jako jedyne dzieło Reja, znane szerszej publiczności nie z wyjątków, zamieszczanych w wypisach szkolnych ale w swoim całokształcie, uchodzący zwykle za główną podstawę sądów o pojęciach, uzdolnieniach i zasługach tego pisarza.

Nawet historycy literatury (Tarnowski) widzą w »Żywocie« najlepsze i najważniejsze dzieło Reja.

Twierdzeniu temu zaprzecza, i słusznie, Chlebowski.

»Takiem (t. j. najlepszem i najpoważniejszem) może się »Zwierciadło« wydawać dzisiejszemu czytelnikowi, o ile zwłaszcza nie miał dość czasu i cierpliwości do poznania poprzednich utworów. Inaczej jednak przedstawiało się ono współczesnym, którzy znali lepiej od nas te poprzednie (w części zatracone) pisma i, o ile z zapałem rozczytywali się w »Żywocie Józefa«, »Postylli«, a nawet »Wizerunku«, o tyle chłodno przyjęli »Zwierciadło«, po-

jawiające się w czasie, gdy utwory Kochanowskiego i Górnickiego przyćmiły już swym blaskiem wiersz i prozę Reja«.

Była jednak jeszcze i inna tego przyczyna.

Oto — mówi Chlebowski — »kto po przeczytaniu starannem przechowanych dotąd utworów autora »Zwierciadła«, w porządku chronologicznym weźmie do ręki »Żywot człowieka poczciwego«, ten znajdzie się w położeniu domowników pana Jowialskiego: »Znacie to, nic nie szkodzi, posłuchajcie jeszcze raz«.

Istotnie, znamy już to wszystko. Pod względem filozoficznym czy moralnym niema w »Żywocie« nic nowego, a jednak książka ta posiada swój przedziwny urok, posiada swój niezatarty dotychczas powab zawiązków polskiej literatury ziemiańskiej.

Wiemy już, że Rej pisał to swoje dzieło wonczas, kiedy spokój życia wiejskiego przekładał nad wszystkie inne dobra i przyjemności żywota. Błędy swojej młodości widział wówczas wyraźnie i chciał najwidoczniej uchronić przed niemi pokolenie młode. To musiało być główną pobudką do pisania przestróg, napomnień i udzielania »rodzicom szlacheckim« wskazówek wychowawczych, któremi tak jest przeładowany »Żywot«.

Rzecz swoją rozpoczyna Rej od początku świata, od stworzenia człowieka, poczem zastanawia się nad różnicą przyrodzonych charakterów ludzkich, co przypisuje różnemu stosunkowi płynów, czyli w i l g o t n o ś c i, wchodzących w skład ciała ludzkiego.

Uznając »wrodzone« każdemu człowiekowi usposobienie, nazywa je po łacinie f a t u m, po polsku zaś w y r o k i e m. Człowiek przez ten w y r o k skazany jest na to, aby był rześkim albo ociężałym, dobrym albo złośliwym, ma jednak dany sobie rozum na to, aby mógł usposobienie przyrodzone hamować i zwracać w stronę, gdzie jest jego większy pożytek.

Pod względem swojej natury cielesnej człowiek zajmuje miejsce bardzo niskie i jest wystawiony nietylko na nieustanne działanie żywiołów, ale i na wpływy ciał niebieskich.

Wszechświat w oczach Reja, w ustroju swoim zbliżony jest bardzo do Rzeczypospolitej polskiej i są w nim stany planet, komet, gwiazd dostojniejszych i mniej zacnych a bardziej szlachetne rządzą podlejszemi.

Przełożonym nad całą ziemią, jestestwem najdoskonalszem, jakie ludzkość wydać mogła, jest szlachcic polski, ziemianin, stworzony do panowania.

Wyobraziwszy więc sobie szlachtę polską w osobie młodzieńca, ku młodzieńcowi temu, dla jego ukształcenia i przygotowania do oczekującej go roli, zwraca Rej swoje przestrogi i rady, dzieląc je na trzy części, odpowiednie do wieku: młodość, wiek dojrzały i starość.

Zdaje się, że mając nieustannie na widoku swoje własne życie ziemiańskie, swoje doświadczenia, wskazuje przyszłemu ziemianinowi przeważnie drogi, po których sam nigdy nie kroczył. Są to rady w istocie o niewysokim poziomie moralnym, oparte o te prawdy zdawkowe, które zawsze i wszędzie są udziałem szerokich warstw a przez stosowanie w życiu zapewniają nie tyle szczęście ile spokój. Głębsze tony moralne odzywają się dopiero w trzeciej części, gdzie mowa o starości. Tam już ustaje troska o takie dobra, jak gospodarstwo, polowanie i towarzystwo sąsiadów, dobra żona, a obok niej »dopiekająca się pieczenia wieprzowa, cietrzew w rosole, kapłon tłusty z kluskami, rzepka i inne potrawki«, zjawiają się natomiast myśli o pokorze ewangelicznej, o uczynności i miłosierdziu, słowem o tym głębszym sensie życia, którego podsumowany rachunek nie wypadł snać Rejowi dodatnio.

Rozmyślaniom tym towarzyszyć już musiała myśl o śmierci, rychło bowiem po napisaniu tego ostatniego dzieła swego zamknął powieki. Umarł w r. 1569, na

jesieni, po powrocie z Sejmu lubelskiego, na który posłował.

Mając już poza sobą omówienie całej działalności pisarskiej Mikołaja Reja, możemy powrócić do zasadniczego pytania: jakie jest jego znaczenie dla literatury ojczystej?

Trzecieski nazwał go Dantem polskim, Klonowicz Eunjuszem, Mickiewicz porównywał go z Baltazarem Castiglione i z Montaigne'm.

Nie o to jednak chodzi, z kim go można porównać, ale jakie dzieło jego życia wywarło wpływ na współczesnych i potomnych?

Tu bodaj najlepszem i najmiarodajniejszem świadectwem jest głos ówczesnego drukarza krakowskiego, Wierzbięty, niewątpliwego znawcy smaku i upodobań czytającej Polski XVI wieku:

»Prawdziwie a słusznie napisał on zacny poeta łaciński Horacjusz: »Godzien hoyney zapłaty człowiek każdy taki, co pożyteczne rzeczy rad miesza z przysmaki«. W co zaprawdę nie każdy z tych, którzy jedno co pisali, między ludzie podawali, trafić mógł. Albowiem jedni pisali rzeczy poważne, stateczne i pożyteczne, ale rzeczą nieozdobną i niewdzięczną. Drudzy zaś przyjemnie, uszom ludzkim miłym, miłe a wdzięczne, wszakże mało pożyteczne. Ale takich, którzyby rzeczy stateczne a pożyteczne pisali, z rzeczą wdzięczną a przyjemną złączone, mało się wieku naszego najdzie. Wszakże między tymi, jeśli którzy są mym zdaniem, ten nasz Rey pierwsze miejsce ma, który w księgach nowych, językiem polskim pisanych, wybornie a ślicznie w to oboje ugodził. Gdyż bez wszego sporu, wszyscy polacy, którzy jedno nieco zdrowego rozsądku mają, to mu przywłaszczają a przypisują, którzy nietylko w opisaniu rzeczy świętych, ale też przekładając pisma onych filozofów ku dobremu rządu, a poczciwym obyczajom należące, niemałą pracę podjął — tak, iż niepomału wyjaśnił a wypolerował

język nasz, a to tem, że rzecz oną pożyteczną wdzięcznemi a ozdobnemi słowy zafarbował«.

W tych słowach księgarza krakowskiego odbija się stosunek współczesności do Reja. Był on oceniony przez nią należycie. Cieszył się poczytnością tak wielką, jak mało który pisarz w Polsce po nim, pierwszy bowiem nasycił budzący się w społeczności szlacheckiej i mieszczańskiej głód czytania po polsku.

Popularność ta trwała dość długo, aż pod koniec wieku XVII-go wygasła. W wieku XVIII-ym Rej był już zupełnie zapomniany. Przypomniał go dopiero jednowierszową wzmianką Dmochowski w swojej »Sztuce rymotwórczej« (1778). Bentkowski w swojej »Historji literatury« (1814) podał życiorys i bibljografję niezupełną jego pism, pierwszą zaś ocenę krytyczną działalności pisarskiej Reja dał dopiero Euzebjusz Słowacki, ojciec Juljusza, profesor literatury polskiej w Krzemieńcu i w Wilnie.

Właściwie jednak to, co wiemy o Reju, zawdzięczamy badaniom najnowszym. Znakomite w tym przedmiocie zasługi położyli prof. Brückner, Bruchnalski, Chlebowski, Chrzanowski, Kniaziołucki, Plenkiewicz, Ptaszycki, Windakiewicz i Wierzbowski.

Oni dali nam dopiero poznać Reja, jako pisarza, który dosadnie i oryginalnie, językiem prostym ale zwięzłym i pełnym miąższu, odtworzył życie narodowe swojej epoki, dając nam możność niemal dotykalnego obcowania z przeszłością, z jej duchem i myślą, z jej zwyczajem i obyczajem polsko-ziemiańskim.

Dużo zobaczyliśmy tam wad i przywar, wiecznie w narodzie żywych, ale dużo także ochoty i rozumnej chęci do walki z tem, co złe i szkodliwe.

Krótki wybór Pism

Mikołaja Reja z Nagłowic.

Krótka rozprawa miedzy trzemi[1]) osobami, Panem, Wójtem, a Plebanem. Którzy i swe i innich ludzi przygody wyczytają. A takież i zbytki i pożytki dzisiejszego świata.

Pan mówi:

Miły wójcie, cóż się dzieje,
	Aboć sie ten ksiądz z nas śmieje!
Mało śpiewa, wszytko[2]) dzwoni,
	Msza nie była jako łoni.[3])
Na naszym dobrym nieszporze
	Już więc tam swą każdy porze:[4])
Jeden wrzeszczy, drugi śpiewa,
	A też jednak rzadko bywa.
Jutrzniej, tej nigdy nie słychać,
	Podobno musi zasypiać;
Odśpiewa ją czasem sowa,
	Bo więc księdzu cięży głowa.
A wżdy przed sie jednak łają,
	Chocia mało nauczają,
Ano wie Bóg, za tą sprawą
	Obrócimli się na prawą...
Bychmy jedno na lewicy
	I z księdzem nie byli wszytcy.

---

[1]) trzemi zam. trzema. [2]) ciągle. [3]) roku zeszłego. [4]) każdy w swoją stronę ciągnie głosem.

Wójt.

Miły panie, my prostacy,
A cóż wiemy nieboracy?
To mamy za wszytko zdrowie,
Co on nam w kazanie powie:
Iż, gdy wydam dziesięcinę,
Bych był nagorszy nie zginę;
A damli dobrą kolędę,
Że z nogami w niebie będę.
Abo gdy w obiad przybieży,
A kukla na stole leży,
To ją wnet z stołu ogoli,[1]
A mnie kęs posypie soli,
Jakoby mię nogieć[2]) napadł:
Mniema, bych już chleba nie jadł.
Potym mię pokropi wodą,
To już z Bogiem idę zgodą.

Pleban.

A wójtże sie to jął gdakać?
Czymżeby tę gębę zatkać?
Gdzieśto dzban piwa dobrego,
Przegadałby mędrca tego
Iście trzeciem nachyleniem;
Byłby tańszy z tym zbawieniem.
A jeszcześ ci w tym ksiądz wadzi,
Żeć owo na dobre radzi?
Bo nas sam Pan uczył temu:
Chceszli sam brać, daj drugiemu.
A wielkie to upominki
U Boga takie uczynki.
A tyś wszytek świat rozwołał,
Żeś tej dziesięciny kęs dał.
A my, duchowni stanowie,
Jesteśmy ku wam posłowie.

[1]) zabierze. [2]) nicpoń.

Tę pracą na was przełożył,
A mało was tym zubożył,
Iż z jego hojnego dobra
Słabo wasza ręka szczodra,
A nas tym opatrzujecie,
Czym z niego obfitujecie.
Bo byś baczył, miły bracie,
Na jakiemci ksiądz warstacie:
Musi wszytkiego zaniechać,
Kto się chce wami opiekać,
A opuścić dobre mienie,
Łatając wasze zbawienie.
Wszak wiesz, że rzemieślnik każdy
Potrzebuje płacej zawżdy.
A to jest święta utrata,
Bo za nię hojna zapłata.

Pan.

Miły księże, dobrzećby tak
Lecz podobno czciesz[1]) czasem wspak;
Hardzie tu strząsasz porożym,[2])
A zowiesz się posłem bożym;
Prawda, żeś jego pastyrzem
A w wielu sprawach kanclerzem,
Lecz czasem na wełnę godzisz,
Kiedy za tym stadem chodzisz.
Owa choć trzoda nie spełna,
Gdy się wam dostanie wełna,
Wiere z ostatka ty owca
Niechaj skubie jako kto chce.

. . . .

Bo się już więc tam łomi chróst,
Kiedy się zejdą na odpust:
Ksiądz w kościele woła, wrzeszczy,
Na cmyntarzu beczka trzeszczy,

1) od czyść — czytać. 2) rogami.

Jeden potrząsa kobiałką,
Drugi bębnem a piszczałką,
Trzeci wyciągając szyję,
Woła, do kantora[1]) pije;
Kury wrzeszczą, świnie kwiczą,
Na ołtarzu jajca liczą:
Wieręśmy odpust zyskali,
Iżechmy się napiskali.

Wójt.

Miły panie, Bóżeć zapłać!
Snadźby tobie lepiej gęś dać,
Kiedybyś nam tak chciał kazać,
Niż ten tłusty połeć mazać,
Bo przedsię tak nie słychamy,
Chocia w kościele bywamy.
Jedno kiedy przydzie święto,
Usłyszysz, iż cię zaklęto,
Wójt, Bartek, Maciek z Grzegorzem
Nie uleży przed tym gorzem;[2])
Świętopietrze u jednego,
A kolenda u drugiego,
Trzeci też pokupił winę:
Nie rychło zwiózł dziesięcinę.
Tu więc będzie fukał srodze,
Rzadko usłyszysz o Bodze,
A tym zamknie wszytkę wiarę:
»Idźcież, dziatki, na ofiarę,
»A czekajcie mię z obiadem,
»Boć nam barzo grożą gradem;
»A niechaj rychlej dowiera,
»Wieręć po stronach przymiera.
»Trzebać teraz będzie księdza,
»Zać jedna nastanie nędza,
»Bo oń przedsię mało dbacie,
»Jako bydło tak mieszkacie.

[1]) śpiewak kościelny. [2]) nieszczęście, bieda.

»Jużto rychło dwie niedzieli,
»Niceśmy od was nie mieli.
»Czyście[1]) o tę duszę dbacie;
»Acz nie trzeba, też kęs dajcie.«
Wszytko chce brać, daj mu psią mać,
A o Bogu nic nie słychać.

Rzeczpospolita narzekając mówi:

Ja już jedno zaglądam z daleka
Znajdzieli też jeszcze gdzie człowieka,
Aby mie wżdy kto z łaską wspomionął,
Bacząc, że stan prawie utonął.
Bo gdziekolwiek mie dziś wspominają,
Prawie o żelaznym wilku bają,
Wszytcy na ten nierząd narzekają!
Widzą, iż źle coś, gdy nic nie dbają.
Ach, niestotyż, jakaż to ma żałość.
Patrząc, na swych przełożonych złość,
A snać mie ci więcej opuszczają,
Którzy ze mnie dobrodziejstwo znają.
A mnie nie lza jedno w swych tęsknicach
Jęczeć, wołać, skarżyć po ulicach.
Bom się w rynku[2]) bardzo omyliła
Wszytkęm tam swą nadzieję straciła.
Byli ludzie, którzy prawdę znali,
Ci mnie zawsze miłą matką zwali,
A gdym przyszła na tę sprawę płochą,
Zdałam się wszem niewdzięczną macochą.
A tak, proszę, pomni na to każdy,
Iż za czasem wszytko ginie zawżdy,
A iż skokiem prętkość wieku bieży,
W tem sie kochaj, co czynić należy.
A baczyszli, iż cię szczęście wzniosło,
Mądrze pływaj a dzierż sie za wiosło,

[1]) pięknie. [2]) państwo, rzeczpospolita.

Bo nie wzwiesz, gdyć sie łodzia zachwieje,
Ochyniesz sie[1]) iście bez nadzieje.
Bo jestli cie Bóg na to przełożył,
Aby przez cie w ludziach sprawę mnożył,
Zawsze bądźże wżdy pilen urzędu,
A ukracaj, kędy możesz błędu.

Zwierzyniec.

Mikołaj Rej z Nagłowic.

Już ty kołac, jako chcesz, bótem podkowanym,
Już sie więc tam przypatruj ścianam malowanym,
Biegaj za nastołkami, a polewki chwataj
A jako kędy możesz, tak swe szczęście łataj;
Jam już tak doma siedząc, obrał sobie pokój,
Bogum wszytko poruczył, ty tam, z kim chcesz rokuj,
Bo tak słyszę, iż ten Pan przed wszytkimi płuży,
A nikt na żadnym królu więcej nie wysłuży.

Andrzej Trzecieski.

Minerwa, ta bogini, kiedy tym władała,
Młodym ludziom w ćwiczeniu wiele pomagała.
Merkurjusz, płaneta, też swym przyrodzeniem,
Także je też sprawował roztropnym baczeniem.
Snadź ten nasz gdzieś Trzecieski tej szkoły zachwycił,
W cnotach i obyczajach by sie przy nich ćwiczył,
Żeby wiele młodzieńców cne przykłady z niego
Mogli brać, i z nauki i z postępków jego.

Jan Kochanowski.

Przypatrzże sie, co umie poczciwe ćwiczenie,
Gdy ślachetne przypadnie k'niemu przyrodzenie,
Co rozeznasz z przypadków i z postępków jego,
Tego Kochanowskiego, ślachcica polskiego:
Jako go przyrodzenie z ćwiczeniem sprawuje,
Co jego wiele pisma jaśnie okazuje.
Mógłci umieć Tybullus piórkiem przepierować[2])
Lecz nie wiem, umiałli tak cnotę zafarbować.

[1]) w targu. [2]) przyśpiewywać.

Żołnierze.

Żołnierze, z domu jadąc, pięknie pokrzykają,
A gdy w polu pomokną, to i Boga łają.
Ale by ci pobożnie z cirpliwością żyli,
Już nie wiem, jakiej sławy nie godniby byli.
Boć poprawdzie niesprawnie ten funt pomierzono,
Drożej wołu niż chłopa z koniem zaceniono,
A nie wiem, by nie lepiej tym dać dziesięciny,
Niźli owym, co kmiotki gnąbią nam bez winy.

Zygmunt, dzwon zamku krakowskiego.

Dzwońże, miły Zygmuncie, tymi trzemi głosy,
A niech twój ohromny brzęk bije ludziom w nosy,
Aby sie pobudzali i ku Pańskiej chwale,
I w Rzeczypospolitej zawżdy trwali stale.
Bo słyszysz, coć sie dzieje, żeć sie wszytko miesza,
Na cienkiej nici czemuś szczęście nas zawiesza;
Bo snadź ty drobne dzwonki uszy nam mieszają,
A od przystojnych rzeczy barzo unaszają.

Puste pola podolskie.

Zaż to nie wielka żałość, gdy naszy patrzają,
Ano rozkoszne pola pożarem gorają,
Albo sie dzikie szkapy z wilki po nich gonią,
Albo nieprzyjaciele lud niewinny gromią?
Zażby to rycerskiej krwi nie lepiej dać tego?
Bogu cześć, sława państwa wżdyby rosła z tego,
Gdyby sie tam po trosze wżdy ludzie sadzili,
Wszak już na wielu miejscach tego doświadczyli.

Sukiennice krakowskie.

Nadobną Krakowianie sztukę wyprawili
Na owych Sukiennicach, co w rynku sprawili,
Bo króle na nich wkoło wszędy zmalowali,
Jedno, iż im wedle cnót herbów nie przydali;
Bo dobry, tenby godzien korony ze złotem,
Wszetecznemu mógłby jej kęs przypluskać błotem.
Niech sie wżdy cnota wdzięczna koronuje sławą,
A wszeteczność odprawić, jako wołu z trawą.

Myśliwstwo.

Zwieraj psy, trąb na czeladź, a nasiodłaj koni!
    Anoby czas żyto żąć, bo sie bardzo łomi;
A drugie będziem łamać i być nam wnet w grochu;
    Bo go teraz nie wytknie, jako na paprochu [1].
Nie źleć, gdyby pomiernie tego używali,
    Ludziom szkody i sobie drugiej nie działali;
Bo pan robót zamieszka, szkapam podrze boki,
    A psi po cudzym żytku idą na trzy skoki.

Czeladź.

»Wieręchmy sie odarli i bótów nie mamy,
    Już, panie, od pół roka suchych dni czekamy«!
»Trwaliście dłużej, dzieci, już dotrwajcie mało,
    Ażby się na tych targach wżdy co uprzedało.
A i u mnieć silny defekt, wierę, na kalecie,
    I w mieściechmy potrosze winni, sami wiecie!«
Ale nie dziw, iż słudzy i pań nic nie mają,
    Bo jaki pan, taki kram, równo dopijają»!

Wizerunek własny
Żywota człowieka poczciwego.

Z rozdziału drugiego.

Ale kiedybyś spytał przy jakiej rozprawie,
Co też jest nalepszego na tym świecie prawie:
Wierz mi, iżbyś usłyszał sentencie różne
A rozliczne wywody i pogadki próżne.
Bo jedni w tym nawiętszą rozkosz pokładają
Kiedy onych próżnych skrzyń worki dokładają;
Złoto, srebro i w nocy po kąciech sie błyszczy,
Acz na to niejednego nędznika wyniszczy.
Na szyi łańcuch wisi, na palcu pierścienie,
Z których się łsną zdaleka rozliczne kamienie.
Szafiry, dyamenty, szmaragdy, rubiny,
A sam najmilejszy pan podobien ku świni.

[1]) miejsce stratowane.

Więc na ścianach spalery a rozliczne bramy,
A gdzie poźrzysz, w każdy kąt rozłożone kramy.
Konie sie bujno kłuszą, a myśliwcy trąbią,
A wypadszy na pole, cudze żyto gnąbią.
Więc okna z alabastru, marmurowe ściany,
Wierzch złotem przesadzany, pięknie malowany
Drzwi sztukwarkiem [1]) rozlicznym dziwnie nakrapiane,
Listwy, ławy płynącym fladrem [2]) pokładane.
Pawiment[3]) rozmaitym wzorem ułożony,
Owa wszędy gdzie poźrzysz, pstro na wszystki strony.
Patrzajże, co za sokół siedzi w onym gniaździe,
Snadź lepszą czasem kanię, co myszy je, znajdzie.
Kiedy więc gębę nadmie w onej obfitości,
Już wszyscy pochlebują jego wielmożności.
Jako pstre sojki przed nim zdaleka dudkują,
A palcem sobie z tyłu h i c e s t[4]) ukazują.
Czterzej mu ręcznik dzierżą, a trzej wodę leją
A odszedszy na stronę, łotrowie sie śmieją.
A drudzy, co nie wiedzą, jako sie świat plecie,
Tuszą, iż szczęśliwszego już niemasz na świecie.
Ale kto to obaczy, co sie pod tym tai,
Jako sie świat kołysze w onej marnej zgrai,
A jakie bezpieczeństwo ten w swych sprawach miewa,
Kto jedno, jako trawy wół, świata używa,
A każdego postępku rozumem nie rządzi,
Mnima, by szedł gościńcem, a on barzo błądzi.
Bo nie baczy pod trawą, iż dziwnego gadu
Tai się zawżdy pod nim rozlicznego jadu.
Azaż on ma wżdy kiedy bezpieczne wyspanie:
Ano we łbie kowale, a dziwne szemranie,
Jakoby jutrzejszy dzień z rejestru wystawić,
Iż będą zacni goście, jako sie im stawić.
Kuchmistrz u drzwi kołace a marszałek łaje,
Podskarbiemu pieniędzy już też nie dostaje,

---

[1]) z niemieckiego Stückwerk — ozdoba kunsztowna. [2]) słój drzewny (z niemieckiego). [3]) posadzka. [4]) (z łac.) ten jest.

Więc[1]) konie pochromiały, narzeka koniuszy;
Zewsząd płyną roskoszy onej miłej duszy.
W nocy chłopa goniono, a on łamał kraty,
Gdzie widział rozwieszone ony pstre kabaty.
Całą noc sie łeb wierci onej dzikiej świni,
Gdyż tak kabat miał goście, co sie dzieje skrzyni,
A to w niwecz; gdy on śpi, wszyscy o nim czują,
A co we dnie źle sprawił, w nocy oszacują.
A gęstego sędziego każdy ma o sobie,
Jutro gdy mu powiedzą, łając sie w łeb skrobie.
Bo takiemu stanowi wszytko z Almanachu
Przyszłoby zawżdy czynić, by był prożen[2]) strachu.
Drugi okręt po morzu po szalonym puścił,
Szyrokie z herby żagle po maszciech rozpuścił.
Szumi mu wiatr i przez sen, a morze sie chwieje
Barzo, i rano wstawszy nie dobrej nadzieje.
Myśli, jeśli w Karybdym kędy nie zapłynie,
Albo jeśli też srogą szczęściem Scillę minie,
O którą sie okręty strasznie rozbijają,
Tak iż ledwo na deszczkach drudzy wypływają.
Drugiemu z mniejszych stanów grzmi we łbie komora,
Stodoła, bróg, boisko, za ścianą obora.
Wilcy wyją za gumnem, a cielęta ryczą,
Psi szczekają pod okny, świnie w chlewie kwiczą.
Pociąga rohatynki[3]), w oknie hul, hul woła.
Rano wstawszy więc liczy, ano już gomoła[4])
Dawno przez płot skoczyła, wełna leży w lesie,
Alić kęsy po chwili łeb z nogami niesie.
W gumnie też słomy mało i plew już nie staje,
Więc chociaj mu nikt nie krzyw, przedsię wszytkim łaje.
Bieży z kijem na pole, na życie śnieg grzebie,
Wierę snadź będzie kłopot na ten rok o chlebie.
Bo to złe gołomrozy pod śniegiem przyprzało,
A tego pozdniejszego[5]) barzo wzeszło mało.

---

[1]) ponadto. [2]) wolny od... [3]) włócznia na dzikiego zwierza. [4]) gomoły — bez rogów. [5]) późniejszego.

Dwornik ostatek zmłócił i do lasa dunął,
A klucznik drugą dziurą za nim się wysunął,
Pastuch z kucharką woła: zapłać, panie, myto;
Nie do tegoć mi teraz, bodaj cię zabito,
Daleko to pilniejsza, co jeść do nowego,
Pilnie suszy na piecu, bowiem surowego
Siła zginie w otrębach, dobrze sie nie zmiele,
Ledwie będzie koruszka[1]) do drugiej niedziele.
Owa skąd ją poczniemy, nie po szwu sie porze,
Ano sie we łbie kręci ano zewsząd gorze.
Owa każdy takowy chodzi jako wiła[2]),
A tłucze sie po ścianach, by nadęta piła,
Którą oni szaleńcy, co ją więc igrają,
Nogami i rękami bijąc popychają.
Czasem nań przydzie rozkosz, a czasem z kłopotem.
Obchodzi sie z nim ten świat jako z dzikim kotem.

Opis tańców, muzyki i sądownictwa:

Albo owo wesele, kiedy sie po kąciech
Tłuczecie, wyskakując by szkapy w chomąciech.
Nazajutrz chłop narzeka co go bolą boki,
Namierzły mu podobno onegdajsze skoki.
Bo jako pan ma być zdrów a w nim piwo kisa,
I od tegoć więc drży łeb, i szupryna łysa.
Nogi, oczy i ręce, i brzuch chłopu puchnie,
A z gęby gdzie zaleci, by z wychodu cuchnie.
Goleni sobie potłukł, więc łopianu szuka,
Druga też, jako wirzba, na wiosnę się puka.
Bo jako sie nie pukać, ano pełno zawżdy,
Jako ina bestia gdy sie ożre każdy:
Już zapomni i Boga, już nie zna i ludzi,
Bo napoły by zdechły, gdy go nie obudzi.

. . . .

Niźli tam w owym huku, kiedy wrzeszczą wszyscy,
A drudzy marnie wyją, jako w lesie wilcy,

---

[1]) koruszek — mały korzec. [2]) szalony.

A kozi róg za uchem jako świnie wrzeszczy,
W bęben tłuką by w pudło, aż więc we łbie trzeszczy.
Stół uleją i ławy, siedzą jako w łaźni,
A sami poszaleją jako inni błaźni.
Więc kręglów nastawiają w koło podle ściany,
Dybie, jako kot na mysz, z gałką chłop pijany,
Puknie w ścianę, a drudzy, wygrał, wygrał, krzyczą,
A drudzy płacąc piwo jako krowy ryczą.
A więc to krotochwila, a więc to biesiada,
Oszaleje więc z takiej głowa barzo rada.

. . . .

Patrzcie gdy nędznik przydzie do wspólnego sądu,
A gdzież końca doczeka już swojego błędu,
Na pirwszy rok da sie zdać, a nic nie pokupi,
A onego co piszczy, by barana, łupi.
Drugi rok pro maiori, a niemocą trzeci,
Czwarty od munimenta, a czas precz wyleci.
A chociaj więc przypadnie czasem rok zawity,
Ali pan mój do sta mil bierze sie na kwity.
A skażąli nie k'myśli, alić on wnet ruszy,
A spowiednik za uchem nadobnie mu tuszy.
Ruszajże już poki chcesz, aż cię dyabli ruszą
Samego, a pamiętne zapłacisz im duszą;
Bo ubogi nędzniczek ciągnie sie jako lis.
Daj pamiętne, wyjmisz też z pieczęciami zapis.
A przedsię ty czyń co chcesz, będą appellować,
Że rzecz, za to niestanie, co będzie kosztować.
Przydze siem, niebożątka po stodołach leżą,
A jako Woźny krzyknie, to by pszczoły bieżą.
Ano jedno bogaczów kilka odprawiają,
A nędznikom przez tydzień sądy odwołają,
Przybija kartę u drzwi, iż koleją jutro
Będą sądzić, patrzajże alić kunie futro,
Albo wilcze, daleko przed Baranem stoi,
Lecz nie dziw bo sie Baran zawżdy Wilka boi.
Tak od jutra do jutra wlecze sie rzecz ona.
Przedsię on nędznik płacze, śpiewa druga strona.

Pysznego, pijanicę i obżartucha tak maluje:

Koronę ma na głowie jasno rozpaloną,
Nadął gębę by pudło, na piądź rozszyrzoną,
Sceptrum dzierży rogate, by rogaty kijec,
Którym sobie potrząsa zuchwały opilec.
Twarz podobna ku szkapie, kiedy bujno kroczy,
Piany mu z gęby płyną, a błyszczą sie oczy.

— — — — — — — — — — — — —

Między nimi pan siedzi, psia głowa u niego,
A kędy sie obeźrzy, warczy na każdego.
Na łańcuchu przybity do mocnego stołka,
Tak sie jedno obraca, by cielę u kołka.
Pogladając tu na świat jakoby wilk marnie,
A czego gdzie dosięże, to do siebie garnie.
Łapy by u niedźwiedzia z paznogty ostremi,
A co w którą zachwyci, już mu nie wydrzemy.
Dworzanie w sajanikach, w biretkoch z szpadami,
Z onego towarzystwa co wszytko łapamy
A o drugie na świecie już nigdy nie dbamy,
By mieli i pozdychać, kiedy sami mamy.
Rzekł Abiron, ten zasię, cóżci sie podoba,
I to wierz mi tam u was nie leda osoba,
I dworzany mym zdaniem dosyć foremne ma,
Aleć sam wszytko garnie, żadnemu nic nie da.
A też jego ta orda, jako Tatarowie,
Gdzie co który ułapi, każdy chowa sobie.
Tu weźrzy na pułnocy, już uźrzysz czwartego
A poznasz go coć zacz jest, i po herbiech jego
Boć jest po ojcu kuflów, po macierzy dzbanków,
A siła w tamtym kraju tego herbu panków.
Pożrzy a on pan siedzi z rozwalonym brzuchem,
Za nogę uwiązany do stołka łańcuchem,
Jako inna bestya, świni pysk u niego,
Pochmurno pogladając by wilk na każdego.
Pod oczyma mu spuchło, na brzuch sobie pluje,
A dzierżąc swój herb w ręku sobie rozkoszuje.

Kołysze sobie głową i tam i sam siedząc,
Do herbu naglądając, chociaj mało jedząc.
Włosy mu sie zjerzyły, a pełno w nich pierza,
A onym silnym koflem, wszytko na dół zmierza,
Jakoby rzekł, nuż wy też przecz darmo mieszkacie,
Cóż wam po inych sprawach, wszak sie dobrze znacie.
Dworzanie sie też kręcą, z rożny, z pieczonkami,
Z garncy, z kotły, z bokłagi, z koflmi i z konwiami,
Jeden tu u drugiego sobie wydzierając,
Latając po powietrzu, a na świat padając.
Jedni mają na sobie kożuchy, a szłyki,
Drudzy zgrzebne kaftany, kijce basałyki.

Obżartuchów, leniwców, pijanice i pijaństwo tak maluje:

Z drugiej strony obżarstwo drugie dziecie nosi
Co to ledwie przed spaniem i głowę podnosi.
Co jest marne stworzenie, Lenistwem je zową,
Które władać nie może niczym, ani głową.
A gdy rozum człowieku na to nawięcej dan,
Aby od innych zwirząt był sprawach rozeznan;
Patrzajże gdy jako wieprz jedno leżąc tyje,
Jeśliże nie podobien do inej bestyje.
Bochmy nie tak stworzeni, bychmy jedno żarli,
A otkawszy brzuch młótem jako świnie marli,
Ale bychmy pomiernie wszego używali,
A na wszem sie rozumem w cnotach sprawowali.
A zwłaszcza gdy oźralstwem jeszcze sie kto bawi,
Już nie masz nic tak złego co sie w nim nie zjawi.
Wszak jawnie w każdym widasz kiedy łeb zaleje,
Jeśli lepiej niż dzikie zwirze nie szaleje.
Wnet tam rozum wdzięczny, już swój urząd straci,
Już się tam szalona myśl ze wszytkim złym zbraci,
Już tam żadnej baczności, ni żadnej pamięci,
Kiedy we łbie zaszumi przestępcie i święci.
Kto sie chce podziwować a patrzyć, przełaje,
Jeśli w którym zwirzęciu takie obyczaje.

Azasz tam co ze wstydem w szalonym łbie znajdzie,
By siedział z Barnadynem, z każdym w burdę zajdzie.
Azasz ręce co czynią, albo język mówi
Aby wżdy co podobno było k'rozumowi,
Jednym razem zamruczy, a drugi raz szepce,
A czasem jako bocian zjadszy żabę klekce.
Leje, wszeszczy, kołace, a sklenice tłucze.
Bo stracił od rozumu i kłotki i klucze.
Więc podrze, więc popluska, a drugie rozdaje,
A kiedy kto nie chce wziąć, tedy mrucząc łaje,
Ale sobie po ranu zasię powracajmy,
Pijanego wieczora dziś nie wspominajmy.
Owa co przez cały rok nań wyrobią chłopi,
To on za jeden tydzień wszytko w brzuch zatopi.
O nędzny to jest żywot człeka takowego.
Który powinowactwa zapomni swojego;
Jako iny dziki wieprz tak leży w barłogu,
Już ni ludzom ni sobie nie godzien, ni Bogu.
Bo sie już więc tam wszytki smysły pomieszają,
A też patrz jako wszyscy wdzięczne zdrowie mają,
Ręce drżą, łeb sie trzęsie, a nogi zapuchną,
Ony wdzięczne wonności z gęby z nosa cuchną.
Owa równo z nim siedzieć jako na wychodzie,
A on wszytko pomazał jako świnia w smrodzie;
A przedsie to za roskosz sobie poczytają,
Otóż masz swoję panią, co jej ten czyńsz dają,
Roskosz leżeć we błocie a tłuc sie po kąciech,
Taczając sie po ścianach by szkapy w chomąciech.
A przedsię by naleplej wszytcy poszaleli,
Rano wstawszy, powiedzą, iż byli weseli,
A ono drugi z wesela we łbie sobie skubie,
Barzo mu przeplewiono jakoś włos na czubie.
I tu sie przepleniło bardzo na szuprynie,
Na nosie łyska siedzi, a guz na łysinie.
Więc zasię potym z tego wnet lenistwo roście,
Że i głowy nie może czasem podnieść proście.

Acz jest rzecz przyrodzona człowieku każdemu,
A nad wszytki roskoszy to jest pierwsza jemu,
Aby sobie po pracy wdzięcznie odpoczynął,
Aby go też on frasunk który miał ominął.
Bo to jest przyrodzenie źwirzęcia każdego,
Aby odpoczynęło też czasu swojego.
Bo i orzeł latając bujno pod obłoki,
Kochając sie a patrząc tu na świat szyroki,
Musi upaść na ziemię z czasem odpoczynąć,
Bo, by nie to, musiałby każdy z pracej zginąć.
Bo to wdzięczna rzecz ciału by odpoczynęło,
A onym snem roskosznym cichuczko zasnęło.
Nie owak z opiłym łbem, gdy jako wilk chrapie,
Macając podle siebie kogo znajdzie, drapie,
Kaszle, mruczy, wierci sie, łoże pod nim trzeszczy,
A obiema końcoma, co sie ruszy wrzeszczy.
Rano wstawszy drze oczy, ano mu zalnęły,
Knafle wiszą na brodzie, co z nosa płynęły.
O jakież to roskoszne tam było wyspanie,
Mógłby go gdzie za węgieł prosić na śniadanie,
Albowiem jakie w panie sprawy i postawy,
Takieby też miały być właśnie i potrawy.
Bo co wczora pozdno jadł, dawno zrzucił skwarnę,
A nie tylko Zająca, mógłby gonić Sarnę.
Więc też nie dba o czeladź by mu wody dali,
Już mu dawno pieskowie gębę ulizali.

Żywot człowieka poćciwego.

Z rozdziału I.

Co sprawuje cztery wilgotności w człowieku.

Patrzajże zasię już ku tej sprawie dziwnej niebieskiej, co zasię do takiego nędznego a zamieszanego przyrodzenia naszego przypada. Abowiem to jest rzecz nieomylna, iż ciało człowiecze z tych sie czterech wilgotności rodzić musi, to jest ze krwie, z kolery, flegmy a z melankoliej. To już wiemy snadnie, co jest krew, a co jest flegma, ale melankolja jakaś lipkość a klijowatość

po ciele a po członkoch człowieczych rozlana, która też ma niemało mocy swojej. A kolera to jest zgoła żółć, którą częstokroć i w każdym źwirzęciu widamy.

A ty cztery wilgotności są sobie barzo różne i sprzeciwne. Bo krew czyni człowieka wesołego, hojnego, wspaniałego. Kolera pysznego a zuchwałego. Flegma zasię leniwego, ospałego, bladego. A melankolja frasobnego, a rzadko wesołego. Otóż którabykolwiek tylko sama człowiecze ciało opanowała, pewnieby je snadnie umorzyła, albo bardzo zepsowała. Ale to Pan nadobnie tamże przy stworzeniu człowieka postanowić raczył, iż zawżdy jedna ku drugiej przymieszana być musi, tak iż chłodna gorącą chłodzi, a gorąca też zasię chłodnej zagrzewać musi, tak, że sie wżdy jedna z drugiej snadnie w swym przyrodzeniu umiarkować może, tak iż on człowieki w sprawach swych i w przyrodzeniu swym, i w zdrowiu swym, na co go ony natury ciągną, wżdy niejako umiarkowańszy i pomierniejszy stać się może.

A snadnie to każdy obaczyć może, którego przyrodzenia w nim więcej zostawa i na co go ciągnie i jakie sie w nim obyczaje i przypadki według natury onych wilgotności okazować i stanowić będą, a pospolicie w pijanym najrychlej to poznać bywa. Bo koleryk wnet z myślą swą w zgórę wyleci, wnet chce być hetmanem, a choć nic nie masz, przedsię się sobie panem zda. Krewnik zasię wesół, skacze, miłuje, obłapia, dałby bardzo rad każdemu, by jedno co miał. Melankolik zasię lamentuje, wszytko mu niewczas, wszytko się mu krzywdą widzi. A flegmatyk zasię chrapie, sapi, śpi a na brzuch pluje, a przedsię i omacnie kufla podle siebie maca.

Z rozdziału IV.

Jako sie ma dzieciątko uczyć o Panu Bogu i o bojaźni jego rozumieć, co sie i starszemu przygodzić[1]) może.

A to jest napilniejsza, aby dzieciątko, które już ku lepszemu rozumowi będzie przychodziło, uczyło sie rozu-

[1]) przydać.

mieć, co jest Bóg, a co jest wola jego. Gdyż jako Salomon pisze, iż to jest nawiętszy początek każdej mądrości poznać Boga a uczyć sie bojaźni jego. A jako Dawid powiada, iż i od dziatek ssących już idzie chwała Panu Bogu na wysokościach. Ale iż w tych zamięszanych czasiech świata dzisiejszego iście nie każdy sie będzie umiał snadnie z tego wyprawić, co jest Bóg, i jaka jest istność jego i wielmożność jego, i co jest wola święta jego, i jako ją rozumieć, i jako jej wszyscy słusznie powinni być mamy i trzeba sie w tym każdemu pilnie obaczać, a nie unosić sie za pismy i za wymysły, różnemi a dziwnie zawikłanemi, jedno strzec mocno słów a dekretów Pańskich, które nieomylnie wyszły przez Ducha świętego i z ust Prorockich i Apostolskich, i z ust własnych tego dziwnego Bóstwa człowieczeństwem zakrytego, a pilnie je rozeznawać a uważać sobie.

Z rozdziału V.

Jakichże nauk do wolnego żywota potrzeba?

A jakichże sie nauk do tak świętych obyczajów albo tak wdzięcznego żywota pytać, albo sie ich uczyć masz. Pewnieć nie gramatyki, która tylko szczebiotać a słówek obleśnych[1]) wykręcać uczy i to z niemałym zatrudnieniem główek młodych, której sie potym i powoli nauczyć może, gdy weźmie pochop z onych dziwnych wymowiec, a z onych pięknych słów łacińskich, którym i końca niemasz. Nie maszci gramatyki we włoskim, w niemieckim, albo także w tureckim i w tatarskim języku, a wżdy sie go Polak tak właśnie nauczyć snadnie może, jakoby sie tam i urodzić miał. Też i logika niewiem, coby nam do polskiego ćwiczenia wiele pomóc mogła, która też nie uczy jedno wykrętnych słówek, jakoby z prawdy nieprawdę uczynić, a prawdę z nieprawdy; a też dobremu przyrodzeniu z łaski Bożej mało sie tego uczyć potrzeba. Najdzie dziś drugiego, chociaj sie prostaczkiem widzi, iż

---

[1]) obłudnych.

to tak dobrze będzie umiał wykręcić, jako wierę nanauczeńszy mistrz w kollegium.

Bo acz to zową wyzwolonemi naukami, gramatykę, logikę, retorykę, muzykę, geometryą i astronomią, a są to nauki poważne a trudne. Są też drugie, jakoby już od świata wymyślone, jako malarstwa, snycerstwa, złotnictwa, szyrmirstwa i inych wiele. A każdy, kto sie nacz ćwiczy, a co mu sie podoba, to sie już w tym kocha i ćwiczy. Ale ku poćciwemu żywotowi, żadne nie są nauki potrzebniejsze, jedno które są rozumem rostropnym a poważnemi cnotami ozdobione. Jako jest sprawiedliwość, stałość, rostropność, pomierność; przytym też miłosierdzie, stateczność, a rozmyślne uważenie w każdej poczciwej sprawie swojej, a iż by sie sam w sobie słusznie rozsądzić, a jako ono powiadają, swą sie własną piędzią rozmierzyć umiał: tedy takie nauki człowieka każdego wdzięcznego, poczciwego, sławnego i na wszem pięknie postawionego, światu ukazać będą mogły.

Z rozdziału XVI.

Żywności dziwne ubogich ludzi.

Ale kto sie chce tym dziwom przypatrzyć, jak to sie chudzina żywi, idź na Krakowski rynek, tam sie nadziwujesz: ano jedna kiełbaski smaży, druga grzelce[1]) przedaje, druga wątrobę pieczoną z octem a z cebulą, druga też zwodzi, druga z opłatki po rynku i po ulicach biega, druga z wieńcy, druga z ziołki i z czyrwoną maścią siedzi. Więc i u krup, u śledzi, u masła, u świec, u sklenic, u jabłek, u żemeł,[2]) u bótów, u ryb, u żuru, u barszczu, u ogórków, u rozmaitych ogrodniczych rzeczy siedzi, a ktoby sie ich naliczył. Więc co ich po smatruziech,[3]) po kramikach, pod krzyżmi siedzi. Jedna z żelazem, druga z płotnem, druga z barchanem, z leszem,[4]) z goździmi i z rozmaitemi przyprawami, a ktoby sie tego napamiętał,

[1]) grzanki. [2]) żemła (z niem. Semmel) bułka. [3]) smatruz, buda kupiecka. [4]) z zamszem (z niem. Lösch).

już nie licząc rozmaitych a rozlicznych rzemięsników, co sie swemi robotami żywią, dziwnych a dziwnych questów[1]) między ludźmi sie napatrzysz. A wżdy sie żywią i w dobrych szatach chodzą. A cóżby poćciwy człowiek nie miał sobie pożytków nawymyślać, którego Pan i rozumem i majętnością opatrzył. Ale nasza szara pycha a nasza wszeteczna rozpusta tego drugiemu nie dopuści, że najdziesz czasem dostateczniejszego chłopa we wsi, niż samego pana. Gdyż natura człowiecza na równym może przestać, by sie Boga bała, ażeby sie każdy na swój pomierny stan rozmyślił. Azasz mało Pan Bóg dał rozmaitych przysmaków do snadnego dobrego mienia, tak jakochmy wyszszej słyszeli, poćciwemu człowieku? Kiedyby jedno chciał, a iżby też dobrowolnie a niedbale, jako ono stara przypowieść, nie zapominał gruszki swojej w popiele.

Nuż nachodziwszy sie po swym pobożnym gospodarstwie, już też sobie w ciepłej izbie usiędziesz, albo sam, albo z przyjacielem. A jeślić jeszcze Pan Bóg dziatki dał, toć już jako błazenkowie kuglują, żonka z panienkami szyje, też sie z tobą rozmawia, albo też co powieda pieczenia sie wieprzowa dopieka, cietrzew w rosołku, a kapłun tłusty z kloskami dowiera, więc rzepka, więc ine potrawki. A czegoż ci więcej trzeba? a czegoż ci nie dostawa ku poćciwemu wychowaniu twemu? byś jedno sam chciał, a sam tego i nabyć i użyć umiał, tedyć Pan Bóg wszytkiego dosyć dał.

Apophtegmata

to jest krótkie a rostropne powieści, człowiekowi poćciwemu słusznie należące, przez tegożto, co i żywot poćciwego człowieka pisał, tylko dwiema wirszyki zebrane a zniesione.

Nie to slachectwo, co herbów nawiesza,
Jeśli co w cnocie nietrefnie pomiesza.
Nie to slachectwo chłubić sie pradziady;
Więtsza to nie mieć na cnocie przysady,[2])

[1]) kwest (z łac.) zarobek. [2]) skazy.

Slachectwo ma być jako kryształ czyste,
Jako skło piękne, na wszem przeźroczyste.
To są slacheckie napiękniejsze bramy,[1])
Gdy nic na cnocie przysady nie mamy.
Gdy który slachcic wichruje swym stanem,
Możemy mu rzec: bodaj wisiał, Amen.
Pieniądze, skarby, dobre mienie minie,
Sława poćciwa ta na wieki słynie.
Potomek zacny ozdobi swe przodki,
Wszeteczny zelży i rodzone ciotki.
Nie dosyć na tym, iż sie kto wystroi;
Gdy cnotę spluska, za djabła to stoi.
Mać też dudaszek czubek i pstrociny,
A przedsię śmierdzi, tak jako i iny.
By sie też wronka napięknie strzępiła,
Przedsię na śmieciu będzie sie pyszniła.
Nie pomoże nic, choć w łabęciem gniazdzie,
Czasem na wiosnę szarą gąskę znajdzie.
To jest slachectwo, gdzie bramy ze cnoty,
A z sławy strzępki, z zacności forboty.[2])
To prawdziwy slachcic, co stanu swojego
Używa zawżdy na wszem poćciwego.
To prawy slachcic, co poćciwe oczy
Wzgórę wynosi, w ziemię ich nie tłoczy.
Slachectwo z orły wysoko wylata,
Wszeteczność z kobcy[3]) tylko wróble chwata.
Wszeteczny slachcic, spluskany przewarą,
U krawca traci sukno społu z miarą.
Poćciwy slachcic, pilno upatruje
Z cnotą jednania — z niecnotą wojuje.
U poćciwego to jest wielkie festum,
Mijać utile, a szukać honestum.
Prze pożyteczne (tak smakuje światek),
Mijamy sławne — nazacniejszy kwiatek.

---

[1]) bram — listwa, ozdoba u szaty. [2]) koronki. [3]) kobiec — gatunek jastrzębia.

Cóż zacniejszego jako sława z cnotą?
    Toby prawie zwać wenecką robotą.
Co jest wszetecznik, choć sie slachtą zowie?
    Maszkara piękna na parszywej głowie.
Wszeteczny slachcic, co nie pilen cnoty,
    Prawy dziesiątnik jest z szalonej roty.
Poćciwy ślachcic z wszetecznemi pany,
    Jest jako kwiatek w pokrzywach różany.
Któż sie tytuły a herby ozdobi,
    Jeśli swej sławy z cnotą nie sposobi?
Toć jest slachectwo cnotą sie ozdobić,
    Niecnotę kijem jako węża dobić.
Nie pomogą nic złoto ni klejnoty,
    Gdy komu w skarbie nie dostawa cnoty.

Przemowa krótka do poćciwego polaka stanu rycerskiego.

Acz to, mój miły bracie, nie jest mojej głowy,
Abych z tobą miał o tym mieć spolne rozmowy;
Ale i przyrodzenie, i cnota poćciwa
Nie ścirpi o tym milczeć, co jest rzecz prawdziwa.
Bom ja też prosty Polak nigdziej nie jeżdżając,
Tum sie pasł na dziedzinie, jako lecie zając,
Z granice Polskiej mile nigdziem nie wyjechał,
Lecz co wiedzieć przystoi, przedsiem nie zaniechał.
Aczem był nieuczony, przedsiem jednak czytał,
A czegom nie rozumiał, inszychem sie pytał.
A tak część ze zwyczaju, część też z wiadomości
Z dalekam sie dziwował świecklej przypadłości.
Widzę miedzy wszytkiemi ludzkiemi narody
Rozliczne przypadłości, rozliczne przygody.
Widzę stroje i kształty, i dziwne ubiory,
Burdy, sprawy, porządki, rozmaite dwory.
I rostrząsnąwszy wszytko do swej Polski zajde,
To wszytko co u inszych, jeszcze więcej znajdę,
A skąd co kolwiek poczniesz, gdzie co indziej słychasz,
Tego sie snadnie doma w swej Polszcze dopytasz.

Polak poćciwy.

A zbiegawszy już wszytki, do swej Polski zajdę,
Czego gdzie nie dostawa, to w Polaku znajdę,
Bo ten cnotę, poćciwość, hojnym funtem mierzy,
Gardła jeden drugiemu i wszytkiego wierzy,
A na sławie zasadził swe wszytki roskoszy,
A niech sie tym żadny stan przed nim nie kokoszy.

Męstwo polskie.

Jeśli chcesz z nim do męstwa? ukaż mi takiego,
By z Polakiem porównał w dziwnym męstwie jego.
Jeśliże pojedzinkiem, jeśliże gromadą,
Trudno znaleźć Polaczka w takiej sprawie z wadą.
I inszy narodowie, gdy co z kim działają,
Szczęściem to sobie zową, gdy Polaki mają.

Żegnanie z światem.

Tenże to z światem, z dobrym towarzyszem swoim i z jego ozdobnemi przypadki żegnając się, rozmawia krótkiemi słowy.

Do świata o jego sprawach rzecz
(świat sie dziwnie kołysze).

Dosyciem sie już nabył na tym nędznym świecie,
Dosyciem sie przypatrzył, co sie na nim plecie:
Mogłbych rzec z Salomonem, iż *vanitas* wszytko,
Tak, iż na drugie rzeczy patrzyć czasem brzydko.

Jako sie świat kołysze w swoich obłędnościach,
Jako sie ludzie broją w dziwnych omylnościach;
Żeby mogł bezpiecznie rzec: ukaż mi którego,
Będziem go wszytcy chwalić na wszem rozmyślnego.

Coby go nie uniosła żadna świecka sprawa,
Aby na wszem był pilen powinnego prawa,
Które nam Bóg ustawił i poćciwa cnota;
Więcej ich pewnie najdziesz, którzy ciągną kota.

Do świata.

A tak, mój miły światku, w czas sie żegnam z tobą,
Acz jednak, póki póty, tu muszę być z tobą.
Jedno mię, proszę, wypuść z swych figlów wszetecznych,
Bo wolę naśladować poćciwych a wiecznych,

Które mogą ozdobić i sławę poćciwą
I tam mię doprowadzić, kędy święci żywą.
Bo snać mało nie lepiej, niż z tobą tu złego,
Tam zawżdy po swej myśli użyć roskosznego.

A tak gdy Pan rozkaże, już mię też nie winuj,
Iż cie żegnać nie będę, już ta swoich pilnuj,
Którzy cie nie odstąpią do gardła twojego,
Używając w omyłkach dobrodziejstwa twego.

A ty mnie też nie zaźrzy, iż do Pana w niebie
Wolę iść, kiedy każe, odstawszy od ciebie,
Boś ty nie jest dziedzicem, jesteś nam gospodą,
A wolę, zapłaciwszyć, rozprawić sie z tobą,

Abyś mie nie hamował, gdy pójdę od ciebie.
Wolę wieczną gospodę zjednać sobie w niebie,
W której już mogę użyć pokoju wiecznego,
Niż sie z tobą hadrować zawżdy czasu swego.

Z »Figlików«.

Co się sianem wykręcił z piwnice.

Jeden pijąc w piwnicy, był dłużen nie mało,
Widząc iż mu rozumu w mieszku nie dostało:
Jął figle ukazować, i wziął wiązań siana:
Patrzcie, Panowie bracia, będzie wnet odmiana.
Namówił wiązań dzierżec z tego cechu pana,
A sam ku górze idąc kręcił powróz z siana,
A wyszedszy z piwnice przez ulicę dunął,
A ten siano ze wstydem porzuciwszy, plunął

JAN KOCHANOWSKI

(1530 — 1584).

Rok 1530-ty był rokiem, który historja literatury polskiej złotemi zapisała w rocznikach swoich zgłoskami, aby, po wszystkie czasy pamiętny, najdalszym mówił pokoleniom o przyjściu na świat Jana Kochanowskiego.

Urodzony w tym roku w Sycynie, w województwie sandomierskiem, jako syn Piotra, herbu Korwin, sędziego sandomierskiego, i Anny z Białaczewa, herbu Odrowąż, wychodził Jan z gniazda niebogatej, ale dostatnio uposażonej w dobra ziemskie rodziny szlacheckiej, która po godności wysokie nie sięgała, ale na swoich urzędach ziemskich zażywała powagi.

Ojciec poety posiadał połowę dziedzicznego Czarnolesia, nadto Policznę, Sycynę, Baryczę i Konary. Siał, jak przystało, pszenicę i żyto i zabiegliwością majątku dzieciom przysparzał. Matka, Białaczewska, była niewiastą niepospolitych zalet, o czem wymownie świadczy wdzięczność i miłość, jaką poeta do końca własnego życia dla niezapomnianej rodzicielki i wychowawczyni swojej zachował. Jej zawdzięczał też niewątpliwie pierwsze przebudzenie swojego serca i tę wyjątkową tkliwość uczucia, pod której wpływem powstać miało w przyszłości jedno z największych w świecie arcydzieł poezji lirycznej »Treny«.

Kiedy, od kolan matki oderwany, poszedł do szkoły i do jakiej, tego nie wiemy. Lata jego dziecięce otacza mgła niepewności, której nie udało się dotychczas roz-

wiać. Nie przebiły jej najstaranniejsze poszukiwania archiwalne, które zgromadziły sporo dużej wagi dokumentów do historji jego życia, nie mogły jednak ustalić, gdzie i od kogo pobierał przyszły wielki poeta nauki początkowe.

Pierwszą realną w tym kierunku wiadomością jest dopiero dokonany w r. 1544-tym zapis poety na wydział artium w uniwersytecie krakowskim.

Jako niespełna czternastoletni młodzianek musiał więc być Jan wówczas dobrze już wyćwiczonym w łacinie, skoro mógł słuchać wykładów. Nie trwało to jednak długo. Nieznane nam bliżej przeszkody zmusiły go do powrotu do domu. Rozpoczęte studja uległy przerwie na lat kilka.

Niektórzy biografowie poety, a w ich liczbie znakomity historyk literatury Michał Wiszniewski, przypuszczają, iż w tym właśnie czasie jeździł Kochanowski wraz z braćmi Andrzejem i Piotrem do Niemiec, gdzie »napoił się zdaniami akatolickiemi i sprzyjać począł reformie Lutra«. Żadnych jednak dowodów na to nie mamy.

Przerwana przez wyjazd z Krakowa nić nawiązuje się dopiero w roku 1551-ym. Pod koniec tego roku poeta, idąc za panującym podówczas prądem, puścił się w podróż do Włoch, aby tam, »u źródła wszelkiej wiedzy«, czerpać światło i wrodzony sobie głód nauki nasycić.

Była to podróż długotrwała, niezwykle jednak dla umysłu, chciwego wrażeń, pouczająca.

Po wielkich gościńcach, które prowadziły z Polski na południe, snuła się w połowie XVI-go wieku gęsto młodzież akademicka i rzemieślnicza. Ubożsi odbywali tę podróż pieszo, wędrując od wsi do wsi, od miasta do miasta. Zamożniejszych wyprawiali ojcowie na kutych, dobrze zaopatrzonych we wszelkie zapasy wozach, nierzadko dworno, w towarzystwie dobranej służby, przydanej im do opieki i nadzoru. Ponieważ pani sędzina sandomierska do ubogich nie należała, a była matką na przyszłość syna nie obojętną (pan sędzia już wówczas nie

żył), przeto przypuszczać należy, iż wyprawiła Jana w drogę, dostatnio go uposażywszy w pieniądz, a pewnie i nie bez opieki zaufanego sługi, gdyż młodzian zaledwie 20-ty rok życia przekroczył.

Przebywszy końmi sto kilkadziesiąt mil i niemało dziwując się po drodze obcym krajom i obcym narodom, dotarł Kochanowski szczęśliwie w tymże jeszcze roku do Wenecji i tam prawdopodobnie zapisał się w poczet uczniów słynnego humanisty Manucjusza.*)

Był to pierwszy etap jego pobytu na ziemi włoskiej. Wrażenie, jakiego musiał doznać, przebywając Alpy i zjeżdżając w nizinę wenecką, aby u kresu podróży stanąć oko w oko z niezamąconym błękitem morza Adrjatyckiego, było niewątpliwie ogromne. Spotęgował je czar Wenecji. Prawdopodobnie urok tego miasta wpłynął na to, iż zatrzymał się tam dłużej, zamiast śpieszyć prosto i odrazu do sąsiedniej Padwy, gdzie pod kierunkiem Robortella studjowało podówczas liczniejsze grono młodzieży polskiej.

Mieszkając w Wenecji, utrzymywał jednak Kochanowski niewątpliwie częste stosunki ze swoimi kolegami padewskimi, którzy go snać namówili wreszcie na przeniesienie się do Padwy na stałe. W Padwie bawili wówczas: Andrzej Nidecki, Fogelweder, Januszowski i wielu innych o mniej głośnych nazwiskach Polaków. Wpisany do albumu uniwersyteckiego w roku 1552-im przez cztery lata był poeta pilnym uczniem Robortella, któremu zawdzięczał niemało. Poznał za jego przewodem dokładnie świat literatury klasycznej, greckiej i rzymskiej i nauczył się smakować w arcydziełach mistrzów starożytności. Nie stał się jednak, jak to zobaczymy później,

*) Przypuszczenie, iż poeta bawił w Wenecji wcześniej i dłużej nie jest oparte na żadnych dowodach. Bliższem prawdy wydaje się też domniemanie, iż po drodze do Padwy zatrzymał się w pobliskiej Wenecji.

nigdy ich niewolnikiem, ich naśladowcą ślepym i bezwzględnym.

Przejęty do głębi duchem kultury rzymskiej, zapragnął także poznać jej pomniki, które uniknęły zagłady czasu i w tym celu odbył podróż do Rzymu i Neapolu.

Niestety, żadnych bliższych szczegółów o tej podróży nie posiadamy.

W roku 1556-tym opuszcza Kochanowski Padwę, aby morzem udać się do Paryża.

Pobytowi jego w tem mieście historycy literatury przypisują duże znaczenie, zwłaszcza z uwagi na to, iż się tam poznał i zbliżył z Ronsardem.

Piotr de Ronsard, zwany »księciem poetów«, a niekiedy Pindarem francuskim, urodził się w roku 1524, był więc zaledwie o lat 6 starszym od Kochanowskiego. W chwili, kiedy Kochanowski przybywał do Paryża, Ronsard miał już za sobą bujną i pełną przygód młodość. Dotknięty kalectwem utraty słuchu, wycofał się w roku 1541-ym z życia dworskiego i w ciągu lat siedmiu, prowadząc życie niemal klasztorne, oddał się studjom w kollegjum Coqueret. Wówczas to wraz z przyjaciółmi swymi, J. A. de Baïf'em, Remy Belleau, Muret'em, Jodelle'm i J. de Belay'em przygotował renesansową »rewolucję literacką«, której hasłem stała się walka z literaturą średniowieczną, rycerską, na korzyść zwrotu ku wzorom rzymskim i greckim, przy jednoczesnem uwzględnieniu języka ojczystego w poezji. Obok starożytnych, Ronsard naśladował także Włochów, mianowicie Petrarkę, od którego pierwszy we Francji wziął formę sonetu.

Młody humanista polski nie mógł pozostać obojętnym na te hasła. Przekonywały go ku nowemu prądowi nietylko upodobania osobiste, wyniesione ze szkoły padewskiej, ale i rozgłos, jaki otaczał imię Ronsarda wówczas właśnie, w roku 1556-tym znajdującego się u szczytu swojej sławy.

Jaką postać miał stosunek obu poetów do siebie, tego bliżej nie wiemy. Czy była to tylko znajomość przygodna, czyli też związek ściślejszej przyjaźni — rozstrzygnąć dzisiaj nie podobna. Twierdzenia w jednym i drugim kierunku nie są poparte dostatecznemi dowodami. Wskazówką jednak na rzecz raczej przelotności tego stosunku jest z jednej strony krótki pobyt Kochanowskiego w Paryżu, z drugiej fakt, że w pismach Ronsard'a niema żadnej wzmianki o polskim poecie, mimo, że nie brak tam wzmianek o Polsce, a nawet kilkakrotnie wymienione jest nazwisko Hozjusza.

Niezależnie jednak od tego wpływ Ronsarda i jego szkoły poetyckiej na Kochanowskiego był niewątpliwy. Ogólne też jest mniemanie, że pod tym właśnie wpływem Kochanowski zarzucił pisanie poezyj łacińskich, a zaczął pisać po polsku i że w Paryżu powstały pierwsze jego utwory polskie.

»Kochanowski — mówi profesor Stanisław Tarnowski w swojej »Historji literatury polskiej« — byłby zapewne bez swego pobytu we Francji, bez Ronsard'a, przyszedł sam do przekonania, że jego powołaniem i obowiązkiem jest pisać po polsku. Ale że do uczucia tego obowiązku mogło, musiało mu pomóc to, co widział we Francji, to zdaje się być jasnem«.

Widział zaś samego Ronsarda i słyszał jego własne słowa: »że to zbrodnia zaniedbywać swój język żywy i kwitnący, a odgrzebywać Bóg wie jakie popioły«.

»Jeżeli Ronsard wiedział — rozumuje w kierunku domniemania Tarnowski — że młody cudzoziemiec pisze wiersze, a to mu z pewnością powiedział czy sam Kochanowski, czy ten, kto w znajomości pośredniczył, jeżeli (co być może) niektóre z tych wierszy czytał, to z pewnością musiał tego młodego Polaka zapytać, czemu nie pisze w swoim języku, musiał mu coś mądrego powiedzieć o koniecznej martwości poezji, pisanej w obcym języku, prosić go, żeby się nad rodzonym, ojczystym zlitował,

przepowiadać mu, że inaczej zostanie zawsze gęślą przy rzymskich i greckich łabędziach«.

Tak było czy inaczej, w Paryżu ocknął się w Kochanowskim i narodził wielki poeta polski.

I to jest najważniejszy wpływ, jaki Ronsard na niego wywarł. Pozatem o żadnem naśladownictwie i o żadnej zależności od grupy młodych ówczesnych poetów francuskich mowy być nie może, choćby dlatego, że, jak powiedzieliśmy wyżej, Kochanowski zbyt krótko bawił w ich gronie.

Pobyt jego nad Sekwaną trwał co najwyżej rok, już bowiem w roku 1557-ym poeta opuszcza stolicę Francji i wraca do kraju na wieść o śmierci ukochanej matki.

W dwa lata potem, w roku 1559-tym po przeprowadzeniu działów rodzinnych, otrzymuje w spadku połowę Czarnolesia, osiada na wsi i rozpoczyna żywot ziemianina.

Zbyt jednak był jeszcze młodym i zbyt do atmosfery wyższego życia umysłowego nawykłym, aby mógł na ciszy wiejskiej poprzestać, aczkolwiek miał w tym kierunku niezaprzeczone od dzieciństwa upodobanie, przyrodę lubił i umiał z nią obcować.

Nie było także powodu do tak wczesnego zrezygnowania z »promocji«, jakie młodego, otartego w świecie i bardzo na swój czas wykształconego szlachcica oczekiwać mogły przy odpowiednich stosunkach. W poszukiwaniu tych stosunków udał się dziedzic połowy Czarnolesia w roku 1563-im na dwór Jana Firleja, wojewody lubelskiego i marszałka wielkiego koronnego, jednego z przywódców obozu różnowierczego w Polsce. Tam zetknął się z dygnitarzami świeckimi, którzy częstymi u Firleja bywali gośćmi. W Krakowie poznał Filipa Padniewskiego, biskupa krakowskiego i podkanclerza, oraz Piotra Myszkowskiego, także podkanclerza, późniejszego biskupa płockiego. Z oboma wszedł w bliskie i przyjazne stosunki. Szczególną zwrócił na niego uwagę Myszkowski. On to

wprowadził Kochanowskiego na dwór królewski i wyjednał mu (w r. 1564-tym) stanowisko jednego z sekretarzy królewskich.

Odtąd przez lat sześć nieprzerwanie Kochanowski jest dworzaninem królewskim i ma sposobność zbliżenia się do majestatu Zygmunta Augusta, któremu w r. 1568-ym towarzyszy w wyprawie przeciw Iwanowi Groźnemu.

Widocznie jednak nie w smak mu była służba dworska. W naturze swojej nie miał ani umiejętności schlebiania ani daru zginania karku. Tęsknił więc w Krakowie do swobody, niezależności i »słodkiego muz towarzystwa«, przetrawiając w sobie jednocześnie gorycz jakiegoś zawodu miłosnego.

Są tego ślady w jego ówczesnych poezjach. Kto był jednak przedmiotem miłości poety i dlaczego do małżeństwa nie przyszło, tego nie wiemy, przypuszczenie zaś Br. Chlebowskiego, oparte na wyrażeniu »ciernie, same tarnki«, że szło tu o Annę Tarnowską, córkę podskarbiego Spytka, jest zbyt dowolne, aby je w rachubę brać było można.

Niewiadomo też, czy ta miłość nieszczęśliwa, czyli też krytyczny stosunek do dworu, niechęć do »podpierania bokami cudzych drzwi i czekanie o głodzie aż się panu jeść zechce«, czy też poprostu pragnienie spokoju i samotności, tak swoiste każdemu artyście w chwili, kiedy zbliża się okres wytężonej pracy twórczej, sprawiły, że poeta pod koniec roku 1569-go lub w samych początkach roku 1570-go dwór królewski opuścił i osiadł w Czarnolesiu.

Dobiegał wówczas lat 40. Był w pełni sił męskich i należało mu o ustaleniu losu pomyśleć.

»Po rozmaitych przejściach w życiu młodzieńczem — mówi prof. Pilat — po nieszczęśliwej miłości i przykrych zawodach służby dworskiej, doszedł do równowagi, uspokoił się i wyrobił sobie osobną filozofję życia, której zasadami były: umiarkowanie, przestawanie na swojem pogardzanie znikomościami świata, bogactwem, honorami

za to stateczny umysł, czyste sumienie, uczciwość, cnota i wiara w lepszą przyszłość na tamtym świecie. Pogląd ten, zaczerpnięty bądź z własnego doświadczenia, bądź wyrobiony pod wpływem filozofów i pisarzów klasycznych (Cicero, Seneka, Horacy) lub humanistów z czasów odrodzenia, łączących filozofję starożytną z chrystjanizmem, przewija się odtąd jakby nić czerwona przez wszystkie dzieła jego i stanowi podstawę systemu jego wyobrażeń umysłowych i całego późniejszego życia«.

Jakoż w dobie tej zachodzi istotnie przełom zasadniczy w życiu poety. Syt świata i jego wrażeń, on, który pił pełnemi ustami wszystkie odurzające napoje młodości, napatrzył się pięknu ziemi pod niebem włoskiem, poznał szafirowe przestrzenie dalekiego morza, słyszał we wspomnieniach swoich najcudniejsze melodje pieśni neapolitańskich, a zapewne miał także w pamięci i niejeden pocałunek płomiennych ust — siadał teraz w zwykłej płótniance wiejskiej pod cieniem rozłożystej lipy, wsłuchiwał się w brzęk pszczół i żył prostem życiem wiejskiem polskiego ziemianina. Czuł się u siebie, w gnieździe swojem, do którego powrócił z dobrej i nieprzymuszonej woli, aby pozostać tam już na stałe.

I pozostał. W lat kilka po osiedleniu się w Czarnolesiu (1574 lub 1575) pojął za małżonkę Dorotę Podlodowską, a szczęśliwy w pożyciu z nią, tembardziej zaniechał stosunków ze światem. O urzędy ani o godności się nie ubiegał. »W życiu politycznem — mówi Pilat — bardzo mało brał czynnego udziału, chyba o tyle, o ile, jako szlachcic, brać musiał. Był — o ile sądzić można z współczesnych wierszy — na zjeździe stężyckim, zwołanym w r. 1575-tym po ucieczce Henryka Walezego w celu naradzenia się nad kandydatami do tronu; w tymże samym roku widzimy go na sejmie elekcyjnym warszawskim, na którym, jak stwierdza Orzelski, dnia 25-go listopada zabierał głos za kandydaturą cesarzewicza lub syna cara Iwana, chociaż bez skutku«. Po wyborze Stefana Bato-

rego nastąpiło jednak, zdaje się w roku 1576-tym, pewne zbliżenie się poety do dworu, a nawet do osoby samego króla, zapewne przez kanclerza Zamojskiego, z którym stosunki przybrały charakter poufały, przyjacielski.

»Mimo to wszystko nie ruszył się Kochanowski ze swego ustronia i nie chciał żadnych przyjmować godności, które nie dałyby się pogodzić ze spokojnem jego życiem. Wymówił się przeto od ofiarowanej mu przez króla, prawdopodobnie w roku 1576-tym, kasztelanji połanieckiej. Gdy jednak Stefan Batory, wkrótce potem, w roku 1579-tym, chcąc koniecznie uczcić jego zasługi, mianował go wojskim sandomierskim i w akcie nominacyjnym kazał wypisać, że poeta, który »znakomitemi dziełami umysłu swego zaszczyt przynosi ojczyźnie, winien od niej wzamian przyjąć oznakę zaszczytną«, zgodził się na ten urząd, prawie tylko tytularny, który żadnych nie wkładał obowiązków (obowiązkiem wojskiego było w czasie wojny pozostawać w domu i zajmować się losem opuszczonych niewiast i dzieci).

Spokój, cisza i szczęście życia domowego nie miały być jednak udziałem poety. Po kilku latach zupełnego zadowolenia, w dom jego walić poczęły nieszczęścia. Pierwszym ich zwiastunem była śmierć umiłowanego dziecka, Urszulki, owej »małej, wdzięcznej Safony«, której imię do dzisiejszego dnia jest popularne w całej Polsce. Obdarzona niepospolitym talentem poetyckim, na kolanach ojca składająca wiersze, jego pociecha i wesele — odeszła nagle, pogrążając ojca w nieutulonym bólu. Był to dla niego cios nad wyraz dotkliwy.

Nie koniec jednak na tem. Wkrótce potem traci drugie dziecko, córkę Annę, a w roku 1584-tym dochodzi go wiadomość o zamordowaniu brata żony, Jakóba Podlowskiego, dworzanina i koniuszego królewskiego, który, wyprawiony po zakup koni arabskich do Turcji, zamordowany został w drodze przez oddział żołnierzy tureckich. Wzburzony tem poeta natychmiast udał się do Lublina, gdzie bawił wówczas na sądach Stefan Batory, aby osobiście prosić

majestat o sprawiedliwość i zażądać słusznego zadośćuczynienia. Nim jednak zdążył przed królem stanąć, uległ, wskutek silnego wzruszenia, atakowi apoplektycznemu i umarł w Lublinie dnia 22 sierpnia 1584-go roku, okrywając żałobą całą świadomą jego zasług poetyckich Polskę ówczesną.

Pochowany został w kaplicy Kochanowskich w Zwoleniu, gdzie do dzisiejszego dnia zachował się jego nagrobek w postaci popiersia marmurowego i tablicy z napisem łacińskim, który w przekładzie brzmi:

»Jan Kochanowski, Wojski Sandomierski,
Tu spoczywa.

Aby uczony przechodzień nie minął bez uczczenia
Zwłok takiego męża
Którego pamięć u ludzi wykształconych
Trwać będzie wiecznie
Marmur ten znakiem.
Umarł 1584 r. dnia 22 sierpnia
mając lat 54.

Według Michała Wiszniewskiego napis ten ułożyć miał kanclerz Jan Zamojski. Żadnych jednak dowodów na to nie posiadamy.

Od popiołów poety przejdźmy jednak do jego twórczości, która nie umarła, ale po dziś dzień budzi w nas podziw, uwielbienie i wdzięczność.

Pierwsze, stawiane sobie zwykle przez krytyków pytanie: kiedy Kochanowski zaczął pisać? mniej nas obchodzi. Późniejsza jego twórczość dowiodła, że był »poetą urodzonym«, a więc prawdopodobnie zaczął pisać wcześnie. Czy jednak stało się to podczas krótkiego pobytu jego w Akademji krakowskiej, czy w okresie przerwy w studjach, czyli też dopiero we Włoszech — to rzecz obojętna. W każdym razie nastąpiło to pomiędzy 14-tym a 20-tym rokiem życia, t. j. normalnie w tej epoce, kiedy twórczość poetycka zazwyczaj budzić się zaczyna.

Były to jednak niewątpliwie tylko próby, pisząc bowiem po łacinie, poeta nie mógł osiągnąć doskonałości pierwej, zanim nie poznał dokładnie ducha i stylu poezji klasycznej. Decydującym momentem był tu więc dopiero moment spotkania się w Padwie z Robortellem, znakomitym humanistą, świetnym profesorem, komentatorem Horacego, Tybulla, Katulla i Propercjusza, nadto wydawcą tragedji Aischylosa. Jego wiedza, jego zapał i jego porywająca wymowa olśniły początkującego poetę. Uczęszczał na wykłady gorliwie i chciwie słuchał miodu tych słów, które prowadziły go w nieznaną przedtem krainę wiekuistego piękna. Przemożny czar poezji łacińskiej, zwłaszcza czar pieśni Horacego, która z uśmiechem szła do życia i nie odtrącała pieniącego się winem jego puharu, owiał 20-letniego młodzieńca gorącym swoim tchem i zmusił jego duszę do oddźwięku.

Wpływ Horacego sięgnął do samych głębin twórczych pokładów duszy Kochanowskiego, a szukać śladów tego wpływu trzeba nie w pierwszych elegjach i epigramatach padewskich późniejszego śpiewaka czarnoleskiego, nie w jego odach łacińskich, ale w całej wielkiej jego poezji, której wspaniały złom stanowi najcenniejszą podwalinę sztuki polskiej.

Ta s z t u k a od Kochanowskiego dopiero zaczyna się naprawdę. Rej pisał tylko »wiersze« polskie, Kochanowski tworzył »poezję« polską. Był pierwszym poetą, który patrzył na świat, jak poeta patrzeć powinien; był pierwszym a r t y s t ą w nowoczesnem pojmowaniu tego wyrazu, rozumiejącym, że f o r m a jest rzeczą dla sztuki nieodzowną, że trzeba o nią dbać i łamać się z nią w nieustannem dążeniu do coraz wyższej doskonałości.

Zapewne, nie osiągnął tych wyżyn, na jakich stoi Horacy, ale był mu bliskim.

Mickiewicz, który jest w tym względzie najmiarodajniejszym sędzią, tak charakteryzuje w swojej »Litera-

turze słowiańskiej« wzajemny do siebie obu poetów stosunek:

»Nie postawimy — mówi — Kochanowskiego na równi z Horacym. Nie ma on tego bogactwa rytmów, tej muzykalności, tego wdzięku poetyckiego, jakim tamten zachwycał współczesnych i jaki jeszcze dzisiaj daje się czuć odczytującym jego wiersze. Nie ma także tej formy zawsze wykończonej i dokładnej, w jakiej ukazują się utwory sztukmistrza starożytnego. Mierzy się z nim w niektórych zwrotkach swoich pieśni, ale częstokroć staje się prozaicznym i bardzo słabieje. Podobnie jak nazywają jeden głos piersiowym, drugi gardłowym, możnaby i zapał jeden przypisać piersiom, drugi głowie. Zapał, natchnienie Horacjusza, zdaje się pochodzić całkiem z głowy. Jest to światełko, nie buchające nigdy płomieniem, ale zawsze trwałe, jednostajnie oświecające wszystkie jego utwory. Kochanowski przeciwnie, ogień swój dobywał z serca, buchał często zapałem prawdziwie poetyckim, ale gorącość ta nie mogła być w natężeniu ciągłem, ożywiać równie każdy z płodów jego pióra«.

Poza Horacym widoczne także i wyczuwalne u Kochanowskiego są wpływy Wirgiljusza i Owidjusza. Wolnym jednak od nich nikt wówczas nie był. Na tem podłożu klasycznem wyrastały dopiero zwolna i zwolna nabierały cech indywidualnych literatury narodowej, wykluwając się i wylatując po kolei, jak barwne motyle, z poczwarki łacińskiej.

Już sam fakt, że Kochanowski pisanie wierszy łacińskich zarzucił, a tworzyć zaczął w języku ojczystym, jest niepożytą jego zasługą i świadczy, że istotnie »sobie śpiewał a muzom«, nie mając na widoku rozgłosu światowego.

Pieśń jego, polska nietylko z języka ale i z ożywiającego ją ducha, nie utraciła przez cztery blisko wieki nic ze swojego niepożytego piękna, nie straciła blasku, nie stała się już tylko »zabytkiem językowym«, jak cała

niemal twórczość Reja i jak wiele współczesnych i późniejszych utworów. Oparła się ona niszczącemu działaniu czasu i tem dowiodła, że tkwił w niej od początku pierwiastek nieśmiertelny, że żyła sztuką, która przyniosła z sobą na świat moc trwania i przetrwania.

Przetrwała też do dzisiaj, a chociaż głodna zawsze nowości publiczność przekłada ponad nią rzeczy chwili, chociaż jej popularność jest raczej popularnością nazwiska Kochanowskiego, które na poczesnem miejscu znajduje się w każdym podręczniku historji literatury ojczystej i w każdych, najelementarniejszych nawet, wypisach szkolnych, to jednak dla szczerego miłośnika poezji, wrażliwego na piękno a umiejącego smakować w rzeczach, które mają na sobie patynę przeszłości, dla każdego Polaka, który po polsku myśli i czuje, pieśń Kochanowskiego jest nietylko nieprzebranem źródłem rozkoszy ale i dumą z tego, że brzmiała ona w XVI-tym wieku tak pełnym i tak doskonałym akordem i że dzięki temu nietylko równać się może z tem, co posiadają z tych czasów, jako szacowne pamiątki, inne literatury, ale niejedną z nich przewyższa siłą tkwiącego w niej uczucia. Któraż bowiem literatura świata może się pochlubić »Trenami«? Któraż ma taki mistrzowski przekład »Psałterza« Dawidowego?

Twórczość Kochanowskiego, jeżeli pominiemy jej pierwociny łacińskie z czasów padewskich i zgoła niepewne próby polskie z okresu paryskiego, gdzie, czego zresztą nikt nie udowodnił niezbicie, miał powstać przecudowny hymn »Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary«, da się podzielić na dwa, do pewnego stopnia odrębne działy.

Do działu pierwszego należą utwory, pochodzące z czasu pobytu poety na dworze Firlejów i królewskim, do drugiego — te, które powstały w okresie czarnoleskim, w ostatniem dziesięcioleciu życia poety, kiedy talent jego doszedł do wyżyn swego rozwoju.

Do obu działów jednocześnie należą atoli »Pieśni« i »Fraszki«, pisane zarówno w pierwszym, jak i w drugim okresie, a nie dające się ściśle pod względem czasu swego powstawania rozgraniczyć.

Były to pośród współczesnych najpopularniejsze utwory Kochanowskiego i one bodaj zjednały mu sławę poetycką przedewszystkiem. Na długo jeszcze przed drukiem krążyły te pieśni w odpisach po dworach szlacheckich a niosąc w kunsztownej formie wiersza, wzorowanego na utworach wielkich klasyków rzymskich, treść swojską, zrozumiałą dla wszystkich, torowały drogę humanizmowi i jego ideom w Polsce.

Z druku wyszły pieśni dopiero po śmierci poety w roku 1585-tym w zbiorze, ułożonym z dwóch ksiąg. W następnem wydaniu (1590 r.) zbiór ten rozrósł się już do czterech ksiąg.

»Do charakterystyki wyobrażeń poety i stopniowego jego rozwoju umysłowego — uważa prof. Pilat — są »Pieśni« nadzwyczaj cennym i ważnym materjałem, o wiele ważniejszym od najznakomitszych nawet dzieł okresu końcowego — a to dlatego właśnie, że pisane są w rozmaitych czasach, pod wpływem najróżnorodniejszych zdarzeń życia i wywołanego przez nie nastroju, dają więc, razem złożone, wizerunek duchowy poety w stopniowych jego przemianach«.

»Wartość literacka »Pieśni« jest oczywiście, z powodu, że to zbiór wierszy, pisany w różnych czasach, rozmaita, wogóle jednak zaliczyć je należy d o n a j l e p s z y c h d z i e ł K o c h a n o w s k i e g o«.

Z poglądem tym nie podobna się nie zgodzić.

Istotnie, poezja płynie tam czystym i niezamąconym strumieniem. Nie jest wysoka, nie ma wielkiego uczuciowego napięcia, które zdumiewa nas w późniejszych dziełach poety, ale jest poezją bezinteresowną, szczerą, tryskającą wprost z duszy. Dzięki temu daje nam od-

bicie najzupełniej wierne oblicza duchowego poety, czyni go nam mimo przedział wieków — bliskim i zrozumiałym.

Poznajemy go jeszcze młodym, pełnym ochoty do życia, czującym jego powaby, niefrasobliwym i wolnym od trosk. Jeszcze nie zasępiły mu one czoła, jeszcze nie wpiły mu się szponami w serce i nie okrwawiły go bólem. Z uśmiechem niezamąconej niczem radości, w renesansowem poczuciu pełni sił i pełni praw do użycia, idzie poeta po kwietnej łące miłości i zrywa napotkane tam kwiaty.

Jego »pieśni miłosne« są, jak słusznie zaznacza prof. Tarnowski, »pierwszym kwiatem polskiej liryki i zostaną zawsze jej ozdobą i chlubą«.

»Dziwić się tylko należy — dodaje znakomity historyk literatury — że je tak mało znamy i pamiętamy«. A są tam »rzeczy śliczne, równe najpiękniejszym zagranicznym współczesnym lub dawniejszym; owszem, rzeklibyśmy, choć nieśmiało, że nad niejednym sławnym lirykiem Kochanowski ma w każdym razie wyższość prostoty. Petrarka np. często sili się na sztuczne wymysły, na przerafinowaną czułość, jego włoscy i francuscy naśladowcy tembardziej. Kochanowski nie wpada nigdy w sztuczną przesadę«.

To wyniesienie Kochanowskiego ponad Petrarkę i ponad włoskich i francuskich liryków doby renesansu nie jest bynajmniej przesadne. Jest on rzeczywiście nietylko świeższy, prawdziwszy i, jak określilibyśmy to dzisiaj, *bezpośredniejszy* od nich, ale nadto ma przedziwną miękkość i szlachetność uczucia. Miłość jego nie jest wprawdzie tak platoniczna, jak u Petrarki, owszem ma w sobie krew i zmysły, bo jest młoda, ale nie ma w sobie nic z brutalnej namiętności, raczej ma tę uśmiechniętą swawolę anakreontyczną, która, przeniesiona z pod greckiego nieba do Polski, zdaje się tu być całkowicie na miejscu.

Anakreonta Kochanowski nietylko znał, ale snać przypadł mu on bardzo do smaku, skoro z zapałem jego pieśni przekładał na język polski.

Przekłady te, pełne swoistego wdzięku, wytrzymały próbę czasu i dzisiaj jeszcze zdumiewają nas gładkością i giętkością wiersza, co nie było rzeczą do osiągnięcia łatwą wobec zupełnego braku jakichkolwiek w tej dziedzinie wzorów w mowie polskiej, ani bowiem u Biernata z Lublina ani u Reja podobnej formy artystycznej nie spotykamy.

Wogóle Kochanowski w poezji polskiej formę musiał dopiero stwarzać — i to, że ją osiągnął, stanowi wielką i po wszystkie czasy niezapomnianą jego zasługę.

W »Pieśniach« spotykamy na każdym kroku mocno wrzeźbiające się w pamięć ślady tej zasługi. Melodja wiersza jest tam niepokalana, a rozmaitość rytmów, jak na owe czasy, bardzo znaczna. Nie zapominając więc o czasie, który nas od tej poezji dzieli, możemy przed nią śmiało i bez zastrzeżeń pochylić czoła.

Kochanowski jednak nietylko formą przemawia do nas. Siłą jego poezji są także uczucie i obraz, te dwa dopełniające się wzajemnie pierwiastki liryzmu. I w jednym i w drugim kierunku jest *pierwszym*. Kładzie kres rymowanej prozie, a rozpoczyna okres poezji rzeczywistej, płynącej z serca i wyobraźni. I tu najsilniej występuje na jaw jego rasowa dusza polska, jego słowiańskość w zadumie i ziemiańskość w odczuciu przyrody.

Dotknąwszy tych strun, Kochanowski mimowiednie oddala się od swoich wielkich mistrzów rzymskich i greckich, mimowiednie staje się sobą i coraz bardziej sobą z każdym rokiem, z każdą nową pieśnią nabiera więcej powietrza swojskiego w płuca i z humanisty, wykarmionego na wzorach mistrzowskiego ale zimnego, bo opartego o sztukę rozumu a nie o sztukę serca klasycyzmu, przeradza się w poetę polskiego, w śpiewaka »z Bożej łaski«, który, jeżeli nie wyśpiewuje całej krasy swojej ziemi, to daje nam w każdym razie odczuć jej powab, nawet jej krajobraz sielski, który tak mało się zmienił, że

w głównych zarysach dzisiaj jeszcze jest niemal bliźniaczo podobnym do tego, jakim był wówczas.

Obok »Pieśni« do utworów, które nie mają ściśle określonego czasu powstania, należą »Fraszki«. Modny ten podówczas i właściwy całej zachodniej literaturze humanistycznej rodzaj miał w Kochanowskim o wiele wykwintniejszego niż w Reju przedstawiciela. Znać w jego fraszkach wyższą kulturę umysłu i ducha, które nawet w momentach swawoli i rozwiązywania się języka przy stole ku rozweseleniu współbiesiadników, nadają jego utworom piętno niemal wytworności. Zrzadka tylko poeta zapomina o tej wrodzonej sobie »elegancji« i wówczas daje folgę rymom, którychby się »przed panną czytać nie godziło«. Świadom jest jednak tego grzechu i, zwracając się w jednej z »fraszek« do Mikołaja Firleja, wypowiada swój pogląd na to:

»Odpuść — mówi — mój Mikołaju! bo *ma być stateczny sam poeta,* rym czasem ujdzie i wszeteczny«.

»Statecznym« w tem znaczeniu Kochanowski był niewątpliwie, aczkolwiek nie należał do ascetów i abnegatów, wyrzekających się rozkoszy i przyjemności życia. Zanadto był człowiekiem swojej epoki, zanadto synem renesansu i zanadto szlachcicem polskim, lubiącym kielich, towarzystwo, dobry żart i dobrą facecję.

Świadczy o tem jego udział w »Rzeczypospolitej Babińskiej«, tem jedynem w swoim rodzaju zgromadzeniu, które zasługuje na kilka słów osobnego wspomnienia.

Istniejąca do dzisiaj wieś Babin, pod Lublinem, należała w wieku XVI-tym do Stanisława Pszonki, ziemianina, znakomitego nauką i dowcipem. On to wespół z przyjacielem swoim, Piotrem Kaszowskim, powodowany głębszą satyryczną myślą, zgromadził w domu swoim światlejszą szlachtę i zawiązał żartobliwą »rzeczpospolitą«, od stolicy Babina przezwaną »Babińską«.

Wzorem rzeczypospolitej polskiej obierano tam króla, senat, arcybiskupów, biskupów, wojewodów, kasztelanów, starostów, hetmanów, kanclerzów i innych urzędników.

Liczne grono przyjaciół i sąsiadów Pszonki rozebrało między siebie urzędy, przyczem zasadą nominacji były zalety odwrotne od tych, jakie rozstrzygały w życiu dworskiem i państwowem, więc np. gdy kto o religji bez stosownej okoliczności i powagi odezwał się przy stole lub zabawie, albo wysunął się z niewczesną gorliwością, ten otrzymywał dyplom na kaznodzieję lub inkwizytora babińskiego; kto rozwlekle mówił o łowach, sokołach, psach, koniach i kłamstwem okraszał opowiadanie, ten zostawał ptasznikiem, łowczym, koniuszym i t. p. Jan Zamojski, Trzecieski, Bartosz Paprocki, Sęp Szarzyński, Jan Kochanowski i wielu innych najznakomitszych mężów współczesnych — wszyscy piastowali urzędy w Babinie.

Bywając tam częstym gościem, a i u siebie, w Czarnolesiu, »babińczyków« nieraz podejmując, Kochanowski ostrzył przyrodzony swój dowcip na brusie towarzyskiego z nimi obcowania.

Wiele też i to najcelniejszych »fraszek« niewątpliwie powstało bądź przy biesiadnym stole pana Stanisława Pszonki »dobrym towarzyszom gwoli«, bądź pod lipą czarnoleską, gdzie nieraz także dzwoniły kielichy i śmiech wesoły się rozlegał.

Życie ziemiańskie bez troski i poezja »przeciwiająca się świerczom, które nad łąkami ciepłe lato witają głośnemi pieśniami«, nie przeszkadzały jednak Kochanowskiemu w bacznem postrzeganiu zła, które było już wówczas gościem nieprzelotnym w Rzeczypospolitej.

Nietylko więc wrażenia i uczucia osobiste są przedmiotem jego poezji. Odzywają się w niej także i nuty głębszej troski o przyszłość narodu i państwa.

Swiadczą o tem przedewszystkiem dwa utwory: »Zgoda« i »Satyr« (1562 r.)

Co do »Zgody«, to słusznie zauważa Tarnowski, iż są tam »spostrzeżenia tak bystre, trafiające w samo jądro ówczesnego złego i stałych usposobień polskich, że Kochanowskiego uznać na tej podstawie można za głębszego od Frycza Modrzewskiego«. Zaczyna poeta od filo-

zoficznego pojęcia Zgody, z naciskiem zwraca uwagę na to, jak niezgoda rujnowała i obalała potężne nawet państwa, wreszcie szuka źródeł niezgody polskiej. »Wszyscyście odstąpili od swego urzędu« — mówi. Nikt nie pilnuje tego, co do niego należy, każdy widzi tylko błędy cudze i ostro je strofuje, na swoje zaś własne patrzy przez palce, wszyscy opowiadają słowo Boże, a nikt nie pyta, kto mu dał »urząd apostolski«, w stanie szlacheckim jest »zbyteczne wolności wyciąganie«, a »korona zostawiona na koszu«, bez władzy, bez posłuszeństwa należytego.

Jest to śmiałe dotknięcie prawdy i pierwsze publiczne napiętnowanie tych wad narodowych, które w przyszłości stać się miały jedną z przyczyn upadku Polski.

W ten sposób Kochanowski wyprzedził Skargę.

W drugim utworze o charakterze polityczno-religijnym p. t. »Satyr« poeta w sposób stanowczy zwalcza »materjalizm« swojego wieku, powstając przeciwko zbytniemu rozmiłowaniu się ziemian w staraniach około pomnażania majątku, a zaniechania ćwiczeń rycerskich i zniewieściałości. Ostro mówi, że szlachta na sejmach nauczyła się tylko »radzić i gadać« a nie nauczyła się »robić« i dlatego »kiedy trzeba było się bić, to radziła« i pozwoliła Moskwie na odebranie Połocka. Krytyczne również zajmuje stanowisko wobec nowowierstwa, którego Rej był tak gorącym zwolennikiem, i wszystkich »nowatorów« odsyła do Trydentu, aby tam pokazali, co umieją.

Motywów zarówno do »Zgody«, jak i do »Satyra« dostarczył Kochanowskiemu niewątpliwie pobyt na dworach firlejowskim i królewskim. Tam poznał ludzi, sprawujących rządy, i tam posłyszał po raz pierwszy skrzyp wielkiej machiny państwowej. Zrozumiał też, że nie wszystko, co wydawało się potężnem i dobrem, było w istocie takiem, że do Rzeczypospolitej wkradły się już pierwsze objawy rozkładu. Dlatego uderzył w dzwon alarmowy i odezwał się dydaktycznym, na pozór suchym, w rzeczywistości jednak przepojonym najszlachetniejszem uczuciem patrjotyzmu, głosem przestrogi.

Dydaktyzm, aczkolwiek już nie polityczny, ale etyczny, stanowi cechę dwóch jeszcze innych utworów poety z tego samego mniej więcej czasu: »Zuzanny« i »Szachów«.

»Zuzanna«, która powstała około r. 1562-go, a więc prawdopodobnie równocześnie ze »Zgodą«, jest poematem opisowym z tendencją obyczajową, osnutym na temacie biblijnym o niewinności Zuzanny.

»Szachy« napisane zostały, jak przypuszcza profesor Pilat, około roku 1567-go. Nie są one utworem oryginalnym, ale naśladowanym. Za wzór służył tu poecie poemat włoski, napisany przez Marka Hieronima Vidę, p. t. »Scacchia ludus«.

Treść poematu jest taka: Tarses, król duński, ma córkę, o której rękę ubiegają się równocześnie dwaj królowie, Fiedor i Borzuj. Nie chcąc żadnego z nich skrzywdzić, pomysłowy ojciec proponuje im partję szachów. Wygrana ma rozstrzygnąć, kto będzie szczęśliwym małżonkiem pięknej Anny. Borzuj w pierwszym dniu gry jest bliskim zwycięstwa, ale królewna, której snać milszym był Fiedor, podczas przerwy w grze obraca czarną wieżę ku białemu królowi. Oczywiście, że nazajutrz Fiedor wygrywa i królewna zostaje jego żoną.

Miły, pełen swojskiego wdzięku i malowniczego opisu gry poemat Kochanowskiego dzisiaj jeszcze nie bez zajęcia może być czytany.

Pomijając mniejszego znaczenia utwory tego okresu, jak »Broda«, »Fenomena« i »Muza i Dziewosłąb«, zwrócić należy uwagę na »Carmen macaronicum« — wiersz makaroniczny, czyli pisany mieszaniną polsko-łacińską, w którym poeta występuje w formie żartu przeciw zwyczajowi wplatania do mowy polskiej wyrazów i cudzych zdań łacińskich, co później, niestety, rozpowszechniło się bardzo i na długi czas zachwaściło język ojczysty.

Dowcip Kochanowskiego jest tu przedniego gatunku. Oto np. jak zaleca stan ziemiański:

...swojus res optima kątus,
Nulli flecto genu, sum wolnus, servio nulli;
Gaudeo libertate mea, pewnoque pokojo.
Non expono animam wiatris, longinqua petendo
Lucra, neque occido biednum lichwiando
[człowiekum,
Nec habeo wielkos sed nec desidero skarbos,
Contentus sum sorte mea własnamque paternis
Bobus aro ziemiam, quae me sustentat alitque.
Ipsi epulas nati, cnotliwaque żona ministrat,
Omne gotowa pati mecum, quodcumque ferat sors.

Utworem, który stoi na pograniczu pomiędzy młodą a późniejszą, artystycznie o wiele wyższą i dojrzalszą twórczością poety, jest powszechnie za zwiastuna rozkwitu talentu Kochanowskiego uznany wiersz p. t. »Proporzec«. Jest to opis hołdu pruskiego, złożonego królowi polskiemu przez ks. Albrechta Fryderyka pruskiego w dniu 19 lipca 1569-go roku w połączeniu z opisem proporca, ofiarowanego księciu, a ozdobionego malowidłami, wyobrażającemi ważniejsze momenty z dziejów ziem pruskich. Poeta nie pomija tu także stosunku Prus do Polski, a zwracając się do króla, radzi mu, aby dbał o siłę i pomnożenie państwa. Jednocześnie wspomina o zawartej w tym roku unji Polski z Litwą i wyraża pragnienie, aby ta unja »synom od ojców przez ręce podana« przetrwała »niestargana« jak najdłuższe lata.

Wiersz w tem miejscu ma ton wysoki i szlachetny, co nie przestaje dzisiaj jeszcze wywierać wrażenia. Pisał go poeta-obywatel, zdający sobie sprawę z doniosłości chwili dziejowej i trafnie szacujący fakt braterskiego związku dwóch narodów.

Poczynając od »Proporca« linja twórczości Kochanowskiego idzie już śmiałym rzutem w górę.

Następny zaraz utwór, wydany w Krakowie w roku 1578-ym, to »Odprawa posłów greckich«, najszacowniejszy dzisiaj zabytek polskiej literatury dramatycznej, pierwszy dramat polski nawet »pierwszy w Europie, utworzony wedle prawideł«, jak go określa Mickiewicz.

Treść dramatu oparta jest o motyw, zaczerpnięty z Iljady Homera. Rzecz dzieje się w Troi, w chwili, kiedy przybywają tam posłowie greccy, aby domagać się zwrotu porwanej przez Parysa Heleny. Rada króla Priama zbiera się niezwłocznie, aby orzec, czy do żądania Greków należy się przychylić, czy też odrzucić je i przyjąć wojnę. Mężowie trojańscy radziby tej krwawej ostateczności uniknąć, ale Parys, rozmiłowany w Helenie, zapomocą rozmaitych zabiegów, wiedząc dobrze jak i czem do kogo trafi, zyskuje sobie wśród rady większość i mimo stanowczego oporu Antenora uzyskuje uchwałę odrzucającą żądanie Greków. Wówczas posłowie greccy, Ulisses i Menelaus, odjeżdżają w gniewie, rzucając Troi na pożegnanie zapowiedź wojny. Na dworze Priama nikt jeszcze nie zdaje sobie sprawy z następstw tej groźby. Rozumie położenie jedna Kassandra, córka królewska i wieszczym uniesiona duchem przepowiada upadek miasta. Dramat kończy się wieścią o galerach greckich, które pod wodzą Agamemnona już wypływają z portów greckich, aby nieść Troi zagładę. Dramat ten ani przez współczesnych ani przez długi czas potem nie był należycie, jako dzieło sztuki, oceniony.

»Kanclerz Zamojski — mówi Mickiewicz, pierwszy w naszej literaturze krytycznej orędownik »Odprawy posłów« — który kazał go odgrywać w swoim pałacu i który sam napisał klasyczne dzieło o starożytności, znał zapewne, do czego ściągały się najlżejsze wzmianki autora i umiał czuć wszystkie zalety jego stylu. Parter na teatrze Zamojskiego składał się jednak z niewielu widzów, godnych tej sztuki. Jakże więc masa czytelników mogła znaleźć upodobanie w tym dramacie, nie mającym ani namiętnych wzruszeń ani intrygi? Cały interes dramatu widziano już natenczas w intrydze. Tym sposobem na miejsce interesu idealnego, poetyckiego, podstawiono interes sztuczny, można powiedzieć mechaniczny, wynikający jedynie z układu rzeczy, który aż do końca zakrywa jej rozwiązanie. To oczekiwanie rozwiązania stało się dla

publiczności potrzebą, a w »Odprawie posłów« niemasz nic podobnego.

»Później krytycy wzruszali ramionami, że człowiek tak genjalny, jak Kochanowski mógł napisać coś podobnego. Dla tych krytyków, po większej części nie znających w literaturze dramatycznej nic oprócz sztuk francuskich, kompozycja i styl Kochanowskiego były literą martwą«.

Dopiero kiedy Goethe spróbował w swojej »Ifigenji w Taurydzie« przywrócić dramatowi greckiemu jego formę pierwotną, zdumione oczy ujrzały całe piękno tej formy.

»Szkoda — dodaje Mickiewicz — że nikomu nie przyszło na myśl porównać tych dwóch prześlicznych utworów: Goethego »Ifigenji« i Kochanowskiego »Odprawy«. Pokazałoby się, że Kochanowski pod względem mocy i namiętności był niższym, ale podobno daleko czystszym, daleko bardziej greckim, niż Goethe. Wybornie on czuł i wydał wszystko, co znalazł w pisarzach greckich, Goethe zaś przenika czasami wzrokiem poza obręb literatury i odgaduje szczegóły życia domowego, o których w historykach Grecji niemasz żadnej wzmianki«.

Ten sąd Mickiewicza wywarł wpływ decydujący na stosunek krytyki do »Odprawy posłów«. Był to jednak sąd, pomimo całej swojej trafności, jednostronny.

Słusznie bowiem dowodzi profesor Pilat, że Kochanowski w »Odprawie« nietylko nie szedł ślepo za wzorami greckiemi, ale z pierwiastkiem klasycznym świadomie łączył pierwiastki swojskie, współczesne, od klasycyzmu dalekie. Mianowicie w temat, przejęty z podań klasycznych, włożył tendencję polityczną, zastosowaną do chwili czasu i współczesnych stosunków Rzeczypospolitej i nadał dziełu tu i owdzie barwę swojską; przedstawił dążności współczesne i podał rysy, odnoszące się wyraźnie do społeczeństwa polskiego XVI-go wieku. Była to chwila, w której Batory powziął, w celu zabezpieczenia sobie granic od wschodu, myśl wojny z Moskwą; w tym duchu

działał kanclerz Zamojski, rozsyłając instrukcje na sejmiki powiatowe w r. 1577-ym; chodziło o to, aby sejm, który był naznazcony na 14 stycznia 1578-go r. zgodził się na tę wojnę. Otóż Kochanowski, który był gorącym zwolennikiem energicznej polityki Batorego, a już w poprzednich wierszach swoich (»Satyr«) narzekał na zniewieściałość szlachty i odwyknięcie od rzemiosła rycerskiego, skorzystał z tych okoliczności i umieścił w dramacie, który miał być odegrany przed samym sejmem wobec króla, dostojników i szlachty, wiele aluzyj do współczesnych stosunków polskich. Opis narady, odbytej pod przewodnictwem Priama, przypomina wielu charakterystycznemi rysami sejmy polskie, »marszałkowie biją laskami w ziemię«, huk obradujących zagłusza mówców; jedni siedzą, inni stoją za stołkami, tak, jak w sejmach polskich (senatorowie siedzą, posłowie stoją), głosowanie odbywa się według utartych formuł oddawania wotów w sejmach polskich i to samo wreszcie orzeczenie króla wedle prawa za tem, co większość uchwala. Ale co więcej, ogólna tendencja tego opisu narady wiąże się także z współczesnym stanem rzeczy w Polsce, gdyż poeta wykazuje tu, jak prywata w naradach bierze górę nad słusznością, a tłumy obradujących, nie wnikając w sprawę, hukiem i krzykiem decydują o najważniejszych sprawach politycznych.

Tak samo skreślony przez Ulissesa obraz młodzieży trojańskiej, zepsutej, zniewieściałej, chodzącej w »jedwabiach« zamiast w zbroi, niechętnej do wojny, jako też proroctwo Kassandry, która przepowiada upadek państwa (najpiękniejszy i najpotężniejszy moment w dramacie), zawierają w sobie wyraźną tendencję polityczną, mianowicie zachętę do czynniejszego, energiczniejszego działania wobec nieprzyjaciół kraju i przestrogę przed grożącem niebezpieczeństwem.

W ten sposób dramat Kochanowskiego jest po wszystkie czasy aktualnym w Polsce dramatem, opiera się bowiem o nieuleczoną do dzisiaj wadę narodu — o jego krótkowzroczność, bierność i niedocenianie bliskiego już nawet niebezpieczeństwa.

Drugą próbą Kochanowskiego w kierunku dramatu, ale tylko próbą, był niedokończony utwór p. t. »Alcestis męża od śmierci zastąpiła«. Znamy go z fragmentu zbyt jednak szczupłego, aby jakikolwiek sąd o zamierzeniach poety na jego podstawie powziąć było można.

Przechodzimy teraz do dwóch najtrwalszych dzieł, któremi Kochanowski postawił sobie, zaiste »nad spiż trwalszy« pomnik w dziejach literatury ojczystej.

To »Psałterz Dawidów«, wydany w r. 1579-tym i »Treny«, napisane prawdopodobnie w r. 1580-tym.

Co do »Psałterza«, to najtrafniej ocenił go Mickiewicz. »Żaden język nowożytny — mówi — nie posiada takiego tłómaczenia, jak polski. Niemcy szli za podszeptem ducha sektarskiego, wybierali, co mogło rozdymać uczucia odpowiednie ich namiętnościom, tekst swoich melodyj naciągali do sporów tamtocześnie obecnych. Ani jedno całkowite tłómaczenie niemieckie nie uchodzi za klasyczne. We Francji dawne tłómaczenia straciły wiele wartości z powodu, że język bardzo się odmienił; za dni dzisiejszych trudniej jeszcze byłoby zrobić przekład francuski, bo wiele form mowy zupełnie nowożytnych tak przylgnęło do języka, że stanowią prawie jego istotę; trudno byłoby np. ustrzec się antytezy, sylogizmu, zwrotu epigramatycznego, co wszystko zgoła nie ma miejsca w poezji hebrajskiej. Kochanowski w swoim przekładzie Psalmów jest natchniony, ma styl szlachetny, jasny i przezroczysty, poruszenia swobodne i wspaniałe, wszędzie jakąś powagę sędziwą i uroczystość kapłańską«.

Odczuli to i zrozumieli już współcześni i przyjęli dzieło z ogromnem uznaniem.

Jeżeli Psalmy Reja — mówi prof. Pilat — jako nowość, w pierwszej chwili zyskały wielki rozgłos, to Psałterz Kochanowskiego, formą, językiem i wierszem o całe niebo wyższy wkrótce je zewsząd wyrugował i używany był zarówno przez katolików jako też akatolików,

mianowicie zbory luterskie i kalwińskie. Mikołaj Gomółka, znany muzyk współczesny, dorobił do niego zaraz już w następnym roku muzykę do śpiewu na 4 głosy i wydał ją wraz z psalmami w Krakowie w r. 1580-tym. Lud polski niektóre z nich śpiewa do dzisiejszego dnia po kościołach.

Sądy współczesnych, o ile nas doszły, zawierają słowa uwielbienia dla poety za przekład »Psałterza«. Tak np. Januszowski, mówiąc o dziełach poety, wykrzykuje z zapałem o »Psałterzu«: »Co może być sztuczniejszego i piękniejszego«. (Przedmowa do wyd. Jana Kochanowskiego z r. 1585-go.) Najlepszym zaś dowodem rozgłosu »Psałterza« i wielkiego rozpowszechnienia się jego są ciągłe przedruki współczesne i późniejsze; do roku 1641-go było dwadzieścia kilka wydań »Psałterza«, podczas gdy inne dzieła poety były już całkowicie w połowie XVII-go wieku zapomniane i dopiero pod koniec wieku XVIII-go zostały niepamięci wydarte i niemal na nowo do literatury weszły.

Dziełem, które pod względem wysokiej swojej wartości poetyckiej ubiega się o pierwszeństwo z »Psałterzem«, a jako samorodne, niezależne od żadnego wzoru i jedyne w całej ówczesnej literaturze europejskiej, znacznie go przewyższa, są »Treny«, wyśpiewane przez zbolałe serce ojcowskie po śmierci ukochanej Urszulki.

»Żadna literatura nie posiada nic podobnego — woła z zachwytem Mickiewicz i dodaje, że »Kochanowski ma tutaj całą tkliwość poetów serbskich, ale razem uczucie daleko silniejsze i głębsze, formę zaś bierze raz z elegji Owidjusza, drugi raz z pieśni gminnej«.

Nieśmiertelne piękno, zrodzone z cierpienia, ma tu wymowę przejmującą. »Treny« wzruszają nas dzisiaj tak samo, jak wzruszały współczesnych, i siłą wrażenia przewyższa je chyba jeden tylko »Ojciec zadżumionych« Juljusza Słowackiego. Prof. Pilat nazywa je słusznie »jednem z arcydzieł, na którem można się uczyć, jak na abecadle, języka poetyckiego«. Talent poety stanął tu wyraźnie u swojego szczytu.

Ostatni okres działalności twórczej Kochanowskiego dał nam już niewiele utworów, z których żaden nie wznosi się wyżej. Znać w nich pewne znużenie i osłabienie polotu.

Pomijając niektóre »Pieśni« i »Fraszki«, które były pisane w tym czasie, mamy jeden tylko większy poemat z tego okresu, mianowicie: »Jezda do Moskwy i posługi z młodych lat, aż i przez wszytek czas przeszłej wojny z Moskiewskim, ojczyźnie swej i Panom swym czynionej Jego Książęcej Mości i Pana Krzysztofa Radziwiłła (itd.) prawdziwie opisane«. Kraków, 1583.

Jest to pieśń opisowa treści historycznej, o małem znaczeniu. Niepomiernie większą od »Jezdy« wartość dla historji literatury posiadają pisma Kochanowskiego prozą.

Do najważniejszych z nich należą »Wróżki«. Autor wprowadza tu na scenę plebana, rozmawiającego z ziemianinem o sprawach publicznych, a zwłaszcza o przyczynach złego, które dzieje się w kraju. Pleban, widząc wokoło siebie niezgodę, różnice religijne i rozkład obyczajów, wzywa do poprawy i wróży, o ile poprawa w czas nie nastąpi, upadek państwa. Stwierdzają »Wróżki« raz jeszcze, jak silnie poetę nurtowały złe co do Polski przeczucia, wyrażone już w »Zgodzie« i w »Satyrze«.

Ciekawe światło na krytycyzm umysłu poety rzuca pismo »O Czechu i Lechu historja naganiona«, gdzie poeta pierwszy w naszem piśmiennictwie podaje w wątpliwość pochodzenie czeskiego i polskiego narodu od legendarnych protoplastów Czecha i Lecha.

Do pism prozą należą jeszcze »Wzór pań mężnych«, zawierający sześć obrazków z życia cnotliwych i wielkodusznych niewiast, osnutych przeważnie na opowieściach Plutarcha; »Wykład cnoty«, kilkanaście »Apophtegmatów«, »Przy pogrzebie rzecz«, t. j. mowa pogrzebowa dla starszego brata, i rozprawka p. t. »Ortografja polska«.

Oto wszystko. Pomijając łacińskie utwory poety, które rozmyślnie pozostawiamy na stronie, mamy przed

sobą cały dorobek twórczy Kochanowskiego. Nie jest on na ilość zbyt duży. Ale poeta umarł w sile wieku męskiego, w chwili, kiedy, otrząsnąwszy się z bólu, który go złamał, mógł i powinien był jeszcze tworzyć. Niestety, lutnia przedwcześnie wypadła z jego ręki. Pomimo to zdążył nam zostawić puściznę, która pozwala stwierdzić, że mieliśmy w połowie XVI-go wieku w Polsce prawdziwego poetę, wielkiego artystę, wrażliwego na piękno we wszystkich jego postaciach, obdarzonego niepospolitym umysłem i niepowszedniem bogactwem uczucia, humanistę, wykształconego na najprzedniejszych wzorach literatury starożytnej, i Polaka-obywatela, który, hołdując zasadzie sztuki czystej, pełen był jednocześnie troski o dobro i rozkwit Ojczyzny, walczył ze złem, które widział, i przed następstwami tego zła przestrzegał.

I dlatego, pomimo, że wieki nas dzielą od niego, nie przestał nam być bliskim. Z pism jego możemy jeszcze dzisaj brać piękno i czerpać naukę. Należy tylko pragnąć, aby te pisma były w Polsce czytane, aby nie należały wyłącznie do historji literatury, ale, jako żywa, nieuschnięta gałąź tej literatury, podawały swój owoc współczesnemu i następnym pokoleniom.

Wówczas dopiero stanie się zadość tęsknemu pragnieniu poety, który śpiewał:

„Jednak mam tę nadzieję, że przedsię za laty
Nie będą moje czułe noce bez zapłaty;
A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
To po śmierci nagrodzi z lichwą wiek późniejszy".

Wybór pism
Jana Kochanowskiego.
(1530—1584.)

PIEŚNI.

Księga I, pieśń V.

Nie fortunie, ale cnocie ufać trzeba.

Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko,
Miej na poślednie koła pilne oko:
Bo to nie stała pani z przyrodzenia,
Często więc rada sprawy swe odmienia.

Nie dufaj w złoto, i w żadne pokłady,
Każdej godziny obawiaj się zdrady.
Fortuna co da, to zasię wziąć może,
A u niej żadna dawność nie pomoże.

A ci, co z tobą teraz przestawają,
Twej się fortunie, nie tobie kłaniają:
Skoro ta zniknie, tył każdy podawa,
Jako cień, kiedy słońca mu nie stawa.

Lecz jako sama oczy zasłoniła,
Tak swym podchlebstwem ludzi pobłaźniła:
Że drugi wyższej nosa gębę nosi,
A wszytki insze oczyma przenosi.

Ty pomnij, że twój skarb u szczęścia w mocy,
A tak się staraj o takiej pomocy,
Aby wżdy z tobą twego co zostało,
Jeśli zaś będzie szczęście swego chciało.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi:
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciel srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda:
Nad wszytkim inszym panuje przygoda.

Księga I, pieśń VI.

Złoto wszytko zwycięża: jednak więcej umiarkowanie, niż bogactwo, czyni człowieka szczęśliwym.

W twardej kamiennej wieży, i za troitemi
Drzwiami siedząc Danae nieprzełomionemi,
Pod strażą nieuśpionych Spartańskich złajników,[1])
Mogła wiecznie nie uznać nocnych wszeteczników.

By była z Akryzego Wenus nie szydziła,
Stróża zamknionej panny: bo tą obaczyła,
Że Jowisz w upominku złotym utajony
Miał mieć bezpieczny przystęp i gmach otworzony.

Złoto środkiem Janczarów zbrojnych pójdzie snadnie;
A przez twardą opokę, gwałtowniej przepadnie,
Niźli raz piorunowy: upadł nieszczęśliwy
Dom Proroka Greckiego przez zysk niecnotliwy.

Z gruntu wykorzeniony. Przebił bramy twarde
Zacnych miast Macedończyk, i podkopał harde
Tyrany datkiem: datkom Hetmani hołdują,
Którzy daleko świetnym nawom rozkazują.

Wielkich pieniędzy, wielka troska naśladuje,
A im człowiek w pokładzie swoim więcej czuje,
Tym jeszcze więcej pragnie: słusznie moje oko,
I nigdy przedtym, i dziś nie zmierza wysoko.

Im sobie człowiek więcej pomierny ujmuje,
Tym mu więcej od Boga z łaski przystępuje:
Nic nie mając, z tymi, co nic nie chcą, przestaje,
A buntów dobrowolnie bogatych się kaje.

---

[1]) Złajnik, w starej polszczyznie pies mieszany.

Pan znaczniejszy, gdy państwem wzgardzi, niżby wszytki
Żóławskie urodzaje, i gdańskie pożytki
W jednym spichlerzu zamkną: a sam siedząc w cieniu,
Nie mógł się chleba najeść, nędznik w dobrym mieniu.

Zdrój przezroczystej wody, lasu średnia miara,
I zasiewku mojego niepochybna wiara,
Rządcy płodnej Afryki szerokowładnemu
Nie da się znać, że w szczęściu przyrównana jemu.

Acz mi miodu Podolskie pasieki nie dają,
Ani w mym lochu wina Seremskie stawają:
Ani bogate stada owiec niezliczonych
Strzygą odrosłą trawę po górach zielonych.

Przedsię nazbyt ubóstwa nie znać w domu moim,
Aby mi więcej trzeba, ufam w Bogu swoim:
Ale gdy niepotrzebne chciwości odprawię,
Lepiej daleko płatu sobie tym poprawię;

Niżbych bogate pola Węgierskie z porządnym
Państwem Weneckim złączył: ludziom wielożądnym
Wiela i niedostawa: niech przyjmuje z dzięką,
Komu ścisłą, co dosyć, Bóg udzielił ręką.

Księga I, pieśń IX.

Chroni się Poeta pod lipę przed gorącem.

Słońce pali, a ziemia idzie w popiół prawie,
Świata nie znać w kurzawie:
Rzeki dnem uciekają,
A zagorzałe zioła dżdża z nieba wołają.

Dzieci z flaszą do studniej: a stół w cień lipowy,
Gdzie gospodarskiej głowy
Od gorącego lata
Broni list: za wsadzenie przyjemna zapłata.

Lutni moja, ty ze mną: bo twe wdzięczne strony
Cieszą umysł trapiony,
A troski nieuśpione
Prędkim wiatrom podają, za morze Czerwone.

Księga I, pieśń XVI.

Lutnia dobre myśli sprawuje.

Nic po tych zbytnych potrawach; nic potym
Srebrze na służbie[1]) i obiciu złotym:
Nam kwoli: kędy róża próżno kwitnie,
Nie szukaj zbytnie.

Dobrać i miękka, co ją najdzie wszędzie;
A kiedy równe towarzystwo siędzie,
Prędka dobra myśl, a tym jeszcze chutniej,[2])
Gdy nie bez lutniej.

Lutnia wódz tańców, i pieśni uczonych,
Lutnia ochłoda myśli utrapionych:
Ta serca miękczy swym głosem przyjemnym
Bogom podziemnym.

Księga I, pieśń XIX.

Sława jedna zostaje po człowieku.

Jest kto, coby wzgardziwszy te doczesne rzeczy,
Chciał ze mną dobrą tylko sławę mieć na pieczy?
A starać się, ponieważ musi zniszczeć ciało,
Aby imię przynajmniej po nas tu zostało.

I szkoda zwać człowiekiem, co bydlęce żyje,
Tkając, lejąc w się wszytko, póki stawa szyje;
Nie chciał nas Bóg położyć równo z bestyami,
Dał nam rozum, dał mowę, a nikomu z nami.

1) kredens
2) spieszniej.

Przeto chciejmy wziąć przedsię myśli godne siebie,
Myśli ważne na ziemi, myśli ważne w niebie:
Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże.

Komu dowcipu równo z wymową dostaje,
Niech szczepi między ludźmi dobre obyczaje:
Niechaj czyni porządek, rozterkom zabiega,
Praw ojczystych i pięknej swobody przestrzega.

A ty, coć Bóg dał siłę i serce po temu,
Uderz się z poganinem, jako słusze[1]) cnemu:
Prostak to, który wojsko z wielkości szacuje:
Zwycięstwo liczby niechce, męztwa potrzebuje.

Smiałemu wszędy równo: a o wolność miłą
Godzi się oprzeć by więc i ostatnią siłą;
Nie przegra, kto frymarczy na sławę, żywotem:
Azaby go lepiej dał w cieniu darmo potem?

Księga II, pieśń V.

Nic na świecie statecznego.

Chcemy sobie bydź radzi?
Rozkaż, Panie czeladzi,
Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
A przytym w złote gęśli, albo w lutnią grają.

Kto tak mądry, że zgadnie,
Co nań jutro przypadnie?
Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek troszcze więcej, niźli trzeba.

Szafuj gotowym bacznie;
Ostatek jako zacznie,
Tak fortuna niech kona; raczyli łaskawie,
Raczyli też inaczej: my siedziem w jej prawie.

---

[1]) jak przystoi.

U fortuny to snadnie,
Że kto stojąc upadnie:
A który był dopiero u niej pod nogami,
Patrzajże go po chwili, a on gardzi nami.

Wszytko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie:
A kto by chciał rozumem wszytkiego dochodzić,
I zginie, i nie będzie umiał w to ugodzić.

Próżno ma mieć na pieczy
Śmiertelny wieczne rzeczy:
Dosyć na tym, kiedy wie, że go to nie minie,
Co z przejźrzenia Pańskiego od wieku mu płynie.

A nigdy nie zabłądzi,
Kto tak swój umysł rządzi.
Jakoby umiał szczęście i nieszczęście znosić,
Temu mężnie wytrzymać, w owym się nie wznosić.

Chwalę szczęście stateczne;
Niechcieli też być wieczne?
Spuszczę com wziął, a w cnotę własną się ogarnę,
I uczciwej chudoby bez posagu pragnę.

Nie umiem ja, gdy w żagle
Uderzą wiatry nagle,
Krzyżem padać, i świętych przenajdować dary,
Aby łakomeej wodzie Tureckie towary.

Bogactwa nie przydały,
Wpadłszy gdzie między skały:
Tam ja bezpiecznym sercem, i pełen otuchy
W równej fuście[1]) popłynę przez morskie rozruchy.

---

[1]) Rodzaj statku.

Księga II, pieśń XXX.

Do zdrowia.

Szlachetne zdrowie,
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.
Tam człowiek prawie
Widzi na jawie,
I, sam to powie,
Że nic nad zdrowie,
Ani lepszego,
Ani droższego;
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,

Także wiek młody,
I dar urody,
Miejsca wysokie,
Władze szerokie,
Dobre są: ale
Gdy zdrowie wcale,
Gdzie niemasz siły,
I świat nie miły.
Klejnocie drogi,
Mój dom ubogi
Oddany tobie,
Ulubuj sobie!

Księga III, pieśń XX.

Pieśń świętojańska o Sobótce.

Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa;
Sobótkę jako czas niesie,
Zapalono w czarnym lesie.

Siedli wszytcy na murawie,
Potym wstało sześć par prawie,
Dziewek jednako ubranych,
I bylicą przepasanych.

Tam goście, tam i domowi,
Sypali się ku ogniowi:
Bąki zaraz troje grały:
A sady się sprzeciwiały.

Wszytki śpiewać nauczone,
W tańcu także nie zganione;
Więc koleją zaczynały,
A pierwszej tak począć dały.

Panna I.

Siostry, ogień rozpalono,
I placu nam postąpiono:
Czemu sobie rąk nie damy,
A społem nie zaśpiewamy?

Piękna nocy, życz pogody,
Broń wiatrów i nagłej wody;
Dziś przyszedł czas, że na dworze
Mamy czekać rannej zorze.

Tak to matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana,
Zawżdy Sobótka palana.

Dzieci, rady mej słuchajcie,
Ojcowski rząd zachowajcie,
Swięto niechaj świętem będzie,
Tak bywało przedtym wszędzie.

Święta przedtym ludzie czcili,
A przedsię wszytko zrobili:
A ziemia hojnie rodziła,
Bo pobożność Bogu miła.

Dziś bez przestanku pracujem
I dniom świętym nie folgujem:
Więc też tylko zarabiamy,
Ale przedsię nic nie mamy.

Abo nas grady porażą,
Abo zbytnie ciepła każą,
Co rok słabsze urodzaje,
A zła drogość za tym wstaje.

Pracuj we dnie, pracuj w nocy,
Próżno bez Pańskiej pomocy:
Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Na tego my wszytko włóżmy,
A z sobą sami nie trwóżmy:
Wrócą się i dobre lata,
Jeszcze nie tu koniec świata.

A teraz ten wieczór sławny,
Święćmy jako zwyczaj dawny,
Niecąc ogień do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania.

Panna II.

To moja najwiętsza wada,
Że tańcuję bardzo rada:
Powiedzcież mi me sąsiady,
Jest tu która bez tej wady?

Wszytki mi się uśmiechacie,
Podobno ze mną trzymacie:
Postępujmyż tedy krokiem,
Aleć nie masz, jako skokiem!

Skokiem taniec nasnadniejszy,
A tym jeszcze pochodniejszy,
Kiedy w bęben przybijają,
Same nogi prawie drgają.

Teraz masz czasz umieszli co,
Mój nadobny bębennico!
Wszytka tu wieś siedzi w koło,
A w pośrzodku samo czoło.

Żeby też tu ta nie była,
Która twemu sercu miła:
Każeszli wierzyć, będziemy,
Alеć insze rozumiemy.

Pomóż oto dobrej rzeczy,
A nasz taniec miej na pieczy,
Owa najdziesz i w tym rzędzie,
Coć za wszytki płatna będzie.

Ja się nie umiem frasować,
Toż radzę drugim zachować;
Bo w trosce człowiek zgrzybieje,
Pierwej, niż się sam spodzieje.

Ale gdzie dobra myśl płuży,
Tam i zdrowie lepiej służy:
A choć drugi zajdzie w lata,
I tak on ujdzie za swata.

Za mną, za mną, piękne koło,
Opiewając mi wesoło:
A ty się czuj czyja kolej,
Nie maszli mię wydać wolej.

Panna IV.

Komum ja kwiateczki rwała,
A ten wianek gotowała?
Tobie miły, nie inszemu,
Któryś sam mił sercu memu.

Tę nadzieję mam o tobie,
Że mię też masz za co sobie:
Ani wzgardzisz chucią moją,
Ale mi ją oddasz swoją.

Włóż na piękną głowę twoję,
Tę rozkwitłą pracę moję;
A mnie samę na sercu miej,
Toż i o mnie sam rozumiej.

Tego zataić nie mogę,
Co mi w sercu czyni trwogę:
Wszytki tu wzrok ostry mają,
I co piękne, dobrze znają,

Żadna chwila ta nie była,
Żebych cię z myśli spuściła:
I sen mię prace nie zbawi,
Śpię, a myślę by na jawi.

Prze Bóg siostry! o to proszę,
Niech tej krzywdy nie odnoszę:
By mię która w to tknąć miała,
O com się ja utroskała.

O wszelaką inszą szkodę,
Łacno przyzwolę na zgodę:
Ale kto mię w miłość ruszy,
Wiecznie będzie krzyw mej duszy.

Panna VIII.

Pracowite woły moje!
Przy tym lesie chłodne zdroje
I łąka nieprzepasiona,
Kosą nigdy nie sieczona.

Kwiatki barwy rozmaitej,
Które na łubce obszytej
Usadzę w nadobne koło,
I włożę na swoje czoło.

Tu wasza dziś pasza będzie:
A ja mając oko wszędzie,
Będę nad wami siedziała,
I tymczasem kwiatki rwała.

Tak dziewka, jako młodzieniec,
Nie proś mię nikt o mój wieniec;
Samam go swą ręką wiła,
Sama go będę nosiła.

Dałam wczora taki drugi, Pracowite woły moje!
Będzie mi go żal czas długi: Wam płyną te chłodne zdroje,
Bo mię zaraz pobrać dano, Wam kwitnie łąka zielona,
Czego mi czynić nie miano. Kosą nigdy nie sieczona.

Z ANAKREONTA.

Księga IV, pieśń III.

Ciężko kto nie miłuje, ciężko kto miłuje,
Naciężej kto miłując łaski nie zyskuje.
Zacność w miłości za nic, fraszka obyczaje,
Na tego tam naraczej patrzają kto daje.
Bodaj zdechł, kto się naprzód złota rozmiłował,
Ten wszytek świat swoim złym przykładem popsował.
Ztąd walki, ztąd morderstwa: a co jeszcze więcej,
Nas chude co miłujem, to gubi najprędzej.

Z ANAKREONTA.

Księga IV, pieśń VII.

Nie dbałem nigdy o złoto,
Alem tylko prosił o to,
Aby kufel stał przedemną,
A przyjaciel pijał ze mną;
A tymczasem robotnicy
Pieczę mieli o winnicy.
To wszytko moje staranie,
To skarb, złoto i zebranie.
Ani dbam o kasztelana,
Trzymając się mocno dzbana.

Z ANAKREONTA.

Księga IV, pieśń VIII.

Skoro w rękę wezmę czaszę,
Wnet ze łba troski wystraszę:

Więc iż mniemam, że mam wiele,
Ztąd mi łacno o wesele.
Wieniec musi być na głowie,
A fraszka wszyscy Panowie.
Kto się chce bić, obuj zbroję,
Ja przy kuflu przedsię stoję:
Bo tak mniemam, iż upitym
Lepiej leżeć niż zabitym.

NA LIPĘ.

Księga IV, pieśń XIX.

Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie,
Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,
Choć się nawyższej wzbije, a proste promienie
Sciągną pod swoje drzewa rozstrzelone cienie.
Tu zawżdy chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.
Z mego wonnego kwiatu, pracowite pszczoły
Biorą miód, który potym szlachci pańskie stoły.
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łacno słodki sen przypadnie,
Jabłek w prawdzie nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie,
Jako szczep najpłodniejszy w Hesperyjskim sadzie.

FRASZKI.

Do fraszek.

Fraszki moje (coście mi dotąd zachowały)
Niechcę żebyście kogo źle wspominać miały.
Lecz jeśli wam nie kmyśli cudze obyczaje,
Niechaj karta występom, nie personom, łaje.
Chcecieli chwalić kogo, chwalcież, ale skromnie:
By pochlebstwa jakiego nie uznano po mnie.
To też wiedzcie, że drudzy swej się chwały wstydzą,
Podobno że chwalnego w sobie nic nie widzą.

Z greckiego.

W tym grobie piękna Timas leży pogrzebiona,
Którą przed szlubem wzięła czarna Persefona,
Na jej mogile wszytkie rówiennice razem
Swe lube włosy ostrym ustrzygły żelazem.

Do doktora.

Mówiłem ci, nie noś mi tych fraszek, doktorze,
Które tam czasem słyszysz w Biskupiej komorze,
Bo fraszek, jako sam wiesz, mam zpotrzebę[1]) doma,
Statku tam raczej nabierz obiema rękoma.

Do Wojtka.

Pytasz nie tesznoli mię tak samego siedzieć,
Teszniej mnie Wojtku z tobą, kiedyś to chciał wiedzieć.

Z greckiego.

By się wszytka nawałność morska poruszyła,
By wszytek Ren zebrana moc Niemiecka piła;
Nigdy nie będą mogli rzymskiej sile szkodzić,
Dokąd Cesarz przeważny wojsko będzie wodzić.
Tak i dęby korzenia swego się trzymają,
A suchy, nikczemny list, wiatry obijają.

Na fraszki.

A cóż czynić? Pijaństwo zbytnie zdrowiu szkodzi,
Gra też częściej z utratą, niż z zyskiem przychodzi.
A nadzieje zaś niemasz wzajemnej miłości,
A owa na swą szkodę suszy bardzo kości.
Wy tedy, co kto lubi moi towarzysze,
Pijcie, grajcie, miłujcie: Jan fraszki niech pisze.

---

[1]) dosyć.

Do gospodyniej.

Ciebie zła lwica w ogromnej jaskini
Nie urodziła moja gospodyni,
Ani swym mlekiem Tygrys napawała:
Gdzieżeś się wżdy tak sroga uchowała,
Że nie chcesz baczyć na me powolności,
Ani mię wspomnoc w mej wielkiej trudności?
O którą samażeś mię przyprawiła,
Że chodzę mało nie tak jako wiła.[1])
Wprawdzie żeć się już nie wczas odejmować:
Ja ciebie muszę rad nie rad miłować,
Ty się w tym pomni maszli mię mieć gwoli,
Z mej dobrej chęci, czyli poniewoli.

O rozwodzie.

Przyszedł chłop do Biskupa, chcąc się rozwieźdź z żoną:
Pytają go, czemuż tak w oczu twych mierzioną?
Atolim jej nie zastał dziewicą, ksze [2]) miły:
A Biskup mu zaś powie, o błaźnie opiły,
Przychodzi to na króle i wysokie stany,
A nie przynoszą takich plotek przed kapłany:
A ty chłopie jeślić się tak dziewicę chciało,
Mogłeś do Kolna jechać, tam ich jest nie mało.

Do przyjaciela.

Albo z nas szydzisz, albo sam wiłujesz,[3])
Kota się boisz, a kotkę miłujesz,
Więc kota niechcesz, a chcesz ciągnąć kotkę,
Wierę cię ludzie będą mieć za plotkę.

---

1) głupi, obłąkany.
2) księże.
3) szalejesz.

Na lipę.

Przypatrz się, gościu, jako on list mój zielony
Prędko uwiądł, a już mię przejrzeć z każdej strony:
Co mniemasz tej przygody nagłej za przyczyna?
Ani to mrozów, ani to wiatrów srogich wina:
Lecz mię złego poety wiersze zaleciały,
Tak iż mi tylko prze smród włosy spaść musiały.

O Mikoszu.

Mikosz kota przeciągnął, Jan się rzezał w koszu:
I rzecze ten pośledni: powiedz mi Mikoszu,
W on czas, gdyś kota ciągnął, albo snadź kot ciebie
Gdzieś był stryczków tak prędko dostał ku potrzebie?
Mikosz na to: dadzą mnie powrozów gdy proszę,
Bo pięknie wysuszywszy cało je odnoszę:
Lecz ty, bracie, inaczej z ludźmi się sprawujesz,
Pożyczywszy porzeżesz wszytko i popsujesz.

SATYR.

. . . .

Nie uczyłem się w Lipsku ani w Pradze wiary
I niewiem jako każą w Jenewie u fary:
Wszytko mam z pustelników co mieszkają z nami,
Między lasy, i między pustemi górami:
Ci mi naprzód prawego Boga ukazali,
I wiarę dostateczną do serca podali.
Ale niż ktemu przyszło, silna była trwoga,
Bom tak trzymał, żem ja też poszedł coś na Boga.
Bachus był na mię łaskaw, i żadnej biesiady
Nigdy nie miał bezemnie, mogę rzec, i rady.
Kiedy niósł Aryadnę, jam tuż przed nim siedział,
Com też sobie pomyślał, Bache, byś był wiedział.
Za czasem poginęli ci bożkowie mali,
Myśmy się też po gęstych lesiech rozstrzelali.

Nakoniec jam się ochrzcił, i szedłem w te kraje,
Gdziem zastał, mogę tak rzec, święte obyczaje.
Nie było tej chciwości która dziś panuje
Tak, iż małe i wielkie jednako frasuje.
A jako się dziś ludzie na pożytek jęli,
Tak na on czas wszyscy się do sławy cisnęli:
Której nie drogim trunkiem, ani półmiskami,
Ale znacznemi chcieli zyskać posługami.
Więc i łakomstwa nie niósł on wiek starodawny,
Ni był żaden Prokurat między nimi sławny:
Bo nie statutem, ale cnotą się rządzili,
Strzegąc jakoby zawżdy w wspólnej zgodzie żyli.
Teraz, jako w pieniądzach ludzie smak poczuli,
Cnota i przystojeństwo, do kąta się tuli.
A ich plac, niewstydliwa potwarz zastąpiła,
Na co trzeba statutów, i rzeczników siła.
A onych jakobyśmy tu przepomnieć mieli,
Którzy ani sieść za stół z podejrzanym chcieli:
Obrus przed nim rzezali, talerz nożmi kłoli,
Jeśli nie chciał ustąpić, musiał poniewoli.
Dziś niech jawnie kto zbija, niech zdradza, niech kradnie,
Forytarza dostanie, jako czego snadnie.
Stateczniejsze za prawdę niewiasty w tej mierze,
Bo to dziewka od matki za testament bierze,
Że cnotliwa nie siędzie nigdy przy wszetecznej:
Za co samo, Bóg świadek, godne sławy wiecznej.
Ale wy, co dziś w sobie ojcowskiego macie?
Okrom tego że czasem o łeż[1]) się gniewacie,
Onym ci to przystało, iż prawdę mawiali,
I wiem pewnie że synów tegoż nauczali.
A jeśli mówić, tedy słuchać jej potrzeba,
Bo prawda, wszyscy wiecie, niskąd jedno z nieba,
Więc i to trefna, że wy starych odstąpiwszy
Obyczajów, a nowsze sobie ulubiwszy,

[1]) o fałsz.

Chcecie przedsię zachować starodawne sądy,
Aby król wszytkie wasze uznawał nierządy.
Znośne to było brzemię za ludzi, co zgodę
I pokój miłowali, a o równą szkodę
Dali na przyjaciela, abo na sąsiada,
Że mogła nie o wszytkiem wiedzieć zwierzchna rada.
Ale kiedy się ludzi skrzętnych namnożyło,
Którym potwarz i prawo ustawiczne miło:
Kiedy o namniejszą rzecz każdy na sejm ruszy,
A ty za nim ubogi ziemianinie kłuszy.[1])
Kto tak żelaznej głowy, abo tak cierpliwy,
Żeby mógł wszytkich słuchać, i uznać kto krzywy?
Abo tedy przywróćcie stare obyczaje,
A już tenże postępek prawny niech zostaje.
Abo jeśli wam bardziej kmyśli wiek dzisiejszy,
Uczyńcież już i statut czasom przystojniejszy.
Siła to na Satyra, prawa pociasować: [2])
Wszak po mnie wolno będzie każdemu wotować.
Ja mówię co rozumiem: Kto ma co lepszego,
Niech powiada, będę rad słuchał każdego.

MONOMACHIA PARYSOWA Z MENELAUSEM.

Ale kiedy z obu stron się uszykowali
Trojanie, z wielkim hukiem w pole wyjechali:
Jako żórawie, kiedy bliską zimę czują,
Z krzykiem przeciw wielkiemu morzu polatują,
Pigmeom drobnym niosąc śmierć, i zarażenie:
Krzyk idzie pod obłoki, i spółeczne pienie.
A Grekowie zaś z miejsca cicho się ruszali
Myślą jakoby sobie społem pomagali:

[1]) kłusuj.
[2]) poprawiać.

A jako więc wierzch góry szara mgła odzieje,
Na pasterze nie dobra, ale na złodzieje
Lepsza niż noc; bo człowiek okiem nie doniesie
Nic dalej, jeno jako kamień z ręki niesie:
Taką wtenczas kurzawę idąc poruszyli,
I niewymowne prędko pole przykurzyli,
A kiedy się już wojska prawie zetknąć miały,
Przed Trojany uciekał [1]) Aleksander [2]) śmiały,
Mając Lampart na sobie i łuk nałożony,
I miecz, a kręcąc w ręku oszczep ustalony,
Wyzywał co mężniejszych z wojska przeciwnego,
Aby z nim, ktokolwiek śmie, skusił szczęścia swego.
Skoro go tedy ujrzał Menelaus zbrojny,
A on bezpiecznie szuka przed inszemi wojny:
Jako lew rad, gdy na zwierz z głodu więc napadnie,
Bądź sarnę, bądź jelenia, już go łupi snadnie;
Niedbając na ogromne prędkich psów szczekanie,
Ani w kupę zebranych myśliwców wołanie.
Tak był rad Menelaus, widząc zdrajcę swego,
Bo myślił mścić się nad nim zelżenia dawnego.
Tamże prosto na ziemię z bronią z woza skoczył,
Ale skoro go gładki Alexander zoczył,
A on z inszemi naprzód, ulękł się okrutnie
I schronił się przed śmiercią między swoje chutnie.
Jako kiedy kto ujrzy straszliwego smoku
Między pustemi lasy, wnet uchybi kroku,
Wszytek zadrży, a w stronę co nadalej godzi,
Krew przed strachem do serca z oblicza uchodzi.
Równie tak Aleksander z placu się pospieszał,
Przed Atreowym synem, i w wojsko się wmieszał.
Hektor widząc, gromił go: Parysie zelżony,
Bodaj się był nie rodził, ani pojmał żony,
Tobych był wolał, i to z lepszym było zyskiem,

---

1) Uwijał się.
2) Parys.

Niźli tak być u wszytkich ludzi pośmiewiskiem.
Jaki, mniemasz, u Greków teraz głos o tobie?
Nie zeszło nic wodzowi temu na osobie,
Ale serca i siły nie masz: takim się ty
Czując, płynąłeś przed się przez morskie zakręty
Zebrawszy towarzystwo: a w daleką stronę
Zajechawszy, uniosłeś zacnych ludzi żonę,
Ojcu na wieczną szkodę, i nam braciej twojej;
Nieprzyjacielom na śmiech, a ku hańbie swojej,
Nie chciałeś placu dostać Menelausowi:
Poznałbyś był, jakiemuś żonę wziął mężowi.

ODPRAWA POSŁÓW GRECKICH.

Kassandra.

Po co mię próżno, srogi Apollo trapisz?
Który wieszczego ducha dawszy, niedałeś
Wagi w słowiech: ale me wszytki proroctwa
Na wiatr idą, nie mając u ludzi więcej
Wiary nad baśni próżne, i sny znikome?
Komu serce spętane, abo pamięci
Zguba mojej pomoże? Komu z ust moich
Duch nie mój pożyteczen? i zmysły wszytki
Ciężkim, nieznośnym gościem opanowane?
Próżno się odejmuje, gwałt mi się dzieje,
Nie władnę dalej sobą: nie jestem swoja.
Ale gdzieżem prze Boga? światła nie widzę:
Noc mi jakaś przed oczy nagła upadła.
Owóż mamy dwie słońca, owóż dwie Troi,
Owóż i łani morzem głębokim płynie.
Nieszczęśliwa to łani; złej wróżki łani.
Brońcie brzegów, pasterze, nie dopuszczajcie
Tej niezdarzonej gościej nigdy do ziemie:

Nieszczęśliwa to ziemia, i brzeg nieszczęsny,
Gdzie ta łani wypłynie: nieszczęsna knieja,
Gdzie wnidzie i gdzie gładki swój bok położy.
Wszystki stopy, wszytki jej łożyska, muszą
Krwią opłynąć: upadek, pożogę, pustki
Z sobą niesie. O wdzięczna ojczyzno moja,
O mury, nieśmiertelnych ręku roboto,
Jaki koniec was czeka? ciebie mój bracie,
Stróżu ojczyzny, domu zacna podporo,
Wkoło murów Trojańskich Tessalskie konie
Włóczyć grożą, a twoje oziębłe ciało,
Będzieli chciał nieszczęsny ojciec pochować,
Musi je u rozbójce złotem kupować.
Nieprzepłacony duchu z tobą pospołu,
I ojczyzna umarła: jednaż mogiła
Oboje was przykryje. Lecz i ty srogi
Trupokupcze, niedawno i sam polężesz,
Strzałą nie mężnej ręki prędko objeżdżon.
Coż potym? Kłoda leży, a ze pnia przed się
Nowa rózga wyrosła, i nad nadzieję
Prędko ku górze idzie. A to co za koń
Tak wielki na poboju sam jeden stoi?
Nie wódźcie go do stajni, radzę, nie wódźcie:
Bije ten koń, i kąsze: spalcie go raczej,
Jeśli sami od niego zgorzeć niechcecie.
Czujcie stróże, noc idzie noc podejrzana.
Wielki ogień ma powstać: tak wielki ogień,
Że wszytko, jako w biały dzień, widać będzie:
Ale nazajutrz zaś nic widać nie będzie.
W tenczas, ojcze, ani już Bogom swym dufaj,
Ani się poświęconych ołtarzów łapaj:
Okrutnego lwa szczenie za tobą bieży,
Które cię paznoktami przejmie ostremi,
I krwią twoją swe gardło głodne nasyci.
Syny wszytki pobiją: dziewki w niewolą

Zabiorą: drugie kwoli trupom umarłym
Na ich grobiech bić będą, Matko, ty dziatek
Swoich płakać nie będziesz, ale wyć będziesz.

SZACHY.

Tarses król Duński, miał dziewkę nadobną,
We wszytkich sprawach swoich tak osobną,
Że jej na ten czas równia mieć nie chciano:
Przeto z dalekich krain przyjeżdżano,
Chcąc się przypatrzyć jej zbytniej gładkości,
A uczestnikiem być takiej miłości.
Pełen dwór zawżdy bywał cudzoziemców,
Czechów, Polaków, Francuzów, i Niemców.
Ale dwa jednak przed wszytkimi byli,
Którzy na dworze czas długi służyli.
Fiedor, a Borzuj, wielkich domów oba,
Co samo mogła pokazać osoba.
Ci dwa przed sobą często się skradali,
A o królewnę króla nalegali.
Nakoniec, oba taką chuć kniej mieli,
Że się bić o nię pojedynkiem chcieli.
Póki mógł ojciec, na słowie je chował,
Albowiem obu jednako miłował.
Ale że końca ich prośbie nie było,
Odmawiać mu się dalej nie godziło.
Wziąwszy je tedy na spokojne gmachy,
Ukazał palcem na toczone Szachy
I rzekł: w tych szrankach wasza bitwa będzie:
Duższy [1]) na łonie u mej córy siędzie.
Oba królowi z chucią dziękowali,
O czas i miejsce pilnie się pytali.

---

1) Mocniejszy.

Miejsce na zamku, czas we dwie niedzieli,
Z wolej królewskiej, naznaczony mieli.
Obiema potym po karcie posłano,
Gdzie wszytek sposób tak im opisano:
Kto grze rozumie, może śmiele sadzić,
A kto nie świadom, lepiej się poradzić.
Tablica naprzód malowana będzie,
Tę pól sześćdziesiąt i cztery zasiędzie.
Pola się czarne z białemi mieszają,
Te się owemi wzajem przesadzają.
W tym placu wojska położą się obie,
A po dwu rzędu wezmą przeciw sobie.
Cztery kroć czterzej z każdej strony siędą,
A tym sposobem szykować się będą.
Rochowie z brzegów, więc rycerze po nich,
A potym popi przysiędą się do nich,
Król z panią bierze w pojśrodku dwie poli,
On różną barwę, a ta swoję woli.
Piechota przed nie wyciąga na czoło,
A między wojski pół tablice goło.
Każdy z tych tedy swoją drogą chodzi,
A przez drugiego skakać się nie godzi
Chyba jezdnemu: bo ten świadom drogi,
By też nacieśniej, nie zawadzi nogi.
Roch ma tę wolność, i nadane prawo,
Przodkiem i zadkiem w lewo bić i w prawo.
W trzeci rząd rycerz, zakoliwszy wpada,
Ale na inszy co raz barwie siada:
Białe a czarne, co na ukos idą,
Na popy społem wszytki pola przydą.
Babie się próżno nawijać: i w oczy
I w zad uderzy, w stronę także skoczy:
Czasem i z popy jedną drogą chodzi,
Jedno się z samym rycerzem nie zgodzi.
Król pospolicie swego miejsca pilen,
A wszakoż może swemu też być silen.

Bo w okrąg siebie, wszytki miejsca trzyma,
Kto się nawinie, tego i sam ima,
A kiedy głodzien, do kuchnie rad skoczy,
Dokąd z pierwszego miejsca nie wykroczy.
Drab na prost chodzi: ale z boku kole,
A jego wszytek skok na pierwsze pole;
Chyba gdy z placu pierwszego zstępuje,
Wtenczas trzeciego pola doskakuje.
Gdzie też na zagon ostateczny padnie,
Tak wiele, jako i Królowa władnie.
To też nakoniec przypomnieć nie szkodzi,
Jeden po drugim zawżdy w tej grze chodzi.
A nigdy więcej mknąć jednym nie dadzą,
A gdzie co wezmą, tam swego posadzą.
Gra koniec bierze, kiedy najechany
Król nie ma nigdzie uciec pewnej ściany;
Gdzieby wpadł w sidło, kiedy lud potraci:
A szachu nie wziął, taki met nie płaci.

PROPORZEC.

Jako więc piorun trzaska w niepogodne czasy,
A niebo chmurne huczy i wzruszone lasy;
Łyskawice z obłoków czarnych wynikają,
A śmiertelne narody gromów się lękają;
Taki huk wstał na tenczas, a kiedy król potym
Ruszył się z majestatu swego w płaszczu złotym,
Ruszyli się z nim wszytcy: tam, jako więc rany
Zefir na cichym morzu podnosi bałwany,
Na pierwszym słońca wschodzie, które póki czują
Łaskawy wiatr, leniwo naprzód postępują,
Potem za duższym duchem coraz gęstsze wstają,
A płynąc przeciw słońcu daleko błyskają:
Tym kształtem ludzie w tenczas z miejsca się ruszali,

A ku swemu mieszkaniu społem pochadzali.
Ostatek dnia, biesiady sobie przywłaszczyły,
I tańce, i myśl dobra, i dźwięk lutnie miły.
Aleś ty, wielki królu wtenczas o biesiady
Mało dbał: i owszemeś pilnie szukał rady,
Jakobyś przywlózł w jedność dwa wielkie narody,
Życząc Litwie i Polszcze wiekuistej zgody.
Na co przodkowie twoi, acz grunt założyli,
Aby tobie twoją część przed się zostawili.
Bo co waży pargamin i gęste pieczęci
Przy piśmie zawieszone, jeśli niemasz chęci?
Co tedy prawem inszy, co nas przysięgami
Wiązali, ty nas sercem zepni i myślami.
A niechaj już Unijej w skrzyniach nie chowamy,
Ale ją w pewny zamek do serca podamy.
Gdzie jej ani mól ruszy, ani pleśń dosięże,
Ani wiek wszytkokrotny starością dolęże:
Ale synom od ojców przez ręce podana,
Nieogarnione lata przetrwa niestargana.

PSAŁTERZ DAWIDÓW.

Psalm I.

Szczęśliwy, który nie był między złemi w radzie,
Ani stóp swoich torem grzesznych ludzi kładzie:
Ani siadł na stolicy, gdzie tacy siadają,
Co się z nauki zdrowej radzi naśmiewają.

Ale to jego umysł, to jego staranie,
Aby na wszytkim pełnił Pańskie przykazanie:
Dzieniłi po niebie wiedzie, nocli swoje konie,
On ustawicznie w Pańskim rozmyśla zakonie.

Taki podobien będzie drzewu porzecznemu,
Które przynosi co rok owoc Panu swemu,
Liścia nigdy nie tracąc, choć zła chwila przydzie:
Temu wszytko, co pocznie, na dobre wynidzie.

Ale źli, którzy Boga i wstydu nie znają,
Tego szczęścia, tej nigdy zapłaty nie mają:
Równi plewom, które się walają przy ziemi,
A wiatry, gdzie jedno chcą, wszędzie władną jemi.

Dla czego przed sądem bydź muszą pohańbieni,
Ani w liczbie z dobremi będą policzeni:
Pan bowiem sprawiedliwych na wszelki czas broni,
A przewrotne złe ludzie cicha pomsta goni.

Psalm VII.

W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny
  Nadzieję kładę: Ty racz o mnie radzić.
Nieprzyjaciel mój, jako lew okrutny,
  Szuka mej dusze, aby ją mógł zgładzić.
Z jego paszczęki jeśli mię, mój Boże,
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mię nie wspomoże.

Jeśli mię, Panie, słusznie oszacował
  Zły człowiek, a ma do mnie jaką winę:
Jeślim przyjaźni nie szczerze zachował,
  A do złej chęci dał z siebie przyczynę:
Niech nieprzyjaciel górę ma nademną,
Niech mię w proch zetrze, i moję cześć ze mną.

Powstań, o Panie wieczny, w gniewie twoim
  Przeciw złych ludzi niepobożnej radzie:
A powstań z pomstą, jakąś prawem swoim
  Opisał: oto lud w wielkiej gromadzie
Wyroku twego czeka: jeśli złemu,
  Czy upaść przed twym sądem cnotliwemu.

Przeto, o sędzia, sędzia wiekuisty,
  Chciej na wysokiej sieść stolicy swojej:
A jeźlim jest praw, i przed Tobą czysty,
  Osądź mię wedla niewinności mojej.
Złego złość zniszczy, a człowiek cnotliwy
Jest w opiece Twej, Boże sprawiedliwy.

Boże, przed którym tajne być nie mogą
  Myśli człowiecze, w twej stojąc obronie,
Przed żadną nigdy nie uciekę trwogą,
  Bo szczere serce w twojej jest zasłonie.
O sprawiedliwy sędzia! Ty każdego
Sprawnie oddzielasz wedla zasług jego.

Jeśli człowiek zły nie pohamuje,
  Pan swój miecz ostry, Pan łuk natężony
Na ręku trzyma, i strzały gotuje
  Śmiertelne: zapadł w zazdrość człowiek płony
Niesprawiedliwość nosi, kłam urodzi,
Dół pod kim kopa, a sam weń ugodzi.

Sam się upęta w chytrym sidle swoim,
  Nań się obalą wszytki jego złości;
A ja podparty miłosierdziem twoim,
  Prożen i troski, i niebezpieczności.
Sąd sprawiedliwy, i twe imię, Panie,
Wyznawać będę, póki dusze stanie.

Psalm VIII.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się Twym sprawom wydziwować może,
Kto rozumowi, którym niezmierzony
                Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miecie strzały swoje,
Wszędy jest zacne święte imie twoje,
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twej, wieczny Boży!

Niech źli, jako chcą, ciebie mierzią sobie,
Z ust niemowlątek roście chwała tobie,
Ku więtszej hańbie i potępieniu
Złemu plemieniu.

Twój czyn jest niebo, twoich rąk robota
Gwiazdy jaśniejsze wybranego złota:
Ty co raz nowym światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.

A człowiek co jest? że ty nie stworzony,
Wszytkiego twórca, i Pan niezmierzony,
Raczyszli pomnieć, czym jest syn człowieczy
Godzien twej pieczy?

Takeś go uczcił i przyochędożył,
Żeś go z Anioły tylko niepołożył;
Postawiłeś go Panem nad zacnymi
Czyny swoimi.

Dałeś w moc jego wszytkie bydła polne,
Dałeś i leśne zwierzęta swawolne:
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.

Wszechmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się twym sprawom wydziwować może:
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Psalm LXI.

Usłysz me proźby, Boże władze wiecznej,
  A obróć ku mnie święte uszy swoje:
Z granice prawie świata ostatecznej,
  Do ciebie wzdycha smutne serce moje.

Postaw mię na niedostąpionej skale,
  Gdziebych się już mógł nie bać żadnej trwogi:
W tobie nadzieja: ty mię sam masz wcale
  Zachować, gdy mię trapi człowiek srogi.

Mieć serce tuszy, że w namiecie twoim,
  Wiecznie mam mieszkać pod skrzydłami twemi:
Boś ty był zawżdy łaskaw proźbom moim,
  I dajesz dobrym dziedzictwo na ziemi.

Dni ku dniom będziesz Królowi przykładał,
  Opatrując go nieprzebranym wiekiem:
Na oczu Pańskich wiecznie będziesz siadał,
  A ty go łaską, i swym szczyć opiekiem.

Tam wolen będąc od wszelkich trudności,
  Harfą i rymem będę cię wyznawał:
Abych tak tobie wedle powinności
  Dług obiecany dzień po dzień oddawał.

Psalm CXXV.

Ktokolwiek mocnie ufa Panu swemu,
Nieporuszony stoi: Syońskiemu
Wierzchowi rówien, którego nie mogą
Gwałtowne wiatry pożyć żadną trwogą.

Jako w krąg prawie góry otoczyły
Jerozolimę: tak Pan lud swój miły
Wałem swej łaski zewsząd osypuje,
A w żadną trwogę ich nie odstępuje.

Ani dopuści, żeby lud przeklęty
Wiecznie uciskać miał jego zbór święty:
Aby snać cnota nieszczęściem strapiona,
Nie była jako nakoniec zgorszona.

Dobrym daj dobrze, sprawiedliwy Panie,
A kto na drodze niepobożnych stanie,
Niech wiedzion będzie za niepobożnemi,
A ty miej pokój, Izraelska ziemi.

Psalm CXXXVII.

Siedząc po niskich brzegach Babilońskiej wody,
A na piękne Syońskie wspominając grody;
Co nam inszego czynić, jedno płakać smutnie,
Powieszawszy po wierzbach niepotrzebne lutnie.

Lecz poganin niebaczny, w tej naszej żałobie,
Przedsię piosnkę Syońską każe śpiewać sobie.
Prze Bóg! jako ma to bydź, aby pieśni Pańskich
Głos kiedy miał bydź słyszan w krainach pogańskich?

Jeślibych cię zapomniał o kraino święta,
Niech moja swej nauki ręka zapamięta:
Niechaj mi język uschnie, kiedy cię przepomnię,
Kiedy cię na początku wesela nie wspomnię.

Pomni wszechmocny Panie, co nam wyrządzali
Edomczycy: jako w nasz ciężki dzień wołali;
Zagubcie ten zły naród, ogniem miasto spalcie,
A ich mury do gruntu samego rozwalcie.

Ale i ty Babilon, strzeż dobrze swej głowy,
Bo już wisi upadek nad tobą gotowy:
Szczęśliwy, którzyć za nas odmierzy twe winy,
A o skałę roztrąci twe nieszczęsne syny.

TRENY.

Tren II.

Jeślim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
A kwoli temu wieku lekkie rymy stawić:
Bodajżebych był raczej kolebkę kołysał,
I z druglemi nieważne mamkom pieśni pisał:
Któremi by dziecinki noworodne spiły,
I swoich wychowańców lamenty tuliły.
Takie fraszki mnie zbierać pożyteczniej było,
Niźli w co mię nieszczęście moje dziś wprawiło,
Płakać nad głuchym grobem mej wdzięcznej dziewczyny
I skarżyć się na srogość ciężkiej Proserpiny.
Alem użyć w obojgu jednakiej wolności
Nie mógł; owom ominął, jako w dojrzałości
Dowcipu coś ranego: na to mię przygoda
Gwałtem wbiła, i moja nienagrodna szkoda.
Ani mi teraz łacno dowiadać się o tym,
Jaka mię z płaczu mego czeka cześć na potym.
Nie chciałem żywym śpiewać, dziś umarłym muszę:
A cudzej śmierci płacząc, sam swe kości suszę.
Próżno to, jakie szczęście ludzi naśladuje,
Tak w nas albo dobrą myśl, albo złą sprawuje.
O prawo krzywdy pełne; o znikomych cieni
Sroga, nieubłagana, nieużyta ksieni!
Takli moja Orszula, jeszcze żyć na świecie
Nieumiawszy, musiała w ranym umrzeć lecie?
I nienapatrzywszy się jasności słonecznej,
Poszła nieboga widzieć kraj ów nocy wiecznej.
A bodaj ani była świata oglądała:
Co bowiem więcej, jeno ród, a śmierć poznała?
A miasto pociech, które winna z czasem była
Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

Tren III.

Wzgardziłaś mną dziedziczko moja ucieszona,
Zdałać się ojca twego bardziej uszczuplona
Ojczyzna, niźlibyś ty przestać na niej miała.
To prawda, żeby była nigdy nie zrównała.
Z ranym rozumem twoim, z pięknemi przymioty,
Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony,
Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
A ty pociecho moja już mi się nie wrócisz
Na wieki, ani mojej tesknice okrócisz.
Nie lża, nie lża, jedno się za tobą gotować,
A stopeczkami twemi ciebie naśladować:
Tam cię ujrzę, da Pan Bóg: a ty więc z drogiemi
Rrzuć się ojcu do szyje ręczynkami swemi.

Tren VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo Słowieńska,
Na którą nie tylko moja cząstka ziemieńska,
Ale i lutnia prawem dziedzicznym spaść miała:
Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając:
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym,
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym,
Prędkoś mi nazbyt umilkła; nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotko droga.
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami,
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami:
A tyś ani umierając śpiewać przestała,
Lecz matkę ucałowawszy, takeś żegnała:

Już ja tobie moja matko służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę:
Przyjdzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać.
To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny,
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny.
A matce, słysząc żegnanie tak żałośliwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe.

Tren VIII.

Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim,
Moja droga Orszulo, tym zniknieniem swoim.
Pełno nas, a jakoby nikogo nie było:
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło.
Tyś za wszytki mówiła, za wszytki śpiewała,
Wszytkiś w domu kąciki zawżdy pobiegała.
Nie dopuściłaś nigdy matce się frasować,
Ani ojcu myśleniem zbytnim głowę psować:
To tego, to owego wdzięcznie obłapiając,
I onym swym ucieszonym śmiechem zabawiając.
Teraz wszystko umilkło: szczere pustki w domu,
Nie masz zabawki, nie masz rozśmiać się nikomu.
Z każdego kąta żałość człowieka ujmuje:
A serca swej pociechy darmo upatruje.

Tren XIII.

Moja wdzięczna Orszulo, bodaj ty mnie była,
Abo nie umierała, lub się nie rodziła.
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,
Za tym nieodpowiednym pożegnaniem twoim.

Omyliłaś mię, jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy:
Potem nagle uciecze, a temu na jawi,
Z onych skarbów jeno chęć, a żądzę zostawi,
Takeś ty mnie Orszulo droga uczyniła,
Wielkieś nadzieje w moim sercu rozniecila:
Potymeś mię smutego nagle odbieżała,
I wszytki moje z sobą pociechy zabrała.
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc duszę połowicę:
Ostatek przy mnie został na wieczną tęsknicę.
Tu mi kamień mularze, ciosany połóżcie,
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydróżcie:

Orszula Kochanowska, tu leży kochanie
Ojcowe, abo raczej płacz i narzekanie.
Opakeś to niebaczna śmierci udziałała,
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała,

Stanisław Orzechowski
(1513—1566).

Łukasz Górnicki
(1527—1603).

O ile poezja polska rozkwitła w XVI-tym wieku nagle i dzięki genjuszowi Kochanowskiego osiągnęła odrazu nieoczekiwanie wysoki stopień piękna, zarówno pod względem formy, jak i treści wewnętrznej, o tyle proza rozkwitała powoli, stopniowo wyzwalając się z więzów krępującej ją łaciny u góry społeczeństwa, niemczyzny zaś u dołu — wśród nabierającego ogłady i kultury mieszczaństwa polskiego.

Ludność naszych miast, jak wiadomo, była ludnością mieszaną. Znaczny, poczynając od wieku XIV-go napływ niemieckich kupców i rękodzielników do Krakowa, jako do stolicy państwa, musiał, prędzej czy później, obudzić wśród rdzennie polskich jego mieszkańców obawy o to, czy miasto jest naprawdę miastem polskiem. Na tem tle przyszło też w wieku XVI-tym do wyraźnych sporów W r. 1531 starsi cechu »miechowników, kaletników, taszników i farbierzy« wnieśli do rajców żądanie, że »gdy w zgromadzeniu ich wielu jest takich, którzy języka niemieckiego nie rozumieją, a częstokroć i nie wiedzą, o czem w obecności ich jest mowa... będzie zatem stosowniej, gdy obrady cechowe w języku polskim, jako od wszystkich rozumianym, odbywać się będą«. Rajcowie przychylili się do tego i dodali, aby, »wyłączając język czeski, pisma i przepisy cechowe z niemieckiego na polski przełożone, zrozumieniu wszystkich przystępne były«.

Oparł się na tem król Zygmunt I i, potwierdzając w roku 1532-gim urządzenie służby miejskiej, zastrzegł, »aby oba Pisarze miejscy (Pisarz i Podpisarz) zawsze obu języków, polskiego i niemieckiego umiejętni byli«.

Przecież zadawniony zwyczaj używania języka obcego w »sądownictwie ratusznem« długo nie mógł być wykorzenionym i dotrwał aż do końca XVI-go wieku. Rzeczą jednak jest wysoce znamienną, że »język niemiecki mieszczanom i rajcom tego pochodzenia nie zawsze był dostatecznym i często włatywano weń wyrazy polskie«.

»Lecz w tymże samym czasie, kiedy w Ratuszu sprawy odbywały się w języku obcym, pospólstwo krakowskie było ludem polskim i w tej klasie kwitnął czysty nasz język, ten żywioł rodowy, nie zamącony żadną obczyzną i jedyne Palladium po praojcach«.[1])

O tej jędrności mowy, jaka była w ustach ludu, da nam pojęcie list, który w r. 1544-tym pisała niejaka Krystyna, żona Bieniasza Majerana, ślusarza krakowskiego do brata swego Piotra, mieszkającego w Pradze: »O zdrowiu waszem radabych słyszała, miły Panie bracie!... Panie Boże, daj wam lepsze, niż ja mam... Przytem, miły Panie braciszku, wiedzcie i bądźcie tego pewni, iżeć ja wam nie mam dziś nic pocieszenego pisać, a przeto czem mię Pan Bóg raczył nawiedzić, to muszę, uboga sierota, cierpieć: aczkolwiek nie była moja wola, ale Pan Bóg dopuścił złego człowieka, nie inaczej jako na Jopa Świętego. Przytem, mój miły braciszku, raczcie W. M. wiedzieć, najpierwej dług i te rzeczy, które w domu macie u mnie i raczcie się opiekać niemi, dlatego iżbych ja pracy nie miała więcej i też trudności... Boć mam trudności dosyć i ciężkości swej: przeto, mój miły Panie braciszku! wiedzcie iżci to wam dawam znać, iżbyście potem nie rzekli, iżbych nie była dobrą siostrą waszą i też przyjazną według miłego Boga, a przeto wam powiadam już, iżbyście przy-

[1]) Ambroży Grabowski. Starożytne wiadomości o Krakowie. Przestroga wstępna.

jechali a swe rzeczy dobrze opatrzyli, jako najlepiej wiecie... Przeto ja was proszę dla miłego Boga, iżbyście w tem nie mieszkali. Ja dali Bóg chcę udziałać, iżbych wam była we wszytkiem płatna itd.«.

Z tego urywka widać, że pisarze polscy XVI-go wieku mieli pod ręką materjał gotowy: język w mowie wyrobiony i giętki, który należało tylko nieco ogładzić, przenieść do ksiąg, utrwalić i zapomocą druku rozpowszechnić.

Nie przyszło to z trudem. Już w roku 1541-ym słynny drukarz krakowski, Hieronim Wietor, w przedmowie do jednej z wydanych przez siebie ksiąg, pisał: »Będąc ja wmieszkanym a nie urodzonym polakiem, nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój miłuje, szyrzy, krasi i poleruje, czemu sam polski naród swym gardzi i brzęka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać«.

Jakby posłuszni temu wezwaniu, zabrali się pisarze polscy do »szyrzenia, kraszenia i polerowania« prozy polskiej, która rychło pod piórami kilku z nich zabłysnęła całym niepowszednim, samorodnym urokiem swoim, w stylu bliska jeszcze łacinie, ale w języku jędrna, czysta i bogata. Wyrobienie swoje proza polska zawdzięcza przedewszystkiem reformacji i całemu ówczesnemu ruchowi religijnemu, który wywołał potrzebę przekładania pisma św. i bogatą literaturę polemiczną.

Ale nietylko temu. Jednoczesny rozwój życia państwowego i społecznego postawił na porządku dziennym cały szereg zagadnień, które domagały się oświetlenia, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, publicystycznego. Rzeczpospolita, jak to widzieliśmy już z pism Reja i Kochanowskiego, pomimo wzbudzającej podziw u obcych potęgi, niedomagała. Gmach jej rysował się a rosnący egoizm szlachty, jako warstwy uprzywilejowanej, nie wróżył dobrze o przyszłości. Widziały to bystrzejsze źrenice i zdawały sobie z tego sprawę bystrzejsze mózgi. »Naprawa

Rzeczypospolitej« stała się hasłem, które skupiło dokoła siebie szereg wybitniejszych pisarzów, zgoła zresztą niezależnych jeden od drugiego.

W szeregu tym wysunął się na czoło: Stanisław Oksza-Orzechowski, postać ze wszech miar na tle swojego wieku ciekawa, pisarz niepospolitych uzdolnień i po dziś dzień podziwianego temperamentu.

Życie jego było burzliwe. Urodził się 11 listopada 1513 roku w Orzechowcach albo w Przemyślu, z ojca Stanisława, pisarza ziemi przemyskiej i matki, Jadwigi z Baranieckich herbu Trąby, córki księdza ruskiego. Do szkół uczęszczał w Przemyślu. Zgodnie z ówczesnym zwyczajem, ojciec, zabiegając o przyszłość materjalną syna, wyrobił mu już w r. 1525-tym, a więc wówczas, gdy chłopiec liczył zaledwie lat 12, kanonikat przemyski. Mając zapewnione dochody i to dość znaczne, Stanisław odwieziony został w r. 1526-tym do Krakowa, gdzie zapisał się w poczet uczniów Akademji krakowskiej. Tam zasmakować musiał w nauce i rozciekawić się do nowych prądów, skoro w niespełna dwa lata potem, w r. 1528-tym przenosi się na uniwersytet wiedeński, a stamtąd, w r. 1529-tym wyjeżdża do Wirtembergi, gdzie slucha wykładów Melanchtona, zapoznaje się z Lutrem i obcuje z nim blisko.

Musiały dojść o tem wieści do ojca, który też, nie patrząc przychylnie na nowatorstwo, polecił synowi opuścić Wirtembergę i wyjechać do Włoch. Nastąpiło to w r. 1532-im.

Bawiąc kolejno na uniwersytetach w Bononji, w Padwie, w Wenecji i w Rzymie, Orzechowski nie śpieszył się ze studjami. Odbywał je systematycznie i długo. Do kraju powrócił dopiero w r. 1543-cim, uzbrojony w wiedzę gruntowną i rozległą, która przy wrodzonych zdolnościach uczyniła go jednym z światlejszych ludzi pokolenia, do którego należał, a gdzie o uczonych i pisarzów nie było trudno.

Wyświęcony, jak sam przyznaje, wbrew swojej woli na kapłana, otrzymał plebanję w Żórawicy. Od tej chwili zaczyna go nurtować bunt wewnętrzny. Burzy się w nim natura, niezdolna do kompromisów z sumieniem, burzy się w nim także szlachcic polski, nie uznający żadnych więzów, krępujących jego indywidualność.

Tarnowski słusznie podaje w wątpliwość fakt przymusu ze strony ojca co do przyjęcia przez Stanisława święceń kapłańskich. Mężczyzna trzydziestoletni przymusowi takiemu mógł był nie ulec. Skoro jednak został księdzem, powinien był wszystkie następstwa tego przełomowego w życiu swojem faktu przyjąć.

Nie przyjął jednak. Wystąpił w sposób ostry i stanowczy przeciw celibatowi, biorąc w obronę wiarę grecką, która uznawała małżeństwo duchownych świeckich a zachowywała bezżeństwo tylko dla mnichów. Niedość mu jednak było walczyć pismem. Zapragnął rzucić rękawicę Kościołowi rzymskiemu publicznie i w tym celu na sejmiku w Sądowej Wiszni w r. 1550-tym oświadczył wobec zebranej szlachty, iż, będąc przekonanym o niesłuszności zasady celibatu, wstąpi w związki małżeńskie. Biskup Dziaduski zagroził mu za to infamją, banicją i konfiskatą. Nie podziałało to jednak bynajmniej na wojowniczego plebana z Żórawicy. Sprawę swoją wytoczył on na Sejmie tegoż jeszcze roku, ale przedtem tak potrafił opinję szlachty na swoją stronę przeciągnąć zapomocą napisanego umyślnie w tym celu paszkwilu na małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą, że biskupi, obawiając się większego jeszcze podniecenia umysłów, skapitulowali i powstrzymali się od sądzenia sprawy, poprzestając na przyrzeczeniu Orzechowskiego, iż się nie ożeni, dopóki nie otrzyma na to pozwolenia z Rzymu.

Przyrzekł, lecz w r. 1551-ym ożenił się z Magdaleną Chełmską. Wyklęty został za to, jako heretyk. »Wyrok ten jednak — przyznaje Tarnowski — poprawił jeszcze sprawę Orzechowskiego u szlachty. Protestanci musieli

i tak stać po jego stronie, ale stanęli teraz po niej i katolicy także. Gdyby sądy duchowne miały szlachcica pozbawiać czci, to co staćby się mogło? Nikt nie byłby już pewnym, czy nie będzie od niej odsądzonym! Burza podniosła się taka, że biskupi znów musieli się cofnąć. Sprawa została w zawieszeniu aż do czasu, kiedyby Rzym małżeństwo Orzechowskiego uznał za ważne lub je potępił. W tej chwili, tak dla siebie ważnej, napisał Orzechowski swój »List do Papieża Juljusza III-go«. W »Liście« tym domaga się uznania swego małżeństwa a w przeciwnym razie grozi oderwaniem Polski od Kościoła. Urąga Papieżowi, że choćby go i skazał i wyklął, to nikt w Polsce na wolnym szlachcicu wyroku jego nie wykona. Dowodzi wykrętnie, że miał prawo się ożenić i żeniąc się zrobił dobrze, gdyż nierządne życie ujął w karby świętego małżeńskiego stanu. »List« ten jest szczytem zuchwalstwa, niekonsekwencji, sofistycznego przekręcania i namiętności na wszystko zaślepionej, a szalejącej w swoim uporze. Przez to jednak właśnie jest bardzo charakterystycznym, jako krótki ale doskonały wyraz wszystkich złych stron i wad Orzechowskiego, który, co znów na jego dobro zapisać należy, pomimo jaskrawej walki z Kościołem, pozostał stałym w wierze katolickiej, nie zmienił wyznania i wkońcu, uzyskawszy warunkowe rozgrzeszenie, uznany został za prawowiernego (1561 r.). Było to jednak już na kilka lat przed śmiercią, która nastąpiła w r. 1566-tym (data niepewna).

Przyjrzymy się teraz temu dziwnemu człowiekowi bliżej, jako pisarzowi.

Początkowo pisał on wyłącznie po łacinie, ale pisał językiem i stylem takim, jakich w Polsce nikt przed nim nie używał. Przywiózł był z Włoch doskonałą znajomość literatury rzymskiej i swadę pisarską, na Cyceronie przedewszystkiem zaprawioną.

Pisma jego łacińskie obchodzą nas jednak dzisiaj tylko o tyle, o ile mają związek z jego życiem, o ile są

odbiciem jego przejść, jego usposobień i poglądów. Nawet najświetniejsze z nich, będące w swoim rodzaju arcydziełem w dziedzinie pisarstwa historycznego, »Annales« stanąć muszą na uboczu wobec tego, co napisał po polsku. W polszczyźnie bowiem spoczywa dzisiaj cały jego smak dla nas — nie w tem co pisał, ale w tem, jak pisał, jak się wyrażał, jakie było bogactwo, kolor i gładkość jego słowa.

Do dzieł jego po polsku napisanych należą:

»Opowiadanie upadku przyszłego polskiego«, traktat z roku 1560, wydany z rękopisu bibljoteki Jagiellońskiej przez prof. Wierzbowskiego w »Bibljotece zapomnianych poetów i prozaików polskich« w r. 1901;

»Rozmowa albo Djalog około egzekucjej Polskiej Korony«. W Krakowie, 1563;

»Quincunx, to jest wzór Korony Polskiej na cynku wystawiony«. W Krakowie, 1564;

»Ziemianin albo rozmowa ojca z synem o sprawie Polski«. Kraków 1565;

»Policja Królestwa Polskiego, nakształt Arystotelesowych polityk wypisana dla dobra pospolitego r. 1566, wydana po raz pierwszy z rękopisu w Krakowie w r. 1859 wraz z przedrukiem »Ziemianina« przez Żegotę Paulego, wreszcie

»Żywot i śmierć Jana Tarnowskiego«, wydane z rękopisu przez Franciszka Bohomolca w Warszawie w roku 1773-im.

Biorąc do ręki którekolwiek z tych pism, przekonamy się łatwo, na pierwszych zaraz jego kartach, że Orzechowski był świetnym prozaikiem polskim, pisarzem urodzonym, któremu pióro było zawsze posłuszne.

Prof. Brückner słusznie zalicza go do pisarzów »wykolejonych przez polemikę teologiczną«. Istotnie, gdyby Orzechowski mógł był w innych dziedzinach swój ogromny talent zużyć, to przy rozległem jego wykształceniu, przy prawdziwie renesansowem bogactwie duszy i wysokiej

temperaturze uczucia, stworzyćby mógł w prozie rzeczy pomnikowe, które dorównałyby temu, co Kochanowski uczynił w poezji.

Niestety, opętała go jedna idea natrętna i to nadało mu, jako człowiekowi i jako pisarzowi, cechy specjalne. Niezależnie od tego potrafił atoli Orzechowski przekonać do siebie potomnych tem, co górowało w nim przecież ponad osobistemi animozjami — miłością Ojczyzny. Jeżeli tych spraw dotykał, to nie głową ale sercem. »Pierwszy — mówi Brückner — odczuwał gorąco i głęboko, co pisał, z krzykiem na ustach i z bólem w sercu; chciał słuchacza to olśnić przepychem i doborem słów, to przerazić zeznaniami straszliwemi: »byś serce moje rozkroił, nie znalazłbyś w niem nic innego, jedno to słowo: »zginiemy«, albo »iż nas i tę sławną koronę postronni sąsiedzi między się, jak psi flak, roztargną«. Ta miłość gwałtowna tej ojczyzny nierządnej i tej braci nieopatrznej każe nam zapominać o paradoksach tej dzielnej a burzliwej, wichrowatej głowy«.

Zapominamy rzeczywiście łatwo o wszystkich »grzechach« autora »Listu do papieża Juljusza III-go«, czytając prorocze, niestety, »Opowiadanie upadku przyszłego polskiego«.

Staje wówczas przed nami pierwszy i to genjalny publicysta polski, w niczem nie ustępujący późniejszym, najwybitniejszym tego kierunku w piśmiennictwie przedstawicielom, a wielu z nich przewyższający odwagą prawdy.

Mimowoli też narzuca się pytanie, czy Skarga byłby natchnionym Skargą, gdyby nie miał za sobą pism Orzechowskiego, jego płomiennego stylu i jego »złotego pióra«, wobec którego Łukasz Górnicki swoje »ołowianem« nazwał.

Jako publicystę Tarnowski charakteryzuje Orzechowskiego w sposób następujący:

»Ma on — mówi — wielki spryt i węch do poznania opinji publicznej, zawsze wie, skąd wiatr wieje i umie

zręcznie swoją łódkę tak obrócić, żeby ten wiatr wiał w jego żagle: zna wybornie publiczność, do której mówi, wie, co jej się podoba, wie, jak trafić w jej słabą stronę. Nie są to przymioty wielkiego pisarza, nie wystarczą na to, aby dzieła stały się wiekopomnemi, a pisarz sławnym i wdzięcznie wspominanym, jak długo świat stoi, ale są właśnie te, których potrzeba, żeby u współczesnych mieć wielką sławę i wziętość. W swoim też wieku rozgłosu i sławy miał Orzechowski tyle, ile ich tylko próżność jego zapragnąć mogła«.

»Ale — ciągnie dalej znakomity historyk literatury — będąc przykładem zdolności publicystycznych, dobranych tak szczęśliwie, jak rzadko, jest on zarazem i zbiorem wszystkich własności, które publicystykę mogą robić niebezpieczną i nieuczciwą, jest typem publicysty złego. W niestateczności, w sprzecznej z sobą gorliwości o dobro Kościoła, przeciw któremu się buntował, o dobro ojczyzny, którą wichrzył, w sztuce kaptowania aurae popularis, paradoksu, szkalowania i pochlebstwa, w sztuce zuchwałego naciągania i przekręcania słów i faktów, w sztuce bezczelnego zmieniania zdań i bronienia najsprzeczniejszych, słowem, w tych wszystkich sztukach, przez które publicystyka może stać się rzeczą wzgardzoną i godną pogardy, a dla moralności publicznej i dla spraw politycznych niebezpieczną, jest Orzechowski mistrzem«.

Sąd taki jest niewątpliwie sądem zbyt ostrym, zrozumiałym u pisarza tego kierunku, którego przedstawicielem był hr. Tarnowski.

Skądinąd został też ten wyrok surowy znacznie złagodzonym a znakomita praca prof. Kubali p. t. »Stanisław Orzechowski i wpływ jego na rozwój i upadek reformacji w Polsce«, ukazująca nam Orzechowskiego na tle epoki, w ogniu walki, która toczyła się wówczas, pozwala nam lepiej zrozumieć i lepiej ocenić zarówno jego złe, jak i dobre strony.

Przykładając zaś do tego zjawiska, jakiem był w piśmiennictwie naszem Orzechowski, miarę dzisiejszą, musimy stanąć na stanowisku, że publicysta o tyle jest pożytecznym, bez względu na kierunek, w którym pracuje, o ile pióro jego znajduje oddźwięk w umysłach i sercach ludzkich, o ile budzi jedne i drugie ze snu, zmusza do akcji i reakcji, wyrywając je z tak swoistego dla Polski kwietyzmu, wspartego o przyrodzoną naszą bierność słowiańską.

Takim »budzicielem« myśli polskiej w wieku XVI-tym Orzechowski był niewątpliwie. Rzucał się, gryzł, szarpał, szkalował, ale budził i kochał. Nie tyle może przez złą wolę, ile przez swój temperament niesforny, uwikłał się w sprawy, z których już bez ujmy dla swojej ambicji, bez uszczuplenia miłości własnej, bez złamania i skruszenia swojej pychy szlacheckiej wybrnąć nie umiał. Złapany, jak wilk w samotrzasku, miotał się na wszystkie strony, byle się nie poddać, byle nie uszczuplić w niczem swojego prawa do wolności, stającej się swawolą. Był w tem pojmowaniu wolności nieodrodnym szlachcicem polskim, więcej zaiste natione Polonus, niż gente Ruthenus, jak sam siebie określał. Był poprzednikiem tych wybujałych indywidualności, które właśnie na kresach, na Rusi Czerwonej, miały z czasem spotwornieć i zapisać się w dziejach takiemi postaciami, jak słynny Djabeł Stadnicki. Biorąc to pod uwagę, zrozumiemy dopiero jego duszę i jego myśl, obracającą się wśród nieustannych sprzeczności, trwożną na myśl o upadku Polski, a więc świadomą jej niedomagań, a jednocześnie stającą w obronie »złotej« wolności szlacheckiej i uważającą szlachtę za sól tej ziemi, a ustrój polityczny Polski za doskonały.

Skłonny do admirowania samego siebie, Orzechowski pełen był także admiracji dla tego ustroju, w którym jednostka nie była pod żaden strychulec podciągana, ale rozwijać się mogła bez ograniczeń i bujać, jak chciała,

wysoko. Żaden ogrodnik nie przyciął jej swojemi nożycami, nie wtłoczył do szpaleru, nie zmusił do stania w szeregu.

Te właśnie zalety »szlacheckie« wyczuwała w nim szlachta i dlatego był on umiłowanym przez nią pisarzem, dopóki ze zbuntowanego kapłana, który napadał na Kościół, co szło na rękę licznym wówczas żywiołom, sympatyzującym z reformacją, nie przeistoczył się, zgoła niespodziewanie dla wszystkich, tylko nie dla siebie, gdyż w istocie wrogiem Kościoła nigdy nie był, w żarliwego głosiciela wszechwładzy duchowieństwa.

Zasady te wystąpiły na jaw właśnie w jego pismach polskich, w »Dyalogach«, w »Quincunx'ie« i w »Policji«. Ponieważ — rozumował — wszelka władza pochodzi od Pana Boga, a papież jest namiestnikiem boskim na ziemi, zatem on jeden tylko może część władzy swojej przenieść na panujących. Z kolei w Polsce zastępuje papieża arcybiskup gnieźnieński czyli prymas. On namaszcza króla i aktem tym nadaje mu część władzy swojej, a skoro mu ją nadał, to może mu ją również odjąć.

Jest to wyraźny nawrót do teokracji. Ideę swoją unaocznił Orzechowski zapomocą figury pięciobocznej (»Quincunx«), na której szczycie znajdują się symbole godności papieskiej: tjara i klucze, uwieńczone krucyfiksem, na dwu bokach symbole — z jednej strony godności biskupiej (infuła, pastorał i krzyż), z drugiej — godności królewskiej (korona, berło i miecz), u podstawy wreszcie ołtarz i kielich z Przenajświętszym Sakramentem.

Te marzenia kościelno-polityczne zostały rozwinięte szerzej w »Policji królestwa polskiego«, znaczenia jednak dla literatury nie posiadają one dzisiaj żadnego.

Cała ich wartość polega na tem, iż były pisane po polsku i pisane świetnie, polszczyzną, która zdumiewa nas swojem bogactwem i podbija swoistym urokiem.

Drugim pisarzem, który pozostawił nam po sobie niepowszednie świadectwo rozkwitu prozy polskiej XVI-go wieku, był Łukasz Górnicki.

Górnicki był pochodzenia mieszczańskiego i nazywał się pierwotnie Górą. Urodził się w r. 1527-tym w Oświęcimiu, jako syn Marcina Góry, tamtejszego mieszczanina i Anny Gąsiorkówny, mieszczanki bocheńskiej.

W życiorysach jego nie wszystkie wiadomości są pewne. Wiemy tylko, że od roku 1538-go przebywał w Krakowie, ale czy był uczniem Akademji krakowskiej, tego nie udało się stwierdzić.

Jako 16-letni młodzian wyjechał do Włoch i bawił tam przez lat pięć, t. j. od roku 1543 do roku 1548. Po powrócie do Krakowa dostał się na dwór biskupa Maciejowskiego, kanclerza koronnego; po jego śmierci był dworzaninem Andrzeja Zebrzydowskiego, kanclerza, wreszcie Jana Przerębskiego, podkanclerzego. Z nim, towarzysząc królowi Zygmuntowi Augustowi, odbył w roku 1552 podróż do Gdańska, Malborga, Królewca i na Litwę. W czasie tej podróży musiał oddać niemałe usługi Przerębskiemu i stać się mu koniecznym, skoro ten, wysłany w r. 1553-tym w poselstwie do Wiednia, aby prosił cesarza Ferdynanda o rękę Katarzyny Rakuszanki dla króla, wziął Górnickiego z sobą.

Zetknąwszy się bliżej z dworem królewskim polskim i z dworem cesarskim, Górnicki musiał odczuć pewne jeszcze braki w swojem wykształceniu, gdyż w roku 1556 ponownie udał się do Włoch, gdzie przez trzy lata, do roku 1559 studjował nauki humanistyczne w Wenecji i w Padwie. Opłaciło mu się to sowicie, albowiem po powrocie do kraju otrzymał stanowisko sekretarza i bibljotekarza króla Zygmunta Augusta, wchodząc w ten sposób w stały stosunek z dworem. Do pełnego zadowolenia z losu brak mu było wówczas tylko szlachectwa, ale i to w roku 1561-tym otrzymał.

Po przewiezieniu bibljoteki królewskiej z Wilna do Tykocina, Górnicki został tam wysłany (1565 roku) dla

uporządkowania księgozbioru i opieki nad nim. W roku 1572 otrzymał starostwo tykocińskie, a mając byt ustalony, ożenił się z Barbarą Broniewską. Miał z nią 8-ioro dzieci: 3 synów i 5 córek.

Stefan Batory, w uznaniu jego zasług, nadał mu w roku 1576 starostwo wasilkowskie.

Schyłek życia upłynął mu w dobrobycie i zadowoleniu. Umarł dnia 22 lipca 1603 roku.

Zostały po nim pisma następujące:

»Dworzanin polski«, wydany po raz pierwszy w Krakowie w roku 1566.

»Rozmowa o elekcyej, wolności, o prawie i obyczajach polskich«. Kraków, 1616.

»Droga do zupełnej wolności«. Elbląg, 1650.

»Dzieje w Koronie polskiej.... od roku 1538 aż do 1572«. Kraków, 1637.

»Demon Socratis albo rozmowa złodzieja z czartem«, (1624).

»Raczył«. Kraków, 1598.

»Troas. Tragedja z Seneki«. Kraków, 1589.

»Rzecz o dobrodziejstwach z Seneki wzięta«. Kraków, 1593.

i kilka pism pomniejszych, jak rozprawka o grafice, tren na śmierć żony, domniemanie, »Pieśń o pruskiej porażce« i listy.

Pisarzem o zdolnościach twórczych Górnicki nie był. Żadne z jego dzieł nie jest pomnikiem ani jego ducha, ani jego myśli. Nie mając w sobie samym przyrodzonego bogactwa, oplatał się on, jak powój, około silniejszych indywidualności, zwłaszcza obcych. Tam szukał dla siebie wzorów. Naśladował, tłumaczył, przyswajał. Był, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, człowiekiem kulturalnym, który kulturę świata ówczesnego poznał, przetrawił, ocenił należycie i zasmakował w niej. Dobrze znał Włochy. Imponowała mu nietylko bujność tamtejszego życia renesansowego, ale i jego wysoka ogłada. Widział, że

Polsce daleko do tego. Że nawet w życiu dworskiem, które było życiem na najwyższym poziomie cywilizacyjnym, pokutowało wiele nawyknień, odziedziczonych po przeszłości, że szlachta polska jest szorstka i brutalna w porównaniu ze szlachtą obcą. Zwłaszcza układny cavaliere włoski wydawał mu się wzorem przedewszystkiem godnym naśladowania.

Utwierdziły go w tem nietylko spostrzeżenia i przeżycia własne, ale i rzeczy, które czytał. A czytał wiele. Między innemi dostała się do jego rąk słynna na owe czasy książka Baltazara Castiglione, wydana w roku 1528 p. t.: Il libro del Cortegiano (»Książka dworzanina«).

Castiglione, typowy dworzanin, pozostający naprzód w służbie księcia Ludwika Sforza, później w służbie Gwildbalda della Rovera, księcia Urbino, z którego ramienia posłował do Henryka VIII-go, króla angielskiego i do Ludwika XII-go francuskiego, był człowiekiem wybitnych zdolności dyplomatycznych i wyjątkowej ogłady. Nikt też inny z ówczesnych nie był powołany w tym stopniu co on do napisania książki, przeznaczonej dla młodzieży dworskiej, a zawierającej wskazówki, dotyczące umiejętnego zachowania się przy dworze.

Górnicki przejął się tak dalece niezaprzeczoną zresztą wartością tej książki, tak mu trafiła ona do przekonania, że postanowił przyswoić ją językowi polskiemu, widząc niemałą korzyść, jakąby młodzieży szlacheckiej, garnącej się do dworu królewskiego, przynieść mogła.

W trakcie przekładania doszedł jednak do wniosku, że nie wszystkie ustępy pracy Castiglione'a są odpowiednie dla czytelnika polskiego, niektóre więc opuścił, a niektóre przerobił.

W ten sposób powstał »Dworzanin polski« w czterech księgach — dzieło, które w literaturze naszej stoi obok »Zwierciadła« Rejowskiego, gdyż, jak Rej w »Zwierciadle« dał nam prawdziwy i wierny obraz życia ziemia-

nina polskiego z wieku XVI-go na wsi, mówiąc kolejno o jego wychowaniu, wykształceniu, pracy, rozrywkach i przyjemnościach życia, aż do późnej starości, podobnie Górnicki w »Dworzaninie« dał nam poznać życie szlachty ówczesnej przy dworze królewskim lub na dworach wielkopańskich, więc życie tej elity polskiej, która wykształceniem i kulturą górowała nad ogółem szlacheckim, powoli dorastającym do poziomu zachodnio-europejskiego.

»Treść „Dworzanina" — mówi Tarnowski — niedość że historycznie ciekawa i zajmująca, jest nadto piękna i mądra: pełna rozumnych spostrzeżeń i uwag, pełna znajomości człowieka i świata, a nadewszystko nacechowana szlachetnem, wysokiem jednego i drugiego pojęciem, a my, którzy, po większej łagodności naszych praw i po wielkim postępie ekonomicznym wnosząc, tak pochopni jesteśmy przyznawać sobie samym wyższą ogładę obyczajów i cywilizację w stosunkach potocznego życia, z zadziwieniem możemy się z tej książki przekonać, że nic nie odkryliśmy pod tym względem, czegoby oni (przodkowie nasi) nie byli wiedzieli i praktykowali, że wszystko, na czem w naszem pojęciu zasadza się grzeczność, wzgląd na drugich, delikatność, takt, słowem dobre wychowanie, im było równie dobrze znane w swoich przyczynach i objawach i tak przez nich określone, tak sprowadzone do pewnych zasad i ogólnych z natury rzeczy płynących przepisów, jakbyśmy może dziś zrobić tego tak ładnie nie potrafili. Cóż bowiem jest dworzanin? Jest to człowiek moralnie zacny, człowiek porządny, rozumny, w naukach ćwiczony i krajowi pożyteczny. Jakim ma być i jakim sposobem wyrabia się taki człowiek w społeczeństwie, o tem tu mowy niema; jest mowa tylko o tem, czego potrzeba, żeby człowiek dobry i rozumny był ludziom miły, są zatem wskazówki, jak ma się z nimi obchodzić, jakim być względem starszych, względem przełożonych, względem równych wiekiem i po-

łożeniem, jakim względem kobiet, jak się ma bawić i żartować, jak się zachować przyzwoicie i poważnie w różnych położeniach i stosunkach«.

Przerabiając »Dworzanina« z oryginału włoskiego, Górnicki miał jednak ciągle na widoku stosunki polskie, na które patrzał, które miał w codziennem swojem życiu przed oczyma. Szkoda jednak, że uwzględnił je za mało, że nie odmalował ich realistycznie, ale przedstawił raczej takiemi, jakiemi pragnął, aby były, a pragnął niewątpliwie, aby dorównały włoskim, aby dworzanin polski nie potrzebował wstydzić się przed dworzaninem włoskim.

I rzeczywiście wstydzićby się nie potrzebował, nie ulega bowiem wątpliwości, iż acz pod względem ogłady towarzyskiej od kawalera włoskiego niżej stojący, szlachcic polski był jednak moralnie wyższym od niego, nie był tak przebiegłym i chytrym, ani takim urodzonym pochlebcą, jak Włoch, ani tak lekkomyślnym i ślepo idącym za głosem namiętności. Oczywiście, dużo znaczenia miała tu przyrodzona różnica temperamentów. Innych ludzi hodowało skwarne południe, innych pochmurna i zimna północ. Ale niemałą rolę odgrywał także obyczaj polski, utrwalony przez wieki, oparty o rodzinę, o poszanowanie starszych, o wrodzoną bogobojność. Stąd istotnie, jak trafnie zauważa Tarnowski, dworzanin polski w interpretacji Górnickiego, jest p o w a ż n i e j s z y m od dworzanina włoskiego Castiglione'a. »Tamten zabawia kobiety żartami lekkiemi, których ten w gronie samych tylko mężczyzn sobie nie pozwala; tamten pobłaża swojej »lascywji« i skłonności do używania, ten samo zalecanie się kobiecie zamężnej, a dopieroż stosunek miłosny z nią, uważa za zdrożność; tamten przedewszystkiem ma uwagę zwróconą na własne powodzenie, zawód i pokaz przed światem, ten na pożytek, jaki ludzie z niego mieć mogą; u tamtego główną sprężyną i regulatorem postępowania jest honor, u tego uczciwość. Słowem dworzanin polski żywiej czuje nad sobą prawo moralne, lepiej go słucha, i ściślej przestrzega«.

Rzecz swoją o dworzaninie polskim wyłożył Górnicki bardzo zgrabnie, tak, iż ma się wrażenie, że to wcale nie jest przeróbka, ale nawskroś swojski oryginał.

»Tuż u Krakowa — opowiada — jest rzeczka Prądnik, nad którą Samuel Maciejowski, krakowski biskup i kanclerz koronny, włoskim kształtem dom piękny zmurować kazał, jako dla wielu innych dobrych przyczyn, tak też dlatego, aby w tak osobnym kraju, jaki jest około Krakowa, miał miejsce, gdzieby postronne ludzie, a wielkich królów posły czcić mógł...«

»Rychło tedy potym, kiedy król Jego M. (Zygmunt August), po śmierci króla Zygmunta świętej pamięci, ojca swego, na regiment Królestwa Polskiego wstąpił i do Krakowa przyjechał, ksiądz Maciejowski, prze nie barzo sposobne zdrowie na Prądnik odjechawszy, siedm albo ośm dni tam mieszkał. A gdy do niego często dworzanie pan Kryski, pan Wapowski, pan Aleksander Myszkowski, pan Derśniak, pan Bojanowski i inni zacni przyjeżdżali, trefiło się raz, iż ksiądz biskup po obiedzie przy stole siedząc (gdzie też był i Jego M. pan Stanisław Maciejowski, kasztelan lubelski), gdy ktoś karty wspomniał, powiedział: A zaby się nie mogła naleźć jaka inna krotofila, nie ta ustawiczna, karty. Czemuby też kto nie wniósł owego obyczaju do nas, który jest we Włoszech, iż ślachta zacna, polerując rozumy swoje, wynajduje na biesiadzie gry rozumne i tych używa, w których się nierówno więtsza pociecha i pożytek najduje, aniźli w karciech; zaprawdę W. M. by to przystało, którzy świeżo z Włoch przyjeżdżacie, nie zaniechywać tych dobrych zwyczajów, ale owszem, wieść do tego drugie, żeby się ich imowali. Panie Kryski, ku W. M. ja mówię, któryś podobno lepiej niż kto inny włoskiej ziemi świadom, pokuś W. M. tego, a tak jakeś był powodem do Akademiej padewskiej między polaki (jako ja mam sprawę), tak i tu niechajby się takowe gry od W. M. poczęły«.

I pan Kryski wziął na się »opisać i wymalować słowy doskonałego Dworzanina«.

Oto jakie zalety winien posiadać dworzanin doskonały:

»Ma się urodzić szlachcicem (streszcza Konrad Drzewiecki) i z natury winien posiadać szczególniejsze zalety umysłu i ciała. Zawodem dworzanina ma być rzemiosło rycerskie. Rycerz nie powinien znieść najmniejszej skazy na honorze: »bo szwank w tej mierze a ustąpienie na lewo, by o włos, wieczną sromotą pachnie«. Zdolności hetmańskich może nie posiadać, lecz za to męstwo jego »nie ma się oglądać ani na chwałę ani sławę«. Niemniej są mu potrzebne zalety fizyczne: »twarz piękna, kształt w ciele, k'temu ona wdzięczność, którąby mu miłość u wszech ludzi jednała«, uroda męska, »któraby nic niewieściego w sobie nie miała«. W ćwiczeniach rycerskich, jak oto: w strzelaniu z łuku, w chodzeniu za pasy, w chodzeniu w szrankach, w szermowaniu, w gonitwach, w toczeniu koniem — ma celować przed wszystkimi. Czego ma się najbardziej wystrzegać, to wydwarzania, przesady. Przeciwieństwem »wydwarzania« jest »rzekoma pozorna niedbałość«, z której »wdzięczność wszytka płynie«. Kiedy ktoś swobodnie i niby to od niechcenia czyni to, co innemu z trudem przychodzi i wogóle wymaga wielkiej pracy i nauki, wówczas rodzi się »przystałość a ta wdzięczność w człowieczych sprawach«. »Wydwarzaniem« też jest manja wtrącania do rozmowy obcych słów: »albowiem nasz polak, by jeno kęs z domu wyjechał, hnet nie chce inaczej mówić, jedno tym językiem, gdzie troszkę zmieszkał, jeżeli był we Włoszech, to za każdym słowem Signor, jeżeli we Francjej, to »Par ma foi« itd.

Tu następuje rozprawa o języku polskim, jego stosunku do innych słowiańskich, tudzież greckiego i łaciny, o używaniu archaizmów, nowotworów i wyrazów obcych, w razie, jeżeli są zdawna w języku osiadłe. Ustęp ten, który i dziś niewiele utracił z trafności sądów i poglądów,

jest przeróbką Castiglione'a. W oryginale mowa o djalektach włoskich, o stopniowem kształtowaniu się książkowego języka włoskiego itd.

Po krótkiej dygresji, w której mowa o naturalności u kobiet, wracając do Dworzanina, pan Kryski rozwija myśl, że ze wszystkich zalet najbardziej dworzanin winien kształcić w sobie takt, t. j. umiejętność stosowania się do osób i okoliczności. Na tem kończy się rozmowa dnia pierwszego, czyli Księga pierwsza.

Księga wtóra rozpoczyna się od uwag na temat, że starcy pospolicie chwalą przeszłość a ganią teraźniejszość. Ustęp ten znajduje się także w oryginale, lecz Górnicki zastosował go do stosunków polskich. Panu Myszkowskiemu przypadło dalej roztrząsać, jak dworzanin ma zużytkować wszystkie te cnoty i umiejętności, któremi go wyposażył pan Kryski. Mówca zajmuje się stosunkiem dworzanina do pana, a więc: winien mu dworzanin miłość, lecz nie pochlebstwo; niechaj mu się nie narzuca ze swojem towarzystwem; wogóle winien panu swemu posłuszeństwo bezwzględne, lecz w razie, gdy pan pożąda czegoś niehonorowego, może odmówić. Stosunek do równych sobie wymaga również nauki. Nie należy się piąć do towarzystwa wyższego. W ustępie o strojach Górnicki nie idzie za oryginałem, lecz zachowuje plan jego. Dworzanin — dowodzi dalej — nie powinien być nudnym w towarzystwie; radą na to jest dowcip, który jest rzeczą wrodzoną. Wspomnienie o dowcipie pociąga za sobą jego określenie (przez pana Derśniaka) i wskazówki, jak go używać należy. Następują przykłady. Anegdoty, dowcipy, przytoczone w Dworzaninie, są przekładem z włoskiego, w małym tylko stopniu polskie. Kończy tę rozmowę »reguła«, jak się zachowywać w towarzystwie kobiecem, względem dam. To naprowadza na myśl opisania »dwornej pani«, co jednak na dzień następny się odkłada.

Księga trzecia poświęcona została niemal cała odmalowaniu ideału »dwornej pani«. Czyni to pan Kostka.

Pan Bojanowski utrzymuje, że dworna pani powinna mieć te same zalety, co dworzanin, nie zgadza się na to pan Kostka. Bez wątpienia, pewne cechy »naznaczone dworzaninowi i jej służyć mogą«, jak oto: »ślachcianką się urodzić, strzedz się wydwarzania, mieć wdzięczność w tem wszytkim, co pocznie, mieć dobre obyczaje, umieć niemało rzeczy, mieć dowcip wielki« itp., lecz inne rzeczy, nprz. uroda, bardziej jest potrzebna jej, niż dworzaninowi, więcej też musi baczyć na swe postępowanie, gdyż już samo podejrzenie dla niej jest nieznośne. »Dworna pani« pod względem cnoty, mądrości, wspaniałego serca, »strzymałości« niepowinna ustępować dworzaninowi, zarazem jednak powinna posiadać zalety i umiejętności, które wszystkim »poczciwym białogłowym są potrzebne«, mianowicie: »chodzić koło dziatek«, wieść je ku dobremu, domem rządzić itp. Dotąd jeszcze »dworna pani« nie różni się niczem od innych godnych niewiast swego stanu. Co jednak czyni ją »dworną«, to umiejętność obcowania z ludźmi, umiejętność zastosowania się do czasu i okoliczności. Ku temu potrzebny jest »rozum ostry«, aby »to każdy znał, że tak jest krotochwilną, trefną i ludzką, jako też mądrą, wstydliwą i stateczną«. Pan Kostka przytacza rozmaite okoliczności i wskazuje, jak w nich, zdaniem jego, idealna »dworna pani« ma się zachować. Między słuchaczami znajduje niechętnych swoim ideom całkowitego, jakbyśmy dziś powiedzieli, równouprawnienia kobiet. Szczególniej pan Trojanowski nie daje się przekonać, żeby kobiety potrzebowały tak wiele cnót, zalet i umiejętności· »Dziwno mi (mówi pan Trojanowski ze śmiechem), iż W. M. białymgłowom nie każesz na sejm być posełkiniami, więc sądzić, hetmanić, a mężczyznam prząść kądziel« itp. Nie są to rzeczy niepodobne, zdaniem pana Kostki, a historja wiele podobnych przykładów ukazuje.

Koniec rozmowy dnia trzeciego poświęcony jest stosunkowi »dwornej pani« do mężczyzn. Górnicki znacznie skrócił tu oryginał.

W księdze czwartej autor wypowiada na wstępie pochwały na cześć zmarłych już podówczas, gdy tę księgę rozpoczynał, Aleksandra Myszkowskiego, Andrzeja Kostki, Lupy Podlodowskiego, Maciejowskiego, Bojanowskiego, Derśniaka, Kryskiego i Wapowskiego. Castiglione wysławia w tem miejscu dwór w Urbino i zebrane tam osoby. Głos zabiera pan Wapowski, żeby wyłożyć szeroko do jakiego celu ma zmierzać dworzanin, ku czemu mają mu służyć zalety i cnoty, o których była mowa. Celem tym ma być pozyskanie dla cnoty pana swego. Dworzanin winien używać wszelkich godziwych środków, żeby uzyskać wpływ na swego pana, lecz wpływu tego nie powinien używać na własną korzyść, jedno w tym celu, aby uczynić pana swego mądrzejszym, cnotliwszym i godniejszym.

To prowadzi do rozstrząsania, jakie cnoty i zalety byłyby pożądane w panu, a następnie w królu. Król winien słuchać rady »z pośrodka zacniejszej ślachty«, winien pozwolić przemawiać do siebie otwarcie i o wszystkiem. »Ku temu jeszcze i to bych panu swemu przypomniał, aby żył statecznie nabożnym, bez owego bożkowania a lizania obrazków; przy tem też, aby się nie wdawał w czarnoksięstwa, w czary i inne wieszczby a wróżki próżne, albowiem gdzieby ku statecznej mądrości miłość serdeczną Pana Boga a nabożeństwo przyłączył, musiałby mieć i szczęście i Boga obrońcą siebie, któryby mu przymnażał wszytkich fortun tak czasu wojny, jako też czasu pokoju.«

Druga część czwartej księgi poświęcona jest rozprawie o miłości i pięknie. Piękność jest wyrazem dobroci boskiej. To też pojęcie piękności połączone jest z pojęciem dobroci. Anielska miłość jest możliwa a przykładem Sokrates, Plato i inni (w oryginale: i nasi tak święci ojcowie, jak św. Franciszek). W tej części Górnicki wiele rzeczy opuścił.

Mówiliśmy już wyżej, że »Dworzanin« posiada niezmiernie wielkie znaczenie dla języka, dla prozy polskiej, która stanęła tu na wysokości, nieznanej przedtem.

Nie bez słuszności przypuszczać można (Wóycicki), że Górnicki nie dostałby się na te wyżyny, gdyby nie oryginał. Że oryginał ten w kształtowaniu się języka odegrał pewną i to znaczną rolę, wynika to z porównania języka w »Dworzaninie« z językiem w innych dzieach Górnickiego naprz. w »Dziejach« i w »Rozmowie o elekcyej«.

»Z pewnością (mówi Drzewiecki) styl pozostaje wszędzie jednaki, to znaczy styl Górnickiego: jasny, spokojny, elegancki, bez wydwarzania, wolny od archaizmów i nowotworów, ani tak dosadny, jak Reja, ani tak głęboki, jak Kochanowskiego; nie słaby, ale i nie silny, nie nazbyt uroczysty, nigdy jednak nie wpadający w pospolitość, potoczysty, żywy — lecz w »Dworzaninie« nabiera on nadto jeszcze szczególniejszej szlachetności i to Górnickiemu za największą trzeba poczytać zasługę«.

Drugie dzieło Górnickiego: »Rozmowa o elekcyej, o prawie i obyczajach polskich« wyszło z druku dopiero po śmierci autora, w Krakowie, w r. 1616.

»Rozmowa« ma mniejsze od »Dworzanina« znaczenie dla literatury, aczkolwiek jest utworem o niezaprzeczonej wartości historyczno-politycznej.

Toczy się ona pomiędzy Włochem a Polakiem. Polak broni wolnej elekcji, praw i sądownictwa, tudzież obyczajów polskich, Włoch krytycznie dla praw i obyczajów polskich usposobiony, pełen uwielbienia dla urządzeń własnych, zwłaszcza weneckich, których wyższość wydaje mu się niezaprzeczoną, surowo sądzi wszystko co polskie.

Górnicki, który przez usta Włocha daje wyraz własnym swoim poglądom, w usta zaś Polaka kładzie pojęcia »tłumu szlacheckiego«, występuje przed nami w »Rozmowie« jako zdecydowany wielbiciel cudzoziemszczyzny.

Prof. Brückner słusznie tedy zaznacza, iż zarówno »Rozmowa«, jak i inne pisma polityczne Górnickiego grzeszą przeciw zasadzie, sformułowanej później przez

Skargę: »przezacni panowie, nie czyńcie z Królestwa Polskiego niemieckiego miasta, nie czyńcie malowanego króla, jako w Wenecyej«, bo niemieckich »rozumów nie macie i w jednem mieście nie siedzicie«.

Górnicki zaślepiony niewątpliwie porządkami włoskiemi, literaturą i kulturą Włochów, chciał również i politykę ich do Polski przenieść. Nie był w tym kierunku wyjątkiem. Znajdował odgłos u wszystkich niemal oświeconych Polaków ówczesnych z kanclerzem Janem Zamojskim na czele. Świadczy to jak dawno naśladownictwo obcych było swoistą cechą umysłowości polskiej.

Jako dziejopis, Górnicki zawiódł to, czego mielibyśmy po nim prawo oczekiwać. Jego »Dzieje w koronie polskiej«, wydane dopiero w r. 1637 przez syna, również Łukasza, u Piotrkowczyka w Krakowie, nie oświetlają nam najwznioślejszego faktu, jaki za życia autora zaszedł: Unji lubelskiej. Nadto charakterystyka Zygmunta Augusta, którego z mocy bliskich z Majestatem stosunków, powinien był znać doskonale, jako Monarchę i jako człowieka, wyszła z pod pióra Górnickiego blado i zawiera zaledwie kilka rysów, świadczących o niepospolitości umysłu ostatniego z Jagiellonów. Nie mniej ze względu na język jest to pomnik dużej wartości.

Kiedy została napisana »Droga do zupełnej wolności« nie wiemy. Wyszła z druku po raz pierwszy dopiero w r. 1650, a więc w 34 lata po »Rozmowie«. Pozostaje jednak w ścisłej z tym utworem łączności i jest niejako jej uzupełnieniem, będąc wyrazem zdecydowanych reformistycznych dążeń Górnickiego. Zdaje się, że te właśnie dążenia, zmierzające do zupełnej zmiany konstytucji polskiej, sprawiły, iż autor pracy tej za życia drukować nie chciał. Treść jej znali prawdopodobnie tylko zaufani i bliscy przyjaciele z rękopisu.

Górnicki widział jasno, iż ta droga, po której Rzeczpospolita kroczy, do złego prowadzi końca. Widział to narówni z Kochanowskim i ze wszystkimi, którzy przed

katastrofą przestrzegali. Ale — mówi Tarnowski — »widział zarazem zaślepienie szlachty, jej fałszywe pojęcia wolności i widział, że tego przeprzeć się nie da. Przypuszczał zatem, że rząd w formach bardziej republikańskich może przyjąłby się łatwiej i może zdołałby być rządem prawdziwym. Przenosi zatem najwyższą władzę na Sejm, a wykonywać ją każe dwom urzędom, przez Sejm wybranym. Jest to najwyraźniejsze zastosowanie konstytucji weneckiej do Polski. Sejm Górnickiego wychodzi na to mniej więcej, czem tam była Wielka Rada, Urząd Górny odpowiada Signorji, a Urząd dwunastu jest kopją Rady dziesięciu. Król schodzi zupełnie na stanowisko Doży. Być może, iż w teorji Górnicki miał słuszność, że czysto republikańska forma rządu byłaby dla Polski mniej niebezpieczną, niż elekcje i bezkrólewia. Ale, nie mówiąc już o tem, że ogromne atrybucje owych dwóch urzędów, prowadzić musiałyby prosto do absolutnej oligarchji, trzeba mu wytknąć ten błąd wielki, że kiedy chciał zaprowadzić republikę czystą, to powinien był znieść króla. Skoro go zostawia, to pozostawia z nim razem te niebezpieczeństwa bezkrólewiów i elekcji, o których usunięcie mu chodzi«.

Dzisiaj jednak nie ze stanowiska konstrukcji prawnopaństwowych na »Rozmowę« patrzeć należy, ale ze stanowiska krytyki ówczesnego rzeczy porządku w Polsce.

Porządek ten Górnickiego nie zadowalał. Był on pierwszym, który widział i uznawał potrzebę silniejszego rządu i rząd ten chciał oprzeć na demokratycznych podstawach.

Że był zwolennikiem demokracji, to żadnej nie ulega wątpliwości. Ujawnia się to nietylko w »Rozmowie« ale i w charakterystycznem ulotnem jego piśmie p. t. »Raczył« (Kraków. W Drukarni Łazarzowej Roku Pańskiego 1598), gdzie powstaje przeciwko nadmiernej uniżoności w stosunku do osób wyżej w hierarchji społecznej postawionych.

Pełny tytuł tej ciekawej broszury, zawierającej tylko 7 stronic w 4-ce, brzmi: »Skarga rozumnej mowy na Raczyła przed słowy starożytnemi jako sędziami wysadzonemi«. Oto jak Górnicki do szlachty, a zwłaszcza do kół dworskich przemawiał:

»Do tych czasów cierpiałam ja, mówi rozumna mowa, panowie sędziowie, gdy ten Raczył w mniejszych rzeczach miejsce moje sobie przywłaszczał: a com ja zwykła okrągło mówić i kończyć rzecz jednem słowem, to on koniec ten mnie odejmował a siebie stawiał, jakoż i teraz odejmuje; jednak drugich rzeczy nie chciałam baczyć, rozumiejąc, że się wdy kiedy upamięta. Ale gdyż co dalej więtszą śmiałość bierze, nie lża jedno w czas zabiegać jego wszeteczeństwu a przez sprawiedliwy sąd W. M., przed który tego Raczyła przywiodłam, odzierżeć, iżby przystojnie był skarany. Albowiem ażaż to nie wielkie jego wszeteczeństwo, że się wszędy wtrąca, wtrąca się i tam, gdzie potrzeba ukazuje i tam, gdzie mus rozkazuje i tam, gdzie człowiekowi lubo, i tam, gdzie przykro? Cóż tu on miał czynić? Gdzież, prawi, W. M. tego czasu doczekać raczył. Ażaż nie słuszniej było tak rzec: Gdzieś W. M. tego doczekał czasu. I zasię: Tak prawi, od króla poseł mówić raczył. A cóż tu było po tobie Raczyle? Nie jedno ten Raczył wszeteczny jest, ale i głupi: bo a co to k' rzeczy? Dopiero, prawi Jego M. wstać z łoża raczył. Cóż, abo miał gnić Jego M. dni całe i nocy? Byłam natenczas w Lublinie, na Trybunale, gdy z Podola przyjechał sługa i prawił nowiny, między któremi i to było: Pan mój prawi, w wielkiej trwodze teraz bydź raczy. Mojem zdaniem wyborniebysię był Jego M. obszedł bez ciebie, Raczyle. Na tymże Trybunale słyszałam: sprawiedliwie, prawi, Trybunał tu sądzić raczył. I bez Raczyła winien on sądzić sprawiedliwie i sądzi. Ale co tego jest, gdyby się wszytko wyliczyć miało? Słyszałam też taką mowę: Tak dwie lecie zakochać się był Jego M. w myśliwstwie raczył. A tu

zaż nie mogło bydź bez ciebie Raczyle? Ba i tu Jego M. prawi, biesiadą, graniem, tańcem, bawić się raczy. Czysty pan. Drugi zasie, chwaląc syna pana swego, mówił: To panię, wielką chęć, prawi, do koni, do psów mieć raczy. Więc słyszałam i to: we Włoszech prawi, mój pan będąc, w muzyce, w szermierce ćwiczyć sie raczył. Wszędy tu bez ciebie, Raczyle, a daleko lepiej być mogło. Jako i tu: Jego M. późno wieczerzać zwyczaić się raczył. Dopiero Jego M. umyć się, dopiero ubrać się raczył. Cóż, abo nago Jego M. miał chodzić a bez powagi nie miał się umyć abo ubrać? Komuż to k'woli uczynił J. M., że się umył i ubrał? A drugi zaś także mądry Raczyłów przyjaciel: Jego M. prawi, na pole teraz z charty jechać raczył. Pytał też ktoś przed pokojem jednego pana: Co, prawi, Jego M. czynić raczy? Odpowiedział mu drugi, także mądry: próżnować prawi, teraz Jego M. raczy« itd. itd. aż do senatora, który »rękę, nogę, albo szyję złamać raczył.«

Przeto — mówi wkońcu rozumna mowa — zdałoby się mnie tak go skarać, iż jako on do tych czasów mnie był opanował i zniewolił niewdzięcznie śmiałością i wszeteczeństwem swojem, żeby zasię mnie był przysądzony za niewolnika i nie śmiał wtrącić się do żadnych słów, aż tam, gdzie mu ją pozwolę. Prawda jest iż cięższa, niż śmierć, niewola, ale też ten Raczył więtsze niż śmierć karanie zasłużył: k'temu skarać go śmiercią, śmierć jest końcem wszytkich kłopotów, wszytkich boleści«.

Niestety »Raczył« nie został skazany na śmierć i żyje do dzisiejszego dnia w mowie polskiej. Może dopiero idące czasy prawdziwie demokratyczne zgotują mu los, żądany przez Górnickiego i po tylowiekowym żywocie o śmierć zasłużoną przyprawić go raczą.

Górnicki, świetny prozaik, chluba swojego wieku i do dzisiejszego dnia pod tym względem pisarz ceniony tak dalece, że ktokolwiek studjom nad starą polszczyzną

zechce się oddać, musi przedewszystkiem do jego pójść pism, jak do czystej krynicy, która lepiej od innych pragnienie jego nasyci, pisał także wiersze.

Wiemy o tem od Kochanowskiego, który je chwalił. Niestety, nie doszły one do nas prawie wcale. Że jednak autor »Dworzanina« wierszem posługiwać się umiał, o tem świadczy wymownie pozostały po nim »Tren«, napisany na śmierć żony, która odeszła go, zaledwie 29 lat licząc, pogrążając małżonka wraz z ośmiorgiem dzieci w głębokim żalu i smutku.

W »Trenie« tym Górnicki jest naśladowcą Kochanowskiego. Inaczej być nie mogło. Zbyt bowiem silne było na współczesnych działanie poezji mistrza czarnoleskiego, aby mu się oprzeć zdołał przyjaciel, człowiek nadto wrażliwy i do naśladownictwa skłonny.

Nie o to jednak idzie. Historja poezji polskiej bez tego »Trenu« obyćby się mogła łatwo. Dla poznania jednak samego Górnickiego posiada on znaczenie, na jego bowiem podstawie określić możemy wysoki stopień kultury uczucia u niego samego, a więc domniemanie, i całego środowiska, w którem się obracał.

Nie byli to ludzie zimnego serca. Umieli kochać, cierpieć i czuć, jak my.

Oto jak śpiewa Górnicki:

»By płacz, najmilsza moja, mógł mi cię powrócić,
A to co się już stało, chciał Bóg nazad wrócić,
Wylałbym wszytkie moje łzy, aby się zmiłował
Bóg, a żywotem ciebie, mnie tobą darował.

. . . .

O, moja droga żono, wierz mi, żeć dbam mało
O ten świat opłakany, gdy mi cię nie stało,
Takąś ty mnie po sobie tęskność zostawiła,
Że ta słoneczna światłość najmniej mi niemiła.
Kto me maluczkie dziatki do cnoty przywiedzie,
Gdy młodość jest podobna chodowi po ledzie,

Kto tak będzie dozorny, kto pilny, kto dbały,
Żeby me dziatki, jako ty, nie próżnowały« itd.

Pomniejsze pisma Górnickiego, a zwłaszcza jego przekłady z Seneki, nie zawierają nic takiego, co mogłoby się przyczynić do charakterystyki pisarza.

Widzimy go przed sobą w pełni, jako światłego Polaka, miłującego ojczyznę i pragnącego jej szczęścia, potęgi i chwały. Stoi on w pierwszym szeregu tych przewidujących umysłów i duchów, które nie dały się łudzić pozorom, lecz docierały do prawdy, ukrytej głębiej. Prawdę tę co do Polski Górnicki wyczuwał trafnie. Mylił się może w stosowaniu środków leczniczych na zło, które dostrzegał, wątpić bowiem należy, czy jego »weneckie« reformy byłyby wzmocniły Rzeczpospolitą. Ratunku szukać zapewne należało gdzieindziej, tam, gdzie go w wieku XVIII-ym odnalazł dopiero i wskazał narodowi Konarski. Niemniej pomiędzy Górnickim a wielkim jego następcą istnieje pewne powinowactwo. Obaj »odważyli się być mądrymi«, m ą d r y m bowiem był na swój czas Górnicki, jako obywatel i jako pisarz, wyższym od Orzechowskiego i od wszystkich współczesnych mu krytyków i naprawiaczy Rzeczypospolitej, nie wyłączając nawet tak świetnego, niestety po łacinie tylko piszącego statysty, jak Andrzej Frycz Modrzewski (1503—1572).

Krótki wybór pism
Stanisława Orzechowskiego i Łukasza Górnickiego.

STANISŁAW ORZECHOWSKI.

DYALOG ALBO ROZMOWA OKOŁO EXEKUCYI POLSKIEJ KORONY.

Dyalog szósty.

W tym dyalogu około szczodrobliwości królewskiej i godności poddanych jego, a jako ta godność ma być sądzoną, dostateczna rozprawa jest.

Papieżnik. Ewangelik. Gospodarz.

Papieżnik. Trzy rzeczy zwollliśmy być główne w Królestwie polskiem, które są: ółtarz, kapłan, król. Kapłan z królem obadwa ółtarzowi służą, ale tak, iż służba kapłańska w nędzy i w niedostatku znaczna być i pożyteczna ółtarzowi może, ale król w nędzy a w niedostatku pożytecznym królem ółtarzowi żadną miarą być nie może; bo kapłan ółtarzowi językiem służy, którym tak w bogactwie jako i w ubóstwie władać może; ale król gdyż mieczem ółtarzowi służy, nie może nim władać bez wielkiego dostatku i bez pomocy wielkiej. O czem *Aristoteles X Ethic.* tak mówi: *Impossibile*

est egentem bene operari. Aby tedy król królestwu swemu pożytecznym królem, broniąc ołtarza świętego, był, trzeba nam dostatku i bogactwa królewskiego. Ewangelik. Powiedz mi, czemuś przydał to słowo królewskiego? Abo insze jest bogactwo pospolite, a insze królewskie? Papieżnik. Jako król od pospolitego człowieka różnym jest, tak też i bogactwo jego od bogactwa pospolitego różne być ma; abowiem żydowskie i też kupieckie bogactwo, na pieniądzach usiadło wszytko, — królewskie na ludziach; i zowiem króla bogatym i możnym królem tego, który królestwa swego obronić może ludem swym własnym, przeciwko nieprzyjacielowi każdemu swemu. A to mnimam ja być bogactwo królewskie prawdziwe i takem słyszał, że król nasz polski wszytkie króle chrześciańskie takowem bogactwem przechodzi, i w tem jemu żaden (jako słyszę) król równy nie jest. Nieboszczyk pan krakowski, na Tarnowie hrabia, powiadał mi, że król polski może mieć dwakroć sto tysięcy wybornego bojowego ludu darmo, nie dawszy na to (jako ono mówią) złamanego kwartnika. Patrzajże, jakie to bogactwo króla polskiego jest. Gospodarz. Gdym był w Wenecyi, miałem mistrza *Joannem Baptistam Egnacium,* oratora i historyka wielkiego. Ten wychwalając wenecką moc, powiedał o wielkich dochodziech miasta onego; gdy zasie wspomniał wojny a walki weneckie przeciwko królowi francuskiemu, za dziw jeden powiedał, że na tamtej wojnie czterdzieści tysięcy Wenetowie ludu mieli najmitów, przeciwko franckiemu królowi. Pytałem go ja, jeśliby to wojsko było wychowane skarbem weneckim? Odpowiedział, że tak był tamtą wojną wynędzony skarb wenecki, że musiał się każdy Wenet swego własnego na tamtą wojnę przykładać. Widzisz że ty, jako bogactwo pieniężne ubogie jest u tych królów, którym na ludziach schodzi. Tamże też w Wenecyi u tegoż Egnacyusa, widziałem popisane dochody każdego króla; nakoniec i cesarza tureckiego. A gdy na króla polskiego przyszło było, tak w owym spisku napisano: *Pauper rex et modicus, cujus*

census ad centum millia florenorum non pervenit. Papieżnik. A bodajże nieprawda. Gospodarz. Odpowiedziałem ja jemu na to, żem ja nie jest ani podskarbim, ani poborcą żadnym króla swego; wiele król polski dochodów ma, tego ja niewiem; tylko to wiem, że Polska króla swego bogatego nie chce mieć pieniędzmi ale ludźmi; przeto też ona jemu dochody naznaczyła ku wychowaniu tylko jego a nie ku wojnie; albowiem na wojnie Polska królowi swemu służy gardły z majętnościami swemi darmo: *propriis stipendiis regi suo militans.* Oto ja królowi swemu dłużen jestem na swym koniu wojnę służyć wedle majętności swej darmo bez wszelkich pieniędzy. Spytał mię potem Egnacyus, wieleby takich służebnych mógł mieć na wojnie polski król? Odpowiedziałem ja potem, że przez dwakroć sto tysięcy. Zdumiało się było Włoszysko i rzekł obróciwszy się do swych Wenetów: Musieliby Wenetowie i Wenecyą swą zastawić pierwej, aniźliby oni tak wielki lud na wojnie mieć mogli; — wziąwszy pióro, het tak pod królem polskim napisał: *Ditissimus regum, non auro, sed populo.* Także nakoniec przełożył króla polskiego nade wszytkimi królmi, gdy żadnego króla niemasz, któryby ruszeniem pospolitem królestwa swego walczył, mimo króla polskiego, tak wielkim ludem. A tak pozwalam ci tego i z tobą pospołu mówię, iż królewskie bogactwo ludzie są, nie pieniądze. Papieżnik. Gdyż tedy znamy być króla polskiego bogactwo, lud rycerski królestwa jego, nic więcej królowi naszemu nie przystoi, jedno umieć tem bogactwem swem szafować, a ten lud swój chciwym a gotowym ku posłudze swej królewskiej zawsze mieć. Aleć trudno w niedostatku być gotowym abo w niełasce chciwym; jeśli król chce mieć mię ku służbom swym gotowym, niechajże łaskę jego znam; co gdy będzie na gotową śmierć przy królu swym oślep pójdę; nie będzie mi żaden zamek tak wysoki, ani góra tak przykra, na którąbym skokiem nie bieżał, wzbudzony szczodrobliwością królewską. Temci królowie polszcy wojowali Niemce, porazili Moskwę, po-

bili Wołochy, Turki i Tatary bijali. Weźrzyj w stare przywileje koronne, najdziesz w nich dzięki królów starych, z wielkiem wysławianiem posług sławnych przodków naszych; prze które wolności i nadania przodkowie naszy u królów swych sobie i nam potomkom swym wysłużyli, z których i my dziś po nich w Polszce się weselimy. Alec nie trzeba długo statuta przywilejów koronnych szukając wertować; weźrzyj każdy w przywilej swój domowy, za którym wieś swą dzierżysz, znajdziesz w nim, że ta wieś za chutliwe służby przodkowi twemu od króla była dana. A jakoż się przy nich nie bić, abo nie gardłować dla nich; a zębami bym się ja o takowego króla z nieprzyjacielem jego kąsał, nietylko żebym dla niego drzewo swe na harcu o nieprzyjaciela jego łamał.

G o s p o d a r z. Prawdę mówisz; wiele szczodrobliwość królewska może: *nam gratis poenitet esse probum.* Czytaj historyki stare o wielkich a walecznych królach, najdziesz to u nich, że oni niczem inem, jedno szczodrobliwością swą wielkimi wojownikami byli. Gdy Alexander wielki do Persyi na Daryusa ciągnął, wszytkie skarby swe między recerstwo swe był rozsypał. A gdy Perdyka hetman jego Alexandra pytał: *Quid tibi ipsi relinquis o Alexander? Respondit: Spem, o Perdica, spem.* Przystojny głos wielkiemu panu. Potem tenże, gdy przez pustynie bezwodne ciągnął, wojsko i on sam pragnieniem umierał; jeden z drabów tak długo tu i owdzie kopając, ledwie się dokopał był wody, której przyniósł przyłbicę pełną Alexandrowi, który wziąwszy oną wodę, podawał ję hetmanom swym, będąc już sam na poły martwym; zakrzyknęło wszytko wojsko: Pij zdrów sam o Alexander! Będzieszli ty żyw, zbierzesz łatwie takie drugie wojsko sobie; jeśliże ty umrzesz, my takiego króla drugiego mieć nigdy nie będziemy. Patrzajże tu za takową chucią, dziwli jest, że Alexander wielkie wojsko Daryusowe był poraził, matkę i z żoną jego pojmał, i wszytkę Persyą pod się podbił. E w a n. Dziwowałbym się więcej temu, by był się Daryus przeciwko tak dzielnemu i szczodrobliwemu

królowi na placu ostał. Pytałem czasu jednego wielkiego hetmana i zacnego u nas męża, pana Mikołaja Sieniawskiego, wojewody naszego ruskiego, czegoby najwięcej hetmanowi była potrzeba? Odpowiedział: chleba. A zaprawdę tak jest, acz ci serca i rozum u dzielnych ludzi przodkują, ale bez chleba nie duży hetmanowie są. A zaż nie widzimy, co się u nas w Rusi dzieje? Służebnego żadnego tu już dawno u nas nie mamy; sam Pan Bóg nas wojewody ruskiego chlebem broni. Także też pana Jana Starzechowskiego, wojewody podolskiego, niesłychaną utratą, jako tako tu w Rusi przeciwko Tatarom i nieprzyjacielom innym stoimy. A jeśli że tych wojewodów szczodrobliwość tak nas zapala, że za ich bębny wszyscy oślep z wielką chucią na potrzebę biegamy, a cóż dla króla swego i szczodrobliwości jego pobudzeni, czegobyśmy nie uczynili? Pap. Czyście się o to staramy, abyśmy króla szczodrobliwego mieli, na którego wołamy, aby nie dawał, ale brał, a rękę sobie wiecznie zamknął, aby od niego nikt niczego nie czekał, to jest, aby wszytka chuć i gotowość przeciwko królowi nasza w nas zgasła; i wiedziony do tego króla Alexandrowym statutem, który się tak poczyna: *Quoniam de bonis mensae regalis status regius etc. Datum Petricoviae, Anno 1504.* Gosp. Kto się chce dobrze temu statutowi przypatrzyć, nie zakazuje ten statut królowi dawać, tylko aby on urzędnie na sejmie dawał, za dozwoleniem rad koronnych. Ale niech już tak będzie jako niektórzy chcą, że statut ku rozdawaniu zamyka królowi rękę; tedy jednak ten statut jako szkodliwy, słusznieby miał być abrogowan i kancellowan, jako ten, który chuć i gotowość ku posługom królewskim w ludziach zagasza; a prawo i ustawa każda dobra to w sobie ma mieć, aby ona służyła rzeczypospolitej, a nie rzeczpospolita służyła ustawie. Powiadają ewanielikowie waszy: źle bywa, tam gdzie rozdawają; prawda jest, ale też tam nie lepiej bywa, gdzie nic nie dawają, abowiem gdzie rozdawają, tam *exhauritur benignitatis fons:* a gdzie nic nie dawają, tam *nimia, parsimonia virtus evanescit.* Miary

królowi potrzeba; *modus enim est pulcherrima virtus. Removeatur ergo prodigalitas, absit etiam parcitas, in medio regis nostri consistat liberalitas*, będzie dobrze; a tym sposobem i wilk sytym będzie, i baran całym, jako dawno mówią.

QUINCUNX,

to jest:

WZÓR KORONY POLSKIEJ

na cynku wystawiony,

przez

STANISŁAWA ORZECHOWSKIEGO OKSZYCA

z przemyskiej ziemi,

i za kolędę posłom Koronnym do Warszawy na nowe lato roku Pańskiego 1564 posłany.

QUINCUNX PIERWSZY.

Rozmówce:

Papieżnik, Ewangelik, Orzechowski.

Papieżnik. Zkądże, a dokąd? *Ewangelik.* Z Warszawy do domu. *Papieżnik.* Cóż tam nowego? *Ewangelik.* Exekucyą już mamy. *Papieżnik.* Chwała Bogu. *Ewangelik.* Nie każdy tam za nię Bogu dziękuje; wolałby drugi był tej exekucyi nigdy nie widać, ani o niej słychać. *Papieżnik.* A czemu? Wszakżeśmy się jej dawno napierali i króla o nię na każdym sejmie frasowali, owo my Polacy, jako niewiasty: *nolunt, ubi velis; ubi nolis, cupiunt ultro. Ewangelik.* Byś wiedział co ta exekucya warszawska umie, i sambyś się jej lękał. *Papieżnik.* Nigdy się tego lękać nie będę, bez czego być nie mogę; Panie Boże daj to, aby król pan nasz miłościwy, przez exekucyą królestwo swe ku upadku barzo nachylone, dźwignął i w miarę pierwszą wstawił.

Ewangelik. Nie myślą w Warszawie nic o dźwignieniu, słowa tam o tem nie masz żadnego. *Papieżnik.* Oczemże tam innem teraz sejmują, jeśli o tem nie radzą. *Ewangelik.* Sejm tam wszytek o tem jest, jakoby brać, a ni-

komu nic na wieki nie dać. *Papieżnik.* Tylkożeś nam przyniósł z sejmu tego? *Ewangelik.* Nic więcej. *Papieżnik.* I ku temu jednemu sejm warszawski się złożył? *Ewangelik.* Ku niczemu innemu. *Papieżnik.* Panie Boże bądź z nami, nie po nasku to; gdzie ludzie wolni sejmują, tam o szczodrobliwości królewskiej rychlej, a niż i o ściśliwości jego radzą. Bo wolnych ludzi sejm, czegoś dobrego a pożytecznego gminowi i społeczności swojej szuka. O czem wnet na początku Politicorum, tak napisał wielki filozof Arystoteles: *Videmus omnem civitatem esse societatem quandam, et omnis societas, boni alicujus gratia constituitur. Nam ejus causa, quod bonum videtur, omnes agunt omnia.* Otóż o tem na sejmie radzić jakoby brać, dobra rzecz sama przez się nie jest. Bo jeśli czem innem, tedy tem jednem król od tyrana barzo różnym jest, iż tyran bierze, a król daje. Na to i Pan Chrystus ono przez Pawła mówi: *Beatius est dare, quam accipere.* Króla też nam Dawid w psalmie nie braniem ale rozdawaniem tak zaleca: *Dispersit, dedit pauperibus, justicia ejus manet in saeculum saeculi; cornu ejus exaltabitur in gloria.* K'temu Salomon mądry, onę naukę królewską królom zostawił: *Non sit porrecta manus tua ad accipiendum, et ad dandum collecta.* Będzież to przystało nam otwierać królowi rękę ku braniu, a zamykać ją ku dawaniu? A nie będzież to tyrannis jawna, abo droga do niej? *Ewangelik.* Nie króla swego dobrego i szczodrobliwego pana w tem, ale sami siebie winujmy, którzy napierając się exekucyi, nie wiedzieliśmy, czegośmy się napierali, — i strzeż tego Panie Boże, abyśmy tą exekucyą ku roztyrku i ku rozerwaniu polskiej korony nie przywiedli: ku czemu się barzo ma, bo Prusowie się oświadczają, i w swojem oświadczaniu to wkładają: *Quidquid erit in contrarium actum, id hostiliter erit actum.* Naszy też posłowie ruscy tak jakechmy im w Wiśni rozkazali, na to branie nie zezwalają. Zkąd mierziączka górnych ludzi przeciwko nam się mnoży, groźby i odpowiadaniu, jedności Korony polskiej przeciwne. *Papieżnik.* Tak ci umie nierozmyślna

rada, za którę idzie niezgoda. Pierwejci było potrzeba się nam radzić, i to pierwej wiedzieć, co to za słowo exekucya jest. Potem, co za rzecz jest. Nakoniec kędy do niej.

Po tych kwestyach, na ostatku, przystało nam króla prosić o exekucyę taką, a nie inaką, któraby wszem nam jednakowo pożyteczna była. Ale tego wszytkiego zaniechawszy, uporniešmy się na królu tej nieznajomej exekucyi domagali, i mieszaliśmy rzecząpospolitą na sejmie przeto, i nikczemnemi kwestyami zatrudnialiśmy sejmy, i w niwecz je obracali, przeto Korona polska bez sądu i bez obrony zostawała i otworem każdemu nieprzyjacielowi stawała z wielką szkodą rzeczypospolitej i z hańbą narodu polskiego. A cóż tu inego przystało było królowi panu naszemu czynić, jedno nie uspokoić nas tem skąpem, a przedtem w Polszce nigdy niesłychanem brani(e)m, gdyż się nam był sprzykrzył swem szczodrobliwem a prawie królewskim rozdawanim. Przewróć kroniki polskie od deszczki do deszczki, nie najdziesz tego w nich, aby kiedy który polski król takowej exekucyi w Polszce używał, któryby dawszy i przywilejem pod tytułem swym za pieczęcią swą potwierdziwszy, co komu zasię brał, przeciwko słowu swemu i rzeczeniu królewskiemu. Panie Boże nie odpuszczaj tego tym, którzy do tego pana dobrotliwego wiodą, i tem go tak u swych, jako i u potomnych ludzi sławią, nad wolą i nad naturę szczodrobliwą jego. Ale radbym to wiedział, jako na sejmie o tem dzierżą, gdy już król nam dobrzeli, źleli co był między nas rozdał, wszytko pobierze, będzie li tej exekucyi koniec? A uspokoili się tym branim polska korona? nie zostanieli jeszcze jaka między nami w Polszce przyczyna niezgody, która przez exekucyą miałaby być wszytka z Polski wykorzeniona, jeśli chcemy z sobą w mierze a w pokoju, wedle prawa, pod jednym królem w Polszce żyć.

Ewangelik. Pokoja się ty nigdy w Polszce nie nadziewaj, by nietylko to, co był między nas król rozdał,

ale i to pobrał, co kto z nas od Lecha, Charwata starego w Polszce ma, tedy on tem branim nigdy nie uspokoi Polski. Jesteśmy ludzie rozerwani, jedności między nami niemasz żadnej, nakoniec, ani Boga mamy już w Polszce jednego, bo różnie o nim rozumiemy, i nie jednako też weń wierzymy; a gdzie różność jest w wierze, tam miłości ani jedności nie może być między ludźmi żadnej. K'temu stany koronnemi brakujemy, przywileje koronne, tak jako na przetaku groch z wyki przebieramy, królewską przysięgę wątlimy, i tak jawnie mówimy, kapłana w Polszce mieć nie chcemy, o przywilejach duchownych nic nie wiemy; to mi królu dzierż w przysiędze swej, tego nie dzierż. W czem duchowni omylili proste żołnierze przodki nasze, tegom się ja wszytkiego teraz w Warszawie dosyć nasłuchał. A maż się to ku pokojowi? *Papieżnik.* Tedy jeszcze tam exekucyi nie masz, bo by w Warszawie ona teraz była, wszytkoby to przez prawą exekucyą w Polszce ustało, bo prawdziwa exekucya królewska, jednej wiary, jednej myśli, nakoniec jednej mowy ludzie, z różnych ludzi ma uczynić, co być żadną miarą nie może, gdzie ludzie jednej wiary, jednego prawa, za zwierzchnością kapłańską, pod jednym królem w królestwie nie są; na czem postanowiliśmy byli roku przeszłego w Żurowicach u Orzechowskiego, dzień świętego Marcina przy onej tłustej gęsi, pomniszli exekucyą wszytkę. *Ewangelik.* Będzie mi pamiętna owa gęś do śmierci, bom na tamtej biesiadzie rozwiódł się z tą swarliwą ewanielią, w której, jako w jakiej pandorze, zamknione są wszytkie fasoły, kłopoty, mierzłączki i duszne i cielesne upadki człowiecze; którą dawszy ja we djabły, wróciłem się do onej naszej starej ewanielii poczciwej i zjednałem się z nią, przeprosiwszy ją statecznie, i wolę abyście mię od tej starej ewanielii, chrześcianinem zwali, niźli od onej nowej ewanielikiem. Ale byś wiedział jaką łaskę Orzechowskiemu ona rozmowa nasza Zurowska w Warszawie na tym sejmie u ludzi zjednała, nie radziłbyś mu żadnych dyalogów do śmierci pisać.

. . . .

Ewangelik. Iżby ludzie z głowami między posły nie byli, tego niechaj nie mnima ani powieda żaden: Pełno koło poselskie jest rozumu, ćwiczenia i biegłości wszelakiej; jedno iż się barzo w to koło, niewiem jako, zakradla pani praktyka, która nam w Polszce wszytko psuje; ta nam rzeczpospolitą obraca w swą prywatę; ta miłością rzeczypospolitej, słowy hardemi się chlubiąc, za tesak się imuje, na przeciwnika z buntem swoim jedzie, jemu nieprawdę, niewiarę i niesprawiedliwość zadaje, nakoniec nieprzyjacielem go wolności pospolitej, i braci swej zowie, będąc sama jadowitym nieprzyjacielem wolności pospolitej i braci swej, pod osobą miłości i życzliwości wszelakiej. Także onym drugim, acz mądrym i też biegliwym, ale jednak częścią prostym, częścią nieśmiałym posłom wszytkie warty ta pani ubiega. *Quare? Quia filii seculi hujus, prudentiores sunt filiis lucis in generatione sua.* I łatwie ty, ty *filios seculi* poznasz, jeśliże się im dobrze przypatrzysz. Arystofanes zacny i starego wieku u Greków komik, znacząc ty ludzie, którzy gdy inak urόść w rzeczypospolitej nie mogą, rzeczypospolitą mieszając rostą, krotofilnie o nich powiada, iż ci tak czynią, burząc, aby czego w rzeczypospolitej dostali, jako oni czynią, którzy w odmęcie wodą mieszając, łowią węgorza. Bo jako trudno jest chciwym rybitwom w przeźroczystej wodzie ułowić chytrego i płytkiego węgorza, także też trudno jest, ludziom nadętym, a ku dobremu mieniu chciwym, miejsca dostać w spokojnej rzeczypospolitej zacnego. Oglądnijmy się jedno, a ludziom się dobrze przypatrzmy, najdziemy to jawnie, iż my na każdym sejmie polskim nic nie czynimy inego, jeno tą praktyką łowimy węgorze. Po śmierci króla Zygmunta, dziewiąty to sejm polski teraz w Warszawie jest, każdy z tych sejmów, swą własną kwestyę miał, a żadna spokojna nie była, ani też końca swego miała . . . .

ŁUKASZ GÓRNICKI.

DWORZANIN POLSKI.

Księga I. Ten Dworzanin, którego ja tu formować mam, chcę naprzód, aby się w ślacheckim, zacnym domu urodził, abowiem nie tak sromotna rzecz jest nieślachcicowi nie czynić spraw poczciwych, jako ślachcicowi, który jeśli namniej zstąpi z tej drogi, którą szli przodkowie jego, zostawi zmazę na domu na swym, a nie telko nie przybawi nic, ale straci i to, co było nabyte, gdyż ślachectwo jest jako rozpalona pochodnia, która objaśnia i kładzie przed oczy dobre i złe człowiecze sprawy i pobudza, zapala ku cnocie tak bojaźnią niesławy, jako też nadzieją czci a chwały. Więc iż ta pochodnia nie rozświeca uczynków podłych ludzi, przeto nie mają oni pobidki[1]) do cnoty, ani bojaźni niesławy. I owszem, zda sie im, że niepowinni starać sie o to, aby w czym przodki swe przeszli, a ślachcicowi nie przystojna rzecz sie widzi, nie przyjść acz nie ku temu kresu, ku któremu przyszedł jego przodek. A dla tego bywa to niemal zawdy, iż w bitwie, abo na tych miescach, gdzie ludzie czci dostawają, ślachcic sobie lepiej poczyna i znaczniejszy bywa niż nieślachcic. Abowiem natura w każdą rzecz wsiała ono skryte ziarno, które własność a moc tę, którą od przodka swego pierwszego ziarna wzięło, podaje temu ziarnu, które wypuszcza z siebie, i takie je czyni, jakie jest samo, co widzimy nie telko w stadziech końskich, abo i inych zwierząt, ale też patrząc na drzewa, u których gałęzi zawdy są do pniaka a śniatu podobne, a jeśli sie kiedy odrodzą, to tam nie przyrodzenie winno, ale ogrodnik niedbały, także sie też dzieje i w ludziech, którzy kiedy około wychowania mają dobre gospodarze, niemal zawdy są podobni tym, z których idą, i częstokroć je przechodzą. Ale jeśli ogrodnik dobry nie przystąpi ćwiczenia nie będzie, tedy jako drzewo ogrodne w leśne sie obraca, a zwirze rochmanne[2]) w dzikie, tak i człowiek

---

[1]) pobudki.

[2]) domowe, obłaskawione.

prędko zdziczeje, i nigdy sie nie postanowi, wyjmując, na kogo natura, abo niebo dary swe rosypie. Jako widujemy drugie ludzie, którzy nie zdadzą sie, aby byli porodzeni, ale iż je Bóg swemi własnemi rękoma w formie ulał i ozdobił rozumem, wymową, urodą, kształtem, wdzięcznością, i szczęściem do ludzi, tak, iż co jedno poczną, wszytko im dziwnie przystoi; abo też zasię, kogo na tym wszytkim fortuna skarała, jako się rodzą drudzy tak nikczemni, tak niezgrabni, tak niewdzięczni, że nie może człowiek inaczej wierzyć, jedno, że je natura na pośmiech miedzy ludzie puściła. A tym takowym, jako dobre wychowanie, i ustawiczna pilność rzadko kiedy co pomoże, tak zasię onym, które przyrodzenie hojnie nadało, równa praca to dać może, że je nad ludzie wysadzi. Acz i miedzy tym bywa pośrzodek, to jest ludzie ci, którzy pierwszych owych fortunnych nie doszli, a przed tymi zasię nikczemnymi siła mają, bo takowi średni pracą, pilnością, staraniem poprawić swego barzo mogą, i dowieść tego, iż wszytko, co jedno poczną, będzie im przystało. Ale przedsię Dworzanin mój, mimo zacne urodzenie, chcę, aby był jednym z tych fortunnych, to jest, iżby miał nie tylko rozum wielki, urodę, udatność, kształt w ciele, twarz piękną a męską, ale też i przyjemność jakąś przyrodzoną, któraby go wdzięcznym do ludzi czyniła, tak, iż ktoby go jedno widział, zaraz i sam miłować musiał i najdował gi[1]) być godnym łaski każdego wielkiego pana, bo za taką przyjemnością wszytki sprawy, wszytki postępki jego hnet ozdobniejsze, hnet droższe, hnet chwalebniejsze będą.

Ale o tym niechaj będzie dosyć, pódźmy już do czego inego. Gdy się Dworzanin mój zacnie i tak szczęśliwie, jako się powiedziało, urodzi, zakon a zawołanie jego abo (jako dziś mówią) professia nie chcę, aby była ina, jedno rycerskie rzemięsło, w którym naprzód wiarą przeciwko panu swemu, a potym męstwem, siłą, ochotą

[1]) go.

i przeważnością, potrzeba, żeby miedzy drugimi słynął, czyniąc temu dosyć po wszelki czas i na każdym miejscu, a namniejszej rzeczy nie puszczając mimo się, któraby mu niesławę przynieść miała, bo szwank w tej mierze, a ustąpienie na lewo, by o włos, wieczną sromotą pachnie, a jako poczciwość białej głowy, która ją raz straci, nigdy się jej nazad nie wróci, tak sława poczciwego, a rycerskiego zawołania człowieka, jeśli namniej w czym naszczerbiona będzie, już się nigdy nie poprawi, ale tak zhańbioną a pełną lekkości zostanie. A tak ten mój Dworzanin im ćwiczeńszy będzie w tym rzemięśle rycerskim, tym będzie więtszej czci, a chwały godzien... Wszakoż ja tego na nim nie wyciągam, iżby w tym byt tak doskonały, żeby wojska wieść a hetmanić mógł, bo temu niewiedzieć, gdzieby był koniec. Ale kiedy będzie główniejsze sztuki wiedział, i rozumiał to, co żołnierzowi rozumieć trzeba, a przy tym będzie to miał w sobie, com pirwej powiedział, to jest wiarę całą panu swemu, a serce niezwyciężone, tedy ja już na tem pozostanę, jedno żeby to tak wielkie serce zawdy się w nim znajdowało. Abowiem rychlej czasem na małych rzeczach, niż na wielkich serce poznać, bo w potrzebie wojennej, gdzie wiele ludzi na to patrzy, najdują się więc drudzy, którzy, chocia już zdechli na poły, jednak przed wstydem idą oślep, a czynią co dobrym należy acz toż pod czas wie to Bóg jako. A zasię w mniejszych, a nie tak gwałtownych rzeczach, gdzie obaczą iż mogą ulec, a nie wdać się w niebezpieczeństwo, zwłaszcza kiedy w takowej nieśmiałości nie ma ich nikt postrzec, barzo radzi zostaną przy krześciańskim pokoju. Otóż mój Dworzanin nie chcę, aby był takim, ale chociażby dobrze widział, iż ani ma na się szpiega nieśmiałości, ani może mieć świadka męstwa, a cnych swych posług, przedsię niechaj to czyni, co dobremu, cnotliwemu należy, pomniąc na ono, iż najpewniejsze świadectwo jest sumienie własne, a za cnotliwe sprawy sama cnota hojną zapłatą jest. A kto jedno dla tego poczciwie czyni, aby był widzian, ten sie z cnotą

fałszywie obchodzi, okazując jej prawdziwą miłość, gdyż ku czemu inemu, a nie k'niej skłonne jest jego serce. Zgoła Dworzanin ten mój sercem męskim, a wspaniałą myślą zawdy sie znacznie popisać ma. Jedno też zasię nie chcę, aby zuchwalstwo w nim panowało, iżby pochmurnym weźrzeniem, postawą srogą, odętym wąsem straszyć miał, a nie umiał łagodnie mówić, jedno z fukiem, a wszytko o wojennych rzeczach, a jako zbroja najmiększa jego pierzyna, a z przyłbice najsmaczniejszy trunek: bo kiedyby takowy miał być, prędko by każdemu człowiekowi omierzył, a zasłużył by słyszeć one słowa, które poczciwa pani jedna takiemuż zuchwalcowi na biesiedzie powiedziała: bo gdy ten kilkakroć poczczon[1]) tym był od niej, żeby sie, abo do muzyki przysiadł, abo tańcował, abo wdy rozmową sie jaką z pannami bawił, a każdy raz dobry pan nic inego nie powiedał, jedno, iż to jest lekkich ludzi dzieło, a nie jego ćwiczenia rzemięsło: spytała go nakoniec pani: A to rzemięsło w. m. jakież wdy jest, odpowiedział jej, (uczyniwszy pirwej postawę srogą) we krwi — prawi — nieprzyjacielskiej brodzić, a swej nie żałować. Rzekła zatym pani: Mnieby sie wierę zdało, ponieważ teraz wojny niemasz, abyś w. m. dał sie czyście tłuszczem namazać, a wespołek ze zbroją i z tym wszytkim, czego w. m. przeciwko nieprzyjacielowi używasz, dał sie gdzie do szafy schować aż do tego czasu, kiedy wojna będzie, abyś w. m. barziej niż teraz nie zardzewiał.

. . . .

Księga II. Wielokroć z niemałym podziwieniem rozbierałem to u siebie, i macałem przyczyny, skądby to rosło, iż ludzie starszy, niemal wszytcy skarżą sie na dzisiejsze czasy, a ony pirwsze zbytnie chwalą; ganiąc teraźniejsze sprawy nasze, obyczaje i to, czegokolwiek oni w młodości swej nie czynili, a twirdząc, iż wszytko idzie co dalej, to gorzej, tak w dobrym a w porządnym życiu,

---

1) zaszczycony.

jako też i w inych wszytkich cnotach. Jako powiadam myśliłem na to częstokroć, i było naco, bo wdy to jest rzecz, mimo wszytek rozum dziwna, iż szedziwe lata, które za długim rzeczy doświadczeniem baczenie i rozsądek człowieczy doskonalszy czynią, w tej mierze tak błądzą, nie bacząc, iż kiedyby tak szło, co dalej to gorzej, to jest, iżby zawdy ociec był niż syn lepszy, jużbyśmy byli nie teraz, ale dawno do onego ostatniego kresu złości przyszli, gdzieby sie pogorszyć nie mogło. A wdy widzimy, iż nie telko za tego naszego wieku ale i za dawnego, zawdy starzy byli w tym swym jakoby przyrodzonym błędzie, co sie z ksiąg pokazać może, zwłaszcza z komedyj, w których jako w zwierciedle żywot ludzki widzieć. Przyczyny tedy obłędu tego ja inej w swej głowie nie najduję, jedno tę, iż lata precz bieżąc, biorą z sobą wiele człowieczego dobrego i odejmują siłę, a z nienagła gubią żywość i ciepło przyrodzone z wilgotnością, za którym gnienieniem człowiek sie mieni, żyły, muszkuły, członki słabieją, przez którę duch nasz rozpostrza swoję władzą. A przeto jako w jesieni pada list z drzewa, tak w ten czas odchodzi od naszego serca ono wszytko, co nam było, w młodości miło, a na miejsce dobrej a wesołej myśli wchodzi w nas zła a smętna, a jeszcze nie sama, ale przywiedzie z sobą wszytki niedostatki, wszytki niewczasy, tak, iż ten czas już nie jedno ciało, ale i duch w człowiecze choruje; a to, co człowiek dobrego miał, abo widział na świecie, wszytko zginie, chyba pamięć tylko zostanie, a jakoby obraz onego lubego wieku, gdy człowiek był młody, bo ten czas jest jako wiosna, wszytko sie około nas śmieje, wszytko sie zda równo, niebo sie kotłem widzi, a ziemia wszytka nasza. Na myśl nie przydzie bolesny smętek, ale radosne wesele z dziwną uciechą; owa raj sie widzi przeciwko inemu czasu. Zaczym bodaj by nie lepiej, kiedy przyspieje[1]) włos siwy, a człowiek na dół idzie, upuszczając to w czym sie ko-

[1]) nadejdzie.

chał, a wstępując w starość jako w ziemię (prosto tak, jako gdy słońce ku ziemie sie skłania, a ziemię, zdzierając z niej kwiecie, list i trawę, czyni obrzydłą a kwaśną), aby brał zaraz z sobą i pamięć tych wszytkich rozkoszy swoich, i mógł to na sobie przewieść, nic z nich nie pomnieć, co Themistokles w rzeczach podobnych przykrych radby był umiał. Abowiem tak są sfałszowane zmysły nasze, iż też wielekroć podchodzą i wywracają rozsądek i baczenie. A dlatego zda mi sie, iż staremu człowiekowi tak sie to widzi, jako owemu, który w okręcie na morze, abo w czołnie na rzeke z brzegu sie puści, bo patrząjąc na brzeg, zda mu sie, iż brzeg bieży, a okręt abo czołn stoi, a to w istej prawdzie inaczej sie ma, abowiem tak brzeg, jako czas, i wszelakie krotochwile w jednej mierze stoją, a my w tej łodzi, w tym okręcie gdzie śmierć sztyruje, płyniem, jeden za drugim, po tym niebezpiecznym morzu, które wszytko zaleje, pożrze, ani wolno do brzegu nazad sie wrócić, ale musi człowiek wciąż pędzić, a naskakawszy sie po okrutnych wełnach, i nakarmiwszy sie srogiego strachu, nakoniec utonąć, gdy sie okręt o jaką rozbije skałę. A tak, iż stary człowiek barzo niesposobny jest do wiela rzeczy, do wiela zabaw, do wiela rozkoszy, więc sie go też nic nie chyci, ani rozkoszy uczuć może; ale jako kto ma gorączkę, iż mu ona gorącość i skażone wapory język i podniebienie zepsowały, każda rzecz, którą je abo pije, by najlepsza, zła, a niesmaczna mu sie widzi, tak też i starym przez onę niesposobność (chociaż chciwość w nich przedsie nie zgasła) wszytki zabawy, wszytki krotochwile zdadzą się im niesmaczne, nikczemne, a barzo od onych rozne, których oni zażyli, chociaż krotochwile tyż są, co i pirwej A przeto czując, iż rozkoszy od nich odeszły, skarżą sie i ganią czasy dzisiejsze, jakoby złe być miały, nie bacząc nic, iż odmiana ta z nich pochodzi, a nie . . . . . .
. . . . z czasu.

Księga III. Jest ten obyczaj u drugich pań, iż barzo rano i samy mówią i słuchają z chęcią, kiedy kto

źle przed nimi mówi o inych białychgłowach, więc nakoniec i same podwodzą mężczyzny ku mowie, wywladując sie miłostki cudzej, a gdy na co takowego napadną a dowiedzą sie czego troszkę, to będą szyrzyć onę rzecz z dziwną radością i śmiechem; bedą podarki jeśli tam ta które wzięła, drożyć, iż sie tak widzi, jakoby onego zaźrzały, a zatym mężczyzna baczny, chocia pokazuje, jakoby tego rad słuchał, pocznie o takowych źle rozumieć i lekce je ważyć sobie. I słusznie, bo więc za takową rozmową przychodzą do pewnego kresu te panie, iż niejedno lza o nich mieć złe mnimanie; a widzi sie drugiemu, że go tym napomykają, aby sie wdał w co dalej; za czem wielka im ohyzda i zelżywość roście.

Przeto dworna pani niechaj nie będzie tego obyczaju, ale kiedy co takiego o drugiej białejgłowie usłyszy, niechaj się radniej zasmęci niż rozśmieje, nie wierząc owej powieści, albowiem ile takich białychgłów jest które to sobie mają za jedno cudo, żeby białogłowa, która na świecie rozpustnie żyć miała, o każdej człowiek dobrze rozumieć musi, bo sobie każdy z nas tak myśli, kiedyć ta ma ten występ za rzecz tak srogą a niesłychaną, rzecz pewna, iż nigdy zgrzeszyć nie pomyśli. Za tym to idzie, że białagłowa taka w wielkiej czci u wszech ludzi być musi, abowiem ona jej mądra powaga z dobrocią złączona jest jako mocną tarczą przeciwko niewstydliwym wszetecznikom i więcej sobie każdy człowiek jedno słówko skłonne, jeden najmniejszy znak ludzkości takowej białejgłowy waży, niż nawiętsze zalecanki, naznaczniejszy pokaz łaski drugiej, która tego z małym używa wstydem.

A chocia ta będzie cnotliwą, jednak rozpustnym śmiechem zbytnie bezpieczną, a świątobliwą mową przyprawi się o nietrefną sławę. Ale iż każdemu temu człowiekowi, który chce, żeby mu słów dostawało, iżby lada czego nie drwił, trzeba tego, aby miał pirwej niemało rzeczy w swojej głowie, przeto też dworna pani, mimo

swoje przyrodzone baczenie, którym sie we wszytkim sprawować ma, musi wiela dobrych rzeczy wiadomość mieć, iżby, chcąc uczciwie zabawić, umiała obrać co z którą osobą, (jakom wyżej powiedział) mówić przystoi, a iżby nie chcąc nie wypuściła jakiego słowa, któreby onego obrazić mogło. K'temu niechaj sie strzeże, aby sie w czym niebacznie nie pochwaliła, abo iżby tak długo rzeczy swej nie prowadziła, aż do uprzykrzenia. Wielkich rzeczy a poważnych niechaj w krotochwilną rozmowę nie wtacza, ani w poważną rozmowę żartów. Ćwiczenia też białejgłowie przystojnego niechaj nie zaniechywa, a jeśli czego nie będzie umieć, niechaj nie pokazuje, aby umiała, ale skromnie niechaj tego ze czcią swą używa, w czym swoję godność baczy, nie wydawając sie (tak jako sie dawno powiedziało) z żadną wiedzą. A kiedy taką będzie, tedy ludzie przypatrywając sie uczciwym jej obyczajom, rozmowie z ucieszeniem mądrej przystojności, wdzięczności, w tym co pocznie, muszą z podziwieniem chwalić wszytko ine, a snać ją drugi równą uczyni temu tam wielkiemu dworzaninowi, którego ci panowie model nam pokazali.

. . . .

Księga IV. Otóż ją ktemu idę, iż, ponieważ dzisiejszych czasów panowie tak są skażeni złym zwyczajem, nieumiejętnością i fałszywym dzierżeniem o sobie; a iż tak barzo trudna rzecz jest oznajmić im prawdę, a przywieść je ku cnocie, ktemu, iż ludzie nieprawdą, pochlebstwem i dziwnemi a nieprzystojnemi drogami starają się o to, aby do nich w łaskę przyszli; dlatego tedy dworzanin onemi osobnemi przymioty, które pan Kryski z panem Myszkowskim jemu przypisali, dowiedzie tego łatwie i powinien będzie w tym czynić wszelakie staranie, że się wkradnie w łaskę państwa, za którą będzie mógł wolnie, bezpiecznie mówić z nim o wszytkim, a nigdy sie nie uprzykrzyć; a będzieli takim, jako sie tu powiedziało, za małą pracą przydzie ktemu a w rzeczach

wszelakich panu oczy otworzy i prawdę snadnie bez obrazy powie. Nad to jeszcze będzie mógł znienagła a potrosze wprawować pana w dobrotliwość, uczyć go powściągliwości, mężności, sprawiedliwości, mierności, pokazując mu na oko, jako wiele słodkości przykryła ta mała gorzkość, której człowiek musi troszkę uczuć, kiedy sie namiętnościam przeciwi, które to namiętności są zawdy szkodliwe, przemierzłe, a za niemi osława, lekkość i hańba w te tropy chodzi, jako za cnotami sława, pociecha i pożytek. Więc, iżby pochopniejszy pan był ku cnotom, spomnieć mu będzie mógł one znaczne na świecie ludzie, one sławne Hetmany, których contrefet to z marmoru, to z miedzi, a czasem i ze złota oni Grekowie abo Rzymianie starzy uczynić, abo ulać dawszy, na miescach a schodziech pospolitych stawiali; tak wiele dla nieśmiertelnej sławy onych ludzi, jako też dla pobidku[1]), a podżogi[2]) drugim, iżby sie poczciwą zazdrością ku takiejże sławie pięli.

Tym tedy kształtem powiedzie dworzanin pana ku cnocie, do której cnoty, iż jest troszkę tęskliwa[3]) droga, potrząsnie oną zieloną trawą, zioły, kwieciem, aby sie nie tak przykrą widziała, to jest raz muzyką drugi raz koniem, zbroją, zaś trefnością abo i inemi rzeczami, które ci panowie wyliczyli, zabawi umysł pański poczciwie, a przedsię tu i owdzie wtrąci zawdy w te miłe rzeczy co poważnego, a podydzie pana zdrowym fortylem jako czynią mądre matki, które chcąc dać dziecięciu wypić dla zdrowia co gorzkiego, kraj tego kubka, z którego pieszczone dziecię pić ma, mażą pospolicie miodem, abo czym słodkim. Otóż gdy dworzanin używać w ten sposób będzie tych rzeczy lubych każdego czasu i na każdym miescu, dojdzie onego

[1]) pobudki.
[2]) podniety.
[3]) przykra.

kresu, onego końca, ku któremu był myśl swą obrócił a zatym będzie godzien więtszej chwały i odpłaty, niż dobrzeby którą iną rzecz znacznie dobrą czynił na świecie, bo żadnej rzeczy nie masz pod słońcem, którąby wszem ludziom wobec tak była dobra i użyteczna, jako jest pan cnotliwy, a zasię żadnej rzeczy niemasz tak złej, a którąby barziej wszem wobec ludziom szkodziła, jako pan niesprawiedliwy. Na co patrząc ludzie jeszcze nie naleźli tak srogiej a okrutnej męki, która by sie im widziała być zupełną zapłatą za grzech ten, a niecnotę, kiedy owo sługa, który (bo tego zacnego tytułu dworzanin taki człowiek nie jest godzien) przymiotów swych dobrych ku temu końcu używa, aby pana swego kaził, odwodząc go od cnoty, a łotrostwem w łaskę do niego przychodząc, abowiem taki człowiek nie w kubek, z którego telko jedna osoba pić by miała, truciznę kładzie; ale studnię, z której wszytcy ludzie czerpają, zaraża śmiertelnym jadem.

ROZMOWA
o Elekcyey, o wolności, o prawie y obyczaiach polskich.

Pod czas Elektiey Króla Jego Mci Zygmunta III czyniona.

Włoch. Gdzie ma być dobrze postanowiona R. P., tam trzeba i prawa dobrego i dobrych obyczajów, a jedno to bez drugiego mały pożytek uczynić może, wszakoż wżdy nie do końca zginęła ta R. P. to Królestwo, w którym, jeśli prawa są niedoskonałe, ale wżdy obyczaje dobre się najdują. Ale tu u was i obyczaje nader złe z waszej swejwoli, i prawa nie barzo są chwały godne, a to widzę iżeście warowali to sobie, żeby was król nie pozywał o zbrodnie, a instygator[1]) gdy pozywa, bez delatora[2]) czy-

---

[1]) oskarżyciel publiczny.
[2]) donosiciel.

nić nic nie może. Więc uchodząc jednego złego, w drugie gorsze złe wpadacie; uchodząc tego, żeby was król zniewolić nie mógł, jesteście w niewoli u wszytkich, a kto możniejszy, ten uboższemu jest tyranem. Zleć to być pod tyranem rzecz jest pewna, ale mniej złego mieć jednego tyrana, niż wszytkich. Jedno, że to wy nie baczycie tego, ani was boli cudza krzywda, a miałaby was słusznie boleć, i fortunna to R. P., w której ludzie brzydzą się tym człowiekiem, który krzywdę czyni drugiemu, a brzydzą się nie mniej jako ten, komu krzywdę uczyniono.

Polak. Nie darmo przodkowie naszy nie chcieli tego dać królowi w ręce, czuli coś w tym złego. Aleć jest u nas dosyć tych rzeczy, o które starosta, gdyby nie był kto, instygując[1]) czynić powinien.

Włoch. A starosty kto doźrzy, iżby powinności swej czynił dosyć?

Polak. Wolno go każdemu o to pozwać.

Włoch. A kiedy nie będzie nikt chciał? Bo co wszytkim poruczono, o to pospolicie wszytcy abo nic, abo mało barzo dbają. Więc ubogi szlachcic jako on śmie starostę, gdy w czym powinności swej nie czyni dosyć, pozwać, abo by mu tego zaś starosta nie oddał inszą stroną? A co powiadasz, nie darmo — prawi — naszy przodkowie nie chcieli tego zwierzyć królowi, żeby on, abo jego urząd pozywał zbrodnie, ja zasię inaczej wiem. Było za dawniejszych czasów królowi to wolno, a z królem siedzieli senatorowie, bez których król nic począć nie mógł, a za tym nie miał król żadnej drogi do zniewolenia poddanych swoich, ale nie barzo dawno wymogli to na królu ci, którym było to potrzeba, iżby król do zbrodniów nic nie miał, aż gdy przedeń strona pozowie....

Polak. Jam o elekcyej tylko (przypominając wolność naszą) z tobą mówić chciał, a ty dalej rozciągasz mowę.

---

[1]) oskarżając.

Włoch. Gdyby się o wszytkim co w Polszcze ludze ganią, dostatecznie mówić miało, wzięłoby to wiele czasu, i trzebaby nam sędziego, któryby uznawał, kto z nas bliżej dochodzi rzeczy; ale na krótce tylko się to mówiło, i mówić jeszcze może (jeślić nie przykro), co ja w Polszcze tak z strony wolności, jako i z strony prawa (do którego i obyczaje należą) widzę szkodliwego. Tyś sam tę mowę zaczął, lecz ja, każeszli, rad przestanę...

Polak. Już o tej wolności dosyć, a bodaj nie nazbyt, a to my Polacy na niej przestajemy, a wam Włochom, gdy się nasza niepodoba wolność, zostańcież przy swojej. Ale w prawie naszym nie wiem, co widzisz takiego, przeczby się abo tobie, abo komu na świecie podobać się nie miało. Czy lepsze wasze cesarskie prawo, z którego się i waszyż doktorowie wypleść nie mogą? Ba, proszę cię, powiedz mi, w czym winujesz nasze prawo?

Włoch. W wielki a dziwny labirynt chcesz mię wwieść, żebym o waszym statucie i konstytucyach mówił, a ja zwłaszcza cudzoziemiec. Aczci poprawdzie niecom go świadom, służąc, jako wiesz, 7 lat mych młodych wielkim panom, i u sądu często bywając, jednak barzobym nierad o tym mówił, bo takowa wymowa wielką nienawiść niesie, a nie jedno Polacy, ale każdy naród prawdy nie rad słucha, gorzka to rzecz jest prawda, a jam nie Merkuryus, żebych ją osłodzić umiał.

Polak. Nie wiem, iżbyś co przeciwko prawu naszemu mógł mówić słusznego, zewsząd ono chwalebne jest, i niemasz w nim labiryntu. Ale byś też i szkalować je w czym chciał (czego uczynić nie możesz), tedy się to mówi między nami dwiema; ja tego, co się dotąd mówiło, ani tego, co się jeszcze mówić będzie, z tego miejsca nie wyniosę. Przeto mów bezpiecznie; ja słuchać będę.

Włoch. Czasu mowy o tym już nam teraz nie stanie, a to się i senatorowie i szlachta z obu kół ruszyła; do jutra to odłóżmy.

Polak. Przyzwalam.

Rozmowa dnia trzeciego.

Polak. Wczoraś się dziwował, iż się nie rychło do kół[1]) zjachali, a dziś oto później. A cóż na tym? I toćby niewola była, tak czynić, jako się rzekło.

Włoch. Bà, dobrze! Daj Boże jedno, żeby wam kiedy ta wasza tak barzo rozprzestrzeniona wolność nie zaszkodziła.

Polak. Dajmy temu pokój, i, jakoś obiecał, powiedz zdanie swoje w rzeczach za wczorajszej rozmowy pozostałych.

Włoch. . . . .

A iż w nadzieję owego statutu, »nikogo imać nie będziem, aż przekonanego prawem« siła zuchwalcy w Polszcze broją, a to, co ku dobremu uczyniono, ku złemu obracają, zdałoby się mnie, żeby i one cztery artykuły grodowi należące, które burzą pokój pospolity (nie wspominając złodziei które i teraz z licem do grodu wodzą), mógł być pojman szlachcic, gdyby poremptorie[2]) będąc pozwany do prawa nie stanął, ale takie pojmanie nie chcę żeby było od urzędu królewskiego, ale od urzędu R. P. Co oto tak byćby mogło. Na ten czas, gdy deputaty na trybunał obierają, żeby też kilka cnotliwych i godnych ludzi, a nie młodszych lat czterdziestu do każdego grodu obrano, którzyby ze starostą pospołu mieli tę władzą, pojmać zuchwalca, który pokój pospolity gwałci, gdyby nie stanął na pierwszy pozew; bo takowy na szalonego poszedł, a jeśli szalone wiążemy, nie z przyjaźni, jedno dlatego, żeby się upamiętali, a ludziom nie szkodzili, czemu taki zuchwalec jako szalony iman być nie ma, póki czego gorszego nie spaha.[3]) Gdy tedy do urzędu wiadomość o zbrodni przyjdzie (czego ten urząd

---

[1]) miejsce obrad.

[2]) ostatni raz.

[3]) spsoci.

ze wszystkich stron ma się wywiadować) nie czekając, żeby się ukrzywdzony skarżył, sam żeby urząd ten pozwać, a gdyby nie stanął, poimać kazał, i dał potym instygatora, któryby o to czynił, a nie strona, gdyś to jest R. P. krzywda, nie samego onego komu się stała. Wszakoż i stronie przy instygatorze stać i czynić niechajby wolno było, a jeśliby się strona pojednała, przecie instygator żeby popierał rzeczy zaczętej. Ale tak tego imania dozwalam, żeby starosta nic sam przez się czynić nie mógł, ale z tymi deputaty pospołu, i na co by się ci zgodzili, żeby starosta onym nie przecząc, był to wypełnić powinien. A ta władza tych deputatów żeby tylko do roku trwała, jako i trybunalistów.

Appellatio zasię od tych deputatów niechajby szła do króla, gdziebykolwiek król był na ten czas. Jakoż gdy o poczciwość idzie, nie kto inszy jedno król sądzić to ma. Dobrzećby, żeby do trybunału, okrom, gdy o poczciwość idzie, szły apelacye, kiedyby ustawiczny trybunał był a jeszcze tak, żeby Mali Polacy w Piotrkowie ustawicznie kauzy[1]) wielkopolskie sądzili, a Wielcy Polacy w Lublinie kauzy Małej Polski, i za raz żeby oba trybunały sądziły, a rok zupełny. A jeśliby się na to, podług zwyczaju teraźniejszego, mały poczet zdał deputatów, tedyby się ich więcej przyczynić mogło, iżby gdzie teraz jeden deputat obierany bywa, dwaj obierani byli. A póki ci siedzą, żeby drugich i na ich miejsce obierano...

Ci tak obrani deputaci do starosty niechajby nietylko one cztery artykuły grodzkie sądziły, ale i ine wszytkie zbrodnie, które nie cierpią odwłoki, a pokój pospolity gwałcą, jako są mężobójstwa i ine wielkie zbrodnie. I takie zuchwalce gdy nie staną na pierwszy pozew, żeby imali i podług prawa karali, apelacyej nikomu nie broniąc, ale zbrodzień, żeby ten czas w uczci-

---

[1]) sprawy.

wym więzieniu był, aż się appellatio przez przyjaciela jego odprawi zawarta i zapieczętowana od deputatów . . .

A co w konstytucyej napisano, iż o pewne ekscesy tego, kto wystąpił, wolno każdemu pozwać. A radci bych go pozwał, a on by mię kulką żywota pozbawił. A kto mi się każe niepotrzebnie w niebezpieczeństwo wdawać? Póki ten statut jest, iż o zabicie nie gardłem, ale wieżą, której się nikt nie boi, karzą; póki złych ludzi imać nie będą: póty żadne prawa, żadne stanowienia iść dobrze nie mogą. W czym rzeczposp. dla takiego prawa, Bogu nie prawa; jako niedawnych czasów zabili męża siostry swej dwaj bracia, na dom najechawszy, a snać z naprawy żeninej, który zabity, iż nie miał przyjaciół, abo miał, ale gdzieś daleko, przepadło wszystko. Tu by już takie zabicie musiało wziąć swą zapłatę. Nie zostałby bez kaźni mord żaden, jako i nie jedno tak, jakom wspomniał, zostaje, ale i to przepada, gdy brat brata, synowiec stryja, syn ojca abo matkę zamorduje . . . . .

Polak. A sąd ziemski co będzie czynił, gdyżeś tak wiele na deputacki włożył?

Włoch. Sąd ziemski po staremu o grunty i o rzeczy ruchome, o granice i o ine wszytkie rzeczy sądzić będzie. A iż granice nie jedno przez podkomorzego miedzy szlachtą odprawia się, ale i przez komisarze miedzy królewskiemi a szlacheckiemi grunty; ja bych tak rzekł, iżby tak szlachcic, jako i dzierżawca mógł wieść komisyą, ale nie kogo oni chcą za komisarze, ale kogo król naznaczy. A ci komisarze tamże na polu niż co poczną, żeby przysięgli, iż sprawiedliwie granice uznają i osądzą, nie tolerując ani szlachcicowi, ani królowi, ale samej sprawiedliwości. A wolałbych jeszcze, iżby z sejmu wysłani komisarze byli do wszytkich województw i ziem, iżby za jeden rok królewskie i duchowne dobra od szlacheckich były odgraniczone, i naznaczone kopcy, rowy i pismem na wieczne czasy. Ale nie mniemaj, żebych ja tu wszytko już wypowiedział, czego potrzeba; z wierzchu

tylkom ja tknął niektórych rzeczy, com rozumiał jako owo malarz z gruba na początku to, co ma wymalować wolą, narysuje albo węglem skreśla. Nie jednego dnia to sprawa, ani jednego roku, ani jednego człowieka. Więc bych ja też tu nalepiej i nawarowniej, z każdej strony wszystko opatrzył, przecie żadna rzecz na świecie nie stanęła na początku w doskonałości swojej. Siła tu jeszcze potrzeba, i dlatego powiedziałem wyższej, że niemało ludzi na tym zasieśćby musiało, a ludzi mądrych, i czas długi.

Polak. Baczę, żeś już zdanie swe około sprawiedliwości wyprawił, radbych słyszał, co jeszcze o obyczajach powiesz, które gdzie dobre są, tam i rząd być musi.

Włoch. W obyczajach waszych jako jest wiele złego, i z nich nierząd jako się daleko rozszerzył, i jako jest szkodliwy, by się to wszytko wyliczać miało, słówby mi nie stało. Atoli wątpić w tym nie trzeba, żeście (jako ja wiem) daleko od obyczajów pradziadów i dziadów waszych odstąpili. I by oni tak żyć mieli rozpustnie, jako wy żyjecie teraz, nie pozostawiliby wam byli znaku żadnego R. P. . . . .

A ktoby was wyciągać chciał na one ustawy dobre, jakoby się szlachcic doma sprawować miał, w jedzeniu, w piciu, w szatach, w ochędostwie białych głów, w koniach, w sługach, ktoby, mówię, temu chciał postanowić miarę; ktemu posagom, weselom, ucztom i pogrzebom, budowaniu, malowaniu, sztukwarkowi i innym zbytkom, których jest wiele: pewniebyście go z ziemi wygnali. Rzeklibyście zaraz, iż to jest wielka niewola. U Rzymian były te ustawy, a żadna rzeczposp. nie była w więtszej wolności, jako rzymska; i jakoto są rzeczy potrzebne, doznawają tych czasów tego ine królestwa, i R. P. które bez takich ustaw być nie chcą. Albowiem domy szlacheckie członkami są R. P., a gdy te członki utratami niszczeją, tedy ciału, to jest R. P. dobrze być nie może. Ale o takich rzeczach próżno u was co mówić; tego,

czego wżdy słuchać możecie, wyrzec nie zaniecham. Młódź wasza (nie wspominam opiek, w których wielce bywa oszukana dla złego około tego prawa i porządku) złe barzo ma wychowanie, bo ich nie w pracy, ale w pieszczocie wychowywacie, a pierwej, jako słyszę, w wielkiej u was surowości chowano ludzi młode. A jakom pierwej powiedział, próżne są prawa, gdzie niemasz dobrych obyczajów, a dobre obyczaje być nie mogą, gdy młodzi ludzie w rozpuście zrostą. Pierwej drugi niż do lat przyjdzie, od pijaństwa, od wszeteczeństwa da gardło. Sromoty niemasz u was sprośnie żyć w mieście na wszeteczeństwie, na zbytkach czas trawić, niemasz, ktoby hamował, a od zbytków do pracy młódź obracał. Tym wolno w mieściech nabrać u kupca rzeczy, a nie zapłacić, gwałt uczynić, . .

. . . .

strzelać, na dom najść, z domu wywlec, ubić, zranić, zabić, wszytko to za fraszkę jest. A stąd odnosicie ten pożytek, że wasze miasta, miasteczka niszczeją, w zabiegach, w trwogach, niemasz gdzie przed Tatary majętności, żony, dziatek zachować. Więc pustych domów pełno wszędy, rzemieślników nie macie, aż z Niemiec, a od nas ze Włoch rzeczy wam te przywożą, które by u was prawie dobrze być mogły. A będąc tak od zuchwalców uciśnione miasta, porzucili mieszczanie wszytkę o sobie pieczą, już tylko szynkują, piją, a łotrują, jakoż i tego szynku od was się nauczyli, aboście wy od nich nawykli. Uchowaj Boże tu przegranej raz albo drugi bitwy (jakoż kto walczy, trudno sobie zawżdy zwycięstwo ma obiecować), cobyście wy poczęli sobie, a zwłaszcza jeśliby do Niemiec i do Węgier nie puszczano, abo stamtąd nic nie wożono? Gdziebyście wzięli koncyrze, szable, zbroje, pancerze, rusznice, tarcze, drzewca, siodła, muńsztuki i ine rzeczy, które taniej z tych ziem przychodzą, niż je tu prze niedostatek rzemieślników kupi? Baczyszże ty to, iż źle bez rzemieślników? W człowieczym ciele są różnej dostojności członki. . . . . .

Także i w R. P. są to takie, to owakie stany, a wżdy wszytkich do całości, do zdrowia R. P. potrzeba. Ba, zgoła R. P. z tego pięciorga złożona jest, z oracza, z żołnierza, z sędziego, z kupca, z rzemieślnika. Więc kupców u was barzo już jest mało, a co są, to barzo nędzni. A co bogatsze byli, jęli się za ziemskie imiona[1]), i tak frymarkiem[2]) poszło, wy jęliście się kupczyć, którym to nie należy, a kupcy jęli się za szlacheckie grunty, które onym nie są przystojne. Więc u was gospód dobrych nie pytaj, i dlatego kucharze, kotły, rożny, patele, pościel, łóżka, żywność i napój wozić z sobą na wielu wozach musicie, czego by wszytkiego nie potrzeba, gdyby po drogach dobre gospody były, które dla złych obyczajów, dla zuchwalstwa być nie mogą, co wamże samym szkodzi. Jako słyszę, kiedyś tu w Polszcze tak skąpo było ludzi, iż królowie aż do Niemiec po ludzie słali, a Niemcy przyjść tu nie chcieli, aż z swoim magdeburskim prawem. I wam tego bać się potrzeba, aby tu zasię pustynie nie były. A od tych Niemców za króla Kazimierza Wielkiego mury w Polszcze nastały. A iż snadź był przedtym jeszcze on sławny i zacny Dunin, herbu Łabęć, kilka abo kilkadziesiąt z ciosanego kamienia kościołów zmurował, lecz tego na tak wielkie królestwo niewiele było. Niemcy dopiero w Polszcze mury rozmnożyli.

P o l a k. I tego niewiem, co nam po tych miastach, abo murach. Lacedemonianie mieć ich nie chcieli, ukazując na ludzi, na których męstwie a sile, nie w murach zdrowie każdej rzeczypospolitej i każdego królestwa zawisło. Więtszą skazę przynoszą miasta, niż naprawę. I to, coś wyliczał, jako wszeteczeństwo, zbytki, zuchwalstwo, rośćby nie mogło, by nie te twoje miasta, w których się zawżdy zbytek i rozpusta najduje. I Tatarowie tym mocni są, i nikt ich nie zwalczył, iż miast nie bu-

---

1) majątki.

2) zamianą.

dują. Perekopscy Tatarowie,[1]) ci tylko dwie abo trzy miasteczka mają, ale w nich nie pokładałą siły ani bezpieczeństwa.

Włoch. Ba, małoć nie tak, iż ta rzeczpospolita wasza na kształt lacedemońskiej jest postanowiona. Bo iż królowie oni waszy dawni wami, a nie pieniężnym ludem walczyli, więc wszytek porządek i prawo wasze ku rycerskim rzeczom zmierza, a jakoby w pokoju żyć, a żyć dobrze, tego królowie oni waszy nie obmyślili. Otóż jako rzeczpospolita lacedemońska, która także ku rycerskim tylko rzeczom była sposobiona, póki walczyła, kwitnęła, a skoro w pokoju siedzieć poczęła, zaraz upadła i zginęła, tak ja o tę waszę barzo się boję, iżby ona nie umiejąc w pokoju żyć, nogami w górę nie była wywrócona. Więc co ty ganisz to, że są miasta, kiedyby miasta nie były potrzebne, tedyby się w Niemcy, Włoszy, Francuzowie, Hiszpani, Turcy, Persowie, Afrykani nie kochali. Co na świecie ludzi jest, które sprawuje rozum, wszytcy miasta, zamki mieć chcą. Czy znowu się wrócić Polacy chcecie do onego żywota zwierzęcego, gdy ludzie rozproszeni po lesiech, po błotach mieszkali, korzonki jedząc abo żołędź? Dziwno mi barzo, coś ty to wyrzekł . . . .

Polak. Jużeś daleko zabrnął, i dziwny rząd u nas chciałbyś zacząć; trudne to są rzeczy, co ty powiadasz, a jeszcze tak rzekę, że niepodobne. I byłaby to wielka niewola, żeby mię kto z mej ojczyzny zegnać miał, i kazał mi jako na kraj świata pod Tatary.

Włoch. Abo tak lepiej jako teraz, Tatarowie kiedy jedno chcą, po was chodzą, jako po kury do kojca. Ja się dziwuję już jeśli wam braciej waszej nie żal, jako się tego nie wstydzicie?

Polak. By to szło z naszej nikczemności, byłoby się czego wstydzić, ale iż nie jest nas z to, żebyśmy

---

[1]) od Perekopu, miasta nad morzem Czarnem.

Tatarom abo Turkom odpór dać mogli, każdy baczny, rychlej nas w tej mierze obmówi i pożałuje, niżby nas winować miał.... Ba, to my tu bajemy sobie, a ufce się ku chłodnikowi [1]) ściągają; podobno ten rokosz [2]) krwią się obleje. Ja do swych pojadę.

W ł o c h. I mnie przy panie moim być teraz przystoi.

DZIEJE W KORONIE POLSKIEJ
z przytoczeniem niektórych postronych rzeczy: od Roku 1538, — aż do Roku 1572.

Zaczym pozwano miasto na sejm przyszły, a ten do Lublina był obiema narodom dla skończenia uniej złożony na dni grudniowe roku 1568; trwał ten sejm, aż się w końcu lata odprawił roku 1569. Na nim skończyła się unia, lecz nie pierwej, aż król Podlasze i Wołyń do Korony przyłączył. Sądzeni też Gdańszczanie byli, nalezieni nieprawi i do więzienia wzięci, jednak nie skazani, ale znowu zdało się królowi komisarze tam posłać. I posłał biskupa kujawskiego Karnkowskiego, który był potem arcybiskupem gnieźnieńskim, Sierakowskiego, wojewodę łęczyckiego, Mikołaja Firleja, naonczas kasztelana rawskiego. Na tym sejmie książę młode pruskie Albrycht Fryderyk hołd czynił; i tego też czasu książę mekielburskie, Magnus, który dla nietrefnych spraw swoich w Inflanciech był pojmany i dany do Rawy na więzienie, jakom to wyżej wspomniał, za przyczyną wielu książąt niemieckich wolnym uczynion jest; uczynił jednak pierwej przystojną królowi R. P. przysięgę...

---

1) namiotom.
2) bunt szlachty przeciw królowi.

Złożony i sejm był w Warszawie tego roku, którego statecznie zacząć, nie rzkąc kończyć, powietrze[1]) nie dopuściło; ale i choroby królewskie, podagra i chiragra czyniły króla do sejmowania niesposobnego, tymczasem jednak testament tajemnie pisać kazał; pisał go na pokoju doktór Augustyn Rotundus, sekretarz i wójt wileński, człowiek cnotliwy, a w prawie i w inszych naukach biegły. Gdy tedy powietrze szerzyć się gwałtowniej poczęło, król mając z Warszawy, a choro barzo, do Kuyszyna wyjachać, niż go z łóżkiem na wóz na to urobiony wniesiono, iż sobie nieco brał za obrazę od Królewny Anny, siostry swej i przez niemały czas do siebie jej nie przypuszczał, rzekł mu Karwicki obożny: »Miłościwy Królu, a więc tak W. K. M. odjedziesz stąd, z Królewską się Jej M. siostrą swą nie pożegnawszy? Ba, miłościwy Królu, umrzeć jej pewnie od żalu; każ jej W. K. M. przyść do siebie, bo ona o to W. K. M. łzy wylewając prosi«. Tu król zamilczawszy trochę rzekł: »Każcież jej przyść«. Przyszła potym królewna i z płaczem przeprosiła króla, a król oddał jej spisany testament, kilka słów do niej rzekszy. Potym na wóz wnieść się kazał; gdy na wóz był z łóżkiem wstawiony, dwiema jurgieltnikom na wozie przy sobie być kazał, Andrzejowi Boboli a Fabianowi Klińskiemu; było i pacholąt kilka na wozie i tak wyjachał z Warszawy. Gdy miał przyjeżdżać do Tykocina, z noclegu przed Tykocinem pisał do mnie,[2]) żebym nikogo do miasta nie puszczał z tych, co naprzód jadą. Ja uczyniłem dosyć wolej pańskiej; zaczym wielki orszak ludzi z wozami, z kolasami stał przed miastem. A kiedy król wjeżdżał we wrota miejskie, jęli ludzie krzyczeć, prosić, żeby król puścić je do miasta kazał, a Karwicki obożny, do wozu przystąpiwszy, powiedział: »Miłościwy królu, tu w tym obozie są żony woźnic, masztalerzów,

[1]) zaraza.

[2]) Górnicki mieszkał w Tykocinie.

jako tu zostaną przed miastem, tak woźnice, masztalerze odbieżą od koni do żon, żeby tu u nich jedli i tak szkoda w koniech być może; przeto każ je W. K. M. puścić do miasta; i kazał król, żeby wjachali; a za tym obozem ludzi stajennych powietrze do miasta weszło i było barzo wielkie, iż ledwie się przeszedszy pół zimy uspokoiło. . . .

Mikołaj Sęp Szarzyński
(1550—1581).

Sebastjan Klonowicz
(1545—1602).

Jan Kochanowski nie znalazł równego sobie następcy w poezji polskiej XVI-go wieku. Podniósłszy ją do wyżyn sztuki, pozostał na tych wyżynach samotny. Nikt już po nim nie wzniósł się tak wysoko, aczkolwiek wśród idących wskazanym przez niego torem nie brak było talentów szczerych i duże budzących nadzieje. Nadzieje te atoli zawiodły. Niszczyła je albo śmierć przedwczesna, która, jak u Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego nastąpiła zanim poeta zdołał rozwinąć skrzydła do lotu, albo życie, które układało się w kierunku raczej prozy niż poezji, skłaniając społeczeństwo przy rosnących potrzebach kulturalnych i rozlewającym się szeroko zbytku do coraz większych wysiłków i zabiegów w kierunku zdobywania i gromadzenia środków materjalnych.

Ten swoisty dla drugiej połowy wieku XVI-go materjalizm za mało jest w dziejach naszej kultury uwzględniony, aczkolwiek przyczynił się on niewątpliwie w niemałym stopniu do późniejszego, w wieku XVII-ym, upadku naszej literatury, nie będącego, zresztą, w dziejach ówczesnej umysłowości europejskiej zjawiskiem odosobnionem.

Zanim jednak do tego przesilenia ujemnego doszło, poezja i proza polska miały jeszcze długi szereg świet-

nych przedstawicieli, godnych »złotego wieku«, który ich wydał.

W szeregu ich pierwsze po Kochanowskim zajmują miejsce: Mikołaj Sęp Szarzyński i Sebastjan Klonowicz.

O życiu Szarzyńskiego skąpe mamy wiadomości. Wiemy, iż był synem Joachima Sępa, piszącego się od wioski Szarzyno Szarzyńskim. Rodzina Sępów pochodziła — wedle Bartosza Paprockiego — z województwa płockiego, skąd jeden z jej członków wywędrował na Ruś a pojąwszy za małżonkę Zimnowodzką, właścicielkę Zimnej Wody, osiadł tam na stałe. Pan Joachim Sęp, rodzic Mikołaja, był podstolim lwowskim i mieszkał w Zimnej Wodzie, której część do niego należała. Był typowym szlachcicem polskim, rozmiłowanym w pieniactwie.

»W aktach sądowych — podaje prof. Pilat — zachowały się ślady rozlicznych jego procesów z krewnymi, współwłaścicielami Zimnej Wody, z mieszczanami lwowskimi, konwentem Dominikanów i t. d., a nawet są ślady najazdów gwałtownych, za których pomocą sam wymierzał sobie sprawiedliwość«.

Zgoła inaczej oświetla tę postać Paprocki, pochlebca szlachty, który w swoich »Herbach rycerstwa polskiego« nazywa Imć Pana Joachima »człowiekiem cnotliwym i bogobojnym«.

O matce Mikołaja nie wiemy nic. Nieznane nam jest nawet jej nazwisko panieńskie.

Urodzony około r. 1550-go, poeta pierwsze nauki pobierał prawdopodobnie we Lwowie. Mając lat około 15-tu, wyjechał do Lipska, gdzie studjował jakiś czas, kolegując z Trzecieskim. Na to, iż był we Włoszech, jak przypuszczają niektórzy jego biografowie, żadnych nie posiadamy dowodów. Wątpliwe to jednak z uwagi na fakt, że cały jego pobyt zagranicą trwał zaledwie dwa lata, od roku 1565-go do r. 1567-go. Jeżeli więc w tym czasie zdążył być we Włoszech, to na krótko i w każdym razie nie na stu-

djach a w charakterze zwiedzającego kraj cudzoziemca. Prawdopodobnie ojciec, sterany wiekiem i zmęczony nieustannemi procesami, odwołał go z tej podróży, potrzebując zastępcy i wyręczyciela w gospodarstwie. Wnosić to można stąd, że już w r. 1573-im Mikołaj jest samodzielnym rolnikiem, jako dzierżawca Zimnej Wody i Rudna. Miał wówczas lat niewiele więcej ponad dwadzieścia, to znaczy, był w wieku, kiedy normalnie szlachcic albo się jeszcze uczył, albo ocierał po świecie, zaczepiony o ten lub inny dwór wielkopański. Mikołaj tej szkoły poloru nie przechodził. Musiał mieć jednak wiele wrodzonego smaku, skoro bez niej zdobył wykwint, cechujący jego poezje, a więc domniemalnie i życie domowe.

W roku 1580-ym, na krótko przed śmiercią, przenosi się poeta do ziemi przemyskiej i nabywa tam w dożywocie wieś Wolicę pod Przemyślem. Nie zdążył jednak zadomowić się jeszcze w nowej siedzibie, gdy śmierć niespodziewana stanęła u jego łoża i w r. 1581-ym zabrała go z pośród żywych.

Miał Szarzyński zostawić po sobie w rękopisach »niemało utworów poetycznych«, ale z tych niewiele do nas doszło.

Andrzej Wargocki w dziele swojem »O Rzymie pogańskim i chrześcijańskim« (Kraków, 1610) następującą czyni wzmiankę: »Pokazował w bibljotece swojej JW. Jakób Predficz z Gawron, wojewoda podolski, skrypta Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, przedniego poety, który Jana Witalisa wiersz o Rzymie przełożył«.

Dom wojewody zgorzał następnie, a w pożarze tym zaginęły w znacznej części pisma Mikołaja Sępa. Pozostałe zebrał, o ile mógł, i wydał brat poety, Jakób, po ojcu podstoli ziemi lwowskiej. Wydanie to, do rzadkości bibljograficznych dzisiaj należące, nosi tytuł: »Mikołaja Sępa Szarzyńskiego rytmy albo wiersze polskie. Po jego śmierci zebrane i wydane R. P. 1601« (bez miejsca druku).

Książka dedykowana jest »Jego Mości Panu Jakóbowi Leśniowskiemu, podczaszemu ziemi lwowskiej«.

W dedykacji tej Jakób Szarzyński tak pisze: »Częstokroć wiele ludzi zacnych, Mciwy panie bracie, którzy nieboszczyka pana Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, brata mego rodzonego, albo znali albo też pisma jego czytali, rozmawiali ze mną i z narzekaniem, żem się o to nie starał, aby prace i pisma jego do kupy były za mojem staraniem zebrane i światłu pokazane. Ja zaiste, będąc w tej mierze i sam na się frasowity, żem do tego przyjść nie mógł, i narzekaniem ludzkiem poruszony, starałem się, jakobym i żądności onej prawie pospolitej od wszystkich, którzy się w dowcipie brata mego zakochali, i powinności mojej braterskiej a przytem sławy brata mego nie odbiegał. Lecz mi to na wielkiej przeszkodzie było, że po zejściu z tego świata brata mego nieboszczyk zacnej pamięci JM. pan Stanisław Starzechowski, podkomorzy ziemie lwowskiej, pisma i księgi jego na swój dozór i opiekę wziął, który też potem wrychle umarł, także też ja z pilnością się o onych pismach pytając, mianowicie u nieboszczyka pana Pobidzińskiego, nie mogłem się dopytać. Mając tedy trochę pism takowych brata mego, oczekiwałem z niemi, ażeby się ich więcej kędy między ludźmi uczonymi naleźć mogło. Lecz gdy się nic takowego nie pojawiło, jam się, patrząc na złe zdrowie moje, aby i ta trocha, co przy mnie była, jako inszych wiele nie zginęła, obawiając, użyłem jednej zacnej osoby duchownej do przejrzenia i sporządzenia pism, ręki brata mego własnej, które przy mnie były, które ja, aby świat widziały, pod miłościwą obronę W. M., mego miłościwego pana i brata, i za upominek po bracie mym oddaję«.

Jest to jedyna relacja autentyczna, jaką mamy o poezjach Mikołaja.

Ważnem jest w niej to, że Imć pan Jakób Sęp stwierdza, że płody pióra jego brata, acz niedrukowane, cieszyły się popularnością wśród ziemian, że były czyty-

wane i krążyć musiały w odpisach, skoro powszechnie »narzekano« na to, iż nie są »do kupy« zebrane.

Zebranie to, niestety, nie nastąpiło. To, co obejmuje wydanie z r. 1601-go, jest nikłym tylko ułamkiem twórczości poetyckiej Mikołaja, który pomiędzy 20-ym a 30-ym rokiem życia musiał był napisać znacznie więcej, mając zresztą niemało sposobności do »zabawiania się« piórem podczas jesiennych i zimowych dni, spędzanych na wsi, o tem bowiem, aby gdziekolwiek na dłużej wyjeżdżał, nie wiemy — chyba do Lwowa pobliskiego lub do Starzechowskich, z których domem był w przyjaźni.

Badania i poszukiwania późniejsze również nie dały wyników znaczniejszych. Jedynie prof. Brücknerowi udało się odszukać w rękopisie z wieku XVI-go, pomiędzy wierszami innych autorów, wiązankę nieznanych drobnych wierszy, wśród których znalazło się także kilka utworów Sępa, zamieszczonych w wydaniu r. 1601-go. Na tej podstawie można było przypuścić, że i pozostałe utwory są pióra Mikołaja. W ten sposób puścizna po nim zwiększyła się nieco, daleko jej atoli do całokształtu.

Dla literatury jest to krzywda poważna, nie ulega bowiem wątpliwości, że Mikołaj Sęp Szarzyński był poetą z Bożej łaski i artystą na miarę niepowszednią. Wyczuł to doskonale Sienkiewicz, który, będąc jeszcze uczniem Szkoły Głównej, napisał o Szarzyńskim rozprawę, uwydatniającą piękno jego poezji.

Tego samego zdania był również znakomity poeta drugiej połowy XIX-go wieku, Felicjan Faleński, parnasista, sam nieskażony w formie i formę tę u Szarzyńskiego bardzo wysoko szacujący.

Sienkiewicz tak mówi o Szarzyńskim:

»Sęp, zmarły w r. 1581-ym, stoi już w epoce przejścia z fazy rozumu w fazę uczucia religijnego. Idea jedności religijnej zaczęła się powoli wyłaniać pod koniec XVI-go wieku w Polsce. Początkowo nie miała ona

i nie mogła mieć jawno określonego charakteru; widzimy ją naprzód jako objawiającą się tu i owdzie reakcję praktycznego kierunku przeszłości. Zawsze się tak dzieje: kiedy stare ma upadać, nowe w zawiązku jest tylko jego negacją. Już reforma, swobodnie krzewiąca się u nas, zwracała po części najzdolniejsze umysły ku rzeczom wiary, z czego w chwili, o której mówimy, jako owa bezwiedna jeszcze negacja przeszłości objawiać się poczęło pewne zniechęcenie, pewna obojętność na sprawy doczesne. Głosy te, rozumie się, początkowo były słabe i rzadkie, że jednak zaczęły się gdzie niegdzie podnosić niech na dowód służy jeden z najpiękniejszych sonetów Sępa, noszący charakterystyczny tytuł: »O nietrwałej miłości rzeczy świata tego« (»I nie miłować ciężko, i miłować nędzna pociecha«). Chociaż, zaprawdę, owa religijność chwili przejściowej nie była jeszcze niczem innem, jak tylko pieśnią, wyrywającą się przez usta wieszczów z przepełnionej piersi, nieraz dziękczynną, częściej pochwalną — zawsze piękną. Sęp jest doskonałym objawem tej wygórowanej religijności. Już Maciejowski zauważył to w *Rysie dziejów piśmiennictwa* (t. I, str. 518), gdzie, porównywając go do Kochanowskiego, mówi: »Pogan bowiem miał przed oczyma pierwszy (Kochanowski) i, jak powinien był, pojmował ich światowo; chrześcijan, a do tego gorliwych katolików, miał przed sobą drugi (Szarzyński) i musiał ich pojmować bosko, jako ten, którego nie ziemskie, ale niebieskie zajmowały istoty, który takież, jak i włoski wieszcz, miał uwielbień cele, religję i miłość opiewając, który więcej pierwszą, niż drugą przejęty, lub ilekroć się na nią puścił (?), więcej ją religijnie, niż ziemsko pojmując, w religijnym tylko, jak Petrarka, duchu umiał świeckie śpiewać przedmioty«. Kraszewski przypisuje temu kierunkowi religijnemu wziętość Sępa u współczesnych. Zdanie to słuszne, a wypada ono z samej konsekwencji historycznej. Jak z jednej strony naturalnym skutkiem rozwoju była łatwość szerzenia się

reformy, tak z drugiej też reforma, zwracając zmysły ku rzeczom wiary, była przyczyną rozbudzenia się interesu religijnego. Z tego względu był Mikołaj Sęp Szarzyński dziecięciem swojego wieku więcej, niż ktokolwiek inny. Nie zdawał on sobie sprawy z tego, że kierunek taki w dalszym biegu kolei przerodzi się i odmieni, niemniej jednak był doskonałym jego objawem. Młodość i przeważnie poetyckie usposobienie Sępa nie dozwalały mu inaczej, jak przez pieśń, wstąpić w szeregi bojowników wiary. Inni tam słowem gorącem, namiętną polemiką, inni zabiegliwością o rzeczy Kościoła, inni ostrą satyrą występowali w imię idei — on bił pięścią zapału w struny własnej duszy, śpiewając jakby pieśń zachęty tym, którzy czynem walczyli.

Oceniając Sępa, jako poetę, wyznać należy, że właśnie ogarnięcie w poezji tego kierunku dowodzi w nim bystrego umysłu i owej łatwości odczucia stosunków spółczesnych, właściwej tylko wrażliwym, poetyckim duszom«.

Tyle o Sępie, jako o objawie wieku.

Drugi element — według Sienkiewicza — bardzo ważny, jako punkt wyjścia analogiczny w badaniu charakteru tego poety, stanowi: »pewna myśl filozoficzna, przebijająca się w nim wszędzie, a szczególniej w oryginalnych jego utworach. Ta szczególniejsza zdolność do refleksji, ten dar zagłębiania się w siebie — jako nowe źródło w poezji — jest jedynym względem, na który bacząc, możnaby przyznać wyższość Sępowi nad Kochanowskim. Jan z Czarnolesia ma więcej werwy, więcej jędrności w wyrażeniu, nieraz więcej natchnienia — Sęp celuje przedewszystkiem filozoficzno-moralną myślą. Ze zdumieniem napotykamy niejednokrotnie w jego utworach głębokie psychologiczne uwagi, zdania moralne, nie te, które wszyscy powtarzają i które zwykle z ojca na syna przechodzą, ale jak gdyby wykopane dopiero przez poetę z gruntu natury ludzkiej, oparte na głębokiej filozoficznej świadomości siebie i drugich. Sęp filozofuje w sone-

tach, w pieśniach; gdziekolwiek z toku rzeczy przychodzi mu na myśl jakaś uwaga ogólniejsza, gdzie tylko prawda ze świata wiedzy lub uczucia ukaże się, jako przykład, jako skutek, jako naturalny, choćby niewyraźny, wynik słów jego — tam Sęp niezawodnie ją pochwyci, odczuje i rzuci na świat w prawdziwie nieraz zadziwiającej formie.

Z takiego usposobienia Sępa wynikają w nim jakoby dwie natury psychiczne: jedna głęboko poetyczna, uczuciowa, objawiająca się w jego krańcowym pietyzmie, druga filozoficzna, odnośnie do świata zewnętrznego. Tam, gdzie mówi o Bogu, jest nawskroś i tylko poetą, w stosunkach ze światem jest — moralistą. Świat wyobraża sobie jako jedno szerokie pole walki z namiętnościami. Co płynie z ducha, jest dla niego świętem, niepokalanem, wiecznem, co z materji — marnem i przemijającem w czasie. Stąd wynika ów rozbrat między życiem wewnętrznem a zewnętrznem, który widzi wszędzie, którego dopatrzył się i w sobie (sonet IV).

Charaktery takie, w których obok głębokiej uczuciowości widać skłonność do rozmysłu i refleksji, są nader ciekawemi objawami w dziedzinie psychologji. Razem namiętne i rozumujące chłodno, przedstawiają jakoby zgodę dwóch pozornie sprzecznych pierwiastków. Jednakże charaktery takie zdarzają się i nie są sprzeczne w sobie. Istota namiętności niekoniecznie jest gwałtowną. Temperamenty delikatne, nerwowe, w młodym zwłaszcza wieku, nieraz bywają palone jakąś głęboką a cichą namiętnością, która nigdy nie wybucha nazewnątrz, jako rozpacz, jako namiętna skarga, jako przekleństwo, niemniej jednak jest płomieniem, trawiącym zwolna ciało i rzucającym w groby tyle przedwczesnych kwiatów. Szczególniejszą a właśnie filozoficzną cechą takiej namiętności jest drugostronna, chłodna świadomość siebie. Szuka ona pokarmu dla siebie w świecie zewnętrznym, a nie znajdując go dosyć odpowiednim, narzeka, tęskni, wyrabiając w sobie przez ową tęsknotę pewien filozoficzno-poetyczny pogląd na

rzeczywistość. Pogląd zatem taki nietylko nie będzie sprzecznym z istotą namiętności, ale owszem, będzie naturalnym jej wypływem«.

Sęp — zdaniem Sienkiewicza — jest doskonałym przykładem takiego temperamentu: »Młody, trochę marzyciel, czuł i potrzebował kochać głęboko. Wychowanie i ogólny kierunek ówczesny popchnęły serce jego ku niebu. Tęsknota za życiem przyszłem, życiem niezmąconego, jak je sobie wystawiał, szczęścia i spokoju, owładnęła całą jego istotą. Przechodząc szybko coraz wyższe stopnie rozwoju, tęsknota owa stała się namiętną i była mu wówczas pryzmatem, przez który w niezbyt jasnych kolorach widział ziemię i życie. Ona wreszcie rzuciła na jego utwory ów smętny a przytem filozoficzny odcień«.

Charakterystyka powyższa jest niewątpliwie bardzo przenikliwa, ale grzeszy jednostronnością. Grzechu tego jednak Sienkiewicz uniknąć nie mógł, nie znał bowiem tych utworów Sępa, które dopiero w r. 1891-ym odnalazł i ogłosił drukiem prof. Brückner, a które zamieścił w wydaniu książkowem poezyj Szarzyńskiego dopiero prof. Chrzanowski w r. 1913-ym.

Na podstawie tych utworów świetne wywody Sienkiewicza muszą być tu i owdzie sprostowane.

Tak np. Sienkiewicz w swojej rozprawie, omawiając pieśń p. t. »Pannie Jadwidze Tarłównie (potem wojewodzinie ruskiej) k'woli«, przyznaje, że z wielką radością wyczytał tytuł tej pieśni, sądząc, że w jej słowach dopatrzy się »uderzeń serca autora nietylko dla religji i nieba«.

»Dziś wydaje nam się — mówi — rzeczą niepodobną, iżby młodemu poecie choć czasem nie przesunęła się przez oczy i serce czarowna postać dziewicza, żeby choć czasem nie wyrwały mu się z ust słowa, opiewające najpiękniejsze z uczuć, uczucie miłości. Jednak, jak w całych naszych dziejach i w pisarzach przeszłości, brak prawie zupełny elementów erotycznych. Na zachodzie

brzmią pieśni trubadurów i truwerów, nocą, gdy księżyc oświecił mury zamkowe, w niezmąconej ciszy pieśń minnezyngera, tajemnicza a smutna, cicha a namiętna, razem ze szmerem liści, z wonią kwiatów, unosi się ku otwartym oknom komnat dziewiczych. Na kanałach weneckich sunie gondola, pod pałacami dożów słychać dźwięki barkaroli i szmer westchnień i pocałunków — zda się, samo powietrze oddycha miłością, rozkoszą, pieszczotą. U nas, gdy na chwilę zcichnie wrzawa lub ustaną pożogi wojen, razem z jękiem dzwonów wawelskich unosi się ku niebu to poważny chorał, to samotna pieśń religijna, rodzinna, byle nie erotyczna. Z tego zapewne wynika, że pomimo całej dramatyczności naszych dziejów, jednostkom brak dramatyczności. Zasadą każdego dramatu jest namiętność, a im więcej ona jest ludzką, indywidualną, tem więcej nadaje się do dramatu, bo tem więcej przeciwstawia jednostkę ogółowi, tem więcej nosi w sobie zarodów kolizyj i katastrofy. Otóż eros, będąc ze wszystkich najwięcej indywidualnem uczuciem, jest bardzo ważnym pierwiastkiem dramatycznym w życiu człowieka. Są to wprawdzie próby ogniowe: jedni w nich osmalają pióra, drudzy wychodzą brylantami najczystszej wody. Ileżby to światła rzuciła na charakter i utwory Sępa choćby najkrótsza wiadomość o dziejach jego serca«.

Niestety, wiersz p. t. »Pannie Jadwidze k'woli« pod tym względem zawiódł Sienkiewicza. W całej znanej sobie puściźnie po Szarzyńskim znalazł był tylko w jednej »Pieśni«, poczynającej się od przepięknej strofy:

»Zaprzęż nie tygry, nie lwice, Cyprydo«...

słowa, »mogące naprowadzić na domysł, że i w życiu Szarzyńskiego były chwile, w których serce dopominało się o swoje prawa«.

Domysł ten był trafny. Dzisiaj mamy już na to dowody. W odnalezionych bowiem przez profesora Brücknera domniemanych utworach Szarzyńskiego, a przez profesora Chrzanowskiego uznanych za takie bez zastrzeżeń

(»że to poezje Szarzyńskiego, nie ulega wątpliwości«), znajduje się właśnie szereg erotyków, przechowanych prawdopodobnie przez jednego z przyjaciół i miłośników poety, który je w starannym odpisie od zagłady uchronił, nie wiedząc, jaką tem przysługę historji poezji polskiej odda.

Wśród erotyków powyższych znajduje się kilkanaście wierszy miłych, pełnych swoistego wdzięku i swobody, pisanych »do Zosie«, »do Kasie«, i »do Anusie«, świadczących, że serce poety uderzało »nietylko dla religji i nieba«, ale że i ziemskie uczucia nie były mu obce. Były w niem »niezgaszone płomienie miłości«, była namiętność i tęsknota, które mu spokój odbierały, jak wszystkim kochankom od początku świata.

Wiedział poeta dobrze o tem, że »kto nie zna miłości, ten żyje szczęśliwy — i noc ma spokojną i dzień nietęskliwy«, skoro skarżył się, jak tylu innych przed nim i po nim:

»Owo ja smutny cierpię gwałt nieskończony,
Miedzy nadzieją a strachem postawiony;
Dzień mię nie widzi od frasunku wolnego
I noc spokojna nie zna mię spokojnego«.

O tej »Zosie«, która taki afekt w sercu Jmć Pana Mikołaja Sępa, będącego wówczas w rozkwicie pełnej młodości, obudziła, nic zgoła nie wiemy. Musiała ona jednak odegrać w jego życiu wewnętrznem rolę większą, niż Kasia i Anusia, do których skierowane są wiersze inne. Te dwie dziewoje były, jak się zdaje, siostrami. Obie piękne, wdzięczne, obie »godne pochwalenia« tak, że wybór pomiędzy niemi był trudny. Poeta stosunek ten traktował żartobliwie, lekko, schlebiając obu, gdy je widywał razem:

»A gdy czasem pospołu wedle siebie siedzą,
Na którą pilniej patrzać oczy me nie wiedzą.
Anusia zda mi się być piękniejszą nad Kasię,
Kasia zda się piękniejszą nad Anusię zasię.

Tamta nad tę, a ta też nad tamtę wdzięczniejsza;
W rozmowie, ja nie wiem, która przyjemniejsza.
To jedno wiem, że obie bez miary miłuję.
Jak to może być? Nie wiem. Ale miłość czuję«.

Obie miały jednak serca kim innym zajęte. Kasia »wzdychała po kimś tęskliwie« i poeta temu komuś (może mężowi) zazdrościł, pocieszając się pewno tem, że go »pani fortuna dała w moc takiemu«,

Który świadom, jak srogi żal i utrapienie
Nieznośne mają w sobie miłości płomienie«,

bo:

»Rychlej zawsze głodnemu głodny wyrozumie,
Kto był nędzny, nad nędznym litować się umie.
I ty, gdyżeś, co miłość teskliwa doznała,
Tuszę, że wzgląd na moją ciężkość będziesz miała«.

Anusia była, jak wnosić można, usposobienia mniej sentymentalnego od Kasi, lżejszego i swawolniejszego. Ona się z afektu poety poprostu śmiała, tak, że ją przestrzegał nie bez żalu:

»Śmiałaś się, lecz się boję, abyś nie płakała,
Bo coby sprawiedliwa Nemezis działała,
Która zawsze takową odmierza każdemu
Miarą, jakową mierzył kto przedtem drugiemu«.

Stosunek ten i ze strony poety nie był jednak głęboki. Szukał on w nim, zdaje się, tylko pocieszenia po wielkiej i nieszczęśliwej miłości »dla Zosie«, po której długo »albo łzami gęstemi wszytek się oblewał«, »albo serdeczne ognie wzdychaniem odkrywał«:

»Ognie — mówi — któreby w popiół dawno mnie spaliły,
Gdyby mie łzy wilgotne często nie kropiły,
Które tak często płyną, żeby już me ciało,
By go ogień nie suszył, wodą być musiało!«

Cierpieć z powodu tej miłości poeta musiał bardzo, skoro wyznaje następnie w boleściwych słowach:

»Żywot mie już opuścił, śmierć się mie wziąć boi,
Sama żałosna miłość przy mnie stale stoi
I ta tylko dla tego, aby mie męczyła:
Mnimałaś, aby z cnoty przy mnie się bawiła?
Otóż słyszysz, tych czasów, co się ze mną dzieje!
O, nader srogie serce, co się z tego śmieje!
Ty jeśli mie nie myślisz na wieki zepsować,
Uczyń, coć nie zaszkodzi: dopuść się miłować!«

Jakiemi potoczyła się kolejami ta miłość, nie wiemy. Domyślać się tylko można, iż zły los rozdzielił kochanków. Czy Zosia, może »wyżej urodzona«, posłuszna woli rodziców, poślubiła kogo innego i z młodym małżonkiem przeniosła się w inne strony Rzeczypospolitej, czyli też przyczyna rozstania była mniej romantyczna — tego ustalić nie podobna. To pewna tylko, że rozstanie nastąpiło, moment ten bowiem poeta utrwalił w następującej, pełnej bolu, strofie:

»Będę się zawsze dziwował twojej pikności:
Nie szkodzi wiernej dalekość miłości,
Bo gdzie ciałem nie mogę być, tam myślą będę,
A pierwej siebie, niż ciebie zabędę;
A dotąd się serce me smęcić nie przestanie,
Aż cię oglądam, me wdzięczne kochanie«.

Sienkiewiez tej strony życia Sępa Szarzyńskiego nie znał zupełnie. Niezależnie jednak od tego, wszystko, co o Szarzyńskim powiedział, było słuszne i bądź na prawdzie stwierdzonej, bądź na wielkiej intuicji oparte. Z charakterystyki tej można też nabrać dokładnego pojęcia o indywidualności twórczej autora pierwszych w Polsce sonetów.

Ta forma trudna i wymagająca dużego smaku i dużej kultury artystycznej, dotychczas używana mało, prawie wcale nie, świadczy, że Szarzyński znać musiał literaturę włoską i że z Petrarką zwłaszcza chętnie obcował.

Sonety Sępa należą niewątpliwie nietylko do najlepszych jego utworów, ale zarazem i do najcenniejszych pomników polskiej sztuki poetyckiej.

Faleński w swojem studjum o Szarzyńskim twierdzi, że Sęp naśladował Petrarkę nie wprost, lecz dwóch najcelniejszych poetów z jego szkoły, Della Casę i Colonnę, a głównie pierwszego z nich. Są to jednak drobiazgi, które nic a nic nie obniżają wartości poety.

Pewne zależności, pewne wpływy, nieświadome spotkania lub nawet naśladownictwa są w sztuce nieuniknione. Nikt nie jest pierwszym poetą na świecie, a mało który poeta jest genjuszem, powołanym do torowania dróg nowych, nawskroś indywidualnych.

Genjuszem takim Szarzyński nie był, a że znał Owidjusza, Horacjusza, Wergiljusza, Katulla, Marcjalisa i innych pisarzów starożytnych, jak znał ich wówczas każdy humanista, że nadto, jako człowiek wykształcony, zetknął się z literaturą włoską, z Dantem i Petrarką, nadewszystko zaś, iż, jak stwierdza prof. Pilat, rozczytywał się w dziele średniowiecznego metafizyka z V-go wieku po Chrystusie, Boecjusza, p. t. »De consolatione philosophiae«, tak dalece, że miejscami wprost ustępy tego dzieła parafrazował«, przetę nic dziwnego, że przy ścisłej analizie, i drobiazgowych zestawieniach porównawczych można pomawiać poetą o brak oryginalności i zarzucać mu naśladownictwo wzorów obcych.

W rzeczywistości jednak Sęp naśladowcą w tym stopniu, co Rej lub Górnicki, nie był. Słusznie też wziął go Sienkiewicz w obronę, pisząc, iż »pod wpływem Horacjusza lub Petrarki porywał pióro i w pierwszej chwili naśladował, dalej jednak, im więcej rozgrzewało się w nim uczucie, im więcej natchnienia zbierało się nad czołem, tem bardziej oddalał się od wzoru, aż wreszcie porzucał go zupełnie i stawał się prawdziwie oryginalnym«.

Tak zapatrywał się na to artysta. Podobnie jednak sądził także profesor literatury, Pilat, stwierdzając wpływ

poetów klasycznych na Sępa, uważając atoli jednocześnie, że »naśladownictwo to nie sięga tak daleko, jak u wielu innych poetów tej epoki«. »Niewiadomo — mówi — czy przyczyną tego była większa samodzielność, czy może mniejsza znajomość tej literatury, która wyszła mu o tyle na pożytek, że nie spętała go do tego stopnia, jak innych manjera klasyczna. W wierszach treści religijnej emancypuje się nawet zupełnie z pod wpływów klasycznych, podobnie, zresztą, jak wielu poetów tego okresu«.

Dla nas, współczesnych, wszystkie te wpływy są bez znaczenia. Interesuje nas przedewszystkiem język i forma poezji Sępa, a te są piękne i, jako zabytki, szacowne.

Z prawdziwą rozkoszą dzisiaj jeszcze, pomimo przedziału wieków, odczytujemy niektóre jego utwory. Są one nam bliskie zarówno przez swój artyzm, jak i przez nastrój, który je owiewa. Nastrój ten ma w sobie pierwiastek smutku, zaprawnego gorzką nieraz mądrością, czerpaną jakby ze źródeł Eklezjasty Salomonowego. .Ten właśnie smutek i ta gorycz są zrozumialsze dla nas, niż były dla pokolenia współczesnego poecie.

W poezjach swoich występuje Sęp, jako liryk czystej wody. Wszędzie, gdzie sprzeniewierza się liryce, a próbuje poezji opisowej, nawet bohaterskiej, jak w dwóch pieśniach historycznych: »O Fridruszu« (Fryderyku Herburcie), który pod Sokalem zabit« i »O Strusie, który zabit na Rastawicy«, lot swój obniża i staje się ciężkim, wyjąwszy pełną uczucia pieśń, poświęconą »Stefanowi Batoremu«. Natomiast gdzie tylko z własnego dobywa wnętrza temat, tam przemawia do nas odrazu językiem zrozumiałym po wszystkie czasy, a nieraz czaruje wprost niepospolitem pięknem, skąpanem w głębokiej zadumie.

Poeta, który miał w talencie swoim te walory, byłby niewątpliwie zapisał się na kartach literatury trwalej, gdyby nie śmierć przedwczesna.

Żyjąc dłużej, byłby też z pewnością wywarł wpływ większy na swoich współczesnych, gdy w rzeczywistości

był znany tylko szczupłemu kołu przyjaciół z ziemi lwowskiej i przemyskiej. Przez nich był ceniony i kochany. Tego jednak, co się nazywa sławą, za życia nie zaznał.

Szczęśliwszym pod tym względem od Sępa był Sebastjan Klonowicz. (Acernus od acer = klon). Klonowicz, właściwie, jak podówczas pisano, Klonowic, urodził się prawdopodobnie w Sulmierzycach, w województwie kaliskiem, około r. 1545-go, z ojca Jana Klona, tamtejszego mieszczanina, i matki, Anny Pietrzałkówny. Pochodził więc ze środowiska małokulturalnego acz nie ubogiego, stary bowiem Klon dzierżawił folwark i młyn w Sulmierzycach, co przy ówczesnym stanie rolnictwa i handlu zbożem przynosić musiało zysk dostateczny, pozwalający rodzicom na kształcenie syna i na myśl o lepszej dla niego przyszłości.

O pierwszej młodości poety i o jego wychowaniu niewiele mamy szczegółów.

Początkowe nauki pobierał, jak dowodzą dokumenty urzędowe, w Sulmierzycach. Gdzie się później kształcił, niewiadomo. W »Worku Judaszowym« wspomina, że w młodym wieku jeździł do Węgier i Czech, mianowicie w r. 1560-ym był w mieście Peżynku na Węgrzech, a w roku 1570-ym w Kromorowie w Czechach. Towarzyszył zapewne ojcu, który tam mógł jeździć w interesach handlowych, związanych z jego młynem. Na podstawie źródeł ustalić można jedynie fakt, że był uczniem akademji krakowskiej, kiedy jednak i jak długo, znów niewiadomo, w metrykach bowiem akademji nazwiska jego niema. W każdym razie późniejsze życie jego i pisma dowodzą, że miał za sobą studja humanistyczne.

Co Klonowicz robił po skończeniu nauk — mówi prof. Pilat — czy osiedlił się zrazu we Lwowie, jak wnosi Mierzyński i inni z rozmaitych okoliczności, i był tam urzędnikiem miejskim — nie wiemy na pewno i pewne wiadomości o nim mamy dopiero z czasu pobytu w Lu-

blinie. Sam rok przybycia do Lublina jest atoli nieznany; w każdym razie w r. 1574-ym występuje już na widowni życia publicznego, jako pisarz urzędu radzieckiego. Dla objaśnienia dodać należy, że w owym czasie były dwie władze sądownicze miejskie, urząd ławniczy i urząd radziecki. Ostatni urząd był jakoby wyższą władzą i do niego można było apelować od wyroku sądu ławniczego. Godność pisarza radzieckiego piastował Klonowicz przez lat 8, do końca roku 1582-go. Musiał na tem stanowisku zjednać sobie uznanie pomiędzy mieszkańcami, skoro z początkiem r. 1583-go — po poprzedniem przyjęciu obywatelstwa lubelskiego — obrany został ławnikiem miejskim.

Już w r. 1580-ym ożenił się z Agnieszką Wiślicką, córką ławnika i mieszczanina lubelskiego, Jana Wiślickiego, który takie miał do niego zaufanie, że jeszcze przed ślubem mianował narzeczonego swej córki, jako przyszłego zięcia, opiekunem swych dzieci i administratorem całego majątku, który składał się z kamienicy w rynku i ogrodów za miastem leżących wraz z domem.

Drobny ten pozornie i prywatnego życia poety dotyczący szczegół posiada jednak duże znaczenie dla jego charakterystyki, przedstawia nam go bowiem jako człowieka bezwzględnej uczciwości i rzadkiej prawości, który w sumieniu swojem miał większe od innych prawo do piętnowania wad i przywar obywatelskich, niestety, tak w Polsce ówczesnej, jak i w dzisiejszej, pospolitych, gdzie o »przywłaszczycieli dobra cudzego« nie trudno.

Przez małżeństwo polepszyły się stosunki materjalne poety. Po ojcu, zdaje się, nie otrzymał on spadku żadnego, a matka powtórnie wyszła za mąż, co z synem ją rozdzieliło. Musiał tedy Klonowicz od młodu sam sobie dawać radę. Fortuna mu jednak sprzyjała. Jako ławnik miejski wszedł był w związki z Benedyktynami sieciechowskimi — mówi Pilat — mianowicie, poznał się bliżej z ks. Józefem Wereszczyńskim, biskupem kijowskim

i opatem klasztoru sieciechowskiego, mieszkającym w Sieciechowie. Otóż Wereszczyński, polubiwszy Klonowicza, wyrobił mu wójtostwo w Psarach a nadto w r. 1588-ym oddał mu — o ile się zdaje — do użytkowania wioskę Józefów (Wólkę Józefowską), złożoną z 10 łanów ziemi klasztornej. Były to wprawdzie pustki bez zabudowań gospodarczych, ale zawsze dochód niejaki przynosiły. Osadził tam Klonowicz żonę na gospodarstwie, sam zaś z powodu urzędowania przebywał przeważnie w Lublinie.

W roku 1589-ym wezwał go Jan Zamojski, kanclerz i hetman wielki koronny, do Zamościa, jak przypuszcza prof. Pilat, »na superintendenta« zakładającej się w Zamościu akademji. Jak widać z tekstu odszukanej umowy, Klonowicz miał obowiązek »czytać autory i lekcje«, jakie mu naznaczono, nadto mieć dozór nad szkołą i starać się, aby odbywały się tygodniowo »deklamacje i inne exercycye w naukach«; za to dano mu pensję 116 złp. i obiecano wybudować dom w Zamościu i przydać do tego kawał roli. Że Klonowicz obowiązki te przyjął — to stwierdza podpisana przez niego umowa. Czy jednak i jak długo czynności, do których się zobowiązał, sprawował — o tem nic nie wiemy. W każdym razie z Lublinem nie zerwał, bo już w r. 1592-im znajdujemy go znów na urzędzie miejskim. Być może, iż skłoniły go do opuszczenia Zamościa i powrotu do Lublina widoki na wójtostwo lubelskie, co dogadzało jego ambicjom mieszczańskim. W lecie bowiem w r. 1592-im obrano go wójtem. Godność tę piastował przez dwa lata, a w r. 1594-ym został burmistrzem m. Lublina. Od r. 1595-go aż do śmierci stale był rajcą lubelskim.

Schyłek życia miał pochmurny i ciężki.

»Rozmaite przykrości, kłopoty i nieszczęścia — podaje prof. Pilat — zaczęły raz wraz spadać na niego i zatruły mu resztę życia a nawet, prawdopodobnie, przyśpieszyły jego koniec. Jednym z powodów tej nieszczęśliwej zmiany były stosunki rodzinne. Żona Klonowicza,

Agnieszka z Wiślickich, była osobą dobrą i gospodarną, ale zato matka jej, która po śmierci pierwszego męża wyszła powtórnie za mąż, za niejakiego Stanisława Bachusa (w roku 1582), kobieta złośliwa, gwałtowna i rozpustna, nie dawała mu ani chwili spokoju. Rozpoczęła z zięciem i córką zawziętą walkę o majątek po pierwszym mężu i prowadziła ją z dziwną zapalczywością i gwałtownością, nie przebierając w środkach. Wszczynała z tego powodu coraz to nowe procesy, obrzucała potwarzami Klonowicza i jego żonę, a nawet robiła zamachy na ich życie. W aktach sądu miejskiego w Lublinie przechował się cały szereg dokumentów, świadczących o ohydnym charakterze tej kobiety. Stosunek względem świekry był od pierwszej chwili nader kłopotliwym dla Klonowicza, ale z biegiem czasu stał się nieznośnym. Ustawiczne wodzenie się po sądach, zbijanie zarzutów i oszczerstw, wznawianie rozstrzygniętych sporów i rozmaite podobne przykrości do żywego drażniły biednego poetę, który gryzł się, martwił, a nawet zniecierpliwiony posuwał się niekiedy do środków gwałtownych (uderzył ją raz, za co skazany został na karę). Co jednak najgorsze, że Bachusowa podburzyła przeciw Klonowiczowi resztę rodziny, która ze swojej strony rozpoczęła spory i procesy o majątek po Janie Wiślickim, a nawet w r. 1595. udało się jej poróżnić go z żoną. Namówiona przez matkę, Klonowiczowa w czasie nieobecności męża uprowadziła z Józefowa, gdzie stale mieszkała, drób, nierogaciznę, zboże i sprzęty i udała się z tem do matki do Lublina. Bliższe szczegóły i koniec tego zajścia nie są znane, ale można sobie wystawić, jak bolesny był ten cios dla Klonowicza«.

Co do żony Klonowicza, to można przypuszczać, że działała ona nie tyle z pobudek solidarności z matką, znała bowiem dobrze prawość swojego męża, ile z podszczeń duchowieństwa, zwłaszcza Jezuitów, którzy, podejrzewając poetę o autorstwo skierowanego przeciw nim, bezimiennie wydanego w r. 1590-ym pisma, oskarża-

jącego ich o intrygi i szkody, przynoszone Kościołowi katolickiemu w Polsce, rozpoczęli nieubłaganą walkę z domniemanym autorem. Czy Klonowicz rzeczywiście rzecz tę pisał — do dzisiaj nie wiemy, nie jest to jednak niemożliwością, gdyż, jak stwierdza prof. Brückner, »katolicyzm poety nie wytrzymuje próby«, a fakt, iż »kumał się z drukarzami arjańskimi i rektorami lewartowskimi«, pozwala przypuszczać, iż brał nawet udział w »Akcji«.

Nie jest przeto wyłączone, że na tem tle mógł powstać rozłam pomiędzy mężem a żoną, która była prawowierną córką Kościoła i łatwo wskutek tego mogła iść za podszeptami swojego spowiednika.

Nietylko jednak Jezuici, ale i szlachta wystąpiła z nienawiścią przeciw poecie i oczerniała go, jak mogła, mszcząc się za prawdę, zawartą w »Worku Judaszowym«.

Wszystko to, razem wzięte, złamało Klonowicza moralnie. Żył w nieustannych zgryzotach, borykając się z coraz mniejszym zasobem sił i woli z przeciwnościami losu.

Przejścia te przyśpieszyły niewątpliwie jego zgon, który nastąpił dnia 20 sierpnia 1602-go roku w Lublinie.

Jako pisarz i jako poeta łaciński i polski, Klonowicz zajmuje w literaturze złotego wieku miejsce poczesne. Jest on poniekąd przeciwstawieniem zupełnem Sępa Szarzyńskiego. Tamten był lirykiem czystej wody — ten jest poetą o małej skali uczucia, o szerokiem zato uzdolnieniu opisowem. Tamten boleje i smuci się, melancholizuje i zatapia się we własnem życiu wewnętrznem, ten — krytykuje i poucza.

Zaczął Klonowicz od pisania po łacinie. Pierwszym jego utworem większym, ogłoszonym drukiem, był wydany w roku 1582-im w Krakowie poemat p. t. »Philtron«. Jest to właściwie, jak słusznie określa prof. Pilat, »w formę poetycką przybrany traktat moralizujący«, z niewyraźną jeszcze tendencją społeczno-polityczną. Autor, jak sam wyjaśnia, zastanawia się tu nad siłą miłości chrześcijańskiej i na jej cześć napisał swój poemat, dając mu

nazwę Philtron, aby podobnie, jak napój miłosny, pobudzał ducha do tej największej cnoty chrześcijańskiej. Poemat jest długi i w czytaniu nużący. Do literatury polskiej należy zaś tylko o tyle, że w końcowych swoich ustępach mówi o miłości ojczyzny, sławiąc zalety ziemi polskiej, ludzi i rządu, i wynosząc nad inne miasta Lublin, jako gród, w którym miłość połączyła dwa narody, Polskę i Litwę, trwałemi ślubami.

O wiele wyżej pod względem poetyckim stoi drugi poemat łaciński Klonowicza »Roxolania«. I tu niema wprawdzie kompozycji artystycznej na skalę wyższą, jest jednak szeroki dech opisowy.

Zaczyna się poemat od inwokacji do muz:

»Muzy, opiszcie Rusinów bujne błonia i niwy tej błogiej ziemi, opiszcie bogate w dary Cerery pola, które nigdy nie chybiają, ani też lasów milczeniem nie pomijajcie, bo te tym krajom bogactwa przynoszą. Wszędzie niemal wydrążone dzienie (barcie) miód w sobie zawierają. Na szczycie dębów wisi żołądź, a w środku są plastry miodu. Opiszcie ruskie północne miasta, które San wzniosły kłębami swojemi obwija, i Święty Lwów i obyczaje Rusinów i tłuste trzody bydła, opiszcie, jak się przy uśmiechającem niebie wznosi Zamość, opiszcie, bo »tam dla was gotuje się przytułek«. (Przekł. Michała Wiszniewskiego).

Osadziwszy muzy pod górą zamkową we Lwowie, w miejscu istotnie prześlicznem, pełnem poezji, zbija z kolei mniemanie, jakoby ziemie ruskie wiecznym pokryte były śniegiem i lodami. Opisuje potem rzekę Bystrzycę pod Lublinem, a stamtąd przenosi się do lasów, gdzie śpiew ptactwa, a między innemi słowika, bardzo szczęśliwie oddaje. Dalej opisuje drzewa, które w lasach tamtejszych rosną, i opowiada, jak chłopi robią sochy, jarzma i obwody na koła do wozów niekutych, skrzypiących, które »kolasami« zowią, jak ze stada wybierają woły do pracy lub na wykarm, jak poczytują sobie za grzech

bić cielęta. Mówi o tem, jak węże, obwinąwszy się o nogę krowy, ssą mleko z wymion, a krowa, zrazu przelękniona, z czasem do węża nawyka i nawet tęskni za nim. Potem opisuje ptactwo i zwierzęta leśne, skaczące po drzewach wiewiórki. Opowiada, że kwiczoły, siadając na drzewach, zasiewają na nich lepką jemiołę, na której łapią się te ptaki. Poucza, że Rusini za tą jemiołą z wielkiem niebezpieczeństwem życia drapią się na wysokie drzewa i na wiosnę ścinają wierzchołki tych drzew dla bydła. Wspomina także o niedźwiedziach, które tańczyć uczą.

Ze wsi przenosząc się do miasta, opisuje kwitnący w Lublinie handel, mianowicie futrami, po które nawet kupcy angielscy zza morza przybywają.

Dowiadujemy się także, iż Bachus, nie mogąc dać Rusinom winnej latorośli, nauczył ich uprawiać chmiel i warzyć piwo, pochodzące ze zmieszania darów Cerery i Bachusa.

Mówi także o tem, jak się robi miód, i opowiada o przypadku, jakiemu uległ pewien człowiek, który, ugrząźłszy w miodzie, wydobył się stamtąd przy pomocy niedźwiedzia.

W opisie Lwowa poświęca specjalny ustęp Żydom tamtejszym, świadczący, iż zdawał sobie sprawę z ich szkodnictwa.

Dalej opisuje budujący się wówczas dopiero Zamość i Kijów przesławny, a wspomniawszy o napadach tatarskich, z powagą prawi o pieczarach kijowskich, które poczytuje za łożysko rzeki podziemnej.

Wkońcu przechodzi do opisu zwyczajów i obyczajów, panujących na Rusi. Kończy obrazem pogrzebu, wspominając o najętych płaczkach, o groszu, kładzionym do trumny, i o zwyczaju przynoszenia ciepłej strawy na cmentarz.

Wszystko to są rzeczy bardzo ciekawe ze stanowiska olklorystycznego. Świadczą one, iż lud ruski wiele ze

swoich pradawnych zwyczajów i obyczajów zachował do dnia dzisiejszego.

Trzecim utworem łacińskim Klonowicza jest »Victoria deorum« (»Zwycięstwo bogów«), dzieło osobliwe, »sturamienna satyra«, jak ją pięknie nazwał Kraszewski, »wierszowana filipika na szlachtę«, jak o niej mówi Wiszniewski.

Pisał ją Klonowicz przez lat 10, mając na widoku wady swojego wieku: pychę szlachecką, zawiść i wielkie zepsucie. Naraził tem sobie całą szlachtę i duchowieństwo, przeważnie wówczas pochodzenia szlacheckiego. I nie dziw, bo, jako mieszczanin, mówił o demokratycznej równości i dowodził, że nie urodzenie, ale cnota o szlachectwie prawdziwem stanowi. Różnic między stanami nie uznawał.

»Gdzie była — mówi — tak wielka między ludźmi różnica, gdy pierworodny Adam z jedną tylko małżonką mieszkał pod gołem niebem, a w nocy po pustych błąkał się polach lub na trawie w miłym cieniu spoczywał. On przecież był ojcem chłopów, królów i bohaterów, z niego wyszedł i lud wzgardzony i ojcowie wybrani Senatu«. (Przekład M. Wiszniewskiego).

Nie popuścił w tym względzie i księżom.

»I ty, księże — mówi — dobijasz się o szlachectwo, pokazujesz swoich naddziadów, na wosku wyciskasz pieczęcią osobliwsze zwierzyńce, układasz jakieś tablice, piszesz, złocisz, malujesz kolorami zioła, zwierzęta i hełmy swoich przodków i zdaje ci się, że nie godzien mitry i infuły, kto nie ma za sobą starego rodu pamiątek. Ubogiemu panu dajesz sługi złocone, panu, co nago i boso przyszedł nas zbawić i nie miał herbów i sławnych przodków. Za cóż wolisz, żeby rybaka nędznego zastępcami byli ludzie napuszeni rodowitością raczej, niż ludzie pobożni?«. (Przekład M. Wiszniewskiego).

Piętnując »grubość rozumów« i »obyczajów« ziemian ówczesnych, nie szczędzi także ostrej nagany stanowi

mieszczańskiemu, do którego sam należał, a »pieszczocha miejskiego« tak opisuje:

»Niedołężny rośnie a raczej gnije w mieście syn miejski i do niczego się nie sposobi; tylko na rozpustę gotów, do biesiad, tańców, rozwiązłości nawyka, do teatrów, po zamtuzach pić i hulać się uczy i trwonić ojcowiznę«, (Przekł. M. Wiszniewskiego).

Z kolei i tu trafnie charakteryzuje Żydów, jak w Roxolanii, jako element, zaczynający już wówczas odgrywać ujemną rolę w życiu miast polskich.

»Tymczasem — mówi — Żyd lichwą cięży wielkim miastom, za podłym zyskiem goni osobliwszemi wybiegi, przedaje wszystko: przedaje powietrze, przedaje wodę, handluje pokojem, frymarczy przedajnemi wyroki, a wszędzie się z handlem wciśnie; aby zarzucić sieci swego handlu, przymili się panującym, szarpią go i odzierają urzędnicy, lecz on ich nawzajem, bo nikt, nawet celnik, przed jego przebiegami nie wymknie się, tak gwałtownie wszystkich złoto zaślepia«. (Przekład M. Wiszniewskiego).

Mało w tem wszystkiem, oczywiście, jest poezji, ale jest zato trafna i głęboka satyra. Jest umysł jasny, trzeźwy, jest sąd obywatelski zdrowy i dojrzały, jest dobrze zbudowany pogląd na społeczeństwo, owiany tchnieniem szczerego demokratyzmu, wyprzedzającego znacznie poglądy, panujące w wieku XVI-ym a i o stulecia całe później jeszcze wśród szlachty polskiej.

Rzeczą tedy jest zrozumiałą, że to »Zwycięstwo bogów« musiało wywołać głośne wśród ziemian i wielkich panów niezadowolenie, że autor, który odważył się taką prawdę w oczy »narodowi szlacheckiemu« powiedzieć, nie mógł spotkać się za to z uznaniem. Uznanie to otrzymał poeta dopiero od potomnych, którzy, dzięki jego satyrze, mogą wytworzyć sobie dokładny obraz kraju i społeczeństwa polskiego ku schyłkowi »złotego wieku«.

Jeżeli zaś i my możemy mieć żal do niego, to tylko za to, że pisał po łacinie, nie po polsku i że dopiero pod

koniec swojego zawodu posługiwał się w swoich pismach językiem ojczystym. Być może, iż stało się to na skutek tego, że, widząc się, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, bojkotowanym przez szlachtę, zapragnął, aby go czytał także mniej biegły w łacinie, a jednak już światły i krytycznie względem tłumiącego jego rozwój ziemiaństwa usposobiony stan miejski, gdzie łatwiej było o znalezienie oddźwięku dla zasad, w których można dopatrzyć się zawiązków polskiej idei demokratycznej, święcącej triumf, niestety, dopiero w uchwale konstytucji 3-go maja.

Klonowicz widział już wówczas potrzebę reformy społecznej w Polsce, za nikłym tylko był jego głos i o zbyt jeszcze twardą ścianę uderzał, aby mógł »ziemię szlachecką« z posad poruszyć i pchnąć ją »nowemi tory«.

W każdym razie widział jasno i patrzał głęboko, nie powierzchownie, dobierając się do istotnych wad narodowych polskich. Świadczy o tem fakt, że wiele z tych przywar i braków, które Klonowicz piętnował, nie przestało być dotąd aktualnym tematem dla publicystów i satyryków i że na wiele tematów, zaczerpniętych z jego pism łacińskich i późniejszych polskich, można od ręki napisać rzecz na chwilę bieżącą.

Polska po Klonowiczu puścizna składa się z czterech utworów: z »Pamiętnika książąt i królów polskich«, z »Flisa«, z »Pożaru« i z »Worka Judaszowego«.

»Pamiętnik« (bez miejsca druku i roku) jest utworem okolicznościowym, napisanym w każdym razie po śmierci Stefana Batorego, t. j. po r. 1586-ym. Mamy tu zbiór epigramatów o królach i książętach polskich od legendarnego Lecha do Stefana Batorego, który jest ostatnim w tym poczcie.

Książka ta, jak przypuszcza profesor Pilat, była przeznaczona dla użytku młodzieży, by jej ułatwić poznanie dziejów ojczystych. »Pamiętnik« cieszyć się musiał powodzeniem, był bowiem wielokrotnie drukowany, z dzisiejszego jednak stanowiska wartość jego dla nas jest mała.

To samo powiedzieć należy i o »Pożarze« czyli o »upominaniu do gaszenia i wróżce o upadku mocy tureckiej«, jak brzmi pełny tytuł tego utworu, wydanego w r. 1597-ym. Jest to właściwie miejscami przekład, miejscami dowolna przeróbka pieśni łacińskiej (*Carmen classicum*), wyjętej z 41-go rozdziału znanego nam już poematu p. t. »Victoria deorum« (Zwycięstwo bogów).

Całe wobec tego znaczenie Klonowicza dla czasów dzisiejszych opiera się na dwu jego dziełach, na »Flisie« i na »Worku Judaszowym«.

»Flis, to jest spuszczanie statków Wisłą i inszemi rzekami do niej przypadającemi«, wydany został po raz pierwszy, jak przypuszcza prof. Gabriel Korbut, w Rakowie, w r. 1595-ym. Powstanie i cel tego utworu wyjaśnia nam sam autor w dedykacji, przypisanej Stanisławowi Gostomskiemu, wojewodzie rawskiemu. Powołując się na to, że opisami żeglowania »zacni a dawni autorowie się zajmowali, jak oto: Homer w Odyssei, Wergiljusz w Eneidzie, Orfeus w *Argonautica navigatio* i Apolonjus, tak dalej mówi: »ja tedy, pamiętając na one dawne autory, którzy flisowskie abo bosmańskie sprawy opisali, a k'temu iż mi się trafiło niedawnych czasów do Gdańska Wisłą płynąć, a iż przed tumultem i krzykiem flisowskim nie mogłem czego poważniejszego czytać abo pisać, przeto żem wziął przed się tę materją, która mi wtenczas przed oczyma i rękoma była«.

Treść poematu jest następująca: Skreśliwszy niebezpieczeństwo żeglugi wogóle (streszczenie prof. Pilata) i podawszy krótką historję jej początku i wydoskonalenia się późniejszego, poeta opisuje budowanie łasztów i szkut, kursujących po Wiśle; następnie daje rady co do przygotowania się do podróży, kreśli obyczaje flisaków i odrębny ich język, poczem następuje opis podróży, mianowicie wyliczanie miast i miasteczek, przez które się przepływa, rzek i strumieni, które do Wisły wpadają, wraz

z dokładnemi wskazówkami, którędy należy płynąć; na końcu podaje uwagi i rady, jak w Gdańsku należy sprzedawać zboże, targować się, unikać zdzierstw, a wziąwszy »gielt« do woru, wracać do domu. W ogólną tę osnowę wplata poeta rozmaite obrazki, powiastki, epizody, które z główną treścią poematu w luźnym pozostają związku, np. opisy bogactw Polski co do żywności, zboża, zwierzyny, ryb, bajkę o nietoperzu i krzaku jeżynowym, podanie o sporze Narwi z Wisłą, epizod o żartach flisów z frycami itd.

Pod względem poetyckim »Flis« zawodzi nas ogromnie. Zdawaćby się mogło, iż autor *Roxolanii*, który w tym łacińskim poemacie swoim złożył dowód umiejętnego odczuwania ziemi polskiej, jej krajobrazu i jej ludu, który dał nam w tym utworze niejeden opis, pełen powabu i trwale wrzeźbiający się w pamięć, wydobędzie jeszcze więcej uroku i krasy z brzegów nadwiślańskich, skoro znajdzie się sam na sam z przyrodą swojską, na tratwie, płynącej powoli z prądem rzeki, wśród śpiewów »flisaczej dziatwy«, z oczyma wpatrzonemi w nadbrzeżne topole i wierzby lub biegnącemi w dal po srebrnem lustrze wody, zlekka przymglonem wstającemi z odwieczerz mgłami lub odbijającem w sobie nocne, gwiazdami wyiskrzone niebo.

Kto zna wybrzeża Wisły, poczynając od starego Kazimierza, poprzez Puławy, Warszawę, Czerwińsk, Wyszogród, Płock i Toruń aż do Gdańska, ten snadnie mógł się spodziewać od Klonowicza więcej poezji, niż otrzymuje. Otrzymuje zaś przedewszystkiem suche wskazówki o tem, jak należy wędrować po Wiśle bezpiecznie i towary szczęśliwie do Gdańska doprowadzić, z korzyścią sprzedać i z pieniędzmi do domu wrócić.

W ten sposób powstał poemat, raczej dla kupców przeznaczony, bo kupieckim przesiąknięty duchem, niźli dla ludzi, miłujących piękno, a jeżeli tu i owdzie jest w nim owo piękno, jeżeli zdarzy się obraz lub epizod,

wystrzelający ponad prozę całości, to, jak sam autor przyznaje, jest to odstępstwem od przyjętej przez niego zasady na rzecz »osłodzenia żartami« rzeczy prawdziwych i pożytecznych.

Pomimo to »Flis« jest dla nas pamiątką cenną już choćby z tego względu, że utrwalił i pokoleniom całym przekazał nierozerwalną łączność Polski z Gdańskiem, jako naturalnym portem Rzeczypospolitej, że o tem polsko-niemieckiem mieście kilka uwag o znaczeniu już dzisiaj historycznem wypowiedział, że zwyczaj i obyczaj flisacki pokazał nam w obrazie realnym, obfitującym w szczegóły, zwłaszcza pod względem terminologji spławu ciekawe.

Nie dziw też, iż jest to utwór ze wszystkich pism poety najpopularniejszy w Polsce do dnia dzisiejszego i że Klonowicz znany jest szerszemu ogółowi jeśli nie wyłącznie, to przedewszystkiem jako autor »Flisa«.

Tymczasem o wiele lepszym i na szczególną zasługującym uwagę jest ostatni poemat burmistrza i konsula lubelskiego, mianowicie jego »Worek Judaszów to jest złe nabycie majętności«, Raków 1600.

Cel i tendencja tego dzieła — mówi prof. Pilat — jest, podobnie jak w *Philtronie i Victoria deorum*, moralno-obyczajowa, ale tutaj już z bardzo wyraźną barwą satyryczną i dążnością, skierowaną prawie wprost do stosunków polskich.

Poecie chodzi tym razem o wystawienie błędów i wad ludzkich, pochodzących z chciwości, a tytuł *Worek Judaszów* autor poematowi swemu nadaje dlatego, że za prototyp chciwości uważa Judasza, szafarza Chrystusowego, który, gospodarując niby dla Jezusa, wszystko sobie przywłaszczał, wsuwając do worka, wiszącego u pasa«.

Otóż w tym »worku« odnaleźć można — zdaniem poety — wszystkie najgorsze błędy i przewrotności ludzkie, pochodzące z chęci nabywania cudzego dobra. Wyobraża go sobie Klonowicz zszytym z czterech skór: ze

skóry *wilczej*, *lisiej*, *rysiej i lwiej*, i stosownie do tego dzieli poemat na cztery księgi.

W pierwszej, najobszerniejszej, złożonej z 8-miu rozdziałów, mamy opis takich przywłaszczycieli cudzego dobra, którzy skrycie, tajemnie, podstępnie i pocichu dybią na obce dobro, t. j. złodziei.

Zebrana tu kolekcja typów złodziejskich jest rzeczywiście liczna i rozmaita. Autor wprowadza i charakteryzuje: »świętokrajców«, »urzędokupców«, »skarbołupców«, »pędziwołów«, »ludokupców«, złodziei pieniędzy (rzezimieszków) i rzeczy ruchomych.

W drugiej części »Worka« mamy znów typy oszustów, podszytych *lisią* skórą, więc płaszczących się, nadskakujących w celach osobistej korzyści, a pomiędzy nimi dziadów i żebraków jarmarcznych, głoszących cuda w celu wyłudzenia grosza od pobożnych, fałszywych kwestarzy, jałmużników, obłudnych przyjaciół i pochlebców, którzy doprowadzają do ruiny młodzież, wreszcie gachów, romansujących z cudzemi żonami.

W trzeciej części pod skórą *rysią* kryją się rozmaitego gatunku matacze, krętacze, lichwiarze, pieniacze, fałszerze i t. p., którzy pod pokrywką prawa, kontraktów, zapisów i innych pozorów niszczą i rujnują mienie drugich.

Jest to niestarzejąca się nigdy galerja nieprawości ludzkich, ugrupowana zgrabnie i z dużą znajomością natury ludzkiej, do czego zapewne obfity materjał doświadczalny czerpał Klonowicz, jako konsul lubelski, zasiadający w sądzie miejskim.

W czwartej części poeta miał zamiar mówić o przywłaszczycielach cudzego dobra, podszytych *lwią* skórą, t. j. takich, którzy biorą je gwałtem i przemocą, ale snać nie chciał już zadzierać z możnowładcami i szlachtą, którym naraził się już przedtem i, ledwie zacząwszy, część tę urwał, zaznaczając tylko w kilku wierszach, że o tych »zębatych Judaszach« »strach pisać«.

»Tendencja moralno-obyczajowa i satyryczna, mająca na oku rzeczywiste stosunki — mówi prof. Pilat — wychodzi prawie na każdej stronicy tego dzieła na jaw; najwyraźniej wskazuje ją sam autor w wierszowanej przedmowie, w której, scharakteryzowawszy Judasza, jako prototyp chciwości, powiada:

»Ach cóż takich Judaszów w domach i szpitalach,
W kościelech, na ratuszach i w książęcych salach,
Nie będęć ich mianował, lecz sobie odważę,
Iż ich wytknę przed światem i palcem pokażę«.
(Autor do czytelnika).

W dedykacji zaś, zwróconej do Stanisława Lichańskiego, rajcy lubelskiego, »przyjaciela i kolegi łaskawego«, mówi, że »w tym worku są niektóre rzeczy śmiechem, ale nie do śmiechu pisane, które służą do poprawy obyczajów ludzkich, zwłaszcza ludzi młodych«.

Istotnie, nic innego tylko chęć służenia społeczeństwu ideą moralną wyższego gatunku włożyła Klonowiczowi pióro do ręki, kiedy zasiadł do pisania »Worka«.

Uczynił to już o zachodzie własnego życia, które, jak wiemy, nie poszło mu po różach. Na drogach tego życia dosyć nazbierał goryczy. Miał naturę wrażliwą, bolało go wszystko niesprawiedliwe, nieuczciwe i złe, to, czego sam padł ofiarą, a z czem walczyć realnie nie umiał. Wiele więc jest w tem wszystkiem jego indywidualnej skargi, jego wezbranego żalu do ludzi, że stoją tak daleko od ideału, który on w duszy swojej i w myśli wypiastował.

Mieszczanin z pochodzenia i w mieście przez całe życie osiadły, w Lublinie, grodzie trybunalskim, gdzie szlachta zjeżdżała gromadnie, gdzie procesów było bez liku, gdzie zawodowi pieniacze za łby się wodzili, musiał się poeta napatrzyć wielu stron ujemnych, cechujących przodującą wówczas narodowi warstwę, musiał też doznać

ze strony tej warstwy upokorzenia, czując zaś swoją wyższość umysłową nad tłumem uprzywilejowanych, materjalnym tylko sprawom oddanych ziemian, ostro przeciw nim wystąpił i zasady równości społecznej bronił.

Kraj swój kochał, uroki jego odczuwał i z przywiązaniem zawsze o nim pisał, tak że przez to samo stał się już miłym i cenionym poetą dla pokoleń późniejszych, które, utraciwszy ojczyznę, poznały, iż jest ona »jak zdrowie«. Klonowicz widział jeszcze tę ojczyznę w pełni potęgi i chwały i »piękność jej opisywał w całej ozdobie«, zaznaczając, iż »miła Polska na żyznym zagonie zasiadła, jako u Boga na łonie«.

Jednocześnie atoli, nie zamykając oczu na prawdę, nie będąc marzycielem ale człowiekiem o realnym stosunku do życia, dostrzegł, że »robak« lęgnie się już w »bujnym kwiecie« Rzeczypospolitej, i piętnując panoszące się zło, nie szczędząc satyrycznego bicza, którym smagał przywary, niedomagania i grzechy swoich współczesnych, stawiał im przed oczy ideał zdrowia moralnego, ideał prawa i sprawiedliwości, w czem widział zabezpieczenie mocy i trwałości ojczyzny.

I dlatego, mimo że talent jego poetycki był na mniejszą skalę, że twórczego i natchnionego dzieła po sobie nie zostawił, należy do najzasłużeńszych pisarzów wieku, który go wydał.

Krótki wybór pism
Mikołaja Sępa Szarzyńskiego i Sebastjana Klonowicza.

MIKOŁAJ SĘP SZARZYŃSKI.

SONET I.

O krótkości i niepewności na świecie żywota człowieczego.

Ehej, jak gwałtem obrotne obłoki
I Tytan prędki, lotne czasy pędzą!
A chciwa może odciąć rozkosz nędzą
Śmierć — tuż za nami spore czyni kroki!

A ja, co dalej, lepiej cień głęboki
Błędów mych widzę, które gęsto jędzą
Strwożone serce ustawiczną nędzą,
I z płaczem ganię młodości mej skoki.

O moc, o rozkosz, o skarby pilności,
Choćby nie darmo były, przedsie szkodzą:
Bo naszę chciwość od swej szczęśliwości

Własnej (co Bogiem zowiemy) odwodzą.
Niestałe dobra. O, stokroć szczęśliwy,
Który tych cieniów wczas zna kształt prawdziwy

SONET II.

Na one słowa Jopowe:
Homo natus de muliere, brevi vivens tempore etc.

Z wstydem poczęty człowiek, urodzony
Z boleścią, krótko tu na świecie żywie,
I to odmiennie, nędznie, bojaźliwie;
Ginie, od słońca jak cień opuszczony.

I od takiego, Boże nieskończony,
W sobie chwalebnie i w sobie szczęśliwie
Sam przez sie żyjąc, żądasz jakmiarz chciwie
Być miłowany i chcesz być chwalony.

Dziwne są twego miłosierdzia sprawy:
Tym sie Cherubim, przepaść zrozumności,
Dziwi zdumiały, i stąd pała prawy

Płomień, Seraphim w szczęśliwej miłości.
O święty Panie, daj, niech i my mamy
To, co mieć każesz, i tobie oddamy!

SONET III.

Do Naświętszej Panny.

Panno bezrówna, stanu człowieczego
Wtóra ozdobo, niepsowała w której
Pokora serca, ni godność pokory,
Przedziwna matko stworzyciela swego!

Ty, głowę starwszy smoka okrutnego,
Którego jadem świat był wszytek chory,
Wziętaś jest w niebo nad wysokie chóry;
Chwalebna, szczęścia używasz szczyrego.

Tyś jest dusz naszych jak księżyc prawdziwy,
W którym wiecznego baczymy promienie
Miłosierdzia, gdy na nas grzech straszliwy

Przywodzi smutnej nocy ciężkie cienie!
Ale zarzą już nam nastań raną,
Pokaż twego słońca światłość żądaną.

SONET IV.

O wojnie naszej, którą wiedziemy z szatanem, światem i ciałem.

Pokój — szczęśliwość; ale bojowanie
Byt nasz podniebny: on srogi ciemności
Hetman i świata łakome marności
O nasze pilno czynią zepsowanie.

Nie dosyć na tym, o nasz możny Panie!
Ten nasz dom — ciało —, dla zbiegłych lubości
Niebacznie zajźrząc duchowi zwierzchności,
Upaść na wieki żądać nie przestanie.

Cóż będę czynił w tak straszliwym boju,
Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?
Królu powszechny, prawdziwy pokoju

Zbawienia mego, jest nadzieja w tobie!
Ty mnie przy sobie postaw, a prześpiecznie
Będę wojował i wygram statecznie!

SONET V.

O nietrwałej miłości rzeczy świata tego.

I nie miłować ciężko, i miłować
Nędzna pociecha, gdy żądzą zwiedzione
Myśli cukrują nazbyt rzeczy one,
Które i mienić i muszą się psować.

Komu tak będzie dostatkiem smakować
Złoto, sceptr, sława, rozkosz i stworzone
Piękne oblicze, by tym nasycone
I mógł mieć serce i trwóg się warować?

Miłość jest własny bieg bycia naszego;
Ale z żywiołów utworzone ciało,
To chwaląc, co zna początku równego,

Zawodzi duszę, której wszytko mało,
Gdy ciebie, wiecznej i prawej piękności,
Samej nie widzi, celu swej miłości.

SONET VI.

Do pana Mikołaja Tomickiego.

Tomicki, jeśli nie ganią owego,
Który ku chwale świeci lampą onej
W sobie chwalebnej, świętej, niezmierzonej
Światłości, światła skąd jasność każdego —

Nie będę nazwan lekkiem od żadnego,
Bym sławił piękność w tobie doświadczonej
Każdemu cnoty. Jeno, żem uczonej
Mało pił wody, nie śmiem się jąć tego.

Chęć przyjmi wdzięcznie: na tej Bóg przestaje.
Lecz, jeśli Muzy z ubóstwem się zgodzą,
Dzielność, stateczność, rozum, obyczaje

Twoje, co zacność, choć wielką, przechodzą,
Wiersza mojego ustawną zabawą
Będą; co mówię? będą sławą prawą!

PIEŚŃ IV.

Psalmu CXXVI Paraphrasis.

De profundis clamavi ad te, Domine.

W grzechach srogich ponurzony,
Ze wnętrzności serca mego
Wołam, Boże niezmierzony!
Mego głosu rzewliwego
Racz słyszeć prośby płaczliwe,
A z miłosierdzia Twojego
Nakłoń ucho lutościwe!

Będzieszli chciał nasze złości
Ważyć, Ojcze dobrotliwy,
Wagą Twej sprawiedliwości,
I któż tak będzie szczęśliwy,
Kto tak w cnotach utwierdzony,
Gdy przyjdzie na sąd prawdziwy,
By nie miał być potępiony?

Ale ty, sędzia łaskawy,
Nie według szczerej srogości
Karzesz nasze błędne sprawy:
Zakon twój, pełen lutości,
I wierne twe słowa, Panie,
Że mię wyrwiesz z tej ciężkości,
Czynią mi pewne ufanie.

Przeto, choć zorza różana
Promiennie słońce przywodzi,
Choć mgłą ciemną przyodziana
Noc z ciemnościami przychodzi:
Narodowi wybranemu
Niech wątpienie nie przeszkodzi
Śmiele ufać Panu swemu.

Bowiem skarb jest nieprzebrany
Wieczne miłosierdzie jego:
On nie leniw zgoić rany
I poddźwignąć upadłego;
On, prócz wszelkiego wątpienia,
Nie zapomni ludu swego,
Przywiedzie go do zbawienia.

PIEŚŃ II.

O rządzie bożym na świecie.

Wiekuista mądrości, Boże niezmierzony,
Który wszytko poruszasz, nie będąc wzruszony,
Wściągasz prawem aniołów wojska niezliczone,
Tak, że muszą z twą wolą chcenia mieć złączone.

Opaczystym obłokom poczyniłeś tory,
W których błądzić nie mogą, zgodne wiodąc spory;
Pokazuje nam gwiazdy Tytanowe koło,
W pewny czas rogi bierze Cynthia na czoło.

Spólnie się żywić muszą żywioły podniebne,
Nie dziw, żeś dał naturze prawo tak chwalebne.
Że nie władnie odstąpić od twej wiecznej woli,
Gdyż ty w prawie dobroci trwasz i dobrej woli.

Proch podnóżka Twojego, czemu wolność mamy
Twych ustaw ustępować, w których żywot znamy,
Do tego przystępując, co śmiertelnie szkodzi?
Dałeś rozum — przecz u nas fortuna sie rodzi?

Porzuć straszne pioruny, zatrać i przygody:
Któremi nam znać dawasz, że chcesz z nami zgody,
A utwierdź wolność chceniu, której nie zna użyć;
Wolim w świętej ojczyźnie tobie wiecznie służyć.

PIEŚŃ IV.

O cnocie ślacheckiej.

Zacni sie rodzą z zacnych i cnotliwych:
Znać w koniach sztuki ojczyste; lękliwych
Mężna orlica gołębi nie rodzi,
Ani mdły zając z dużych lwów pochodzi.

Wszakże rozmnaża cnoty przyrodzone
Cwiczenie: czynią serce utwierdzone
Piękne nauki; tych kiedy nie staje,
Ślachetne plemię szpecą złe zwyczaje.

Śmiał się waleczny Rzym z syna onego
Ojca, dzielnością przełomion którego
Straszny Hannibal: i fortunną zbroję
Musiał opuścić, i ojczyznę swoję.

Ale nie przestał na tym miedzy bogi
Chwalon Alcides, że go gromem srogi
Ojciec urodził, bo wolał dzielnością
Swą słynąć, niźli rodzaju zacnością.

Cóżkolwiek jeno straszliwego żyło
Na świecie, wszytko jego ustąpiło
Niezmożnej sile; przeto słynie wszędzie
I wiecznie słynąć za swe cnoty będzie.

Droga ku sławie — w sławnym urodzenie
Domu, nie sama sława. Przeto w cenie
Kto chce być, porzuć nikczemne zabawy;
Nie na herb przodków patrz, ale na sprawy.

Da pospolite prawo nieskończone
Imię swym stróżom, dadzą obronione
Granice zbroją koronne poczciwą
Od zdradnych sąsiad sławę wiecznie żywą.

PIEŚN VI.

O Strusie, który zabit na Rastawicy od Tatarów.

Izaż wódz tebański, iż umarł, zgromiwszy
Waleczne Spartany, zda się być szczęśliwszy,
Niż on Aemilius, co przy wojsku zbitym
U Kan żywot zawarł ześciem znamienitym?
Bądź tamten szczęśliwszy; poważniejsza żywie
Sława tego, który z samym nielękliwie
Potkał się nieszczęściem i stałą krwawemu
Pokazał zwycięzcy twarz, kiedy rączemu
Bachmatowi drudzy, nie zbroi, ufają,
A prze bojaźń próżną sławy odbiegają.
Także Rastawica, potok nieszczęśliwy,
Pierwej wód pozbędzie, niźli twe, poczciwy
I nietrwożny Strusie, żywota skończenie
U rycerskich ludzi przyjdzie w zapomnienie:
Wolał od strzał zginąć pohańca zdradnego,
Niż tył swój pokazać sprośnie oczom jego.
A gdy mu ktoś radził głupie sprzyjaźliwy,
Aby, jako drudzy, zbiegł z chwile złośliwej,
Rzekł: »Ty folguj czasom, chceszli, a ja mojej
»Sławie będę godził; nie tylko we zbrojej,
»Jest śmierć i na łożu; i tak pierzchliwego
»Śmierci grzbiet jest odkryt, jak piersi śmiałego,
»Nie wydam swych przodków; za Rzeczpospolitą,
Upadnę ofiarą, da Bóg, znamienitą.«
Tylkoż rzekł, wnet jako pierzchać nieuczony
Lew, od mnogiej zgrajej będąc oskoczony
I od tysiąc łowców z gotowemi łuki,
Bliższe zagubiwszy, drugie straszy huki:
Wszytcy, wszytcy serca natrzeć nań nie mają,
Tylko mu z daleka rany podawają;
On zemdlon ostatniej już pomsty pożąda
I, w kimby ząb martwy zostawić, pogląda:

Tak sie Struś spracował w ostatniej potrzebie
I, sławie i cnocie czyniąc dosyć z siebie,
Padł krwawy, gęstemi przywalon strzałami.
Godny syn ojczyny mężnymi sprawami!

PIEŚŃ VII.

Stefanowi Batoremu, królowi polskiemu.

Królowi hymn możnemu śpiewajmy, Kamaeny!
Bogu naprzód: bez Boga nic nie godno ceny:
On stworzył, on sprawuje, on oświeca tego
Żywotem, szczęściem, sławą: król sam zna samego,

I to cel jego sprawom: on w pierwszej ojczyźnie,
Gdy moc wziął błąd bezbożny, sam sie oparł, iż nie
Zgasła powszechna wiara. Stąd go łaski swojej
Pan naczyniem uczynił, w pokoju, we zbrojej,

Więtszym obojga szczęścia. On nadzieją samą
Z nieba pomocy śmiał być nawałnościam tamą
Pannońskim, przez rozliczne i spuszczając zdroje
Ścierw przeciwnych, Dunaju, tuczył ryby twoje.

Ale szczęście przeźrano iż ma każda strona,
Tu cię Bóg wniósł, gdzie jeszcze nie próżna obrona,
Dzielność twoja być może, królu niezmożony,
Królu, i z twej natury, nie tylko z korony.

Bo kto ciebie nie mniejszy? prawie bez równości
W radzie, w mowie, w dowcipie, w umysłu mierności!
Kto równie sprawiedliwy? kto łaskawy? Ale
Twe własności kto zduża śpiewać doskonale?

Morski huk głosem przemóc może. Lecz niniejszy
Iż czas przyniósł, we zbroi zdasz sie napięknieJszy.
Bądź porządek ważymy, bądź rozsądek prawy,
Komu wojsko, a komu huf zlecić do sprawy,

Lub serce mężne z ręką prędką, lub patrzamy
Na czujność, na cierpliwość, wyznamy, wyznamy,
Że ty przedni król, hetman, rycerz, pieszy, konny,
Twe szczęście wojska gromi, mur wali obronny.

Ty postronne wprzód widzisz i domowe zdrady,
Twym przykładem wytrwane i smutne Hyady,
I głód, i bezsen, i proch, i błota, i lasy,
I wzgardzone nad głową jakmiarz zimne pasy.

Tyś wskrzesił naszę sławę, ty bowiem pokoje,
Wyrodnym smaczne sercom, ganisz i do zbroje
Potrzebną chęć pobudzasz, która, legartowem
Jadem zjęta, nie dbała długo być obłowem

To zdradliwym Tatarom, to Moskwicinowi
Chciwemu, okrutnemu, pół poganinowi.
Dziś samo imię twoje pohańce hamuje,
A straszny tyran sam strach, hańbę, szkodę czuje.

Strach, hańbę, szkodę czuje, a da Bóg życzliwy,
Jeśli wróżba nie próżna z strony sprawiedliwej
I upadek uczuje i, pozbywszy głowy,
Spuści państwa pod twój sceptr wdzięczny, sławny, zdrowy.

O, bodaj późno w niebie twojej godną cnoty
Koronę gotowano: Nie tylko wiek złoty
W twej Polszcze widzieć mamy, lecz i przed naszego
Chrysta krzyżem gwałt zwykły Machmeta krwawego!

PIEŚŃ VIII.

Iż rozum człowiekowi potrzebniejszy, niż skarby.

Złoto znać na strzechstenie, człowieka na złocie;
Mieć albo nie mieć złota — nic przez sie ku cnocie;
Próżno chwalą i ganią ten kruszec łagodny:
Komu Pan Bóg dał rozum, zawżdy jest swobodny.

Wygnał chciwość niesytą, wygnał strach szkarady,
Więc nie wzdycha, nie mając, w dostatku nie blady.
Nie pożycza u skrzynie, darmo nie szafuje:
Z baczeniem złoto drogo i tanie szacuje.

Ale jawnie oświadczył słowy i przykładem
Twój wnuk Jesse, iż zbytnie skarby zbytnym jadem.
I z tym, komu ich nie da, Bóg barziej łaskawie,
Niż z tym, co ich ma nazbyt: zna, kto sądzi prawie.

W nędzy człowiek dostanie, gdy chce pocieszenia,
Trudno, gdy wszytko k'myśli, nie stracić baczenia.
Skąd z letargu smutnego wrzód smaczny przychodzi,
Bo sie to zdrowo widzi, co nabarziej szkodzi.

Nie pożądam znacznym być w nieszczęście oboje,
Lecz znam prawie szczęśliwym, kto pociechy swoje
W tobie samym ma, Panie, prożen inszych rzeczy,
I dla ciebie sam siebie wzgardził mieć na pieczy.

EPITAPHIUM RZYMOWI.

Ty, co Rzym wpośród Rzyma chcąc baczyć, pielgrzymie,
A wżdy baczyć nie możesz w samym Rzyma Rzymie,
Patrzaj na okrąg murów i w rum obrócone
Teatra i kościoły i słupy stłuczone:
To są Rzym. Widzisz, jako miasta tak możnego
I trup szczęścia poważność wypuszcza pierwszego.
To miasto, świat zwalczywszy, i siebie zwalczyło,
By nic niezwalczonego od niego nie było.
Dziś w Rzymie zwyciężonym Rzym niezwyciężony
(To jest ciało w swym cieniu) leży pogrzebiony.
Wszytko sie w nim zmieniło, sam trwa prócz odmiany
Tyber, z piaskiem do morza co bieży zmieszany,
Patrz, co Fortuna broi: to sie popsowało,
Co było nieruchome; trwa, co sie ruchało.

PIEŚŃ.

Zaprzęż nie tygry, nie lwice, Cyprydo,
W złoty wóz; parę białych niech Kupido
Gołębi lecem jedwabnym pożenie
Przez chmurne cienie.

Opuść na chwilę Ankon ulubiony
I Cypr wesoły, tobie poświęcony,
Spuść sie nad Wisłę, obacz naszę ziemię,
Tak śliczne plemię.

Pięknych przymiotów i wdzięcznej urody,
Która bez waszej trojańskiej niezgody
Rychlejby klejnot odniosła piękności,
A przez zazdrości.
Hesper jak jasna jest miedzy gwiazdami,
Tak twe wspaniałe, panno nad pannami,
Są obyczaje z natury przyrodne,
Ozdoby godne.
Jeśli jest cnota chwały godna wszędzie,
Tedy ma lutnia ciebie sławić będzie,
I wiersz mój śpiewać, to jest, tobie k'woli
Serce mię boli.
A ty, co serca ranisz hartownemi
Strzałami, czasem nie jadowitemi,
Ugodź ją złotą, aby twe postrzały
Już tam moc miały.

KOLĘDA DO ZOSIE.

Na początku każdego roku każdy daje
Przyjacielowi dary, jakich mu dostaje;
Ja też, iż nie mam nad cię nic milszego sobie
Myśliłem, coby za dar godny posłać tobie.

Nie dostawa mi złota, zdradę mnożącego,
Ani ziarn drogich piasku morza Czerwonego;
Lecz, aczbym miał, pewnie wiem, żeć tego nie trzeba,
Dał ci tego dostatek on hojny Pan z nieba.

Dałbym ci serce moje, ale nic cudzego
Nie chcę dać: tyś jest panem, nie ja, serca mego.
Z wiarą uprzejmą trudno mam się popisować,
Bo ta już musi z sercem pospołu hołdować.

Owo zgoła ledwie wiem, coćby dać. Bo mojem
Co może być, ponieważ sam nie jestem swojem.
Niezgaszone płomienie miłości — ty swemi,
Którycheś mi nie wzięła, mogę zwać własnemi.

I tych ci po kolędzie dawam, po kolędzie;
Proszę, niech ten lekki dar wzgardzony nie będzie,
A jeśliże go zgardzisz, to ja pewnie muszę
Leda w dzień po kolędzie Bogu posłać duszę.

DO ZOSIE.

Nie psuj niepotrzebnemi łzami wdzięcznych oczy!
Nic to, że się obrotne koło czasem toczy
Fortuny niespokojnej nie wedle twej wolej;
Nie nędza to w społecznej być (z) światem niewoli.

Człowieka tak szczęsnego na świecie nie było,
Któregoby nieszczęście w niwczem nie ruszyło;
Niebieskich to duchów stan; u nas tu na ziemi,
Wesołe się mieszają sprawy z troskliwemi.

Na to pomniąc, frasunkiem nie psuj głowy sobie;
Przyrodzenie fortuny, nie gniew szkodzi tobie;
Lecz, jak przyjacielowi, tak też jej rozumiej,
Prócz frasunku postępki takie znosić umiej.

Strzeż się, by cie fortuna niewdzięczna nie znała,
Która cie z młodości twej prawie piestowała.
I tak ci wiele dobra samej użyczyła
Na któremby przestało ludzi szczęściu siła.

A też nie wiem, skąd żałość ta na cie przychodzi
Wszak się twemu staraniu wedle myśli wodzi.
Przestań jeno, gdy tak chce mieć fortuna, na tem,
A to, czego ty żądasz, przydzie snadnie za tem.

Czego rok nie mógł sprawić, to godzina sprawi;
A dłużej trwa to, co się z więtszą pracą stawi.
Co też wiesz, jeśli temu szczęście nie folguje?
Aby wdzięczniejsze było, lekko postępuje.

(Do Zosie.)

Będę się zawsze dziwował twojej pikności:
Nie szkodzi wiernej dalekość miłości;
Bo gdzie ciałem nie mogę być, tam myślą będę,
A pierwej siebie, niż ciebie zabędę;
  A dotąd się serce me smęcić nie przestanie,
  Aż cię oglądam, me wdzięczne kochanie.

DO ANUSIE.

Siebie muszę, nie ciebie, w tej mierze winować:
Trudno tobie obłudność zdradną przypisować:
Dawałaś znać i mową i postawą swoją,
Że (ś) gardziła stateczną uprzejmością moją.

Baczyłem ja to wszytko, ale me baczenie
Obłędliwa nadzieja miała w podłej cenie
I niebacznem afektem rozum mój wiązała,
Że mi się twa niewdzięczność uprzejmością zdała.

Tuszyłem ja, żeś miała k mojej powolności
Serce twoje nakłonić; a to nie srogości
Przyczytałem, iżem nic nie znał łaskawego,
Mówiąc: »Co od wstydliwej pożądać inszego?«

Alem teraz doświadczył, iże mnie samemu
Nieużyte twe serce. Przeto co rzec temu,
Jedno się o to starać, aby miesce miała
Gdzie indzie ma powolność, z której się ty śmiała?

Śmiałaś się, lecz się boję, abyś nie płakała;
Bo coby sprawiedliwa Nemezis działała,
Która zawsze takową odmierza każdemu
Miarą, jakową mierzył kto przedtem drugiemu?

FRASUNK.

Terpiż hołowońko, do szczesnoj hodiny,
Wszak tobie frasunki ciężkie nie nowiny,
Przetrwałaś już wiele, przetrwaj-że już i to,
Aż Bóg żal weselem nagrodzi sowito.

Były też ty czasy, gdy był śmiech niedrogi
I żadne wesela nie psowały trwogi;
Były też ty czasy, kiedy tania była
Żałość, lecz me serce nadzieja cieszyła.

Nadzieja cieszyła, która i dziś cieszy,
Mówiąc: za nieszczęściem tuż się szczęście śpieszy.
Prędko grom przechodzi, prędko i błyskanie:
I twój żal przeminie prędzej nad mniemanie.

Abo ten, który cie niewinnie frasuje,
Widząc twą stateczność, gniew swój pohamuje;
Albo, chceli w nim trwać, Bóg cię wyswobodzi,
A skąd inąd twój żal weselem nagrodzi.

DO KASIE.

Jako się raduje żeglarz utrapiony
Godzinie tej, którą ustawa szalony
Wiatr, co wielkie morze burzył i straszliwe
Chmury odkrywają słońce pożądliwe:

Tak się ja też tej to godzinie raduję,
W którą dokończenie przeciwko mnie czuję
Twych gniewów, o moje jedyne kochanie!
O nadobna pani! me wdzięczne staranie!

Już zaś we mnie znowu nadzieja ożyła,
Wątpliwość umarła, która mie trapiła,
I przywróciło się wesele prawdziwe,
Żal z frasunkiem zginął i myśli teskliwe.

Już mi na twarz twoją nadobną nie bronisz
Patrzać i mówić już ze mną się nie chronisz;
Niestetyż! toć jeszcze nie dostawa wiele,
Abym to już mógł rzec: szczęśliwem ja, śmiele.

Przemożna bogini na ziemi, na niebie,
Wenus! tego ja dziś pożądam od ciebie,
Abyś nas twem ogniem paliła społecznie,
A szkodliwa zwada niech przepadnie wiecznie.

FRASZKA DO ANUSI.

Jeśli oczu hamować swoich nie umiały
Leśnych krynic boginie, aby nie płakały,
Gdy baczyły przy studni Narcyza pieknego,
A on umarł prze miłość oblicza swojego:
Jeśli nieśmiertnym stanom żałość rozkazuje,
Gdy niebaczna fortuna co niesłusznie psuje:
Jakoż ja mam hamować, by na lice moje
Z oczu smutnych żałośne nie płynęły zdroje?
Jako serce powściągać, aby nie wzdychało
I od ciężkiej żałości omdlewać nie miało?

FRASZKA.

Piszą: król Agatokles, gdy swojem cześć sprawiał,
Miedzy złotem naczyniem glinne kubki stawiał;
Iż tak mieszał ubóstwo z bogactwy hardemi,
Tę przyczynę powiadał przed gośćmi swojemi:

»Ja, którym Sycyliją swą sławą ozdobił,
Pomnię, iż mój ociec z gliny garce robił«.
Miej fortunę na wodzy, który z ubogiego
Stanu prędko dostąpił stolca wysokiego.

SEBASTJAN FABJAN KLONOWICZ.

»FLIS
to jest spuszczanie statków Wisłą i inszemi rzekami do niej wpadającemi.«

. . . .

Wszytkie do Polski przyszły tu wykręty,
Gdy się u Gdańska zjawiły okręty,
Prostość ojczysta i niewinność ona
Jest przewierzgniona.

Choć pola rodzą (patrz jaka to srogość)
Przecie tu u nas ustawiczna drogość,
Wańczosem[1]) gaje i niezmierne giną
Lasy perzyną.

Każdy rok szlachcic, acz nowiny porze,
I nagnoiwszy stare pola orze,
Jak osieł, chłopek nigdy bez kłopotu
Nie oschnie z potu,

Robi dzień i noc, i konny i pieszy,
Przecie się z tego chciwy pan nie cieszy,
Oba potrzebni (biada mnie na świecie)
I pan i kmiecie.

Chocia cudzego czasem umykamy;
Choć dziesięciny księże wytykamy,
Przecie na wszytkim, jak widzimy, choro,
Wskórać nie sporo.

Czym się to dzieje? jeśliby mię pytał,
Ja na to patrząc właśnie, jakbym czytał:
Iż co się zrodzi na polskim ugorze,
Połknie to morze.

Pan nie nasyci morza bezednego,
Wsi nie nasycą pana choć jednego.
Tak wszytko ginie, co użną poddani,
Jakby w otchłani.

Bo tak idzie ten nierządny porządek
Iż szkuta, właśnie jakoby żołądek,
Pożrze folwarki, gdy pan żyje szumno,
I wszytko gumno.

Te zaś żołądki prowadzą do Gdańska
Poty cnych kmiotków, a raczej do chłańska.
Stamtąd ma pycha podżogę do zbytku,
Miasto pożytku.

---

[1]) Drzewo na meble.

Morze nie ma dna, nie ma też i zbytek,
Zawsze chce więcej, mało mu świat wszytek,
Nie zna miary, więc co pilność ugoni,
Zbytek uroni.

Rad, iż mu z frochtu [1]) kupą idą grosze,
Mnima, by gorzej przedawać po trosze;
Lecz jako przyszła, tak odejdzie ona
Kupą Mamona.

Więc się podnosim w głupią pychę zatym.
Co Polska rodzi, nie przestajem na tym,
A już nam kramne a zamorskie rzeczy
Zawsze na pieczy.

Komięgi [2]) nam to i szkuty sprawiły
I nas w tak marne utraty wprawiły,
Tak nam dodały do złego ponęty
Morskie okręty

Okręt napierwej wymyśliła chciwość,
Nie tak potrzeba, abo dolegliwość:
Mógł był bez tego każdy na swym lądzie
Zostać w swym rządzie.

. . . .

Dajmyż już ten dank Hiszpanom i Niemcom,
Francuzom, Włochom, inszym cudzoziemcom,
Niech tam te świeże wynajdują światy,
Z złotymi płaty.

Niech tam kopają ten skarb niepoczęty,
Niechaj perłami ładują okręty,
Nam niechaj rodzi uprawiona niwa
Spokojne żniwa.

[1]) Z przewozu do Gdańska.
[2]) Krypy; galary.

Nie tak majętni wielcy Frajherowie
Nie tak bogaci sławni Fukierowie,
Jako tu szlachcic o Świętym Marcinie
W naszej krainie,

Gdy zwiezie w brogi, a znowu zaś wsieje
Drugiego żniwa uczciwe nadzieje,
Zasiędzie sobie przy ogniu sosnowym,
Przy trunku zdrowym.

Może nie zajźrzeć kupiectwa mieszczanom,
Może nie zajźrzeć towarów Gdańszczanom,
Wzajem to idzie; bój się prędkiej straty,
Prędko bogaty.

Niechaj nie igra z szczęściem kto ma w domu
Swój chleb, a długu nie winien nikomu.
Może nie pływać, porwon [1]) Neptun Bogu,
Gdy Ceres w brogu.

Przeto się hamuj, cnotliwy Polaku,
Daj pokój frochtom, wystrzegaj się haku [2]),
Zaniechaj tych szkut, możesz mieć i dzięgi [3])
Okrom komięgi.

Ale mi rzeczesz: Nie gań mi okrętów,
Bo to nie ma nic do prawnych wykrętów;
Boży to dar jest, przezeń człek bez szkody
Przebywa wody.

Wszak kazał korab' budować Noemu
Pan Bóg przed laty, kochankowi swemu,
W który zwierzęta którekolwiek wbiegły,
Śmierci uległy.

---

1) Zaklęcie — bierz licho.
2) Piasku.
3) Pieniądze.

Zbudował okręt jeźli prawda, i on,
Z Pyrrhą żoną swą sławny Deukalijon,
Gwałtownym wodom, o których wiedzieli,
W nim usiedzieli.

Na to ja tobie bracie, krótko co wiem,
Jedno mię słuchaj, niepochybnie powiem:
Inszy zysk, insza oznajmiona z nieba
Główna potrzeba.

Bez zbytku Polak, bez gwałtownych zysków,
Może się obeść i bez tych półmisków,
Dosyć mu dobrą lichwę ziemia daje,
Gumna jak gaje.

Lecz Noemu szło o samego Boga,
Szło o wszytek świat, nad którym już trwoga
Pewna wisiała; szło nad inne rzeczy
O ród człowieczy.

Szło mu o żywot i wszech dzieci zdrowie,
Jakoż, kto czyta, ten się tego dowie.
Przetoż nie jednym duchem żeglujemy,
Jak już widzimy.

Noe z korabiem czekał na przygodę,
My bez potrzeby kwapim się na wodę,
Nas czeka woda, Noe wody czekał,
Przed nią uciekał.

Ale zaś rzeczesz: Jest to rzecz uczciwa
Użyczać drugim chleba, gdyć go zbywa;
Nie gań mi dobrej rzeczy, zdrowo mi to
Wieść Niemcom żyto.

I na toć powiem, jedno bądź cierpliwy,
A nie bądź do tej wody tak skwapliwy:
Dobrze nażyczać, samem tego świadom,
Chleba sąsiadom.

Lecz żaden tego niechaj nie przywiedzie,
Byś mu miał wozić; niechaj sam przyjedzie,
Niechaj chlebowi poczciwość wyrządza,
Komu go żądza.

Wszak oni bracia Józefa szukają,
A do gumien się do egipskich mają,
A wory wziąwszy pokupili żyto,
Za słuszne myto.

Nie Józef szuka rodziny z obrokiem,
Choć był tak mądrym i świętym prorokiem,
Choć ich mógł lądem ratować w przygodzie,
Nie bywszy w wodzie.

My głodne Niemce po wodzie gonimy
Z swym własnym zbożem i często toniemy,
Modląc się z polskim chlebem Angielczykom
I zamorszczykom.

Czym znać dawamy, iżeśmy pieniędzy
Są potrzebniejszy, niż ci chleba w nędzy;
Gdyż nas ta chciwość w tę pracę wprawiła,
Szkód nabawiła.

Ale już dawno, że się marszczysz, widzę,
Napominania już się swego wstydzę,
Gdyż próżno na wiatr idzie moja mowa
I płonne słowa.

Zwyciężył nałóg i nadzieje znikłe
Uprzędły sobie zyski w głowie zwykłe,
Z których więc ledwo ręce im naplątą
Cząstka dziesiąta.

Bo kiedy już flis zasmakuje komu,
Już się na wiosnę nie zostoi w domu,
Już ciecze ze krą do Gdańska w komiędze,
Boi się nędze.

WOREK JUDASZÓW:
TO JEST, ZŁE NABYCIE MAJĘTNOŚCI.

Autor do Czytelnika.

Pytasz mię, kto to idzie w tej szafrannej szacie
I z tą brodą cisawą? Tak ci powiem bracie:
Jest to on Iszkarjot, Christusów spiżarny,
Szafarz, lecz na swą stronę, wielmi[1]) gospodarny.
Co Panu dano abo naśladowcom Jego,
To się wszytko w tobole zostało u niego.
On to, co go obłudne sprawy jego szpacą,
Co nań świat zgrzyta, nawet i dzieci kołacą.
Ten pstry worek u pasa, wszak go baczysz i ty;
Jest z rozmaitej jerchy misternie uszyty
Najdziesz tu skórę wilczą, najdziesz tu i lisią;
Jedno się dobrze przypatrz, najdziesz lwią i rysią.
Wilk bierze potajemnie, a liszka się łasi,
Ryś cynkowatą sierścią swoję zdradę krasi,
A lew gwałtem wydziera, co ugoni, trzyma,
I szpik z kości wysysa, krew z ciała wyżyma.
Bowiem takich Judaszów są cztery narody,
Chocia nie wszytcy mają płomieniste brody.
Jedni rzeczy dostają sposobem tajemnym:
Ruszem[2]) to pospolicie zdawna zową ciemnym:
Ci są wilkom podobni: bo dobrego mienia
Z cudzej pracy dostają, jako wilcy z cienia.
Drudzy prośbą, pochlebstwem, abo też zmyślonym
Nabożeństwem biorą chleb ludziom omamionym.
Tych lisowi chytremu możesz przypodobić,
Iw podolski zawojek możesz ich ozdobić.
Bowiem lis już się chorym, już się martwym kładzie:
Jednak to czyni kurom i gęsiom na zdradzie.

---

[1]) Wielce.
[2]) Kradzież.

Trzeci rodzaj przemysłu podobien do rysia,
Bo włosem jarzębatym oszuka i Zysia [1]).
Ryś nakrapianą skórą fałsz i zdradę znaczy,
Bowiem oszust, jako chce, tak się przeinaczy.
Czwarty rodzaj tyraństwem i mocą narabia;
Tak cudzy pot i pracą do siebie przewabia.
A tę sektę, jeśli chcesz, ubierz w skórę płową,
W jakiej Hercules chodził, osobliwą lwową.
Z tych rozmaitych ladrów [2]) ten trzos urobiono
I framzą [3]) około stron cudnie ozdobiono...
Ach cóż takich Judaszów w domach i szpitalach,
W kościelech, na ratuszach i w książęcych salach,
Nie będęć ich mianował, lecz sobie odważę,
Iż ich wytknę przed światem i palcem pokażę.
Tknl się, bracie, jako tu żywności nabywasz,
Dla biednego pożytku i Boga zabywasz.
I tylekroć z Judaszem Christusa przedawasz,
Ilekroć nieprzystojnie imienia dostawasz.
Wej, jakoć się zaperzył, przypatrzcie się pilnie:
Drugi łaje poszeptem, gniewa się usilnie.
Drugi ondzie mknie z żółtym płaszczem do farbierza,
Ów z lisowatym wąsem czesze [4]) do barwierza [5]).
Wróć się bracie, ty i ów, a nie trać pieniędzy,
Wiemyć i tak, żeś dobry człowiek, daj się nędzy,
Nie po sierścić my znamy te Iszkarjothy,
Poznać po towarzystwie, kto jest z tamtej roty.
Najdziesz go, a on z Moszkiem i z Lewkiem przestawa,
A Christusa za srebro Annaszom przedawa.
Bliźniego oszukawszy, rzkomo go żałuje:
O gardło przyprawiwszy, w usta go całuje.
Teć więc miedzy pospólstwem zdawna były głosy,
Że się w żółci rad nosił Judasz złotowłosy:

---

[1]) Żyd, lichwiarz.
[2]) Łachmany.
[3]) Frędzlą.
[4]) Śpieszy.
[5]) Balwierz.

Głowa była ognista, jak pojrzał na tchorza,
Broda żółto-gorąca świeciła jak zorza.
Suknia na Apostole jako więć nad błoty
Pozorny [1]) kwiat zakwita, jakby miał być złoty.
I tak wszytek żółty był i szatą, i głową,
Przyświecał zwolennikom brodą krokosową.
Gdyby wyjrzał z dymnika, a tybyś miał chore
Oczy, widząc zdaleka, zawołałbyś: gore!
Lecz to plotki jak baczę: widziałem ja kosa
Żyda, Foxem go zwano, choć czarnego włosa,
Który wiele nędzników naczynił z bogatych,
Tak żółtowęsych jako białokurowatych.
Przetoż chytrej obłudy sierści nie przyczytaj,
Lecz kto z ludźmi nieszczyrze, Judaszem go witaj.
Gdy widzisz obłudnego, możesz mu rzec głosem
Chlusnął cię Iszkarjot nieboże swym trzosem.
Bowiem Worek Judaszów, jest chuć do cudzego
I zły sposób nabycia dobra niedobrego.

PIERWSZA SZTUKA WORKA JUDASZOWEGO Z WILCZEJ SKÓRY.

O pragnieniu urzędów abo dostojeństwa.
De crimine ambitus, sive de ambitione.

Czemu kłopot kupujesz, biedny darmochlubie?
Przecz te kruczki [2]) od ciebie ten Elector [3]) skubie?
Schowaj dzieciom, nieboże; nie czyń sobie szkody,
Zażywaj tak z pokojem domowej swobody.
Chowaj z halabartami Ładysławy święte,
Chowaj płaskie, i owe na sznurku przegięte,

---

[1]) Jaskrawy.
[2]) Datki, pieniądze.
[3]) Wyborca (łać.).

Przewyciężysz, nieboże, leones et linces[1]),
Maszli owę monetę in hoc signo † vinces[2]).
Maszli matrem gratiae[3]), chowaj ją nabożnie,
Patronam Ungariae[4]) wywięzuj ostrożnie;
Nie daj ślicznej monety, nie daj swego potu,
Nabywając w urzędzie pewnego kłopotu;
Kupisz sobie rzecz trudną i barzo przeciwną,
Lepiej snać po staremu zostać liczygrzywną!
W Rzymie, tam nie żal było candidatem zostać,
Gdybyś mógł tak zacnemu urzędowi sprostać.
Bo tam co Consul to król, Dictator Cesarzem:
A my się tu o lada urzędzinkę swarzym.
U Rzymian trzymał jeden całą prowincyą,
Azyą abo Egipt abo Sycylią:
Afrikę, Hiszpanią, Niemce, Brytannią,
Illirik, Pannonią i Macedonią:
Phenicią, Karyą lubo Cilicią,
Palestinę, Araby, Indy, Armenią,
Persy, Party, Phrygią, Mesopotomią.
Ponty, Kappadocyą, i Paphlagonią;
Licyą y Thracią, Lydyą obfitą,
I Scytyą Rzymianom zawsze niepożytą.
Wyspy morskie, Libią, Poeny, Numidią,
I sąsiadę Gallią, matkę Italią,
Tam było co rozdawać, było o co prosić,
Był świat wszytek pod mocą, było skarbów dosyć;
Przeto chudy mieszczanin niedarmo się łasił,
Niedarmo swoję dzielność i zasługi krasił.
I gdzie było potrzeba, nie żałował złota,
Kiedy więc nie do końca znaczna była cnota,
Nagrodziło mu się to, gdy radziectwa dostał,
Chociaż censorem rzymskim, choć praetorem został.

---

[1]) Lwy i rysie.

[2]) Pod tym znakiem zwyciężysz.

[3]) Matkę łaskawą.

[4]) Opiekunkę Węgier. (Wszystko to monety z wizerunkami świętych.)

Nie żal wędy i glisty, nie żal złotej sieci,
Gdy się w matniej na brzegu złoty łosoś świeci.
Są jeszcze i dziś wolne Rzeczypospolite,
Gdzie ma wielmożny senat dochody obfite.
Nikt mu tego nie zajźrzy, nikt mu nie wydziera,
Głupia i słaba zazdrość próżno nań naciera;
Gdzie to jeszcze i dziś jest, i było jak żywo,
Iż sobie mówią: pódźmy na zołote żniwo,
I dziś miedzy chciwymi są takowe głosy,
Żnimy złotą pszenicę, żnimy złote kłosy:
Dójmy Rzeczpospolitą, rzeżmy złota grona,
Wszak bogata winnica, nabrane wymiona.
W takowych mieściech możesz abo się zbogacić,
Możesz też sławę, nawet i duszę utracić.
Lecz też możesz objaśnić na onym urzędzie
Cnotę, zasługi, dzielność, i sprawy twe wszędzie:
Możesz zbawienia dostać, żyjeszli pomiernie,
Służyszli bez łakomstwa ojczyźnie swej wiernie.
I tam być candidatem, chodzić w białej szacie,
Tam być i prensatorem nie żal, panie bracie.
Nie żal się kłaniać starszym, możnym i patronom,
Obieraczom urzędnym i plebistribunom.
Ale w takowych mieściech, gdzie lichota wieczna,
Tam twoja ambitia jest niepożyteczna.
A zwłaszcza gdzie podwoda, gdzie burmistrz formanem,
Już będzie kłopotarzem, nieborakiem, panem.
Zawsze kwili sąsiady, ustawnie wydziera,
Chude szkapy, nosate, z obory wywiera,
Czasem sobie z przystojną powagą zasiędzie
Na ratuszu, na sprawach, na swoim urzędzie:
A przed nim cudzoziemcy stoją; Lubeczanie,
Włoszy, Prusowie, Niemcy i Noremberczanie,
Gdy się strony o wielkie summy rospierają,
Sędziowie się z powagą swą rozpościerają;
Burmistrz dekret feruje, strony się uciszą:
Bo im idzie o wielką; drudzy w acta piszą;

A wtym wnidzie podwodnik: Burmistrzu, daj koni
Na podwodę. Lękną się cudzoziemcy oni,
Patrzą, co się to dzieje: a pan się porywa,
Czasem nieborak burmistrz i szwanki obrywa:
Wstydzi się obcych ludzi, jakoby go z stołu
Zrzucił, abo z kobierca, z radskimi pospołu.
Cóż mawa bracie czynić, już dalej nie wiewa.
Podobno tu przyjdzie iść od sądów do chlewa.
Szukać koni po stajniach, odbieżawszy onych
Gdańszczan i Wrocławianów bardzo potrwożonych.
Na drugie burmistrzostwa włożono szarwarki [1]),
Miasto rządów i sądów pilnują grabarki;
Kiedy ondzie na wiosnę poczną się rwać stawy,
Już tu, panie burmistrzu, połóż insze sprawy,
Już tu bracie z barłogiem, i z gnojem napierwej
Mykaj, niźli się zejdzie pospólstwo do przerwy: [2])
Jeśli po czasie przyjdziesz (niestety na świecie)
Odniesiesz od starosty korbaczem po grzbiecie.
Czasem poczczą burmistrza, iż pług jego przodkiem:
Wyjeżdża na pańszczyznę a radzieckie środkiem,
Prostacy na ostatku. Burmistrz naprzód śpiewa
Onę piosnkę oracką, pospólstwo opiewa,
A panu miło słuchać onego nieszporu,
I tak się wlecze codzień k samemu wieczoru:
Radby miał Wenecyą z miasteczka, lecz duka
Chce, by mu rolą orał, nie leda to sztuka.
Przeto nie wiem, co to wżdy kupujesz nędzniku,
Nie wiem, jak na tym xięstwie wytrwasz niewolniku.
Więc i ów w wielkim mieście burmistrzostwo kupił,
Żeby, co dał wyborcy, na drugich wyłupił.
Przedawa sprawiedliwość, bierze za nię dary:
Bowiem też urzęd kupił drogo, aż bez miary.
Mowi, że go obrano z godności, z zasługi:
Ano dobrze nie umie i pacierza drugi.

---

1) Roboty przy drogach.
2) Do przerwanej grobli.

Judaszów mu na myśli on nienasycony
Mieszek: do tego zdobycz niesie z każdej strony.
Ten handel mało lepszy jest, niżeli owo
Sacrilegium[1]) abo kupno Judaszowo.
Przeto do tego worka zchowaj ambitią,
Lecz też tu możesz włożyć księżą simonią.
Bo który się łakomiec bawi świętokupstwem,
Ten się też brzydkim będzie bawił świętołupstwem.
Ci, co kupują urząd i ci, co przedają,
Oba Judaszowego cechu się trzymają:
Musim Żydy jednako i Judasza winić;
Ci kupili Christusa, ów go śmiał zacenić.
Była lex Calphurnia, lex Julia potym
De ambitu: jak świadczą stare prawa o tym:
Kto sztuką abo kupnem, na urzędy wchodził,
A tym Rzeczpospolitą fortelem podchodził,
Ten bywał prawnie karan od Rzymianów onych;
Przepadał pewną winę, sto złotych czerwonych.
Dziś nie pytają, jako kto na urząd wchodzi,
Kiedy mu już Elector łakomy dogodzi.
Rozumiej go jako chcesz, a on przecie panem,
Choć za dary, za złoto plugawie obranym.

O PRZYCZYNACH WSZEGO ZŁEGO, to jest o próżnowaniu, rozkoszy i z nich pochodzącym ubóstwie.

...Pódźmyż do mąk cielesnych, które więc odnoszą
Złodzieje przekonani, ani się wyproszą.
Złodzieja niedorosta naprzód rózgą karzą:
A wtóry zaś odchodzi z pryskowaną[2]) twarzą.
Czasem też krwawą brózdę przez plecy napiszą:
A przecie się źli ludzie złodziejstwa nie liszą.
A przyjdzieli trzeci raz, już tam więc nie uchem,
Nie skórą, nie włosami, lecz przypłaci duchem.

---

[1]) Świętokradztwo.
[2]) Napiętnowaną

Już tam nie będzie chłostą karany brzozową:
Karzą go trzecim razem śmiercią powrozową.
Już go na zgubne imię do więzienia dadzą,
W manelle go ubiorą i w kajdany wsadzą.
Często w drewnianej sieci i w dziurawym płocie[1])
Uwiężnie więc nieborak i bywa w kłopocie.
Obleczony w dębinę za ręce, za nogi,
Czeka srogiej spowiedzi nieborak ubogi.
Więc go cieszą: wynidziesz, wynidziesz nieboże,
Jedno się chciej polepszyć, Bóg ci dopomoże.
I wynidzieć poprawdzie: lecz na on świat z tego;
Krótka pociecha bywa, słaba radość jego.
Ali o wtórej abo o trzeciej godzinie
Już nierad gościom będzie i takiej nowinie:
Przyjdzie wójt z ławicą swą, a tudzież za nimi
Kat ogniem uzbrojony z instrumenty swymi.
Naprzód więc urząd: Bracie, jakoć imię? pyta;
A skądeś? Tymi słowy naprzód go przywita.
Jako ojcu i matce imię i przezwisko?
Gdzie, a pod którym panem mają swe siedlisko?
Tak ubodzy rodzicy, chocia nie ich wina,
Mają żal i zelżywość z nieszczęsnego syna.
Do złodziejskich rejestrów często ich więc piszą:
I często dla złych dzieci urąganie słyszą,
Uczcież się tedy dzieci swe karać ojcowie;
Uczcie się i wy starszych słuchać mołojcowie,
Byście nie przyszli na punkt, na ten, gdzie już owo
Poczną łektać pachołka, chocia mu niezdrowo,
Gdzie już każą mistrzowi pytać, nie folgować,
Mówiąc: powiadaj prawdę, a nie daj się psować.
Który, już tu zażywa katowskiego prawa,
A już niemiłosierna zacznie się tu sprawa.
Złoczyńcę nieboraka wyciągną na szrobie,
A on woła żałośnie na straszliwej probie:
Powiem, powiem, pofolguj! Więc i powie drugi,
A niektórzy wytrwają mękę przez czas długi.

---

1) Dyby.

Wyciągną go jak stronę, wywrócą łopatki,
A on plecie i swoje i cudze niestatki.
Drugi zęby ścisnąwszy, cierpi boleść mężnie;
Choć go nielutościwy ciągnie mistrz potężnie,
A jeśli tak nie mogą prawdy się domacać;
Muszą się już do inszych sposobów obracać.
Gdy tak złoczyńca będzie cierpliwym w tym boju,
Już tu musi do ognia, już musi do łoju.
Już pójdą według prawa z wójtowskich wyroków
Prawdy się wywiadując, z świecami do boków.
Już tu inszą zaśpiewa, powie gdzie, co, komu,
Kiedy a wiele umknął w mieszku, w gumnie, w domu,
W polu, w sadzie, w ogrodzie, w chlewie i oborze,
W tasu [1]), w sklepie, w stodole, w spiżarni, w komorze;
Z tymże go testamentem do sądu przywiodą,
Nazajutrz, wykolą mu oczy cudzą szkodą;
A jeźli się będzie przał, — znowu do ciemnice,
Tam już musi powiedzieć wszytkie tajemnice,
Kiedy mu zastrupione urazy odnowią,
Jak stawy naruszone, tak boleść ogniową.
Będzie męczon tak długo, aż jednako powie:
Aż się niepłochy urząd jasnej rzeczy dowie.
Zatym pytają mistrza, co taki zasłużył,
Który biorąc tajemnie, w cudzych dobrach płużył.
Odpowie mistrz sądowi swą katowską mową,
I wyda sentencyą one swą surową:
Iż ten człowiek cudze brał, korzyścił, umykał,
Do czego prawa nie miał, tego się dotykał,
Przeto go ja tak skarzę za jego zasługi,
Że więcej nie będzie brał, wezdrgnie się i drugi,
Bo tak taką robotę płacą w mojej szkole:
Wyprowadzę go naprzód w przezrzoczyste pole;
Zawieszę go na onym wysokim ślemieniu [2])
Aby więcej nie szkodził ludzkiemu plemieniu,

---

[1]) Buda kramarska.
[2]) Ślemię — belka.

Miedzy niebem i ziemią, gdzie go ptak przeleci
I podleci: karzże się i drugi i trzeci.
Tak mówi mistrz. A sędzia dekretem nakaże:
Małodobry, skarz go tam, jako prawo każe.
A nad prawo nic nie czyń. Tamże na ratuszu
Przeprasza kat pod pierzem w bucznym kapeluszu,
Straceńca nieboraka: przepuść mi dla Boga,
Tu przed sądem gajonym, niż wynidziem z proga,
Co z tobą czynić będę; nie ja ciebie tracę,
Ale twoje uczynki, któreć teraz płacę...
Potym mu go ceklarze do ręku podadzą:
A cechowie go zbrojni śrzodkiem poprowadzą;
Zbierze się koło niego ludzi wielka rota,
Przed miasto, gdzie na on świat zgotowano wrota.
Potym go małodobry na górę wprowadzi
I na ostatnim szczeblu, już się tu zasadzi,
Mów bracie: Jezus, Jezus, Jezus; tym imieniem
Zamkni swój świat i żywot, uzbrój się znamieniem
Jego męki. Zatym go, uwikławszy w sidle,
Zepchnie i odbieży na onym dusidle.
Szubienicą to zową, więc tak będzie wisiał
Na wietrze i na deszczu będzie się kołysał.
Bez pogrzebu i onej ostatniej posługi,
Będzie wiatrom bezecne igrzysko czas długi.
Więc się tam wronka pasie koło dusienice,
A kruk ledwo skrzepłemu ma się ku źrzenice.
Takać jest nieborząt złodziejów zapłata,
Tak niepoczciwie zwykli zchodzić z tego świata.
Strzeżże się próżnowania, poduszki szatańskiej,
Nie stój próżno, pódź robić do winnice pańskiej.
Bowiem na próżnowanie jeśli się tak udasz,
Wiedz, iż już serce twoje opanował Judasz.
Wiedz o tem panie Zmuda, wiedz Dybiwieczorku,
Żeś w Iszkaryotowym szachowanym worku.

CZWARTA I OSTATNIA CZĘŚĆ WORKA JUDASZOWEGO.

O lwiej skórze.

Strach o tej skórze pisać; bo to groźbą, strachem
Narabia, iż tak mówić mam prostym odmachem.
Więc mamli o niej pisać, namyślę się zatym,
Bym się zaś nie uprzykrzył Judaszom zębatym.
A na ten czas odchodzę; wrócę się do srogich,
Czoło zmarszczywszy, nauk, do swych zabaw drogich.
A wy za skarb Judaszów kupcie dla pielgrzymów
Rolą jaką; a z tym tu czynię koniec rymów.

POŻAR WOJNY TURECKIEJ

upominanie do gaszenia i wróżka o upadku mocy tureckiej.

. . . .

Upaść już, upaść tureckiej stolicy!
Trąbcie siódmy raz, wierni bojownicy,
Niech na trąbienie upadnie tyrańska
Władza a sceptrum i moc ottomańska,
Jako Hierycho upadło od krzyku,
I od głośnych trąb, nie bywając w szyku.
Niech się ulęknie Chrysta, lwa mocnego,
Grubość pogańska i ryku strasznego.
Teraz już serca, teraz mocy trzeba,
Nie szanować się, a posiłku z nieba
Wołać. Choć stokroć już odważyć sobie
Umrzeć dla Pana, wziąć miecz w ręce obie.
Ręczne pioruny już krzosem zapalaj,
Mężny rycerzu, a wojsko powalaj
Podziurawione, nie strzelaj daremnie,
Nie psuj ołowiu i prochu nikczemnie.
Brzytwą golone, zdejmuj łby pogańskie,

Siecz ostrzkiem i kol sztychem w imię pańskie;
Ścinaj, przeszywaj, obcinaj, brodź w jusze,
Dław jako muchy, a posyłaj dusze
Cmę do Plutona; z sajdaków dobywaj
Strzał hartowanych, kąp się we krwi, pływaj
W mordziech pogańskich; wspomni Najwyższego
Krzywdę Jehowy i też najmilszego
Chrystusa jego. Wspomni pomieszane
Światłości z prochem, nogami deptane,
Wsi popalone, splondrowane domy,
W pogańską stronę zaniesione plony
I łzy daremne więźniów spracowanych,
Chorych i letnich, srodze mordowanych;
Sprosną wszeteczność, białogłowskie głosy,
Przebijające pod same niebiosy,
Proszenie o śmierć, trapienie ciał wolnych,
Harde naśmiewców bluźnienie swawolnych,
Częste uszczypki wiary naszej, gdzie sam
Od niewierników zelżon jest Chrystus Pan.
To przed się biorąc, rycerzu cnotliwy,
Weź się za ojcem, jako syn prawdziwy,
Już się nie żałuj, już tu sercem całym,
Czyń o ojczyznę i umysłem śmiałym.

. . . .

Ks. Stanisław Grochowski
(1542—1612).
Kasper Miaskowski
(1553—1622).

Pod koniec wieku XVI-go liczba poetów w Polsce wzrasta, coraz rzadziej jednak zjawiają się wśród nich wybitniejsze osobowości twórcze. Jest to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Zaszczepiona społeczeństwu przez Kochanowskiego kultura wydaje owoce. Pisanie w języku ojczystym staje się powszechnem. Człowiekowi wykształconemu i mającemu pod ręką znakomite wzory do naśladowania coraz łatwiej posługiwać się mową wiązaną. Wiersz potrafi napisać niemal każdy szlachcic, niemal każdy ksiądz, chociaż mu do tego, aby prawdziwym być poetą, daleko. Tędy prowadzi też nieomylna droga od poezji do wierszoklectwa, stanowiącego swoistą cechę XVII-go stulecia.

Zanim to jednak nastąpiło, zanim proza wiązana zatopiła literaturę polską i zabiła twórczość poetycką na lat sto z okładem, bo aż do czasów Stanisławowskich, na przełomie wieku XVI-go z XVII-ym świeci jeszcze drugorzędnym wprawdzie, ale niezaprzeczonym blaskiem kilka talentów, godnych uwagi i pamięci.

Wśród nich budzi przedewszystkiem ciekawość jako człowiek, potem dopiero jako pisarz, ks. Stanisław Grochowski.

Grochowski, jak ustala prof. Korbut, pochodził z rodziny Wierzbowskich, którzy się od wsi Grochy (na Podlasiu) przezwali Grochowskimi. Była to rodzina drobnoszlachecka, pieczętująca się herbem Lubicz, gdy stara ziemiańska rodzina tegoż nazwiska, wywodząca się od Jana Grochowskiego, kasztelana przemyskiego (1382), miała za klejnot herbowy Junoszę.

Kiedy i gdzie Stanisław przyszedł na świat, nie wiemy. Udało się jedynie stwierdzić, że ojciec jego miał na imię Piotr i że był niezamożnym, prawdopodobnie zaściankowym szlachetką. Rok urodzenia poety przyjąć możemy za prof. Windakiewiczem, który odwołuje się do aktów konsystorjalnych kardynalskich w Rzymie, na rok 1542-gi. Co zaś do miejsca urodzenia, to z faktu, iż poeta pobierał nauki w Pułtusku, wnosić można, iż kolebka jego stała niedaleko brzegów Narwi.

O niezamożności rodziców poety świadczy opieka, jaką roztoczył nad nim arcybiskup Uchański, na którego koszt młody Stanisław do szkół uczęszczał. W nauce był opóźniony, w kolegium pułtuskiem widzimy go bowiem dopiero około roku 1570-go, a więc mniej więcej w 30-ym roku życia.

Około roku 1573-go został kapłanem. W roku 1577-ym był kanonikiem uniejowskim a następnie kaliskim, potem łowickim. W roku 1595-ym zostaje proboszczem czerskim.

»Z aktów konsystorskich warszawskich i poznańskich — mówi prof. Pilat — okazuje się, że beneficja brał głównie dla dochodów, a zaniedbywał swoje obowiązki kapłańskie; nadto, kłótliwy i skłonny do pieniactwa, procesował się ciągle to z mieszczanami Warty (miasteczko koło Uniejowa) o dawne daniny w zbożu, to z innymi księżmi«. Wywnioskować z tego można, że w dostatki nie opływał, że intraty jego musiały być małe i zgoła nie wystarczające na zapewnienie mu możności

pracy literackiej, do której już był czuł wówczas pochop niemały i w której, zachęcony powodzeniem, jakie zyskały jego pierwsze poezje, zasmakował na dobre.

Prof. Pilat przypuszcza, że z tych właśnie »ciasnych stosunków«, w jakich zamknęła go prebenda czerska, usiłował wydobyć się na świat szerszy »za pomocą swego pióra«.

Rozwinął wówczas rzeczywiście »czynność rozległą i pracę gorączkową, rozrzucając na wszystkie strony wiersze okolicznościowe i panegiryki dla pozyskania łaski króla lub innych dostojników. Jest to chwila niezwykłej jego płodności literackiej; pisze mnóstwo drobnych wierszy na cześć króla i jego rodziny, ogłasza cały szereg innych utworów treści świeckiej lub religijnej, które dedykuje najrozmaitszym dygnitarzom kościelnym i świeckim«. Imię jego staje się głośnem, znanem i cenionem, ale próba zrobienia »świetniejszej karjery« zawodzi, a to zdaje się z powodu bardzo przykrego i smutnego dla Grochowskiego wypadku, który »wplątał go w konflikt z niektórymi dostojnikami kościelnymi i bardzo szkodliwie wpłynął na dalsze losy poety«. Wypadkiem tym było »wystąpienie jego w roku 1600-ym z głośną swojego czasu Satyrą, a właściwie pamfletem p. t. »Babie koło«.

Była to właśnie chwila — opowiada prof. Pilat — w której zawakowały dwie najznaczniejsze stolice biskupie, krakowska i kujawska, a cały szereg kandydatów, zwabionych nadzieją dostąpienia tak świetnych stanowisk, ubiegał się o nie, używając wszelkiego rodzaju protekcyj, intryg a nawet przekupstwa. Głównymi kandydatami na biskupstwo krakowskie, o które największa toczyła się walka, byli: Jan Tarnowski, biskup poznański, Piotr Tylicki, podkanclerzy i biskup warmiński, Wawrzyniec Goślicki, biskup przemyski, i Wojciech Baranowski, biskup płocki; prócz tego nie brak było jeszcze innych, młod-

szych i pomniejszych kandydatów (Firlej, kanonik krakowski, Kazimirski, biskup kijowski, i inni).

Otóż Grochowski napisał właśnie w chwili najgorętszej walki swoje »Babie koło«, gdzie przedstawił naradę bab kościelnych krakowskich nad obsadzeniem biskupstwa i, schłostawszy ostro Tarnowskiego, a innych zręcznie, jako nieodpowiednich lub niemożliwych odsunąwszy, polecił jako jedynie godnego kandydata, Bernarda Maciejowskiego. (Wszystkie zatem swym Biernatem nie wzgardzajmy! Temu dajmy w rząd krakowską trzodę boską dla cnót jego — godzien tego«). Pamflet ten, napisany bezimiennie i niedrukowany, ale rozrzucony w licznych odpisach, narobił wiele hałasu i rozdrażnił bardzo mocno wielu wpływowych dostojników kościelnych. Co mogło skłonić Grochowskiego, że wmieszał się nagle w tę walkę, trudno stanowczo rozstrzygnąć. Być może, iż dał się porwać wrodzonej (?) skłonności satyrycznej, może pod wpływem rozgoryczenia i zawiedzionych nadziei co do swojej osobistej karjery, ale wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, że działały tu przedewszystkiem ogólniejsze czynniki, a mianowicie chęć poparcia zabiegów Jezuitów, którzy w cichości i tajemnicy pracowali nad nominacją Maciejowskiego i za wpływem Skargi potrafili skłonić Zygmunta III-go do wyboru tego kandydata.

Tendencja »Babiego Koła«, zgodna z planem jezuitów, i ścisłe z nimi stosunki poety świadczą, zdaniem prof. Pilata, wyraźnie o związku tego wiersza z równoczesnem działaniem zakonu; niewiadomo tylko, czy Grochowski z własnej woli napisał pamflet w celu przysłużenia się zakonowi, czy został do tego podmówiony. Wystąpienie to wywołało wielką burzę. Wyśledzono, że Grochowski jest autorem, i już z początkiem marca 1600-go roku wytoczono mu proces w imieniu biskupa poznańskiego, Tarnowskiego, do którego jurysdykcji należał poeta. Przyłączył się do tej skargi także biskup płocki,

Baranowski. Do sądu, który odbywał się w Warszawie, powołano z polecenia Tarnowskiego czterech księży z diecezji poznańskiej, płockiej i lwowskiej. Ciekawe szczegóły procesu podaje Łukaszewicz na podstawie aktów konsystorza warszawskiego.

W śledztwie, odbytem dnia 10 marca 1600-go roku, zeznali zaprzysiężeni świadkowie, że Grochowski, przyjechawszy do Warszawy, pisał swój wiersz w nocy u Jana, wikarjusza kolegjaty warszawskiej, u którego zamieszkał; dalej, że przez następnych kilka nocy kazał chłopcu Walentemu, będącemu w jego usługach, przepisywać go w wielu egzemplarzach, a w celu rozpowszechnienia odpisów używał innego chłopca, który odpisy te przedawał »za bułki i pierogi z kapustą«, i nadto rozrzucał je między studentami w szkole kolegjaty warszawskiej. Według świadectwa rektora tej szkoły miał nawet Grochowski zajść sam do szkoły i poprawiać niektóre miejsca.

Na podstawie śledztwa instygator oskarżył go o autorstwo pamfletu »Babie koło«, wymierzonego przeciw biskupom, tudzież o autorstwo jeszcze jakiegoś innego, nieznanego nam pisemka łacińskiego, znieważającego jakoby majestat królewski, i zażądał kary za to przestępstwo, zgodnej z ustawami krajowemi i kanonicznemi publicznego odwołania potwarzy, wreszcie, w celu przeszkodzenia ucieczce — aresztowania oskarżonego.

Grochowski przyznał się tylko do autorstwa »Babiego koła« i zaprotestował przeciw aresztowaniu. Na prośbę jego, po złożeniu przysięgi, że się zjawi w dniu oznaczonym, wyznaczono mu nowy termin. Jaki był dalszy przebieg procesu, dokładnie niewiadomo, gdyż na tem urywają się akty sprawy.

Zdaje się jednak — przypuszcza prof. Pilat — że Grochowski znalazł jakichś wpływowych protektorów, którzy wdali się w sprawę i starali się ją załagodzić

i umorzyć (może jezuici); zresztą sam fakt nominacji królewskiej, która właśnie nastąpiła i Maciejowskiego wyniosła na godność biskupią, ostudził prawdopodobnie gniew przeciwników poety-satyryka. Skończyło się bowiem na tem, że tylko »za zaniedbanie obowiązków kapłańskich« odebrano mu probostwo w Czersku.

Poeta znalazł się bez środków do życia i, prawdopodobnie, z litości otrzymał w roku 1601-ym kustodję kruszwicką. Tam, jak pisze ks. Drozdziewicz, »ciągle narzekał na niedostatek, bo tej prelatury szczupły dochód nie był dostatecznym na zaspokojenie jego potrzeb, który, jak sam mówi: wystarczyłby mu jako poecie, gdyby mu go kustosz nie zjadał.

W rzeczy samej wioska Piecki Małe pod Kruszwicą, nakształt wyspy wodą oblana, gdzie miał stałe mieszkanie, do jego kustodji należące, jeżeli ją wioską nazwać można, wielkiego dochodu przynosić mu nie mogła, albowiem miała niewiele (»spłacheć«) pola nieurodzajnego, wilgotnego, i trzech tylko poddanych. Sama uprawa takiego gruntu, aby wydał plon obfity, potrzebowała nakładu, pilności, troskliwości i zabiegliwości gospodarza, czego od poety, oddanego wierszom i dosyć często robiącego wycieczki w różne strony kraju, rozwożącego swoje poezje i już przebywającego w Toruniu, już w Krakowie, żądać było niepodobna«.

Z tej ciężkiej sytuacji, która bynajmniej twórczości poetyckiej nie sprzyjała, a budzić raczej mogła gorzkie rozpamiętywanie na temat doznanych w życiu zawodów, wybawiła Grochowskiego protekcja biskupa Maciejowskiego, który w uznaniu, iż on to poniekąd stał się przyczyną zwichniętej karjery starzejącego się już kapłana, sprowadził go do Krakowa, zapewniając mu swą opiekę i obiecując odpowiednie stanowisko. Przez lat 6, w których ciągu Grochowski pozostawał w Krakowie pod bokiem Maciejowskiego, mógł istotnie w sprzyjającej, pełnej

podniet literackich atmosferze tworzyć swobodnie. Z prawdziwym też zapałem zabrał się do pracy i okres ten należy do najpłodniejszych w jego działalności poetyckiej. Stanowiska jednak i tu się nie doczekał. W roku 1607-ym umarł jego protektor, Maciejowski, a chociaż następca jego na stolicy krakowskiej, Tylicki, zatrzymał Grochowskiego przy sobie, to jednak poeta wkrótce musiał stracić nadzieję na ustalenie swojego losu, w dwa lata bowiem potem, w roku 1609-ym, opuszcza Kraków i powraca do swojej kustodji kruszwickiej, osiadając w Małych Pieckach, skąd wyjątkowo tylko wyjeżdża do Torunia.

»Co go do tego skłoniło — mówi prof. Pilat — niewiadomo. Może nadzieja, że będzie zostawał pod protekcją dobrodzieja swego, Pstrokońskiego, który w roku 1608-ym został biskupem kujawskim, a więc bezpośrednim jego zwierzchnikiem, może zaś poczucie obowiązku, ażeby pod koniec życia działać na swojem beneficjum«.

I jedno i drugie przypuszczenie ma pewne cechy prawdopodobieństwa, najpewniej jednak przyczyną tej ucieczki do samotni kruszwickiej była zbliżająca się starość, znużenie życiem i niefortunna walka z losem, wreszcie przeczucie zbliżającej się śmierci.

Istotnie, niedługo, bo w niespełna trzy lata potem, dnia 30 stycznia 1612-go roku, Grochowski umarł w Krakowie, gdzie zjawił się przypadkowo, niewiadomo w jakim celu.

Śmierć jego opisana jest dokładnie w historji bractwa Wniebowzięcia N. M. P., ale, jak sądzi prof. Pilat, »nie bez pewnej, zgóry powziętej, intencji przedstawienia jej jako wzoru godnego naśladowania«.

Nie przecząc, że mógł rzeczywiście umierać wzorowo, jak na kapłana chrześcijańskiego przystało, na podstawie pism jego dochodzimy jednak do wniosku, że życie jego wzorem do naśladowania nie było.

Z licznych jego utworów, które wypełniają dwa po-

kaźne tomy, wygląda ku nam oblicze, mało posiadające rysów, właściwych poetom. Niema tam ani silniejszych drgnień serca, ani porywów namiętności, ani prawdziwego bólu i cierpienia. Jest natomiast wyrachowanie, cecha ludzi, którzy żyją raczej w kręgu aspiracyj materjalnych, zdaleka od ideałów. Inna rzecz, że temu »wyrachowaniu« nie towarzyszył dostateczny spryt życiowy, dostateczna umiejętność wyzyskania na swoją korzyść okoliczności i stosunków. Przeciwnie, szło z tem w parze jakby pewne niedołęstwo, pewna niezaradność życiowa i to jedynie przemawia na korzyść poety, to pozwala w nim uznać człowieka, który naprawdę z muzami musiał mieć do czynienia.

Wiemy od jego biografów i od niego samego (»Na północne kurowe pianie«), że pisał po nocach, zrywając się ze snu. Musiał więc wówczas miewać chwile podnieceń twórczych, które jednak rychło zabijała w nim łatwość pisania wierszem. Rodziła się więc nie poezja, ale wiersze. Wierszy tych miał pełną głowę i sypał niemi, jak z rękawa.

Pisał zawsze z celem powziętym zgóry. Nie śpiewał »muzom a sobie«, jak Kochanowski, ale ludziom i chwilom, wybranym zawsze z widokiem na korzyść własną. Był w całem tego słowa znaczeniu pochlebcą, panegirystą, który za wszelką cenę pragnął zwrócić na siebie uwagę. W kołczanie swoim miał pełno strzał, które z łuku swojej poezji wypuszczał nieustannie w stronę tarczy, jaką stanowił dla niego ten lub ów inny domniemany protektor. Niestety, nie trafiał nigdy.

Dlatego na podstawie całej jego twórczości mamy prawo sądzić, że nie był, jak to upatrują niektórzy, urodzonym satyrykiem, który tę satyrę trzymał na wodzy, bo raz oparzony na gorącem, dmuchał potem na zimne, ale że nawet najlepsza i najprawdziwsza z jego satyr, owo niefortunne »Babie koło«, wcale nie wypływało

z założeń satyrycznych, ale miało za podstawę zamiar schlebienia Bernardowi Maciejowskiemu i pozyskania sobie jego względów, jak również względów popierających go jezuitów. Satyrą utwór ten stał się raczej z przypadku, przez zbytnie nagromadzenie cieniów dla tem większego uwydatnienia jednego światła.

Gdyby Grochowski był satyrykiem urodzonym, to, nawet doznawszy ostrej za to chłosty losu, nie byłby potrafił zakneblować sobie ust na całą resztę życia, to igła satyry byłaby błysnęła częściej, niż się to stało w późniejszych jego utworach. Nauczony gorzkiem doświadczeniem nie byłby może tych utworów drukiem ogłaszał, ale byłyby one zostały po nim w rękopisach, byłyby się stały naszą, spadkobierców jego puścizny literackiej, własnością. Tymczasem w puściźnie tej królują niemal wyłącznie panegiryki i wiersze religijne. Nawet wycieczki polemiczne są tam stosunkowo rzadkie.

Te dwa rodzaje poezji muszą tedy służyć za podstawę do charakterystyki literackiej ks. Grochowskiego.

Tarnowski, który sądzi go, jako poetę, bardzo surowo, może zbyt surowo z uwagi na jego zatarg z wyższemi władzami duchownemi, wywołany przez wystąpienie w »Babiem kole« właśnie przeciw biskupowi Tarnowskiemu, z dużą jednak słusznością i bezwzględną trafnością sądu zarzuca mu towarzyszącą jego poezji »okolicznościowość« — cechę, z którą sztuka prawdziwa po wszystkie czasy walczyć będzie z wiarą w prawdę słów Schillera, że »co ma żyć w pieśni, to musi wprzód w życiu zginąć«.

Zasady tej Grochowski nie znał. Pisał, jakby był dziennikarzem nowoczesnym, na gorąco, pod wpływem zdarzeń, pod znakiem »aktualności«. Nie pominął niczego i nikogo, byle tylko głos zabrać, byle powiedzieć osobom i kołom zainteresowanym, najwięcej dworowi i dostojnikom Kościoła: »jestem«, a zawsze w nadziei, że to zwró-

cenie na siebie uwagi będzie miało w skutku polepszenie losu.

»Wszystkie jego poezje, wesołe czy smutne — mówi Tarnowski — Elegje czy Epithalamia, wszystkie pisane są do kogoś, do jakiejś znacznej osoby, której powodzenie lub zgon poetę zdaleka tylko mogły obchodzić. Umiera królowa Anna, pierwsza żona Zygmunta III-go, Grochowski pisze »Pogrzebowe Plankty wszystkich prowincyj i stanów«, umrze Zamoyski, on znowu wylewa »Łzy smutne« w tysiącu co najmniej wierszy; śmierć kardynała Maciejowskiego wydobywa z niego żałosne Treny i t. d., a kiedy król Zygmunt przyjeżdża ze Szwecji, kiedy Maryna Mniszchówna wybiera się do Moskwy, on sypie wiersze pochwalne i od wszystkich wszystkim życzy. Nie potrzebuje nawet tak wielkich okazyj; byle Nowy Rok jest mu dostatecznym powodem, żeby życzyć w kolędzie »wszystkim, kto żyje w Koronie i Litwie, od króla począwszy«.

Gdybyż towarzyszyło temu szczere uczucie, dyskrecja, dobry smak i artyzm. Ale jakże daleko do tego Grochowskiemu! Mimo wyrobionej i gładkiej formy jest on, niestety, rozwlekły, monotonny, a przez to samo nudny. Wiersze jego mają niemal zawsze jeden i ten sam typ, jedną i tę samą fakturę »tasiemcową«. Zaznacza to Tarnowski, mówiąc, że w »Planktach na śmierć królowej Anny« płacze nad jej grobem naprzód Korona Polska, potem każda pokolei z jej prowincyj: Wielkopolska, Małopolska, Litwa, Ruś, Prusy, Mazowsze, Podlasie i t. d. aż do Inflant. Człowiek, mający cokolwiek zmysłu artystycznego, byłby poznał zgóry, że niełatwo mu będzie dla każdego inną skargę wymyślić i że te narzekania wpadną w powtarzanie. On jednak na tem, co już powiedział, nie przestaje, ale wprowadza jeszcze małego królewica Władysława, małą królewnę, potem dwór królowej, potem jej spowiednika, potem Warszawę, potem

Kraków, potem jeszcze Głos Pospolity, i to wszystko zosobna opłakuje i wychwala zmarłą, każde w kilkunastu, a nieraz kilkudziesięciu wierszach. Tego samego zwyczaju trzyma się w innych żalach nagrobnych. »Treny« na śmierć biskupa Maciejowskiego są najotwartszem naśladowaniem »Trenów« Kochanowskiego, a więc mają przed sobą wzór artystyczny, ale i tu poeta na swój sposób naprzód wzywa do płaczu brata, potem dwór kardynała, potem diecezję gnieźnieńską, krakowską, łucką, potem jezuitów, duchowieństwo całe, Akademję krakowską, ubogich, każde w osobnym trenie. Podobnie i w żalach »na śmierć Dobrocieskiego«.

Wszędzie zalewa nas potok łez, nie jednym, ale tyloma płynący strumieniami, że niewiadomo, gdzieby wśród tego potopu suche można było znaleźć miejsce, gdyby nie świadomość, że w rzeczywistości oczu poety nie zwilżyła ani jedna łza, że »żałował« on wszystkich na zimno, zgoła nie przejmując się stratami, które »opłakiwał«, bez śladu wzruszenia w głębi swojego poetyckiego serca.

Metodzie tego polipowego rozramieniania swoich uczuć nie sprzeniewierza się jednak Grochowski i wówczas, kiedy nie »płacze«, ale cieszy się i triumfuje.

Taką np. jest pieśń na ślub Maryny z Dymitrem Samozwańcem (Epithalamium). Radują się tam: naprzód wojewoda sandomirski, potem car Dymitr, młoda carowa, król, królewic Władysław, książęta Wiśniowieccy, Korona Polska, Moskwa i t. d.

Wszystko to nuży i męczy, dając przedsmak zaiste już barokowego »nadmiaru«, który dopiero znacznie później miał stać się cechą piśmiennictwa polskiego.

A jednak, pomimo te wszystkie braki, Grochowskiemu niepodobna odmówić talentu, jak to bezwzględnie czyni Tarnowski.

Czasem i na tych jego strunach zadźwięczy bowiem nuta, jakby zabłąkana z innego świata, dająca świadectwo, że poezja do duszy tej miała przystęp, tylko nieustannie ją coś stamtąd wypędzało, zabijały ją jakieś nieznane nam bliżej czynniki — może suknia kapłańska, może zbytnie liczenie się ze słuchaczami, czytelnikami, których smak wyrodniejący przechylał się już wyraźnie w zaraniu panowania Zygmunta III-go ku panegiryzmowi.

Zdaje się, że upartem marzeniem Grochowskiego było dostać się na dwór królewski, brać wogóle udział w życiu dworskiem i że na tem tle wytworzyła się w jego mózgu swojego rodzaju monomania, która tak niefortunnie kierowała jego piórem.

Wszędzie jednak, gdzie choćby na chwilę tylko wolny jest od myśli zrealizowania swojej poezji na łaskę królewską lub wielkopańską, na wybitne i intratne stanowisko, do którego tak tęsknił, najadłszy się biedy nie tylko za młodu, ale i później, na swojej kustodji kruszwickiej, wszędzie, gdzie tylko daje folgę czystszemu, własnemu uczuciu, staje się milszym, zrozumialszym i może być dzisiaj jeszcze odczutym przez nas.

Przykładem tego właśnie wyższego gatunku poezji jest pieśń p. t. »Hołubek albo dzieła rycerskie i śmierć nieśmiertelna jego«.

Gabrjel Hołubek był rotmistrzem kozaków litewskich. Sławę znaczną w Rzeczypospolitej zyskał z powodu męstwa wielokrotnie okazanego w wojnie moskiewskiej oraz później z powodu śmiałej wycieczki z Rabsztyna z górnikami olkuskimi na wojska posiłkowe arcyksięcia Maksymiljana, ciągnące od Wrocławia. Poległ bohaterską śmiercią dnia 24 stycznia 1588-go roku w bitwie pod Byczyną, przeszyty trzema kulami.

Grochowski przejął się snadź do głębi tą śmiercią, skoro zgon Hołubka upamiętnił swoim utworem, podno-

sząc w nim »sławę śmierci« i »drogie w niebie odpłaty« »tych, co ojczyzny bronią i słodkich wolności«.

Zwraca się przy tej sposobności do współczesnych sobie żołnierzy nie bez wyrzutu ze słowami przestrogi:

»Lecz jeśli chcecie tylko wieś ode wsi chodzić,
Ubogim chleb wydzierać, we krwi drugich brodzić,
Albo miasta plundrować; poczekajcie mało,
A ujrzycie, jak to wam będzie smakowało«.

I, stawiając im za wzór Hołubka, tak kończy:

»Wstydźcie się a szukajcie sławy na granicy,
Póki was nie poplącze ubóstwo, nędznicy!
Nie słyszycie, jako krew niewinna tych Ablów
Woła o pomstę na was: będziecie u djabłów.
Nie to rycerskie dzieła: Hołubka weźmijcie
Na przykład, którego tu przed sobą widzicie«.

Po tym wstępie, nacechowanym żywem obywatelskiem odczuciem prawych służb żołnierskich, zwykłym już sobie zwyczajem poeta przypisuje utwór »Jaśnie Wielmożnemu Jego M. Panu Leonowi Sapieże, kanclerzowi Wielkiego Księstwa Litewskiego, staroście Mohilewskiemu i Pernawskiemu etc.« i w przypisaniu tem zaznacza, już pochlebczo, że »Hołubek, nie chcąc leżeć w prochu zapomniany, wychodząc na świat, chce mieć za patrona swego« — Sapiehę.

Potem dopiero następuje sama pieśń, przeznaczona do śpiewu na nutę »jak o Chmielnickim«. Pieśń ta posiada niezaprzeczony wdzięk poetycki, jest prosta a szczera. Świadczy ona, że poeta przejął się naprawdę głęboko tym zgonem i dlatego nawet pewna przesada w wyniesieniu »miłością cnoty pijanego« Hołubka na stopień, równy rzymskiemu Scaevoli (»drugi słowieński Scaevola, kozak sarmackiego pola«), nie razi tutaj, ale wydaje się zupełnie na miejscu, jak na miejscu jest wyjęty jakby z mowy pogrzebowej, nawskroś retoryczny zwrot: »Zabiteś, lecz nie zabita sława twoja się rozkwita,

którą, póki świata, nigdy od czasu nie uzna krzywdy«.

To wrażenie dodatnie, które utwór po sobie zostawia, psuje jednak Grochowski natychmiast dodaniem do niego trzech »nagrobków«, z których zwłaszcza trzeci jest już zgoła niesmacznie zrobiony.

Mówiliśmy już o tem, że poezja autora »Planktów«, »Łez smutnych« i »Trenów« była okolicznościowa, a więc oparta zawsze o zdarzenia współczesne. Stąd można się w niej doszukać pewnych materjałów, cennych dla odtworzenia życia ówczesnego, pewnych szczegółów o znaczeniu niewątpliwie historycznem.

Nie wszystkie z nich są jednakowej wagi, a rozrzucone po licznych utworach poety, muszą być z nich dopiero wyłuskiwane i uwolnione od tego balastu panegirycznego, który je grubą warstwą pokrywa. Po dokonaniu tego zabiegu można na dobro Grochowskiego zanotować w księdze jego twórczości kilka pozycyj zupełnie dodatnich, że wymienimy dla przykładu wyjęty z rzeczy p. t. »August Jagiełło (Zygmunt August) wzbudzony« ustęp, opisujący dawne dwory pańskie, na których kształciła się i poloru nabierała młodzież szlachecka, a gdzie »wszytkich cnót bywały wzory: nic tam takiego nie było, coby onę młódź wzgorszyło«.

Ciekawą również ze stanowiska historji starej Warszawy jest napisana przez Grochowskiego »Skarga obciążliwa snu nocnego o swój i ludu pospolitego niewczas do przemożnego w północnych krajach pana Zygmunta Trzeciego, polskiego i szwedzkiego króla etc. po drodze szwedzkiej w Warszawie«.

Jak widać z tego utworu, Warszawa, która wówczas stolicą jeszcze nie była, ale chwilowo tylko gościła w swoich murach króla, jadącego z Gdańska do Krakowa, nie odznaczała się ciszą ani spokojem nawet w nocy. Kwitnął w niej na dobre bandytyzm, pełno było

napadów i rozbojów, tak dalece, że »zaczem i niewinnemu trudno w nocy komu w najpilniejszej potrzebie wyniść z domu«.

»Skarga« ta odniosła jednak doraźny skutek, z dopisanego bowiem później do niej post-scriptum dowiadujemy się, że król »kazał uprzątnąć nierząd z miasta tego, gdzie każdy musiał już strzedz poczciwego swego«, »ustały sprosne pieśni, ustało wołanie, nie słychać ani strzelby, ucichnęła zbrodnia, kto chce, może całą noc spać do białego dnia«.

Szerszą nieco charakterystykę społeczeństwa ówczesnego i jego wad odnajdujemy ponad spodziewanie w utworze p. t. »Żałosna Kamoena na powódź gwałtowną w r. 1605«. Rzecz ta napisana została z powodu gwałtownego wylewu Wisły w owym czasie i jest pierwszym w naszem piśmiennictwie obrazem powodzi tej rzeki, napisanym, jak autor nas objaśnia, »na wzór oracji św. Grzegorza z Nazyanzemu, która ma tytuł: In cladem grandinis«.

Za jego też przykładem, zgodnie zresztą z własnem przekonaniem, przyczynę tej klęski elementarnej, której towarzyszą nadto inne nieszczęścia, jak napady Tatarów, zaburzenia wewnętrzne i t. p., upatruje poeta w upadku obyczajów, w powszechnem zepsuciu i pogrążeniu się w grzechach, za które przyjść musiała kara Boska.

I rzecz znamienna. Uderza tu Grochowski silnie w struny już nam nieobce, pokrewne tym, jakie poruszały palce Reja i Kochanowskiego, widzących również dokoła siebie złowróżbne objawy rozkładu Rzeczypospolitej. Brzmi to chwilowo tak, jakby parafraza któregoś z sejmowych kazań Skargi. Musiał je poeta słyszeć, a w każdym razie znał je napewno, wygłoszone bowiem w roku 1597-ym na Sejmie warszawskim, w tymże roku wyszły w druku. Porwały one Grochowskiego, a uwielbieniu swojemu dla wielkiego kaznodziei dał on wyraz

w umyślnie napisanym utworze »Na kazania Skargi«, gdzie między innemi mówi:

»Jeśli masz, bracie, po temu baczenie,
Czytając, poznasz, jakie tu strumienie
Wód żywych płyną duszom ku ochłodzie.
Boże! omyj nas wszytkich w takiej wodzie!«

Wpływ. Skargi w niektórych ustępach »Żałosnej Kamoeny« jest niewątpliwy, chociaż dotychczas nie zwracano na to zgoła uwagi. Posłuchajmy tylko:

»Schorzało tego państwa wszytko ciało,
Zgasły, na których siła należało,
Gwiazdy koronne; hetman dziś, kto czuje,
Gdzie go wakuje (braknie);

Kto dla ojczyzny niesie na plac zdrowie,
Kto się do gardła przy prawdzie opowie,
Kto dziś, choć jasny błąd się oń ociera,
Usta otwiera?

Sami się z sobą tylko dziś waśnimy,
Koszt na hajduki na prasno (tak!) czynimy;
Nieszczęśni ludzie i bliscy zginienia
Z tych zajątrzenia.

Możniejszy dławi chudego, gdzie może,
Sieroty, wdowy żaden nie wspomoże,
Drugi przeorał kopce bratu swemu,
Cóż czynić złemu?« i t. d.

Wysoki ten ton obniża się wprawdzie w następnych strofach, ale sam już wyjątek przytoczony pozwala stwierdzić, że poczucie obywatelskie nie było Grochowskiemu obce, że nie był on, jak chce Tarnowski, tylko panegirystą, oziębłe i egoistycznie nastrojonym, ale że w sercu

jego tlały także iskry gorącej miłości Ojczyzny. Nic zaś nie mogło tych iskier łatwiej rozdmuchać w płomienie, jak natchnione słowo Skargi, z którym nadto łączyła Grochowskiego wspólność przekonań politycznych.

Ujawnia to również »Żałosna Kamoena«, w której poeta, jak słusznie zauważa prof. Pilat, występuje »jako zwolennik i obrońca władzy duchowieństwa i przewagi jego w sprawach politycznych i społecznych, a odrodzenie się państwa uważa za zawisłe od spotężnienia hierarchji kościelnej«. Zapatrywanie to zgodne jest najzupełniej z dążnościami współczesnego stronnictwa kościelnego, kierowanego przez Jezuitów, wśród których niepośledni rolę odgrywał Skarga.

Przekonania te Grochowskiego oparte były o głęboką i szczerą jego religijność. Nie dziw też, że poeta religijny góruje w nim nad poetą świeckim, mimo, że jego hymny kościelne nie są oryginalne, ale przekładane. Jest ich ogromne mnóstwo: (Hymny, prozy i cantica kościelne, Kraków 1599). Zdaje się — przypuszcza Pilat — że to kardynał Jerzy Radziwiłł zachęcił i namówił Grochowskiego do tej pracy. Dla potrzeb ówczesnego duchowieństwa katolickiego była to praca bez wątpienia wielkiej wagi, a i ze stanowiska literackiego nie można jej odmówić niemałej wartości. »Hymny« odznaczają się językiem pełnym prostoty i wielką gładkością wiersza, a nadto stosunkową wiernością tekstu, tak, że tylko tam, gdzie koniecznie było trzeba, zachodzi swobodniejsze parafrazowanie. Co więcej, Grochowski starał się nawet, ażeby każdy wiersz miał w przekładzie tyle sylab, ile ich jest w oryginale, a więc był taki sam co do miary. Informuje nas o tem w przedmowie, gdzie pisze: »Jeśliś łacińskich hymnów świadom, czytelniku bracie, snadnie to obaczyć możesz, że to przełożenie moje nietylko sens albo własną ich rzecz, ile mogło być, wyraziło, ale nadto każdy wiersz polski

z łacińskim wierszem lidzbą syllab zgadza się. Co się czyniło dla tego, abyś też i ty notą kościelną dawną, którą zachcesz, hymnę mógł śpiewać«.

Również starannością i niepowszedniem pięknem języka odznacza się przekład Grochowskiego pierwszej księgi »Floridorum« ks. Jakóba Pontana, Jezuity, pod polskim wydany tytułem: »Wirydarz albo kwiatki rymów duchownych o dziecięciu Panu Jezusie«. (Kraków 1607, drugie wydanie 1608).

Inne utwory religijne tłumacza »Wirydarza« a zwłaszcza dwa oryginalne jego poematy: »Święta Cecylja Rzymianka, panna męczenniczka« i »Stanisława św. krakowskiego biskupa i męczennika żywot«, są już pod względem formy poetyckiej i języka słabsze i dlatego małe posiadają znaczenie dla historji literatury. Jest ich jednak tak wiele, że świadczą one bardzo wymownie o wielkiej płodności poety i o łatwości, z jaką mógł tworzyć, przerzucając się od tematu do tematu.

Pozwala to nam oddać mu tę sprawiedliwość, że mimo wszystkich, słusznie mu, jako panegiryście, czynionych zarzutów, jego życie poetyckie miało swój sens i nie przeminęło bez śladu. Język poetycki zawdzięcza mu niejeden zwrot piękny i mocny, niejeden błysk polszczyzny owego czasu, która nie przestaje nas dzisiaj jeszcze czarować i podbijać.

Na tej podstawie należy się Grochowskiemu od historyków literatury większe niewątpliwie uznanie, niż to, jakiem cieszył się dotychczas, oceniany jednostronnie, a często stronnie, bo obóz postępowy uważał go za krzewiciela reakcji katolickiej, gdy obóz zachowawczy nie umiał mu przebaczyć »Babiego koła«.

Drugim poetą tej samej epoki i tych samych skłonności panegirycznych przy znacznie wyższym jednak niż u Grochowskiego podkładzie uczuciowym jest Kasper Miaskowski. Urodzony około roku 1553-go w Smo-

gorzewie (pod Gostyniem), w Wielkopolsce, był synem Jana, herbu Leliwa, niemajętnego ziemianina, i Zofji z Chełkowskich. Gdzie pobierał nauki — niewiadomo. Być może, jak przypuszcza za innymi prof. Korbut, w szkole klasztornej w Lubiniu, u Benedyktynów. Szczegóły o jego życiu są skąpe. Wiadomo tylko, że mieszkał przeważnie na wsi, oddany gospodarstwu, naprzód w rodzinnem Smogorzewie, potem w Osieku (1596—1603), wreszcie we Włoszczonowej pod Gąbinem (koło Kutna), skąd jednak w roku 1607-ym wrócił do Smogorzewa. Ożeniony był z Zofją Szczodrowską. Umarł dnia 22-go kwietnia 1622-go roku. Zwłoki jego złożono w kościele parafjalnym w Strzelczu i uczczono pomnikiem, do dziś dnia istniejącym.

Bliższą, a ze stanowiska artystycznego trafniejszą od wielu innych charakterystykę Miaskowskiego zawdzięczamy Henrykowi Sienkiewiczowi, który poświęcił mu, podobnie jak Sępowi Szarzyńskiemu, osobną rozprawę. (»Pisma nieobjęte wydaniem zbiorowem«. Tom I. Warszawa 1901).

»Pomimo kłopotów i trudów codziennego życia — pisze Sienkiewicz — mało który z naszych poetów, tyle co Miaskowski, baczył na sprawy publiczne i tyle im rozlicznych utworów poświęcił«.

I w tem już jest duża jego zasługa.

»Za czasów Zygmunta III-go (do których cała niemal działalność literacka Miaskowskiego się odnosi) — ciągnie dalej Sienkiewicz — niepodobna prawie było pozostać obojętnym widzem walki, jaka się na polu religijnem i politycznem objawiała. Z jednej strony świetne powodzenie militarne, z drugiej gorączkowe spory różnowierców z katolikami porywały za sobą poetę, zmuszając go do czynnego występowania w rozlicznych hymnach, wierszach, djalogach i apologjach. Zarzucają powszechnie Miaskowskiemu, że w świeckiej części swych »rytmów«

jest więcej mówcą niż poetą; ależ inaczej być nie mogło, trzeba bowiem było nie tylko do uczucia, ale i do przekonania ludzi przemawiać. Zresztą, w utworach polemicznych, choćby największego talentu, zawsze musi przedewszystkiem chodzić o myśl, nie o uczucie; fantazja nie ma tu pola, a główną rzeczą jest siła wyrażenia, dobitność i jasność — przymioty, z konieczności wchodzące w zakres wymowy. W każdym razie Miaskowski, jako człowiek i jako obywatel, najwyraźniej w części świeckiej rytmów się uwydatnia. Szczegółowiej dadzą się one podzielić na polemiczne, panegiryczne i prywatne, tyczące się życia i stosunków poety.

Pierwsze z natury rzeczy mają w sobie nieco satyrycznego pierwiastku, chociaż nigdzie w wyraźnej formie satyry nie występują. Odnoszą się one głównie do rokoszu Zebrzydowskiego. Naturalnie, nie mógł i Miaskowski pozostać nieczynnym świadkiem tej walki. Jako gorliwy katolik i spokojny obywatel, stanął po stronie króla, nie był jednak ani na chwilę ślepym jego wielbicielem, owszem, widział wszystkie nadużycia i niedołęstwo władzy. Niemniej te »wewnętrze wrzody« chciał leczyć zapomocą prawdziwego wyrazu woli ogółu — Sejmu — nie zbrojną dłonią malkontentów.

To słowo Sejm jest dla niego wyznaniem wiary politycznej. Trzeźwe, jak na ów czas, stanowisko«.

Rozpatrując z uwagą pisma Miaskowskiego, Sienkiewicz nie pomija faktu, że i jego, który miał w tak wysokim stopniu wrodzone sobie poczucie obywatelstwa, absorbują przecież już cokolwiek zanadto pewne osobistości, że skłania on się wyraźnie ku panegiryzmowi.

»Istnieje w tem — mówi — pewna jeszcze miara, ale zawsze jest to pierwszy krok ku upadkowi. Można już w poecie dostrzec ślady dworowania«. Stoi on wyraźnie na pograniczu dwóch epok: »jedną twarzą patrzy w epokę złotą, na drugiej, obróconej w przyszłość,

nosi już nieznaczne ślady zepsucia i choć w większej części swych utworów do czasów Kochanowskiego należy, daje jednak świadectwo, jak ogólny stan społeczeństwa wypiętnować się musi na każdym, choćby najsamodzielniejszym umyśle«.

W grupie utworów panegirycznych Miaskowskiego, gdzie mnóstwo wierszy okolicznościowych, jak epitalamia, epigramaty, nagrobki etc., wyróżnia się »Łódź Opaleńska (wydana osobno w Kaliszu w roku 1608-ym) i »Ecloga na wjazd ks. Wawrzyńca Gembickiego, biskupa włocławskiego i pomorskiego, kanclerza koronnego«. Pierwszy wiersz, napisany na cześć Jędrzeja Opaleńskiego z powodu objęcia przez niego biskupstwa poznańskiego, uważa prof. Pilat za ważny ze względu na poglądy religijne poety, który radzi biskupowi, ażeby »podniósł podeptany miecz duchowny« i »wieprzowi dziwookiemu« t. j. kacerstwu nie dozwalał »wypasać winnicy Pańskiej«.

Drugi, p. t. Ecloga, uderza dziwną formą. Jest to rozmowa dwóch pasterzy, Tyrsusa i Amintasa. »Wiejski koturn włożywszy na nogę«, nucą oni pochwalne pieśni na cześć biskupa Gembickiego. Ecloga stanowi ciekawy pomnik panegiryku, ubranego w niewinną szatę sielanki.

Z innych wierszy w tej grupie wyróżniają się jeszcze: wiersz »Do Symona Symonidesa, poety zamoyskiego« i »Lutnia Jana Kochanowskiego, wielkiego poety polskiego«, nadto »Wieniec krzesny synaczkowi noworodnemu JWP. Stanisława Rybskiego«, napisany do nowonarodzonego dziecka przyjaciela. Poeta nie ofiarowuje swojemu chrześniakowi ani złota, ani djamentów, ani pereł, ale przynosi mu w darze wieniec z ośmiu cnót chrześcijańskich uwity: z bojaźni Bożej, wiary, nadziei, miłości, sprawiedliwości, mądrości, cierpliwości i mierności.

Najznaczniejsza jednak jest w tym cyklu panegirycznym liczba trenów i nagrobków. Znać tu wyraźne wpływy Kochanowskiego (»Na śmierć sławnej i świętej pamięci Jego M. X. Bernata Maciejowskiego, kardynała i arcybiskupa gnieźnieńskiego«), acz nadmierna ckliwość i przesada (»Epitaphium Pannie Przerębskiej«) zbliżają go raczej do Grochowskiego.

Pomijając rozmaite wiersze drobne, odnoszące się do znajomych i przyjaciół, gdzie poeta wypowiedział może osobiste uczucia, pozwalające nam bliżej poznać jego ziemiańsko-polską, religijną duszę, szukającą w poezji ulgi i pociechy, Sienkiewicz, wiedziony subtelnem poczuciem artystycznem, zwraca uwagę na wiersz, napisany z okoliczności opuszczenia Włoszczonowej na Mazurach (»Waleta Włoszczonowska«). »Śliczny to utwór, — mówi — pełen rzewności, owiany mglistym urokiem tęsknoty. Poeta żegna i niski dworek, w którym mu cicho płynęło życie, i stawki, i ogrody, i lichy wirydarz, po którym chodząc układał pieśni, i nakoniec sąsiadów, duchownych i lud prosty. Dużo zacności ziemiańskiej przebija tu z każdego wiersza, a lubo całość nie jest wolna od mitologji, nie razi to jednak, bo te pojęcia bywały u ówczesnych poetów niemal z mlekiem wyssane i tylko zbytnie przebranie miary może obniżać wartość podobnych utworów. »Waleta Włoszczonowska«, trzymana w tonie spokojnym, prawie rezygnacyjnym, pozostanie zawsze jedną z »perełek« sielskiej liryki polskiej«.

Prawdziwe »perły« muzy Miaskowskiego słusznie widzi jednak Sienkiewicz gdzieindziej: w utworach religijnych poety.

»Natura jego spokojna, uczuciowa, łagodna — mówi — nie miota się oburzeniem, nie unosi się gniewem, ale modli się lub rozpamiętywa. Strudzony kłopotami codziennego życia, zasiada w ganku swojego domku, mrucząc pacierz wieczorny, i ze łzami wodzi oczyma po

szarzejącym widnokręgu. Kto wie? Może dzwonek kościelny w Gąbinie, może trzoda wracająca z pola, może smutna pieśń ludowa lub senny bocian na gnieździe zwraca myśl jego ku Stwórcy. Ave, maris stella! szepcą wówczas usta poety, a z serca zaczyna mu płynąć nuta jednego z owych psalmów, o których to Herburt mówi, że chyba je anioł pisał«.

Tak tylko poeta mógł odczuć i zrozumieć drugiego poetę.

»Pieśni religijne Miaskowskiego — mówi Sienkiewicz dalej — i dlatego jeszcze górują nad innemi, że wysokie poczucie rytmiczności, owa, jeżeli rzec można, śpiewność jego, zbyt niestosowna nieraz dla przedmiotów treści zewnętrznej, tam, gdzie chodzi o podmiotowe wylanie jego duszy, dodaje jeszcze pieśniom jego miłej harmonji i uroku. Niema np. w pieśniach kościelnych polskich nic wdzięczniejszego, tak co do formy jak i treści, nad »Jasłeczka nowonarodzonego Jezusa Boga Przedwiecznego«. Pominąwszy sam układ metryczny, wybornie odpowiadający melodji pieśni kolędowych, ileż przebija się tam prostoty i ciepłego uczucia.

Dziś trudniej zrozumieć owe uniesienia religijne, porywające niemal aż do zachwytu dusze ówczesnych poetów. Były to jednak czasy powszechnego uczucia religijnego, nie dziw też, że w pieśniach pobożnych z owej epoki widać głębokie przejęcie się przedmiotem, że nie pół, ale cała dusza wychyla się na świat z modlitwy, niby kwiat rozkwitły. Ginie nawet, jak tego mamy dowód u Miaskowskiego, w takich razach charakter polemiczny lub krytyczny i to stanowi wdzięk największy. Nie idzie tu już o Kościół, tylko o czyste uczucie religijne, nie paszkwil więc, ale pieśń natchniona, Dawidowa, płynie ku niebu. Miaskowski celuje tem właśnie, że jego utwory, tyczące się Boga, są wolne od wszelkiej myśli światowej. Żaden z naszych poetów nie dobierał tak

prawdziwie nieziemskich barw i świateł. Są to pieśni do najwyższego stopnia idealne. Samo w nich uczucie owinięte we mgłę słów, ani jednego tam pyłka ziemskiego«.

Do drugiego działu pieśni religijnych Miaskowskiego zalicza Sienkiewicz utwory, których charakterem jest pobożne rozpamiętywanie.

»Jeżeli — mówi — w pieśniach radosnych, jak np. »Jasłeczka«, »Szopa zbawienia« i t. p., niknie smutek poety wobec nadziei, to znowu boleść koi się wspomnieniem na męki, jakie wycierpiał Chrystus. Trzeba było mieć tyle wiary, co Miaskowski, żeby w tych odległych wspomnieniach tak utonąć całą duszą. Bywał jednak poeta wówczas szczęśliwy. Na skrzydłach zbudzonej miłością wyobraźni biegł aż do owej Szopy zbawienia, gdzie dziecię leżało na wiązce siana. Gwiazda uczucia świeciła mu, jak niegdyś królom arabskim, a przestrzeń i czas nikły, zwyciężone mocą fantazji. Rzekłbyś, że był tam, że widział Dziecię, pieścił je i płakał nad niem z radości«.

Dotarłszy w tych pięknych i wnikliwych słowach do wnętrza duszy poety, Sienkiewicz bierze go w obronę i odparowuje czynione mu dziś powszechnie przez historyków literatury, nieartystów, zarzuty: ciemności, zawiłości, archaizmów i dziwactwa.

»Prawda — przyznaje — iż poeta ten trudniej się czyta, niż nawet współczesny mu Grochowski, a o wiele niżej stoi od Szymonowicza; łatwo to jednak zrozumieć, bacząc, że Miaskowski, ciągle w domowych przebywając progach, nie miał skąd zaczerpnąć ogłady i łatwości wyrażenia. Żył wprawdzie w stosunkach z ludźmi wykształconymi, ale zdaje się, że stosunki te były więcej piśmienne, niż osobiste. Żywot przepędził na wsi, między prostym ludem a niezbyt polerowaną bracią szlachtą; ich też pisał językiem. Z tego punktu łatwo będzie wyjaśnić i to, że u Miaskowskiego starsze znajdują się formy ję-

zykowe, niż u innych, dawniejszych nawet poetów. U ludu wielkopolskiego konserwatyzm niezmienionej mowy ojców więcej się uwydatnia, niż gdzieindziej. Jeszcze do dziś dnia używają tam w niektórych rzeczownikach liczby dwójnej (d u a l i s), a księgi ziemskie wielkopolskie stanowią najszacowniejszy materjał w badaniu przeszłości języka, zachowując formy czystsze i dawniejsze od innych współczesnych pomników. Miaskowski urodził się, żył i umarł w Wielkopolsce — to wszystko w krytyce powinno być uwzględnione, tembardziej, że poeta nieraz się wznosi ponad owe przeszkody«.

I jeszcze jedną czyni Sienkiewicz słuszną uwagę, zaznaczając, że »uczucie religijne, ożywiające pierś Miaskowskiego, było wyrazem całego narodu, że w pieśniach jego, będących czystą modlitwą, nie protestant, katolik lub arjanin, ale chrześcijanin się modli«. Stąd wniosek już nieco za daleko idący, że »gdyby był zdołał we wszystkich utworach utrzymać się na owej wysokości, byłby jednym z pierwszych poetów nie tylko epoki, w której żył, ale w s z y s t k i c h c z a s ó w p o e z j i p o l s k i e j. Miał do tego dane, bo p o t ę g ą f a n t a z j i i d a r e m p o e t y c k i e g o s p o j r z e n i a w p r z e d m i o t p r z e w y ż s z a ł w s z y s t k i c h w s p ó ł c z e s n y c h, a na miłości nie zbywało mu także. Że się jednak tak nie stało, wina to trochę jednostronnego wykształcenia a trochę i czasu, w którym wszelkiego rodzaju namiętności prywatne już zerwały wędzidło«.

Szacując Miaskowskiego wysoko, bez porównania wyżej, niż to czyni np. Tarnowski, który nazywa go poetą »bez wielkiego talentu i bez w y o b r a ź n i«, co już jest zupełnie nieuzasadnione, nie możemy jednak zgodzić się na owo sienkiewiczowskie »gdyby«, które w rzeczach i sprawach, dotyczących sztuki, nigdy zastosowania mieć nie powinno.

Oczywiście, każdy artysta, każdy poeta, gdyby był stworzył rzeczy większe od tych, jakie stworzył, byłby większym od tego, jakim go widzimy w jego rzeczywistej twórczości. Z równą tedy słusznością możnaby mówić i odwrotnie, że gdyby ktoś nie napisał tego, co napisał, nie byłby tem, czem jest. A tak przecież nikt nie rozumuje.

W sądach swoich o poetach możemy więc opierać się tylko na ich puściźnie twórczej, takiej, jaką ona jest istotnie.

Co do Miaskowskiego nie zmniejsza to wcale jego zasług i jego wartości poetyckiej, nie wchodząc bowiem w to, czy byłby istotnie »jednym z pierwszych poetów« nie tylko swojej epoki, ale »wszystkich czasów poezji polskiej«, gdyby..., możemy mu w historji poezji polskiej wyznaczyć na podstawie tego, co po nim pozostało, miejsce wcale nieostatnie.

Rozstrzyga w tym kierunku odpowiedź na pytanie: czy był poetą?

Odpowiedź ta jest twierdząca. Kasper Miaskowski, mimo ciężkiego życia, mimo nieustannych kłopotów i trosk domowych i majątkowych, patrzył na świat, jak tylko poeta patrzeć może.

Życie go nie szczędziło. »Po stracie ojca, którego może ledwo zaznał — mówi wydawca i komentator 3-go wydania »Rythmów« (Poznań 1855), J. Rymarkiewicz, — po stracie matki, którą panująca zaraza zabrała, po śmierci syna i żony chorowitej, po zgonie brata i synowca (Balcera), po rychłej śmierci chrześnięcia Rybskiego i wielu innych przyjaciół i znajomych, dziwić się nie można, że dusza jego na zawsze spoważniała i sposępniała«. Nie dziw też, że w religji szukała ucieczki, a w modlitwie pociechy.

Starość miał samotną, a lata młodości i wiek męski zbiegły mu na staraniach i zabezpieczeniu sobie losu, co

również łatwo nie przyszło. Pochodził z rodziny niebogatej. Ojciec jego, jednowioskowy szlachcic, miał czterech synów, a nadto i córki. Majątek na wychowanie tak licznej rodziny musiał być za szczupły i temu, zdaje się, należy przypisać, że Kasper wyższego wykształcenia nie odebrał, że o ile wogóle, co jest rzeczą niepewną, o studja akademickie się otarł, to nie w Krakowie, ale w Akademji Lubrańskiej w Poznaniu, odległym o 8 mil od Smogorzewa, że zagranicę nie jeździł, Włoch nie poznał, wogóle z bogatych i zasobniejszych źródeł kultury ówczesnej nie czerpał.

To wszystko przemawia na jego korzyść, na rzecz jego samorodnego, »z łaski Bożej« talentu, który miał jednak tyle w sobie siły, że trwały po sobie ślad zostawił.

Na marmurze nagrobnym, wmurowanym w ścianę kościoła parafjalnego w Wielkiem Strzelczu, czytamy przez samego poetę ułożony za życia napis:

»Kasper Miaskowski co miał śmiertelnego
W tym zawarł grobie aż do dnia onego,
Gdy głuche ciała trąba budzić będzie
A ogniem z nieba spłonie ziemia wszędzie:
Ale co dowcip dał mu był niepodły,
Słowieńskim bluszczem Muzy to obwiodły«

Świadczy to, że poeta miał wewnętrzną świadomość swojej wartości, iż zdawał sobie sprawę z tego, iż »dowcip« jego był »niepodły« i że stosunek jego z »Muzami słowieńskiemi« na pamięć u potomnych zasłużył.

Świadomość tę obudziły w nim może i utwierdziły słowa przyjaciół, którzy cenili jego poezje wysoko. Między innymi jeden z tych przyjaciół, spolszczony Szkot Loeaechowicz (Loeaechius, domniemany autor »Muzy gór wielickich«), nazywa Miaskowskiego »nowem światłem

kujawskiej strony, Amphionem polskim«, który »gdzie jeno zmierzył, tam nagle dochodził dowcipu pióry, dochodził sam wierzch niedostępnej góry«.

Ale, niezależnie od tego, próbę swojego talentu każdy artysta nosi sam w sobie, w tem głębokiem samopoczuciu swojej wartości lub swojej pomyłki artystycznej. Prawdziwy poeta, niezależnie od skali swojego talentu, wie, czy jest poetą, czy nim nie jest. Nie zwiodą go ani pochlebstwa umysłów płytkich, ani nie zabije w nim tego samopoczucia najsurowsza krytyka. Mylić się w ocenie samego siebie może tylko wierszokleta, pozbawiony sumienia artystycznego i jego cudownej wrażliwości. Otóż co do Miaskowskiego, nie ulega wątpliwości, iż czuł się on poetą w swojej duszy, czuł w sobie tajemniczy prąd marzenia, które odrywało go od ziemskich trosk i kłopotów, i unosiło swojem poczuciem w strefy zaziemskie.

Pierwiastek tego marzenia, wspólny poetom całego świata po wszystkie czasy, wynosi te »Rythmy« wysoko ponad szarzyznę rymowanej prozy XVII-go wieku i skroś przedział stuleci zbliża ku nam Miaskowskiego. I dlatego odczuwamy go dzisiaj nie jako panegirystę, bo te jego utwory spłynęły z falą czasu i zgoła nic z nich nie zostało, ale jako autora pieśni religijnych, które wypłynęły z naiwnego, dziecięcego niemal uczucia.

I rzecz wysoce znamienna. Ten szlachcic polski, w życiu może prostak, bo nawet o dwory wielkopańskie nieotarty, mieszkający, jak sam mówi, »w glinianym domku pod słomianą strzechą«, ten Kasper Miaskowski, który ówczesnej sztuki wcale nie znał, który poza miernego pędzla obrazem świętym w kościele wiejskim nie widział może ani jednego płótna, malowanego w natchnieniu, bo nie wiemy nawet, czy bywał w Krakowie i Warszawie, w swoich »Jasłeczkach« i innych utworach religijnych zdumiewa nas delikatnością tonu i barwy słowa

tak dalece, że przypomina nam żywo nastrojem i duchem przedrenesansowe malarstwo religijne włoskie. Chwilami, kiedy go uważnie i w skupieniu odczytujemy, stoją nam przed oczami naiwne, ale w natchnieniu poczęte wizje, Cimabue'go, Giotta, Fra Giovanniego da Fiesole i Ghirlandaja. Ta sama tu prerafaelityczna, należąca do trecenta i quattrocenta świątobliwość wyrazu, owiana jakimś różanym obłokiem zaziemskiego marzenia, a jednak zgodna z prawdą życia, czerpiąca niejedno z bólu i smutku rzeczywistości ludzkiej. Różnica polega tylko na tem, że mistrze włoscy korzyli się przed Bogiem w ascezie klasztornej i pod wpływem cudownej nauki św. Franciszka z Asyżu szli z pokłonem do Najświętszej Panny i do Dzieciątka Jezus, a szlachcic polski przeżywał te same uczucia w swojej samotni wiejskiej, w prostym kościołku parafjalnym, patrząc na chłopskiemi rękami przygotowane Jasełka. Przeżywał to o dwa wieki później, ale przeżywał samodzielnie, nie naśladując nikogo, bo młodszy cywilizacyjnie i kulturalnie, miał jeszcze duszę dość świeżą, aby wydobyć z niej naiwność i prostotę dziecka, zwłaszcza iż był poetą, zawsze bliskim dziecku w sferze czucia.

»Panna Syna nam powiła
I w jasłeczkach położyła —«

śpiewa Miaskowski —

»Emanuel to on prawy
Miodomleczne ssie potrawy.

Witaj, kwiatku pożądany,
Z tej gałązki nam wydany!
O dzieciątko witaj święte,
W majestacie niepojęte!

Ciebie chwali wschód różany
I po świetnym mgłą odziany

Wozie, wieczór. Chwalą ciebie
Na błękitnem gwiazdy niebie.

My też padłszy na kolana
Wzywamy cię, jako pana.
A ty przyjmij hołd nasz pierwszy,
Upominek prostych wierszy«.

I jak naręcz kwiatów polnych, złożył Miaskowski u stóp Dzieciątka Jezus, w miłości i bezgranicznem oddaniu, jako dar swojego życia, garść swoich »rythmów«, swoich hymnów i pieśni religijnych, tworzonych w poczuciu wewnętrznej konieczności tworzenia, nie wiedząc, że śpiew jego duszy nieuczonej stanie się prawdziwą sztuką, która łączy w sobie poezję z muzyką i barwą.

Nie wiedział tego. Ale nie wiedzieli również i ci, którzy odmawiali mu talentu i wyobraźni.

Jedno i drugie posiadał on w stopniu dużym. Był nadto, mimo tu i owdzie ujawnionego naśladownictwa, poetą o indywidualności odrębnej, słusznie też mówi o nim Rymarkiewicz:

»Jak wielcy malarze oryginalni mają swoje pewne farby i pewne stałe sposoby rysowania i cieniowania, które po wszystkich niemal ich płodach się powtarzają, tak i on ma swoje pewne charakterystyczne znamiona, sposoby mówienia i wyrazy, po których go odrazu poznać i od innych poetów odróżnić można«, co jest tem ważniejsze, iż żył w epoce zacierania się indywidualności, w dobie, kiedy po bujnym rozkwicie renesansowym za dwóch pierwszych Zygmuntów nastąpił okres reakcji jezuickiej za Zygmunta III-go.

Okresu tego jest on ozdobą niewątpliwą i szacowną.

Krótki wybór pism

ks. Stanisława Grochowskiego
i
Kaspra Miaskowskiego.

KS. STANISŁAW GROCHOWSKI.

BABIE KOŁO.

O tej dobie
Baby sobie
Gdzie siadają
Rozmawiają:
Kogo prawi,
Bóg postawi
Na stolicy
W swej świątnicy
Przy Krakowie,
Kto nam powie?

Podkanclerzy[1])
Ten nie mierzy,
Pan cnotliwy,
Świątobliwy.
Któż tak tuszy,
Że go Prusy
I Warmia
Już nie mija?

Pierwsza mówi:
Biskupowi
Być płockiemu
Jak pierwszemu
Za Stefana
Cnego Pana,
Co naliczył,
Bądź pożyczył,
Daj był w niebie!
Ku potrzebie.
Także i w tej
Chwili, będzie
Ta wieść wszędzie.

Ksiądz brząknieli,
Kurka strzeli:
Babo wściekła!
Idź do piekła
Z taką kupią,
Nie bądź głupią!
Ani o tem
Myśli pan ten;
Mów co dalej,
I nie szalej.

Druga mieni:
Nie gańcie mi
Poznańskiego[3])

---

[1]) Piotr Tylicki biskup warmijski. [2]) Wojc. Baranowski. [3]) Jan Tarnowski.

Ach skąpego!
I tak radzą,
Temu dadzą,
Aza będzie
Gdy tam siędzie
Osobliwszy,
Szczodrobliwszy:
Boćby trzeba
Drugim chleba
Z gumien takich
Dla wszelakich,
Nędze dosyć
Kędyż prosić?
Krom powinnych,
Znaćby innych,
Gdyż i godni
Bardzo głodni.
Jednak tuszą:
Dać mi muszą,
Bo swe rzeczy
Ma na pleczy;
Król potemu
Życzy jemu
Lecz nie kupi,
Bo nie głupi;
Więc żal k'temu,
Panu temu.
Nic świętego
Przedajnego;
Zwykł to dawać,
Nie przedawać,
Chybaby jak
Świat poszedł w spak.

Ale wiedmy!
Nazbyt plotek,
U was ciotek.

Trzecia mówi:
Firlejowi[1])
Pewnie dadzą,
O tem radzą.
A tyś plotka,
Miła ciotka!
Są dawniejszy,
Potrzebniejszy
Czasu swego.
Jednak z niego
Biskup pewny,
Wielkim krewny,
A godności
Dość w młodości.
A Kujawski?[2])
Toć by naski:
Ale z temi
Snać co w ziemi
Policzony,
Przeniesiony.
Lecz dla czego
Przemyskiego[3])
Nie wspomnieniem?
Ksiądz z baczeniem,
Dość ludzkości,
Dość bliskości,
Bo Mogiła
Ledwie miła;
Ale to grunt:
Póki Zygmunt.
Ksiądz z Kijowa?[4])
Próżna mowa!
Mądrej głowy,
Ale nowy.
Biskup w Chełmie?[5])
O tej wełnie
Nie przemyśla,
Ani dyszla
Tam obraca,
Żądze skraca;
Człowiek cichy!
Woli z mnichy. —

[1]) Henryk Firlej kanonik krakowski, opat tyniecki, referendarz koronny. [2]) Hieronim Rozrażewski. [3]) Wawrz. Goślicki. [4]) Krzysztof Kazimirski. [5]) Stanisław Gomoliński.

Kimże wzdy Pan
Osadzi nam
Tamto miesce?
Mów kto jeszcze.

Jednooka
Wedle boka
Czwarta była;
Coś czyniła,
Trzęsła głową,
Z taką mową:
Ja stara mać,
Mnieby słuchać
Wiotchogębe,
Jednozębe;
Nie umiecie,
Nic nie wiecie,
Jabym rzekła,
Abym zdechła,
Nie prawdęli
Wspominęli,
Com też była
Umyśliła
Tu powiedzieć,
Macie wiedzieć:
Wszytcy godn,
Różnogłodni
Są zrobieni,
Drudzy mieni,
Są ojcowie,
Są synowie,
Są co leżą,
Są co bieżą;
Z swego siedli,
Swe zawiedli;
I do tego
Snać drugiego
Ledwie owce,
Drugich obce
Kraje znają.
I dank dają.
Jeśli k'temu
Chcem dać temu,
Co uczciwie,
Świątobliwie
Wiek przepędził,
Sam się zwędził
Służąc pilnie
I usilnie,
Idzie za tem:
Swym Biernatem[1])
Nie wzgardzajmy —
Temu dajmy.
Niech wzdy stary
Wprzód niż mary
Swe ogląda,
Ma co żąda:
Że wzdy kiedy
Wytchnie z biedy.
Dosyć wierze,
Czas w pacierze,
Ale w poście
Za nich proście;
A toć panie
Moje zdanie,
Staroletniej
Baby szpetnej.
Aby mi jak,
Rzekłabym tak
I samemu
Panu swemu:
Pogardź głupstwem,
Świętokupstwem;
Niech przepadną!
Sławęć kradną,
I sumienie
Na liczenie
Ich pieniędzy
Nie miej żądzy;
Bo rzec muszę:
Zgubią duszę.
Jeśliż oni

1) Bernard Maciejowski, biskup łucki.

Są w złej toni,
Ty swej nigdy
Nie chciej krzywdy;
A to ziarno
Pańskie darmo
Siej, gdzie wzroście
W niebo proście.
Tak twe, panie
Szafowanie
Światu wsławisz
I w rząd wprawisz;
Przez te sprawy
Będziesz prawy
I sumieniu
I zbawieniu.
Tak dojrzała
Wotowała,
Której piąta
Rzekła z kąta:
Mówisz siła
Stara wiła!
Ale krótko,
Djabla ciotko!
Czasu szkoda:
Wojewoda
Mimo wszytki
Jest łęczycki.
Mówi szosta!
Jam ci prosta,
Ale baby,
Z waszej rady
W niebie szydzą,
Gdy już widzą,
Kto z tych będzie,
Kto zasiędzie
Tron biskupi;
Sąd wasz głupi!

Znowu chrome,
Niewidome,
Wojnę wszczęły,
Gdy poczęły
Każda na plac
Swego sadzać:
Ta chce tego,
Ta owego.
Więc do siebie,
By w potrzebie,
Te murłęgi.[1])
Trzask, trzask tęgi,
Trzeszczą włosy,
Siwe kosy,
Rozruch się stał.
Marszałek spał.

Ostateczna
Starowieczna,
Ile latów
Tyle płatów
W płaszczu miała,
Rząd trzymała
Marszałkowski.
A Pękowski
Laskę trzymał,
W szłyk[2]) się przybrał,
Niedźwiedziowy —
Chłop surowy,
Zwłaszcza kiedy
Owo biedy
Ma z chłopięty.
Człowiek wzięty:
Wilcza szuba
U Jakuba;
Z tyłu wisi
Ogon lisi,
Ktoś był przytknął,
Ale w łeb wziął;
Bo on nigdy
Znacznej krzywdy
Cierpi nie rad,
Choś stary dziad;
I u króla

---

[1]) Pod murem legające. [2]) Czapka futrzana.

Pchnie w sobola,
Kord srebrzony
Z lewej strony
Pobok wisi.
Woła: ciszej!
Trzęsie czołem,
Przed cnem kołem.
Sługa jego
Wedla niego
W kamizeli:
Oba śmieli,
Oba grożą,
Baby trwożą.
Lecz żadna mać
Reformować
Błędu nie da:
Owo bieda!
Darmo biega
Pan kolega
Senatorski,
Trefnik dworski.
Aż stroskany,
Sfrasowany,
Zbywszy siły
Jakób miły,
Jakom baczył,
Milczeć raczył.
Lecz zębami
Nad ciotkami
Zgrzytać począł;
Strach wszytkie zjął
W onym rzędzie.
Patrz co będzie!
Zatem mówi
Marszałkowi:
A co? Chyba
To w łeb grzyba
Laską oną
Powierzoną.
Nie śpi prawa!
Krucha sprawa:
Albo złóż rząd,
Widzisz że błąd;
Ja nie zdołam
Próżno wołam.

Tu już ona
Stara żona
Się ocknąwszy,
Laskę wziąwszy,
W ziemię biła,
Rząd czyniła,
Wściekłe baby
Z swej gromady
Wyrzucając,
Drugim łając:
O spleśniałe,
Zapomniałe!
Czy poselski,
Czy djabelski
Rząd tu ma być?
Wolę złożyć,
Tylko proszę,
Niech też wnoszę
Moje zdanie!

Koło na nię:
Czy od posłów
Długich się słów
Nauczamy?
Nie wskóramy
Bo lud młody
Do niezgody
Zawsze chciwy,
Czy też i wy
Też mieć chcecie,
A nie wiecie?
Wzdy co sprawmy,
A nie trawmy
Czasu próżno,
Mówiąc różno,
Już sześć niedziel
Nasza kądziel
Zaniedbana,
Nietykana;
I w kościele

Nas niewiele.
Więc się spieszmy
Wota znieśmy,
Konkludujmy,
Z tąd wędrujmy:
Ta w pacierze,
Ta drzeć pierze,
Pójdzie ona
Do wrzeciona
Między nami
Z biesagami[1])
Jedne chodzą,
I gdzie rodzą
Panie dzieci
Druga leczy.
Tu się trawim,
Nic nie sprawim
Owo zgoła,
Czas nam z koła!
Wszytkie zatem
Swym Biernatem
Nie wzgardzajmy!
Temu dajmy.
W rząd krakowską
Trzodę boską,
Dla cnót jego
Godzien tego.

Każda wstała,
Podpisała.

Odprawię wnet
Rzekłszy nawet:
Światem zwiedził,
Gdym młodszy był;
Jużem siwy
Babie dziwy
Nie bywały,
Aby miały
Tak co sądzić
A nie błądzić.
Miłe babki!
Wasze gadki
Niechaj słyną,
Dokąd płyną
W morze rzeki;

Miejcie dzięki;
Lejąc woski,
Umysł boski
Kiedy chcecie
Widzę wiecie!

HOŁUBEK,
albo dzieła rycerskie i śmierć nieśmiertelna jego.

Umyśle mój, kędy zmierzasz,
Którym wiatrom żaglów zwierzasz?
Zajrząc Hołubka mogile,
O nim śpiewam tej to chwile,
Żołnierzom go na wzór stawię,
Uszy ich nieco zabawię;
Niech im Hołubkowe sprawy
Drogę skazują do sławy.
Odpuścić, umarli, proszę,

---

1) Torbami.

Hołubka od was wynoszę,
Niema ten nic z umarłemi,
Który brzmi sławą na ziemi.

Hołubku niewysławiony,
Pod Byczyną postrzelony,
Miej ten dank między mężnymi,
Dla ojczyzny poległymi:
Zabiłeś, lecz nie zabita
Sława twoja się rozkwita,
Która, póki świata, nigdy
Od czasu nie uzna krzywdy.
Odleciałeś towarzystwa,
I rycerskiego myślistwa,
Krew ojczyźnie ofiarując.
Gardłem wolność zastępując.
Ale i śmiertelne skrzydła, —
Był czas, gdy nie znały sidła,
A gdzieś pióro ronił z siebie,
Tam wnet było po potrzebie.
Pióra były strzały one.
I kule nieuchronione;
Paznokty ani gryffowe,
Tak ostre szable gotowe,
Twe półhaki, twe rusznice,
By ogromne łyskawice
Strach przed sobą prowadziły,
A z Niemców trupy czyniły.
Same u Rabsztyna skały,
Zdumiawszy się, oglądały
Dzielnych Kozaków twych rotę,
I krwawą rąk ich robotę.
Tam łup nieoszacowany,
Rycerskiem dziełem dostany,
Jako orzeł między ptaki,
Miotałeś między junaki.
Widząc nieprzyjaciel twoję

I silną i dzielną zbroję,
Przewabiał cię z gołębińca,
Roty potężnej odyńca;
Lecześ odmawiał w te słowa:
Próżna to, Niemcy, namowa,
Darmo tu zdradziec patrzacie,
Już wszytkich u siebie macie.
Tak mówił mąż zawołany,
Miłością cnoty pijany,
Drugi słowieński Scewola,
Kozak sarmackiego pola.
A potem w sławnej potrzebie
Na czoło stawił sam siebie;
Tamże pięknej sławy syty,
Upadł z półhaku zabity.
Nie tak traci swej ozdoby
Ciało zemdlone z choroby;
Jako w ten czas siły zbyła
Rota, gdy wodza straciła.
Tak się rozprasza nierado
Kiedy wodza zbędzie stado:
Idzie, powiesiwszy rogi,
Różnym torem w błędne drogi.
Holubku, sławny rycerzu,
Póki żywioły w przymierzu,
I dokąd słońce na niebie,
Nie przepomnią w Polsce ciebie.
Tej dzielności w on wiek złoty,
Zarzuciwszy swe pieszczoty,
Pilnowali ludzie młodzi,
Za takiem dziełem cześć chodzi.
Taką pracowitą cnotą,
Polska młódź kiedyś z ochotą
Brzegi swe, przez mężne boje,
Wiedli pod morza oboje.

NAGROBEK.

Tu waleczni Kozacy, tu zacni rycerze,
Tu o Delijunacy [1]), tu sławni rycerze,
Tu do kresu biegajcie, tu kruszcie kopije,
Tu leży wasz, którego dzielność wiecznie żyje,
Tu leży wasz Hołubek, w ten czas postrzelony,
Gdy sławny Rakuszanin z wojskiem porażony,
Zaraz siłę i ludzkość poznał Zamoyskiego,
I szczęście światu głośne Zygmunta trzeciego.
Lecz ktoby chciał rzec duszy słowo sprzyjaźliwe,
Przeklinaj wnętrznej wojny wodze niezgodliwe.

Drugi.

Ja tu Hawryłko leżę, Hołubkiem mię zwano,
Zabitem pod Byczyną, a tu mię schowano.
Sowicie się swej krzywdy Polacy pomścili,
Mnie, Gołąbka, straciwszy, orła ułapili.

Trzeci.

Ojczyźnie swej fortunnie a wiernie służywszy,
Pod Rabsztynem posługę znaczną odprawiwszy,
Tu leży Hawryłko, Hołubek rzeczony.
W potrzebie u Byczyny w głowę postrzelony.
Bodaj wszytkich zwieszono na wysokim dębie,
Którzy się ważą strzelać na takie gołębie.

---

[1]) Bohaterzy.

POGRZEBOWE PLANKTY

wszytkich prowincyii stanów, dwiema sławnym królestwom poległych na żałosną pamiątkę skwapliwego zejścia pani świątobliwej Anny, księżnej z Austryi, królowej polskiej i szwedzkiej. Roku Pańskiego 1599.

Wielka Polska.

Już to dwakroć obchodzi swe planety w koło,
Górnolotnego słońca pałające koło,
Wrotne prowadząc lata, jako ta korona.
Wszytka prze śmierć jednego człeka zasmucona:
Jako polska i szwedzka wielkich cnót królowa,
Arcyksiążęce plemię, Anna Zygmuntowa,
Co go trzecim zowiemy, małżonka z dzieciną —
Nienadanym Chrystofem w krainę szła iną;
Precz, w gościnę daleką męża odjachała,
Dwojga państw, dwojga dziatek, wiecznie zaniechała.
Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany,
Przed wiecznego trybunał króla rok jej dany.
Niemasz jej, znikła od nas, cna, szlachetna pani,
Ach, ostatka nie mogę domówić przed łzami.
Między cienie umarłych już ją wprowadzono,
W kwitnącym jeszcze wieku — o zła Persefono!

Wielkie Księstwo litewskie.

Austryackich monarchów przesławnej krwie córa,
Która snać była godna przetrwać i Nestora
Długowiecznego laty między żywiącemi,
I cieszyć się z potomków potomkami swemi;
Prędko, nieodpowiednie znikła, zgasła, zmarła.
Niemasz jej, chyba trumna kostki jej zawarła
Jednak żywie, bo cnota jej lotnemi pióry
Wzbiła się aż w niebieskich duchów jasne chóry;
Zostawiwszy na ziemi śmiertelne zewłoki,
Przenikła same nieba, nietylko obłoki;
Sława jej napełniła wszytkie ziemskie kraje
I kędy słońce gaśnie, i kędy dzień wstaje.

---

wzbudzony, przeciwko paralellom łacińskim, osoby tegoż ś. pamięci pana dotkliwym, na usilne żądanie i prośbę niektórych senatorów napisany roku pańskiego 1603.

. . . .

A między onymi cnymi
Senatormi poważnymi,
Znalazłeś i takich siła,
Przy których się młódź ćwiczyła,
Do posług rzeczypospolitej,
Do dzielności rozmaitej.
Bo jeszcze z wieku starego,
Cwiczenia młodzieńcy swego
Rzadko gdzieindzie szukali,
Doma je przy dworzech brali.
Ale też mogę rzec, dwory
Wszytkich cnót bywały wzory.
Nic tam takiego nie było,
Coby onę młódź wzgorszyło;
Sługa jeśli nie przy boku
Pańskim, tedy wżdy na oku
Prawie wszytek panu siedział,
Ledwie nie co myślił wiedział.
Tak nietylko słudze swemu,
Lecz był praw Bogu samemu,
Zwierzonej sobie czeladzi;
Tak oni czynili radzi.
Com ja u niektórych zastał,
Gdym się wprzód do dworu dostał,
Pomnię onej polskiej młodzi,
Wszytko nalazł, co się godzi:
Serca panom swym chętliwe,
Obyczaje sromieźliwe,
Rozmowy przymówek próżne,
Acz bywały żarty różne;
Trzeźwość, skromność miłowali,
Drogie trunki ledwie znali,

Każdego zabawa była,
Co się wżdy k'czemu zgodziła.
Ten roków[1]) patrzał z pozwami,
Ten skrzynkę miał z regestrami,
Ten z chartami jechał w pole,
Nie patrząc kufla przy stole.
Ten gdzie zwierz leśny ślakował,
Kędy podczas i nocował.
Lada w budzie przy gęstwinie,
Gdzie jeleń, gdzie dzikie świnie,
Niewczasam się przyuczając,
Próżnowanie za grzech mając.
Ten co potrzebnego czytał,
Ten się sztuk rycerskich chwytał;
Bo czasem umieć z kopią,
Stoi za akademią.
Jako do pierścienia gonić,
Jako się bić, jako bronić,
Łuk ciągnąć i bronią władać,
Więc konia często dosiadać,
Który zawsze stał gotowy,
I rynsztunek nań bojowy.
Bo się zgoła tam próżnemi,
Nie bawiono poszósnemi,
Ani ojcowskiej intraty
Syn rozpraszał na utraty.
Ale nad wszytko wysługa,
Gdy się cnoty uczył sługa,
W której pan, żyjąc przykładnie,
Dwór swój zaprawował snadnie.

---

[1]) Terminów sądowych.

PIEŚNI

na fest ucieszny, wielkim dwiema narodom polskiemu i moskiewskiemu, przemożnego monarchy Dymitra Iwanowica cara moskiewskiego wielkiej Rusi, tatarskich państw i wiele królestw etc. etc. pana i dziedzica, i najjaśniejszej jej carskiej m. z Wielkich Kończyc Mniszkówny wojewodzianki sendomirskiej. Roku Pańskiego 1606.

Pieśń I.

Lutni, ochłodo ludzi utrapionych,
Uciecho myśli i rymów uczonych,
Zaczynaj zaraz, co dziś sława głosi,
Kogo wynosi.
To dziś po wszytkim świecie sława szerzy,
Że z Wielkich Kończyc Polak, Mniszek Jerzy,
W moskiewskie państwa, jako Bóg uradził,
Cara wprowadził.
Który zasiadłszy przodków swych stolicę,
Bierze w małżeństwo za oblubienicę
Marynę, córkę tegoż wojewody
W swe pyszne grody.
Szczęśliwa córo narodu polskiego,
Pójdziesz przy boku rodzica miłego
Tam, gdzie przed tobą z lackiej krwie nie była,
Ledwie myśliła.
Tam ciebie czeka majestat złocony,
Czeka car tęskliw bez ciebie, swej żony,
Którego niewiem równegoli miała
Moskwa jak wstała.

Pieśń II.

Po tryumfie! Polacy śpiewajcie,
Po tryumfie! Moskwo zaczynajcie:
Opatrzność boża nad wami obfita,
Kto ją rozczyta.
Siadł na państwie swem mąż serca wielkiego,
Car Iwanowicz Dymitr, za którego

Moskwa zakwitnie, a Polska pobracona
Krwią zjednoczona.
Zniknęły miecze, zniknął Mars zębaty,
Bóg Dymitrowi nagrodził utraty,
Otarł sam oczy upłakane swemu
Ulubionemu.
Sam zasiadł kwoli na sąd skrzywdzonemu,
I dekret wydał przeciw niezbożnemu,
Jego postępcy; wzięty jego zdrady
Koniec szkarady.

GORZKIE ŁZY I SERDECZNE ŻALE

na żałosny pogrzeb godnej pamięci ks. Mikołaja Dobrocieskiego, krakowskiego i sędomirskiego kanonika, praw obojga doktora.

Żal I.

Kto mi doda gorzkich łez ustawnie płynących?
Kto źrzódło dostarczy wód nieustających,
Na opłakanie mojej nieszczęsnej przygody,
I spólnej drugim zemną: bo któż swej ochłody
Nie miał z Dobrocieskiego złotych obyczajów?
Znał to nietylko Polak, ale z obcych krajów
Gość, który się mu trafił. Ach dniu nieszczęśliwy!
Którego powiedziano: umarł! już nieżywy;
On kapłan wielkiej cnoty, wielkiej pobożności,
Wielkiej przeciwko Bogu i bliźnim miłości.

Żal II.

Fórto darmo żelazna, fórto nieżyczliwa,
Fórto gospodarzowi swemu niechętliwa!
Przecieś była otwarta, przecieś nie postrzegła,
Kiedy po dobroczyńcę ubogich śmierć wbiegła?
Skrzypnąć było, dając znać a jabym był szyję
Pod jej kosę podłożył, co dziś próżno żyję.
Onby na świecie jeszcze mógł tu sprawić siła,
By się była, mnie wziąwszy, śmierć nań nie skwapiła.

SKARGA OBCIĄŻLIWA

snu nocnego, o swój i ludu pospolitego niewczas, do przemożnego w północnych krajach pana Zygmunta Trzeciego, polskiego i szwedzkiego króla etc. po drodze szwedzkiej w Warszawie.

Królu polskiej i szwedzkiej szerokiej krainy,
Wszedłem tu na pałac twój z gwałtownej przyczyny,
Ja, sen, który królewskie twe członki posilam.
A darem swym twych oczu pańskich nie omylam.
Jam jest, który z kościanych okien wylatywam,
A wszytkiemu stworzeniu nocny gość przebywam;
Już u przedniejszych twoich urzędników bywszy,
I krzywdę swą przed dworem twoim oświadczywszy;
Nakoniec w mym kłopocie i serdecznym bólu,
Skargę przed tobą kładę, miłościwy królu: —
Byłem już znacznym bogiem u wszytkiego świata,
Dokąd jeszcze w pobożność żyzne były lata;
Ale mi już do tego przychodzi, że prawie
Anim bóg, anim jest sen, ile tu w Warszawie,
Bo ilekroć darem swym uspokoję ludzi,
Wszytkich nocna hałastra swem strzelaniem budzi.
Czem nietylko spólnemu pokojowi szkodzą,
Lecz twój święty majestat na wzgardę przywodzą.
Już marszałków nie znamy, chyba we dnie tylko,
Bo co noc, to z rotami broją zbrodniów kilko.
Skoro wieczór, ci schodzą, drudzy następują,
Jedni rynki, a drudzy ulice krzyżują,
Zaczem i niewinnemu trudno w nocy komu
W najpilniejszej potrzebie trudno wyniść z domu.
Pełno strzelby po bruku, pełno kołatania,
Tak, iż niejedna głowa boleje bez spania;
Drugich już nic nie boli, bo to idzie za tem:
Kto na łotra napadnie, żegnać mu się z światem.
Krew się niewinna leje, której głos od ziemie

Aż do nieba przenika, prosząc o zemszczenie.
Otóż podobno muszę z Warszawy pocichu,
Bo chociam bóg, boję się śmiertelnego sztychu.
O sprosne obyczaje! o swowolne czasy!
Więtsza kiedyś bezpieczność w puszczy między lasy,
I między dzikim zwierzem, niż tu, gdzie sądowe
Pałace, gdzie majestat, gdzie miejsce sejmowe,
Gdzie i postronnych krajów gość się nie przeminie,
A roznosi co widzi po obcej krainie;
Gdzie królewna, siostra twa, gość twój ulubiony,
Gdzie z córą syn najmilszy, z twej krwie umnożony.
By wżdy ci skaźce w czasu nocnego opili,
Przynajmniej w uroczyste święta trzeźwi byli, —
Wszytko to u nich równo, nie masz tam baczenia,
Bodaj się dostrzelali swego obelżenia.
Ale niż pomsta boża na chromym nadjedzie,
Wielki królu, wiedz o mej tej żałosnej biedzie;
Rozkaż oczyścić miasto z rozruchu takiego,
Niech ciemna noc z trzodą swą zna cię surowego.
Bo będzieli ten nierząd na bóstwo na moje,
Nie będzie bez przymówek panowanie twoje;
Nadto i sam słodkiego snu daru nie skusisz, —
Otóż taką swawolą, rad nie rad, znieść musisz.

Sen nocny po odprawie swej, do jego król. mości.

Królu niewysłowiony, królu dobrotliwy,
I czegom sam doświadczył: królu sprawiedliwy!
Wierz mi, nie miałbym miejsca między bogi w niebie,
Gdybym dziś nalezion był niewdzięcznym u ciebie.
Wdzięczność wszytcy miłujem, nietylko bogowie,
Tak rozumiem, że i wy ziemscy monarchowie;
Z tej wiary dziś do ciebie znowum się tu wrócił,
Dzięki czyniąc, żeś mój czas i pokój przywrócił.
Uczyniłeś przystojną rzecz dobroci twojej,
Żeś nietylko nie wzgardził słusznej skargi mojej,
Aleś kazał uprzątnąć nierząd z miasta tego,

Gdzie każdy musi już strzedz poczciwego swego,
Gdzie pojrzę, pełne miasto z twojej opatrzności
Rządu pożądanego i sprawiedliwości.
Już teraz na gwałt nocny żaden nie narzeka,
Idzie każdy gdzie raczy, łotrów się nie lęka.
Ustały sprosne pieśni, ustało wołanie.
Nietylko dzień, ale noc zna twe pańskie ramie;
Niesłychać ani strzelby, ucichnęła zbrodnia,
Kto chce, może całą noc spać do białego dnia.
Dokąd tedy po dniu noc będzie nastawała, —
Dotąd, królu, sława twa i cześć będzie trwała.
Ja też nie po obeszłej ziemskiej szerokości,
Nie zapomnię rozsławiać twej sprawiedliwości,
Zatem panuj szczęśliwie, a kiedyć snu trzeba,
Wiedz o tem, żeć przybędę na pokój i z nieba.
Jeśli o wojnę idzie, i Marsa przywiodę,
Skoro upatrzym lepszą do bitwy pogodę;
Do tego i siostrę mam, którą śmiercią zową, —
Co się nad zmienników twych będzie pastwić głową,
I która wypustoszy przeciwniki twoje,
Którzy nie przyjmą jarzma, porzuciwszy zbroje.
Dłużej cię nie chcę bawić, tylko miej baczenie,
Proszę, na sprawiedliwe twe postanowienie;
Niech czują na się twardy munsztuk ci opili,
I którzy na szrot cnotę i wstyd swój puścili.

ŻAŁOSNA KAMOENA
na powódź gwałtowną w R. P. 1605.

. . . .

Już dawno słońce chmury nam zakryły,
A niepogody z plutą pobudziły,
Bystre potoki z gór, szumiąc, spadają,
Świat zalewają.

Rzeki w około i pienista Wisła,
Na szkodę ludzką z brzegów swoich wyszła,
Szerzy się plaga od Boga posłana,
Dawno słychana.
Przejazdów inszych niemasz tylko łodzie,
Promy a czółny pływają po wodzie;
Gdzie stąpisz tam bród, kędy okiem wejrzysz,
Wody nie przejrzysz.
Leją deszcz chmury zawsze bez przestania,
Kładą się sady z obłoków trzaskania,
Pioruny biją i w kościelne gmachy,
Zkąd wielkie strachy.
Co były wyschły źrzódła się ozwarły,
Szerokich włości ozdobę pożarły;
Chleb zginął ludziom i bydłu pastwiska,
Głód wszytkich ściska.
Ryby po łąkach odległych pływają,
Pasterze z bydłem w góry uciekają,
Drugie zostało w pośród wody srogiej,
Żonki ubogiej. —
Zwierzętom knieje wszytkie się zalały,
Z których uchodzą na wysokie skały;
I tych mieszkańców leśnych wziął w swe troki,
Strach wielkooki.—
Narzeka smutno na gniaździe wróbl mały,
Obroku swego dawno mu nie dały
Zawarte plutą nędznice maciory,
Odziane pióry.
Gołębie płoche próżne gniazda mają,
Po gołębińcach żałośnie stękają;
Żaden dla siebie i dla młodych dzieci,
W pole nie leci.
Szukajmy cieśle co korab założy,
Co wiedzieć, jeśli nie on gniew zaś boży
Znowu postawa, kiedy powódź była
Świat zatopiła.

Niew idać światła, zawsze niepogody,
Na niebie burza a na ziemi wody
Same panują, któremi dziś karze
Bóg gospodarze.
Nietylko drudzy urodzaj stracili,
Widzim i ciała tych co dusze zbyli;
Po wierzchu płyną, powodzią porwane,
Nieopłakane.
Lament ubogich do nieba przechodzi,
Płacz zewsząd, który i bacznych obchodzi;
Aż w serce idzie z ust ubogich ludzi,
Kogóż nie wzbudzi.
Już tylko było zwieść z pola pożytki,
Nieuśmierzony deszcz zatopił wszytki,
Praca oraczów nieoszacowana,
Z mierzwą zrównana.
Widzę, nędznicy, siedząc nad kopami,
By nad zmarłemi płaczą dziateczkami;
Do nieba tylko oczy swe podnoszą,
O żywność proszą.
Z której nie tylko wszytcy obnażeni,
Ale dla żeńców ciężko zadłużeni;
W wielkim ucisku dnie swoje prowadzą,
Sobie nie radzą.
Drudzy od dziatek idą z domu, gdzieby
Poratowano upadku ich chleby;
Darmo szukają, bo gdzie nie zalało,
Tam wygorzało.
Zarobilichmy na gniew boży taki,
na przypadek ten nie ladajaki;
Przypadek ciężki i na te swe szkody,
Prze wielkie wody.

HYMNY.

Hymna nieszporna świąteczna.
Ambrożego ś.

Veni creator spiritus.

Duchu Twórco racz nam przybyć,
Myśli sług twych racz nawidzić,
Napełni serca darem swym,
Wszak one są stworzeniem twym.
Tyś pocieszyciel rzeczony,
Dar boży niewysłowiony,
Ogień, miłość, zrzódło żywe,
Pomazanie świętobliwe.
Ty dawasz siedm darów głównych,
Tyś i rządca ust wymownych,
Tyć palec boskiej prawice,
Dar ojcowskiej obietnice.
Daj nam chodzić w swej światłości,
Racz wlać w serca dar miłości,
A krewkość ciała naszego,
Utwierdź siłą bóstwa twego.
Oddal pograniczne boje,
Daj nam kwitnące pokoje,
Byśmy z twojej opatrzności,
Byli próżni wszech trudności.
Niech ten dar z łaski twej mamy,
Ojca i Syna niech znamy,
Niech i w Cię tymże spólnego,
Wierzymy czasu każdego.
Chwała Ojcu najwyższemu,
Synowi zmartwychwstałemu,
Niech z Duchem świętym społecznie,
Brzmi głośno ninie i wiecznie.

Himna albo pieśń niewysłowionej chwały pańskiej pełna, od wielkich dwu doktorów kościelnych Ambrożego i Augustyna świętych gorącem sercem złożona, którą swych czasów Kościół Jutrznią kończy.

Te Deum laudamus.

Tobie wszechmocny Boże chwałę oddawamy,
Ciebie Panem nad pany z serca wyznawamy;
Tobie i wszystkorodna ziemia czołem bije.
I to cokolwiek na niej z daru twego żyje.
Ciebie i aniołowie Panem swym być znają,
Tobie niebo z górnymi mocarzami cześć dają.
Tobie lotny Cherubin i Serafinowie
Bez przestanku wynoszą głos w takiej swej mowie:
Święty Pan, święty, święty wiecznie królujący,
Zastępy i wojskami duchów swych władnący.
Majestatu chwały twej pełne będąc nieba,
Pełen świat, nie ogarną jej tak jako trzeba.
Wielbi cię apostolski chór twych służebników,
Chwalą prorockie poczty, wojska męczenników,
Tobie powszechny kościół, nieśmiertelny Panie,
Jedyna oblubieńca śpiewa swe wyznanie.
Zna Cię być majestatu Ojca bezmiernego,
Zna Syna z istności twej jednorodzonego.
Oddawa i chwałę swą Pocieszycielowi,
Co przez proroki mówił wielkiemu Duchowi,
Tyś, Jezu Chryste, król nasz chwały niepojętej,
Tyś się Ojcu urodził w przedwieczności świętej.
Wszakże chcąc nas odkupić, drogą swą krwią, potem,
Nie pogardziłeś Twórco panieńskim żywotem.
Tyś sam, poraziwszy śmierć, wyniosłeś proporce
Ku niebu, by za tobą szedł z wiernych twych kto
[chce.
Teraz po boku prawym siedzisz Ojcu swemu,
Niebieską chwałą zewsząd opływającemu.

Ztamtąd zaś w majestacie przyjdziesz srogim sędziem,
A my, grzeszni, na ten czas, co wżdy czynić będziem?
Jednak prosim za czasu, ratuj nas ubogą
Czeladź swą, odkupioną twoją śmiercią drogą.
Spraw to, żebyśmy w regestr świętych napisani,
Na wieczną śmierć nie byli od Ciebie skazani.
Użal się ludu twego, racz nam błogosławić,
Racz nas, twoje dziedzictwo, królu wieczny zbawić.
Rząd twój i łaskę twoję niech nad sobą czujem,
Którzy przebywać z tobą wiecznie usiłujem.
Żaden dzień nie przeminie prożen chwały twojej,
Tobie cześć od nas wieczna, tylko z łaski swojej
Dziś od grzechowej zmazy racz nas strzedz i bronić,
I czartowskich wszechsideł daj się nam uchronić.
Pokaż nam, grzesznym, pokaż swoje zmiłowanie,
Zmiłuj się nad stworzeniem Stworzycielu Panie.
Niechaj twe miłosierdzie nad sobą poznamy,
Tak jako w tobie zawsze ufność pokładamy.
W tobie nadzieja nasza, miasto łaski prosim,
Odmiotu ani wstydu niechaj nie odnosim.

Na dzień ś. Maryi Magdaleny. Himna nowa na oba Nieszpory.

Pater superni luminis.

Sprawco światła niebieskiego,
Za weźrzeniem oka twego.
Serce w Magdalenie skruszasz,
Mróz wyciągasz, ogień wzruszasz.
Bieży zraniona miłością,
Do nóg świętych z kwapliwością;
Całuje, maścią naciera
Łzami kropi, włosmi ściera.
U krzyża się stać nie boi
I przy grobie smutna stoi;
Od żołnierzów się nie schrania

Miłość, precz bojaźń odgania.
O Chryste, prawa miłości,
Ty nasze sam racz zmyć złości;
Niech łaski twej będziem pełni,
I zapłaty w niebie pewni.
Bogu bądź chwała Ojcowi
Chwała jednemu Synowi
Z Duchem świętym dziś i wiecznie;
Niech mają chwałę społecznie.

KASPER MIASKOWSKI.

THREN RZECZYPOSPOLITEY W NIESZCZĘSNE WOYNY DOMOWE.

Zaczni, Euterpe, lament y Neniią,
Niech z oczu wargi strumieniem deszcz pïją,
Dokąd Oyczyzna roztarchawszy włosy,
Narzeka tymi rzewliwymi głosy:
Wzięłaś niezgodo gorę nieszczęśliwa!
Oto iuż szabla we krwi własney pływa,
Czyli iey ieszcze gardło twe niesyte,
Aż stoczysz znowu woyska nieużyte?
Na tom was dzieci moie uchowała?
Bym po was jako Niobe skamiała?
Leiąc zdroy gorzki y noc y dzień cały,
Z przytomney członkom marmurowym skały?
Czemu na żal moy y na zgubę wieczną
Broń podnosicie na się ręką niecną?
Policzcie pierwey od Lecha pradziady,
Takli do wnętrzney zachodzili zwady?
O wyrodkowie, o nie dzieci moie!
Przodkowie waszy tam nieśli swe zbroie,
Gdzie korzyść hoyna wabiła y w koło.
Poczciwym wieńcem wiła sława czoło!

A wy zaś własne tak plondruiąc kniele,
Że dziś nie każdy niwy oracz sieie;
Ubogich płaczem uszy swe pastwicie,
Czego się zemści Wielki Bóg sowicie.
Gniew mię twoy biie za zbrodnie mych, Panie!
Y iuż moy pobieg na tropie tym stanie:
Bom dała urość niekarney sweywoli,
Nie wykopawszy z Polskiey pokrzyw roli.
Iuż to, iuż przyszedł kres moy zamierzony,
Iaki y Greczyn y Rzym miał zburzony,
Jaki Węgierskie Grody zniewolone,
Y oba czarney wody brzegi slone!
Tenże me, widzę, goni koniec lata,
Z pogardą wobec okrągłego świata;
Bo co mi złota zgoda darowała,
Bym tego dalszym synom dochowała,
To mi gwałtownie niezgoda wydziera,
Y wrota obcym na zdobycz otwiera;
A upor trąbiąc tym więcey na trwogę,
Tego chce, czego dać mu ia nie mogę.
Darnycie krzywdę matce dzieci swoię
A iuż rumioną złóżcie z grzbietów zbroię,
A ieśli mężnych boków nie dolega,
Niech przed bachmatem wprzod Niestru dobiega.
Ono wyźrzawszy y gołe tam kąty,
Wydarł rozboyca znowu mi Inflanty!
Jako chciał prawie: bez potu, bez rany,
Śmiały po bitwie niedawno przegrany.
Waszymi na was działy strzelać będzie,
Których mu Kamień w gęstym dodał rzędzie,
A ieźli prędki odsieczy nie zoczy,
Nie zahamuie Dźwina iego mocy.
Ono Siewierska ziemia ręce dawa,
Ktora z Tyranem nowym nie przestawa;
Chcąc pod Chorągwią iarzmo zrzucić moią,
Czego Tryony zimne się tam boią.

A toć do całey prosty cel swobody:
Wyiąć z niewoli przyległe narody
A kleynot drogi przedtem uroniony,
Wrocić y wsadzić znowu do Korony.
Woła was tamże ciepła krew braterska,
Ktorą rozlała zdrada ich łoterska,
Wołaią długie y ciężkie okowy,
Nieszczęsny z oycem żałosnym Carowy.
Kto mi da słyszeć ieszcze te nowiny,
Że odpuściwszy wzajem sobie winy,
Y ganiąc radę rożne głowy głupią,
Wszytcy pod Orła białego się kupią:
Gdzie hasłem zgody społeczney spoieni.
Wpadli tam, iako głodni lwi woienni,
Niosąc miecz mściwy na poboy rumiony,
Pobitych ichże wołaiąc imiony.
Tam zostawiwszy ręki dzielney znaki,
Odniosłby Polak plon nie ledaiaki,
Aby nic więcey, iedno uwiodł więźnie,
Z wysoką sławą z pośrzodku ich mężnie.
Ale wiązałby y hołdem ich kraie,
Bo Wasilowey krwie im iuż nie staie;
A po okrutney y długiey niewoli,
Kto z nich do portu wolności nie woli?
Lecz co ia płonne darmo pusczam głosy,
Podobne świerczom na łące bez rosy;
Powstaią chmury przeciwne, bo znowu,
Które mi zayźrzą świeżego obłowu.
Próżno mi żagle bawi kto nadzieią,
Kiedy domowe wiatry indzie wieią;
Niesie mi samo szłyk Moskiewski szczęście,
Ale iey fata gdzieindziey donieście.
Tępy wzrok Polski, nie widzi pogody,
Aż mu uciecze wstecz za słone lody;
Nie wrotna, bo tył głowy maią łysy,
Nie da się dzierzeć, nawet ani słyszy.

Doma żelazo upor ostrzyć woli,
Puściwszy wodze bezecney sweywoli;
Nie cierpiąc ani Oyczystych praw sfory,
Ani chcąc z gory pychy do pokory.
Z tądże (czym się ia nie dopiero hydzę) —
Serca tym więcey zaiątrzone widzę
Y czekam rychło miedzy swemi płoty,
Złożą zaś na się ostre w Polscze groty.
Coby wypiła Polskiey krwie Bellona,
Furyą na się wzaiem popędzona?
Coby w kurzawie y w żelaznym znoiu,
Kwitnącey młodzi legło na poboiu?
Rzadkoby matka syna przywitała,
Choć od ołtarzow zań dopiero wstała,
Rzedsza uyźrzała rozsiodłane konie
Y zaś po ścienie powieszone bronie.
A ieśli się Mars daley wnętrzny wściecze,
Widzę dobyte y postronne miecze;
Aż wrzuci pęta Carogród na nogi,
A ten dopiero utrze Polscze rogi!
Często on na mię wywarł swe ogary,
Nie odmieniwszy w przymierzu maszkary
Cóż gdy mię uyźrzy doma zmordowaną,
Łacno mię z konia iedną zwali raną.
Więc, ieśli ślepe swego końca plemię,
Napoi pławem szarłatnym zaś ziemię,
Tam przy ich grobie usypcie mogiłę,
Gdzie ia też zdrowie położę y siłę,
Tamże mi filar wystawcie kamienny,
Któregoby wiek nie psował odmienny;
Na nim nagrobek z twey, Ewterpe, głowy,
Niech kto wydroży tymi krótko słowy:
Tu, porzuciwszy berło swe na stronę,
Y wziąwszy z czoła Sarmacką koronę,
Prze swych niezgodę kościm położyła,
Ta, com z przodków swych w sławie wielkiej żyła!

Dawayąc Pany narodom postronnym,
Pomknąwszy granic precz kopcem przestronnym,
Zgromiwszy wszytkich nieprzyiaciół siły,
Co się o Polską krew kiedy kusiły!
To w zgodzie; ale upor mię domowy
Obalił, za wierzch uiąwszy mię głowy,
A iako wicher z korzeniem dąb wali,
Tak nie strzymałam wnętrznych stosow dali;
Co widząc, biały skrzydła Orzeł kładzie,
I Ceres zbiera kłosy swe po gradzie,
Leci też z ręku złoty miecz Pogoni,
Y iuż on żartki koń iedno wiatr goni!

NA EXPEDYTIĄ MOSKIEWSKĄ DO KROLEWICA JEGO M.

O Plemię Krolow wielkich pod Tryony,
Wsiaday na Pański koń twoy doświadczony,
Gdzie cię na kręgu wiedzie szczęście złotym
Niepewne potym.
Wsiaday! a kto wie, żeć łaskawe oko
Ukaże on Bog, co mieszka wysoko,
A tu na ziemi spychaiąc Tyranny,
Odmienia Pany.
Wsiaday, gdzie czeka sama cię pogoda,
Gdzie rosterk woła y wnętrzna niezgoda,
Kędy krew Polska rozlana, nie w zwadzie,
Ale na zdradzie!
Woła cię Państwo aż pod lody słone;
Czego są świadkiem poselstwa nie płonne,
Że pod twe skrzydła w ostatniey koszuli
Ono się tuli.
Tam Bolesławow Ruskie przed tym Grody
Szukały, pragnąc ściśnione swobody,
Y odtąd mamy obfite ich kniele
Pełne nadzieje.

Że za twym berłem Bóg im odgniewany
Umknie za Wołgę dzikie Bisurmany
Y z ich pól wprzod twoy zżenie miecz szczęśliwy,
Lud ten pierzchliwy.
Tenże pochopem zaiuszony dali
Y zawdy hardy trupem ich przywali;
Mszcząc się pradziada mężnego u Warny,
W bitwie niedarny!
Ale to potym. Teraz wiek kwitnący
Nieś na szańc Arkto, gdzie Philax nie rączy
Poszewym dyszlem oś walna obwodzi
A nie zachodzi.
Tam rostocz Orły białe y z pogonią,
Tam wpadni iako lew z dobytą bronią,
Wiodąc młódź Polską ochoczo do boiu,
W żelaznym stroiu!
Patrz na Boginią, która cię prowadzi
Y na północny stolec sama wsadzi,
Jeśli nie zoczysz żartkiego iey koła,
A w tropy zgoła.
Rozszerz Królestwo, o Jagiełło drugi,
A nie zapomni za to cię czas długi,
Wsadź zaraz wonney Bogu tam ofiary,
Rzymski sczep wiary!
Z tobą zakwitną powiaty Lechowe,
Do męstwa więcey y zbroi gotowe,
Posiłkiem, kosztem, bo im towar hoyny,
Pomoże woyny.
A nieprzyiaciel zawstydzi się w koło,
Zadrży Suderman na twe młode czoło,
Po Niestrliowskim y niecnym rozboiu,
Zebrząc pokoiu.
A ty tam stawisz z marmuru kolosy,
Gdzie słony nie zna perłowey brzeg rosy,
Lecz ostrym lodem wiatryli powstały
Hamuie wały.

Sława też śnieżnym na Kaukazie zatym
Głośne twe trąbą y piorem bogatym,
Roznlesie sprawy w niedorosłym lecie
Po wszytkim świecie.
Nie mniey y Oycu z palmą ten doniesie,
W bobkowym, co mu wile wieniec lesie
By otoczyła Pańskie iego skronie
Na złotym Tronie!

LUTNIA IANA KOCHANOWSKIEGO
wielkiego Poety Polskiego.

Powiedz spłodzona w czarnym córko lesie,
Gdzie Bóg myśli twe y z nadzieią niesie?
Jako kochanka w krętym bluszczu twego,
Skryła Atropos do lochu ciemnego?
Skryła, lecz sława na dwurogim wierzchu,
Nie zna przy zdroiu Pegazowym zmierzchu:
Y tuszy Muzom, że przy iego grobie,
Helikon nowy ubuduią sobie!
To ia, a ona tak mi na to rzecze:
Pierwey do Pontu Dunay dnem uciecze,
Y Wisłnym grzbietem ustaną komiegi:
Pierwey w gorącym Lwie upadną śniegi,
Niźli kto nadeń w me struny łagodniey
Uderzy y wiersz na świat poda godniey;
A woskiem skrzydła ten przylepi, który
Chce bystrym piorem donieść iego góry!
Trzy Panie, co im wdzięczność imię dała,
Y Pallas ieszcze więtszego nie znała;
Bądź kto poważnym bawi rytmem uszy,
Bądź sztucznym żartem y okrągłym ruszy:
Kto u nas kiedy Słowieńskimi słowy,
Doszedł tak blisko Arfy Dawidowy?
Milczę, nog kozich y głowy rogatey
Leśnego Boga, lecz mowy bogatey!

A Antenora y wiesczkę Troiańską,
    Którey Sophocles na scenę pogańską
    Wprowadził kiedy żałośni y snadni?
    Ia niewiem, y ty rownego mu zgadni!
Komu nie poydą z oczu zaś strumienie,
    Kiedy Oycowskiey miłości płomienie
    Nad lichą trunną Coreczki wyraził?
    W tym szranku (wierz mi) serce drugim skaził!
Na Duńskim dworze kto nie wie stoczonych
    Bitew, y mężow z kości utoczonych?
    Gdzie z mądrey oney panieńskiey przestrogi,
    Iuż, iuż zwyciężcy Fiedur dał met srogi!
Kto przyniosł u nas gwiazdy Aratowe
    Na Polskie niebo i Tryony owe,
    Co ie Bootes w koło osi pędzi,
    A nie ukroczy od niey y na piędzi?
A kto płot inszy obfity policzy,
    Osadzę piękną Sarmackiej ulicy:
    Proporce, woyny y pary złączone,
    Pociechy w smętku, wymowne, uczone?
Śpiewałli Syren, płakałli Niobe,
    Podobny tak głos uprządł on więc sobie,
    Że y Amphion nie tak zabrzmiał, ani
    Orpheus tak w smętnym szukał dźwięku Pani!
Nie widząc tedy równey mu gospody,
    Ustały me z nim Elegi y Ody:
    Thren tylko po nim w głuchey kniey śpiewam,
    A co wiersz, to ie łzami ia oblewam!
A ieśli pytasz: czyiego podwoia,
    Dochodzi pod czas Polymnia moia?
    Tak wiedz, że wnuki minąwszy Lechowe,
    Obrałam doma goście raczey nowe!
Co, goście mówię? Polaka wymową,
    Co roszczką obwiodł skroń niemniey mirthową;
    Chcesz? iaśnieć powiem, acz wasza sromota,
    W pośrzodku Polski przystałam do Szkota!

WALETA WŁOSZCZONOWSKA.

Żegnam was pola Włoszczonowskiey kniei,
Gdzie się mnie wrocić niemasz y nadziei;
Żegnam cię błotny z twymi dworku ściany,
Snopkiem odziany!

Żegnam was żyzne dwa pobocz ogrody,
Y oba stawki hoyney pełne wody,
Gdy w nie Eolus mokrym skrzydłem żenie,
Z pola strumienie.

Żegnam was sadki na wiosnę zielone
A lecie wiśnią doyźrzałą rumione;
Day y ty rękę wirydarzu lichy,
Paladzie cichy!

Tu ona szczypiąc kwiatki twe chodziła,
A wiersz zarazem dowcipem rodziła;
Prostyć, lecz piora dotkliwego rożny,
Y żółci prożny.

Żegnam poddane rzewliwe, rzewliwy,
Przeciwko ktorym, ieślim nie pierzchliwy,
Anim był cięszki ornym wołom w pługu,
Uchodząc długu:

Niech wżdy chowaią w pamięci mię wdzięczny,
Dokąd dzień słońce, a noc krąg miesięczny
Prowadząc wrocą lato im po śniegu
W poprzecznym biegu.

Żegnam cię Rybski, moy życzliwy Stachu!
W któregom iadał często ia chleb gmachu;
Bądź to wezwany do twoich więc gości,
Z całey miłości;

Bądź żebym ci płod z nieba darowany,
W pieluszkach doniosł do zbawienney wanny
Y odniosł śliczne matce zaś na łono
Dzieciątko ono!

Lecz, kto śmierć z ostrą z tyłu zoczył kosą,
Gdy nań dybała nogą chytrze bosą
Y niż okrągły doszedł mu rok miary,
Wzięła na mary?

Niech staną w brzegu twe matko źrzenice!
Dosyć wypiło z nich od nog oblicze,
Kiedy członeczki liliiowe one
Legły uśpione.

Żegnam cię tedy żałosna mogiło,
Ktoraś zawarła dziecię niż mowiło;
Dziecię, co wiły iuż mu wieniec złoty,
Słodkie przymioty!

Żegnam cię, stryiu własny iego, Pietrze,
Choć znowu buiasz po dworskim tam wietrze;
Bom cię życzliwym znał w tey tu ku sobie
Trzyletniey dobie!

Żegnam y ciebie Gąmbiński kościele,
Kędym nabożnych widział ludzi wiele
Y słyszał w niebo przy offierze drżący
Głos ich gorący!

Żegnam cię domie wystawiony z cegły,
Mało co Domu świętego odległy,
Zkądem mogł, niż szczedł czas mi nocy wrony,
Poprzedzić dzwony.

Żegnam was niemniey Pomazańcy Boży,
Niźli wam złotą koronę odłoży
Za nieleniwe w iego służbie stopy,
A nie dla kopy!

A miedzy nimi, żegnam, Marku, ciebie,
Tyć mi Oyczyznę pokazował w niebie
Y omył, niźlim przyjął, Bogu krzywy,
On pokarm żywy.

Zegnam was głosy krzykliwe z organy,
Gdy u ołtarza stanął Xiądz ubrany
Bądź Arphą Bogu Dawidową służy,
Słodszą nad Muzy.

Żegnam was wszystkie ludzie tego miasta,
Kto mi życzliwy mąż abo niewiasta!
Żegnam przed nimi tymi ia was słowy,
Szlacheckie głowy!

Życie w pokoiu y w zaiemney zgodzie,
W ochronie z nieba y miłey swobodzie!
A ia cnych waszych trębaczem spraw będę,
Kędy usiedę.

JASŁECZKA
Nowonarodzonego Dzieciątka Iezusa Boga Przedwiecznego.

Co radość święta y wesele zgodne,
Słow y rzeczy udzieli,
Żebyśmy co umieli:
Śpiewaymy Panu, bo niebo pogodne,
Wypuściło na ziemię
Wielkiego Boga plemię.
Roztocz tu pióra o Cherubie lotny,
Y ty skrzydłem Seraphie,
Zasłoń niebieskiey Saphie,
Niż choć zawarta, wyda płod ochotny,
Przyrodzenie niech miia,
Panna Syna powiia.
O dziecię święte, małyby był tobie
Salomonow choć złoty,
Sławney pałac roboty.
Tyś podłą staynię gmach obrało sobie:
Prożną chwałą świat chory
Niech się uczy pokory.

Porownay tryumph na niebie wesoły,
Z nowemi łzy na ziemi,
Y z pieluszkami podłemi.
Ale gdy się to rozdzieli na poły:
Pieśń Boga czci przed wiekiem,
Płacz go czyni człowiekiem.
Czuli Pasterze, wam naprzód zbawienną
Skrytą w wieczności lesie,
Anyoł nowinę niesie.
Pospieszciesz, niźli pochodnią iutrzenną,
Bystre słońce pogoni,
Y Panu się ukłoni.
Nie w bogatey go szukaycie gospodzie,
Nie gdzie szczyty wysokie,
Y gdzie rynki szerokie.
Ale gdzie Oracz gwoli niepogodzie,
Twardą skałę wydrożył,
Y wierzch darniem położył.
Bo kędy wieczne kwili Słowo w żłobie,
Z Osłem ledwie Woł grzeie,
Co tak ostry wiatr wieie.
Tam że upadszy na kolana obie,
Niskim czołem witaycie,
Rytm wesoły śpiewaycie:
Schoway pierwiasnki Panno o Naświętsza,
Synaczka twego chwały,
Kwiat pociechy dostały,
Niż codzień tropem gęstym przydzie więtsza,
Tam skąd Ganges skok bierze,
Od krwi w obcym ubierze.
Sam a sam miedzy głównieyszemi miasty:
Acz wał y mur twoy mały
Betleemie wspaniały:
Bo odtąd nieba tykaią twe baszty,
Iako Panienka ściele
W tobie żłob Bogu w ciele.

. . . .

SZOPA ZBAWIENNA.

Betleemskiey on grzbiet skały,
Ieszcze niźli mury wstały,
Wykowany ręką prostą,
Y pokrzywy po nim rostą;

Zgon bydlęcy kiedy w znoiu,
Spieszy z pola w cień do zdroiu,
Abo cicha zimie szopa,
Gdzie woł z osłem czekał snopa:

Syońskie dziś przeszedł gory
Niebotyczne, y marmory.
Choć tam w złotym manna statku,
Tu chleb żywy w niedostatku.

Tam tablice, tam w ochronie
Z manną pręt po Aaronie:
Tu dzieciątko małe kwili,
Co zhołduie świat po chwili.

Niemowiątko mowi wiele,
(Kto ma uszy) w tym kościele.
Bo y żłob, y ostre płaty
Ganią wczas, y dom bogaty.

Tu z ubostwem włoż na wagę
Pompę, stroie y powagę:
Rzeczesz, ciężkie że tłomoki
Na doł ciągną, to w obłoki.

Bogaty zaś po wieczerzy,
Patrz, iako sen wszytkie dzierży
W miękim pierzu: a niedbaią,
Że pogłowne w skrzyniach maią.

Nader miasto o szczęśliwe!
By był nalazł Bog chętliwe,
Izraelu twoje syny
Do tak wesołey nowiny:

Oto twoy wodz obiecany,
Krol wszech wiekow, Pan nad Pany:
Wżdy nie czuiesz gdy się rodzi,
Y z nim nowa gwiazda wschodzi.

. . . .

Szymon Szymonowic
(1557 — 1629).

Złoty wiek literatury polskiej, zamierając powoli, błysnął jeszcze na swoim schyłku talentem poetyckim wysokiej próby i niepowszedniego rozgłosu po za granicami Ojczyzny. Tym wybrańcem muzy słowieńskiej, opłakującej ciągle zgon przedwczesny Jana z Czarnolesia, był Szymon Szymonowic, albo jak sam pisał się po łacinie, Simon Simonides, lwowianin. Urodzony w tem mieście kresowem Rzeczypospolitej, opromienił je niemierzchnącą chwałą swego imienia, aczkolwiek nie był na Rusi czerwonej autochtonem. Ojciec jego, Szymon, pochodził z Brzezin na Mazowszu. Bliższych o jego życiu szczegółów nie posiadamy. Wiemy tylko, że był mieszczaninem, że odebrał wyższe wykształcenie, gdyż był mistrzem nauk wyzwolonych i filozofji, oraz, że pomimo swoich uzdolnień i zamiłowań humanistycznych, trudnił się rzemiosłem krawieckiem i handlem. Dla handlu też prawdopodobnie wywędrował do Lwowa, leżącego na skrzyżowaniu wielkich dróg Wschodu i Południa. Osiadłszy tam na stałe, musiał dobre robić interesy, skoro nabył kilka domów. Jako possessionatus, został rajcą miejskim, podobno nawet wójtem i zażywał wśród współobywateli zacnego imienia. Nadto, nie zrywając z nauką, zgromadził wcale

niepowszednią bibljotekę, o której dowiadujemy się od dra Ursinusa, wysławiającego ten księgozbiór w przypisaniu Szymonowi swojej Gramatyki metodycznej.

Matką poety była Katarzyna ze Śmieszków 1-o voto Gajzlerowa, mieszczanka lwowska.

W gnieździe rodzinnem przejął się już młody Szymonowic atmosferą nauki i nabrał zamiłowań, które towarzyszyć mu miały przez całe życie.

Urodzony w r. 1557-ym, wcześnie musiał posiąść naukę czytania i chciwie zapewne sięgał do bibljoteki ojcowskiej w czasie, kiedy uczęszczał do szkół lwowskich. W 18-ym roku życia opuścił miasto rodzinne i przeniósł się do Krakowa, gdzie w r. 1575 zapisał się w poczet uczniów Akademji tamtejszej na wydziale filozoficznym. Słuchał tam wykładów Jakóba Górskiego i St. Sokołowskiego, a w studjach musiał być dobrze zaawansowany, skoro po 2 latach, w roku 1577-ym otrzymał stopień bakałarza nauk wyzwolonych (artium liberalium).

Dalsze nauki pobierał zagranicą, ale gdzie, tego ściśle nie wiemy. Wprawdzie współczesny mu Szymon Starowolski w dziele swojem: Życie stu znakomitych pisarzów polskich (Scriptorum Illustrium Polonicorum Hecatontas) mówi o Szymonowicu, iż »dzieckiem w domu, młodzieńcem w Akademji Krakowskiej czytaniem najlepszych ksiąg ukształcony a pierwszą filozoficzną nagrodą spółcześnie z Mikołajem Dobrocieskim za Dekanatu Anzelma z Bożęcina ozdobiony, udał się następnie do Włoch, gdzie czerpał ze świętych piersi owych sławnych Kluwiusza, Witelesca, Muret'a i in.«, to jednak zdaje się, iż pobyt jego we Włoszech należy przesunąć na okres późniejszy życia.

Tak przynajmniej wnosić wolno z listów Reszki, posła króla Stefana Batorego przy dworze rzymskim, pi-

sanych do Szymonowica. W jednym mianowicie z tych listów, z roku 1594-go, Reszka pisze: »Ujrzysz tu naprzód Wenecją, miasto pływające po morzu, stamtąd popłyniesz do rozległej Padwy, tego siedliska nauk i kunsztów. Stąd do Modeny się udasz, stąd do Bononii, naukami i polorem słynącej, stąd do Sjenny, a potem przybędziesz do Rzymu o siedmiu wzgórkach, do tej pani świata, królowej miast«.

Wskazówki te mogły być skierowane tylko do tego, kto jeszcze Włoch zupełnie nie znał. I dlatego o wiele prawdopodobniejsze jest przypuszczenie, że młody, dwudziestoletni bakałarz wyjechał na uzupełnienie studjów nie do Włoch, ale do bliższej znacznie Belgji lub Francji, aczkolwiek prof. Pilat wątpi i o tem, nie bez słuszności wskazując na fakt, że najważniejsza siła profesorska, która mogła przyciągnąć młodego Polaka do Lovanium, znakomity filolog i znawca literatury starożytnej, komentator dzieł Teokryta, Katulla, Tybulla i Propercjusza, słynny Scaliger, zajął w Lovanium katedrę dopiero w r. 1593-im t. j. wówczas, kiedy Szymonowic dawno już był w kraju.

Nie mogąc ustalić miejsca studjów poety, musimy poprzestać na fakcie, iż studja te miał za sobą gruntowne, o czem świadczy jego rozległe wykształcenie i znakomity styl łaciński, którym posługiwał się w swoich młodzieńczych już utworach w tym języku pisanych.

Domniemany pobyt Szymonowica w Belgji, czy Francji trwać mógł około lat trzech. W roku 1581-ym poeta powrócił już do kraju i osiadł we Lwowie, gdzie jakiś czas zajmował się nauczycielstwem. Z tego szarego życia wydźwignęły go na widownię stosunki z kanclerzem Janem Zamoyskim, który w kształtowaniu się dalszych jego losów odegrał rolę szczęśliwie napotkanej »dobrej gwiazdy«. Stosunek tych dwóch ludzi, początkującego dopiero poety i znakomitego już, opromienionego

chwałą i zasługami, męża stanu, zasługuje na bliższą uwagę.

Kanclerz Jan Zamoyski, urodzony w r. 1541-ym, sam bardzo wykształcony, autor dzieła »De senatu Romano« (»O senacie rzymskim«), rektor Akademji padewskiej, którą to godność, mimo młodego wieku, dzięki wybitnym zdolnościom swoim po ukończeniu studjów otrzymał, przyjaciel z czasów akademickich Stefana Batorego, po objęciu przez niego władzy królewskiej w Polsce, stał się jednym z najbliższych doradców majestatu i jednym z twórców ówczesnej wielkiej polityki zenwętrznej i wewnętrznej.

Już w bezkrólewiu, po śmierci Zygmunta Augusta, wynurzył się z Zamoyskiego — stwierdza Jul. Bartoszewicz — mąż wielki.

Rzeczpospolita polska, urządzona świeżo na Sejmie lubelskim (1569), szerokie rozwarła Koronie granice. Przed Unją federacja państw i plemion, narodowości i języków, budowa społeczna, w której znalazły się różne wyznania, trzymały się w państwie Jagiellonów tylko instytucjami, tylko cywilizacją. »Ludy ciągnęły do Polski, bo w niej było każdemu swobodnie, bo cywilizacja wysoka przodującego w federacji narodu, wszystkim wymierzała sprawiedliwość«. W tak urządzonem państwie Jagiełłów różne jednak napotykały się odrębności, »niby gmachy osobne, jednym rządem związane«. Dopiero Sejm lubelski tę rozmaitość zjednolicił i jedno państwo ze wszystkich ziem stworzył. Ale Zygmunt August umarł, nie dokończywszy budowy, pod którą podwaliny położył. Po jego śmierci »tej Rzeczypospolitej prawodawcą postanowił być Zamoyski. Człowiek młody jeszcze bez wpływu, bez znaczenia, ale była to ambicja wielka, żądza chwały i rozum niepospolity, genjalna zdolność, przymioty zacne, potrzebne mężowi, który chce być popularnym, który musi

tłumami kierować«. Przedewszystkiem więc trzeba było nabyć wziętości u szlachty, która wówczas naród stanowiła. Inne warstwy zgoła jeszcze w grę nie wchodziły.

Po śmierci Zygmunta Augusta ten naród obierać miał króla. Dawniej wybierała go starszyzna, senat, w ciągu jednego lub dwóch tygodni na Sejmie. Teraz zastąpiło Zamoyskiemu drogę pytanie, czy ma wszystko po dawnemu pozostać, czy tron należy oprzeć na silnej arystokracji, czyli też dać mu za podstawę marzoną już przez Górnickiego demokrację szlachecką. Nie wahał się. Na sejmie konwokacyjnym zabrał głos i w pięknej, patrjotycznej mowie dowiódł, że »kiedy wszyscy szlachta bronią ojczyzny, kiedy wszyscy dają dla niej podatek, tak najwyższy, jak najniższy, wszyscy też powinni mieć prawo wyboru króla«. Zdanie to tak trafiło w usposobienie szlachty, że stało się faktem, zasadą, podstawą nowego bytu Polski. »Zamoyski był w jednej chwili mężem najpopularniejszym w narodzie, wszystko ze szlachty zrobił i stał się jej prawodawcą, nie tylko za pierwszego, lecz i za drugiego bezkrólewia«. Szlacheckim cementem spajał nową Polskę przez cały czas panowania Batorego, a chociaż jego »głosowanie powszechne«, wskutek nieumiejętności przeprowadzenia go, stało się karykaturą świadomego głosu powszechności, to jednak, dzięki demokratycznej swojej zasadzie, która znalazła ostrych przeciwników wśród wielkich panów, grożących nawet, jak Tarnowski, »wyniesieniem się pod błogosławione panowanie rakuskiego domu«, ale miała i gorących zwolenników i obrońców w »tłumie szlacheckim«, kanclerz grę swoją wygrał i nie tylko u szlachty, ale i u mieszczaństwa ówczesnego zdobył sobie sławę i dobre imię. Większe było jego zaufanie u dołu społeczeństwa niż u góry, zwłaszcza za panowania Zygmunta Wazy, który poddawał się wpływom schlebiających mu Radziwiłłów i, idąc za podszeptem jezuitów, odwracał się od Zamoyskiego.

W chwili jednak, kiedy Szymonowic z kanclerzem zawarł znajomość, Zamoyski stał właśnie u szczytu swojej popularności i wpływów.

Jaki przypadek zbliżył poetę do »trybuna ludu szlacheckiego«, nie wiemy.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa doszła o Szymonowicu wieść do Zamościa przez ludzi trzecich, przez szlachtę, która powierzała młodemu uczonemu lwowskiemu wykształcenie swoich synów. Wszak między innymi uczniem jego był Jakób Sobieski.

Szymonowic pisywał już wówczas wiersze łacińskie, tem łatwiej zatem Zamoyski, który piśmiennictwem żywo się interesował, mógł słyszeć o nim znacznie jeszcze przedtem, zanim mu go na dworze królewskim przedstawił Stanisław Sokołowski, przyjaciel i profesor z Akademji Krakowskiej, podówczas spowiednik i kaznodzieja dworski.

Wrażenie z osobistego zetknięcia się z kanclerzem musiało być ogromne. Szymonowic od tej chwili stał pod jego urokiem. Obudziło się w nim fanatyczne uwielbienie dla wielkiego męża stanu, dla tego prawego rzymianina, marzącego o przebudowaniu Polski na wzór światowładnej rzeczypospolitej rzymskiej.

Dziwić się temu nie można. Poeta, gorący wielbiciel klasycyzmu, znawca literatur starożytnych rzymskiej i greckiej, patrzący na świat przez pryzmat ideałów, dla których kult zaczerpnął z nieśmiertelnych dzieł filozofów i poetów łacińskich, ujrzał nagle przed sobą żywe tych ideałów wcielenie, wielkiego obywatela i wielkiego wodza w jednej osobie, niby polskiego Juljusza Cezara.

Miał przed sobą widoczny »mózg« państwa, sprężynę, która wprawiała w ruch całą niemal ówczesną machinę państwową. Schylał czoło przed rycerzem, zwy-

ciężcą z pod Byczyny, który »królów brał w jeństwo«, a jednocześnie wielbił fundatorów twierdz, miast, kościołów, a nawet akademji w Zamościu.

Ten szeroki gest pana polskiego nie mógł nie zaimponować światłemu, ale niskiego pochodzenia mieszczaninowi lwowskiemu, który nadto mógł się spodziewać, i nie bez podstaw, że tak jak przyszło do zwycięstwa zasady demokratycznej pośród szlachty, tak samo przyjdzie do wyrównania różnic pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem, bo przecież dość było oznak, pozwalających wnosić, że mądry i przewidujący kanclerz, który ogłaszał się wyraźnie za prawami miast przeciw przewadze jednego stanu szlacheckiego, zdaje sobie sprawę z potrzeby reform i z ducha czasu. Przecież kanclerz był naprawdę »demokratą«, chociaż tylko szlacheckim. Książęce i hrabiowskie tytuły z pogardą odrzucił, gdy mu je ofiarowano. Do herbu swojego przybierał chętnie ludzi, zasłużonych ojczyźnie. Szanował ich i kochał. Z Janem Kochanowskim przyjaźnił się i bywał u niego gościem w Czarnolesiu. Dla niego to przecież Kochanowski »Odprawę posłów greckich« napisał.

Rzecz zrozumiała tedy, że skoro Szymonowic poznał Zamoyskiego i urokowi osobistego z nim obcowania uległ, stał się w duchu więcej niż jego przyjacielem, jego do końca życia obrońcą i oddanym mu sługą.

Czcił go też swojemi wierszami łacińskiemi, osłaniając go przed zawiścią ludzką, która gryzła go za zbyt szybkie wyniesienie się przez małżeństwo z Gryzeldą Batorówną. Sławił jego cnoty, męstwo i opiewał zwycięskie odparcie napadu Tatarów na Rusi na czele garści ochotników.

Były to wiersze pisane świetną łaciną, nad wyraz gładkie. Czytywano je i zachwycano się niemi w całej Polsce. Nie bez wdzięczności przyjął też kanclerz te wy-

razy hołdu i przyjaźni. Nie tylko zbliżył się do poety, nie tylko zaczął z nim listy wymieniać, ale nadto wyjednał mu nadanie klejnotu herbowego. Nobilitowany na Sejmie 1590-go roku, Szymonowic otrzymał za herb Kościeszę i wpisany został w poczet szlachty pod imieniem Szymona Symonidesa Bendońskiego.

Skąd się to oryginalne wzięło nazwisko? August Bielowski stwierdza, że przydomek ten pozostaje w związku z miastem Będzinem, po łacinie Bendonia, gdzie w r. 1589-ym zawarta została ugoda z Austrjakami, po wielkiem zwycięstwie pod Byczyną, uwieńczonem pogromem Maksymiljana. I w tem byłby więc wyraz uwielbienia dla Zamoyskiego, zwycięzcy, który znów nie pozostał poecie dłużnym za to, gdyż niewątpliwie za jego to sprawą otrzymał Szymonowic w tym samym jeszcze roku od Zygmunta III-go tytuł »poety królewskiego« wraz z rozmaitemi przywilejami, a między innemi z tem, że »dom jego jako przybytek, przeznaczony sacro silentio Musarum (świętemu Muz milczeniu) uwolniony został od wszelkich ciężarów publicznych« (prof. Pilat).

Od współczesnych Szymonowicowi dowiadujemy się nadto, że ozdobiony był on według zwyczaju ówczesnego »wawrzynem poetyckim«. I tu więc prawdopodobnie Zamoyski współdziałał, mogąc wpłynąć czy to na papieża, czy na króla, bo z czyich rąk poeta ten wieniec otrzymał, nie wiemy.

Stosunek z Zamoyskim bliski i na obustronnej przyjaźni oparty zacieśnia się ostatecznie w r. 1593-cim, kiedy kanclerz porucza Szymonowicowi urządzenie założonej przez siebie akademji w Zamościu i wzywa go do swego boku.

I znów nastąpić musiało olśnienie. Zamość bowiem był wówczas jakby »rodzajem małej stolicy Rzeczypospolitej« (Bartoszewicz). »Ile bo tam przegoniło się posłów,

pełnomocników od państw różnych! Kanclerz prowadził tam dwór okazały, gościnny, pełen godności. Tam często układały się plany polityki świata«.

Znalazłszy się w tem środowisku, Szymonowic musiał znacznie horyzonty swojego myślenia rozszerzyć, musiał odczuć zarazem, że współdziała wielkiej dla narodu sprawie rozniecania w kraju nowego ogniska nauki.

Do pracy zabrał się gorliwie.

»Widzimy go przez cały szereg lat — mówi prof. Pilat — zajętego urządzaniem akademji, mianowicie wyszukiwaniem nauczycieli, wysyłaniem zagranicę młodzieży, mającej sposobić się do zawodu nauczycielskiego, rozkładem planu naukowego, nawet założeniem drukarni w Zamościu. W krótkim czasie pozyskał dla akademji pięciu zdolnych profesorów: Jana Ursyna, Wawrzyńca Starnigela, Melchiora Stefanidesa (Stefanowica), Mateusza Turskiego i Szymona Birkowskiego, a z innymi prowadził układy. W roku 1594-tym czynności przygotowawcze około założenia akademji tak już daleko zostały posunięte, że instytucja nowa mogła wejść w życie«.

»Przerwę w tych czynnościach Szymonowica — opowiada dalej prof. Pilat — spowodowała w r. 1596-tym śmierć ojca i wynikająca stąd potrzeba załatwienia spraw spadkowych. Ponieważ przeważna część rodzeństwa już wymarła i pozostały tylko małoletnie dzieci braci i sióstr, przeto na Szymonowica spadł ciężar przeprowadzenia działu majątkowego. Poeta dokonał tej rzeczy szybko i z tak wielką sumiennością, że otrzymał od spadkobierców publiczne za to podziękowanie. Po zakończeniu sprawy działu majątkowego postanowił opuścić Lwów i przenieść się w pobliże Zamościa w celu lepszego dopilnowania nowopowstałej akademji«.

Miał prawdopodobnie na widoku jakąś dzierżawę, trafnie bowiem zdaje się przypuszczać Al. Tyszyński, że,

jeszcze za życia ojca, będąc we Lwowie, »dzierżawami chodził« i część czasu swojego na wsi spędzał.

Świadczy o tem list Szymona, pisany ze Lwowa do Zamoyskiego w r. 1594-tym, w którym poeta użala się że »ojciec odmawia mu 1000 złp., obiecanych na zaczęcie dzierżawy, pod pozorem jego niezdrowia«. Nadto w znanym nam już liście Reszki, wzywającym Szymonowica do Włoch, a pisanym także w r. 1594-tym, znajdujemy wyraźne wzmianki, naprowadzające na to, iż poeta już trudnił się wtedy, i nawet gorliwie, gospodarstwem wiejskiem. »Nie zdaje się, mój Symonidzie, — pisze Reszka — aby jeden rok nieobecności majątkowi twemu jaką klęską zagrażał; i w rolnictwie jest czas wypoczynku. A ponieważ ustawicznie badasz, jeśliby się jeszcze jaka tajemnica natury wykryć nie dała, możemy się tu poradzić cieniów Pliniusza. Nikt lepiej od niego nie potrafi cię zawiadomić, nie bez pożytku dla twego gospodarstwa i tych, co cię we Lwowie zatrzymują, jakim sposobem sosny nasze zamienićby się mogły na winną latorośl, albo jak zrobić, aby na wierzchołkach drzew jęczmień się rodził« (przekład M. Wiszniewskiego).

List taki mógł być pisany tylko do człowieka, któremu rolnictwo nie było obce. Miał snać Szymonowic do niego zamiłowanie, a i Zamoyski musiał wiedzieć o tem, skoro chcąc poetę za okazane mu zasługi w urządzeniu akademji wynagrodzić, nie uczynił tego gotowizną, co mieszczaninowi z krwi i kości mogłoby dogadzać, ale dał mu w dzierżawę (w r. 1598-ym) Czernięcin, Pstrągową Wolę i Dziadkową Wolę (czyli Żórawie).

Szymonowic osiadł w Czernięcinie, niesądzone mu jednak było jeszcze sielskiego żywota bez troski, w myśl zasad Horacego, zakosztować.

Wkrótce spadło na niego nowe zajęcie. Kanclerz powołał go na wychowawcę i nauczyciela syna swojego, Tomasza.

»Stary Zamoyski chciał — mówi prof. Pilat — aby syn otrzymał, o ile możności, jak najgruntowniejsze wykształcenie i dlatego przez dłuższy czas wahał się, komu powierzyć jego wychowanie, radząc się w tej mierze ustawicznie Szymonowica; nareszcie w r. 1601-ym postanowił poruczyć Szymonowicowi kierownictwo wychowania i w testamencie mianował go »direktorem i inspektorem nauk« syna swego, powierzając mu zarazem pieczę i doglądanie Akademji Zamojskiej. Gdy w kilka lat potem, mianowicie w r. 1605-ym umarł Zamoyski, Szymonowic na mocy testamentu objął urząd wychowawcy młodego Tomasza. Obowiązki te pełnił aż do r. 1614-go. Ciekawe światło na stosunki ówczesne poety rzucają listy, które pisał wtedy bądź do przyjaciół, bądź w czasie niebytności w Zamościu, do swego wychowanka. Widać z nich z jednej strony, jak serdeczny był stosunek pomiędzy nauczycielem a uczniem, z drugiej zaś, ile biedny poeta miał nieraz trudności do zwalczania z powodu sporów z opiekunami. W jednym z tych listów powiada, że umknąłby z Zamościa, »jako z kwaśnego dymu na wolny wiatr« i, gdyby nie szło o Tomasza, »któremu z dusze rad służy«, nierychłoby się tam stawił. Łatwo pojąć, że rozliczne obowiązki, które Szymonowic w tych czasach pełnił, mianowicie wychowanie młodego Tomasza, zarząd akademji i nareszcie administracja własnem gospodarstwem, nie dozwalały mu zajmować się wiele literaturą. Nie miał do tego dość spokoju i w listach nieraz też narzeka, że nie może oddawać się »muzom i ulubionemu wczasowi«; to też czynność jego pisarska w tej epoce życia, mianowicie od roku 1593-go, w którym wstąpił w bliższe stosunki z domem Zamoy-

skich, aż do roku 1614-go znacznie jest mniejsza, niż w poprzedniej. Mimo to zasługuje ona na uwagę z tego względu, że właśnie w tym czasie Szymonowic, który dotąd głównie pisał po łacinie, przerzucił się na pole poezji polskiej. W epoce tej powstała, zdaje się, znaczna część jego sielanek, stanowiąca najcenniejszą po nim puściznę poetycką.

»Gdy nareszcie Tomasz Zamoyski doszedł do lat 20-tu i wychowanie jego zostało ukończone, nastał czas, w którym poeta mógł się uwolnić od ciężkiego obowiązku i poświęcić wyłącznie zawodowi literackiemu. Jakoż w roku 1614-tym uwolniono go od zajęć nauczycielskich, opiekunowie Tomasza wypłacili mu sumę 8000 złotych w gotówce, a nadto oddali mu Czernięcin w dożywotnią dzierżawę. Teraz wolny, swobodny, nie mając żadnych trosk i kłopotów, oddał się Szymonowic gorliwie pracom literackim; w listach jego znajdujemy ciągłe wzmianki o pisaniu. Ale była to już chwila — z naciskiem zaznacza prof. Pilat — w której talent jego, doszedłszy do zenitu, zaczął opadać i tracić na sile. Poeta miał już lat 56. To też pomimo spokoju i gorliwego zajmowania się literaturą, w tej ostatniej epoce życia nie stworzył większego dzieła«.

Umarł w Czernięcinie dnia 5-go maja 1629 roku. »Ponieważ nie zostawił testamentu, przeważna część jego majątku przeszła na licznych krewnych, resztę zaś, wedle intencji poety, często wypowiadanej za życia, przeznaczono na naukowe i pobożne cele. Między innemi Akademja Zamojska otrzymała 12,000 zł. i piękną bibljotekę poety, złożoną z 1428 dzieł«.

Ciało Szymonowica spoczęło w Zamościu, gdzie główny jego spadkobierca Solski wystawił mu nagrobek.

Trwalszy jednak od tego pomnik postawił sobie Szymonowic sam, jako poeta. I rzecz znamienna. Sławę poza-

grobową zjednały mu nie owe łacińskie poezje, za które za życia wieniec otrzymał, a które dzisiaj przez obcość języka, stoją niemal zupełnie poza literaturą polską i dostępne są jedynie dla coraz mniej licznych w Polsce współczesnej filologów, ale proste, na łanie przyrody poczęte, w wiejskiem zaciszu pisane Sielanki, które od niego począwszy stały się rodzajem przez długi czas chętnie i szeroko w liryce polskiej uprawianym.

Słusznie jednak Tyszyński zwrócił uwagę na to, że mimo, iż wszyscy następni sielankopisarze od niego się wywodzą, Szymonowic nie był »pierwszym u nas pisarzem w gałęzi pasterskiej«, za jakiego wielu go uważa. Miał poprzedników.

»Są ślady, że już na lat kilkadziesiąt pierwej próbowali u nas uprawiać tę gałąź niektórzy pisarze, jak Przyrębski, Stryjkowski, a może i inni. O utworach Przyrębskiego mamy wzmiankę w jednej z Fraszek Kochanowskiego, która brzmi:

»Przyrębski złoty! skotopaski twoje
W tej wadze u mnie, żeby się mógł do nich
Teokryt przyznać. Tak ja trzymam o nich.«

Stryjkowski w opisie wiernem swojego życia, który położył na czele swej Kroniki, sam to powiada, iż najpierwszą formą prac jego poetycznych był wiersz pasterski, tak bowiem mówi:

»I ważyłem się naprzód Tytyrze twych pieśni
I które w cieniu grają Fauni bogoleśni«.

Inna rzecz, że mimo pochlebnego zdania Kochanowskiego ani skotopaski Przyrębskiego, które do nas nie doszły, ani sielanki Stryjkowskiego, który poetą nie był, nie mogą równać się pod względem wartości poetyckiej z tem, co dał poezji Szymonowic, przedziwnie łączący w sobie wdzięk i prostotę sielską z nawskroś artystyczną formą.

»Pierwszy on u nas — mówi Tyszyński — zamiast naśladowania toku poezji rzymskiej, użył w wierszu słów mowy potocznej i odważył się przemawiać w poezji polskiej słowami raczej wieśniaków polskich niż Horacjusza; pierwszy też w jej stronie wewnętrznej obrał za przedmiot uczucia i wypadki domowe. Pierwszy on w sielankach okazał się śpiewakiem miłości, poetą serca. Pod piórem jego pierwszy raz tak napozór twarda tylko i ostra mowa północna, w kreśleniu uczuć okazała się nawet łagodniejszą i miększą, niż południowa rzymska.«

Wszystko to jest prawda. Istotnie Szymonowic wnosi z sobą do poezji polskiej pierwiastki nowe, wnosi przedewszystkiem ludowość, której dotychczas poza Kochanowskim w liryce polskiej nie było. Ale w odczuciu wsi polskiej przewyższa on nawet Kochanowskiego. W wierszu jego gra czasem tak wyraźnie fujarka, wykręcona z zielonej wierzby nad potokiem, że zdawać się może, iż nie mamy tam do czynienia z indywidualną twórczością poety, ale że powtarza nam on tylko melodje usłyszane wiernie i dokładnie. W sielankach są całe strofy, jakby żywcem z ust ludu wyjęte i godne w zupełności tego, aby ten lud napowrót je od poety przejął i do śpiewów swoich włączył, jak własne.

Skąd się wzięła ta wyjątkowa wrażliwość Szymonowica na urok wsi polskiej?

Tłumaczenie tego może być tylko jedno, ufamy, że bliskie prawdy.

Poeta, urodzony i wychowany w mieście, znał sielskość tylko z książek. Uczył się jej od Wirgiljusza i Teokryta. Miał pełną duszę pasterzy i pasterek i pod wpływem wyobraźni tęsknić musiał do wsi. Ideałem jego była sielskość, jakże daleka od tej prozy miejskiej, która go otaczała.

W chwili więc kiedy mógł na wsi osiąść, kiedy zapachniało mu przed oknami jego wiejskiego domu sianożęcie, kiedy usłyszał brzęk kos, śpiew żniwiarzy i chór dziewcząt, wracających w odwieczerze z grabiami na ramionach od roboty, kiedy patrzał na idące w obłoku kurzu z pastwiska stada, kiedy bek owiec przypominał mu o rzeczywistości, którą przeżywa — musiał mieć poczucie spokoju i szczęścia, polegającego na spełnieniu marzeń całego życia!

Jego poezja wewnętrzna przybrała kształt rzeczywistości, przestawała być snem, a uderzała we wszystkie jego zmysły niezaprzeczoną jawą.

Wrażeń tak silnych nie mógł doznawać żaden poeta-ziemianin, dla którego od dziecka wszystko, co dawała wieś polska, w obrazie i w melodji, w dniu pracy i w dniu święta było powszednią codziennością. Rej, Kochanowski, Szarzyński, Miaskowski — to była szlachta, która kochała ziemię i swój zawód rolniczy realnie, nie marzycielsko. Oni mieli wieś polską w sobie, w duszach swoich, z odczuciem jej przychodzili na świat i z odczuciem jej umierali. Szymonowic — nowicjusz w tej dziedzinie odczuć — muzykę swojej duszy musiał wylewać na zewnątrz, musiał wydzielić z siebie tę wieś, aby zobaczyć, jaką ona w nim była.

I to stało się niewątpliwie głównym bodźcem jego twórczości sielankopisarskiej. Tworząc jednak nie umiał i nie mógł być bezpośrednim, za dużo bowiem miał w sobie literatury greckiej i rzymskiej, aby wyzwolić się zupełnie z pod jej przemożnego wpływu i stać się naprawdę l u d o w y m poetą polskim.

»Prostota, jasność i gracja jego poezji — mówi słusznie Tyszyński — nie była wcale skutkiem jakiejś umysłowej niższości jego od poprzedników — i owszem, barwa ta była jednym ze skutków jego naukowości, t. j.

obcowania bliższego i zaprzyjaźnienia się z treścią utworów greckich. Szymonowic, którego natchnieniem był oczywiście duch Teokrytowemu podobny, przeniósł rozmaitość, naturalność i grację jego nad strzyżony i chłodny lubo uważany powszechnie za szczyt piękności klasycznej, sielskiej rytm Wirgilego«.

Sam zresztą w przypisaniu swoich sielanek »Jego Mości Panu Mikołajowi Wolskiemu, marszałkowi nadwornemu koronnemu«, zlecając mu »najniższe służby swoje« wyraźnie o tem mówi:

»Acz się obawiam, żebym wstydu stąd nie zażył,
Żem się otrzeć o przednie rymopisy ważył,
Którzy z tej cieńkiej pracy znacznej dostawali
Pochwały i sławnemi na wieki zostali.
Skąd i Maro, co męże, co wojny, co zbroje
Śpiewał, naprzód rozgłosił wielkie imię swoje.
Cieńką tę pracę zowę; ale Maronowy
Wysoki duch nie zniży się mojemi słowy,
Lubo Homera rymem głośnym wyrównywa,
Lubo przed Askrejczykiem[1]) górę wylatywa,
Gdy mu przyszło (mym zdaniem) na Sykul-
[skie Muzy,
Nie dogania pasterza pięknej Syrakuzy.«

Teokrytem tedy przejęty był do głębi nasz sielankopisarz, który z miasta na wieś się przeniósłszy, wiekopomnym tej wsi został śpiewakiem.

Zależny od swojego mistrza początkowo bardzo, stopniowo jednak z tej zależności się uwalniał, samym sobą się stawał. Stwierdziły to przeprowadzone badania porównawcze. Okazało się mianowicie, że wśród dwudziestu sielanek Szymonowica, stanowiących puściznę po nim, trzy są przerobione z Teokryta, jedna

[1]) Mowa o Hezjodzie.

z Wirgilego, jedna w połowie z Wirgilego, jedna w połowie z Teokryta, jedna wreszcie w jednej swej połowie jest z Teokryta, w drugiej z Wirgilego, natomiast pozostałe, w liczbie 13-tu są oryginalnemi utworami poety. »Lubo jednak Szymonowic wziął za wzór obcych — mówi Tyszyński — i utwory ich niekiedy prosto przekładał, to cechy te nie odejmują mu wcale przymiotu oryginalnego pisarza. Wszakże i sam Teokryt naśladował nieraz w idyllach swoich Anakreonta i Stezychora. Stezychorowe »Żale Dafnisa« miały nawet być głównem źródłem rodzaju i charakteru jego poezji. U Szymonowica zaś tok jego myśli i słowa tak były zawsze jemu właściwe, iż tam nawet, gdzie był ściśle tylko tłumaczem, był widny i pewien stopień jego niezawisłości.« W sielance np. p. t. Kosarze, przełożonej z Teokryta, której treścią jest rozmowa pasterzów Milona i Battosa o ich uczuciach miłosnych, Battos w tekście Teokrytowym, kreśląc miłość dla swej ulubionej Bombiki, tak między innemi woła: »Za koniczyną koza, za kozą wilk chodzi; żóraw za pługiem, a ja za tobą szaleję i gdybym jedno miał, co niegdyś Krezus, jak mówią, posiadał, oboje ze złota w świątyni Afrodyty stanęlibyśmy, ty z piszczałką i różą lub jabłkiem, ja zaś w szacie i nowych trzewikach na obydwóch nogach. Bombiko ukochana! nogi twoje jak kosteczki, głos cieniutki, lecz duszy twojej nie umiem opisać« (przekład dosłowny prof. Z. Węclewskiego).

Ten sam ustęp w przekładzie Szymonowica brzmi o wiele inaczej, niemal samodzielnie, niemal oryginalnie po polsku przez samo już wprowadzenie do obrazu polskiej wrony:

»Oracz za pługiem chodzi, za oraczem wrona,
Ja za tobą, Bombiko moja ulubiona!
Gdybym miał skarb królewski albo złote bani,
Stalibyśmy oboje ze złota odlani:

Tybyś bębenek albo piszczałkę trzymała,
Albo różę, albo mi jabłko podawała« i t. d.

Widać z tego, z jaką siłą wrażenia, czerpane z otoczenia swojskiego, narzucały się poecie, skoro tam nawet, gdzie był tylko tłumaczem, wyciskały one swój stempel na wychodzących z pod jego pióra wierszach przekładu. Wrażenia te, szczere i mocne, wypierały też zwolna, lecz nieubłaganie wszystkie książkowe reminiscencje z duszy poety, dążąc stopniowo do ich zupełnej zagłady. W ten sposób poezja jego przestawała być »literacką«, opartą o naśladownictwo utworów klasycznych, a stawała się twórczością samoistną polskiego poety.

Oczywiście, nie mógł Szymonowic osiągnąć prostoty takiej, na jaką znacznie później dopiero zdobyła się sztuka. Jego wieś i jego lud mają jeszcze dużo w sobie teatralności, ale czyliż niema jej w równym stopniu w naszych oczach późniejsza sielanka Kazimierza Brodzińskiego, słynny »Wiesław«, uważany za wzór tego rodzaju utworów, a przecież tak sztuczny i koturnowy w zestawieniu z realistycznie kreślonemi scenami z »Chłopów« Reymonta?

Mimo jednak tych dzwoniących jeszcze za poetą łańcuchów jego zależności od Teokryta i Wirgiljusza, jakże daleko tym pasterzom i pasterkom, których nam Szymonowic przedstawia, do owych, ze schyłku XVIIIgo wieku, poprzebieranych, ucharakteryzowanych i wystylizowanych według zasad pseudoklasycyzmu »peizanów« i »peizanek« z francusko-polskiej sielanki z czasów stanisławowskich.

Ileż u Szymonowica wdzięku i prostoty, które nigdy nie stracą swojego uroku i nigdy się nie zestarzają.

Posłuchajmy tylko:

»Sroczka krzekce na płocie — będą goście nowi,
Sroczko, umiesz ty mówić? powiedz, gdzieś latała?
Z którejś strony goście jadące widziała?
— Jedzie z swoją drużyną panicz urodziwy,
Panicz z dalekiej strony, pod nim koń chodziwy,

Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota.
Panno! gotuj się witać, już wjeżdża we wrota.
Już z konia pozsiadali; wszystko się po dworze
Rozśmiało, jako niebo od wesołej zorze.
Kędyś się nam zabawiał, mój paniczu drogi!
Pełna jest trwogi miłość i w każdy kąt ucha
Przykłada; raz ją bojaźń, raz cieszy otucha.
Czyli cię to krotochwile jakie zabawiały?
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały,
Ani słoneczko jasne. Komuż do wesela
Przyjść może, gdy miłego niema przyjaciela?«
(»Kołacze«.)

albo:

»Słoneczko! śliczne oko dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego:
Ty piękny dzień promieńmi swojemi oświecasz,
Ty wzajem księżycowi noc ciemną polecasz,
Jako ty bez pomocy nie żyjesz na niebie,
Niechaj i nasz starosta przykład bierze z ciebie.
Na niebie wszystkie rzeczy dobrze są zrządzone,
Księżyc u ciebie żoną, niech on też ma żonę.
Słoneczko! śliczne oko, dnia oko pięknego,
Naucz swych obyczajów starostę naszego;
Gdy ty na niebo wschodzisz, gwiazdy ustępują
Gdy księżyc wschodzi, z nim się gwiazdy ukazują.
Siła gospodarz włada, siła w domu czyni,
Ale czeladka lepiej słucha gospodyni.
Niechaj ma żonę, będzie się domu trzymała
Czeladka, nie będzie się często odmieniała« i t. d.
(»Żeńcy«.)

Na szczególną uwagę zasługuje w sielankach Szymonowica pierwiastek erotyczny, który w tak dyskretnej, delikatnej postaci nie był przed nim znany poezji polskiej, ani bowiem Kochanowski w swoich pieśniach miłosnych, ani Sęp Szarzyński w wierszach do Zosie i Kasie

nie byli w tej dziedzinie takimi artystami, jak autor »Zalotników«. W sielance tej po raz pierwszy spotykamy się z obrazem miłości idealnej. Zmysłów tam niema. A pełen dziwnej słodyczy i troski miłosnej refren:

»Lekko owieczki moje, lekko następujcie,
Śpi tu piękna Neera, spania jej nie psujcie«

brzmi jak cicha muzyka romantycznej mandoliny, na której nieśmiało brząka kochanek pod oknami kochanki.

Szymonowic, jako poeta, wyróżniony jest zgodnie przez wszystkich historyków literatury. Wszyscy przyznają mu talent i urok niepowszedni. Stało się to za sprawą Mickiewicza, którego trafny sąd o autorze »Zalotników« stał się obowiązującym. Mickiewicz pierwszy w swoich wykładach paryskich postawił go wysoko. »Szymonowic — mówił — nie idąc w ślady Kochanowskiego, który doświadczał sił swoich w poezji lirycznej, w dramacie iw epopei, pierwszy wziął się do sielanek. Sielanki poszły teraz zupełnie w zaniedbanie i, zdaje się już rzeczą niepodobną, aby można było kłaść wiersze w usta dzisiejszych naszych pasterzy i pasterek. Rodzaj ten poezji ma w sobie wielką trudność. Chcąc bowiem malować z natury, malowidło staje się niepowabnem i śmiesznem; chcąc zaś idealizować obraz, wpada się zaraz w wymus i urojenie. Liczni pisarze sielanek, popełniając te błędy, sprawili, że je zarzucono zupełnie.

»Wirgiljusz, jak wiadomo, nie odważył się nigdy do swoich bukolik wprowadzać pasterzy łacińskich; naśladował Greków. Autorowie hiszpańscy i południowi francuscy, usiłując podnieść idyllę, poczęli pasterzom swoim nadawać uczucia rycerskie, porobili z nich rycerzy, rozprawiających o miłości, jakby na jakim dworze. Zimny filozof Fontenelle układał pracowicie sielanki, których dziś nikt nie czyta. Robespierre nawet kilka ich napisał. Niemcy, idealizując ten rodzaj, przenieśli się całkowicie w wiek złoty. Sławny Gesner pozmyślał pasterzy, jakich

nigdy na świecie nie było. Pasterze ci niemieccy żyją w towarzystwie nimf, drjad i faunów, doskonale znają mitologję. Dzieła te Niemców, niekiedy bardzo zgrabnie kreślone na wzór greckich, przestały także być lubiane i czytane«.

Szymonowic jeden utrzymał się na powierzchni, fali czasu pochłonąć się nie dał i dzisiaj czytany może być tak samo, jak był czytany w wiekach XVII. i XVIII.

Jakimże stało się to cudem?

Dlatego, odpowiada Mickiewicz, że »nie naśladował ani Wirgiljusza, ani Hiszpanów, ani poetów Francji południowej. Zrazu trzymał się raczej Teokryta, ale pomału, wpadając coraz bardziej na tor swój własny, utworzył rodzaj oryginalny, wydał kilka sielanek czysto narodowych, pełnych prawdy i wdzięku. Po Teokrycie jest to największy pisarz idylliczny. Przewyższa on Wirgiljusza. Wirgiljusz zgoła nie miał talentu dramatyka, nie umiał osób swoich wprowadzić w rozmowę. Szymonowic, dramatyczniejszy od niego, jest nadto daleko lepszym malarzem krajobrazu, który u Wirgiljusza zawsze niewykończony, a u pisarzy sielanek francuskich wcale nie ma miejsca. Niezmiernie żywo czuł on naturę. Znał to, że aby utworzyć sielankę oryginalną, trzeba ją było o ile możności zbliżyć do pieśni narodowej (ludowej), ale jednak nie zachował całkiem stylu pieśniowego, nie uczynił jej zupełnie liryczną, owszem, nagiął bardziej ku formie dramatycznej. W wierszowaniu, w toku rymotwórczym, ma wiele podobieństwa do wersyfikacji dzisiejszej i nie lęka się przechodzić z wiersza na wiersz, nie ubiega się o bogactwo rymów, jest nadewszystko dramatycznym«.

»Odtąd — t. j. od chwili, kiedy Mickiewicz ten swój sąd wypowiedział — mówi St. Tarnowski w swojej »Historji literatury polskiej« — już nic nowego i nic więcej

o Szymonowicu powiedzieć się nie da; jest cały wytłumaczony i osądzony. Sprawiedliwość tylko — dodaje od siebie — nakazuje wyznać, że Szymonowic nie jest zawsze równy. Bardzo rzadko zdarzy się sielanka, któraby cała, od początku do końca, była jednakowo piękna. Często ustępy bardzo piękne, pełne wdzięku, pomieszane są z takiemi, w których albo wiersz będzie słabszy, albo język zaniedbany, albo znajdzie się jakieś wyrażenie niesmaczne, albo jakiś pomysł niepotrzebny i nieusprawiedliwiony. Jakkolwiekbądź i jakiekolwiek trafiają się usterki, są to jednak obrazki bardzo piękne i dowodzące wielkiej zdolności poetyckiej, bardzo delikatnego zmysłu artystycznego Szymonowica. Jego język i wiersz z małemi wyjątkami są bardzo piękne, na równi może z wierszem Kochanowskiego. To wszystko, a przytem jeszcze ta woń pól i lasów polskich sprawia, że wdzięk ich jest wielki a wartość taka, że po Kochanowskim jego wymienić trzeba jako drugiego prawdziwego i niepospolitego poetę polskiego«.

Również z uznaniem mówi o jego w wysokim stopniu rozwiniętym zmyśle artystycznym i poczuciu piękna prof. Roman Pilat.

»Prócz Kochanowskiego — twierdzi on — który łączy w sobie jedno i drugie, niema poety w literaturze współczesnej (XVI-go wieku), któryby jako artysta mógł się z nim równać w odczuwaniu piękności, w wyrobionym smaku literackim, w wykwintności stylu i wiersza. Dzieła jego łacińskie, mianowicie pisane w okresie pełnej dojrzałości jego talentu, uważano nawet zagranicą za najznakomitsze płody współczesne, zarówno z powodu podniosłego nastroju poetyckiego, jak szlachetnej prostoty wyrażenia się, odznaczającej się prawdziwym artyz-

mem, a te same zalety, w mniejszym lub większym stopniu, ukazują się we wszystkich jego utworach. Jako poeta polski, Sielankami, które należą niewątpliwie do arcydzieł literatury współczesnej, stanął tuż obok Kochanowskiego«.

Nawet mniej czuły na wdzięk poezji, a szukający w niej zawsze treści społecznej i politycznej, a przedewszystkiem znamion upadku czy to szlachty, czy mieszczaństwa, czy obojga razem, co było już za czasów Szymonowica widoczne, prof. Brückner przyznaje mu przecież, iż jego »Sielanki zapisały się w dziejach literackich wieku tak, jak Treny albo przekład Tassa Kochanowskich;[1]) od nich wyszedł cały rój sielanek i sielankopisarzów, na nich wzorowali się Zimorowicz i Gawiński, i ktokolwiek sielanki pisywał, szedł »Symonidowym nieodstępnym śladem«.

Wartość poetycką sielanek Szymonowica oceniła zresztą i współczesność, najmniej zwykle przenikliwa w stosunku swoim do poezji. Wystarczy powiedzieć, że wydane po raz pierwszy w Zamościu w r. 1614-tym Sielanki wyszły po raz drugi w r. 1626, po raz trzeci w r. 1629, po raz czwarty w r. 1640, po raz piąty w r. 1650, po raz szósty w r. 1663, po raz siódmy w r. 1686tym i t. d. Widać z tego, że obok Psałterza, Trenów i Fraszek Kochanowskiego nie było rzeczywiście dzieła, które mogłoby się pochlubić tylu wydaniami współczesnemi. Świadczy to, jak chętnie i pilnie współczesna szlachta Sielanki czytała, jakie miała w nich upodobanie, przyczem z całą słusznością można przypuszczać, że liczne i gorliwe miał Szymonowic przyjaciółki i zwolenniczki wśród białogłów, nikt bowiem nie mówił im po polsku o miłości w tak miękkich wyrazach i z taką słodyczą. Bardzo też jest prawdopodobne, że niejedna strofa Sielanek była śpiewana

[1]) Tassa przełożył świetnie na język polski Piotr Kochanowski.

we fraucymerach XVII i XVIII w., zanim parki i ogrody przy pałacach i dworach szlacheckich nie za częły w noce księżycowe rozbrzmiewać słodkiemi pieśniami o Filidzie, Justynie, »miesiącu, który zaszedł« i »psach, co się uśpiły«.

Rzecz jest charakterystyczna, że narówni z temi pieśniami, tak popularnemi dzisiaj jeszcze wśród drobnej szlachty na Podlasiu i w Łomżyńskiem, a nawet na Litwie, pod niejedną »niegminną« strzechą znaleźć podobno można wśród nielicznych książek stary i dobrze wyczytany egzemplarz »Sielanek« Szymonowicowych, które nie za życia jego wprawdzie, ale przecież »zbłądziły« tam, co niewielu tylko książkom w Polsce, poza Żywotami Świętych Piotra Skargi w udziale przypadło. Może dlatego, że mówiły one śmiało o niedoli ludu, o jego krwawym pocie i o batogu ekonomskim (»Żeńcy«).

Oddał Szymonowicowi hołd także schyłek wieku XVIII-go, o czem mówią dwa Gröllowskie wydania Sielanek z r. 1770 i 1778-go, ozdobione miedziorytami i pełne tego swoistego powabu, jaki posiadają edycje »bibliopoli Jego Królewskiej Mości«. Gorąco wreszcie przemówiła na cześć Simonidesa poezja wieku XIX-go przez usta Augusta Bielowskiego, który tak o nim śpiewa:

»Jego gęśl to klucz wygięty żórawi.
Co ponad niebo ku obcym narodom
Ciągnie, a pieśnią gniazdo swoje sławi,
Aż z nową wiosną znowu wróci do dom,
Z jej strun, nie złoto brzmi, ale tchnie dusza,
Bo je swym palcem wielki mistrz porusza.

Oto drużyna uwija się prosta:
Żeńcy — południa zbliżają się skwary,
Żniwiarka pieje pieśń, burczy starosta
A słucha. Tam cię przerażają czary,
A tu weselne przynoszą kołacze...
Brzmi śpiew, muzyka gra, aż serce skacze«.

Istotnie. W Sielankach Szymonowica jest to, co każdy Polak w sobie nosi: odwieczne poczucie bliskiego związku z ziemią, z jej ludem, ze zwyczajami i obyczajami tego ludu. Jest powiew piękna, niezależnego od czasu i zmieniających się upodobań i prądów literackich. Bo jak msza św. odprawia się codzień od dwóch tysięcy lat, pomimo wszystkich wielkich zmian i przekształceń, jakie na świecie zaszły, podobnie i wieś polska żyje według jednego i tego samego rozkładu, swojem własnem, odrębnem, Polsce tylko właściwem życiem, mimo, że życie to również wielorakim zmianom i wstrząśnieniom uległo.

Chłop polski, który czasu wojny europejskiej potrafił po bitwie, nocą, w łunach płonących dokoła wsi, orać, siać i zbierać, dowiódł, jak nienaruszalny jest porządek jego pracy.

Szymonowic rytm tego porządku znał i wprowadził go do swojej poezji, która dla tego trwa i trwać będzie.

Obok Sielanek w puściźnie po ostatnim poecie złotego wieku zostały nam także inne wiersze. Nie dorównywają one jednak wartością swoją Sielankom.

Należy tu przedewszystkiem napisany i wydany we Lwowie w roku 1593-im utwór okolicznościowy p. t. »Sliub opisany przez Simona Simonidesa na feście Jego Mości Pana Adama Hieronima Sieniawskiego«.

Ten Sieniawski odznaczył się w bardzo młodym wieku w walkach na Multanach i Wołoszczyźnie i w 20-tym roku życia zaślubił Katarzynę Annę z Sztemberku Kostczankę, ponieważ jednak oboje małżonkowie byli jeszcze zbyt młodzi, przeto Sieniawskiego wysłano jeszcze na czas jakiś w pole. Ten właśnie moment wziął sobie za temat Szymonowic. W wierszu jego muzy dowiadują się, że ich rycerski ulubieniec, zapaliwszy pochodnię Hymenu, ma miecz odpasać, błagają przeto młodą małżonkę, aby nie wstrzymywała go od służby Marsowi i przyzwoliła na rozstanie. Aby ją przekonać o potrzebie ustępstwa,

przypominają jej o nieszczęśliwych losach Adonisa, który zniewieściał pod wpływem rozkoszy małżeńskich. Argument ten przekonywa oblubienicę, która chociaż ze smutkiem, zgadza się tych »zdrowych rad« usłuchać.

Jak przypuszcza prof. Pilat, również przed rokiem 1600-ym powstał ciekawy zbiór epigramatów zwierzęcych, dołączonych w liczbie 34-ch do pierwszego wydania Sielanek p. t. Nagrobki zbieranej drużyny.

Są to czterowierszowe nagrobki (epitaphia) dla rozmaitych zwierząt: konia, psa, wołu, wilka, kota, zająca, różnych ptaków i t. d., zakończone zawsze morałem, świadczące jednak o bliskim stosunku autora do świata zwierzęcego, który jego samotność (Szymonowic był bezżennym) niejednokrotnie musiał osładzać. »Myśl trafna, nieraz dowcipna, niewolna od swawolności i zręczne obrobienie — mówi Pilat — stanowią główną wartość tych drobnych wierszyków«.

W tym samym okresie życia poety powstała jeszcze Lutnia rokoszańska, zasługująca, według Pilata, na uwagę »nietyle z powodu wartości literackiej, ile raczej dla tendencji politycznej. Wiadomo, że wojewoda krakowski, Zebrzydowski, jeden z opiekunów Tomasza Zamoyskiego, wywoławszy rokosz przeciw królowi, po niejakim czasie (w październiku 1606 r.) upokorzył się napozór przed królem, aby zyskać na czasie i zgromadzić większą liczbę wojska. Zimę tego roku przepędził w Zamościu, jako opiekun Tomasza Zamoyskiego, zajmując się pokryjomu zbieraniem pieniędzy i żołnierza. Szymonowic, który oczywiście widywał się z nim w Zamościu, dał się uwieść temu pozornemu upokorzeniu i napisał wtedy »Lutnię« w obronie Zebrzydowskiego i rokoszan. W wierszu tym daje królowi rady i przestrogi, aby nie dążył do samowładztwa i nie czynił poddanych niewolnikami, lecz szanował ich swobodę i wolność. Chęć do

rządów absolutnych wywołała rokosz; rokoszanie, kupami jadą i ściągają wielkie gromady«, ale nie szukają zwady, tylko, jak naiwnie powiada poeta, »pragną pozbyć wątpliwości«, zresztą przeprosili króla, gdy przekonali się, że obawy ich o wolność były płonne. Kończy wiersz apostrofa do króla, aby »wolny lud prowadził wolno, tak, jak konia »miękkogębę« i ażeby szukał miłości u swoich poddanych, zamiast postrachu i obawy«:

»Wolny lud prowadź wolno, dobrze on pobieży
I bez pęta...
Umiej łaską szafować i w tem, coć do ręku
Bóg powierzył, niech cnota pewną będzie wdzięku!
Niechaj bierze, kto robi! Tak na wszytkie strony
Naród nasz będzie, jako był niezwyciężony.
I ty sławą obłoków dotkniesz i te wrzawy
Ucichną, gdy nastąpią ważniejsze zabawy.
Robić tym ludem, robić trzeba koniecznie!«

Cały ten wiersz polegał na nieporozumieniu i świadczy on dzisiaj tylko o tem, jak źle orjentował się Szymonowic w polityce. Przemawia to na jego korzyść, jako artysty, chodzącego po świecie »z oczami na gwiazdy obróconemi«.

»Same wypadki — mówi Pilat — pouczyły wkrótce niedoświadczonego w sprawach politycznych poetę, jak grubo się pomylił, broniąc Zebrzydowskiego, zanim bowiem Lutnię wydał, wojewoda krakowski znowu podniósł głowę i wywołał rokosz i znaną wojnę domową. Zmiana ta w stosunkach była powodem, że utwór ten pozostał w rękopisie«. Wydał go dopiero August Bielowski.

Pozostałe drobne wiersze polskie Szymonowica, pisane w okresie, kiedy nareszcie zyskał spokój i mógł w ciszy dworu czernięcińskiego prawdziwie sielskich zażywać w czasów, niestety, znamionują już tylko wyczerpanie i upadek talentu. Przyszła starość, może przedwczesna u człowieka, który nie przekroczył jeszcze wówczas lat 60-ciu,

ale niosąca snać z sobą pewną ociężałość myśli i stępienie wrażliwości.

Poeta wraca znów do łaciny i twórczość jego staje się znów bardziej literacką, książkową, opartą na przeróbkach cudzych motywów.

O łacińskich jego lirykach i o dwóch dramatach: »Castus Joseph« (1587) i »Pentesilea« (1618) nie piszemy tutaj, nie należą one bowiem do poezji polskiej. Wartość ich jednak była duża, skoro zdobyły one poecie rozgłos w całym świecie ówczesnym, a i później jeszcze w wieku XVIII-ym, wydane przez nuncjusza papieskiego w Polsce, Duriniego, podniesione zostały do wysokości arcydzieł. Świadczy to, że w łacińskich poezjach Szymonowica tkwiły również te pierwiastki niezniszczalne, które zapewniły trwałość polskim jego utworom.

Określając zwięźle, tkwiło tam czyste uczucie liryczne, uczucie, którego nadmiaru poezja XVI-go wieku nie znała.

Poeta posiadał rozległą wiedzę filozoficzną i na swój czas był uczonym. Stwierdza to jego czynny i owocny współudział w organizowaniu Akademji Zamojskiej, która jako ognisko wiedzy, miała promieniować na ziemie wschodnie Rzeczypospolitej, świeżo właśnie złączone z nią wiekopomnym aktem unji lubelskiej w jedną nierozerwalną całość. Z drugiej jednak strony ta prawa ręka i pomocnik kanclerza w realizowaniu jego wielkiej idei, był zupełnem przeciwstawieniem swojego genjalnego przyjaciela. Nie było w nim ani krzty męża stanu, ani śladu polityka. Było tylko uczucie i to uczucie nawskroś słowiańskie, polskie, związane z ziemią, miękkie i rozlewne, które samo jedno, gdyby nie było nato innych dowodów, obala mylne a długo tułające się po życiorysach poety przypuszczenie, iż z pochodzenia był on Ormianinem.

Krótki wybór pism

Szymona Szymonowica.

SIELANKA IV.

KOSARZE.

Miłko. Baty.

Miłko.

Kosarzu, robotniku dobry, coć się stało?
Przedtym miedzy czeladzią nad cię nie bywało.
Teraz ani docinasz, i pokosy psujesz,
Ani równo z inszymi w rzędzie postępujesz,
Ale po wszytkich idziesz; tak za trzodą w pole
Owca idzie, gdy nogę na cierniu zakole;
Jakim w południe będziesz? abo do wieczora,
Jeślić zaraz z poranku robota nie spora?

Baty.

Miłko nie przyrównywaj inszych do swej mocy,
Bo ty kosisz nie tylko w dzień, ale i w nocy.
Dusza twoja z kamienia kędyś się urwała:
Słuchaj, aboć tesknica nigdy nie bywała?

Miłko.

Nie bywała: po kimże chłop prosty ma tużyć,
Który ustawnie musi robić, abo służyć?

Baty.

Anić się przytrafiało, abyś zamiłował?
I nie spał cztery nocy, i zalot pilnował?

Miłko.

Bodaj się nie trafiało; szkoda tam być musi
Bez pochyby, kędy pies rzemienia zakusi.

Baty.

Alem ja zamiłował: już to wyminęła
Wtóra niedziela, jako napaść mię ta wzięła.

Miłko.

Paneś ty, bracie, a my prosty chleb jadamy;
Ty z pełnej beczki toczysz, my drożdży nie mamy.

Baty.

W tym państwie chwastem u mnie zarosły zagony,
A jakem posiał, jeszcze żaden nie plewiony.

Miłko.

Któraż to zuchwalica tak cię popsowała?

Baty.

Owa, co nam przy żniwie pieśni zaczynała.

Miłko.

Dostałeś czegoś szukał, Bóg frantom nagali:
I świercze w słomie, kiedyś spał, o tem śpiewali.

Baty.

Nie każ na hardą i nie śmiej się z mej głupości;
Nie tylko ślepi żebrzą, lśną ludzie w miłości.

Miłko.

Nie moja rzecz być hardym, wszakże nie próżnujmy,
Ale śpieszno przy inszych z kosą postępujmy,
Ty zaśpiewaj co o swej miłej, lżejsza będzie
Tak robota; wszak i ty dudką słyniesz wszędzie.

Baty.

Muzy, ucieszne Muzy, teraz zaczynajcie,
A ze mną, moją piękną pannę wysławiajcie.
Kogo się wy dotkniecie przez wdzięczne śpiewanie,
Każdy się urodziwym, każdy pięknym stanie,

Bombiko ma namilsza, wszytcy cię i małą,
I chudą, i cyganką zową ogorzałą.
Ja subtelną, ja greczką: nie wszytko są białe
Fiołki, są bronatne, są i podpalałe;
Są i ziółka ciemniejsze, a wżdy je zbierają
Piękne panny, i w wieńcach przodek im dawają.
Oracz za pługiem chodzi, za oraczem wrona;
Ja za tobą, Bombiko moja ulubiona.
Gdybym miał skarb królewski, abo złote bani,
Stalibyśmy oboje ze złota odlani.
Tybyś bębenek abo piszczałkę trzymała,
Abo różą, abo mi jabłko podawała.
Jabym stał, jako stąwam, gdy taniec wywodzę,
Piórko za czapką, gładka skorzenka na nodze.
Bombiko ma namilsza! twoja nóżka biała,
Słówka jedwabne, łaska, nie wiem, jako trwała?

Miłko.

Wejże tego kosarza, jako chytrze z nami
Obchodzi się; tak długo tail się z pieśniami.
Wieręś ją dobrze wyciął; moja brodo miła,
Nie darmoś to konopie tak bujno puściła.
Posłuchaj też ty moich; lecz ja nic swojego
Nie zaśpiewam, rym tylko dawny Litersego.

Cerero wielożyzna! zdarz, aby to było
Plenne zboże, aby się do gumna zwoziło.
Grabcie i wiążcie mocno, aby nie rzeczono:
Słomiany to robotnik, płacą tu stracono.
Gdy wiatr z północy abo z zachodu powiewa,
Rozstawcie snopy, bo tak kłos ziernistszy bywa,
Kto młóci, niech się strzeże w przypołudnie spania:
W południe zbite zboże lepsze do wywiania.
Kosarz ma wstać z skowronkiem, a ledz, gdy on siędzie,
Dobremu kosarzowi znój nigdy nie będzie.
Najlepszy żabi żywot: nigdy nie upragnie,
Nigdy nie woła, daj pić; zawsze mieszka w bagnie.

Urzędniku, nie umiesz, tylko nam chwast warzyć,
Kiedy pokrzywy dzielisz, waruj ręki sparzyć.

Azaby takie pieśni, kiedy słońce pali,
Przy robotach kosarze nie raczej śpiewali?
A ty więc o miłoskach swoje narzekanie
Zachowaj do macierze, kiedy rano wstanie.

SIELANKA V.

BABY.

Alkon. Perot.

Alkon.

I takli nasza Nice na swe stare lata
Za mąż idzie! i myśli jeszcze zażyć świata?

Perot.

Aby za mąż szła, może podobno się ważyć;
W tym wątpię, aby z mężem świata miała zażyć

Alkon.

Azaż nie pani? czego pieniądze nie sprawią?

Perot.

Pieniądze lat dziesiątków sześci nie pozbawią,
Ani uczynią młodej panny z starej baby;
A małżeństwo nie barzo smaczne, gdy wiek słaby.

Alkon.

Co mówisz? Musiałeś jej nie widzieć w tym czasie,
Gdy suknią z aksamitem, gdy podwijkę na się
Cienką, gdy pas szeroki weźmie z zanklem złotym.

Perot.

Gdy ona sześć dziesiątków lat ma, a cóż potym?
Widziałem, gdy i zmarski z lica wymuskała,
I z siwych włosów czarną głowę udziałała;
A przedsię baba babą. Aż mi jej żal bywa:
Naśmietniejsza, gdy owo sobą pochutnywa,
Gdy się otrząsa, właśnie by mucha z ukropu.
Acz się ja niemniej muszę dziwować i chłopu:

Czym się to pęta? co w tym za smak upatruje?
Kto tak czyni, świat sobie (mówią) zawięzuje.
Jabym wolał na szyję powróz sobie włożyć,
I wisieć, niźli się raz przy trupie położyć.

Alkon.

Nie jednejeśmy matki i nie jednej żądze:
Ty wolisz przyjaciela, a drugi pieniądze.
Co on dba? byle jeno swych bytów zażywał,
Babkę głaskał, a od niej pieniążki obrywał.
Więc o młodsze nie trudno otrzeć oskominę,
A małoć też nie lepiej coraz drzeć nowinę.

Perot.

To nie chybi: trefnie z niej Egle żartowała,
Radząc jej, żeby krasną czeladkę chowała;
Aby się miał czym w domu zabawiać pan młody,
A nie biegał rwać ziela na cudze ogrody.

Alkon.

Cóż ona? Albo tego na rozum nie wzięła?

Perot.

By najmniej: i owszem jej rozprawiać poczęła,
Jako w tych rzeczach własne jest boskie zrządzenie,
Jako się w niej Tyrymach zakochał szalenie,
Jako z zbytniej miłości, i ślubu świętego
Nie czekając, chciał po niej czegoś zuchwałego.

Alkon.

To niecnota Tyrymach, jako ją niebogę
Umiał zbłaźnić: gorzej to (mówią) niż przez nogę.

Perot.

Byś słyszał, z jakim śmiechem Egle wspominała,
I jako ją statecznym słowem nauczała,
Aby wprzód z przyjacielem korzec zjadła soli,
Ani mu, nim przeżegna kapłan, była k'woli.
A ona więc z przysięgą to obiecowała,
I zwykle, by djabła chciał, co raz powtarzała.

Alkon.

Wierzę, że dotrzymała. Zle szaleć młodemu;
Ale kiedy się przyda oszaleć staremu,
Tam już miary nie pytaj: nagorzej w tej dobie,
A zwłaszcza białej głowie, gdy już nogą w grobie.
A krewni co do tego?

Perot.

Do tyla wołali,
Aż też nakoniec próżnej mowy poprzestali.
Bo ich tym połykała, iż (prawi) czekacie
Puścizny, dlatego rzecz dobrą rozradzacie.

Alkon.

Abo nigdy nie umrze, gdy chłopa dostanie?
Czy lepiej, że kto obcy przodków jej zbieranie
Będzie brał? Bo potomstwa, wiem, że nie napłodzi.

Perot.

Nie frasuj się: często Bóg i frantom dogodzi,
Że ci babożeniowie, co śmierci czekali
Żon swoich, pierwej sami na marach bywali.

Alkon.

Bodajże szczęsna zdrowa tego doczekała:
Bodajże i po grobie jego tańcowała.

SIELANKA VI.

Mopsus.

Mopsus, Tytyrus, Dametas.

Mopsus.

W południe, kiedy słońce nagorętsze pali,
Stada swoje pospołu do chłodu zegnali
Tytyrus i Dametas. Tytyrus rogate
Kozy, Dametas capy i owce kosmate;

Oba młodzieńcy, oba w leciech rówieśnicy,
Oba dobrzy na fletniach, dobrzy na skrzypicy;
I pieśni nauczeni składać, także śpiewać.
Tytyr żółto zarastał, Damete włos siwy
Przyprószył, acz wiekiem był nie barzo leciwy;
Atoli harda Neta trafić w to umiała,
Że go wzgarda przed czasem siwym udziałała.
Oba tedy pod bukiem wysokim siedzieli,
A zwykłemi pieśniami zabawiać się mieli;
A mnie, gdym od złych wiatrów i od nagłej rudy,
Ochraniał sadowinę, kozieł kędyś z trzody
Obłąkał się, i gdy go przez całe zaranie
Szukam śledząc, z trafunku przypadłem tam na nie.
Krzykną: Sam do nas, Mopse! z naszymi tu chodzi
Twój kozieł i z nim czterej koziełkowie młodzi.
Ale go nie inaczej wydamy, aż z nami
Posiedzisz: tu wdzięczny cień, tu chłód pod bukami,
Tu łąki nieprzezorne okiem, tu wesoły
Pozór, tu z pasz do rzeki same idą woły.
Tu Pur w brzegach zieloną trzciną otoczonych
Dostarcza wód największym mrozem niedotknionych.
Com miał czynić? ni Haśki, ni Paraszki w domu
Nie miałem i nie było jagniąt zawrzeć komu.
Ale mistrzowie sławni, ale pieśni nowe:
Porzuciłem dla ich gry me rzeczy domowe,
A oni na przemiany śpiewać się imali,
Na przemiany się Muzom pamiętać dawali;
I lasy odkrzykały raz temu, raz temu:
Tytyrus wprzód zaczynał, Dametas po niemu.

Tytyrus.

Nadobna Amarylli! te kwiatki rozliczne
Gdym zbierał, chcąc przystroić twoje skronie śliczne,
Gęste pczółki, co po tych łąkach miód zbierały,
Bezpiecznie mi kwiateczków rwać nie dopuszczały.
A ty za moję pracą, za moje staranie,
Daj mi najmilsza ust twych jedno całowanie; —

Aby pczółki o cukrze w uściech twych wiedziały,
A skroniom tych rozlicznych kwiatków nie zajrzały.

Dametas.

Kwiatek róży z ręku swych Hyella mi dała,
A westchnąwszy, serdecznych kilka słów przydała.
Jako ten kwiatek, tak się od ognia rumieni
Serce me, a wzdychanie przymnaża płomieni.
I jam nie kwiatek, alem płomień przyjął właśnie,
Który także w sercu mym nigdy nie ugaśnie.
A jeśli kiedy ognie skryte ucichają,
Ustawiczne wzdychania znowu je wskrzeszają.

Tytyrus.

Wieczorna gwiazdo, jasnej nocy napiękniejsza
Ozdobo, cnej Wenery świeco naśliczniejsza!
Ciemniejszaś ty księżyca, a ile ciemniejsza,
Tyle nad insze gwiazdy niebieskie jaśniejsza;
Bądź łaskawa: a teraz, gdy do miłej mojej
Idę na taniec, dożycz mi światłości swojej
Miasto księżyca, który dopiero za wczorem
Nowo nastał, i z pierwszym zapadnie wieczorem.
Nie kraść, nie zbijać idę, ale gdzie prowadzi
Miłość; gdzie cię miłują, miłować nie wadzi.

Dametas.

Alpheu, bystra rzeko! ty z przykrego brzegu
W morze wpadasz, a swego nie utracasz biegu,
Idąc do Aretuzy, swej oblubienice,
Do Aretuzy, wyspu wielkiego studnice;
I nosisz jej podarki, kwiateczki z liściami
I piasek twój, głęboko płynąc pod wodami.
Nurkiem morze przebiegasz, a twych wód nie psuje
Woda insza, i ledwie morze bieg twój czuje.
O co sroga, okrutna miłość się nie kusi?
I rzeka środkiem morza drogi szukać musi.

Tytyrus.

Już pierwsze kury piały, już i wtóre pieją;
Ja tu, czekając na cię, karmię się nadzieją.
Na mnie to, czy nie słyszysz? psi wasi szczekają;
Na mnie, mniemając, że wilk, stróże wyglądają.

Dametas.

Daphni, niebaczny Daphni! już miesiąc zachodzi,
Już pół nocy minęło, już się niebo młodzi
Na zorzą; jam na oczu snu jeszcze nie miała:
Cała noc świadkiem mi jest, żem na cię czekała.

Tytyrus.

Próżnoś mię pod kądzielą, matko posadziła:
Nie będę ja jej przędła, nie będę robiła.
Już ciebie w moich leciech za mąż było dano,
I po mnie, Bóg cię żegnaj, matko, przyjechano.

Dametas.

Nie po wszytko na rynek z groszem moja rada,
Nie po wszytko, bracie mój, chodzić do sąsiada,
Ani do rzemięśnika: dobrze umieć w domu
I piszczałkę urobić sobie, niemasz sromu.

Tytyrus.

Gąsięta mi po trawie matka paść kazała,
Wrona mi niecnotliwa dwoje z nich porwała.
O wrono niecnotliwa! ty masz teraz gody,
A ja grzbietem nieboga przypłacę tej szkody.

Dametas.

Kwoczka po brzegu chodzi, kaczęta pływają;
Kwoczka gdacze, kaczęta namniej nie słuchają;
A kania coraz z jednym do góry odleci,
Tak się i u macochy mają cudze dzieci.

Tytyrus.

Jałówko! daleko mi zachodzisz w chróścinę,
Szukać cię zawdy trzeba, mało nie godzinę;

Muszęć zawiesić dzwonek miedziany u szyje:
Tak ludzie bydłu czynią, co się rado kryje.

Dametas.

Owczarzu! nie przypuszczaj trzody ku brzegowi:
Podlizała go woda: niedawno capowi
Dostało się, że w rzece bobrował po uszy,
I teraz jeszcze wełnę otrząsając suszy.

Tytyrus.

Bujaku! nadchudłeś mi; twoje jałowice
Odegnano, a ciebie niemasz połowice.
Stęskniłeś się, nędzniku, a coć gardła zstaje
Ryczysz; słyszą cię wszytkie pasze, wszytkie gaje.

Dametas.

Koźle, brodaty koźle! co przed trzodą chodzisz,
Chociaj ty sam przodkujesz, chociaj wszytkich wodzisz,
Nie darmo rogi nosisz największe na głowie:
Obejrz się, co z kozami działają kozłowie.

Tytyrus.

Piękna jodła na górach, jawor w gęstym boru,
Sośnia między ogrody, lipa wpośród dworu;
Ale gdy krasny Daphnis stanie między nami,
Wyższy głową nad wszytkie, wyższy ramionami.

Dametas.

Leszczyna bujna w debrzy, winohrad przy górze,
Chmiel przy płocie, sad w równi szczepiony po sznurze.
Ale kiedy nadobna Halenka tańcuje,
Miedzy rówieśnicami wszystkiemi przodkuje.

Tytyrus.

Fiołeczek na wiosnę, a goździk w jesieni,
Róża lecie, ruta się i zimie zieleni.
A kiedy się zapalą jagody u Basi,
I różą, i goździki kwiatem swym zagasi.

Dametas.

Lecie mleko, w jesieni jabłko z gronem wina,
Na wiosnę poziemeczki, zimie do komina:
A kiedy mię Jagienka piękna pocałuje,
Ani tak mleko, ani jabłko tak smakuje.

Tytyrus.

Strużek bieży przez łąkę, rybki w nim igrają,
Kamyczki malowane w wodzie się błyskają:
Ale skoro Halenka ukaże swe lice,
Nic nie są jasne strugi, nic nie są krynice.

Dametas.

Kiedy zorza wstawała rano nad górami,
A kwiatki perłowemi oblała kroplami,
Takie łzy z ślicznych oczu Phylis wylewała,
A wiem to, gdym odchodził, że po mnie płakała.

Tytyrus.

Wilk leżąc nie utyje, kamień mszejąc leży,
W jezierze woda stoi, rzeka zawsze bieży.
Ja pójdę statecznością, choć mną Egle gardzi.
Słychywałem, że nisko upadają hardzi.

Dametas.

W przemiany oracz co rok inszą niwę orze;
Żórawie, tu mieszkawszy, odlecą za morze;
Teraz chmury; po chwili niebo się pogodzi;
I mnie niechaj nie jedna Greta za nos wodzi.

Mopsus.

Tu stanęli, a z oka poglądali na mię,
Jeślibym więc na twarzy podał jakie znamię,
Przodek któremu dając: a mnie trudno było
Sądzić, i podobno też ani się godziło.

Wziąwszy kozła, tamżem je zostawił pod lasem,
A do domu Paraszka już była tym czasem
Wróciła się i wszytko bydło wydoiła,
I znowu po południu w pole wygoniła.

SIELANKA VIII.

Dziewka.

Daphnis, Dziewka.

Daphnis.

Piękna była Helena, co się Parysowi
Dała unieść, naszego cechu pasterzowi:
I ta pewnie Helenę urodą celuje,
Co teraz nadobnego pasterza całuje.

Dziewka.

Jeszcze tu nie masz z czego chełpić się, mój panie:
Marna rzecz, powiadają, samo całowanie.

Daphnis.

Marna rzecz całowanie; ale w tej marności
Są też swoje przysmaki, są swoje słodkości.

Dziewka.

Splunę ja te przysmaki i umyję wodą,
Gdzieś się ust moich dotknął tą kosmatą brodą.

Daphnis.

Płóczesz usteczka swoje, płócz, moje kochanie;
A umywszy, mnie znowu daj pocałowanie.

Dziewka.

Co czynisz? Zadusisz mię! Źle z tobą kuńsztować;
Krowyby tobie, a nie panienki całować.

Daphnis.

Nie bądź harda: jako sen prędko z oczu ginie,
Tak prędko twoja młodość i uroda minie.

Dziewka.

Nie wiesz, że z słodkich jagód rozynki bywają?
I różej, chociaj uschnie, przedsię używają.

Daphnis.

Pójdźmy tu pod te lipy, przechodźmy się z sobą:
Trzeba mi kilka pięknych słów rozmówić z tobą.

Dziewka.

Nie pójdę: i wczoram cię także usłuchała,
Alem się na twych pięknych słowiech oszukała.

Daphnis.

Więc tu pod tym jaworem posiedzimy sobie,
A ja co na piszczałce zagram k' woli tobie.

Dziewka.

Sam sobie graj, sam wesół bądź, jakoć się widzi:
Ucho moje muzyką szkodliwą się brzydzi.

Daphnis.

Dzieweczka acześ piękna, acześ urodziwa,
Pamiętaj, że Wenus jest bogini gniewliwa.

Dziewka.

Daj szczęsna Wenus była! Ja jej nic nie czynię;
Ona inszym panuje, mam ja swą boginię.

Daphnis.

Nie mów przeciw Wenerze, by cię nie chlusnęła,
Abo w nieoddziergnione sidło nie pojęła.

Dziewka.

Niech chluśnie, jako raczy; mam, kto mię ratuje:
Dyanna, co się wiekiem moim opiekuje.
Czemu mię szarpasz, jako inszą zapaśnicę?
Ani się mnie dotykaj, boć podrapię lice.

Daphnis.

Nie bądź tak zła, nie znikniesz przedsię przed miłością:
Żadna dziewka nie znikła przed jej wielmożnością.

Dziewka.

Zniknę, i Bóg mi tego dopomoże; a ty
Zaniechaj mię, a indziej gotuj sobie swaty.

Daphnis.

Kto gardzi, gardzą też nim; i barzo się boję,
Że przyjdziesz na gorszego za tę hardość twoję.

Dziewka.

Co mi służą, mam z łaski bożej nie jednego;
Chęć moja nie przystała jeszcze do żadnego.

Daphnis.

I ja w tej liczbie jestem, i jam jeden z wiela,
Co bym cię za wiecznego chciał mieć przyjaciela.

Dziewka.

Cóż czynić? teraz sobie na wolności żyję;
Szedszy za mąż, jakobym w jarzmo dała szyję.

Daphnis.

Nie niewola w małżeństwie; ale myśl beśpieczna,
Ale uciechy miłe, ale zgoda wieczna.

Dziewka.

Tak to z przodku cukrują, a potym przewodzą
Nad nami, i niektórzy za łeb żony wodzą.

Daphnis.

Żartujesz! Wy nad nami raczej przewodzicie,
Bo wy, żonki, kogóż się na świecie boicie?

Dziewka.

A Lucyna (bez czego zabawy małżeńskie
Nie bywają) co czyni? i połogi ciężkie?

Daphnis.

Na kożdy raz swoje się lekarstwo najduje:
Jest Dyanna, co w takiej potrzebie ratuje.

Dziewka.

Strach jest rodzić: a któraż w tej dobie nie zbladła?
Która z siły i zwykłej barwiczki nie spadła?

Daphnis.

Wszytko za laty ginie: ale tę nagrodzą
Szkodę dziateczki miłe, gdy się na świat rodzą.

Dziewka.

Jeślibym za cię poszła, jeśli nie żartujesz,
Co za oprawę, co za wiano obiecujesz?

Daphnis.

Gdy ja twój, wszystko twoje: ile będziesz śmiała
Zacenić, tyle będziesz zapisano miała.

Dziewka.

Teraz się mowa mówi; gdy przydzie o ślubie
Mówić, podobno się ktoś po głowie zadłubie.

Daphnis.

Bóg śluby wiąże. Bogu oddam śluby moje
I tobie, jedno ty chciej skłonić serce swoje.

Dziewka.

Kto się chce żenić, domu i dostatku trzeba:
Zła miłość, powiadają, bez soli, bez chleba.

Daphnis.

I dom i wszytko będzie, wszytko pilność sprawi:
W małżeństwie, powiadają, sam Bóg błogosławi.

Dziewka.

Jedynaczkam u ojca, u ojca starego,
Trzeba się mu ukłonić, trzeba łaski jego.

Daphnis.

Mam za to, że nie wzgardzi moim przedsięwzięciem,
Bo mię tu rad każdy miał w domu swym zięciem.

Dziewka.

Sam się chwalisz; znać, że masz niedobre sąsiady;
A wielkie obietnice omylają rady.

Daphnis.

Więc ty, jako rozumiesz, podaj lepszą radę;
I przyjaciela poślę, i sam w dom przyjadę.

Dziewka.

Wprzód ja zmacam i wzmiankę uczynię o tobie.
Potym dam znać, jakobyś miał postąpić sobie.

Daphnis.

Długoż mam tego czekać? Kto miłej nowiny
Czeka, dni idą rokiem, miesiącem godziny.

Dziewka.

Kto czeka, doczeka się; a kto nagle kwapi,
Abo w oczy poszczuje, abo nie ułapi.

Daphnis.

Kto czas ma, czasu czeka; czas tylko upuszcza,
Zły ptak, co nie ugania, gorszy co upuszcza.

Dziewka.

Kto myśli o czym, łacno wszytkiemu dogodzi.
Co czynisz? Nie macaj mnie, kędy się nie godzi

Daphnis.

Wszak to już piersi moje, wszakeś i ty moja.

Dziewka.

Jako ociec pozwoli, twoja i nie twoja.

Daphnis.

Proszę cię, nie czyń mi już żadnej wątpliwości.

Dziewka.

Nie czynię, ale trzeba wszędzie ućciwości.

Daphnis.

Dajże mi na to rękę, że mi strzymasz słowo.

Dziewka.

Strzymam: bodajem tak dziś do dom doszła zdrowo.

Daphnis.

Niestetyż, jako ja tu barzo tesknić muszę!

Dziewka.

Fortel na to: czynić co, i bawić tym duszę.

D a p h n i s.
Trudno co uczynić, kiedy umysł rozerwany.

D z i e w k a.
Wżdyć nam jeszcze oświtnie jutro dzień zarany.

D a p h n i s.
Tuli jutro pożeniesz, czy na inszą stronę?

D z i e w k a.
Gdzie ty będziesz pasł, tam i ja swoje przyżonę.

D a p h n i s.
Dajże mi na dobrą noc pięknie się obłapić.

D z i e w k a.
Nie baw mię, słońce siada, trzeba mi się kwapić.

D a p h n i s.
Naści ten pierścioneczek, upominek mały.

D z i e w k a.
Jutro się tu, dalibóg, zabawim dzień cały.

D a p h n i s.
Dajże mi ten wianeczek przewiędły na poły.

D z i e w k a.
Wianek przewiędły, i ktoś nie barzo wesoły.

D a p h n i s.
Odchodzisz me kochanie, a mnie tu zostawiasz?

D z i e w k a.
Puść mi rękę, próżno mię na ten czas zabawiasz.

D a p h n i s.
Bądźże łaskawa, a tu wracaj mi się zdrowa.

D z i e w k a.
I ty bądź łaskaw.

Tu ich koniec wzięła mowa.
Ona za bydłem poszła, a Daphnis przy chęci
Został nieborak, jako gdy kto od pamięci

Odejdzie: wszytek zmilknie, stoi jako wryty,
Zastrzał mając na sercu miłości nie zbyty.
Potem poszedł do koszar, a już bydło była
Pilna czeladka wszytko wydoiła.

SIELANKA XII.

Kołacze.

Panny, Pań sześć par.

Panny.

Sroczka krzekce na płocie: będą goście nowi!
Sroczka czasem omyli, czasem prawdę powi.
Gdzie gościom w domu rado, sroczce zawsze wierzą,
I nie karzą się kwapić kucharzom z wieczerzą.
Sroczko, umiesz ty mówić? powiedz, gdzieś latała?
Z któryjeś strony goście jadące widziała?
Sroczka krzekce na płocie, pannie się raduje
Serduszko, bo miłego przyjaciela czuje.
Jedzie z swoją drużyną panic urodziwy
Panic z dalekiej strony; pod nim koń chodziwy,
Koń łysy, białonogi, rząd na nim ze złota.
Panno! gotuj się witać, już wjeżdża we wrota;
Już z koni pozsiadali, wszytko sie podworze
Rośmiało, jako niebo od wesołej zorze.
Witamy cię, panicze dawno pożądany!
Czeka cię upominek tobie obiecany,
Obiecany od Boga, i od domu tego:
Po obietnicę trzeba wsiadać na rączego;
A ty się gdzieś zabawiasz. Już nam nie zstawało
Oczu, wyglądając cię; winieneś nie mało
Sam sobie, a pogonić trudno i godziny.
Cobyś rzekł, gdyby to był otrzymał kto iny?
Barzoś się ubeśpieczył: czyli tak urodzie
Dufasz swojej? Kto dufa nawiętszej pogodzie,

Deszcz go zlewa. Nie trzeba spać i w pewnej rzeczy:
I Bóg nie dźwignie, kto się sam nie ma na pieczy.
Często zazdrość o tobie złe powieści siała,
Ale cnota zazdrości wiary nie dawała.
Trudno stateczność ruszyć: niechaj zły wiatr wieje,
Jako chce; przedsie ona nie traci nadzieje.
Kędyś się nam zabawiał, mój panicze drogi?
Serce przez ciebie mdlało i te piękne progi
Pustkami się widziały; czyliś na jelenie
Z myślistwem jeździł?! wami, wami, leśne cienie,
Świadczymy, jakośmy wam częstokroć łajały,
Jako często zabawy wasze przeklinały.
Lubo sroga Dyanna w surowej karności
Drużynę swoję chowa, ale przy gładkości
Trudna przestroga. Były insze obawania,
Bo i harap ma swoje przykre dojeżdżania,
I od płochego źwierza urośnie nowina:
Jeszcze po dziś dzień płacze swego Adonina
Wenus żałosna: ach, ach, młodzieńcze ubogi!
Jako cię dzikiej świnie ząb uranił srogi!
I tyś, drugi młodzieńcze, w uściech naszych bywał,
Nazbyteś, ach, nędzniku, w lesiech przemięszkiwał.
Daleko cię nieszczęsne łowy unosiły,
Aż cię nakoniec łają właściwą skarmiły.
Pełna jest trwogi miłość i w każdy kąt ucha
Przykłada: raz ją bojaźń, raz cieszy otucha,
Czyli cię krotochwile jakie zabawiały?
Nam tu bez ciebie ani dzień widział się biały,
Ani słoneczko jasne! Komuż do wesela
Przyść może, gdzie miłego nie masz przyjaciela?
Czyli nie każdy serce ma jednakie? czyli
Co z oczu to i z myśli? a czasem omyli
Oko jasne. O tobie tego nie trzymamy;
I owszem się pociechy wszelkiej spodziewamy.
Sokół wysoko buja, a bujawszy siła,
Jedno mu drzewko, jedna mu gałązka miła.

Młodość przestrono patrzy i daleko strzela
Z myślami, aż Bóg nawet każdego odziela
Własną cząstką; kto na niej przestawa spokojnie,
Wszytkiego ma dostatek, wszytkiego ma hojnie.
I ty myśli uspokój, mój panicze drogi,
Nie darmo cię tu przyniósł twój koń białonogi,
Pryskał, we wrota wchodząc; znać, żeśmyć tu radzi,
Radziśmy wszyscy tobie, i twojej czeladzi.
Już i matka, i panna witać cię wychodzi
Poprzedź ich ręką: tobie poprzedzić się godzi.
I czołem nisko uderz: jest dla czego czołem
Uderzyć, a nie chciej sieść za gościnnym stołem,
Aż otrzymasz, co pragniesz; wszytko z czasem płynie:
Co ma być jutro, niechaj będzie w tej godzinie.
I ty, matko, nie zwłaczaj: czyń, coś umyśliła;
Żadna rzecz się nie kończy, gdzie rozmysłów siła.
Panno, czas już rozpuścić warkocze rozwite,
Czas oblec szaty takiej sprawie przyzwoite.
Storzcie pannę do ślubu, sąsiady życzliwe,
Ślub święty jest, i wasze prace świętobliwe.
Wszak też wam tę przysługę przedtym oddawano;
Toż i za matek waszych w obyczaju miano.
Kapłanie, gotuj stułę. Zbladłeś nam, panicze!
Ba, i pannie łza za łzą płynie przez oblicze.
Przelękłeś się, panicze, bojaźń to od Boga:
Szczęście tam bywa, kędy bywa taka trwoga;
Nie płacz, panno, bo rzeką, że płaczesz z radości.
Pomyśli kto i gorzej, bo siła zazdrości.
Nie pierwsza ty od matki wychodzisz z opieki:
Aboś chciała na łonie jej mięszkać na wieki?
I ona przy matce swej nie wiecznie mięszkała,
I tyś się nie dla tego tak tu wychowała.
Jużeście w stadle świętym; wszyscy wam dajemy
Na szczęście i miłego zdrowia winszujemy:
Bodajeście długi wiek z sobą pomięszkali,
Bodajeście wszelakich pociech doczekali.

Potrawy postawiono, do stołu siadajcie,
W pośrodku mieśce pannie z panem młodym dajcie:
Jem ci z sobą być: tak więc dwa szczepy zielone
Stoją w nadobnym sadu pospołu sadzone:
Panna nie wzniesie oka, serduszko w niej taje,
A pan młody długiemu obiadowi łaje.
Niech kucharze potrawy dziwne wymyślają,
Niechaj win rozmaitych hojno nalewają:
Kołacze grunt wszytkiemu; a może rzec śmiele,
Bez kołaczy jakoby nie było wesele.
Laską w próg uderzono: już kołacze dają,
A przed kołaczmi panie nadobne śpiewają,
I taniec prędki wiodą i kleszczą rękami.
Zabawmy oczy tańcem, a uszy pieśniami.
Ta, co białym trzewiczkiem błysnęła na nodze,
Jakoby rzekła, że ja się też na coś godzę.

Pierwsza para.

Panicze, co tu z panną siedzisz za tym stołem,
Tobie teraz wiedziemy taniec pięknym kołem,
Tobie kleszczemy; czyli ty nie słyszysz tego?
Ale cię myśl unosi do czegoś inszego.
Tłusty kołacz niesiemy dla twojej zabawy,
Syty kołacz, są jeszcze sytniejsze potrawy,

Wtóra para.

Śliczna panno, dziś tylko panną cię witamy;
Jutro z nami porównasz, w tym cię upewniamy.
Dziś się sromasz, jutro się będziesz uśmiechała,
I żal ci będzie, żeś tak długo próżnowała.
Pieści matka, a przedsię nie smaczno w pieszczocie,
A z miłym przyjacielem smaczno i w kłopocie.

Trzecia para.

Nie dumaj nam, panicze; już kołacz na stole,
Teraz jest twoje żniwo, teraz twoje pole.
Dzieciom kołacz, dla ciebie będzie coś lepszego,
A ty pamiętaj zażyć fortelu swojego.

Morzem ma być młodzieniec, morza żeglarz prosi,
Morze nie słucha, ale gdzie chce, żagiel nosi.

Czwarta para.

Panno, już cię to matka z domu precz wyprawia,
Chleb to z domu przed ciebie, nie kołacze stawia.
A chociajby kołacze, każdy dzień stawiali,
Dłużejby cię przy sobie już nie zatrzymali:
Jako się mocno trzyma chmiel gęsty przy tyce,
Tak i panna się trzyma przy swoim panice.

Piąta para.

Wilczaszku, ozinąłeś owieczkę niebogę,
Ona za tobą bieży choć ma w sercu trwogę.
Ale to sobie za ten kołacz wymawiamy,
Że ją tu przy taneczku do dnia zatrzymamy.
Radbyś potym, aby się tańcem zabawiała,
Tybyś rad; ona będzie coś inszego chciała.

Szósta para.

Panno, przegrana twoja, chłopięta dowodzą:
Kołacz im z stołu dano, i za łeb oń chodzą.
Lepsza zgoda, niż zwada; zgoda wszytko mnoży,
Niezgoda wszytko kazi i domy uboży.
Panno, miej się do tańca: już wodę oddają,
A muzycy niechaj co rzeskiego zagrają.
Sroczko, z dobrąś nowiną do nas przyleciała,
Bodajeś i u sąsiad także zakrzeczała.

SIELANKA XVIII.

ŻEŃCY.

Oluchna, Pietrucha, Starosta.

Oluchna.

Już południe przychodzi, a my jeszcze żniemy!
Czy tego chce urzędnik że tu pomdlejemy?
Głodnemu, jako żywo, syty nie wygodzi!
On nad nami z maczugą pokrząkając chodzi,

A nie wie, jako ciężko z sierpem po zagonie
Ciągnąć się: oraczowi insza, insza wronie,
Chociaj i oracz chodzi za pługiem, i wrona;
Insza sierp w ręce, insza maczuga toczona.

Pietrucha.

Nie gadaj głosem, aby nie usłyszał tego,
Abo nie widzisz bicza za pasem u niego?
Prędko nas nim namaca! zły frymark, za słowa
Bicz na grzbiecie, a ja nań nie barzo gotowa.
Lepiej złego nie draźnić; ja go abo chwalę,
Abo mu pochlebuję, i tak grzbiet mam w cale.
I teraz mu zaśpiewam, acz mi nie wesoło:
Nie smaczno idą pieśni, gdy się poci czoło.
Słoneczko śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego:
Ty wstajesz, kiedy twój czas; jemu się zda mało:
Chciałby on, żebyś ty od północy wstawało
Ty bieżysz do południa zawsze swoim torem;
A on by chciał ożenić południe z wieczorem.
Starosto, nie będziesz ty słoneczkiem na niebie!
Inakszy upominek chowamy dla ciebie:
Chowamy piękną pannę, abo wdowę krasną.
Źle się u cudzych żywić, lepiej mieć swą własną.

Starosta.

Pietrucho, nie rada ty robisz, jako baczę,
Chociaj ci nic młodego w pieluchach nie płacze.
Pożynaj, nie postawaj, a przyśpiewaj cudnie;
Jeszcze obiad nie gotów, jeszcze nie południe.

Pietrucha.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ty dzień po dniu prowadzisz, aż długi rok minie;
A on wszytko porobić chce w jednej godzinie.
Ty czasem pieczesz, czasem wionąć wietrzykowi
Pozwolisz, i naszemu dogadzasz znojowi;

A on zawsze: Pożynaj, nie postawaj, woła,
Nie pomniąc, że przy sierpie twój pot idzie z czoła.
Starosto, nie będziesz ty słoneczkiem na niebie!
Wiemy my, gdzie cię boli; ale twej potrzebie
Żadna tu nie dogodzi, chociajby umiała:
Siła tu druga umie, a nie będzie chciała,
Bo biczem bardzo chlustasz. Bodaj ci tak było,
Jako się to rzemienie u bicza zwiesiło.

Starosta.

Pożynaj, nie postawaj! I tybyś wolała
Inszego bicza zażyć; tylkobyś igrała;
Zażywaj teraz tego! Barzoć widzę śmieszno!
Pociągaj za inszemi, i zażynaj śpieszno.

Pietrucha.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
Ale ich prędko wiatry pogodne rozgonią;
A naszemu staroście nie patrz w oczy śmiele:
Zawsze u niego chmura i kozieł na czele.
Ty rosę hojną dajesz, poranu wstawając,
I drugą także dajesz, wieczór zapadając;
U nas post do wieczora zawsze od zarania:
Nie pytaj podwieczorku, nie pytaj śniadania.
Starosto, nie będziesz ty słoneczkiem na niebie,
Ni panienka, ni wdowa nie pójdzie za ciebie;
Wszędzie cię, bo nas bijasz, wszędzie osławiemy.
Babę, boś tego godzien, babęć narajemy,
Babę o czterech zębach. Miło będzie na cię
Patrzyć, gdy przy niej siędziesz, jako w majestacie,
A ona cię nadobnie będzie całowała,
Jakoby cię też żaba chropawa lizała.

Oluchna.

Szczęście twoje, że odszedł starosta na stronę;
Wzięłabyś była pewnie na bóty czerwone,

Abo na grzbiet upstrzony za to winszowanie.
Słyszysz? Jakie Maruszce tam daje śniadanie!
A słaba jest nieboga: dziś trzeci dzień wstała
Z choroby, a przedsię ją na żniwo wygnała
Niebaczna gospodyni. Takci służba umie:
Rzadko czeladnikowi kto dziś wyrozumie.
Patrz jako ją katuje: za głowę się jęła,
Nieboga: przez łeb ją ciął, krwią się oblinęła.
Podobno mu coś rzekła; każdemu też rada
Domówi: Tak to bywa, gdy kto siła gada.
Dobrze mieć, jako mówią, język za zębami!
I my mu dajmy pokój, choć żartuje z nami.
Żart pański stoi za gniew i w gniew się obraca.
Ty go słówkiem, a on cię korbaczem namaca.

Pietrucha.

Dobrze radzisz. Mnie się on, widzę, nie przeciwi,
Ale lepszy z nim pokój: co się często krzywi,
Złomić się może; przyjdzie jedna zła godzina,
A częstokroć przyczyną bywa nie przyczyna.
Dobry on barzo człowiek, by go nie psowała
Domowa swacha; ta go właśnie osiodłała,
I rządzi, nim jako chce, a on się jej daje
Za nos wodzić. Pod czas mu ledwie nie nałaje.
Na kogo ona chrap ma, może i od niego
Spodziewać się, że go co potka niesmacznego.
Więc mu nie wierzy: to już zawsze fasoł w domu;
I przemówić do niego nie wolno nikomu.

Oluchna.

To prawda. Nie dawnośmy len w dworze czosały,
On stał nad nami, tam się z nim coś rozmawiały
Dwie komornice: ona kędyś podsłuchała
Za ścianą; jako jędza do nas przybieżała.
Ni z tego, ni z owego, poczęła bić one
Komornice: sam zaraz ustąpił na stronę.
Potem wszytkim łajała, drugie rozegnała;
Nam, cośmy pozostały, jeść przedsię nie dała.

Pietrucha.

By też co było, co by ludźmi nazwać słusza;
Ale też siostra nasza, także w ciele dusza.
A już jej brózdy lice dobrze przeorały,
I przez włosy gęsto się przebija śron biały:
A przedsię wymuskać się, przedsię z pstrocinami
Czepczyk na głowie, przedsię fartuch z forbotami.
Naśmieszniejsza, gdy owo chce się pieścić z mową:
Świni krząkać, a babie przystoi trząść głową.
A psów nie syta, dosyć jej bywa każdemu,
Nie wybiegać się przed nią parobku żadnemu:
Niedawno dla jednego tylko nie szalała,
Aż ją Czarnucha nasza w zielu obmywała.
Widzi to i starosta, a widząc, nie widzi:
Pod czas przymówi, a ona jawnie z niego szydzi.
Czary wszytko zmamiły; bo ona z czarami
Wstanie i lęże: wszytka dyabłowa z nogami.

Oluchna.

Jest tak, a nie inaczej; i samam widziała,
Kiedy na wschodzie słońca nago coś działała.
Kto z tym mistrzem nakłada, nigdy pociesznego
Końca nie dojdzie: i ją też potka od niego.
Na przodku to kęs płuży: potym oraz padnie
Wszytko o ziemię; z Bogiem wszytko idzie snadnie.
Bez Boga wszytko śliźnie: niemasz nic gorszego
Nad dyabła, i cóż może on zrządzić dobrego?

Pietrucha.

I koniec i początek z tym mistrzem niespory.
Tak rok poodchodziły na głowę obory,
Teraz powyzdychały świnie i prosięta,
Ani się gęsi, ani się klwały kurczęta.
Wszytko ginie i w chlewiech, ginie i w komorze:
Ani biednej kokoszy obaczysz we dworze.

Oluchna.

Z komory ręka nosi, dyabeł tam nie bierze,
A z strony gospodarstwa więcej ja w tej mierze

Winuję zaniedbanie, niźli gusłowania,
Bo o czym pilnej pieczy nie masz i starania,
Bez szkody tam nie bywa; przy Bogu i ręki
Potrzeba: pilnej ręce Bóg daje przez dzięki.
Tak rok bydła, oczy na to nasze patrzały,
Za własnem zaniedbaniem powyzdychywały.
Ani ich od powietrza ochronić umiano,
A ledwie, gdy zdychały, o tym wiedzieć chciano.
Gdzie chłop w głowie, już się tam rząd dobry nie zmieści:
Zawsze w tym błędzie rozum szwankuje niewieści,
Co mi za gospodyni? jako żywo krowy
Ręką swą nie doiła; gadać o tym słowy
Tylko umie, a stroić po domu fasoły,
Kucharkom łajać: z pustej nie wyjdzie stodo y,
Jedno sowa. Ogórki wczora kwasić chciała;
Tak to robiła, że się wszytka czeladź śmiała.
A w karczmie, abo w tańcu, ptak jej nie doleci.
Gdy podołek rozpuści, wymiecie i śmieci.

Pietrucha.

Rzadka to rzecz na świecie dobra gospodyni,
Zwłaszcza bez męża rzadko która nie łotryni.
I lata nie uskromią: zarówno szaleje
I ta, co na świat idzie, i ta, co siwieje.
Niemasz, jako przy mężu małżonka cnotliwa:
Ta i mężowi wierna, i panu życzliwa,
Ta i czeladkę, i dom porządnie sprawuje,
Ta i dostatki wszytkie wcześnie opatruje.
Nie idzie nic na stronę, bo się Boga boi;
Pamięta, że nad nią sąd i kaźń boża stoi.
Ućciwy stan przynosi ostrożne sumnienie:
Za tym Bóg błogosławi, za tym dobre mienie.
Za tym spokojne życie, i wszytko się wiedzie.
Kto bez Boga chce wskórać, sadzi się na ledzie.

Oluchna.

Nie wiedziałam, Pietrucho, abyś tak zabrnęła
Głęboko w rozum, i tak mądrością pachnęła.

Musiałaś kędy bywać między żaki w szkole!
I ciebie w oczy młody parobek nie kole.

Pietrucha.

Jam sługa: insza sługa, insza gospodyni;
Ja sobie grzeszę, ona nie na swój karb czyni
Ale wszytek dom gubi; i jabym życzyła,
Abym nigdy płochego nic nie popełniła.

Ale starosta do nas znowu przystępuje,
Kwaśno patrzy, z nahajką na nas się gotuje.
Zaśpiewam ja mu przed się, rad on pieśni słucha:
Patrzy na nas i stanął, i nadkłada ucha.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego:
Ty piękny dzień promieńmi swojemi oświecasz,
I wzajem księżycowi noc ciemną polecasz;
Jako ty bez pomocy nie żyjesz na niebie,
Niechaj i nasz starosta przykład bierze z ciebie.
Na niebie wszytkie rzeczy dobrze są zrządzone;
Księżyc u ciebie żoną; niech on też ma żonę.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego:
Gdy ty na niebo wchodzisz, gwiazdy ustępują,
Gdy księżyc wschodzi, z nim się gwiazdy ukazują.
Siła gospodarz włada, siła w domu czyni;
Ale czeladka lepiej słucha gospodyni.
Niechaj ma żonę: będzie się domu trzymała
Czeladka; nie będzie się często odmieniała,
I nam do dwora będą otworzone wrota.
Wszytkich do siebie wabi przyjemna ochota.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Naucz swych obyczajów starostę naszego:
Ty nas ogrzewasz, ty nam wszytko z nieba dajesz,
Bez ciebie noc; z tobą dzień jasny, gdy ty wstajesz;

Niech i on na nas zawsze patrzy jasnem okiem;
Niech nas z pola wczas puszcza, nie z ostatnim mrokiem.

Starosta.

Pietrucho, prawieś mi się sianem wykręciła:
Ta nahajka mocno się na twój grzbiet groziła.
Kładźcie sierp, kupami do jedła siadajcie,
W kupach jedzcie, po chróstach się nie rozchadzajcie.

NAGROBKI ZBIERANEJ DRUŻYNY.

Starego szkapy.

Stary szkapa tu leżę, w błocie utopiony;
We zły raz od woźnice złego zaprzężony;
Od złego i młodego: oboje to chodzi
Pospołu: biada starym, gdy je rządzą młodzi.

Starego psa.

Bywałem kiedyś pilnym stróżem pana mego,
A mogę się pochełpić, kochanym u niego.
Na starość sparszywiałem: z dwora mnie wygnano,
Zdechłem w gnoju; takową mi nagrodę dano.

Wołu robotnego.

Robiłem w ciężkim pługu, nigdy nie schodziło
Jarzmo ze mnie: mną zasiać, mną i zwozić było;
Zdechłem od prace: dziś mię gospodarz żałuje.
Prędko postrada, gdy kto czemu nie folguje.

Kota.

Myszy, darmo po moim grobie tańcujecie:
Nie dla was, nie mylcie się, nie chodzę po świecie:
Żem się do sadła wkradał, w tym mię postrzeżono,
I z kamieniem u szyje do wody wrzucono.

Zająca.

Kiedy mię w polu już, już charci doganiali,
Obejrzałem się, widzę, że się z szkapy wali
Na łeb myśliwiec: i tam zaraz złomił szyję.
Bodaj sam zginął, kto na garło jedzie czyje.

Wiewiórki.

Na wszytkimem się dobrze u mej paniej miała,
Z rozpusty szkodnicam się potem udziałała,
Bom jej rąbki pogryzła, za to mię do wody
Wrzuciła. Gdzie się dobrze masz, tam nie czyń szkody.

Kozy, co wilczęta wychowała.

Wychowałam wilczęta własnemi piersiami,
Podrosszy zajadły mię; źle się zawsze z nami
Wychowańcy obchodzą: pełno niewdzięczności,
Mamki, karzcie się z mojej głupiej uczynności.

Myszy.

Nazbierałam do jamki nie mało żywności,
Lecz tego nie umiałam zażywać w skromności,
Szukałam więcej; ledwiem z jamki wybieżała,
Zaraz mię chytra kotka łapką poimała.

Węża.

Żem wszytkim srogi, żem był wszytkim jadowity,
Wiszę teraz przy drodze okrutnie zabity;
Brzydzą się mną i zdechłym. Kto chce w beśpieczności
Pożyć, niechaj się zbiera na ludzkie miłości.

Komorka, co lwa kąsał.

Dojadałem ja lwowi, on prze małość moję
Nie mógł mi nic uczynić; gdy proporce swoje
Rozciągam, wpadłem w siatkę pająka lichego.
Mały wielkim dogryza, ginie od mniejszego.

Koguta starego.

Siłam ja pojedynków wygrawał w młodości;
Tegoż szczęścia próbować chciałem i w starości:

Pobił mię młodszy, nawet kania mię porwała,
I pogrzeb mi w gardzielu swoim udziałała.

Wróbla.

Wróbel tu leżę. Kto mię znał przy tej tu ścienie
Com ja czyniał wróblicy, mej namilszej żenie!
Niech mię nikt nie żałuje: jam za rok odprawił,
Na czymby się kto inszy do sta lat zabawił.

Sroki.

Sroczka, roztropny ptaszek, mówićem umiała.
Żem kucharki do paniej czasem oskarżała,
Zaszyły mi pośladek: takem gardło dała.
Wiara mię i życzliwość na on świat posłała.

Szpaka.

Ja krzykliwy śpiewaczek, ja szpaczek ubogi,
Żyłem z ludźmi, nigdy mi głód nie bywał srogi:
Przestawałem na małe, umarłem w cichości.
Zle nie umrze, kto żyje w spokojnej skromności.

Kawki.

Po co my biedne kawki kupami latamy?
Po co w kupach wrzeszczymy i w kupach siadamy?
Mnie w kupie strzelec zabił; wszytkie uleciały.
Bez wodza i bez sprawy nawiętszy gmin mały.

Czyżyka.

Latałem do węzełka, czyżyczek pieszczony,
Nie bojąc się nikogo: w tym mię kotka z strony
Połapiła, i zgryzła. I pan nie obroni,
Kto przed nieprzyjacielem swym sam się nie chroni.

Papugi.

Gdy się panny służbiste z pachołki ściskały,
Jam nie milczała: ony mi garło związały,
I tak mię udawiły: język mię nabawił
Chleba i sławy, język żywota pozbawił.

Kaczora.

Na wodzie sroga kania z góry mię porwała,
A mam li prawdę mówić, i czas na mnie miała,
Bom w ten czas z kaczką miłych zażywał rozkoszy.
Nie z jednego miłostka i duszę wypłoszy.

Słowika.

Kiedym konał w paznoktach jastrząba srogiego,
Mówiłem żałośliwe te słowa do niego:
Niewinnym ja śpiewaczek, mało na mnie mięsa!
A on: Idź przedsię w gardło! dobry kęs do kęsa.

PIOTR SKARGA
(1536—1612).

Ostatnim wielkim pisarzem XVI-go wieku i ostatnim wielkim duchem chylącej się ku zachodowi Polski jagiellońskiej był Piotr Skarga, płomienny kaznodzieja sejmowy, nieusypiający, czujny strażnik na wysokich czatowniach myśli i uczucia, bystry i dalekowidzący spostrzegacz grożących Rzeczypospolitej niebezpieczeństw i nieszczęść.

Orężem jego nie było tylko pióro. Była nim także wymowa, jakiej równej nie znała Polska ani ówczesna ani późniejsza. Że jednak kazania swoje Skarga pisał, że je opracowywał starannie, przeto należą one również do literatury, w której skarbcu są bezcennej wartości pomnikiem polszczyzny XVI-go wieku. Działalność jego, jako pisarza i kaznodziei, spina przeto szczerozłotą klamrą cały dorobek piśmienniczy złotego wieku i chlubnem po wszystkie czasy jest świadectwem wielkości tego wieku.

Zanim jednak uzasadnimy ten pogląd bliżej, musimy powiedzieć słów kilka o wymowie, której należy się wydatne i poczesne miejsce w dziejach kultury słowa polskiego.

»Czem w średnich wiekach była dla południowych narodów poezja — mówi słusznie Brodziński[1]) — tem była dla Polaków wymowa. Jak we Francji powszechną były zabawą najsubtelniejsze zadania względem zalotno-

[1]) Kazimierz Brodziński. Rzecz o wymowie u dawnych Polaków Dzieła. Tom X.

ści, tak tu treścią posiedzeń społeczeńskich były sokratyczne rozmowy o sprawach rycerskich lub politycznych. Stąd to przodkowie nasi lubili sposób pisania w rozmowach, w czem mówcy starożytni celowali i czego piękne ślady zostawił wymowny Orzechowski, Górnicki i inni. Ważając nudne obrzędy czasów trubadurskich i galanteryj francuskich, których duszą była poezja, powiedzieć można że w domowych obrządkach Polaków równe miejsce zajmowała wymowa, bez której nie obyły się żadne domowe ani publiczne czynności. Szczególna była sprzeczność między południowym a sarmackim rycerzem: tamten łagodził swe obyczaje przez miękkie pieśni miłosne, ten przez wymowę, którą się razem do obywatelstwa sposobił.«

Mówiono w Polsce przy wszystkich sposobnościach. »Na jednem weselu np. kilkadziesiąt mów musiano powiedzieć: prosząc o rękę, dziękując rodzicom, przy oddaniu pierścienia, wieńca, pereł, upominków, przy cukrach, przy roztruchanie, włożeniu łańcucha na szyję i t. d. Ojcowie zaślubionych i pan młody musieli wtedy rozwinąć wszystko, na co ich wymowa zdobyć się mogła. W zbiorach mów takich pozostały dotąd weselne mowy Radziwiłłów, Tarnowskich, Chodkiewiczów, Sobieskich i wielu znakomitych mężów. I pod względem obywatelstwa nie były te mowy czczym tylko obrządkiem. W nich młodzieniec rodu znamienitego miał sobie wyliczone czyny przodków swoich i przyszłej małżonki i brał na siebie święty obowiązek sławę obudwu domów popierać. Kto zna karność, w jakiej ci republikanie synów swoich wychowywali, ten pojmie, jakie wrażenie czynił podobny obrządek na młodzieńcu, wstępującym tak uroczyście w zawód obywatelski.«

Idźmy jednak dalej.

»Liczna młodzież przy dworach biskupów i panów obowiązana była popisać się wymową w dni uroczyste dla pana, co ośmielało zdolności tak dalece, że taka młodzież często w sprawach sądowych zastępowała swych panów przed sądem królewskim.«

A któż zliczy »owe nieprzebrane mowy akademickie, gdzie każdy ze stopniem wychodzący uczeń i każdy jego profesor z tej okoliczności musiał mowę powiedzieć. Licząc do tego panegiryki dla znakomitych osób, któremi się uczący głównie zajmowali, sądzić potrzeba, iż Polacy połowę wieku na słuchaniu mów tracić musieli.«

Tak w szkołach i domowych obrządkach doskonalił się młodzieniec w tej sztuce, »nim wiek dozwolił mu zająć miejsce na sejmikach, które były wprawą do wymowy na wielkim Sejmie. Kto tu wymową ujął współbraci, na tego wkładali pieczę o dobro swej ziemi w kole poselskiem.«

»Podział obrad na izbę senatorską i poselską niemniej sprzyjał wymowie. Owi hetmani i biskupi, znani z przewag politycznych, w których świetle, skarbach i dostojności los ojczyzny polegał, wspaniałą wystawiali sporność obok szlachty z obozu albo od pługa na obrady przybyłej. Tam powaga i przebiegła obrotność, tu szczerość i zapał niewczesny wyświecały rzecz z różnych stron, chociaż rzadko szczęśliwie do skutku doszła.«

»Tak trzeba było być do krasomówstwa namiętnym, jak byli Polacy, kiedy czas drogi, obradom poświęcony, formom grzeczności poświęcali. Ileż czasu nie zabierały mowy przy odebraniu i złożeniu laski marszałkowskiej, pieczęci i mnóstwa urzędniczych obowiązków.«

»Ciekawe są dla badacza dziejów różne rodzaje sejmów, a szczególniej elekcyjnych, na których najwięcej były poburzone umysły, najwięcej sprzecznych widoków tam, gdzie koniecznie jednomyślności potrzeba było, na których dumni ci republikanie publiczne i prywatne życie książąt europejskich roztrząsali, ich zdatność i ofiary ważyli. Tu wymową do jednomyślności nakłonić było to prawdziwie władać morzem rozhukanem.«

»I wodzowie polscy więcej musieli zakładać na sztuce wymowy, niż w innych narodach. Wódz polski działał z pospolitem ruszeniem, z możnymi panami, z dumną

szlachtą, która o swoim koszcie, z ludem przez siebie zebranym walczyła, a często przez samą emulację była niezgodną. Wymowa jedynie mogła takowe wojsko trzymać na wodzy. Takiej wymowy piękne zostawili przykłady hetmani polscy.«

Wreszcie »Kościół katolicki był obfitem źródłem wymowy, można powiedzieć, narodowo-religijnej. Kaznodzieje nie odstępowali w czasie sejmu monarchy ani posłów. Mówcy w sprawach publicznych szli do świątyni słuchać religijnej wymowy, aby natchnęła ich duchem, bez którego według Psalmisty płonne są wszystkie narady. W rządzie, gdzie prawa sprężystości nie miały, gdzie każdy namiętny albo uporny mógł być tyranem wszystkich, tam religja tylko mogła się odzywać do sumienia i być szczęśliwym hamulcem, być tem dla wszystkich, czem jest jedynie dla władców najwyższych.«

Takim właśnie głosem, przemawiającym do sumienia panów i szlachty polskiej, był Skarga, głosem najdonioślejszym, jaki brzmiał kiedykolwiek z kazalnicy kościelnej w Polsce.

Ten skromny ksiądz, w którym gorzał wielki płomień ducha, zaćmił blaskiem swojej wymowy wszystkich współczesnych sobie mówców duchownych i świeckich i jednego tylko miał godnego siebie następcę w Birkowskim — później już nikt i nigdy tak nie mówił.

Urodził się Piotr Skarga w Grójcu, na Mazowszu, w lutym 1536-go roku, z ojca Michała Powęskiego (nie Pawęskiego, jak przez długi czas mylnie pisano), tamtejszego mieszczanina, i matki, Anny Świętkówny. Wcześnie straciwszy rodziców, korzystał z opieki starszego brata, który go do szkoły w rodzinnem miasteczku posyłał, a widząc w nim zdolności niemałe, wyprawił go następnie do akademji krakowskiej, gdzie po trzyletnim pobycie niespełna 18-letni młodzieniec otrzymał stopień bakałarza.

Po ukończeniu nauk przyjechał Skarga do Warszawy, gdzie w roku 1555-tym został rektorem szkoły parafjalnej św. Jana.

Kiedy i w jakich okolicznościach spotkał się z wojewodą krakowskim Jędrzejem Tęczyńskim, nie wiemy. Dość, że musiał zwrócić na siebie jego uwagę lub też gorąco był mu poleconym przez któregoś z mistrzów krakowskich, skoro wojewoda powierzył mu wychowanie syna i wyprawił wraz z uczniem do Wiednia.

Skarga był wówczas człowiekiem świeckim, myśl jednak o przywdzianiu sukni duchownej już w nim dojrzała, niezwłocznie bowiem po powrocie do kraju przyjął święcenia kapłańskie. Stało się to prawdopodobnie we Lwowie w r. 1562-im. W r. 1563-im widzimy go bowiem na stanowisku proboszcza rohatyńskiego, a w r. 1564-tym zostaje kanonikiem lwowskim, kanclerzem i kaznodzieją kapituły lwowskiej. Jako kapłana, który już we Lwowie z wymowy zasłynął, powołał go J. K. Tarnowski, kasztelan wojnicki, na dwór swój jako kaznodzieję. Po kilkoletnim pobycie na Rusi Czerwonej, pod koniec r. 1568-go, party żądzą zdobycia większej wiedzy, udaje się Skarga do Rzymu i tam wstępuje w r. 1569-tym do zakonu jezuitów. Pod ich przewodem studjuje dwa lata, nabiera wielkiej biegłości w naukach teologicznych i przejmuje się do głębi duszy naczelną ideą zakonu utrwalania katolicyzmu, zagrożonego wówczas przez reformację z jednej strony, przez schizmę z drugiej. Tam po raz pierwszy budzi się w nim fanatyzm religijny, tam, prawdopodobnie, ślubuje u grobu św. Piotra walczyć do ostatniego tchnienia za chwałę i potęgę Kościoła katolickiego.

W roku 1571-ym wraca do kraju i zajmuje skromne stanowisko nauczyciela kolegjum jezuickiego w Pułtusku i kaznodziei tamtejszej kolegjaty. Rychło jednak wypływa na szerszą arenę wobec wzmagającego się ruchu katolickiego w Polsce. Organizuje kolejno kolegja jezuickie w Poznaniu i Jarosławiu, wreszcie w r. 1573-im wysłany

zostaje do Wilna, gdzie w ciągu lat jedenastu (1573 do 1584) prowadzi niezmiernie ożywioną działalność misjonarską, a imię jego staje się głośnem na Litwie i w Inflantach, jako gorliwego trzebiciela inowierstwa. Jednocześnie zajmuje ważny posterunek ogólno oświatowy, jako rektor najpierw wileńskiego kolegjum jezuickiego, a od r. 1579-go nowozałożonej akademji jezuickiej w Wilnie.

Po zdobyciu Połocka, Stefan Batory wzywa go do siebie i porucza mu ważne zadanie dokonania duchowego podboju Wschodu. Skarga zakłada wówczas kolegja jezuickie w Połocku (w roku 1582-im), a potem w Rydze i w Dorpacie. Wszędzie rozwija energiczną działalność misjonarską. Wszędzie jest propagatorem idei unji Kościoła wschodniego z zachodnim i dla tej idei pracuje na długo jeszcze przed jej urzeczywistnieniem na synodzie brzeskim w r. 1596-tym.

Pracy tej nie przerywa po powrocie do Krakowa (w r. 1584-tym). Jest ciągle jej inspiratorem, leży mu ona głęboko na sercu, mimo, że pozornie zajmuje się czem innem — opiekuje się ubogimi, zakłada dla nich pierwszy w Polsce dom zastawniczy (m o n s p i e t a t i s), pierwowzór popularnych dzisiaj l o m b a r d ó w, i zawiązuje różne bractwa. Zdobywa mu to szeroki rozgłos. Ludność Krakowa uważa go niemal za świętego. Powodowany tą opinją o nim, a sam wielce pobożny i mający wyjątkowe do oo. jezuitów zaufanie, król Zygmunt III-ci powołuje go na swego kaznodzieję nadwornego. Na tem stanowisku pozostaje Skarga przez lat 24, t. j. od r. 1588-go do r. 1612-go. W okresie tym wygłasza swoje K a z a n i a n a n i e d z i e l e i ś w i ę t a, kazania p r z y g o d n e, p o g r z e b o w e, d z i ę k c z y n n e czyli t r i u m f a l n e, wreszcie najsłynniejsze k a z a n i a s e j m o w e, z których, niestety, dochowały się tylko wygłoszone w Warszawie, w katedrze Ś-to Jańskiej, podczas sejmu w r. 1597-tym.

Obowiązki kapłańskie nie przeszkadzają mu jednak zajmować się gorliwie polityką. W roku 1596-tym bierze

udział w synodzie brzeskim, którego jest sekretarzem i wytęża tam całą swoją działalność w kierunku doprowadzenia do skutku »jednego Kościoła pod jednym pasterzem«. Wychodzą wówczas najaw jego wysokie zdolności polemiczne i dialektyczne.

Doprowadziwszy unję do skutku, nie zasypia jednak na laurach. Walczy dalej o panowanie wyłączne s w o j e g o Kościoła, niewątpliwie z najczystszych, najszlachetniejszych pobudek, jakie w duszy kapłana katolickiego i polskiego powstać mogły. Jest jednak w tej walce jednostronny i nie zwraca uwagi na jej skutki dla państwa, które walk religijnych, wszczętych przez reakcję katolicką, raczej powinno było wówczas unikać. Niestety, sam król popierał całem sercem jezuitów i Skargę, pracującego skrycie nad udaremnieniem wniesionego na sejm warszawski w r. 1606-ym edyktu tolerancyjnego dla różnowierców. Zabiegi jego osiągają skutek pomyślny. Skarga i jego idea triumfują, ale Rzeczpospolita popada w ciężką niemoc. Wybucha w niej rokosz Zebrzydowskiego, a stosunki pomiędzy katolicyzmem a dyssydentami ulegają zaognieniu na dłuższy przeciąg czasu. Nienawiść wyznaniowa ogarnia tłumy.

Rzecz dziwna, że Skarga, który będąc gorliwym sługą Rzymu, nie przestał być jednak ani na chwilę wielkim i gorąco miłującym ojczyznę obywatelem, nie spostrzegł swego błędu, nie widział, że zamiast do pacyfikacji i wzmocnienia Rzeczypospolitej, prowadził do jej osłabienia.

Rychło potem poczuł znużenie i zapragnął wypoczynku. Prosił więc króla w r. 1611-tym o zwolnienie go od uciążliwych obowiązków kaznodziei nadwornego. »Prosił — mówi Fabjan Birkowski — aby winy jego były mu odpuszczone; lamentował, iż był sługą niepożytecznym na tem miejscu, którego się być niegodnym w głos opowiadał; uczynił to kazanie, które było, jako pieśń łabęciowa z takim afektem, iż król Jegomość i dwór jego i drudzy słuchacze łzami się zalewali.«

Otrzymawszy upragnione zwolnienie, w r. 1612-tym wyjechał do Krakowa, gdzie niebawem, dnia 27-go września tego roku bogobojny swój żywot zakończył.

Pochowany w kościele św. Piotra.

Zanim przejdziemy do oceny kazań Skargi, które są podwaliną jego sławy u potomnych, zatrzymajmy się nad niesłusznie w cieniu trzymanym, a niewątpliwie znakomitym pod względem literackim utworem jego pisarskim, pochodzącym z czasu najżarliwszej jego na Litwie działalności. Utwór ten nosi tytuł: »O jedności Kościoła Bożego pod jednym pasterzem. Y o greckiem od tej jedności odstąpieniu. Z przestrogą y upominaniem do narodów ruskich, przy Grekach stojących: Rzecz krótka na trzy części rozdzielona: teraz przez ks. Piotra Skargę, zebrania Pana Jezusowego, wydana... W Wilnie z drukarni Jego ks. Miłości P. Mikołaja Chrysztopha Radziwiłła, Marsz. W. Ks. Lit. etc. 1577.«

Prof. Józef Tretiak, któremu zawdzięczamy obszerną i cenną pracę p. t. »Piotr Skarga w dziejach i literaturze Unji brzeskiej«, stawia ten utwór bardzo wysoko.

»W polskiej literaturze polemiczno-religijnej — mówi — nic się z nim równać nie może. Nie poznawszy tego utworu, trudno mieć dokładne wyobrażenie, jaką potęgą umysłową był Skarga.«

Naprzód zadziwia tam wielka erudycja, naturalnie kościelna, ale właśnie taka, jaka jest do celu potrzebna. Skarga wiedział, że Rusini przywykli oddawna czcić i wielbić wielkich ojców kościoła greckiego, których poznawali w wyjątkach w rozmaitych Zbornikach, że ich powaga była dla nich niewzruszona, szczególnie Chryzostoma, Damascena, Bazylego, więc też opiera się nie tylko na piśmie św., nie tylko na teologach łacińskich, ale przedewszystkiem na wschodnich Ojcach Kościoła i na po-

czątku swego dzieła wymienia 15-tu doktorów i 10-ciu historyków greckich, »z których się wywód czyni«.

Obok erudycji podziwiać tam jednak trzeba ścisłą konsekwencję wywodów, jasność układu, przeźroczystość całej budowy; niema tu powtarzania się; zwycięska argumentacja ciągle naprzód idzie i ciągle zdobywa czytelnika. Skarga nie ogranicza się na podaniu przekonywających dowodów, ale i nie pomija tego, coby mogło osłabić ich siłę, uprzedza rozmaite zarzuty protestantów, podejmuje je i z ogromną siłą zbija.

I znów nie tylko siłą argumentów, jasnością wywodów, potęgą erudycji podbija Skarga czytelnika, ale i swoją znaną pięknością słowa, w którem jest tyle gorącego uczucia. Barwa tego uczucia bywa rozmaita, stosownie do tego, do kogo zwraca się jego polemika. Dla heretyków współczesnych, dla greków, bywa cierpkim, choć nigdzie w ton zaciekły nie wpada; dla Rusi, powtarzającej wymysły swoich greckich kierowników, ma uśmiech pobłażania i politowania. Wogóle można powiedzieć, że w dziele tem głęboka wiara w słuszność sprawy i w potrzebę zadania, które podejmował Skarga, połączyła się z obszerną erudycją i z ogromnym talentem, to też wpływ jego na umysł czytelnika musiał być niezmierny.

Książka dzieli się na trzy części, odpowiednio do tytułu, który wyraża treść wszystkich trzech części.

Pierwsza część nosi tytuł: O jedności Kościoła Bożego. Składa się ona z kilkunastu rozdziałów. Zadaniem jej jest dowieść, że prawdziwy kościół może być tylko jeden, że dwóch prawdziwych kościołów być nie może i że tym jedynym kościołem jest katolicki. Prawie cała ta część pierwsza zwrócona jest głównie przeciw nowym sektom.

Znakomity jest ustęp, w którym Skarga mówi o mnożeniu się sekt współczesnych, jako o znaku fałszywego kościoła: »I dzisiejszy heretykowie wiary jednej katolic-

kiej odstąpiwszy, jednej sobie nigdy uczynić nie mogą, ale mają nędznych wiar wiele i zatymże bogów wiele. Inny Chrystus Zwingliański, który to mówi, a inny Saski, który nie to. Inny Nowochrzczeński, który mówi tak, a inny Arjański, który mówi nie tak. A gdyby Bóg wszytkich był jeden, jednoby mówili wszytcy. A jako oni, którzy z hardości wieżą do nieba w Babiloniey budowali, to karanie odnieśli, aby jeden drugiego nie rozumiał, tak heretycką hardość, którą wzgardziwszy przełożone swoje, sami sobie niebo otwarzać chcą, tym Pan Bóg pokarać i wszystkim ich głupstw i sromotę na oczy pokazać chciał, iż się nie rozumieją, a tak niestworni są, iż nie tylko jedna sekta z drugą wojnę wiedzie i w jednym domu inną syn, inną ojciec, inną mąż, inną żona, inną czeladka prowadzi, a każdy minister jak z swoją głową tak też i z swoją wiarą idzie«.

Nie było — mówi Tretiak — argumentu silniejszego, bardziej do oczu skaczącego, nad obraz, zupełnie prawdziwy, tego zamętu, jaki był w łonie samego protestantyzmu. Nie były mniej silne i inne argumenty, np. taki: »Jeśli u nich katolicka wiara, czemu się z nią po kątach kryją? czemu się na koncyljum Trydenckiem, na którem ze wszystkich narodów pasterze i doktorowie zebrani byli, chociaż ich pozywano, nie ukazali? Czemu dla niej, jeśli prawdziwa jest, a niebezpieczeństwa się bali, gardła swego nie nastawili«? W dalszym ciągu dowodzi Skarga, że prawdziwy Kościół jednego też musi mieć pasterza. »Sam przyrodzony rozum to znać musi, że tam dobrze być nie może, gdzie wiele panów rozkazuje. I wszytko prawie stworzenie na to woła, aby jeden wódz był między wielością i mnóstwem, którzyby wszyscy słuchali i za nim szli«.

Protestanci za takiego wodza i pasterza uważali samego Chrystusa i nie chcieli uznawać Jego namiestnika. Otóż Skarga tłumaczył, że póki Chrystus żył sam na ziemi w ludzkiem ciele, nie potrzeba było Kościołowi innej

widomej głowy, ale gdy jest w niebie, musi mieć Swego namiestnika, i w całym szeregu porównań, wziętych ze stosunków, dla każdego dostępnych, wykazywał jedność władzy Chrystusowej a papieskiej. »Pleban — pisał — a wikary na plebańskiem miejscu siedząc, król a namiestnik królewski władzę trzymając — nie czynią dwu plebanów ani dwu królów, ale jednego w urzędzie i w państwie, acz dwa są w osobie. Jeden obecny, a drugi daleki; jeden rozkazuje a drugi też rozkazanie wykonywa. A jako dusza i ciało nie czynią dwu człowieku (tak!), ale jednego, tak Chrystus a papież nie czynią dwu mistrzów a pasterzów, ale jednego«.

Dalsze wywody tej pierwszej części poświęcone są dowodzeniu, że starszeństwo biskupów rzymskich od wieków było uznawane i że władza ich rozciągała się i nad wschodnimi patrjarchami.

Część druga, najobszerniejsza: O greckim od jedności kościoła Bożego i stolice apostolskiej odstąpieniu, rozważa naprzód różnicę, jaka zachodzi między wyznaniem greckiem a protestanckiem, t. j. między odszczepieństwem a herezją. »Ci są Schizmatykowie — wykłada Skarga — którzy tylko jednę wiarę wspólną ze wszytkimi katoliki chrześcijany mają, ale jednej głowy wspólnej nie mają, heretycy ci, którzy i jednego i drugiego nie mają!« Potem przedstawia przyczyny odszczepieństwa Greków, więc I-o ambicję patrjarchów carogrodzkich, którzy, rezydując w stolicy cesarstwa, chcieli się wynieść nad innych wschodnich patrjarchów, czemu się Rzym sprzeciwił, 2-o częste kacerstwa w Grecji, 3-o tyraństwo cesarzów carogrodzkich i 4-o zemstę na papieżach za kreowanie cesarstwa zachodniego.

Przedstawiwszy stosunek i zatargi Kościoła wschodniego z zachodnim aż do wieku IX-go, Skarga opowiada pokrótce, jak narody słowiańskie chrześcijaństwo przyjęły, przyczem daje ciekawy komentarz, dlaczego Ruś przyjęła wiarę od Greków. Przyjmując za fakt legendę

Nestorową o wysłaniu posłów przez Włodzimierza, powiada o Rusinach, że »jako prości i grubi, gdy tylko na stroje zwierzchowne i malowania kościołów i obrazów patrzali, a u greków świetniejsze i ozdobniejsze widzieli, z greki przestać woleli. Na onczas u rzymian obrazy i malowania były stare i laty zbotfiałe (bo ich nie palili ani wymiatali nigdy z kościoła), a grekowie mało przedtem obrazy wszytki i malowania popaliwszy, z wielką je zasie po siódmym zborze chęcią, jako gdy się co zgubionego najduje, wracali a nowe i świetne stawili, na farby się i misterne malarze przesadzając. Gdyby byli w czasie obrazoburstwa przybyli do Carogrodu, pewno wiary od greków by nie przyjęli«.

Zarzuty, które grecy robili kościołowi rzymskiemu, Skarga szczegółowo wymienia i szczegółowo odpowiada na nie. Naprzód idą te, które Focjusz katolikom rzymskim czynił. Było ich tylko ośm: 1-o, że w sobotę poszczą, 2-o że wyznają pochodzenie Ducha św. od Ojca i Syna, 3-o iż się małżeństwem brzydzą, 4-o iż kapłanom bierzmować nie dopuszczają, 5-o iż mają dłuższe zapusty (o parę dni), 6-o iż na Wielkanoc święcą żywność razem z Ciałem Bożem, 7-o że księża brody golą i 8-o że diakonów bez kapłaństwa na biskupstwo wyświęcają. Dopiero w dwieście lat potem przyczyniono dziewiąty artykuł, że chleba przaśnego używają do Komunji.

»Potem — mówi Skarga — wiele jeszcze innych rzeczy napletli, Ruś prostą zwodząc« i wymienia dalszych 17-cie artykułów, t. j. zarzutów przeciw Kościołowi rzymskiemu, między któremi są np. takie: »iż dzieciom w post z mlekiem jeść dają, iż obrazy rzezane (rzeźby) mają, iż krzyż czynią palcem na ziemi i po nim depcą, iż Panny Marji Matką Bożą nie nazywają, iż dawione (dławione) rzeczy, ptaki, lisy, żaby i niedźwiedzia jedzą, iż trzy msze odprawiają jednego dnia, iż zamiast przystępowania do komunji kapłana tylko całują«.

Przed przystąpieniem do odpowiedzi Skarga zapytuje, czy warto na to odpowiadać, z wyjątkiem zarzutu o pochodzeniu Ducha św. Jakkolwiek są to prawie wszystkie »próżne a babie baśni«, jednakże »dla prostych« to czyni, że odpowiada przynajmniej na niektóre, a odpowiada z prawdziwem ojcowskiem pobłażaniem, a często z mimowolnym humorem. Tak np. na zarzut, iż w sobotę poszczą: »a co im — mówi — za krzywda, iż kto pości? Jako my im nie przyganiamy, iż sobie zapustu umniejszają a pościć pierwej poczynają, tak też i oni nie mają się o co gniewać«.

Podobnie dobrodusznym tonem odpowiada na zarzut, że łacinnicy o dwa dni dłuższe mają zapusty: »bodaj zdrowi pościli grekowie, by dobrze wszytki dni w rok chcieli. My zato Pana Boga chwalić będziem, gdy je doskonalsze, byle w jedności kościelnej... baczyć będziem«.

Na zarzut, że dzieciom w post dają mleczne potrawy, Skarga odpowiada: »Głupstwo to wielkie mówić, iżby dzieci i inni, którym post do czego lepszego i potrzebniejszego przeszkadza, pościć byli winni, leczyć nie morzyć chce matka, Kościół św., dzieci swoje! Lecz w Rusi byle się nie oskoromił, jako oni mówią, to jest mięsa a masła nie skusił, chociażby pięćkroć na dzień jadł, tedy to wielkim postem zowią«.

Na zarzut, dotyczący golenia bród, mówi: »Znamy się do tej wielkiej ierezy, by grekowie wrócić się do tej św. jedności chcieli, nie ciężkoby nam brody zapuścić, acz ich nam nie trzeba; komu trzeba, Kościół nie zakazuje«.

Na zarzut, iż łacinnicy ptaki, żaby, niedźwiedzie i t. d. jedzą, znów dobrodusznym swoim odpowiada tonem: »Bodaj zdrowi i żabki jedli, kiedy im zdrowe, a mięsa niemasz«.

Takie argumenty — dodaje Tretiak — nie mogły nie trafić do zdrowego rozumu i zdrowego serca czytelników i słuchaczy. Tam, gdzie chodziło o ważną kwe-

stję dogmatyczną, pochodzenie Ducha św., tam rozprawiał się obszernie, opierając się przedewszystkiem na świadectwach greckich oo. Kościoła. Tu niemal żartem zbywał zarzuty, które ze stanowiska wyższości cywilizacyjnej i kulturalnej ówczesnego społeczeństwa greckiego, były zarzutami dziecinnemi.

Trzecia część książki ma tytuł: O przestrogach i upomnieniu narodów ruskich przy grekach stojących, aby się z kościołem św. y stolicą rzymską zjednoczyli.

Wykazywał tu Skarga Rusinom niebezpieczeństwo dalszego trzymania się greków, wymieniał błędy, które zakradły się do dogmatów, zwyczajów i nabożeństwa kościoła ruskiego, uderzał w pewne lenistwo duchowe Rusinów, w pewien konserwatyzm, który wbrew jasnym argumentom, kazał się im trzymać religji greckiej dlatego, że starożytna.

»Wiem — pisał — że między wami wiele jest takich, którzy mówią: jednaćto wiara u greków y u rzymian, sami tylko heretykowie, Zwingliani, Luterani, Nowochrzczeńcy y inni złą wiarę mają«.

W innem miejscu takie przytacza słowa Rusinów, z którymi zapewne miał sposobność spotykać się: »dawna i stara jest wiara greków, których jeszcze i apostoł Paweł św. nauczał i tak wiele Ojców św. w niej się poświęcili y Panu Bogu podobali«.

To wyobrażenie o starożytności wiary greckiej było jednym z najważniejszych motywów trzymania się tej wiary; dawano też jej zwykle epitet: starożytna. Skarga tłumaczył Rusinom, że, wzywając ich do połączenia z Kościołem rzymskim, wzywa ich właśnie do owej starożytnej wiary, do tej, którą wyznawali wielcy ojcowie Kościoła wschodniego, tak przez nich wielbieni, bo ci żyli w jedności z Kościołem łacińskim i zwierzchność papieską uznawali.

Upadek nauki wśród duchowieństwa ruskiego, o którego ciemnocie nieraz wspomina — nie z pogardą, ale z żalem — przypisuje głównie trzem rzeczom: małżeństwu duchownych, językowi słowiańskiemu i zależności duchownych od świeckich. Małżeństwo duchownych, które jest w Kościele wschodnim, Skarga w imieniu Kościoła katolickiego poczytuje za rzecz znośną, nie za błąd wielki, ale widzi w niem przeszkodę do dobrego pełnienia urzędu duchownego. »Rozdwojonym będąc — mówi — a jedną rękę do gospodarstwa, dzieci, żony obracając, a drugą do zakonu i nauki swey i ludzkiey, dobrze urzędu swego duchownego, który obu ręku (tak!) potrzebuje, odprawować nie mogą«.

To wreszcie, co o słowiańskim i greckim języku mówi Skarga, jest bardzo ważne pod względem historyczno-literackim, bo pobudziło Rusinów do uprawy obu tych języków.

»Wiele cię oszukali grekowie, narodzie ruski — woła nasz złotousty kaznodzieja — iż ci wiarę świętą podając, językać swego greckiego nie podali, aleć na tym słowieńskim przestać kazali, abyś nigdy do prawego rozumienia i nauki nie przyszedł«.

Skarga wychodził oczywiście z zasady, która naówczas była powszechną, że tylko w dwóch językach: łacińskim i greckim i świecka i duchowna nauka może się rozwijać i krzewić.

»Z słowieńskiego języka — mówi — nigdy żaden uczonym być nie może. A już go teraz przecie prawie nikt doskonale nie rozumie. Bo tey na świecie naciey niemasz, któraby im tak, jako w księgach jest, mówiła a swych też reguł, gramatyk i kalepinów do wykładu niema ani mieć nie może. Ztąd popi waszy, gdy co w słowieńskim chcą rozumieć, do polskiego się udać muszą po tłumactwo, abo więc tylko usty a w czytaniu doktormi są. I innej szkoły — chyba na czytanie — nie mają. I to ich wszytkiey nauki na

wszytki duchowne stany doskonalstwo! Z tąd nieumiejętność i błędy bez końca powstają, gdy ślepi ślepe wodzą«.

Uderzywszy tak trafnie w słabą stronę ruskiego duchowieństwa — brak szkół i ciemnotę — Skarga dodaje, że bez połączenia się z Kościołem rzymskim nie mają innego wyjścia z tej ciemnoty. Teraz, gdyby grecy chcieli ich z ciemnoty wyprowadzić, nie potrafią, bo naprzód i »u nich już nauka zginęła a wszytka się do nas, katolików, obróciła«, a powtóre, że »nie znają waszych języków słowieńskiego i ruskiego. A między wami też o tych, którzyby stary i ten nowy ich umieli, ani słychać«. Inaczej jest w Kościele rzymskim. Tutaj, dzięki jednemu językowi łacińskiemu, wszyscy się porozumieć mogą i »z samej Indyey chrześcijanin z Polakiem o Bogu mówić i rozumieć go może«.

Trzecią wedle Skargi przyczyną upadku duchowieństwa ruskiego jest »wzgarda stanu duchownego a rozkazowanie świeckich w rzeczach duchownych«. Bierze on tu przykład z Moskwy, gdzie car nie posyła do Carogrodu »postawienie swego Metropolita«, »ale go sam stawi, sam karze, sam, gdy mu się podoba, traci; także i inne duchowne i władyki ziemi swej«.

Taka sama zależność władzy duchownej przeszła i do niższego duchowieństwa. Skarga widzi w tem karę za odszczepieństwo: »nie chciał się patrjarcha carogrodzki kłaniać papieżowi, teraz się musi kłaniać Turczynowi«.

Uwydatniwszy korzyści zjednoczenia nie tylko duchowne ale i świeckie, Skarga wymienia trzy rzeczy, trzy warunki, niezbędne do połączenia, w których już nakreślony był plan przyszłej Unji: 1-o Metropolita ruski powinien słać po błogosławieństwo nie do Carogrodu, ale do Rzymu, albo otrzymać je za pośrednictwem prymasa polskiego (gdyby mu się tam za daleko zdało); 2-o zgoda w artykułach wiary ze Stolicą apostolską; 3-o uznanie zwierzchności rzymskiej i posłuszeństwo wobec jej rozkazów.

»Co się innych rzeczy, to jest obrządków kościelnych i zwyczajów nabożeństwa greckiego, które od św. przodków swoich mają, słowu Bożemu i wierze św. nie przeciwiających się, dotycze, przy tym by się wszytkim zostali, żadnej odmiany nie czyniąc. Bo Kościół Boży rozlicznością (bez sprzeciwności) przybrany jest, jako królowa w farby szat i kamieni i pereł rozmaitych.«

I tu następuje prześlicznie napisany ustęp o tej różnicy, jaka zachodzi między Kościołem zachodnim a wschodnim pod względem pobłażliwości na różnice obrządków. Tym sposobem Skarga zakreślił plan takiej Unji, jaka we 20 lat niespełna potem w Brześciu (1596) została zawarta.

W osobnym rozdziale (8, cz. III) przedstawia on jeszcze, jak wszystko sprzyja zawarciu Unji i charakteryzuje usposobienie Rusinów przeciwne usposobieniu Greków. Grekom bowiem przeszkadzała do Unji »bujność rozumów« i »wrodzona jakaś pierzchliwość i nieustawiczność«. Tymczasem w narodzie ruskim tego niema. Pan Bóg dał temu narodowi »uczciwe a powolne ku wszelakiemu przełożeństwu obyczaje«. Jest też godna uwagi charakterystyka stosunku między dwoma wyznaniami wschodniem i łacińskiem, na Litwie. »Pomagać i to miłe sąsiedztwo i tak dobre a spokojne z nami mieszkanie, w którym nic nie znasz innego po katolikach, jedno miłość i szanowanie i narodu twego uczczenie tak w urzędach, jako w towarzystwie pospolitem.«

Główną przeszkodę, główny, jak się wyrażał, »pień do jedności« widział Skarga jedynie w oglądaniu się Rusinów na współwyznawców w Moskwie, ale kazał im rozważyć, jak owe kościoły moskiewskie »nędzne są i prawie na poły w bałwochwalstwo zaszły« i »jako osierociałe są w nauce i wielką grubością i niesumiennością zarażone« i dawał im nadzieję, że ich przykład pobudzi Moskwę do zjednoczenia.

Książka ta miała swoje głębokie polityczne znaczenie, w którego ocenę bliżej tu wchodzić nie możemy.

Powodzenie jej było duże, to też przeciwnicy Kościoła rzymskiego rychło grożące schyzmie niebezpieczeństwo spostrzegli i należycie ocenili.

Dowiadujemy się o tem z przedmowy do drugiego wydania »Jedności Kościoła Bożego« (1590). W przedmowie tej, zwróconej do króla Zygmunta III-go, Skarga mówi: »Te książki, jakośmy doznali, wielom pożytek przyniosły i oczy im otworzyły i do tego czasu pytać się o nich wiele nie przestaje, i na mnie wołają, abych je znowu światu ukazał.«

Posłuszny temu »wołaniu«, Skarga przystąpił do drugiego wydania, ale z trudem jeden tylko i to bez początku w całem Wilnie znalazł egzemplarz. Całe niemal dzieło »wykupiła bogatsza Ruś i spaliła«.

Drugiem z kolei dziełem Skargi, które szeroko imię jego po całej Polsce rozniosło, były »Żywoty Świętych«.

Książka ta, raczej księga, wydana po raz pierwszy w Wilnie w r. 1579-tym, po raz drugi w Krakowie, w wydaniu rozszerzonem, w r. 1585-tym, po raz trzeci w roku 1592-im, po raz czwarty w r. 1598-ym i t. d., wogóle licząca 9 wydań za życia autora, a około 30-tu na przestrzeni dzielących nas od niej trzech stuleci, przez długi czas była najmilszą lekturą szlachty polskiej, zwłaszcza naszych dalekich prababek, owych pobożnych pań, które z różańcem w ręku modliły się żarliwie za ojców, mężów i synów, broniących ojczyzny przeciw nawale kozackiej i szwedzkiej za Jana Kazimierza, zaś tureckiej i tatarskiej za Sobieskiego.

»Żywoty Świętych« wrosły też niejako w tradycję domowego życia polskiego i przetrwały, jako łącznik pomiędzy pokoleniami, aż do naszych czasów. Niejeden z ludzi pokolenia dzisiejszego pamięta jeszcze tę księgę, w poczerniałej oprawie, spiętą srebrnemi klamrami, leżącą na kolanach babki i niejeden ma żywo w pamięci

tę lub inną cudowną opowieść o bogobojnych czynach świętych mężów i niewiast starożytności i średniowiecza.

W ocenie tej książki gra też dużą rolę sentyment. Łączy nas z nią uczucie i dlatego w mniemaniu powszechnem uważana jest ona za arcydzieło.

»Kto czyta ją z tem przekonaniem — mówi słusznie Tarnowski — że to są żywoty Świętych i na zewnętrzną literacką stronę rzeczy nie zważa, tylko szuka budujących przykładów cnoty, ten odniesie z czytania wrażenie budującej powagi, wielkiej świętości, a w dodatku w prostocie, z jaką to jest pisane, a która rzeczywiście po prostocie Pisma świętego jest może największa, jaką spotkać można, znajdzie i wielką piękność, wielki wdzięk harmonji pomiędzy formą a treścią.

»Ktoby zaś sądził ze stanowiska ściśle świeckiego, literackiego, choćby bez uprzedzeń i z góry powziętego zamiaru szyderstwa, ten znalazłby w »Żywotach« Skargi zapewne daleko mniej powabu, niż w wielu średniowiecznych legendach o Świętych. Nie byłoby np. nic dziwnego, gdyby jakiś człowiek sceptyczny, niewierzący, albo człowiek innego wyznania, znajdował wielkie upodobanie w »Kwiatkach« św. Franciszka z Assyżu, a ruszał ramionami na »Żywoty« Skargi. Dlaczego? Oto dlatego, że w »Kwiatkach«, jak we wszystkich legendach średniowiecznych, odbija się indywidualność tego, kto je składał, a przynajmniej, jeżeli nie jego indywidualność, to cała poetyczna naiwność wieku, mieszania wiary i fantazji, świat cudowny i nadprzyrodzony, stojący tej fantazji otworem i tak jej dobrze znany jak świat rzeczywisty. W tych legendach, a mianowicie w »Kwiatkach« żywot Świętego pokazuje się zawsze przez bardzo istotnie uroczy pryzmat poezji i kto dla poezji ma trochę zmysłu ten, wierny czy niewierny, czy rzecz tę czyta jak pobożną legendę, czy jak bajkę Ariosta, musi znaleźć poezję w Pieśni Brata-Słońca albo w kazaniu św. Franciszka do wilka.

»Inaczej w »Żywotach« Skargi. Tutaj tej poezji subjektywnej, indywidualnej, tych śladów wyobraźni człowieka czy wieku niema wcale. Bardziej objektywnie, bardziej ściśle, prawieby rzec można bardziej sucho, pisać nie można. Żadnej preokupacji literackiej, żadnej chęci przedstawienia tego świętego w jakiejś aureoli poetycznej, tego lub owego cudu w jakiemś świetle efektownem, tego lub owego męczeństwa w sposób obrazowy, malowniczy, dramatyczny. Słów tyle, ile ich koniecznie potrzeba i to same najprostsze: wypadki życia opowiedziane jeden po drugim sucho, bez uwag, bez wykrzykników, bez rozczulenia, słowem, pisane z zastosowaniem ewangelicznego prawidła: »mowa zawsze niech będzie tak — tak, nie — nie«. W ten sposób piszą ewangeliści; oni także nie płaczą nad męką Chrystusa, nie rozczulają się nad Betleemską stajnią, nie unoszą się nad triumfem Taboru i Wniebowstąpienia. Skarga trzyma się ich wzoru — nie żeby naśladował, ale dlatego, że przekonany jest, że książka którą pisze, jest także w treści swojej święta.«

Tej właśnie prostocie, tej świętości, acz jednostronnie bardzo pojmowanej, »Żywoty« zawdzięczały swoją szeroką popularność w wieku XVII-tym i kto wie, czy nie miałyby jej do dzisiaj wśród pobożnego ludu polskiego, gdyby nie wąski pogląd na świat i życie, który nadaje im cechę literatury średniowiecznej.

Określiła to bardzo trafnie Klementyna z Tańskich Hofmanowa, zarzucając Skardze, jako autorowi »Żywotów«, że patrzył na świat, jakby z klasztoru: »Prawie żadnej ceny nie daje innym cnotom i dobrym uczynkom tylko czystość, modlitwa, posty, dobrowolne ubóstwo, ciała dręczenie i zaniedbanie, to ma u niego wagę, to zachwala: opuścić rodziców, żonę, dzieci, naród, ziemię rodzinną, żeby się zamknąć na pustyni, to największa zasługa; a nadewszystko uciekać od kobiet, nie patrzeć na żadną, nie mówić z nią.«

Równie popularną, bo 13 wydań liczącą książką Skargi jest »Bractwo miłosierdzia w Krakowie«, wydana tamże po raz pierwszy w r. 1588-tym.

Jest ta książka przedsłanniczką całego ruchu humanitarnego w Polsce, zawiązkiem uczuciowego stosunku do bliźniego. Wypłynęła ona z czystej idei Chrystusowej, z płomiennych wskazań Ignacego Lojoli, przemyślanych na łóżku szpitalnem, i jest pierwszym tych wskazań wykładem i pierwszą ich szczepionką w Polsce.

Polacy byli w XVI-tym wieku narodem twardym jeszcze. Kościół niewiele zdołał wpłynąć na złagodzenie obyczajów wśród ogółu szlachty, która większą część życia spędzała na wojnach. A wojna nie zna litości. Żołnierz w życiu obozowem zawsze dziczeje, a często patrząc śmierci w oczy, przestaje się wzruszać na widok cudzego cierpienia. Nie ceni życia własnego, więc tem bardziej nie ceni życia innych. Z pola tę samą twardość i bezwzględność wnosił szlachcic do swojego domu. Był tam panem absolutnym, do czego zresztą upoważniało go prawo. Nie powodował się więc żadnemi względami wobec swoich poddanych — potrafił ich siec batogiem, potrafił nawet w gniewie ubić podręcznym czekanikiem. Nie dziw, że taki człowiek nie brał do serca niedoli, nędzy, starości, choroby ani tem bardziej skarg i łez, zwłaszcza, jeżeli to wszystko dotyczyło upośledzonego pospólstwa. Prawo do życia i do korzystania ze wszystkich dóbr świata miała według jego mniemania tylko szlachta, którą Pan Bóg specjalnie ukochał.

Nie było też wówczas i nie mogło być w Polsce mowy o dziełach miłosierdzia, o szpitalach, przytułkach, pomocach i zapomogach, które w nowoczesnej organizacji społecznej odgrywają tak dużą rolę i bez których świat, dumny z tego, czego dokonał w wieku XIX-tym, jużby się obejść nie umiał. Miłosierdzie uprawiały wtenczas jedynie klasztory — ucieczka słabszych przed silniejszymi — ale i to było na skalę niewielką. Bujne życie renesansu,

dające jednostce szerokie prawo do życia i użycia, nie pozwalało jej zaprzątać się troską o innych — każdy, nie wyłączając duchownych, prawy syn XVI-go wieku myślał o sobie, był egoistą, do ideałów moralnych nie tęsknił. Cały świat ówczesny tonął w swoistym materjalizmie, a głos ascetów był głosem odosobnionym.

Zbliżał się jednak moment przełomu i w tym właśnie momencie Skarga zabrał głos. Głos ten społeczeństwo polskie wzięło do serca, o czem wymownie świadczy rozpowszechnienie książki, napisanej przez umiłowanego kaznodzieję.

Pomijamy tu dalsze pisma Skargi z uwagi, że należą one wyłącznie do piśmiennictwa religijnego, przechodzimy natomiast do kazań, które są największym i najtrwalszym pomnikiem Skargi w literaturze polskiej.

I tu, zaraz na wstępie, powołać się musimy na zdanie Mickiewicza, który, jak nikt inny, ducha Skargi przeniknął. »Najwyżej pomiędzy jego pracami stoją — mówił Mickiewicz w dniu 25-tym czerwca 1841-go r. na lekcji XVI-tej w Kolegjum Francuskiem — i najwięcej zjednały mu wziętości jego mowy polityczne czyli kazania sejmowe. Rodzaj ten on sam stworzył. Przy niezwykłym talencie nie mógł całej swej potęgi rozwinąć w homiljach i pismach dogmatycznych; dopiero w kazaniach sejmowych wzniósł się na szczyt swego genjuszu. Tu objawia pojęcie, jakie miał o posłannictwie Polski, skreśla obowiązki obywateli względem rzeczypospolitej, wykłada system polityczny, uznany przez się za najlepszy, przepowiada nareszcie przyszłość Polsce: jest mówcą, politykiem, kapłanem i prorokiem.

»Nadewszystko dzieła jego odznaczają się patrjotyzmem. Skarga stawi nam wzór kapłana-patrjoty. Cecha ta przebija się już w jego pismach polemicznych. Miłość ojczyzny dodawała mu sił, ciągle dowodził różnowiercom, że gubili ojczyznę, i trzeba było nielada odwagi, nielada mocy do walczenia z tylu sektami, rozdzielającemi naten-

czas Polskę. Apostołowie, Doktorowie Kościoła, św. Augustyn, św. Klemens Aleksandryjski, wszyscy dawni filozofowie, którzy wykładali naukę katolicką i wojowali z niedowiarkami, byli zawsze otoczeni swoją owczarnią, choć nieliczną ale skupioną. Skarga znajdował się pośród wojska zbuntowanego przeciw swoim wodzom, musiał zniewalać sobie słuchaczów. Sektarze krzyczeli na niego, że był inkwizytorem, pieczeniarzem królewskim, intrygantem, stronnikiem władzy absolutnej. Szkalowany, prześladowany, niekiedy publicznie łżony, skoro wstępował na kazalnicę, widział przed sobą nieprzyjaciół, schodząc z niej — napotykał nawet gwałtownych napastników. Powiadają, że raz przy wyjściu z kościoła dostał policzek; innego razu cudem uniknął śmierci. Nasadzeni siepacze czekali go na drodze, którą miał przechodzić, żeby porwać go i utopić. Ale przyszła mu nagle myśl zajść do pańskiego dworu i tem się ocalił. Pan ów, co kazał nań czatować, zmieszany zjawieniem się jego u siebie, przyjął go gościnnie i rozstali się po przyjacielsku.

»Człowiek ten, wystawiony na potwarze i niebezpieczeństwa, podnosząc głos z mównicy kościelnej, zamiast, coby miał w usposobieniu, w przychylności tego audytorjum czerpać siłę, której tak potrzebował, musiał ją wydobywać z samego siebie, musiał w głębi swojego ducha roznieconym zapałem ogrzewać publiczność zimną i źle uprzedzoną. Nie puszczał się on na żadne wybiegi, używane przez mówców, nie starał się ująć sobie słuchaczów, nigdy im nie pochlebiał, a najczęściej, wyłożywszy senatorom i posłom ich obowiązki z godnością i surowie, po krótkiem wzniesieniu modlitwy do nieba, poczynał piorunować na występki prywatne i publiczne, nigdy jednak nie wytykając osób. Sam tylekroć obrzucony obelgami, nikomu nie zrobił najmniejszej przymówki, karcił tylko złe nauki i wady ogólne.«

»Tu — ciągnie Mickiewicz dalej — potrzeba wyłożyć, co to był ten patrjotyzm Skargi, jakie on

miał pojęcie Ojczyzny, które ukazuje się w jego dziełach. Zawiązek tego pojęcia tkwił już w dziejach bajecznych Polski, w najdawniejszych podaniach kronikarzy, w pismach Wincentego Kadłubka, który wyrzekł: że miłość Ojczyzny jest przemożna jak śmierć, w powieści zmyślonej żywotopisarza św. Stanisława o tej koronie, co odebrana Polsce, cudownie miała znowu być jej zwrócona, nakoniec w historji Długosza, ale dopiero Skarga wyłuszcza, rozwija to pojęcie i w słowach swoich stawia je zupełnie przed oczy«.

»Skarga miłuje Ojczyznę nie dlatego, że jest jego ziemią rodzinną, ale że jest, jak powiada, ustanowieniem Bożem. Bóg stwarza narody, daje im różne posłannictwa, a stosownie do tych mają właściwe sobie obowiązki. Słowem, narody u Skargi są to jakby osobne stworzenia, jakby jakie jestestwa organiczne rozmaitego rodzaju. Poczynają się one z miłości Bożej, a prowadzi je mądrość. Ale ta mądrość jest wieloraka. Jest jedna djabelska, która dowcip swój obraca na zdrady i szkody ludzkie, przez grzechy, oszukania i kłamstwa, sławy świeckiej i dobrego mienia dostając, ta przewodniczy piekielnikom, narodom piekłu zaprzedanym. Jest druga mądrość ziemska, której cały rozum w dostawaniu, zatrzymywaniu i mnożeniu dóbr tego świata; taką mądrość mają politycy dzisiejsi (dodaje Skarga), którzy nauczają panów i królów, aby tylko doczesnego pokoju i dobrego bytu poddanych swoich pilnując, zbawiennych potrzeb ich zaniechali. Jest nakoniec mądrość niebieska, przenikająca tajemnice Opatrzności; nie można jej inaczej nabyć, jak przez świątobliwość. Tą mądrością opatrzeni byli Józef, Mojżesz, Machabeusze i t. d. Podobni mężowie poznają drogi, zakreślone narodowi od Boga, i są powołani wprowadzać na nie swój naród«.

»Takie są wyobrażenia Skargi. W całej historji widzi on tylko dwa ludy, które odpowiadają wysokiemu jego pojęciu ojczyzny: lud wybrany, t. j. hebrajski i lud polski. Za dowód szczególniejszego błogosławieństwa nad Polską uważa naprzód to, że Opatrzność obdarzyła ją długim szeregiem królów, między którymi nie było żadnego tyrana, i nawet Bolesławowi Śmiałemu, jedynemu z pomiędzy nich mordercy, dozwoliła zbrodnię tę odpokutować przed śmiercią; powtóre, że Polska, ostatnie państwo chrześcijańskie, stoi jako przedmurze cywilizacji na Północy; nakoniec, że posiada wolność, wynikającą z konstytucji zupełnie takiej, jaka jest w organizmie ludzkim, gdzie serce i głowa nie mają władzy despotycznej nad członkami, ale są tem w ciele, czem religja i rząd królewski w rzeczypospolitej. Dlatego też wolność tę nazywa Skarga wolnością złotą, używając wyrażenia, które należy brać w jego znaczeniu tajemniczem. Złoto, jak wiadomo, w średnich wiekach znaczyło często doskonałość, wyciąg najczystszy; podług alchemików było to światło zgęszczone. Adepci umiejętności tajemnych szukali tego złota, co miało dać życie i zdrowie wieczne. W tem to znaczeniu bullę ustawodawczą cesarstwa niemieckiego nazwano bullą złotą; w tem znaczeniu także Skarga i późniejsi pisarze wolność polską nazywali wolnością złotą, t. j. najzupełniejszą, która każdemu obywatelowi zostawiała całą swobodę działania i całą odpowiedzialność za jej nadużycia«.

»Skarga kochał i ochraniał Polskę, jako nową Jerozolimę, na którą Bóg zlał wielkie obietnice. Ale Polska, jaką on pojmował, była tylko w jego myśli; oddzielał ją nawet od ludzi. Ludzie, zdaniem jego, zdradzają tę ojczyznę, zbudowaną przez Opatrzność, przeniewierzają się Swemu posłannictwu. Na pokolenie, do którego mówił, patrzył jako na występne, jako na idące drogą błędną do strasznych nieszczęść. Przetoż, raz kiedy stanie mu w oczach owa oj-

czyzna Boża zrealizowana na ziemi przez cnoty przodków i patronów Polski, podnosi głos błogosławiący; drugi raz, kiedy weźmie przed się zbrodnie i złości współczesnych, złorzeczy i grozi«.

Wówczas żadnej, najboleśniejszej nawet prawdy, nie oszczędza słuchaczom. Zagłębia słowo w sumienie narodu i obraca niem na wszystkie strony. Przepowiada Polsce okropne nieszczęścia i to nie w sposób tylko symboliczny, jak to czynili prorocy Starego Zakonu, którym zarzucana bywa ciemność i dwuznaczność, ale jak najwyraźniej, jak najdobitniej. »Przyszłość stała mu przed oczyma wypisana jakby w księdze dziejów upłynionych: czytał ją od deski do deski«.

Skarga — zdaniem Mickiewicza — spełnił, jak nikt inny przed nim i po nim — »ideał kaznodziei i patrjoty. Jako mówca, jako pisarz, stoi on narówni z Bossuetem i Massillonem, a poniekąd wyżej. W najpiękniejszych kazaniach Francuzów zanadto bierze górę forma, znać zaraz, że były przeznaczone dla publiczności uczonej, kiedy u Skargi formy nawet nie widać, nie można dostrzec, jak się wytaczają jego okresy. Nie myślił on nigdy w swoich frazesach i dlatego tłumaczył się w sposób tak doskonały, tak powabny. Styl jego nosi na sobie piętno czasów, zwanych złotemi literatury polskiej, ma to szczególne brzmienie, ten dźwięk jakby metaliczny, po którym pozna ową epokę każdy literat słowianin. W układzie nawet swoich kazań różni się od wszystkich dawniejszych i dzisiejszych mówców. Nie kreśli sobie planu zewnętrznego, nie robi w s t ę p u, nie rozdziela części, nie chowa najmocniejszych argumentów na zamknięcie. Ale niekiedy pośród rozbioru kwestji dogmatycznej, po zimnem i ścisłem rozumowaniu, zapala się nagle, wpada w natchnienie prorocze, przepowiada przyszłość, nawołuje lud do poprawy, ubolewa nad narodem i jest p r o r o k i e m, t r y b u n e m, n a d e w s z y s t k o z a ś P o l a k i e m. Rozgrzewany ciągle ogniem utarczek, zmuszony zawsze wal-

czyć ze swoją publicznością, nabył ogromnej siły i wyrobił sobie ten styl, jaki jemu samemu tylko jest właściwy.

Dawniejsi mówcy duchowni, homiliści, są jedynie pisarzami kościelnymi: rozprawiają o dogmatach, o moralności chrześcijańskiej powszechnej, należą do wszystkich wieków i wszystkich narodów. Nowocześni kaznodzieje francuscy (pierwszej połowy XIX-go w.) zbyt często dają uczuć chęć dogodzenia wymaganiom publiczności cywilizowanej, lękają się smak jej obrazić. Skarga, wstępując na ambonę, zapomina zupełnie o sobie, obraca głos do tej ojczyzny idealnej, co zawsze stoi mu przed oczyma, dla swoich słuchaczów jest, jak sam powiada, »na przymówki, wrzaski, gniewy i groźby słupem żelaznym i murem miedzianym«. Co zaś najbardziej go nad wszystkich tych oratorów wynosi, to ów duch prorocki, jakiego złożył dowody tak niezaprzeczone i tak jasne«.

»Kazania Sejmowe« Skargi ukazały się po raz pierwszy w druku w Krakowie w roku 1597-ym w zbiorze ogólnym p. t. »Kazania na niedziele i święta całego roku«.

Od tej pory powielekroć były wydawane, dopiero jednak wydanie krytyczne, dokonane na podstawie pierwodruku przez prof. Ignacego Chrzanowskiego, a poprzedzone niezwykłej miary i piękności studjum o nich, stanęło na wysokości potrzeb historji literatury polskiej.

»Kazania Sejmowe« w tem wydaniu stały się książką, która powinna znajdować się w każdym domu polskim. Nie powinno być Polaka, który nie zaglądałby do niej od czasu do czasu, nie szukał tam podniety dla swoich uczuć patrjotycznych i nie czerpał nigdy nieprzedawnionej nauki.

Kto chce mieć pogląd na to, jaki był stan Rzeczypospolitej pod koniec XVI-go wieku, w chwili, kiedy potężny jeszcze na zewnątrz gmach państwa polskiego już się wewnątrz rysował i pękał, ten musi pójść po światło do Skargi.

Kazania, które doszły do nas i które znamy pod mianem »Kazań Sejmowych« wygłosił wielki nasz kaznodzieja na sejmie warszawskim w roku 1597-ym, na tym nieszczęsnym, jak zresztą i wiele innych, zwłaszcza późniejszych, sejmie, z którego rozjechano się z niczem, »naswarzywszy się dosyć posłowie to o konfederacją, do której ludzi religiey greckiey zaciągali, to o inne, mniej ważniejsze Rzeczypospolitej sprawy, a o obronie (co była pilniejsza) ni słówka: ano mało po obijaniu ścian, gdy się dom wali«. Sejm zerwano. »Zamoyski — przypomina Chrzanowski — który podczas obrad tak wspaniałą mową zagrzewał do miłości ojczyzny, złożył piśmienną deklarację, że, jako hetman i kanclerz, dobrze kraju strzec będzie, ale że Polska sama siebie gubi niezgodą«.

N i e z g o d a, jak rak, toczyła już wówczas Rzeczpospolitą.

»Zamęt ogólny — czytamy w studjum Chrzanowskiego o K a z a n i a c h S e j m o w y c h — wzrastał z powodu braku sprawiedliwości, nie żeby praw nie było, tylko, że one egzekucji nie miały, co stwierdzają same konstytucje sejmowe. Było prawo, karzące za zabójstwo szlachcica wieżą i grzywnami, (których ilość podwojono nawet w r. 1588-ym); była banicja i infamja za nieposłuszeństwo prawu pospolitemu i jego sankcjom karnym: ale cóż z tego, kiedy się łatwo było od wykonania wyroku wykręcić. Nie mogło być mowy o należytej egzekucji tam, gdzie istniały prawa N e m i n e m c a p t i v a b i m u s i N e m i n e i n s t i g a n t e, gdzie brakło władzy wykonawczej. Nie było bezpieczeństwa ani życia ani mienia; mężobójca uchodził bezkarnie, sprawy cywilne, których się końca doczekać nie było można, przechodziły w sprawy kryminalne. Toczyły się rozprawy o korekturze praw i skróceniu postępowania sądowego, ale jedynym ich skutkiem była... odpowiedź i zajazd.

»Jakże zachowywała się wobec tego przeciętna opinja publiczna? Był szlachcic przekonany — nauczył go

tego jeszcze Orzechowski — że niema na całym Bożym świecie państwa, któreby się lepiej rządziło i szczęśliwsze było, niż Polska; nie wątpił, że »Królestwo polskie jest ludem wybranym«, cieszył się złotą wolnością i bujał, »jako orzeł bez pętlic, na swej przyrodzonej, pod królem swym... swobodzie«. Dumny był, że ma króla, który mu się nie rodził, którego obrał sobie po to, by mu kaduki i starostwa sypał, własnym kosztem go bronił i po klasztorach dzieci mu chował, a we wszystkiem posłów ziemskich słuchał. Zresztą patrzał na króla podejrzliwie, jako na przyrodzonego nieprzyjaciela wolności. A przez wolność rozumiał: »móc żyć, jak kto chce«. Bojąc się nawet cienia absolutum dominium, sam je na chłopie wywierał, w przekonaniu, że wolności »chłopstwu nie trzeba, bo wolność byłaby ku ich skazie«. Bronił zaciekle mądrości prawa Neminem captivabimus, bo »jużbyśmy naszej wolności zadzwonić ku pogrzebowi mogli, gdyby szlachcica było poimać wolno«. Prawo o mężobójstwie poczytywał za dobre i sprawiedliwe, bo przecie całe prawo polskie jest »tak dobre, jakiego żadne nie ma królestwo«, więc nawet słuchać nie chciał o jego obostrzeniu na »głowa za głowę«, »zwłaszcza, żeśmy nie wszyscy jednacy: inna chłopu a inna szlachcie«, a zresztą byłoby wówczas jeszcze gorzej, bo »wszędy na świecie gdzie są kaźni okrutne, tam złości więcej«. Gdy mu kto mówił, że się państwo nie ostoi wobec nieprzyjaciół bez twierdz pogranicznych, miał odpowiedź gotową: »Lacedemonianie murów mieć nie chcieli, ukazując na ludzi, na których męstwie a sile, nie w murach, zdrowie... Rzeczypospolitej... zawisło...; i Tatarowie tem mocni są, i nikt ich nie zwalczył, iż miast nie budują«. A kiedy go za słowa łapano, pytając, czemuż więc własną piersią granic nie broni, oburzał się: »byłaby to wielka niewola, żeby mię kto z mej ojczyzny zegnać miał i kazał mi, jako na kraj świata, na Tatary«. Na zarzut, że w Polsce nierząd co-

raz to gorszy panuje, odpowiedział: »Polska nierządem stoi«, zresztą reformom lepiej dać pokój, bo »wszelka odmiana w Rzeczypospolitej jest niebezpieczna«. A kiedy kto wreszcie przyparł go do ściany i łopatą mu w głowę włożył, że reforma jest konieczna, oglądał się trwożliwie, czy go kto nie podsłuchuje i mruczał: »ba, jabymci nie był bardzo przeciwny temu... ale wiem ja, że na to bracia nie pozwolą«.

Wobec takiej opinji większości ogółu szlacheckiego — dodaje Chrzanowski — walka ze złem stawała się trudną, tem trudniejszą, że pomimo wzrastającej wolności czynów, malała wolność słowa.

A jednak Skarga tę trudną walkę podjął. Z całym właściwym sobie zapałem, z fanatyzmem misjonarza, który pragnął nawracać ku prawdzie, który rozbiegające się stado szlacheckich baranów chciał skupić, skoordynować w imię niebezpieczeństwa, jakie widział, w imię najszczytniejszej, bezinteresownej i gotowej do ofiar miłości ojczyzny, wypełniającej po brzegi jego serce polskie.

To serce obudziło w nim nakaz. Ono też dało mu wewnętrzne przekonanie o posłannictwie, jakie ma spełnić.

»Jać objawienia osobliwego od Pana Boga o was i o zgubie waszej nie mam; ale poselstwo do was mam od Pana Boga i mam to poruczenie, abych wam złości wasze ukazował i pomstę na nie, jeśli ich nie oddalicie, opowiadał«.

A kiedy w walce z przemożnem złem siły mu słabły, kiedy nieodłączne od każdego działania ludzkiego wątpliwości go ogarniały, wówczas pokrzepienia szukał w słowach: »Nie mów: jestem dziecina, bo na wszystko, na co cię poślę, pójdziesz i wszystko, cokolwiek ci rozkażę, mówić będziesz«. (Jeremiasz I, 7). I mówił. A słowa jego, jak ogniste Mane, Tekel, Ufarsim ukazywały się na ścianach zamków i pałaców możnowładczych w całej Polsce, wołały i ostrzegały — nie jego wina, że napróżno!

»Wszystkie poglądy Skargi, wypowiedziane w Kazaniach Sejmowych, dadzą się sprowadzić — mówi Chrzanowski — do tych samych trzech myśli zasadniczych, które przyświecały całej wogóle jego działalności: Polska powinna powrócić do jedności religijnej; pomyślność narodu zakwitnąć może jedynie na gruncie moralności chrześcijańskiej wogóle, a patrjotycznej w szczególności; państwo polskie potrzebuje reformy pod grozą upadku.

Każda z tych trzech myśli Skargi pozostaje w ścisłym związku z całą literaturą naszą XVI-go stulecia.

Reformacja stworzyła u nas niebywały rozkwit literatury religijnej, teologicznej i polemicznej. Z początku poprzestawano na krytyce albo na obronie duchowieństwa, jego postępowania, praw i przywilejów; później wszczęto spór o samą wiarę, naukę religijną, dogmaty, obrządki, instytucje i t. d.; a jednocześnie wskutek coraz to oczywistszego i silniejszego wpływu, jaki ruch religijny wywierał na życie społeczne i polityczne, zastanawiano się nad rolą Kościoła i religji w państwie. Rzeczywistość rychło wytworzyła pogląd, że zgoda religijna jest silną podstawą i nieodzownym warunkiem już nie potęgi i pomyślności, ale choćby tylko spokoju państwa, pogląd, widoczny w literaturze zarówno, jak w życiu. Modrzewski marzył o jednym kościele narodowym; Kromer, Orzechowski i inni nawołują do zjednoczenia się w Kościele katolickim; różnowiercy usiłują znaleźć drogę, którąby ich do zgody zaprowadziła. Marzenie Modrzewskiego okazało się ułudnem, zgoda pomiędzy różnowiercami do skutku nie doszła. Otóż, kiedy z jednej strony coraz to wyraźniej najaw występuje, że się reformacja przez niezgodę mnóstwa wyznań i sekt staje w Polsce czynnikiem wręcz ujemnym, a kiedy, z drugiej strony, Kościół katolicki po soborze trydenckim szybko odradzać się poczyna, powracając do dawnej jedności, karności i powagi — wówczas to powstaje coraz to liczniejsze stronnictwo polityczne, dążące do wywalczenia zupełnego zwycięstwa

Kościoła, a jednocześnie do oparcia państwa na jego wzmocnionej podstawie. Myśl ta była jedną z myśli przewodnich polityki Stefana Batorego; ona to przyświecała i katolickiemu stronnictwu rządowemu w pierwszych latach panowania Zygmunta III-go. Jednym z najgorliwszych jej rzeczników był Skarga. Głęboko przekonany, że różnowierstwo jest klęską nie tylko dla tej religji, którą ponad wszystko umiłował, ale i dla tego kraju, który ukochał całą siłą swojej wielkiej duszy, pragnął je do szczętu wykorzenić, aby osiągnięta tą drogą jedność religijna, ku chwale Bożej, przyczyniła się zarazem do osiągnięcia jedności politycznej, ku szczęściu ojczyzny. Jego uczucia, zdrowe serce i zdrowy rozsądek, wbrew rozumowi, zaślepionemu fanatyzmem wyznaniowym epoki i współbraci zakonnych, odpychały ze wstrętem środki gwałtowne; przeciwnie, zalecał Skarga raczej łagodność i dobry przykład, ale na to, aby różnowiercom dać prawną rękojmię wolności wyznania, nie zgadzał się i zgodzić się nie mógł.

Tak więc Kazania Sejmowe, zwłaszcza czwarte i piąte, jako zwalczające różnowierstwo ze stanowiska politycznego i uczące, że jedynie na religji katolickiej silne i szczęśliwe państwo zbudowane być może, są wyrazem nie tylko jego własnych, najszczerszych i najgłębszych przekonań, ale całego stronnictwa, pragnącego jedności religijnej i silnego rządu«.

»Druga myśl Skargi, że pomyślność narodu jest w ścisłym związku z jego moralnością, to jeden z najżywotniejszych i najpiękniejszych pierwiastków literatury polskiej XVI-go stulecia. Wszyscy niemal ówcześni pisarze nasi są moralistami w najszlachetniejszem słowa tego znaczeniu: czy to Rej, który uczy, że »cnota swą zacnością aż niebo przebija«, czy Marcin Bielski, który zapewnia, że, gdzie cnota, »tam Bóg będzie«, czy Górnicki, który »tak dzierży, iż to państwo szczęśliwsze jest, gdzie król cnotliwy rozkazuje«, czy Kochanowski, który

każe służyć »poczciwej sławie«: wszyscy chcą prowadzić naród drogą cnoty, drogą moralności chrześcijańskiej. Cóż dopiero powiedzieć o Modrzewskim, dla którego jednym z warunków całości Rzeczypospolitej są »uczciwe obyczaje albo zwyczaje«, który uczył, że ci, co »śmieją w hufce stać, nie mając w sobie bojaźni Bożej i miłości bliźniego, i siebie i ojczyznę w pewną niebezpieczność przywiodą«! A oprócz moralności ogólnej, oprócz miłości Boga i człowieka, uczą wszyscy patrjotyzmu i moralności patrjotycznej, obowiązków względem Ojczyzny. Duch obywatelski, ciągła pamięć o kraju rodzinnym, to nawet najwybitniejsza, najistotniejsza cecha piśmiennictwa tego stulecia. Ale nikt nie umiał tak ściśle zespolić idei moralności wogóle z ideą moralności politycznej; nikt nie dowodził tak przekonywająco, że »to jest największe szczęście każdego królestwa, gdy ma w sobie ludzie, w poczciwości się kochające... a miłością jeden ku drugiemu zaprawione«; nikt tak gruntownie i logicznie nie uzasadniał obowiązku miłości ojczyzny i zgody pomiędzy jej dziećmi, nikt z taką siłą i mądrością nie uderzył na wszystkie bez wyjątku błędne pojęcia o miłości ojczyzny i nikt z taką odwagą i bezwzględnością nie postawił pod pręgierz wszystkich grzechów, płynących z »nieżyczliwości ludzkiej ku Rzeczypospolitej«, jak Skarga. Co tylko było mądrego, wzniosłego, świętego w naszej literaturze moralno-patrjotycznej XVI-go wieku, wszystkie myśli, rady, nauki, upominania i uczucia patrjotyczne — wszystko skupiło się w Kazaniach Sejmowych, stopiło się w nich w jedną całość myślową i uczuciową, podniesione mądrością Skargi do godności filozofji patrjotyzmu, a sercem... — do wysokości jego poezji. Kazanie o mądrości, potrzebnej do rady, o zgodzie domowej, o niekarności grzechów jawnych, a nadewszystko o mi-

łości ku ojczyźnie — to zenit, to korona naszej literatury moralno-patrjotycznej XVI-go wieku.«

»A teraz — ciągnie dalej Chrzanowski — stanowisko Kazań Sejmowych w literaturze politycznej, w tej literaturze, która, mimo niezaprzeczonego na nią wpływu pojęć starożytnych, jest jednak, narówni z satyrą, najsamodzielniejszą gałęzią naszego piśmiennictwa i w najściślejszym z życiem narodu pozostaje związku, nawołując bez przerwy do naprawy Rzeczypospolitej. Z początku, póki społeczeństwo żywo odczuwało potrzebę reformy całości państwa i ona ogarniała wszystko: i prawo i sądy i wojsko i skarb i władzę królewską i sejmy i stosunek Kościoła do państwa. Później, po śmierci ostatniego Jagiellona, świadomość potrzeby całkowitej reformy słabnie: to też w literaturze politycznej, na pierwszy plan występują różne sprawy specjalne, zwłaszcza sprawa postaci rządu, jako najżywotniejsza, jako najbardziej ze wszystkich paląca wobec wzrastającej decentralizacji. Ważności tej sprawy nikt z pisarzów naszych tak gorąco do serca nie wziął i nikt jej tak głęboko nie pojął, a przynajmniej nikt się tak odważnie głosu w niej zabrać nie poważył, jak Skarga. On jeden miał odwagę publicznie napiętnować »rząd popularitatis«, obnażając tym sposobem najcięższą i najniebezpieczniejszą ranę państwa — decentralizację; on jeden bez żadnych obsłonek wykazał, do czego taki rząd doprowadzić musi, on jeden nie zawahał się — w epoce osłabienia władzy i zdyskredytowania powagi królewskiej — wezwać koło poselskie, aby zlecało rządy królowi i jego radzie. Kazanie o monarchji — to korona tej literatury XVI-go wieku, która budziła w społeczeństwie świadomość koniecznej potrzeby zaprowadzenia silnego rządu, jako najgłówniejszego warunku już nie potęgi, ale wręcz istnienia państwa. To jedno kazanie, przez pierwszorzędną wagę podjętej w niem sprawy, przez mądrość głęboką i niesłychaną odwagę w jej wyświetlaniu, na-

leży do najznakomitszych utworów całej naszej literatury, nawołującej do naprawy Rzeczypospolitej.

Inne myśli polityczne, wypowiedziane w Kazaniach Sejmowych, choć żywotne i mądre, nie posiadają już tej ogromnej doniosłości, co krytyka rządu popularitatis. W krytyce praw niesprawiedliwych poprzedził Skargę, prócz innych, nadewszystko Modrzewski, z którego dzieła wogóle niemało nauczył się Skarga. Ale zasługą jego pozostanie, że w czasach, kiedy w społeczeństwie coraz to więcej zanikała myśl reformy, on mu o niej przypominał. Nie wyczerpał wszystkich praw niesprawiedliwych: to prawda, ale wystąpił przeciwko najgorszym: krzewiącemu bezkarność zbrodni, plugawiącemu ziemię krwią niewinną i — kiedy wzmógł się ucisk ludu — uprawniającemu ciężką krzywdę społeczną. A pojęcie prawa, jego podstawę etyczną i społeczną określił i uzasadnił, jak twierdzi Bobrzyński, lepiej od wszystkich współczesnych prawników. Niedosyć na tem: nie zapomniał i o sądach, przelotnie dotknął i skarbu i wojska i fortec, słowem rozumiał, że cała Rzeczpospolita potrzebuje naprawy«.

Dlatego naród wliczył go w poczet swoich wielkich nauczycieli, a głosu jego słuchały z uwagą i słuchać nie przestaną pokolenia. Kazania jego wrosły w umysłowość i uczuciowość polską i w życiu każdego wykształconego Polaka odgrywają rolę poważną. Stoją one w literaturze obok największych arcydzieł i wpływu swojego nie przestaną nigdy wywierać, jak nie przestanie go nigdy wywierać Mickiewicz. Prorok upadku z prorokiem zmartwychwstania podali sobie ręce i idą społem. Obaj nie umarli. Obaj zdobyli nieśmiertelność.

Któż z nas nie ma przed oczyma natchnionej głowy każącego Skargi, takiej, jaką narzucił narodowi w genjalnej swojej wizji Matejko, któż z nas nie słyszy potężnego głosu Jeremjasza polskiego:

»*Jako namilejszej matki swojej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała i wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty, kto zasmuca matkę swoję! A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna? od której imię macie i wszytko, co macie, od niej jest; która gniazdem jest matek wszytkich i powinowactw wszytkich i komorą dóbr waszych wszytkich.*«

Tym wspaniałym akordem miłości ojczyzny, która miała ocalić naród nawet po upadku państwa, która stała się wielkim testamentem, podawanym z pokolenia w pokolenie, kończy się literatura XVI-go wieku. A Skarga stoi w niej, jak słup graniczny, jak strzelisty obelisk, mierzący wysoko w niebo, a opatrzony czytelnym po wszystkie czasy napisem: Pater patriae.

Krótki wybór pism
Piotra Skargi
(1536—1612)

KAZANIA SEJMOWE.

I.
O miłości ku Ojczyźnie.

To wam rozkazuję (mówi Pan Jezus), abyście się społecznie miłowali.
(Jan 13, 14 i 15.)

Niemasz nic pod słońcem trwałego, mówi Salomon; nie tylo domy i familje, ale i królestwa i monarchje wielkie ustają i upadają — i naród się po narodzie na ziemi odmienia. Lecz nic nie jest bez przyczyny, zwłaszcza w ludzkich sprawach, które z rozumu i wolnej wolej pochodzą. Co rozumem i pilnością i cnotą stanęło, to się nierozumem i niedbałością i złością ludzką obala. Jako ciała nasze, abo wnętrznemi chorobami, abo powierzchnemi przypadkami umierają, tak i królestwa mają swoje domowe choroby, dla których upadać muszą. Mają i nieprzyjacioły postronne, którzy je wojnami i rozbojem gubią. Obojej niebezpieczności zabiegać mądrzy z pomocą bożą umieją i lud swój dobrzy sprawce wybawiają. Na choroby domowe mają lekarstwa, a na wojny i miecz mają rozmaite obrony. Żaden z was, przezacni panowie! nie jest tak prosty, aby nie baczył ciężkiej i wielkiej niemocy tego naszego królestwa i wnętrznego a domowego jego zachwiania; abo żeby nie uczuł mocnego nieprzy-

jaciela, który na głowy nasze następuje i rozbojem straszliwym nam grozi. Byście domowe niemocy tego królestwa zleczyli, łacniejszaby na przychodnia obrona naleść się mogła. Ale jako się chory bronić ma, który sam na nogach swoich nie stoi? Leczcież pierwej tę chorą swoję matkę, tę miłą ojczyznę i Rzeczpospolitę swoję. A jeśliście ostrożni i mądrzy lekarze, najdziecie kilaś[1]) szkodliwych chorób jej, które jej bliską śmierć (obroń Boże!) ukazują, a jako złe pulsy, źle jej tuszą. Pierwsza jest: nieżyczliwość ludzka ku Rzeczypospolitej i chciwość domowego łakomstwa. Druga, niezgody i roztyrki sąsiedzkie. Trzecia, naruszenie religiej katolickiej i przysada[2]) heretyckiej zarazy. Czwarta, dostojności królewskiej i władzy osłabienie. Piąta, prawa niesprawiedliwe. Szósta, grzechy i złości jawne, które się przeciw Panu Bogu podniosły i pomsty od niego wołają.

Mówmy za pomocą Bożą o tej pierwszej chorobie Rzeczypospolitej.

Dwoje przedniejsze rozkazania, umierając, Pan Jezus, Bóg i Pan nasz, zostawić nam swoim testamentem raczył: jedno, abyśmy się spólnie miłowali; drugie, abyśmy pokój miedzy sobą i zgodę świętą zachowali. Jedno z drugiego pochodzi i płynie. Miłość rodzi zgodę, a bez zgody miłość być nie może. Miłość ku bliźnim, im jest szersza, tym jest lepsza. Dobrze miłować sąsiada; lepiej wszytkie, którzy w mieście jednem są, a pogotowiu[3]) jeszcze lepiej wszytkie obywatele królestwa tego, gdy im dobrego co czynim, abo dla nich co cierpim. Także dobra zgoda i pokój miedzy pospolitym ludem; ale lepsza miedzy pany, którzy ludźmi rządzą, abo o nich radzą; a nalepsza miedzy królmi, którzy wszytkiemu światu pokój zgodą swoją przynoszą. Do tej szerokiej i przestronej miłości przywodzić się macie, którzyście tu na

---

[1]) Kilaś — kila — kilka.

[2]) Przysada — domieszka.

[3]) Pogotowiu — nadewszystko.

to się zjachali, abyście o tem myślelí i radzili, jakoby lud wszytek nie ginął, a wasza ku dobrom pospolitym miłość gorąca i szczera pokazać się mogła.

Przykład tej szerokiej i przestronej miłości postawił nam, uczniom swoim, na sobie Pan Zbawiciel i mistrz nasz, gdy wszytkim i kupom onym wielkim ludzi dobrodziejstwa czynił. »Ujźrzawszy, mówi ewangelista, lud wielki, użalił się nad nimi, bo byli strapieni i leżący[1]), jako owce nie mające pasterza, i wnet je leczył, karmił i nauczał. A jeszcze większą miłość pokazał, gdy zdrowie i żywot swój dał nie za jedno królestwo, ale za wszytkie na świecie ludzie, chcąc, aby każdy, kto weń wierzy, nie ginął, ale miał żywot wieczny«.

Taką miłością ku ludziom zapalać się macie wy, którzy o dobrem pospolitem radzicie; wy, które Pismo bogami zowie, bo nic tak własnego Panu Bogu nie jest jako ludziom wszytkim dobrze czynić; i kto taki jest, boskie naśladowanie i obraz na sobie nosi. Przełożeni nad ludźmi bogowie są ziemscy, nie tylo dlatego, że moc bożą mają na gubienie złych i na ożywienie abo uweselenie dobrych i niewinnych, (bo sam Pan Bóg umarza i ożywia), ale nawięcej dla tego, iż oni miłosierdziem i staraniem swojem nędzę ludzką odganiać mają, aby, ile z nich jest, każdy pomoc jaką miał: jako to Pan Bóg czyni, który wszytko, co stworzył, opatruje i żywi i na nie hojne dary miłosierdzia i dobroci swej wylewa, nie tylo ludźmi rozumnemi, ale i bestjami nie gardząc, jako Psalm mówi: »Oczy wszytkiego stworzenia patrzą na cię Panie, a Ty im dajesz pokarm ich czasów swoich; gdy ty dajesz i sypiesz, oni zbierają; gdy otworzysz rękę twoję, wszytkiego dobra pełno jest«.

[1]) Leżący — chorzy.

Słusznie też do was wrócić się może, przezacni obmyślacze dobra pospolitego; wszytkiej tej Korony, to jest ludzi i dusz ile ich jest w Polszcze, w Litwie, w Rusi w Prusach, w Żmodzi, w Inflanciech oczy się do was obracają i ręce do was podnoszą, mówiąc, jako i oni Egipcjanie do Józefa. Zdrowie nasze w ręku waszych, wejźrzycie na nas, abyśmy nie ginęli i w domowej niesprawiedliwości i w pogańskiej niewolej. Wyście ojcowie naszy i opiekunowie, a my sieroty i dzieciny wasze. Wyście jako matki i mamki nasze; jeśli nas odbieżycie, a źle o nas radzić będziecie, my poginiem i sami zginiecie. Wyście rozum i głowy nasze; my, jako proste dzieci, na wasze się obmyślanie spuszczamy, i Pan Bóg wam myślić o nas rozkazał. Wyście jako góry, z których rzeki i zdroje wytryskają; a my jako pola, które się onemi rzekami polewają i chłodzą. Was Pan Bóg podniósł na wysokie urzędy nie dla was, abyście sami swoich pożytków pilnowali; ale dla ludu, który wam Pan Bóg powierzył, abyście nam sprawiedliwość i pokój, który od Pana Boga bierzecie, spuszczali.

Toć są głosy i wołania ich do was; zmiłujcież się nad nimi.

. . . .

Jako namilejszej matki swej miłować i onej czcić nie macie, która was urodziła i wychowała, nadała[1]), wyniosła? Bóg matkę czcić rozkazał. Przeklęty kto zasmuca matkę swoją! A która jest pierwsza i zasłużeńsza matka, jako ojczyzna, od której imię macie i wszytko co macie od niej jest? która gniazdem jest matek wszytkich i powinowactw wszytkich, i komorą dóbr waszych wszytkich? »Jeruzalem, matka nasza — mówi apostoł — nad wszytkie matki czci i szanowania godna.«

Rozmyślcie, jakie od tej matki dobrodziejstwa i upominki macie. Ona wam wiary św. katolickiej, przez którą

[1]) Nadała — wyposażyła.

do wiecznej ojczyzny przychodzicie dochowała, i Chrystusa, zbawienie wasze i jego Ewangeliej dotrzymała. Ona jej od fałszywych nauk i jadów heretyckich obroniła. Ona Husa przed stem kilkadziesiąt lat swemi kaptury i konfederacjami i jego przeklęte kacerstwo odpłoszyła. Do tego czasu kapłany wam i biskupy i duchowne pasterze wasze daje, przy których przystęp do łaski Bożej i obrony od wszytkich nieprzyjaciół macie. Ona wszczepiła tu ołtarz służby Bożej i ofiar przedziwnych, z których wam ubłaganie Boskie zawżdy płynie. Ona się i dzisiejszych złych wiekówsrogim heretykom odejmuje[1]) i wilki te jadowite, jako może, od was odgania, i stara się, abyście nie byli bez kapłana, bez ołtarza, bez nauki, i zatem bez Boga — jako się to innym narodom przydało, którzy tak dobrej i czujnej matki nie mieli. Jakoż jej miłować nie macie?

Ta matka, ojczyzna namilsza, wszczepiła wam i dochowała stan i majestat królewski, który jest zatrzymaniem i ozdobą wszytkich dóbr i sławy waszej, iż król po królu do tego czasu nie ustał, iż dostojność ich dobrze obwarowana jest, iż po dziś dzień patrzycie na pany i króle swoje, pomaszczeńce Boże i z ich się ozdoby i możności uweselacie.

. . . .

Ta miła matka podała wam złotą wolność, iż tyranom nie służycie, jedno bogobojnym panom i królom, które sobie sami obieracie, których moc, prawy okreszona[2]), żadnego wam bezprawia nie czyni, żadnego od postronnych panów i od swoich uciśnienia nie cierpicie. Samiście tylko sobie tyranami, gdy praw nie wykonywacie, a do sprawiedliwości fałszywą wolnością abo raczej swowolnością przeszkody sami sobie czynicie. Tureckiego i moskiewskiego państwa obywatele, patrzcie, jakie uciś-

[1]) Odejmuje — broni.

[2]) Okreszona — ograniczona.

nienie i tyranią cierpią. Nie taka to ojczyzna wasza! matką wam jest, a nie macochą! Na ręku was swoich nosi, a krzywdy żadnej cierpieć nie dopuści. Sami sobie szkodzicie i jeden nad drugim tyranią podnosicie, praw nie egzekwując, a moc pańską tam, gdzie nie potrzeba, krócąc.

Z strony matki niemasz nic, w czembyście żałować na nię mieli — chyba sami na się!

Patrzcie, do jakich dostatków i bogactw i wczasów ta was matka przywiodła, a jako was ozłociła i nadała, iż pieniędzy macie dosyć, dostatek żywności, szaty tak kosztowne, sług takie gromady, koni, wozów, takie koszty, dochody pieniężne wszędzie pomnożone. Sama tylo matka mało ma. Pierwej rzadki miał piwo w domu, a teraz winem piwnice wasze wonieją. Pierwej samodziałki boki nasze pokrywały, a teraz aksamity i jedwabie. Pierwej proste rydwany i rzadkie; częste siodła miasto poduszek, a teraz złote kolebki i karety. Pierwej proste potrawy, a teraz ptaki i kapłony. Pierwej jedna misa wszytkim, a teraz półmisków kiladziesiąt. O namilsza matko! już zbytkują dzieci twoje! źle tych dostatków używają: na grzechy, na utraty, na próżności. A ja co winna? — mówi — mają rozum, mogą tych darów bożych używać na kościoły i na chwałę Bożą, na obrony i zamki i inne na zły czas gotowości i do zbawienia przysługi; ja niewinna, iżem w dawaniu matką; oni winni, bo mię nie słuchają, a dobroci mojej i Boskich darów źle używają.

Taż miła matka dała wam taki pokój, jakiego wiele królestw nie mają, za którym napełniły się komory wasze i rozszerzyły się pożytki wasze.

. . . .

Macie od tejże ojczyzny do tego czasu sławę wojenną, która się tych wieków nawięcej za szczęśliwem panów i królów waszych panowaniem podniosła. Rodzi wam ta matka mężne i mądre i szczęśliwe hetmany, mocne i nie-

ustraszone rycerstwo, i lud taki, na który się nieprzyjaciele oglądają.

Taż matka namilsza uczyniła wam sławę u wszytkiego chrześciaństwa i u pogaństwa, iż od zachodu do wschodu zacnemi poselstwy uczczony król i pan wasz wielką wam u postronnych powagę i mniemanie czyni.

Cóż wam więcej uczynić mogła? Czemuż jej serdecznie miłować i onę w całości zatrzymawać i dla zdrowia jej wszytkiego tracić, gdy tego jest potrzeba, nie macie? Onę miłując, sami siebie miłujecie, a nie utracacie; onej nie życząc i wiary nie dochowując, sami siebie zdradzacie. Miłujecie pożytki swoje pojedynkowe[1]), a pospolite burzycie — i mniemacie, abyście dobrze sobie czynili i życzyli. Nie tak jest, ale jako Pan rzekł: »K t o z d r o w i e s w o j e m i ł u j e, t r a c i j e. A k t o j e u t r a c a, n a j d u j e j e«. Gdy okręt tonie, a wiatry go przewracają, głupi tłomoczki i skrzynki swoje opatruje i na nich leży, a do obrony okrętu nie idzie — i mniema, że się sam miłuje, a on się sam gubi. Bo gdy okręt obrony nie ma, i on ze wszytkiem, co zebrał, utonąć musi. A gdy swemi skrzynkami i majętnością, którą ma w okręcie, pogardzi, a z innemi się do obrony okrętu uda, swego wszytkiego zapomniawszy, dopiero swe wszytko pozyskał i sam zdrowie swoje zachował. Ten namilszy okręt ojczyzny naszej wszytkich nas niesie, wszytko w nim mamy, co mamy. Gdy się z okrętem źle dzieje, gdy dziur jego nie zatykamy, gdy się o zatrzymanie jego nie staramy, gdy wody z niego nie wylewamy, gdy dla bezpieczności jego wszytkiem, co w domu jest, nie pogardzamy — zatonie, i z nim my sami poginiemy.

W tym okręcie macie syny, dzieci, żony, imienia[2]), skarby i wszytko, w czem się kochacie; w tem tak wiele dusz jest, ile ich to królestwo i państwa przyłączone

---

1) Pojedynkowe, osobiste.

2) Imienia — majątki.

mają; nie dajcie im tonąć, a zmiłujcie się nad krwią swoją, nad ludem i bracią swoją, nie tylo majętnością, ale i zdrowiem im własnem usługujcie wy, którzyście je pod swój rząd i opiekę wzięli. Bo nie tylo majętności dla miłej braciej i Rzeczypospolitej nie żałować, ale i umierać winni jesteśmy...

. . . .

O wielmożni panowie! o ziemscy bogowie! miejcie wspaniałe i szerokie serce na dobre bracie swojej i narodów swoich, wszytkich dusz, które to królestwo z swemi państwy w sobie zamyka. Nie cieśnicie, ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach; nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich; niech się na lud wszytek z was, gór wysokich, jako rzeka w równe pola wylewa.

. . . .

Są drudzy, co mówią: co mnie po królestwie i Rzeczypospolitej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę? To złodziejskie serce, które z szkodą drugich chce być bogate! Rób sobie niestatku, a Pana Boga proś o potrzeby swe, a przestaj na swym stanie; a nie bądź utratnikiem i próżnującym, a dla siebie jednego tysiąc tysięcy ludzi, braciej swojej nie gub! Boże! aby się takich, jako monstrów jakich, mało najdowało, którzy srożej, niźli bestje, nieludzkości i krwie rozlania pełni są.

Takich podobno więcej, którzy służyć Rzeczypospolitej nie chcą, gdy się pożytku swego nie spodziewają, abo gdy im za to nie płacą. Ci są dziwnie głupi, którzy nie wiedzą, iż cnota nie patrzy na zapłatę, jedno na swoję przystojność; nie widzą, iżby tak nikt nigdy dobrym nie był; nie widzą, iż tak wiele nie tylo u króla, ale i monarchy świata wszytkiego bogactwa nie masz, aby każdemu dobry jego uczynek mógł płacić. Sam tak możny i bogaty Pan Bóg jest, do którego zapłatę naszę odkładać mamy. I tego nie widzą, iż u panów i u innych dobrego mniemania o cnocie swojej mieć nie mogą, gdy

co cnotliwego z najmu czynią; bo pomyślić mogą, jeśli ten za dobry postępek chce pieniędzy, podobno się i na zły dla pieniędzy pokwapi. Nakoniec nikt za to zapłaty nie czeka, iż sam sobie dobrze czyni, bo to samo hojną mu jest zapłatą. Kto ojczyźnie swej służy, sam sobie służy, bo w niej jego wszytko się dobre, jako się rzekło, zamyka. Nikt nie mówi: płać mi, iż swego zdrowia i domu swego, żony i dziatek moich bronię. Sama obrona zapłatą tobie jest: czegóż się upominasz? Gdy jesz, pijesz, śpisz, zdrowie swoje opatrujesz, izali za to zapłaty chcesz?

Ma być zasługom zapłata, ale cnota nie ma być najemna, ale sprawiedliwa i skłonna do tego, co Pan Bóg i zakon jego i dobry rozum każe. Możeć się i na zapłatę obejrzeć, ale niebieską naprzód, a potem na tę doczesną. Lecz wszytka się myśl z początku sadzić na tem w swojem przedsięwzięciu nie ma. Jeśli Pan Bóg płacić ma, i tu na świecie chce, królewskie serce obróci, abo skądinąd mu nagrodę poda. Jeśli nie chce, dosyć nam na zapłacie po śmierci; i sam dobry uczynek, gdy się przez nas komu, a zwłaszcza wszytkim dobrze czyni, ma swoję serdeczną zapłatę i pociechę wnętrzną wielką. Jakobych się najadł i ubogacił, gdy komu co dobrego uczynię! — mówi mądry.

Zaprawże w was Pan Bóg wielką miłość ku braciej waszej i wszytkim obywatelom Korony tej: abyście o nich uprzejmie i szczerze, nic swego nie pragnąc, radzili, na samego tylo Pana Boga i na ludzki pożytek patrząc. Boże! spuśćże wam szeroką i głęboką miłość ku braciej waszej i ku namilszej matce waszej ojczyźnie świętej, abyście jej i ludowi swemu i samem zdrowiem, swoich pożytków zapomniawszy, służyć szczęśliwie mogli. — Przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen.

II

O zgodzie domowej.

Proszę was, bracia, przez imię Pana naszego Jezu Chrysta, abyście wszyscy jedno mówili, a nie było między wami odszczepieństwa i rozerwania. 1. Cor. 1.

Tę prośbę i to zaklinanie wielkiego sługi Bożego, Apostoła Chrystusowego musim z ochotą przyjmować, jeśliśmy chrześcijanie, jeśliśmy słudzy Boga ukrzyżowanego dla nas; którego nas imieniem i czcią obwięzuje, nic na nas ciężkiego nie kładąc, nic trudnego, i owszem o rzecz nam samym barzo pożyteczną i pocieszną[1]) nas prosząc: abyśmy zgodę i spólną jedność zamiłowali, a rozdziałów i schizmów — w jednym Chrystusie związani i spojeni będąc — nie czynili. I dla tego nie potrzebaby mi słów wiele, ani namowy wielkiej, gdybyście mi to z serca przyznać, i samym uczynkiem a nie słowy pokazać chcieli: iż Pana i Boga swego Chrystusa miłujecie, dla niego radzi tak nietrudną i wdzięczną rzecz uczynić jesteście gotowi. Cóż mówicie? Jużcibych wszytko sprawił, a słów i czasu i pracej nie tracił, do zgody was namawiając, której, widzę, między wami niemasz. O Boże! by to tak prędko sprawić, na czem wszytko dobre nasze, duszne i cielesne zawisło! Jeśli rzeczecie: dawno my Pana Boga swego miłujemy i czcimy, i dla niego wszytko czynić chcemy; a ja powiem, iż ja temu nie wierzę, i Apostoł ś. nic u was nie uprosił; i cześć i imię Pana waszego podłe i lekkie u was jest, póki na zgodę waszę nie patrzę, a rozterki między wami kwitną. Proszę, obejrzycie się na to nabożnem i ku Panu Bogu prostem sercem, co was słusznie do zgody przywodzić ma, jakie z waszych rozterków utraty idą, i jako to ciężka Rzeczypospolitej choroba, i które ich naprzedniejsze są przyczyny....

[1]) Pocieszną — pocieszającą.

Macie spólne prawa i wolności; jakoż się dzielić jemi możecie? zgodnym są nadane. Bracia są — jako psalm mówi — unanimes in domo niemający rozdzielnego dziedzictwa, nikt pojedynkiem mieć ich nie mógł, jeno wszyscy razem. Toć się zgadzać muszą.

A spólna ojczyzna i matka miła jako was do zgody wiąże i zniewala? izali też się podzielić ją możecie? izali to nie jej śmierć jest, gdy się ją dzielić i rozrywać poczniecie? Obalenie tak wielkiego królestwa, zguba wszytkich praw i wolności waszych, upadek wszytkich dostatków waszych, braciej waszej i narodu waszego, żon i dziatek waszych, jako was do zgody nie przywodzi?

Obejźrzycie się proszę na te szkody i utraty, które wam z niezgody urastają. Bo naprzód drogi sobie wszytkie prawie zagrodzicie do poratowania tak nachylonej do upadku ojczyzny swej i królestwa tego. Bo jako o niem w niezgodzie i waśniach radzić, jako się z rozumami waszemi i sercy dobremi znieść i składać do tego możecie, gdyż niezgoda nic do kupy nie niesie; ale wszytko rozprasza i różnemi wiatry roznosi? O jako szczęśliwy to lud był, o którym napisano: Wszycy sie zebrali jakoby jeden mąż i człowiek jeden, z jednem sercem, z jedną radą. Gdzie serca różne, jako zgodna rada około ojczyzny być ma?

Cóż będzie po waszych sejmach, które tylo same na oddalenie i leczenie przygód i złych razów Rzeczypospolitej wam zostały, jeśli z różnemi wiatry i niestwornemi[1]) myślami na nie się zjedziecie? Doznaliście i tego roku, co wam i ojczyźnie miłej pomogły! I owszem, sejmy, które wam były lekarstwem na wszytkie Rzeczypospolitej choroby, w jad się wam obróciły: bo na nich więcej niezgód, i odrażenia myśli jeden od drugiego i stanu od stanu przyczyniacie. Na nich się ludoborstwo[2]) i sedycye[3]) rodzą, z nich

1) Niestwornemi — niesfornemi.
2) Ludoborstwo — ludobójstwo czyli zbrodnia.
3) Sedycye — zamieszki, prześladowania.

z więtszem rozważnieniem wyjeżdżacie, niźli przyjeżdżacie. I tak sejmy, na ukrzepcenie zgody i miłości spólnej braterskiej uczynione, na zapalenie rozterków służą. Toć ich już lepiej nie składać, jeśli takich niespokojnych serc i myśli nie złożycie, a do świętej zgody nie przystąpicie. A bez sejmów jako o sobie radzić macie? nie łacno się domyślić, ażby z przykrą i niebezpieczną odmianą wszytkiego.

Zatem, uchowaj Boże, domowe wojny powstać mogą, które nade wszytkie nieszczęścia królestw nażałośniejsze są, i upadek domu wszytkiego, i spustoszenie za sobą ciągną, jako sam Pan mówi.

— — — — — — — — — — — — — —

Nastąpi postronny nieprzyjaciel, jąwszy się za waszę niezgodę, i mówić będzie: »Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą!« i czasu tak dobrego do waszego złego, a na swoje tyraństwo pogodnego, nie omieszka. Czeka na to ten, co wam źle życzy, i będzie mówił: Euge, euge! Teraz je pożerajmy, teraz pośliznęła się noga ich, odjąć się nam nie mogą.

I ta niezgoda przywiedzie do was niewolą, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą, i będzie, jak mówi prorok: »Sługa równo z panem, niewolnica równa z panią swoją, i kapłan z ludem, i bogaty z ubogim, i ten, co kupił imienie, równy z tym, co sprzedał«. Bo wszytcy z domem i zdrowiem swojem w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym, którzy ich nienawidzą.

Ziemie i księstwa wielkie, które się z Koroną zjednoczyły i w jedno ciało zrosły, odpadną i rozerwać się dla waszej niezgody muszą, przy których teraz potężna być może ręka i moc wasza, i nieprzyjaciołom straszliwa. Odbieżą was, jako chałupki przy jabłkach, gdy owoce pozbierają, którą lada wiatr rozwieje; i będziecie, jako wdowa osierociała, wy, coście drugie narody rządzili, i będziecie ku pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim.

Język swój, w którym samym to królestwo miedzy wielkiemi onemi słowieńskiemi wolne zostało, i naród swój pogubicie, i ostatki tego narodu tak starego, i po świecie szeroko rozkwitnionego potracicie, i w obcy się naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się inszym przydało.[1])

Będziecie nie tylo bez pana krwie swojej i bez wybierania jego, ale też bez ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą. Gdzie się na taką drugą ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby i ozdobności i rozkoszy mieć mogli? Urodzi-li się wam i synom waszym druga taka matka? Jako tę stracicie, już o drugiej nie myślić.

»Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli — jako pismo święte przegraża — w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszytkim niedostatku, i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze, przeto iżeście nie służyli Panu Bogu swemu w weselu i w radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszytkiego« — i dla dostatku ze wszeteczeństwa waszego gardziliście kapłanem i królem, i innem przełożeństwem, wolnością się Belialską[2]) pokrywając, a jarzma wdzięcznego Chrystusowego i posłuszeństwa nosić nie chcąc.

Do takich utrat i przeklęctwa pewnie was ta wasza niezgoda i roztyrki domowe przyprawią. Nie tak rychło, i nie tak żałośnie wojną i najazdem postronnych nieprzyjaciół zginąć możecie, jako waszą niezgodą. Jabłko, gdy z wierzchu się psować pocznie, wykroić się zgniłość może, iż potrwa; ale gdy wewnątrz gnić i psować się pocznie, wszytko zaraz porzucić musisz i o ziemię uderzyć.

— — — — — — — — — — — — — —

[1]) Przydało — przytrafiło.
[2]) Belialski — dyabelski.

O namilszy i przezacni panowie! Chrystus rozdziałów miedzy bracią czynić nie chciał. Proszę, nie dzielcie się temi trzemi dziedzictwy: Religją, Królem i Ojczyzną miłą, ale ich spólnie i w zgodzie używajcie. Bo skoro się dzielić tem poczniecie, wszytko wam zginie. Zły rozdział wiary, bo jedna jest, a dwie z niej ani trzy być nie mogą. Skoroście ją rozdzielili, jużeście ją zabili i utracili. Jako serce z namniejszej rany śmierć przynosi, tak namniejsze wiary rozerwanie wiarę katolicką zabija; a bez jednej spólnej wiary i religiej jako zgoda być może?

Królmi się też dzielić, a mówić: ja tego chcę, a ja tego — gotowa i szkodliwa Rzeczypospolitej niezgoda i zguba, gdyby wiele królów było.

Ojczyzna też, jako jedyna matka, rozdziałów nie cierpi. Wszyscyśmy synowie jej, z żywota jej urodzeni — inszej mieć nie możem.

Ukazał też nam święty Apostoł jako się zgody, patrząc na ciała nasze i na członki różne w niem, uczyć, i do niej tak barzo domowym i bliskim przykładem przywodzić mamy. Wiele w ciele członków — ale ciało jedno; tak z wiela ludzi i narodów jedno królestwo. Nie może głowa mówić: jam wszytko ciało, potrzeba innych części do zupełności jego. Nierówno siedzą: oko i usta i twarz na wysokiem i pięknem miejscu, ramię niżej, ręka niżej, a noga naniżej — a jednak każdy członek na swem miejscu przestaje, a inego się nie domaga. Gdyby w ciele oko chciało stać, gdzie ręka, i język, i gdzie ucho, byłby wielki nierząd i sprośna szpetnota. Tak ma być w jednem królestwie: stany różne, jedne nad drugie pocześniejsze i uczciwsze, jako Mędrzec mówi: »Nie dziwuj się, iż nad wysokiego, jest wyższy, i drugi jeszcze wyższy, a ziemi wszytkiej król rozkazuje i ona mu służy«; drugie są stany niższe i podlejsze, a jednak każdy na swym wesół. Niemasz zazdrości w ciele; nie mówi ręka: czemum ja nie tam gdzie czoło? ale mówi: tu mi dobrze gdzie siedzę, czołu nie zajźrzę.[1]) Nie-

[1]) Nie zajźrzę — nie będę zazdrościł.

masz wzgardy żadnej miedzy członkami; nie mówi głowa, co mi po nogach i kolanach? — ale nogę czci, która ją nosi. Tak w jednem królestwie nie mówi wojewoda: co mi po kmieciu? widząc, iż go kmieć pracą swoją żywi nosi, i ochraniać go musi. Różne posługi mają, a jeden człowiek w drugiego się urząd nie wtrąca: ucho słuchania swego i oko patrzania pilnuje, a nie mówi: ja też robić chcę jako i ręka i palce. Tak w Rzeczypospolitej świecki w duchowne sprawy i posługi wdawać się nie ma. Spólnie sobie służą członki: ręka nogę chorą obwija, oko do rany zagląda, zęby wszytkiemu ciału potrawę żują. Tak w jednym domu spólne usługowanie jednego z drugim być ma. Weseli się jeden członek ze szczęścia drugiego członka; gdy głowa zdrowa i twarz piękna, wszytkie części ciała rady; a gdy jeden członek chorzeje, wszytkie się zaraz smęcą; jeśli ręka boli, głowa z nią płacze i oko łzy wylewa.

Głowy wszytkie członki ochraniają, i za nią umierają; ręka da się i uciąć, aby głowa rany nie miała. Tak króle i pany w jednem ciele Rzeczypospolitej czcić wszytcy i za nie umierać mają, wiedząc, iż byt i zdrowie ich na tej głowie należy, i z niej na wszytko ciało siła pochodzi.

W ciele ludzkiem mieszkają przeciwne sobie żywioły: ogień i woda, i ziemia i wiatr. Jakoż się zgodzą? Ugadzaniem jedne drugim. Woda nie wszytkiej wilgotności swej na ogień puszcza, a ogień oziębłość wody miarkuje; ziemia grubości swej i suchości upuszcza, a wiatr swoją wilgotnością suchość ziemie chłodzi. I z takiej zgody i ustępowania i przyjaźni zdrowie ludzkie trwa. Skoro jeden żywioł uzuchwali się a przemagać inne chce, gotowa niezgoda w ciele i za nią śmierć. Tak i w Rzeczypospolitej musi jeden drugiemu ustępować, i jeden drugiego znosić; i bez tego dogadzania i ustępowania jeden drugiemu, o którem Apostoł mówi: »jeden drugiego ciężar noś« zgoda być nie może.

Każdy członek słabość swoję i zgubę czuje, gdy się od ciała odrywa. Jako rózga od drzewa odcięta, mówi Pan, wnet umiera i rzeczka bez źródła wnet wysycha, i kropla wody bez drugiej hojnej wody rychło ginie: tak, kto braterstwa, jako Apostoł upomina, nie miłuje a z drugiemi się nie kupi i nie zgadza, prędko zniszczeje. Poganie piszą, iż Sylvius Scyta testament taki synom czynił: podał kupę strzał związanych i łamać je każdemu synowi kazał; czego gdy uczynić nie mogli, on pojedynkiem każdą sam przełomił. Gdy się ludzie z sobą dzielą i wadzą, nasłabszy są; lecz gdy w kupie i zgodzie stoją, mocno się każdemu nieprzyjacielowi postawią, jako Pismo mówi: »trojaki[1]) powrozek trudno przerwać.«

I z muzyki do zgody się i rządu przywróćmy. Różne w niej głosy: dyszkanty, basy, alty, tenory etc. i inne niższe, wyższe, mierne, a śpiewanie jedno. Dyszkantysta do basu się nie przyda, ani altysta do tenoru. Jeden głos drugiemu dogadza i miarę swoję trzyma; z której gdyby wyszedł, wszytkęby śpiewania wdzięczność popsował i uszy by słuchających obraził. A jeden kantor[2]) nad wszytkiemi czas stypułą[3]) abo ręką mierzy i takt daje, bez którego głosyby wszytkie pobłądziły i skłodkośćby dźwięku swego utraciły. Taka ma być w pospólstwie pod jednym zgoda, aby wdzięczne i miłe pożytki wszytkich stanów dochodziły.

Boże! miłośniku i fundatorze zgody i jedności, spraw serca tych starszych naszych, aby wszytcy byli jako mąż jeden, jednej myśli i rady na dobre Kościoła ludu twego. Spuść im ducha zgody i miłości, aby jeden drugiemu ustępował, i jeden drugiego ciężary znosił i dla dobra pospolitego krzywdy swoje ojczyźnie darował. Niech modlitwa twoja, którąś Ojca za nami prosił, abyśmy byli jedno, swój skutek weźmie, abyśmy rozkazania twego o miłości spólnej i pokoju słuchając, pociechę sejmów tych odnieśli. Przez mękę i śmierć drogą twoją, który z Ojcem

1) Trojaki — potrójny.
2) Kantor — śpiewak.
3) Stypuła — pałeczka.

i z Duchem Świętym królujesz na wieki Bóg jeden w Trójcy. Amen.

III.

O MONARCHIEJ I KRÓLESTWIE.

Postaw nam króla, aby nas sądził,
jako wszytkie narody mają.
1. Reg. 8.

W ciele ludzkiem dwa są przedniejsze członki, któremi się ciało ożywia i umacnia: serce i głowa. Wesołe serce a głowa zdrowa czynią człowieka mocnego i do wszytkiego sposobnego; a smutne serce, jako mówi Izajasz, i głowa chora, ciało wszytko osłabia, iż od stopy nogi aż do wierzchu nic w niem potężnego nie będzie. Religja i stan duchowny w ciele Rzeczypospolitej jest jako serce zakryte i wnętrze, z którego żywot wieczny pochodzi; a stan królewski jest jako głowa, w której są do rządu członków wszytkich oczy, uszy i inne zmysły powierzchne, do tych widomych dóbr Rzeczypospolitej należące. Gdy wiara katolicka i duchowny stan naruszony jest, jako ranne serce, prędką śmierć Rzeczypospolitej przywodzi. Gdy też stan królewski słabieje i boleje, jako głowa chora, władza członków wszytkich ginie, i królestwo wszytko upada. Mówiliśmy o pierwszej chorobie Rzeczypospolitej na serce, już o drugiej za pomocą Bożą mówmy, która jest na głowę, to jest o królewskiej władzej osłabionej i nawątlonej.

Przyrodzony sposób jest w ciele, aby jedna glowa rządziła; tak też w Rzeczypospolitej przyrodzona i nalepsza i nawłaśniejsza rozumowi ludzkiemu jest monarchia, abo jedynowładztwo i rząd jednego, który gdy się mieni a na wiele się głów dzieli, ciężka jest i śmiertelna Rzeczypospolitej choroba.

Na to pierwej powiedzmy, co się za wstęp kazania tego z Pisma przełożyło. Gdy lud on wybrany króla sobie

prosił od Samuela sędziaka[1]) onego i kapłana, który jemi na on czas rządził, mówi Pismo, iż się to Samuelowi nie podobało, iż rzekli: Daj nam króla, aby nas sądził; i żałował się na nie przed Panem Bogiem, modląc się. A Pan Bóg mu powiedział: »Usłuchaj głosu ludu tego we wszytkiem, o coć mówią: bo nie ciebie, ale mnie porzucili, abych nad niemi nie królował«. Z których słów pokazuje się, iż im to Pan Bóg ganił, choć im tego dopuścił — a iż od nich tem zelżony był, jakoby mu królowanie nad sobą brali.

Na co to zrozumieć potrzeba, iż tu Pan Bóg nie zganił monarchiej, ani władzej jednego nad wszytkiemi. Bo jako byli z Egiptu wyszli, w którym się rozmnożyli, począwszy od Mojżesza, aż do onego czasu Samuela proroka, przez trzysta lat nigdy inakszego nad sobą rządu nie mieli, jedno pod jednym przełożonym.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdyby też była zła monarchja, nigdyby jej był Pan Bóg ludu swemu nie życzył i na tem miejscu króla im dawaćby nie rozkazał. Lecz sam go im dał i naznaczył barzo dobrego na przodku Saula, onego pierwszego króla, i po nim Dawida i inne potomki jego, jako Abramowi obiecał: iż ze krwie jego królowie wychodzić mieli aż do Mesjasza, króla nad królmi i pana nad pany. A co więcej, w zakonie u Mojżesza opowiedział Pan Bóg, iż króle sobie stawić mieli, i nauczył ich, jaki król ich być miał, i prawa mu postawił.

Cóż tedy jest, iż się Panu Bogu ona prośba o danie króla nie podobała? To, iż sędziaki, które im dawał, nie miał Pan Bóg za króle ludu onego swego, ale jako za namiestniki swojego królestwa. Bo nie używali królewskiego prawa, i pompy, i majestatu; ale rolą orali jako i drudzy; dworu żadnego nie chowając, ani podatków biorąc, ani dóbr pospolitych używając; lecz tylko sądzili ludzi; a gdy wojna naległa, zwoływali lud, a Pan Bóg im sam hetmanem był, iż zawżdy bili nieprzyjaciele swoje. Nie mieli też dziedzicznego królestwa, ani synowie ich

[1]) sędziego.

na nie wstępowali, jeno kogo naznaczył Pan Bóg znakiem swoim jakim — i gdy po wielkim zwycięstwie do Gedeona sędziaka swego i hetmana, mówili: »Panuj nad nami, i syn twój, i syn syna twego, boś nas wybawił z mocy Madyańczyków«, on im odpowiedział: »Panować nad wami nie będę, ani syn mój, ale Pan Bóg niech nad wami panuje«. I dobre im było ono panowanie, bo królów nie żywili, ani ich majestatu i pompy opatrowali, a jednak sądy i wojny szczęśliwie odprawowali, abo sam Pan Bóg, jako król ich, odprawował, naznaczając sobie namiestniki, one przełożone ich.

Lecz gdy się królów naparli takich, jakie mają inne narody z rozumu przyrodzonego, którzyby byli jako panowie i dziedzice z potomkami swemi nad niemi, majętności ich na swój stan używali, i ozdobę wszytkiej ziemie na sobie i dostatek i sławę nosili i okazowali, a dwór i żołnierze ustawicznie chowając onych bronili, żeby się nie zawżdy sami na wojny włóczyli i wyciągali, tedy im Pan Bóg tego nie zganił, ale raczej dopuścił. To zganił, iż on sposób prostych sędziaków odmienili, a więcej się na królewską ozdobę i potężność, niżli na jego w niepotężnych sędziakach obronę spuszczać chcieli. Lecz monarchią, która także za sędziaków jako i za królów była, pochwalił Pan Bóg tem samem, iż nigdy dwu, ani trzech, ani pospólstwa do rządu ludu swego nie sadzał, ani w zakonie ustawił.

Bowiem monarchia jest naśladowanie niebieskich rządów, na których sam jeden Bóg siedzi, i tak zaczął i ukazał ludzkiemu narodowi, i napisał na duszach ich, aby się takiego rządu trzymali, gdzie jeden władnie. Bo stworzył jednego samego człowieka, męża onego pierwszego, aby był głową i ojcem wszytkim synom swoim. Nie stworzył dwu, ani trzech: aby się wszytcy do jednego odzywali i jego rządu i rozumu, jako starszego słuchali, i przetóż żonę mu dał nierówną we władzej ale poddaną, aby dwa nie rządzili, a w domu jednym żony, choć jednego ciała są z mężmi, drugim się abo równym panem w domu nie czyniły.

— — — — — — — — — — — — —

O trzech wolnościach dobrych wiemy, czwartej się jako szatańskiej zarzekamy. Święta wolność jest grzechom i czartu nie służyć, a tyraństwa piekielnego uchodzić. »Kto czyni grzech, mówi Pan, niewolnikiem jest w grzechu«. Oby się o tę wolność starali owi wolni, co pełni są mężobójstwa, nieczystości, łupiestwa, lichwy, zdrady, a mówią: Ja wolny. O niewolniku djabelski! czuj[1]) o niewolej swojej, a wychodź z mocy szatańskiej, w której szlachecka wolność pomocy-ć żadnej nie da.

Druga wolność jest dobra: obcym panom i pogańskim królom nie służyć, ani im podlegać, jedno swoim, abo od nas obranym. Tę wolność macie z łaski Bożej i na niej przestajcie, dziękując za nię Panu Bogu.

Trzecia też złota wolność: nie mieć tyrana, ani takiemu królowi służyć, któryby nas jako chciał, prawa nie patrząc, sądził, zabijał i majętności wasze brał, i córki i żony wasze wydzierał i czynił co mu się podoba, na Boga się i na sprawiedliwość nie oglądając. Tę wolność macie z łaski Bożej. Bo daje wam Pan Bóg króle pobożne i święte, którzy nie tylo nic tyrańskiego nie czynią, ale i co dzień więcej prawom i przystojnym wolnościam waszym dogadzają i do nich przyczyniają. Przez te sześć set lat żadnegoście tyrana, okrom onego morderce świętego Stanisława, i to krótko, nie mieli; i tego, który teraz króluje, pobożności, łaskawości, sprawiedliwości i bogobojności i szczęściu wielkiemu, które ma od Pana Boga, na takie zwycięstwa, które mu Pan Bóg daje, żaden się dobry wydziwować nie może. Dla czegóż wżdy taką niewdzięczność cierpi? Bądźcie tej wolności złotej wdzięczni, a na niej przestajcie, a za nię Panu Bogu dziękujcie.

A onej czwartej, piekielnej, Boże nas uchowaj, która jest filiorum Belial[2]), to jest synów bez jarzma, którzy mówią: Izali nas ten król wybawi? i bez przyczyny żadnej wzgardzili nim, i darów mu nie przynieśli. O synowie koronni! umiejcie czcić, jako waszy ojcowie, króle

---

[1]) Czuj — czuwaj

[2]) synów Beliala (pogan).

i pany wasze. Nie rozciągajcie wolności swej na zelżenie jego, na zjazdy zakazane, na rozruchy, na sedycje, na obmowy i szemrania, na nieposłuszeństwa i przepychy, bo to wam samym wielką szkodę uczyni, i to samo niewolą na was tyrańską przywiedzie. I rzeczecie: Słusznie mię Pan Bóg tem pokarał, iż się Turczynowi abo Tatarzynowi temu, który mi i gardło bierze, kłaniam — bom swoich sprawiedliwych i świętych królów czcić nie chciał. O jako tego tyrana słuchać muszę, którym na pany pobożne warczał, i ich posłuszeństwo z siebie zmiatał!

Djabelska wolność jest bez prawa, bez urzędu żyć, na zwierzchność nie dbać, mędrszemu i starszemu nie ustąpić, wolność mieć do grzechu, do zabijania i wydzierania. I poganie mówili: Wybawieni od nieprzyjaciół, wolnością się cieszymy, a u panów swoich przyrodzonych i u praw sprawiedliwych, i urzędów niewolnicy bądźmy. »Urzędy i królowie są sługami praw, a sędziowie są ich wykładaczmi, a my wszyscy bądźmy niewolnicy praw naszych, abyśmy wolni być mogli«. Jako się i pogaństwa onego, co świat wszytek w mocy mieli, nie zawstydzim? którzy, mając takie państwa, doma się niewolnikami praw i urzędów porządnych zwali.

O jako piękna rzecz, kto królowi swemu, od Boga danemu, mówi: Jam twój niewolnik i poddany, twoje wszytko, co mam, tyś mój dobrodziej i Bóg ziemski mój, z którego mi rządu i panowania i pokoju wszytko dobre płynie. Mawialiście za naszej pamięci królom swoim i na sejmach i koronacjach: pod nogi twe majętności i zdrowia nasze kładziem, znając cię od Boga danego i sprawiedliwego. Teraz żadnej krzywdy nie mając, na wielką i szkodliwą hardość podnieśliście się. Co się o wszytkich nie mówi. Są ci, którzy się synmi Belialowemi brzydzą, których w serce Pan dotyka, i cześć im swego pomazańca Chrystusa słodzi, jako Pismo święte mówi: »W e s e l ą s i ę c ó r k i s y o ń s k i e z k r ó l a s w e g o«.

Drugie osłabienie stolice i władzej królewskiej, dla której ta głowa chorzeje, idzie z rozerwania dochodów i dostatków królewskich, z których stan swój i potrzeby

pospolite opatrować ma; o czem jest wiele wrzasków miedzy wami na pany i dzierżawce dóbr królewskich, na ich chciwość i niesprawiedliwość i dóbr pospolitych złe opatrowanie i używanie, na ich syny w kolebkach i dorosłe, którzy nigdy ani królom ani Rzeczypospolitej nie służyli; na ich wdowy, które po kiladziesiąt tysięcy intraty pospolitych dóbr mają i od męża do męża z nimi biegają. Przeto o tem więcej mówić nie chcę. Boże, daj wam to baczenie, abyście się tem takiem łakomstwem, króla i Rzeczpospolitą obrażając, sami nie gubili, a obyczaj lepszy opatrowania głowy i Korony swojej naleźli.

Osłabienie też majestatu królewskiego i mocy jego na dobre pospolite szkodliwe barzo, pochodzi ze złego szafowania i używania urzędu poselskiego na sejmach, dla czego ledwie się co kiedy dobrego postanowić może. Rzecz na początku dobra, poszła we złe barzo używanie. Przez wiele set lat bez posłów królowie polscy z samym senatem i radą swoją potrzeby koronne i sejmy odprawowali. — Dla poborów samych przyzywano posłów od szlachty, z powiatów, z któremi za trzy abo cztery dni sejmy się kończyły, i były krótkie sejmy, ale pożyteczne królestwu i dzielne. Gdy się poselski on urząd dalej szerzył, do tego przyszło, iż z niego teraz wielkie się dobrym radom przeszkody dzieją, i jeśli co do upadku Koronie tej pomaga, jako sami miedzy sobą często mówicie, tedy to samo koło[1]) narychlej ją przewróci i zgubi.

Patrzcie do jakicheście nieprzystojności i prawie[2]) dziecinnych i śmiechu godnych postępków i zagmatwania przyszli. Naprzód obieranie posłów na sejmikach takie jest, iż możniejszy a śmielszy czynią, co chcą; abo się sami obierają, i drudzy mało niedożywotny sobie ten urząd czynią, abo takie wystawiają, którzy ich myślom i przedsiewzięciu służą. A szlachta w prostocie nie wiedząc co się dzieje, przyzwala i wrzaskiem wszytko odprawuje. Ci, co się sami obierają i wtrącają, ze swemi

---

[1]) koło — »koło poselskie« czyli sejm;
[2]) prawie — prawdziwie.

złemi chciwościami, a nie z powinnem ku dobremu Rzeczypospolitej sercem do tego urzędu przystępują. Dobrych zawsze i cnych miłośników ojczyzny godzi się ochraniać, na których też z łaski Bożej nie schodzi, gdyby śmiałością i gorącością złym nie ustępowali. Bo jedni są, którzy na księżą i stan duchowny waśń głęboką w sercu noszą; jako są wszyscy heretycy, którzy się radzi na ten poselski urząd cisną, tem religiej katolickiej chcąc szkodzić; jakoż szkodzą, żal się Boże. Drudzy do pana swego złe serce mają: iż im tego, co chcą, dać, a nigdy drugich napełnić nie może. Drudzy, swego podwyższenia i pożytku się spodziewając, do tego wszytkie swe prace na sejmie obracają. Drudzy na swoje przeciwniki w domowych waśniach poselstwem onem pomocy szukają. Drudzy podobno od jakich panów natchnieni, a drugdy[1]) snać upominkami kupieni, ich myślom dogadzają. Drudzy z wymową i rozumem postawić się na sejmie chcą, aby sobie mniemania u ludzi nabywali. A żeby Rzeczypospolitej dobrze było, rzadki coby szczerze o tem myślił. O tych mówię, którzy się w ten urząd wtrącają.

A gdy ich obieranie minie, takie artykuły napiszą, któremi myślom swoim służyć i sejmowe sprawy zatrudnić usiłują i naleganiem w rzeczy od wszytkich braciej, a ono sami od swej głowy i afektów swoich, zdrowym i należytym królestwu radom sejmowym przeszkody i zamieszki, jakie mogą, czynią, burząc towarzysze, którzy o ich myślach nie wiedzą, nie to, co im prości bracia poruczają i co Rzeczypospolitej pożyteczno, czynią, ale z głowy swej i z serca na urzędy obostrzonego, abo z głodu na swe dobre mienie, abo z waśni na duchowne, rozterki sieją, i dobrym, pożytecznym Rzeczypospolitej radom przeszkadzają.

A w ich poselskiem kole, o Boże mój, jakie tam wstydu godne postępki! Kila dni obierając marszałka, a raz pomnę półtrzecie niedziele na tem trawiąc, czas tracili, gdy ich Król J. M. z radami swemi teskliwie

---

[1]) drugdy — czasem, kiedy indziej.

i z utratą dobrego czasu czekać musiał. Co jako jest gruba wina, jaka z tego panu i radzie jego niecześć, uważyć każdy może. Jakie zaś swary, zwady i wrzaski i broni dobywania miedzy niemi bywają, wstyd powiadać, dotkniono tego wiele w ich exorbitancyach[1]), Boże, aby była poprawa!

Nie dotykam, jako czas na próżnych słowach tracą, a cicho targi i zmowy czyniąc, na dobre pospolite i pokój domowy nie pamiętają.

To naszkodliwsza, iż moc sobie tak wielką przyczytają, którą królewskiej i senatorskiej przeszkodę czynią, a monarchią chwalebną i ludziom zbawienną, jako się rzekło w demokracją, która jest w rządach ludzkich nagorsza i naszkodliwsza i tu w tem królestwie tak szerokiem niepodobna, obracają. To jest, iż chcą, aby szlachta abo lud pospolity przez posły swe rządził, a bez nich król z radą swoją nic nie czynił, a na ich konkluzją patrzył. Czem się wszytka natura Korony tej mienić i zatem zginąć musi, która jest królestwem, a nie miastem greckiem, abo szwajcarskiem, ani Wenecyą. A musiałaby się wszytka szlachta w jednych murach i w jednem mieście zamknąć i tam mieszkać, aby o sobie wszytcy radzić zaraz mogli. Co jeśli jest u nas rzecz podobna, abo jeśli taki rząd jest do trwałości królestwa pożyteczny, już rozumy wszytkiego świata i doznanie i doświadczenie osądziło.

Taki rząd popularitatis musi przecie mieć swoje króliki. Bo populus[2]) na dwu językach abo na trzech polega, którzy królikowie, z sobą się wadząc, jeden drugiemu zajrząc, wszytko nogami wzgórę obrócą. I ziściłoby się to, co o takiej Rzeczypospolitej pogańskiej jeden pogański mędrzec rzekł, iż w niej mądrzy radzą, a głupi dekreta i konkluzje czynią. Bo miedzy pospólstwem mało jest mądrych; miedzy radą pańską abo wszyscy mądrzy, abo więtsza część, bo się na to obierają i stanowią i dla swojej mądrości przy boku pańskim siedzą, jako o Zorobabelu Pismo mówi.

---

[1]) Bezprawia popełniane na urzędach

[2]) lud.

W takim rządzie wielogłownym łacno barzo sedycyą i wzburzenie uczynić, bo prostym smaczne to pochlebstwo, iż też oni rządzić i wolności swojej używać mają, i lada zły jaki język i śmiała swowolność namówi ich do rzeczy barzo szkodliwych, głupich i któremi sami siebie pogubią.

. . . .

Przezacni panowie, nie czyńcie z królestwa polskiego niemieckiego rzeskiego[1]) miasta; nie czyńcie malowanego króla, jako w Wenecyej, bo weneckich rozumów nie macie i w jednem mieście nie siedzicie. Opatrzywszy wolności swoje, a nie mając żadnego uciśnienia ani tyraniej od swoich panów, onym, jako pomazańcom bożym, wszytkie rządy zlecajcie; wszak nie mają kogo radzić; wszak mają prawa, z których namniej nie występują. Królikowie ci wszytko wam zepsują i was pogubią, które Pan Bóg za grzechy nasze dopuszcza, bo tak mówi Mędrzec: »Dla grzechów ziemie (to jest ludzi na ziemi), wiele panów jej«. Nie takich, gdzie jeden drugiemu podlega i wszytcy jednego słuchają, ale gdzie jeden drugiemu się sprzeciwia, a chcą wszytcy rządzić. To jest wielkie za grzechy ludzkie od Boga skaranie, a pogotowiu błogosławieństwo jest Boże i cnotom pobożnych odpłata, gdy wszytcy jednego słuchają.

Bierzem przykład z tych kila przeszłych sejmów, na których nic się dobrego w tak wielkich i nagłych rzeczypospolitej potrzebach stanowić nie mogło. Panowie posłowie wszytko rozporzą[2]) abo swemi głowami, abo cudzemi tajemnemi, dając się użyć na co komu potrzeba, zdrowia i całości i dochowania Rzeczypospolitej odstępując.

Na tym tegorocznym sejmie z sromotą i wielkiem niebezpieczeństwem wszytkiego królestwa nas wszytkich odbieżeli, protestując się, iż na żadną rzecz ani dobrą ani napotrzebniejszą nie zezwalają. Gdzież się dalej ucieczecie, jeśli sejmy, które z takiemi nakłady i zgubie-

---

[1]) Należącego do »rzeszy«

[2]) rozprują, rozerwą.

niem czasu czynicie, mocy mieć, i rady dobre i obmyślania o was królewskie i ojcowskie wykonania mieć nie będą? Macieli co nad sejmy do poratowania siebie i Rzeczypospolitej gruntowniejszego? Jeśli nie macie, czemuż je tak targać i na zgubę je swoję i na pośmiech, a sromotę u ludzi obcych obracać je dopuścicie? Po co się już zjeżdżać na takie roztyrki i praktyki i buntowania i rozruchy macie? Upadliście, zginęliście, jeśli Pan Bóg na was nie wejrzy, a serca wam nie odmieni za pokorną pokutą waszą, abyście nie o wolności swowolnej i obłudnej, ale o zachowaniu zdrowia i majętności, domów i dziatek swoich i potomstwa swego myślili.

Boże, zmiłuj się nad ludem twoim, którym jako jedną owcą rządzisz; daj królowi, któregoś przez ręce kapłana twego postawił, sądy twoje i sprawiedliwość twoją synowi jego. Niech lud twój sądzi w sprawiedliwości i ubogie twoje w rozsądku. Niech góry i pagórki, to jest rada i panowie jego przyjmują ludkom twoim pokój, a obmyślaniu ich aby niespokojni przeszkód nie czynili, ale w posłuszeństwie świętem i poddaństwie żyjąc, jako równe pola ściekającą się wodę z gór twoich urzędów i przełożeństwa przyjmowali; a w pobożności rodzaj cnót świętych chrześcijańskich wypuszczali, dla których błogosławisz wszytkiemu królestwu, i ono ku czci świętej twojej długo jeszcze zachowasz, wybawisz od złego i wsławisz. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z Tobą i z Duchem świętym, jeden Bóg króluje na wieki. Amen.

ŻOŁNIERSKIE NAUKI.

O uważeniu stanu żołnierskiego chrześcijańskiego.

Stan żołnierski, jako jest każdemu królestwu i rzeczypospolitej potrzebny, tak też jest chwalebny i czci godny. Potrzebę jego wyciska[1]) swowolność ludzka, która złotorodzący pokój i życie szczęśliwe światu wydziera. Jedni

---

[1]) Powoduje.

ludzie doma i w sąsiedztwie niepokoje czynią, krzywdy zadając i cudze sobie przywłaszczając, i przykrości rozmaite przynosząc. Takie prawa i karność urzędowa króci. Drudzy z mocą i wojskiem nachodzą, i cudze kraje posiadać, pustoszyć i niewolić chcą: na takie, wedle rozumu i prawa przyrodzonego, żołnierza gotują, i stan rycerski stawią, aby przezeń pokój się zatrzymać i wracać mógł, i ręką, i żelazem, i męstwem ich, nieprzyjaciel odegnany był. Zwłaszcza, gdy innego obyczaju z nim nie masz, a wszytkie się środki do porównania i jednania podały. Przyrodzone tedy prawo i rozum każe: aby każde zgromadzenie porządne, miasta, królestwa i państwa, na obronę taką gotowały mury, wieże, baszty, strzelby, twierdze i zamki i żywności na wiele lat, aby w takich przygodach i najazdach ludzi złych, przy swoim pokoju zostawali. Co wszytko bez żołnierza i umiejętności wojennej, i bez szkoły i ćwiczenia rycerskiego, być nie może. Taką tedy i tak wszytkim należytą potrzebą, stan żołnierski poważność swoję ma.

Lecz i z tego chwalebny jest, iż się w nim szczepi miłość osobna ku braciej i ku Rzeczypospolitej i Ojczyźnie, i ku chwale Bożej i kościołów świętych i wierze chrześcijańskiej, dla której zachowania i obrony, zdrowie swoje w niebezpieczność niosą; i jest to wielka i sławna cnota męztwa takiego miłością Bożą zapalonego, o której Chrystus Pan mówi: Więtszej nikt miłości nie ma nad tę, gdy zdrowie swoje kładzie za przyjacioły swoje.

Nadto sławny jest i z tego stan żołnierski, iż go sam Pan Bóg używać kazał na wygładzenie onych siedmi narodów Palestyńskich. Mogąc je, jako Faraonowi i ludziom jego uczynił, bez ręki ludzkiej pogubić, miecza z wojenną przyprawą dobywać na nie roskazał, nauczając jako wojsko prowadzić, jakie zasadzki na nie czynić, jako się wielkości ich nie przelękać, i innemi dowcipy one zwyciężać. I dla tego, mówi Pismo, z onej ziemie wszytkich nieprzyjaciół onych nie wykorzeniał: aby się

do boju lud jego ćwiczył, i rycerskiego rzemiosła nawykał.

— — — — — — — — — — — — — —

W Nowym Zakonie Jan święty Chrzciciel, nauczając żołnierze, pomiatać[1]) im zbroje i miecza nie kazał, i służby ich nie zganił, ale ją naprawował. Tak a tak, prawi, służcie i czyńcie. I sam Pan Jezus, setnika wychwalając, stanu jego nie zganił; i o świeckich królach rzekł, iż sługi na obronę mają; i pobory na żołnierza i obronę pospolitą dać roskazał; i po wszytkie wieki cesarze i królowie chrześcijańscy, nabożni drudzy i święci, wojnami Panu Bogu służyli; i wiary jego, i chrześcijaństwa mieczem i mocą bronili, i pokój państw swoich stanowili. Umiejże, żołnierzu, swój stan poważać, a on pełnieniem powinności jego, o których będzie mowa, ozdabiać, a złem go zachowaniem nie lżyć.

Na jaką wojnę pisać się ma żołnierz chrześcijański.

Na taką, która jest urzędownie od najwyższej mocy postanowiona, i która jest jaśnie sprawiedliwa. Wojny nikt podnosić nie może, jeno król i Rzeczpospolita abo nawyższy pan w swojem państwie. Bo poddany obracać się ma po sprawiedliwość do swego pana i do prawa jego, a wojny żadnej sam zaczynać, ani się o swoję krzywdę mścić, i sam sobie czynić sprawiedliwości nie może. Lecz król i ten pan, który nad sobą wyższego, i trybunału, u któregoby o swoję krzywdę czynił, nie ma, wojną swego dochodzić musi, i sam ją tylko zacząć swojem stanowieniem może, ale żaden poddany jego nie może, ani owe książęta, które królom abo cesarzom podlegają, zacząć miedzy sobą sprawiedliwej walki nie mogą.

I dla tego sąsiedzkie wojny pod jednym panem nie tylo są niesprawiedliwe, ale i zakazane prawem, i przyrodzonem i pisanem, i ludzkiem i Boskiem. I ci żołnierze, którzy się na taką wojnę piszą, i którzy jej pomagają,

[1]) Porzucać.

wielce grzeszą z obu stron, i za rozbójniki słusznie się mieć mają. I którzy tam zabici bywają, wiecznego potępienia, jeśli bez pokuty schodzą, nie ujdą.

Co się rozumie o tych, którzy najeżdżają. Bo bronić się każdemu szczególnemu[1]) poddanemu godzi; ale wojnę zaczynać, najeżdżać, odpowiedź czynić, na rękę wyzywać, żadnemu się nie godzi, jedno najwyższemu urzędowi, który sam wojnę podnosi, i odpowiedź daje temu, z którym prawa i trybunału do sądu mieć nie może.

Ma też na to oko pilno mieć żołnierz chrześcijański, jeśli wojna, do której się pisać chce, ma w sobie jasną sprawiedliwość, a szkody niewinnemu nie czyni. Bo są panowie drudzy jako rozbójnicy i wilcy drapieżni; zbierają wojska na rozszerzenie państwa swego, na wydzieranie cudzego, na pomstę niesłuszną, na psowanie wiary i służby Bożej, i wielkie krzywdy ludziom i uciski czynią, i wiele krain pustoszą, z jadu i gniewu i łakomstwa do złej chęci, do podwyższenia swego. Do takiej wojny uchowaj Boże przystawać. Uchowaj Boże onych słów ludzi dyabelskich: By mi, prawi, i dyabeł pieniądze dał, na krew ludzką pójdę.

A iż jedni są żołnierze domowi i poddani, drudzy obcy za pieniądze, którzy nie swoim, ale innym panom służyć chcą, obcy żołnierz pilnie się tej sprawiedliwości wojennej przypatrować ma. Jeśli jasna w niej i niewątpliwa sprawiedliwość, niech jej w Imię Pańskie pomaga, jako Bożej; a jeśli wątpliwa, o której tak i owak ludzie rozumieją, niech od niej ucieka i w nię się nie wdaje, i dusze swej nie zawodzi. Bo wojna straszliwa jest i przykra, i wiele w niej niewinnych ucierpi; i nie godzi się jej używać, jedno o barzo jasną i wielką krzywdę, o wszytko się jednanie i porównanie pierwej pokusiwszy. Bo krew nie woda, jako mówim, wojenne lekarstwo.

Lecz żołnierz domowy, pana słuchając, może się choć na wątpliwą pana swego sprawiedliwość do żołdu udać, na sumnienie się i cnotę jego spuszczając, a mandatów jego i rządów nie posądzając. Bo samem posłuszeństwem

---

[1]) Pojedyńczemu.

wymówiony być może, a na panie jego grzech zostanie. Chybaby jasna barzo i niewątpliwa pana ich niesprawiedliwość i złość zachodziła. Bo wtenczas słuchać go poddani nie winni, gdy co pan ich przeciw Panu Bogu i jasnej sprawiedliwości Jego roskazuje. Wtenczas mówić, Boga słuchać i Jemu posłusznym być, a nie ludziom.

O przedniejszych cnotach rycerskich.

Pierwsza jest sprawiedliwość, pod której chorągwią chrześcijański żołnierz idzie, i bez niej woli doma siedzieć, bez niej nadzieje do zwycięztwa nie ma, i pomsty się Boskiej boi, która za rozlaniem krwie niewinnej przychodzi. Tej sprawiedliwości przestrzega w postępkach swoich, aby nikt za jego przyczyną krzywdy nie miał, domowi zwłaszcza i sąsiedzi. Bo jeśli on jest egzekutor wojennej sprawiedliwości, a jako domową psować ma? jako niewinne i ubogie łupić i rozbijać ma ten, który na czynienie sprawiedliwości, i na obronę ukrzywdzonych braciej, przeciw złym i niesprawiedliwym miecz niesie?

Druga cnota żołnierska jest: męztwo, które się Fortitudo zowie; które na trzech rzeczach pokazać się ma. Naprzód, aby rozkoszy cielesne i miękkości pomiatał, i sam siebie, i złe skłonności swoje zwojował, pierwej, niźli nieprzyjaciela Ojczyzny zwojować chce. Bo rozkoszy i nieczystości i pijaństwa i inne miękkości do żołnierstwa nie służą. Gdyż czynią człowieka niewieściuchem, i kądzielą, i zającem; i kto się w nie wda, mężnym być nie może. Śmiałym z pijaństwa i desperatem być może, ale nie żołnierzem, który rozumem i cnotą żołd swój prowadzi.

A ktemu męstwo należy na wycierpieniu i znoszeniu przykrości cielesnych: głodu, niepogód, zimna, wiatrów, deszczów, polnego legowiska, niespania, pracy i ran na ciele swojem, i noszenia zbroi, i na innych trudnych i ciężkich robotach. Bo bez tego nic się wielkiego na wojnie nie sprawi. Na twardości, nie na pieszczotach, żołnierstwo się funduje.

Do tego potrzeba mu mężnym być na pogardzeniu zdrowia własnego, gdy potrzeba. Na czem wszytka ta

cnota rycerska i męstwo zawisło. Za którem nieustraszone serce przychodzi, iż na każdy nagorszy raz, gdy czas upatrzy, a rozum ukaże, nastąpi i natrze, i z Bożą pomocą wygrawa.

Trzecia cnota rycerska jest posłuszeństwo, które nawyższe jest i nawiększe w tem rzemieśle; bez którego, jako wszędzie, tak i na wojnie sprawić się nic dobrego nie może. On rotmistrz w Ewangeliej rycerskie posłuszeństwo przyrównał do mocy Bożej, mówiąc: Jeśli w stanie u nas naszym żołnierskim, taką moc ma roskazanie starszych, iż być musi wszytko co każą: ja słucham hetmana, a mnie słuchają towarzysze moi, i co roskażą staje się a nie chybi — daleko więcej, gdy ty roskażesz, Bogiem będąc, wszytko się na słowo Twoje stanie. Mocne słowo Boże i pełnić się musi. Tak mocne ma być słowo i roskazanie starszych na wojnie, i zaraz się stawać ma. Bo inaczej rząduby żadnego, i zatem zwycięstwaby nie było. Oni u króla Ochozyasza żołnierze, patrz na jaką zgubę swoję z rozkazania i posłuszeństwa idą. Jedna rota od Heliasza proroka ogniem z nieba spalona jest, a drugiej na tenże ogień nastąpić kazano. Nastąpili i zginęli, jako i pierwszy. Gdy każą, na działa, na strzelby, na włócznie idzie posłuszny żołnierz, choć przed sobą trupy widzi; i tak ma być, i czynią to wszyscy dobrzy, i mają u Pana Boga w wojnie sprawiedliwej swego posłuszeństwa zapłatę. Jeśli źle abo dobrze hetman roskazuje i rotmistrz prowadzi, już go nie sądzi, ani się o radzie jego pyta.

Takież posłuszeństwo ma być w obozie i na leżach i strażach. Gdzie więc trudniej drugdy upór zwyciężyć na rzeczy mniejszej, niźli na onej, gdzie o zdrowie idzie. Często się starszym sprzeciwiają i nieposłuszeństwo pokazują. A co gorzej, szemrzą i źle mówią o rotmistrzu, o hetmanie, o królu, i drugie na nie pobudzają, i zmowy i konfederacye szkodliwe Rzeczypospolitej czynią, starsze posądzając, a swoje chęci złe i głupie przewodząc. Czego się cny żołnierz chrześcijański strzedz, a w starszych swoich Pana Boga i zwierzchność od niego postanowioną czcić ma. Jeśli mu winno pieniądze, upominać się dro-

gami słusznemi może. A panowie i królowie z wielką i szczerą pilnością i w czas obmyślać mają, aby robotnik taki i tak wszytkiemu królestwu potrzebny, swoję zapłatę miał.

Czem serce wielkie do potrzeby roście.

Naprzód miłością, która jest dziwnie przeważna i mocna. Przyrównywa ją Mędrzec do śmierci, do piekła, do ognia, do wód i rzek bystrych i głębokich. Jako śmierci nikt nie zwojuje, tak i miłości serdecznej żaden postrach nie odejmie. Jako piekła nikt nie otworzy i zamków jego nie skruszy, tak miłość trzyma mocno w sercu, czego się szczerze jęła, a nie puści. Jako ogień wszytko przemaga, tak miłość wszytko trawi, i rzeczy naprzykrzejsze i natwardsze, miękkie sobie czyni. Jako morze głębokie i rzeki bystre dobrze opatrzonego okrętu nie topią, tak miłość wszędzie górę ma, i po wierzchu wszytkich nawałności uchodzi. Miłość dla tego, kogo miłujesz, wszytkę majętność sadzi. Lecz i zdrowia nie waży za nię, gdy na tę wagę przychodzi.

Cny żołnierzu, zapal się miłością ku Panu Bogu i czci jego, której żelazem swem szukasz. Zapal się miłością ku Ojczyźnie i ku braciej twojej, i ku domowym twoim: ujrzysz jakoć śmierć lekka będzie, doznasz jako cię mężnym uczyni, jako niedźwiedzicę o dzieci. Zapal się i do sławy swej rycerskiej, obaczysz jako na działa i strzelby pójdziesz, gdzie potrzeba a rozum i baczenie dobre ukażą.

I to mocna do rycerstwa pomoc: uważenie dobrej i pięknej w bitwie śmierci, jako czynili żołnierze, męczennicy Boży, gdy je rozmaitemi śmierciami od Chrystusa odpłoszyć chciano. Za króla, prawi, i dla jego żołdu i posłuszeństwa tylemkroć umrzeć mógł na wojnie, i śmiercim się nie bał, która mię straszyć przyszłemi po śmierci przypadkami mogła; a teraz się tak pięknej śmierci dla Boga mego i dla obietnic jego tak pewnych, bać się śmierci mam? A my mówmy: Muszę jednak abo gdzie z jakiej przygody nagłą a niespodzianą śmiercią, abo na łóżku

w jakiej ciężkiej niemocy dokonać. Jeśli w przygodzie i nagle umrę, w niebezpieczeństwo duszę moję, dla nieprzygotowania, podam. Jeśli na łóżku umierać będę, abo mię niemoc przywiedzie do niecierpliwości i bluźnienia jakiego i desperacyej, abo mię kto słabego od wiary świętej, jako heretyk i sługa dyabelski, odwiedzie, abo mowę stracę, abo mię żona i dzieci nie usłuchają, w tem cobym do zbawienia potrzebował, abo spowiedź odwlokę, i niemocy sobie nie ważąc, bez niej umrę; abo mi w słabości wielkiej i gorączce trudna będzie pokuta, gdy się rozum i zmysły wszytkie do bólu obrócą. Izali tak nie lepiej w dobrem baczeniu i zdrowiu i w rozprawie pięknej z światem, z tego ciała wyniść, a nie darmo ani lada jako umrzeć, ale za Bożą część, za Ojczyznę, za miłą bracią tej trochę krwie Panu Bogu ofiarować, a za nie wieczne królestwo sobie przez Jezusa Chrystusa kupić, i za trochę dni na świecie tego nędznego żywota, on bez końca żywot sobie zjednać? Terazem pewny odpuszczenia grzechów moich, gdy zdrowym będąc czerstwo za nie żałuję, z dobrym rozmysłem i skruchą. Mogę być żyw kilka i kilkanaście lat, i w pierwsze grzechy, a w nowe inne gorsze wpaść; teraz się im koniec stanie, i wadzić im przeszłe złości za taką ofiarą krwie mojej nie będą.

Takie myśli w dziwne męstwo żołnierza ubierają, i mocną nań zbroję kładą, serce mu czyniąc w nadziei nieprzemożonego Boga, któremu swe zdrowie oddaje; i odnosi, gdy Pan Bóg chce, wesołe zwycięztwo i sławie swej rycerskiej czynić dosyć, i drugdy większą ma sławę gdy mężnie polega, niźli gdy wygrawa; i śmierć takiego i tak nabożnego żołnierza sławniejsza jest nad wszytkie tryumfy.

Jako się po wygranej bitwie zachować ma chrześcijański żołnierz.

Naprzód nie ma się z tego weselić, iż się ludzka krew rozlała; i owszem nad oną nędzą pobitych płakać przystoi, myśląc: jaka jest złość ludzka, która na taki

upór i do tak srogiej w niezgodach rozprawy przychodzi. Jakoby ludzie rozumu nie mieli na czynienie sobie pokoju i zgody bez takiej zguby swojej. Bestye mocą i ciały, ale człowiek rozumem swoich rzeczy dochodzićby miał. A tem żałośniej, gdy się sami chrześcijanie zabijają, a przykazania o zgodzie i miłości i odpuszczeniu winy jeden drugiemu, od Pana Boga swego danego, zapominają.

Pomyśl sobie, iż się toż tobie stać mogło, co na nieprzyjacielu widzisz, a nie czyń się lepszym u Boga, którego sądów i rządów nie rozumiesz, a który cię, jako i tego, pokarać mógł, i podobnoś to był zasłużył, gdyby szczerą nad tobą sprawiedliwość swoję rozciągał; jako Pan Chrystus do onych rzekł, którzy mu o porażonych i pobitych powiedali, iż krew ich Piłat z ofiarami zmieszał. Wszytcy, prawi, tak poginiecie, jeśli czynić pokuty nie będziecie. On wielki król Adonibezech, gdy mu po porażce, ręce i nogi odcięto, rzekł: Siedmdziesiąt królów z obciętemi rękami i nogami pod stołem moim odrobiny zbierali. Jakom uczynił, tak mi też Pan Bóg oddał. Nie miałem nad nimi pożalenia, i przetom go u drugich nie znalazł. Mniemałem, iż szczęście moje wieczne. O jakom się omylił! a to cierpieć muszę, com innym zadawał.

Ma być użalenie nad poniżonym takie, jakiegoby sam w takim złym razie potrzebował. Diogenes, cesarz Carogrodzki, porażony i poimany od Asam Sułtana Saracena, nalazł u niego użalenie nad nędzą swoją wielką, iż u stołu jego siadał; myślił ten Asam, iż by mu też to było miło takie miłosierdzie u nieprzyjaciela w równej przygodzie mieć. I gdy raz spytał Diogenesa: Cobyś był, prawi, ze mną uczynił, gdybym ja był w ręce twoje wpadł? on z głupstwa wielkiego i niebaczenia rzekł: rozsiekałbym cię był i zabił. A on mu powiedział: ja twojej nieludzkości i takiej srogości naśladować nie będę. Wasz Chrystus pokój wam rozkazał i zapomnienie krzywdy; i hardym się sprzeciwia, a pokornym łaskę daje; i nie mieszkając [1]) ze czcią go na jego państwo odesłał, i przymierze z nim uczynił.

[1]) Nie zwlekając.

Musiał być tajemnym chrześcijaninem ten sułtan, i brzydząc się głupstwem onego Diogenesa, sławę jego chrześcijaństwa na się włożył, to jest politowanie nad upadłym z rozmyślania takiegoż na się przypadku. A Pan Bóg o onę nieludzkość, którą w sercu miał, i o chrześcijańską niesławę i zelżywość, skarał Diogenesa, iż na cesarstwie innego już na swoje miejsce wsadzonego Michała siódmego nalazł, który mu oczy wyłupić kazał, z czego umrzeć, acz w dobrej pokucie, musiał.

Po wygranej bitwie było stare prawo u Mojżesza, aby się oni zwycięzcy żołnierze siedm dni przeczyściali,[1]) nimby byli do kościoła i społeczności przypuszczeni, choć na sprawiedliwej wojnie służyli; którego prawa ta była przyczyna: aby jednak choć słusznie przelanej krwie ludzkiej, dla natury i podobieństwa, które na sobie noszą, żałowali, i nieludzkością się oną, acz potrzebną brzydzili, a tego się na potem, ile by mogło być, z dobrem i z spokojem pospolitym wiarowali.[2]) Bo to srogi i okrutny, i ludziom nad ludźmi nieprzystojny do nabywania pokoju środek. Dawid wielkiemi zwycięztwy i wiela krwie ludzkiej wylaniem stał się niesposobnym do budowania kościoła, nie dla grzechu, ale dla jakiej nieprzystojności. Naśladował tego on wielki cesarz i zwycięzca Teodozyusz Wielki. Bo gdy Eugeniusza tyrana, z wielkiem krwie rozlaniem jego wojska, pokonał, sam nie zaraz do sakramentu świętego przystąpił; i wedle starych ceremonii kościelnych, żołnierze aż po 40 dni przypuszczeni do tajemnic świętych byli; przez który czas niejako swoje winy obmywali, a zwłaszcza jeśli nad potrzebę okrutni i chciwi na krew ludzką zostawali.

Tamże też jest w Piśmie świętem opisano, jako pułkownicy i rotmistrzowie z korzyści swej i łupów nieśli na ofiarę i dziękowanie Panu Bogu złoto, mówiąc do Mojżesza: My, słudzy twoi, obliczyliśmy żołnierze, któreśmy pod mocą naszą mieli: żaden w bitwie nie zginął; i dlatego ofiarujem Panu Bogu to cośmy złota z korzyści

[1]) Oczyszczali duchowo.
[2]) strzegli.

naleźć mogli, i prosim, abyś za nas Pana Boga ubłagał. To daleko chrześcijańskiemu żołnierzowi przystojniej, który jaśniej zna Pana Boga, i większe od niego dary pobrał: aby jemu samemu zwycięztwo i dochowanie zdrowia swego przyczytając, z tego, co mu Pan Bóg na wojnie dał dostać, na dzięki darował co kościołom i ubogim.

Nakoniec, po szczęśliwem zwycięztwie oddawać ma żołnierz śluby swoje, które idąc na wojnę uczynił: aby łaski tego wdzięczny był, który go prowadził, i strzegł, i prośby jego wysłuchał.

Do żołnierza w samej potrzebie.

Idziem w Imię Pańskie do tej posługi Bogu miłej, Kościołowi jego świętemu i ojczyźnie naszej, i braciej wszytkiej, którzy się w tem Królestwie zamykają, potrzebnej: abo szczęśliwie wygrać i pokonać nieprzyjaciele nasze, abo mężnie umrzeć, tak jako będzie wola i postanowienie w niebie, na które się puśćmy i dajmy. Jeśli nam Pan Bóg nasz da zwycięztwo, będziem mu służyć lepiej, i wdzięczność wszelaką oddawać i sławić wielkie Imię jego, i rozmnażać chwałę świętą jego, i sławy wielkiej u potomstwa dostaniem. A jeśli nam umrzeć każe, otworzy nam lepszą i wieczną ojczyznę i królestwo i przyjmie do łaski i wesela swego dusze nasze. Sposobmyż się pierwej do tego, aby nam śmierć ta doczesna, która na wojnie jest bliska, szkody na duszy nie uczyniła.

W Starym Zakonie, przed bitwą wołać Mojżesz kazał na żołnierstwo: Kto dom zbudował, a jeszcze w nim nie mieszkał, niech się wróci do niego; kto winnicę szczepił, a jeszcze jagód z niej nie pożył, niech także do niej idzie; kto się zrękował, niech się wraca a żonę pojmuje; kto jest bojaźliwy, niech ustąpi, aby swym przykładym drugich nie zastraszył. To onym grubszym i cielesnym, i do świeckich dóbr bardziej skłonnym dozwalano: aby im rzeczy, w których się zakochali, do męztwa wojennego nie szkodziły. Bo na woj-

nie i w samem potkaniu mężem być nie może: który wszytkiem, w czem się kocha, i samem zdrowiem swojem nie pogardzi. A my w Nowym Zakonie, daleko doskonalszym, dziś, gdy do bitwy idziecie, wołamy na was: Dla czci Boga swego, dla wiary świętej, dla podwyższenia krzyża Chrystusowego; dla miłości ku sąsiadom i braciej naszej, dla ojczyzny złotej i matki waszej, wzgardzajcie domami, majętnościami, żonami, i wszytkiem, co świat ma; a do tej świętej potrzeby wolne serce od wszytkiego świeckiego kochania i pożądania nieście, a zdrowie swoje i krew na ofiarę Panu Bogu oddawajcie. Bo jeśli zdrowia swoje dla chwały Bożej i obrony Ojczyzny i dla braciej swej dajecie, jako podlejszemi temi świeckiemi dobry przeszkadzać sobie do takiego męstwa macie? A Bóg nasz dobry hojnym jest na te, co się dla niego i dla rozkazanej od niego ku braciej miłości nie żałują, i to zdrowie, które mu tak oddajecie, wam wróci, i zwycięztwem was uweseli, i zapłatą wielką udaruje. Gdy mu Abraham wesoło syna na ofiarę i na śmierć oddał, nie tylo mu syna zdrowego wrócił, ale mu innych dał bez liczby, jako gwiazd na niebie.

Roskazał też Pan Bóg w zakonie stanąć kapłanowi przed wojskiem, gdy już do potrzeby idzie, a mówić te słowa: Dziś bitwę zwiedziecie z nieprzyjacioły waszemi; niechże się serce wasze nie lęka, nie bójcie się, nie ustępujcie, nie bójcie się ich: bo Pan Bóg wasz jest miedzy wami, i on za wami przeciw nieprzyjaciołom walczyć będzie, aby was wyrwał z niebezpieczeństwa. Tęż i my wam nadzieję dajem i opowiadamy wam łaskę Pana Boga naszego: iż z nami tu jest jako z sługami i dziećmi swemi, iż mocną ręką swoją za nas się wstawi i obroni nas. Jedno to uczyńcie co on kazał. Żałujcie za grzechy swoje, a skruchę w sobie wzbudzajcie; bo jeśli pokutować, mówi Pan, nie będziecie, wszytcy poginiecie. Przepraszajcie Pana Boga waszego, któregoście gniewali. Jednajcie się z nim z całego prawego serca, mówiąc: Pobłądziłem, zgrzeszy-

łem, gorzko mi tego żal, poprawię się, karać się sam będę, jedno mi, Panie, przywróć łaskę twoję, przez mękę i śmierć niewinną Syna twego, Pana i Boga mego Jezusa Chrystusa, którego krew obmywa grzechy nasze. Wierzę w grzechów odpuszczenie, wierzę w tego, który je gładzi, baranka za nas ofiarowanego; z tej wiary żadnej się pokusie zwieść nie dam. Do spowiedzi i rozgrzeszenia kapłańskiego pódźcie. A kto już nie może się spowiadać, miej tę wolą, gdy będziesz mógł, a za to miej, jakobyś się już spowiadał, a nic o miłosierdziu Boskiem nie śmiej wątpić. Kto wydzierał, krzywdy ubogim czynił, żałuj, miej wolą nagrodzić, gdy będziesz mógł; wszytko wam Pan Bóg odpuści, gdy macie wolą wrócić, co czyje jest, ile wiadomość i dostatek niesie. Kto kogo obraził, odpuszczaj z całego serca, a mścić się żaden nie myśl, aby też Pan Bóg twoje grzechy odpuścił; wszytcy się, jeden drugiego, przeproście a pożegnajcie, obłapiajcie się a sobie błogosławcie. Żaden w gniewie i nienawiści braterskiej na konia nie wsiadaj, i miecza nie przypasuj.

To uczyniwszy, bierzcie do serca śmiałość, a proście jej od Pana Boga, aby wam dał męstwo i wielkie serce na tę swoję posługę. Bo wiedzcie, że was Pan Bóg posłał, gdy urząd królewski posłał, Pan Bóg przez króla i porządną moc mówi, wy słuchacie starszych, jako Pana Boga, wy czynicie posłuszeństwo, które wam Pan Bóg roskazał, gdy słuchać starszych rozkazał. Kogo śle Pan Bóg, temu też pomoc swoję i strawne daje: tam ręka jego, gdzie posłanie jego. Sługę Pan posyłając, nie chce aby mu kto przeszkadzał; i wam nic do zwycięztwa nie przeszkodzi, gdy on będzie stróżem waszym.

Macie po sobie sprawiedliwość. Ci pohańcy i niewierni przyszli na was, żadnego prawa nie mając, żadnej sprawiedliwości, gubić nas chcą tylo dla swego łakomstwa jako rozbójnicy, dla rozszerzenia Państwa swego jako tyranowie, dla korzyści jako łakomcy i nieczyści. Im idzie o panowanie i rozkoszy i dobre mienie, a nam o wiarę świętą i sławę krzyża świętego, którą chcą wykorzenić, o zbawienie nasze, o Chrystusa, którego zelżyć a swego

Machmeta wsławić chcą. O Jezu Chryste! tego im nie dopuszczaj. Tyś jest mocny Bóg nasz, nie daj sobie zelżywości czynić; umocni ręce nasze na nie. Nam idzie o kościoły i nabożeństwo nasze, które na swoje błędy obracają, o miłą ojczyznę, którą spustoszyć chcą, o wolność, którą odjąć i w niewoli nas mieć myślą, o bracią naszę, o żony, o niewinne dzieci, o kościoły nasze. Zastawujmy się a bądźmy mężami, a nie ustępujmy. Lepiej nam, jako on hetman wielki mówił, umrzeć w tej bitwie, niźli patrzeć na nędzę i niewolą braciej naszej, i ludu naszego, i na spustoszenie kościołów i chwały Bożej. Weźmiem męczeńską koronę, jeśli umrzemy; bo się o Boga naszego i o cześć Chrystusowę zastawujem przeciw nieprzyjacielom jego, którzy bluźnią. My wyznawamy Bóstwo jego i o nie zdrowie radzi kładziem przeciw tym bluźniercom, a on nam zapłatę wyznania tego gotuje, jako obiecał, i spełni nam słowo swoje. A jeśli wygramy, płacić nam żołd swój, jako sługom i żołnierzom swoim, będzie, wiecznemi i doczesnemi dobry.

. . . .

Pamiętajcie i na męstwo i nabożeństwo przodków swoich, którzy wam takie królestwo i ojczyznę zostawili, i tak wiele do niej narodów przyłączyli, pobożnością i rycerską dzielnością. Nie bądźcie wyrodkowie ich. Tych wolności, których oni męstwem, wiarą, i ku Panom swoim i ojczyźnie miłością nabyli, wy lenistwem i pieszczotą nie utracajcie. Zostawcie rycerskie rzemiosło i sławę dziatkom swoim, aby na was patrząc, wiecznie tę matkę swoją, ojczyznę miłą zatrzymali, i od rodzaju do rodzaju szczęście jej i całość podawali, a umieli jej szczęśliwie od nieprzyjaciół przykładem waszym bronić. Pamiętajcie i na niedawne tych braci męstwo i szczęście swoje od Boga w Prusiech u Czczewa, w Inflanciech u Kiesi, i w polach Podolskich, pod Połockiem, w Moskwie u wielkich Łuk, u Pskowa, pod Krakowem, u Byczyny i pod Rygą u Kircholmu, w Wołoszech, w Multanach, gdzieście wielkie Boskie błogosławieństwo i sławę męstwa swego w dziel-

ności rycerskiej odnieśli. Toż wam i teraz Pan Bóg da, jedno Jemu ufajcie, a na wieczną chwałę Jego wszytkę siłę swoję obracajcie, w pokucie za grzechy. Bóg z wami jest; bo macie sprawiedliwą, macie dobre serce ku czci świętej Jego. Co da, to nie sobie, ale Jego samego sile i dobrodziejstwu przyczytacie. A za to wiecznie Mu służyć, i wychwalać sprawiedliwość i sąd Jego i łaskę z wami będziecie. Wolni zostając od nieprzyjaciół i bojaźni ich, będziecie Mu służyć w świętym żywocie i sprawiedliwości po wszytkie dni żywota waszego. Przypasujcież miecze i szable swoje, zmacniajcie popręgi, a bądźcie mężnymi, a stańcie mocno na te, co wam i Kościół święty nasz i Ojczyznę naszą zgubić chcą; a jako będzie wola Boża, niech się tak stanie. Zdrowia nie żałujcie, już je tu Panu Bogu i Ojczyźnie ofiarujcie; bo inaczej mężnymi być nie możecie, jeśli wszytkim światem i dobry jego i samem zdrowiem swojem nie pogardzicie, abyście się i przy tem, dali Bóg, zdrowiu, które wam Pan Bóg z zwycięztwem wróci, i przy wiecznem lepszem zostali. Bóg z wami, mężne rycerstwo Boga nieprzemożnego, żołnierze Kościoła Bożego, słudzy i synowie, któremu Chrystus, Bóg nasz, obronę i dotrwanie obiecał, i pewnie niści: bo prawda jego i miłosierdzie na wieki. Wysławiajmy Pana Boga naszego: bo dobry, a wieczna dobroć jego. Straszmy nieprzyjaciele nasze wyznaniem wiary naszej, śpiewając:

Boga rodzica dziewica, Bogiem sławiona Marya, u swego Syna hospodyna Matko zwolona, Marya, ziści nam, spuści nam (Kyrie elejson) Twego Syna Chrzciciela zbożny czas. Usłysz głosy; napełnij myśli człowiecze; słysz modlitwę jenże cię prosimy; to dać raczy jegoż prosimy. Daj na świecie zbożny pobyt, po żywocie rajski przebyt, Kyrie elejson.

. . . .